

STEFAN KORBOŃSKI

W IMIENIU KREMLA

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1956

W IMIENIU KREMLA

BIBLIOTEKA „KULTURY”
Tom XIII

IMPRIME EN FRANCE

Wydawca : Edition et Librairie « LIBELLA »,
12, rue Saint-Louis-en-l'Île, Paris (4^e).

STEFAN KORBOŃSKI

W IMIENIU KREMLA

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1956



II 1.985.066

Chw. 43



Wszelkie prawa przedruku i adaptacji zastrzeżone.
Copyright by Stefan Korboński and „Kultura”.
Paris, 1956.

1559 D. 30/62

*Przyjaciółom w Kraju
poświęca*

A u t o r.

P R Z E D M O W A

Tłumacząc powody ogłoszenia mojej pierwszej książki „W Imieniu Rzeczypospolitej”, rozpocząłem przedmowę od słów: „Zachęcony życzliwym przyjęciem, jakiego doznały fragmenty mych wspomnień, umieszczone w „Kulturze” w latach 1948-1953, postanowiłem ogłosić ich całość”.

Dziś powtarzam te słowa z tą tylko zmianą, że zachęcony życzliwym przyjęciem, jakiego doznała książka „W Imieniu Rzeczypospolitej”, postanowiłem ogłosić dalszy ciąg moich wspomnień, tym razem za okres od wyjścia mego z więzienia do ucieczki do Szwecji. Wydaje mi się, że życie kraju, a szczególnie Warszawy w tym czasie, to jest od sierpnia 1945 do listopada 1947, jest stosunkowo mało znane, a jest to przecież okres o tyle ważny, że na listopadzie 1947 roku zamyka się ten rozdział historii Polski powojennej, który powinien nosić nazwę „lubelskiego”. Cechą charakterystyczną tego okresu jest nadanie ówczesnej polskiej rzeczywistości zewnętrznych pozorów wolnej demokracji przez formalne dopuszczenie do politycznego działania antykomunistycznej opozycji. Początkiem jego było utworzenie Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej z udziałem przywódców politycznych, przybyłych z emigracji, a końcem likwidacja tej opozycji, dokonana po opuszczeniu kraju względnie po ucieczce z Polski jej przywódców, co nastąpiło w październiku i listopadzie 1947 roku. Z tą chwilą usunięto wszelkie

dekoracje i na scenie ukazało się już bez żadnych obłotek prawdziwe oblicze dyktatury i okupacji.

Mówię w tej książce o wielu sprawach, na których jeszcze nie osiadł kurz i które są po dziś dzień przedmiotem różnic i sporów. W związku z tym pragnę podkreślić, że napisałem ją nie w intencji obrony czy potępienia pewnej polityki, a wyłącznie w celu poinformowania czytelnika o faktach, jemu samemu pozostawiając wyciągnięcie z nich odpowiednich wniosków i ocen. Starałem się więc o obiektywność, co jest szczególnie ciężkim zadaniem, gdy się było uczestnikiem opisywanych wydarzeń i brało się w nich udział po ściśle określonej stronie. Ale taki już los wszystkich wspomnień, że dają one obraz widziany przez okulary osobowości piszącego. Niech mi wolno jednak wierzyć, że nie oglądałem krajowej rzeczywistości w latach 1945-1947 ani przez różowe, ani przez ciemne szkła, a zwyczajnie gołym okiem, co powinno dać obraz, będący wiernym odbiciem prawdy.

AUTOR

POWRÓT Z WIĘZIENIA

26 lipca 1945.

Skręciliśmy z Zosią z Marszałkowskiej w Nowogrodzką i wkrótce stanęliśmy w drzwiach „Konga”. W gwarnej kawiarni zrobiło się nagle cicho. Spojrzenia skierowane w naszą stronę, goście szepczą sobie coś do ucha. Ale już pierwszy znajomy ściska mi rękę :

— Puścili cię! Kiedy?... Co, przed godziną?! Musimy to oblać!... Proszę pani, trzy kieliszki czegoś dobrego!

Po chwili ściskałem drugą dłoń, później wiele innych. Gdy się trochę uspokoiło, usiedliśmy w kilka osób przy stoliku. Ja, zupełnie oszołomiony zmianą, z rzadka odpowiadając na ciche pytania jak tam było, Zosia rozpromieniona. Co za dziwne i podniecające uczucie, gdy ze świata, zamkniętego czterema ścianami, wchodzi się nagle w przestrzeń, która nie ma granic. Mogę iść czy jechać przed siebie bez końca i żaden mur mnie nie zatrzyma. Rataj, po pierwszym wyjściu z więzienia, opowiadał o uczuciu nie do opisania, gdy się chwyta za klamkę i drzwi, o dziwo, otwierają się. Ja przeżywam to teraz, gdy widzę ludzi swobodnie wchodzących i wychodzących z „Konga” i gdy pomyślę, że za chwilę wsiądziemy w pociąg i oddalimy się od Warszawy o kilkadziesiąt kilometrów.

Zosia przypomniła, że trzeba posłać wiadomość rodzinie o moim zwolnieniu. Chwyciłem za pióro i skreśli-

łem kilka zdań. Przed podpisaniem chwila olśnienia. Przecież nie tylko mogę, ale muszę podpisać prawdziwym nazwiskiem, a nie Zieliński, Nowak czy Lewandowski. „Obiit Gustavus, natus est Conradus”. Żegnaj podziemie, żegnajcie kennkarty, arbeitskarty, passierscheiny i inne bescheinigung! W nowe życie wprowadza mnie zaświadczenie Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, stwierdzające kurtuazyjnie, że „pozostawałem w dyspozycji” organów bezpieczeństwa od takiego do takiego czasu. Po raz pierwszy od pięciu lat wywodzę na papierze: „Stefan Korboński” i bacznie się tym dwom słowom przyglądam. Podpis nieco się różni od przedwojennego. Może to i słusznie, gdyż i ja już nie jestem tym przedwojennym, młodym warszawiakiem, który przeżywał w stolicy najlepsze lata swego życia. Dziś jestem już dojrzałym człowiekiem, w którym wojna zmieniła każdą komórkę i o dawnym sobie myślę trochę jak o innej istocie i z pewnym pobłażaniem. Patrzę dalej na podpis i przypominam sobie wrażenie, gdy pierwszy raz po wojnie zobaczyłem światło w nie zaciemnionych oknach. Byłem zaskoczony tym widokiem, od którego zupełnie odzwyczaiłem się. Raził mnie przez parę dni niesłychanie i był powodem, powiedzmy, filozoficznych obserwacji. Uważałem na przykład, że światło kłóci się z ciemnością, że światło w nocy to dysharmonia i dziwiłem się, jak taki widok może być dla kogoś źródłem artystycznych wzruszeń. Podobnie, gdy zabrakło komunikatów wojennych. Uczucie nagłej pustki. Czego się teraz będzie słuchało przez radio? Co się może dziać interesującego na świecie, gdy nie ma wojny? Znosi się na okropną nudę.

Cóż jednak robić! Trzeba się będzie przyzwyczaić do własnego nazwiska, do światła w oknach i do tego, że wojna się skończyła.

W domu zastałem depezę od rządu w Londynie, dostarczoną przed paru dniami dawnym kanałem: „Rząd przyjmuje pańską dymisję i wyraża panu podziękowanie za pełnienie obowiązków Delegata Rządu w tak ciężkim okresie czasu”.

Pod ostatnim rozdziałem mego podziemnego życia obca, choć życzliwa ręka wypisała: „Finis”.

27 lipca 1945.

Spotkałem się dzisiaj rano w lokalu na Nowogrodzkiej z naszymi ludowcami. Witali mnie bardzo serdecznie, trochę jakbym wrócił z tamtego świata. Nikt się nie spodziewał tak szybkiego zwolnienia. Raczej oczekiwali, że będę wywieziony do Rosji. Ale, chwała Bogu, stało się inaczej. Dowiedziałem się od nich, że dziś wszyscy mamy zostać posłami do Krajowej Rady Narodowej (KRN) i że tu właśnie mamy oczekiwać na wiadomość, czy pertraktacje co do ilości posłów Polskiego Stronnictwa Ludowego (PSL) doprowadziły do porozumienia. Jeśli tak, to prosto stąd pójdziemy na salę posiedzeń KRN do „Romy”, zostaniemy tam zaprzysiężeni i weźmiemy udział w dzisiejszych obradach.

A więc zostałem po to wczoraj zwolniony z więzienia, by dziś zostać posłem. Wczoraj przestępca, a dzisiaj „wybraniec narodu”. Wczoraj w więzieniu, a dziś w parlamencie. Dziwny system. A może to dlatego, że, jak mówił Różański w bezpiece: „....jeśli my pana stąd wypuścimy, to będzie to znaczyło, że jest pan czysty jak łąza i może zająć w Polsce każde stanowisko”.

Do tego czasu myślałem, że tylko spowiedź oczyszcza z grzechu. Teraz się okazuje, że więzienie.

Koło południa przysłała wiadomość, że do porozumienia nie doszło i rozeszliśmy się każdy w swoją stronę. Nie powiem, bym się tym zmartwił.

28 lipca 1945.

Zosia, zwolniona wcześniej ode mnie, natychmiast po wyjściu z więzienia odszukała dawnymi drogami Rzepceckiego i ostrzegła go. Dzisiaj ja powtórzyłem te ostrzeżenia. Jan przyszedł na spotkanie z zachowaniem wszystkich ostrożności i pod silną ochroną. To bardzo dobrze, że jest taki ostrożny. Zosia pilnowała kawy, a ja opowiadałem o wszystkim, co bezpieka mówiła na jego temat i podałem te adresy jego lokali, które przy mnie Różański wymienił. Nie przejął się tym za bardzo, widocznie już zostały zlikwidowane. Ostrzegałem, że specjalnie pytają o płk. Radosława. Zapewnił mnie, że jest poza ich zasięgiem. Czyżby



wyjechał zagranicę? To byłoby najlepsze wyjście. Co do siebie zapewnił, że wytrzyma do listopada. Daj Boże!

Jan był na początku słodko-kwaśny, ale pod koniec jakoś się rozpogodził. Te spotkania wypuszczonych z więzienia z tymi, co są jeszcze w podziemiu, odbywają się zawsze w atmosferze pewnego zakłopotania i nieszczerości. Są to już ludzie z dwóch różnych światów, a pomiędzy nimi nowonarosły mur obowiązujących w takich wypadkach środków ostrożności, które znam i rozumiem.

29 lipca 1945.

Jechałem dziś tramwajem i gdy dałem konduktorowi trzy złote, biletu nie otrzymałem, tyle tylko, że mi podziękował ze znaczącym spojrzeniem. A zatem zwyczaj który powstał za okupacji niemieckiej utrzymał się nadal. Trudno o lepszy dowód, że ludność obecny stan uważa za przedłużenie poprzedniego.

30 lipca 1945.

Wszędzie słyszę o fantastycznych wprost manifestacjach na cześć Mikołajczyka, gdziekolwiek się ukazał po przyjeździe z Anglii. Dziesiątki tysięcy ludzi wyszło na place i ulice, w Krakowie, Warszawie, Poznaniu i Katowicach, by go powitać. Nie dziwię się temu wcale. Przecież wszyscy ci ludzie wierzą, że Mikołajczyk przyjechał w porozumieniu z rządem angielskim i amerykańskim, z receptą na uwolnienie Polski od gości ze Wschodu. Poza tym jest to pierwszy przybysz z wymarzonego Zachodu i skutkiem tego zbiera oklaski i owacje, przeznaczone dla naszej armii, floty, lotnictwa, dla Sikorskiego, Andersa i innych. Można mu tego nawet pozazdrościć.

AMNESTIA Z 2 SIERPNIA 1945

3 sierpnia 1945.

Ogłoszono dekret o amnestii, uchwalony przez Radę Ministrów dla upamiętnienia między innymi faktu utworzenia Rządu Jedności Narodowej. Zwraca uwagę, że na wszystkich publikacjach, gdy się mówi o rządzie, to opuszcza się słowo „tymczasowy”. Widocznie chcą przy-

zwyczać ludność do tego, że będzie długo rządził i że nie należy się spodziewać szybkich wyborów.

Jeśli chodzi o amnestię, to ciekaw jestem, jakie da rezultaty. Z dwojga złego lepiej jest z niej skorzystać, niż tkwić beznadziejnie w lasach. Naturalnie powinni to zrobić tylko ci, którzy bez ujawnienia nie mogą wrócić do normalnego życia, chociaż takich jest większość. Jeśli kiedyś ujawnieni będą aresztowani, to w każdym razie zyskają na czasie. Dalsze pozostawanie w wojennym podziemiu nie ma już sensu i celu.

Jakież to jednak upokarzające, że ludzie z podziemia, ci najlepsi z najlepszych, zostali potraktowani jak przestępcy, którym wybacza się zbrodnie walczenia o Polskę. To jest po prostu haniebnie, ale trudno z tego powodu odzierać ostatnią szansę.

ARESztOWANIE Pułk. RADOSłAWA

4 sierpnia 1945.

Radosław aresztowany! Schwytano go parę dni temu, podobno na przystanku EKD (Elektryczne Koleje Dojazdowe). Teraz rozumiem, skąd ten tłum ubeków na kolejce, który widywałem od wielu dni, jeżdżąc codziennie do Warszawy z Podkowy Leśnej, gdzie mieszkamy. Ładnie był „poza ich zasięgiem”! Co Rzepecki miał na myśli, informując mnie w ten sposób? A więc ten najdzielniejszy dowódca z konspiracji i Powstania też za kratą. Bardzo mnie to przygnębia. Widocznie taki już los, że każdy wybitniejszy człowiek z podziemia musi przejść przez tryby maszyny, zwanej bezpieką.

WIZYTA W BEZPIECIE

5 sierpnia 1945.

Byłem dziś w ministerstwie na Brukowej. Wczoraj wieczorem przyjechał do nas, do Leśnej Podkowy, oficer UB z „prośbą” od Różańskiego, by przyjść. Nastawiłem się na czujność, chociaż nie spodziewałem się ponownego aresztowania. Pojechałem od rana na Pragę, ale sporo

czasu upłynęło, nim się dostałem do tej fortecy, oddzielonej od ulicy szlabanami, za którymi stoją warty z pepeszami. Najpierw w budynku naprzeciwno musiałem powiedzieć ubekowi, siedzącemu za przepierzeniem, o co chodzi. Skierował mnie wówczas do budki telefonicznej, skąd zadzwoniłem do Różańskiego. Odezwiał się jakiś nieznanym głosem i powiedział, że będzie wysłana przepustka i żeby poczekać. Usiadłem więc na ławce i zacząłem się rozglądać. Ruch, jak na dworcu, a jedna twarz gorsza od drugiej. Takich jak ja interesantów można policzyć na palcach u jednej ręki. Przychodzą i wychodzą przede wszystkim ubecy w mundurach i w cywilu i niezliczeni agenci. Domyślałem się wśród nich także przyjezdnych z prowincji, którzy też się tutaj muszą meldować, nim przyjdzie rozkaz wpuszczenia ich do wnętrza. Przede wszystkim jednak zajmuje mnie myśl, czego Różański ode mnie chce?

Po pół godzinie dostałem przepustkę. Gdy na nią zerknąłem, spostrzegłem dokładną godzinę i minutę wydania. A więc od tej chwili jestem pod kontrolą i nie mógłbym na przykład pójść na miasto i wrócić za pół godziny. Zapytano by mnie natychmiast, co robiłem od chwili otrzymania przepustki do chwili obecnej. System, jak w zegarku.

Jeden z wartowników przejrzał dokładnie przepustkę i wskazał wejście. Ta sama scena powtórzyła się na schodach, na każdym piętrze. Ależ pilnują! Widać, że mają w pamięci akcje podziemia i boją się ataku na ministerstwo.

Różański dobrze znanym gestem wskazał krzesło i bez słowa zaczął mi się natarczywie przyglądać. Znałem dobrze ten system, więc nie skutkowało. Polega on na tym, że ubek, zamiast rozpocząć badanie, patrzy tylko przez dłuższy czas na więźnia, a potem bez słowa, ot tak, skinieniem ręki odprawia ofiarę, zresztą z reguły tym patrzeniem wytrąconą z równowagi, z powrotem do celi. Nie chciałem poddać się temu systemowi na długo, bo to nudne, więc pierwszy zagadnąłem Różańskiego, o co mu chodzi. Popatrzył jeszcze parę chwil, wreszcie pogrzebał w papierach i wyrzekł krótko:

— Gratuluję panu *Virtuti Militari*.

Tym mnie zupełnie zaskoczył. Wiedziałem wprawdzie, że generał Niedźwiadek-Okulicki nadał mi *Virtuti za robotę radiową*. Ale skąd o tym wie Różański? A poza tym, chyba nie po to tylko wezwał mnie do Bezpieki, by gratulować odznaczenia. W takich niewyraźnych sytuacjach najlepiej milczeć, więc się nie odezwałem. Różański musiał jednak wyczuć moją ciekawość, bo dodał:

— Złapaliśmy archiwum Komendy Głównej i stąd wiemy, że pan dostał ten Krzyż.

Teraz Różański wpadł w przyjacielski ton i powiedział pod adresem mojej działalności jako Kierownika Walki Cywilnej parę komplementów. Nie mogłem się domyśleć, do czego zmierza, więc w dalszym ciągu milczałem. Wreszcie szydło wyszło z worka. Różański zaproponował mi jeszcze raz wydanie odezwy do podziemia, opartej o amnestię z 2 sierpnia 1945, z wezwaniem do ujawnienia się. Odmówiłem kategorycznie, zastrzegając się tym, że nie mam już do tego żadnego prawa, i na tym koniec. Różański był bardzo niezadowolony, ale dalej nie nalegał. Na odchodnym udzielił mi życzliwej rady:

— Niech pan przypadkiem nie bawi się w opozycję, bo jak pan drugi raz tutaj się dostanie, to już pan więcej stąd nie wyjdzie.

POPY W ROGATYWKACH

7 sierpnia 1945.

Dwa dni temu ogłoszono komunikat o odznaczeniu, jeszcze w lutym tego roku, wielkimi Krzyżami *Virtuti Militari* rosyjskich marszałków Żukowa, Koniewa, Rokossovskiego i generała Bułganina. Udekorowano także kilkudziesięciu generałów, między innymi Polynina Fiedora, Strażowskiego Wsiewołoda, Tielnowa Konstantego.

Gdyby ktoś zadał pytanie, dlaczego tylu rosyjskich generałów otrzymało polskie odznaczenia, spotkałaby go niespodzianka, bo dowiedziałby się, że to są nasi, polscy generałowie, chodzący w polskich mundurach i dowodzący polskimi dywizjami. Innymi słowy, rosyjscy oficerowie, odkomenderowani do służby w wojsku polskim w charakterze „pełniących obowiązki Polaków”. Nic tak nie drażni

ludności, jak widok tych „popów”, paradujących w polskich mundurach, ale mówiących po rosyjsku.

Słyszałem na ich temat niezły dowcip. Pytają się w restauracji, przy modnej w obecnych czasach rewizji osobistej gości, nauczyciela szkoły powszechnej skąd ma przy sobie sumę pieniędzy, która znacznie przekracza jego pensję. Odpowiedź:

— Bo dodatkowo zarabiam, ucząc jednego naszego generała mówić po polsku.

Ale źle się stało, że przedwczoraj Mikołajczyk witał na lotnisku Żukowa i Rokossowskiego, którzy przybyli do Warszawy. Premier rządu polskiego z okresu Powstania witał w Warszawie tego marszałka sowieckiego, który odmówił Powstaniu pomocy. Wprawdzie „jeśli wejdiesz między wrony, to krakaj jak i one”, ale lepiej by było, gdyby się jakoś od tego wymówił, czy udał chorobę. Narobiło to w Warszawie dużo złej krwi, a ja się denerwuję, bo wszyscy znajomi z AK do mnie o to przychodzą z pretensją.

ŚMIERĆ JARACZA

12 sierpnia 1945.

W nocy z 10 na 11 umarł w sanatorium w Otwocku Stefan Jaracz. Niepowetowana strata. Zeszedł z tego świata wielki aktor i... wielki pijak. Zresztą pierwszy o wiele lepszy od drugiego. Widziałem go po raz pierwszy w Poznaniu, razem z Osterwą w „Przepióreczce”. Byłem wstrząśnięty i zachwycony. W czasie okupacji niemieckiej Jaracz uratował honor i dobre imię aktorstwa polskiego, propagując bojkot wszystkich niemieckich imprez teatralnych. Gdyby nie on i jego naśladowcy, pozostałaby pamięć tylko o Samborskim, Dymczy i innej hołotce.

SPOTKANIE ZE SPYCHAŁSKIM

28 sierpnia 1945.

Poznałem dziś generała Mariana Spychałskiego. Robi przyjemne wrażenie. Typowy warszawiak w mówieniu i zachowaniu, elegancki i przystojny, prezentuje się

w mundurze doskonale, powiedziałbym, jak prawdziwy generał. Nie hołduje, widać, obecnej modzie, która nie-
dbałość w umundurowaniu uważa za styl rewolucyjny. Na ogół nowoupieczeni pułkownicy i generałowie wyglą-
dają w swoich mundurach jak w pożyczonych. Widać od
razu, że dawniej w nich nie chodzili. A im bardziej przed
wojną mundur był dla kogo niedostępny, tym chętniej
w nim teraz paraduje. Do tego kwitnie wojskowa tytuło-
mania. Każdy wybitniejszy dygnitarz to co najmniej puł-
kownik. Pod tym względem i teraz mamy „rządy pułkow-
ników”, a gdy odrestaurują Hotel Europejski, to może na-
wet doczekamy się „stolika pułkowników”. Przodują „ge-
nerał” Grosz i „pułkownicy” Kliszko, Bieńkowski, Zam-
browski, Chełchowski, Cyrankiewicz i inni.

Pojechałem do Spychalskiego do Włoch, pod War-
szawą, razem z Niecką, Franciszkiem Kamińskim i Kazi-
mierzem Banachem, a więc z Komendą Główną Batalio-
nów Chłopskich (B.Ch.), by omówić sprawę ujawnienia
B.Ch. Doszliśmy do wniosku, że z dwojga złego lepsze
jest ujawnienie, gdyż komuniści mają w swych karto-
tekach prawie całe B.Ch. i grozi szybkie aresztowanie
dziesiątków tysięcy ludzi, do czego w żaden sposób nie
można dopuścić. Postanowiliśmy wykorzystać wyznacze-
nie na dzień 1-szy i 2-gi września Zjazdu Uczestników
Walki Zbrojnej z Niemieckim Najeźdźcą, zgłosić swoje
w nim uczestnictwo i w ten sposób poniekąd zalegalizo-
wać B.Ch., przez co późniejsze ujawnienie nie będzie
miało tak przykrego charakteru.

Spychalski, ucieszony tą propozycją, poszedł nam bar-
dzo na rękę i nawet przyrzekł pomoc przy uwolnieniu już
aresztowanych i deportowanych. A cyfra ich idzie w ty-
siące, szczególnie na terenach po prawym brzegu Wisły.
Musimy zrobić wszystko, by ich wydobyć.

30 sierpnia 1945.

Poznałem pułkowników rodem z Armii Ludowej (AL).
Narbutta i dąbrowszczaka Księżarczyka, koło których krę-
cił się Łętowski, major z AK, obecnie już pułkownik. Są
oni w komitecie Zjazdu i z nimi należało omówić wejście
B.Ch. do Związku Uczestników Walki Zbrojnej.

Łętowski przywitał się ze mną, jakby mnie pierwszy raz w życiu widział, ałowcy zaś uprzejmie i ze stukaniem obcasami. Na Łętowskiego podziałało to w piorunujący sposób. Przypomniał sobie natychmiast dawną znajomość, pytał o panią i w ogóle. Gdy skończyliśmy rozmowę, wyprowadził mnie na korytarz i udzielił dobrej rady:

— Niech pan się, panie Delegacie, nie ubiera tak starannie. Na dzisiejsze czasy najlepsze stare, zniszczone ubranie. Niech pan spojrzy na mój mundur.

I określił się pokazując żołnierski drelach, tyle tylko że z oznakami pułkownika. Wyprowadził mnie tym z równowagi, więc powiedział: „nawet takiego nie jest pan wart”, odwróciłem się na pięcie i wyszedłem.

OJCIEC I SYN

31 sierpnia 1945.

Odjechał do Moskwy świeżo upieczony ambasador Henryk Raabe, rektor Uniwersytetu im. Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. Jakież życie stwarza karkołomne sytuacje! Przecież syn jego, a mój przyjaciel, Leszek, zginął z tych samych rąk, które ojciec będzie w Moskwie ścisłał, zapewniając o swoich i swego kraju przyjaznych uczuciach. Trudno uwierzyć, by taka rzecz mogła się zdarzyć, a jednak się zdarzyła.

GEN. RÓMMEL W HOŁDZIE BIERUTOWI

1 września 1945.

Przyglądałem się dziś jako gość Zjazdowi Uczestników Zbrojnej Walki z Najeźdźcą. Pierwszy raz obejrzałem dobrze Bieruta. Nie ma w tym człowieku nic ponad zwykłą miarę, co by zwracało uwagę. Na oko chodząca przeciętność. Co w nim siedzi w środku, trudno zgadnąć. W każdym razie mówi z ogniem i dużą wprawą. Naturalnie atakował przeszłość i sanację. Był także obecny Gomułka, który, mimo że wysokie czoło powiększone przez łysinę daje mu inteligentniejszy wygląd, też robi wrażenie średniaka, wyniesionego przez wypadki ponad poziom.

Co do premiera Osóbki, to szkoda każdego słowa. On jest powodem, dla którego lansuję powiedzenie, że nadeszła era pisarzy gminnych i nauczycieli ludowych.

Na trybunie zwrócił moją uwagę olbrzym w mundurze pułkownika, z wielką szopą czarnych włosów na głowie. Sąsiad, zapytany kto to, powiedział krótko: „Moczar”. A więc to ten „gołębiarz”, koniokrad i roznosiciel węgla z łódzkich Bałut w jednej osobie. Ten przynajmniej zrobił karierę, w jego skali nie gorszą od Napoleona. Miałem przed sobą człowieka, który osiągnął to, o czym nigdy nawet we śnie nie zamarzył. Tysiące takich, gotowych zamordować ojca i matkę dla utrzymania tego, co zdobyli, tworzy te wierne kohorty pretorianów, na których opiera się nowy system.

W całym zebraniu jakiś obcy styl, jakieś rozchętanie, które pozuje na rewolucyjność. Z mównicy rozlega się jakiś inny język o nieznanych, niesłyszanych dotychczas zwrotach, które jeden mówca zapożycza na poczekaniu od drugiego. Czuje się, że cały ceremoniał i styl są skopiowane z innych, obcych wzorów. Wszyscy przy tym zgrywają się na radość ze zwycięstwa i przewrotu i o ile jest to głośne, o tyle w moich uszach nie brzmi zbyt szczerze.

Przykre wrażenie zrobił hołd, złożony Bierutowi przez generała Rómmela, który powrócił z zagranicy do kraju. Stary, godnie wyglądający Rómmel, w pełnym mundurze generała, z tęczą orderów na piersi, zajmwszy miejsce na mównicy, w uniżonych słowach zwrócił się do Bieruta, witając w nim imieniem wojska polskiego poza granicami kraju i własnym prezydenta nowej, odrodzonej Rzeczypospolitej Polskiej. Niesmak, jaki ogarnął całą salę, wyraził się w skąpych, lekceważących oklaskach.

Ukoronowaniem dnia była dekoracja miasta Warszawy Krzyżem Grunwaldu. Ten wysoki order, ustanowiony przez nową władzę, wygląda na piersi tak, jakby ktoś na niej zawiesił mosiężny kurek od wodociągu. Wybudowano trybunę na Placu Zamkowym, u podstawy zwalonej Kolumny Zygmunta i tam, na tle ruin Zamku Królewskiego i Starówki, wręczył Bierut kurek mosiężny prezydentowi miasta Warszawy, Tołwińskiemu. Nie wiem od kiedy Bierut jest z Warszawą na „ty”, w każdym razie

tykał ją zawzięcie, mówiąc: „Ty niezłomna, Ty niepokonana...” Za dużo poufałości na tak mało znajomości.

MINISTER I PODSŁUCH

2 września 1945.

Rozmawiałem dziś z pewnym ministrem w jego biurze. Gdy wszedłem, położył palec na ustach i nastawił radio na pełny głos. Ładne stosunki, jeśli minister wie, że w jego gabinecie założono podsłuch i nie ma na to rady. Najlepszy dowód, co znaczy dzisiaj w kraju tak zwany rząd niepodległej, suwerennej, demokratycznej Polski Ludowej.

Gdy poszedłem któregoś dnia do Mikołajczyka na Szucha, do domu, gdzie mieszkają ministrowie, przez chwilę mi się zdawało, że znów znalazłem się w gmachu Bezpieki. Ubek w poczekalni przy bramie skontrolował dowód osobisty, później zadzwonił do mieszkania Mikołajczyka, wreszcie wydał przepustkę z zaznaczoną godziną i minutą mego wejścia do budynku. W bramie wartownicy z pepeszami i dom, obsadzony jak forteca. Gdy zadzwoniłem do mieszkania, drzwi mi otworzył ubek z parosobowej osłony wicepremiera, która, oczywiście, nie tyle go pilnuje przed ewentualnym zamachem, ile szpieguje każdy jego krok. W czasie rozmowy ta sama procedura, to jest puszczenie radia, bo w dodatku piętro niżej mieszka Radkiewicz. Po raz drugi zadałem sobie pytanie, czy to jest rząd czy więźniowie?

ODEZWA PŁK. RADOŚŁAWA

9 września 1945.

Radość, jako delegat obszaru centralnego Armii Krajowej, wydał z więzienia odezwę z datą 8 września 1945, wzywającą AK do skorzystania z amnestii z 2-go sierpnia 1945 i do ujawnienia się w terminie do dnia 21 września 1945 przed specjalnymi komisjami, co zapewni każdemu ujawnionemu bezkarność itd. Równocześnie ogłoszono komunikat Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, podpisany przez dyrektora gabinetu płk. Mroz-

ka, o aprobowaniu przez bezpieczeństwo tekstu i warunków tej odezwy.

A więc Radosław uległ presji, czy może nawet torturom i zrobił co od niego żądano. Chociaż nie miał prawa do wydania odezwy i wziął na siebie wielką odpowiedzialność, nie ja będę go potępiał. Widzę coraz jaśniej, że nie ma innej drogi. Przyznać się jednak muszę, że gdzieś w głębi duszy jestem zadowolony, że to nie ja rozciąłem ten gordyjski węzeł.

ZWIĄZEK PRZYSZŁYCH PREMIERÓW

Trwa już od dawna na granicy ruch w obie strony, gdyż jedni wracają z emigracji do kraju, a drudzy uciekają zagranicę. Dowiedziałem się ostatnio, że wyjechał, naturalnie przez zieloną granicę, były dyrektor departamentu Delegatury Rządu, Ygrek, z którego zakpiłem sobie tak niemiłosiernie w czasie Powstania. Może nie powinienem był tego robić, gdyż był to człowiek w gruncie rzeczy bardzo mi życzliwy. Kiedyś w podziemiu, pamiętam, przepowiedział mi wielką przyszłość, mówiąc dosłownie: „Zdaje sobie sprawę, że rozmawiam w tej chwili z przyszłym polskim premierem”. Gdy to powtórzyłem memu przyjacielowi z Delegatury, M., ten się tylko roześmiał: „Mnie powiedział to samo”. W jakiś czas potem spotkałem ministra B. z Krajowej Rady Ministrów, znanego z tego, że nie znoślił Ygreka. Ni stąd ni zowąd zaczął mówić na jego temat i, ku memu zdziwieniu, całkiem odmiennie, niż dotychczas: „Wiecie co, Zieliński, ten Ygrek to całkiem niegłupi człowiek...” Spojrzałem na niego podejrzliwie i zapytałem: „A nie powiedział wam przypadkiem, że widzi w was przyszłego premiera?” B. z lekka się zarumienił i odpowiedział pytaniem: „Czy wam to Ygrek powtórzył?” Roześmiałem się: „Nie, tylko on to już przepowiedział paru osobom, które wobec tego mają zamiar założyć Związek Przyszłych Premierów. Może byście do niego przystąpili?” Rumieniec na twarzy B. zamienił się w purpurę i z ust wydobyły się tylko trzy słowa: „A to świnia!”

SPOTKANIE Z ENKAWUDYSTĄ

16 września 1945.

Szedłem z Zosią Alejami Jerozolimskimi, gdy przed „Polonią” ktoś za plecami powiedział: „Dzień dobry państwu”. Obejrzeliliśmy się równocześnie i stanęliśmy twarzą w twarz z... młodym enkawudystą, który nas aresztował w czerwcu w Krakowie. Wysoki blondyn w mundurze kapitana NKWD pytał po polsku z uśmiechem:

— Jak się państwu powodzi, jak się czujecie? Wyglądacie doskonale!

Już taka natura ludzka, że odwzajemniliśmy się uśmiechem i uprzejmym:

— Dziękujemy panu, a co u pana słychać?

Niemniej zarumieniliśmy się z niespodzianki i przykrości. Co sobie ludzie pomyślą, widząc nas, rozmawiających z enkawudystą. Młody blondyn przybliżył swoją twarz do mojej i szepnął z naciskiem:

— Dam panu jedną dobrą radę... Niech pan rzuci tę politykę, do której pan powrócił, bo to pewna zguba.

Zasalutował i odszedł. To już drugie, po Różańskim, ostrzeżenie. Niewesoła stąd wróżba na przyszłość.

GEN. EISENHOWER W WARSZAWIE

22 września 1945.

Wczoraj generał Eisenhower ze swoim szefem sztabu, generałem Bedell Smith'em, oglądali Warszawę, oprowadzani przez Spychalskiego. Wizytę jego prasa przemilczała, bo słusznie spryciarze przewidzieli, że przysłaby go powitać cała Warszawa i wynikłaby z tego wielka pro-aliancka manifestacja. Toteż jego przyjazd został starannie zakonspirowany.

Podobno Eisenhower wybuchał co chwila okrzykami zdumienia nad rozmiarami zniszczeń, jakich dotąd nie widział, szczególnie na Rynku Starego Miasta, który pod usypiskiem gruzów zmalał do rozmiarów warszawskiego podwórka. Honor Warszawy uratowali gazeciarze, którzy rozpoznali Eisenhowera i urządzili mu piskliwą owację.

Popołudniu, w Belwederze, Bierut udekorował gościa kurkiem mosiężnym pierwszej klasy i Eisenhower tego samego dnia odleciał.

Słyszałem wiele pochwał o jego tłumaczu, oficerze marynarki amerykańskiej, Williamie Tonesku, który z miejsca tłumaczył zdanie po zdaniu angielskie przemówienie Eisenhowera na polski i polskie Bieruta na angielski. Znam go zresztą osobiście, gdyż spotkałem go kiedyś u znajomego w Hotelu Polonia, który nie jest zniszczony i stał się główną kwaterą przybyszów z Zachodu. Patrzyłem na niego z tą ciekawością, z jaką się patrzy na ludzi z innej planety. Młody, przystojny oficer, w zgrabnym mundurze marynarskim, mówiący doskonale po polsku, był pierwszym przedstawicielem legendarnej Polonii Amerykańskiej, jakiego spotkałem w moim życiu. To już nie paczki ze wszystkim, czego nam brakuje, a żywy człowiek, widomy znak pokrewieństwa z „wujkami i ciotkami” zza Oceanu. Zresztą wszyscy Amerykanie polskiego pochodzenia z ambasady amerykańskiej są przedmiotem podziwu i adoracji całej ludności. Gdziekolwiek się ukażą, tłumy otaczają ich auta, klą nową rządzą, informują o wszystkim, zapraszają i pytają, kiedy Amerykanie przyjdą do Polski.

ZWOLNIENIE RADOSŁAWA

23 września 1945.

Dowiedziałem się, że płk. Radosław został zwolniony i urzęduje w Komisji Likwidacyjnej Armii Krajowej, w gmachu Banku Gospodarstwa Krajowego, więc poszedłem go odwiedzić. Gdy wziąłem w objęcia bladego, średniego wzrostu mężczyznę ze śladami ospy na twarzy, zauważyłem, że zmizerniał i wychudł. To samo rówieśnik Radosława, blisko 50-letni płk. Wolański-Gorazdowski. Dawniej się mówiło na powitanie: „O, jaki pan opalony, widać, że wrócił pan z wakacji!” Dzisiaj, patrząc na tak zwaną więzienną cerę i zgadując, ile miesięcy nie widziała słońca, pyta się: „A ile pan siedział?” Otrzymawszy od Radosława odpowiedź na to „dzień dobry”, rozejrzałem się po pokoju. Parę biurka, zawalonych papierami, a za nimi kilku młodych chłopców i kilka dziewcz-

czął. Po twarzach widzę, że to AK i Kedyw. Ale nie ludzie, lecz ściany pokoju przykuły moją uwagę. Jak wysoko oko mogło sięgnąć, wisiały na nich fotografie chłopców i dziewcząt, a pod nimi, na paskach papieru, nazwiska i stereotypowe objaśnienia w rodzaju: „Zaginął, ostatni raz widziany dnia... gdy padł ranny na Cmentarzu Ewangielickim... Rodzice poszukują i proszą o każdą wiadomość...”. Także Zosia miała w rodzinie zaginionego, Janusza Kwiecińskiego, ciotecznego brata, oficera z Kedywu, toteż ze smutnym zainteresowaniem wodziłem oczyma po rzędach młodych twarzy. Nieomal dziecinne oczy patrzyły na mnie z każdego zdjęcia. Rzadko jakaś twarz mówiła o zbliżającej się trzydziestce. Jasne włosy, czyste spojrzenia, kwiat warszawskiej młodzieży, którą się teraz wydobywa spod gruzów, z każdego placu, zamienionego na cmentarz w czasie Powstania, z każdego ulicznego skweru i podwórzowych klombów. Stojący za mną Radosław objaśniał:

— Mam tutaj coś w rodzaju biura poszukiwań zaginionych. Robimy dokładne ich spisy, badamy świadków, którzy by mogli dać jakieś wskazówki, szukamy gdzie się da. Organizujemy kontakty z rodzicami, a nawet pomagamy w tworzeniu komitetów rodzicielskich, które zajmą się poszukiwaniami i ekshumacją.

Słuchałem ze smutkiem, wiedząc dobrze, że tysiące matek i ojców przemierza każdego dnia wszelkie zakątki Warszawy, szukając zaginionych dzieci. I nie tylko Warszawy, bo nawet objeżdżają całą Polskę w poszukiwaniu towarzyszy zaginionego, by od nich dostać jakiś ślad. Miałem sam wiele przygnębiających spotkań z tymi nieszczęśliwcami, którzy nieraz odnalezienie zwłok stawiali sobie za ostatni cel życia. Jedną rzecz zawsze mnie zastanawiała w czasie tych spotkań: ci najbardziej poszkodowani nigdy nie krytykowali Powstania i nigdy nie narzekali, że właśnie ich dziecko zginęło. Wszystko, czego pragnęli, to znaleźć ciało, by rozłożyć opiekę nad tym, co z największej miłości ich życia pozostało jeszcze na ziemi.

Niespodziewanie wszedł major Czaplicki z bezpieki, referent spraw AK w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego, z tej racji a także z powodu żydowskiego pochodzenia przezwany „Akowerem”, zresztą znany mi

z okresu, gdy byłem „klientem” bezpieki, to jest w więzieniu. Przywitał mnie jak starego znajomego i pograżył się w rozmowie z Radosławem. Mogłem z niej wnioskować, że już ujawniło się parę tysięcy ludzi i że akcja trwa. Ale z drugiej strony Czaplicki twierdził, że oporni zabijają tych, co się ujawniają i że w ten sposób zginął w Końskich major Wir-Czerwiński.

W czasie tej rozmowy otworzyły się drzwi i weszło trzech wyniszczonych mężczyzn w średnim wieku, nadzwyczaj nędźnie ubranych, z trepkami drewnianymi na bosych nogach. Z cyklistówkami w ręku powitali Radosława, jak podwładni dowódcę i pierwszy z nich, blade, wyglodzony brunet, zameldował, że drukarnia jest gotowa do zdania. Zrozumiałem, że to zecerzy ujawniają tajną drukarnię. Radosław podziękował i głośno się zastanowił:

— Ale jak przewieźć taki ciężar do Urzędu Bezpieczeństwa?

Na to Czaplicki:

— Proszę tylko o adres, a my wyślemy tam naszych ludzi i ciężarówkę.

Z oczu bladego bruneta strzeliły błyskawice. Zwrócił się wprost do Czaplickiego:

— Już wy tam swoje brudne łapy trzymajcie od tego z daleka. Dajcie ciężarówkę, a my sami wszystko załadujemy. Pracowaliśmy na drukarni pięć lat, to i sami ją teraz odwieziemy na ten wasz cmentarz.

Odciągnąłem na bok wściekłego Czaplickiego i zagadnąłem o coś, by nie dać mu dojść do myśli i słowa, a Radosław pośpiesznie wyprawił rozjątrzonych zecerów za drzwi.

A to zacięte sztuki! Nigdy nie słyszałem, by ktoś tak potraktował majora wszechwładnej bezpieki.

Gdy Czaplicki wyszedł, zapytałem wprost Radosława, czym go zmuszono do wydania odezw. Rozłożył ręce:

— Tylko argumentami. Wiecie, że nie jestem zbyt strachliwy ani dbały o swoje życie. Przekonali mnie, że to jedyny sposób uratowania ludzi przed więzieniem. Wszystko wiedzą.

COLOSSEUM W WOKLAU

24 września 1943.

Czytałem parę dni temu, że w Woklau na Śląsku, koło Lignicy, w niemieckim obozie koncentracyjnym szubienica stała na placu, otoczonym z trzech stron trybunami, na których regularnie zasiadała ludność tego miasteczka i przyglądała się wieszaniu.

Jak w świetle tego wyglądają tłumaczenia Niemców, że nie wiedzieli, co się w obozach dzieje? Ten tłum niemiecki, przyglądający się wieszaniu niewinnych ludzi, ot tak, z czystej ciekawości, to chyba objaw nie gorszego zwyrodnienia, niż tracenie w Buchenwaldzie ludzi tylko z tego powodu, że mieli tatuaż na skórze, bo abażury z niej są ładniejsze.

5 października 1945.

Wczoraj rozpoczął się proces Lawała w Paryżu. Pewno go spotka ten sam los, co Quislinga i Pétaina, których skazano na śmierć. A nas jaka nagroda spotkała za to, że „Polska Quislinga nie wydała”? Gruzy Warszawy, cmentarz pod Monte Cassino i dowcip, że na pokazie skoków spadochronowych w Anglii Polacy skoczyli bez spadochronów, by zaimponować obcym. Ten dowcip daje mi dużo do myślenia. Gdybyśmy, na przykład, w naszej polityce częściej używali spadochronów, może wszystko wyglądałoby nieco inaczej.

Ale muszę przerwać, bo złośliwy chochlik podszeptuje: a może ty sam też skakałeś bez spadochronu?

UJAWNIEŃIE A.K. W MIŃSKU MAZOWIECKIM

12 października 1945.

Główna Komisja Likwidacyjna AK ogłosiła komunikat o ujawnieniu się 9.450 żołnierzy i oficerów AK. Ta cyfra to prawie dywizja piechoty. Niestety, ta akcja odbywa się przy akompaniamencie procesów, zorganizowanych przez bezpiekę, w których 1 października skazano w Łodzi na śmierć pięć osób z Narodowych Sił Zbroj-

nych (NSZ), a 4 października w Warszawie — pięć osób z AK. Rozumiem, że te procesy są obliczone na przyspieszenie akcji ujawniania, którego termin zresztą przedłużono do 15 października. Mówią one każdemu: „patrz, co cię czeka, jeśli pozostaniesz w podziemiu. Śmierć, nic więcej”.

Nękany myślą, że przecież do tych ludzi, siedzących od dawna w więzieniu, amnestia także powinna mieć zastosowanie, wybrałem się do Radosława. Trzeba trafu, że gdy zbliżałem się do Banku Gospodarstwa Krajowego, podjechało otwarte auto, a w nim Radosław i Akower-Czaplicki. Auto było dosłownie zawałone bukietami kwiatów, toteż, szczerze zdziwiony, najpierw zapytałem:

— Skąd te kwiaty? Czy wracacie z majówki?

Radosław otrząpał ubranie i zaczął opowiadać, zaś Czaplicki słuchał i potakiwał:

— Byliśmy na ujawnieniu w Mińsku Mazowieckim. Nigdy nie przeżyłem podobnie wzruszających chwil. Wyobraźcie sobie, ołtarz polowy ustawiony na rynku, naokoło w czworoboku wszystkie okoliczne oddziały AK w pełnym rynsztunku, a za nimi cała ludność miasta i sąsiednich wsi. W czasie mszy „Boże coś Polskę” i piękne patriotyczne kazanie, potem defilada przede mną. „Jeszcze Polska nie zginęła” i składanie broni. Trwało to pół dnia. Sklepy samorzutnie pozamykane, ludzie odświętnie ubrani — słowem, spontaniczna narodowa uroczystość... Przyznać muszę nieraz miałem łzy w oczach, a i major — tu zwrócił się do Czaplickiego — też był przejęty tym, co widział.

Czaplicki potwierdził:

— Tak, to była bardzo piękna uroczystość. A potem te kwiaty, co dali pułkownikowi, powkładali nam do auta.

W czasie opowiadania Radosław miał w oczach smutek, ale twarz rozjaśnioną tym wewnętrznym światłem, jakie pozostawia każde piękne przeżycie. Czaplicki zaś unikał mego spojrzenia i był jakiś ponury czy zadumany. Pomyślałem sobie: „I w tobie ubeku, obudziło się sumienie. Pewno się wstydzisz roli, jaką w tej sprawie odgrywasz”.

Wieczorem, siłąc się na zimną analizę, zastanawiałem się nad istotnym sensem uroczystości w Mińsku. Niewątpliwie jeszcze jedno ogniwo w łańcuchu wydarzeń, które

się składają na tragedię AK. Zamiast defilady zwycięstwa, defilada kapitulacji. Zamiast „prezentuj broń”, „złóż broń. Zamiast żołnierskiej radości, upokorzenie rejestracji w UB.

Ale z tego, co mówił Radosław, widać, że w Mińsku nie panowała atmosfera pogrzebu. Przeciwnie, Mińsk, żegnając swoje AK, może łykał łzy, może tłumił łkanie, ale robił to z podniesioną głową i wyzwaniem w oczach. Co to znaczyło? Odpowiedź jest tylko jedna: Mińsk chciał pokazać, że choć chwilowo pokonani, nie jesteśmy zwyciężeni i że „nie zginęła, póki my żyjemy”.

I wróciłem wspomnieniami do Warszawy, do ulicy Śniadeckich, w dniu 6 października 1944 roku i do ustawionych na niej głębokich szeregów AK, idących po Powstaniu do niewoli. I tak jak w Mińsku rozległ się wówczas głos komendy i zabrzmiało: „Jeszcze Polska nie zginęła”...

Mińsk w październiku 1945 i Warszawa w październiku 1944 podały sobie ręce.

SERCE CHOPINA

18 października 1945.

Okazuje się, że serce Chopina zostało wyjęte z kolumny w kościele Św. Krzyża w Warszawie, który był placem boju w czasie Powstania, i ukryte przez ks. biskupa Szlagowskiego w Milanówku, skąd je później przewieziono do Żelazowej Woli. Obecnie zostało umieszczone na dawnym miejscu.

A więc serce Chopina wróciło do Warszawy, tak jak wrócił pomnik Kilińskiego i jak wróci na dawne miejsce zwalona Kolumna Zygmunta. Warszawa bez nich, to tak jak posąg bez głowy. Ale czy serce Warszawy wróci i będzie biło jak dawniej?

ZYWI I UMARLI

26 października 1945.

Wracają także ludzie do Warszawy. Jedni żywi, drudzy umarli. Ci, którzy po Powstaniu rozbiegli się po ca-

łym kraju, wracają do gruzów rodzinnego miasta, miłszych im od pięknych, całych miasteczek na zachodzie. Ci umarli każdego dnia przypominają o sobie. Ekshumacje są w pełnym toku i znaleziono w Alei Szucha 12/14 niemieckie krematorium i prochy po spaleniu kilkudziesięciu tysięcy ludzi.

Zawsze mi się wydawało, że powiedzenie „ziemia użyźniona prochami” brzmi nierealnie i zbyt patetycznie. Rzeczywistość przekonywuje mnie każdego dnia, że jest to jedno z najbardziej prawdziwych powiedzeń, które weszło już do naszego codziennego języka.

ŚMIERĆ I POGRZEB WINCENTEGO WITOSA

31 października 1945.

Dziś przyszła do Warszawy depesza o śmierci Witosa. Umarł o 6.30 rano, w szpitalu Ojców Bonifratów w Krakowie. Chociaż byłem na taką wiadomość przygotowany, ale jak przyszła zrobiła duże wrażenie. Zawsze w życiu tak bywa. Wiadomo, że coś ma nadejść nieodwołalnie i człowiek z góry uodpornia się na tę chwilę, ale gdy nadejdzie, wszystkie poduszki, jakimi się poobkładał, nie chronią od wstrząsu. Przyzwyczailem się od wielu lat patrzeć na Witosa nie tylko jako na głowę Stronnictwa Ludowego, ale także jako na jedną z najwybitniejszych postaci naszego życia publicznego, poza tym interesował mnie jako człowiek i jedyne w swoim rodzaju w Polsce zjawisko. Bosonogi młody drwał, spieszący o świcie po mokrej rosie do lasów księcia Sanguszki, z czasem trzykrotny premier rządu Rzeczypospolitej Polskiej. Pierwszy chłop na tym stanowisku. Było w tej karierze coś niezwykłego, coś z awantury wcale nie gorszej od zdobycia bieguna, czy ustanowienia światowego rekordu. Jaka siła wyniosła Witosa na tak zawrotną dla niego wysokość? Czy może ciśnienie mas chłopskich, pchających się do życia i władzy, czy też własne jego wybitne ja, które te masy nieraz urabiało i pchało w obranym przez niego kierunku? Prawda z pewnością leży pośrodku, w połączeniu obu tych czynników.

W każdym razie mam świadomość tego, że zeszedł

ze świata jeden z ostatnich ludzi, którzy kształtowali historię lat niepodległych, w dodatku opuścił nas w momencie, kiedy znaleźliśmy się w zażartej walce z nową siłą, jakiej Polska uległa.

Nadpłynęły wspomnienia. Obraz za obrazem, jedno zdarzenie za drugim. Witosą znałem mało. Przed jego powrotem w roku 1938 z emigracji, z Czech, widywałem go od czasu do czasu w domu mego ciotecznego brata, dr. Zygmunta Gralińskiego, dawniej posła z „Wyzwolenia”, z którym razem w tych czasach mieszkalem. Spotykamie Witosą i innych wybitnych polityków ułatwiał poniekąd fakt, że w domu abstynenta Gralińskiego pełniłem funkcje jak gdyby podczaszego i stąd pamiętam, że Witos nie gardził kieliszkiem dobrej wiśniówki, aczkolwiek na tym polu niczym wybitnym się nie odznaczał i taki na przykład Niedziałkowski bił go na łeb na szyję. Nie zajmowałem wówczas w hierarchii partyjnej Stronnictwa Ludowego takiego stanowiska, które by mnie zbliżało do jego głowy — Witosą, toteż dając pilne baczenie na kieliszki, byłem raczej tylko uważnym słuchaczem tego, co mówił. Uderzył mnie wówczas spokojny rozum i wewnętrzna powaga tego człowieka. Odnosiłem się do niego z dużą atencją, której nie mogła w żaden sposób zrozumieć nasza służąca Janinka, dziewczyna świeżo przybyła ze wsi, która na ten temat wypowiadała, a ściślej mówiąc wymrukiwała pod nosem, dość sarkastyczne uwagi. Gdy jej tłumaczyłem, że Witos to były premier, czyli kierownik rządu, czyli główna osoba, która rządziła Polską, także jej, Janinki, powiatem, gminą, wsią oraz nią samą, — Janinka wzruszała ramionami i na wszystko miała tylko jedną odpowiedź:

— Ale przecie to jest zwyczajny chłop.

Gdy podawała Witosowi półmisek, zezowała nieco w jego stronę i w ruchach jej można było zauważyć pewien odcień lekceważenia. Na szczęście spostrzegali to tylko wtajemniczeni. Przyniosła ona z jakiejś zabitej deskami wsi wyraźny podział ludzi na trzy kategorie i w początkach pobytu w naszym domu dawała temu wyraz, anonsując gości nie z nazwisk, a z jej własnego przydziału do odpowiedniej grupy społecznej:

— „Przyszedł jakiś pan... przyszedł jakiś chłop...” lub „przyszedł jakiś Żyd...” W ten sposób oznajmiła kiedyś

przybycie wybitnego ekonomisty, profesora Tennenbauma. Cóż robić! Janinka, nie zdając sobie sprawy z tego, chorowała na jedną z licznych odmian tak zwanego „kompleksu pańszczyźnianego”, według którego władza należała do panów, a praca do chłopów. Witos, który zwalczał tę popularną chorobę wsi polskiej, dążąc zaciekle do równouprawnienia chłopów w życiu publicznym, sam zresztą nie był wolny od jej niektórych objawów.

A oto Witos na ławie oskarżonych, w niesławnej pamięci procesie brzeskim. Będąc sam adwokatem w Warszawie, przesiadywałem godzinami na sali sądowej, chłonąc z wrażliwością lat młodych wszystko, co się dookoła działo. Nie pokazałem się tylko w czasie badania policjantów z powiatu miechowskiego, by nie być przez nich rozpoznany. Towarzyszyłem bowiem Kazimierzowi Bagińskiemu, gdy prowadził dwa tysiące chłopów z tego powiatu na Kongres Centrolewu w Krakowie i razem przekroczyliśmy kordon policji z bagnietami na karabinach, która zastąpiła pochodowi drogę, za co Bagińskiego pociągnięto do odpowiedzialności właśnie w tym procesie.

Na ławie oskarżonych znane i wybitne postacie z Heraszem (jak mówił akt oskarżenia) Liebermannem na czele, a obok niego Witos. Na ławie obrońców kwiat polskiej palestry, z Leonem Berensonem na pierwszym miejscu. Na sali dużo znajomych, zasłuchanych twarzy i atmosfera zrozumienia tego, co się na niej rozgrywa. Przysłuchując się procesowi, wyraźnie odczuwałem nie tylko tę krzywdę, jaka spotkała oskarżonych, ale także tę, jaką wyrządzono krajowi czy historii polskiej. Rzuciło się w oczy, że Witos odgrodził się od sądu i natarczywych prokuratorów Grabowskiego i Rauzego jakimś niewidzialnym murem. Mówił do nich z wyraźnego dystansu, z wysoka, z wielką naturalną godnością własną. Nie raz w pytaniach sędziów wyczuwało się zażenowanie. Końcowe przemówienie Witos'a było skończonym majstersztykiem. Pozbawione jakichkolwiek zwrotów retorycznych, bez zbędnych słów, uderzało prawdą i trafnością ocen. Widać było, że mówił prawdziwy mąż stanu.

Gdy w roku 1938 Witos wrócił z Czech do kraju, sytuacja moja w Stronnictwie Ludowym była już odmienna. W międzyczasie zostałem wybrany jego prezesem na

Województwo Białostockie, a więc posunąłem się znacznie w górę po drabinie partyjnej. Witos, mimo że już chory i z trzęsącą się ręką, objeżdżał każde Województwo i ja go również zawiozłem autem do Białegostoku na zjazd działaczy stronnictwa. Dziwne było to pierwsze zetknięcie się delegatów chłopskich z nieobecny przez kilka lat przywódcą, którego nazwisko na wsi stało się już legendą. Nie wiadomo dlaczego, chłopci ustawili się na niewielkim podwórzu w dwuszerę. Gdy Witos wyszedł z auta, chłopci zdjęli czapki. Witos zdjął także swoją i ruszył wzdłuż dwuszerę. Nie padł żaden okrzyk, cisza jak makiem zasiał. Witos wzruszony, z lekkim uśmiechem mijając stojących, patrząc im w twarze zwilgotniałymi oczyma. Chłopci stali bez ruchu i słowa, wpatrzeni w niego jak w obraz. W tym spojrzeniu mógł wyczytać wszystko: żal, że się postarzał i jest chory, skargę że jest bieda, zmęczenie pracą i opozycją, słowem całą tę gamę uczuć, które rodziła w Polsce przedwojennej niewesoła chłopska dola. Szedłem za Witosem zażenowany tą ciszą, która wyrażnie ciążyła na spotkaniu. Gdy skończył ten przegląd, stanął, chciał coś powiedzieć, wreszcie odwrócił się i bez słowa wszedł na salę, a chłopci za nim. To milczące powitanie popularnego przywódcy tak odbiegało od zwyczajowych polskich okrzyków i wiwatów, a jednocześnie tyle w sobie miało niewypowiedzianych uczuć, że pozostało w mej pamięci do dziś dnia.

W czasie zebrania Witos coraz to zadawał mi pytania o poszczególnych delegatów. A to jak się nazywa, a skąd pochodzi i tym podobne. Odpowiadałem jak umiałem, nie wahając się mówić „nie wiem”, gdy nie znałem nazwiska któregośkolwiek z osiemdziesięciu obecnych. Uderzyła mnie ilość tych pytań i pewna w nich natarczywość. Powód ich wyjaśnił mi sam Witos w czasie krótkiej przekąski przed powrotem do Warszawy, mówiąc z uśmiechem:

— Jak na człowieka, który stale mieszka w Warszawie, znacie mecenasie dość dobrze swoich terenowych działaczy.

Okazało się, że Witos po prostu i zwyczajnie egzaminował mnie, by się przekonać, czy postarałem się poznać tych ludzi, którzy wybrali mnie swoim prezesem.

Druga pochwała, jaka mnie spotkała z jego ust, miała już wartość dość problematyczną. Witos, omawiając na posiedzeniu Naczelnego Komitetu Wykonawczego Stronnictwa Ludowego wrażenia swoje z objazdu ośrodków stronnictwa w całej Polsce, gdy doszedł do Województwa Białostockiego, powiedział dosłownie:

„Województwo to było zawsze słabe i tylko trochę się w nim poprawiło, ale muszę powiedzieć na jego pochwałę, że jest to jedyne województwo, w którym nikt nie próbował wprowadzić mnie w błąd”.

Obecni przygryźli wargi i pospuszczali oczy. Widocznie w słowach Witosy było żdźbło prawdy.

Witos nie lubił socjalistów. Trudno mi powiedzieć czy doktrynę, czy przywódców. Liczył się z PPS, znając popularność wśród chłopów hasła współpracy chłopsko-robotniczej, ale od czasu do czasu urządzał demonstrację swej niechęci. Stałem się kiedyś biernym uczestnikiem takiego pokazu.

Na krótko przed wybuchem wojny, Zygmunt Graliński zawiadomił mnie nieco zdziwiony, że u niego w mieszkaniu odbędzie się spotkanie Witosy, Rataja i jego z Pużakiem, Niedziałkowskim i jeszcze innymi wybitnymi socjalistami i że prezes Witos życzy sobie, żebym na nie przyszedł. Byłem również zaskoczony tym zaproszeniem, które wyglądało na pewne wyróżnienie. Zjawiłem się punktualnie i z nabożeństwem ścisnąłem dłonie przybywających kolejno uczestników zebrania. Gdy już wszyscy byli obecni, Witos przeprosił zebranych i wzięwszy mnie pod rękę, wyprowadził na balkon. Tam, przez blisko pół godziny wypytywał mnie o jakieś nieważne organizacyjne sprawy. Udzielając stereotypowych odpowiedzi na tematy dobrze mu znane, zachodziłem w głowę, jak Witos mógł sobie wybrać na rozmowę ze mną taką chwilę, kiedy parę wybitnych osób czeka na niego w sąsiednim pokoju. Po pół godzinie podziękował mi grzecznie za „wartościowe opinie” i wróciliśmy do bladych z obrazy uczestników zebrania. Pożegnawszy się, wyszedłem natychmiast.

Wieczorem, przy kolacji, zapytałem Zygmunta, co miał znaczyć cały ten incydent. Wyjaśnienie było bardzo charakterystyczne dla taktyki Witosy:

— Urządził sobie rozmowę z tobą na balkonie, by

pokazać socjalistom, że nie przywiązuje zbytnej wagi ani do ich osób, ani do rozmowy z nimi.

Tak to raz w życiu stałem się „narzędziem w rękę Witosą”, mówiąc stylem przedwojennej „Gazety Polskiej”. A może więcej razy?

Dość jednak wspomnień! Śmierć Witosy w takiej chwili jest dla nas i dla kraju ciężkim ciosem. Jego miejsce zajmie Mikołajczyk. Z jakim skutkiem?

3 listopad 1945.

Dziś rozlepiono klepsydry i ogłoszono nekrologi z podpisem Bieruta, które mówią, że Witos był wiceprezydentem Krajowej Rady Narodowej. W istocie był nim i nie był, bo chociaż nominacji nie odrzucił, ale też nie dokonał żadnego aktu w tym charakterze. Sytuacja dość niejasna. Czym się Witos kierował, nie zajmując wyraźnego stanowiska? Może po prostu był ciężko chory? Trzeba to będzie w przyszłości zbadać.

4 listopad 1945.

Od czasu pogrzebu Piłsudskiego Kraków nie widział takich tłumów i takiej powszechnej żałoby. Ze szpitala przeniesiono zwłoki Witosy do kościoła Najświętszej Panny Marii w Rynku. W olbrzymim pochodzie wojsko, szkoły, bractwa, cechy, zakony, księża w czarnych ornatach i białych komżach, a ponad nimi rozwiane chorągwie i krzyże. Ta rzeka przepływa przez wielotysięczną, zbitą, milczącą masę ludzi, wpatrzoną w przesuwającą się wolno ponad głowami trumnę. W tłumie słychać płacz, zagłuszany przez wstrząsający żałobny śpiew, który mnie zawsze przyprawia o dreszcz, i głos bijących na trwogę dzwonów, niesiony na skrzydłach spłoszonych, krążących gołębi. Za tłumem stoją nieruchomymi rzędami piękne historyczne budynki Krakowa, zapadłe w zadumę. Widziały wiele pogrzebów królów, ale po raz pierwszy widzą pogrzeb chłopskiego drwala i nie mogą przyjść do siebie ze zdumienia.

Ulegam nastrojowi żałoby, która ogarnęła o tej godzinie cały Kraków, przepaja każdy jego kamień i przenika do każdego zakątka każdej duszy ludzkiej. Ale wrodzony sceptycyzm podszeptuje krytyczne uwagi:

„Skąd ta powszechna żaloba? Przecież popularność Witosą wiązała się ze wsią, skąd więc te tysiączne miejskie tłumy, nie raz w przeszłości wrogie wobec niego?”

Odpowiedź przyszła, gdy po mszy trumnę wyniesiono na Rynek. Tam na mównicę, ustawioną na wspaniałym tle Sukiennic i kościoła Mariackiego, wszedł ubrany na czarno Bolesław Bierut, by pożegnać prochy Zmarłego.

Na historyczny rynek krakowski, który tyle przeżył w swoim istnieniu, spadła martwa cisza. Każdy na Rynku pojął dramat tego widowiska. Oto byłego premiera tego rządu, który w 1920 roku odparł najazd bolszewicki na Polskę, żegna agent sowiecki, którego nowy najazd osadził w Polsce i nazwał jej prezydentem.

Z tłumu buchnęła nienawiść jak płomień. Niewypowiedziana żadnym gestem, żadnym okrzykiem, a bijąca w Bieruta spotęgowaną ciszą, wśród której rozlegały się głucho jego obłudne frazesy.

Teraz zrozumiałem, że Kraków żegnał w Witosie szlochami i żalobą przeszłość, dwadzieścia lat niepodległości, z którą nazwisko jego łączyło się nierozzerwalnie. Tłum przenikała jedna myśl: Witos w grobie, Bierut na mównicy. Symbol zmiany, którą każdy w tej chwili odczuwał w całej jej wadze.

Po przemówieniach naszych przedstawicieli, uformował się olbrzymi pochód i poszedł w kierunku Wisły. Tutaj, przy moście, Bierut złożył kondolencje córce Witosy, Małsiowej, i odjechał ze świtą. Z tysiącznych piersi wyrwało się westchnienie ulgi. Atmosfera oczwiciła się, jak po burzy. Ze zmarłym zostali sami swoi. Trumna, złożona na zwyczajnym chłopskim wozie i otoczona konnymi banderami Krakusów, ruszyła w ostatnią podróż Witosy do jego rodzinnych stron.

6 listopad 1945.

Jestem w Wierchosławicach i rozglądam się ciekawie po wsi, która wydała Witosy. Zabudowania porządne, wygląda zamożnie. Myślę o Witosie. Tu wyrósł, dotąd zawsze wracał. Do tej wsi i ziemi, której miał około dwudziestu morgów, tęsknił tak bardzo na wygnaniu w Czechosłowacji. Przywieźli go tutaj na chłopskim wo-

zie. To taki sam symbol, jak spinka pod szyją, na której Witos nigdy nie zawiązał krawatu. Nie mogłem się powstrzymać od tego, by na nią nie zerkać, gdy go spotykałem. W tej spince wyrażała się określona myśl polityczna, granicząca nawet z urazem. Witos był przesadnie wrażliwy na to, by go chłopci nie posadzili, że wysokie godności zabrały go z ich środowiska, że „spaniał”. Spinka w kołnierzu koszuli miała podkreślać, że wciąż należy do nich.

Pochód szedł z Krakowa trzy dni i przebył osiemdziesiąt osiem kilometrów. Prowadzili go od parafii do parafii miejscowi księża. Wszędzie wzdłuż drogi tysiące chłopów, stojących z gołymi głowami na przenikliwym zimnie w żałobnym skupieniu, wszędzie bramy triumfalne, banderie konne, delegacje, sztandary, kwiaty, szpalery młodzieży, bicie dzwonów i żałobny śpiew. Wieńce przywieźli na czterech drabiniastych wozach. W Bochni, na Rynku, wielka manifestacja całej okolicznej ludności. Trumna otoczona góralami i krakusami. To samo w Brzesku i Wojniczu. Do Wierchosławic dotarł pochód długi na kilka kilometrów.

Dziś tutaj zebrało się około stu tysięcy chłopów. Od czasów manifestacji w Nowosielcach nigdy ich tylu nie zgromadziło się razem. Jest zimno i pochmurno, ale deszcz nie pada. Okoliczne błonia, pastwiska, drogi i podwórza zapchane wozami i ciężarówkami. W studniach zabrakło wody. Ścisk wszędzie nieopisany. Jest około siedemdziesięciu księży. Z Warszawy przybyli premier Osóbka, Grabski, Szwalbe i inni. Jestem wśród naszych, więc udaje mi się dostać przy pomocy straży porządkowej do kościoła parafialnego, którego ściany pękają od ścisku. Pchnię się przede mną do wrót przystojny młody człowiek w alianckim mundurze i czarnym berecie. Jest to tak rzadki widok, że wszyscy patrzą na niego z ciekawością i nawet zbiegli się fotografowie. Gdy zwrócił do nich głowę, wydaje mi się, że to Ksawery Pruszyński. W kościele zaduch, masa płonących świec i głębokie, pełne przejrzystych aluzji do obecnej sytuacji, kazanie. Stoję w zbitej masie mokry od potu i myślę, co by to było gdyby Witos poleciał był w czasie wojny do Anglii. Może by żył jeszcze. Był już ulokowany w pobliżu tajnego lotniska, skąd go miał za-

brać aliancki samolot, ale do odlotu nie doszło. Jedni mówią, że Witos był zbyt chory, by można było ryzykować podróż samolotem, drudzy — że Mikołajczyk w Londynie stwarzał coraz to nowe przeszkody, licząc się z tym, że w razie przybycia Witos będzie musiał mu ustąpić miejsca i pierwszeństwa. W rezultacie Witos nie poleciał i do ciężkich przeżyć niemieckiej okupacji, spędzonej częściowo w więzieniu, dołączyły się nowe cierpienia. Aresztowany przez NKWD, był już wieziony do Rosji, ale na interwencję Bieruta, Gomułki i innych, którzy obawiali się złego wrażenia w kraju, zawrócono go z powrotem do Wierchosławic. Był tutaj pod stałą kontrolą Bezpieki i nim go wzięto do szpitala w Krakowie, milicjant legitymował wszystkich przyjezdnych, zmierzających do jego domu.

Po nabożeństwie trumnę wyniesiono przed kościół i umieszczono na wzniesieniu, okrytym wzorzystymi kilimami. Stąd Witos przyjął ostatnią deliladę. Otworła ją kompania wojska z orkiestrą, a za nią przemaszerowały niezliczone delegacje ze sztandarami i tysiączne tłumy. Dominuje kolor zielony, barwa ruchu ludowego.

Poszedłem wraz z innymi za trumną, na cmentarz. Chmury płyną nisko tuż nad kępami nagich drzew. Pod nogami, jak zwykle na wiejskim cmentarzu, długa, nie koszona jesienna zrudziała trawa. Zapinam szczelnie kurtkę, bo zimno. Naokoło dobrze znane, smutne i wymęczone twarze towarzyszy ze stronnictwa. Mikołajczyka wśród nas nie ma, gdyż przebywa w Stanach Zjednoczonych na jakiejś konferencji. Szkoda, że nie mógł tu przybyć. Wiem od naszych krakowian, że Witos umarł z żalem do niego, wprowadzie bowiem Mikołajczyk odwiedził go zaraz po przyjeździe z Moskwy do Polski, ale rozmowę potraktował zdawkowo, ot tak jak z człowiekiem z którym nie potrzeba się już liczyć. Witos odczuł to głęboko. Naturalnie Mikołajczykowi to wiele nie zaszkodzi, bo popularność jego pochodzi stąd, że każde dziecko wie, iż powrócił on do Polski w porozumieniu z rządem angielskim i amerykańskim, by ją wyzwolić według planu, jaki z nimi ułożył. Peperowcy się z tego śmieją, ale niech im będzie na zdrowie. Ten się śmieje, kto się ostatni śmieje.

Mikołajczyk nie byłby taki głupi, żeby przyjechać na własne ryzyko i tak bez niczego.

Przy wejściu na rozległy cmentarz brama z napisem: „Moje będzie za grobem zwycięstwo!” Zastanawiam się, jak to rozumieć, ale przyznam się, że chciałbym także wiedzieć, czyje będzie zwycięstwo na ziemi, ich czy nasze. Zejście ze świata Witosza jest wydarzeniem politycznym dużej wagi, które wywrze swój wpływ na sytuację w kraju. Każdy na cmentarzu jest tego świadom.

Przemawiają teraz kolejno Osóbka, Grabski i nasi, a wśród nich rówieśnik i przyjaciel zmarłego Władysław Witek, który odczytuje ostatnią wolę Witosza, wręczoną mu 10 czerwca 1942 roku. Wszyscy w skupieniu słuchają tego posłania zza grobu, czytanego łamiącym się ze wzruszenia głosem przez starego, siwego jak gołąb, poważnego Witka:

„Moje postanowienie. Postanawiam i proszę, aby zwłoki pochowano na cmentarzu parafialnym w Wierchosławicach, w grobie zwyczajnym. Pragnę bowiem być na zawsze wśród tych, z których wyszedłem, którym w pierwszym rzędzie zawdzięczam moje wywyższenie, z którymi całe swoje życie pracowałem i wspólną dolę znosiłem. Nie mam im za złe, że mnie nieraz zrozumieć nie mogli, czy nie chcieli. Niech nie pamiętają, jeżeli kiedy błądziłem. Tylko głos publiczny miarodajny może moje postanowienie zmienić.”

W tym testamencie wyraził Witos całą swoją życiową filozofię: „urodziłem się chłopem, żyłem jak chłop i no śmierci chcę być wśród chłopów, chyba że...” Zmarły, pisząc te słowa w roku 1942, miał pełną świadomość tego, że nie tylko zasłużył się wsi polskiej, ale całemu narodowi i jeśli ten zechce umieścić go wśród swoich zasłużonych, ostatnia jego wola nie może temu stanąć na przeszkodzie.

Odszedłem w czasie długich przemówień na bok i natknąłem się na... patrol sowiecki. Trzech żołnierzy z pepeszami, w futrzanych czapkach, wolno spacerowało w tę i z powrotem po głównej alei cmentarza, paląc papierosy. Zatrząsałem się z oburzenia. A więc nowa władza nawet w takiej chwili nie zawahała się przypomnieć nam o sobie. Patrzyłem na ludzi, krążących wśród grobów. Mężczyźni na widok żołnierzy odwracali głowy, kobiety splu-

wały. Każdy odczuwał ich obecność na tym pogrzebie jako świętokradztwo. Nagle od strony grobu rozległa się salwa, a po niej dwie następne i dźwięki orkiestry, grającej „Jeszcze Polska nie zginęła”. Wszyscy zastygli w skupieniu, z twarzami zwróconymi w stronę grobu. Gdy ostatnie tony umilkły, poszedłem w stronę bramy. Po drodze minąłem żołnierzy sowieckich, którzy odwrócenie plecami do tłumu, załatwiali się spokojnie pod murem cmentarnym, jakby na znak, że służba ich się skończyła.

7 listopad 1945.

Przyjechałem rano do Krakowa po całonocnej podróży rozklekotanym autem. Nasze drogi robią wrażenie, jakby gruchoty z całego świata zwieziono do Polski i teraz po nich krąży. Nigdy w życiu nie widziałem w Polsce tylu różnych marek i w takim złym stanie. Nasz psuł się co parę kwadransów, a poza tym gęsta mgła prawie uniemożliwiała jazdę. Mimo to pchaliśmy się wolno naprzód po to, by wreszcie wylądować w głębokim rowie, na szczęście bez fizycznych obrażeń. Wyciągnęła nas stamtąd na stalowej linie ciężarówka, którą wracali Wiciarze z Grójca.

W Krakowie asystuję przy kładzeniu podpisów pod aktem połączenia, zawartym przez „lubelskie” Stronnictwo Ludowe i nasze. Z tamtej strony składają podpisy Stanisław Bańczyk i Bolesław Ścibiorek, który żąda jeszcze dla siebie w ostatniej chwili stanowiska sekretarza generalnego. Tego ostatniego znam dobrze z okresu okupacji niemieckiej. Był moim podwładnym, jako kierownik Walki Cywilnej na okręg łódzki. Natomiast Bańczyka znam raczej ze słyszenia. Przyglądam mu się z zainteresowaniem. Więzień w Piotrkowie z czasów sanacyjnych, z pewnym więc urazem do przeszłości, był pierwszym ludowcem z „tamtej strony”, który przejrzał na oczy i wrócił do nas z powrotem. Bańczyk zaimponował tym, że jeszcze należąc do obozu rządowego, pierwszy przypuścił publiczny atak na wszechwładną Bezpiekę, zarzucając jej w śmiałym przemówieniu, wygłoszonym przed Krajową Radą Narodową, popełnienie szeregu ciężkich bezpraw. Komunistów to rozwściekliło i byliśmy ciekawi, jaki za to Bańczyk zapłaci rachunek.

Podpisanie aktu zjednoczenia podniosło nas na duchu. Pójdziemy więc do walki liczniejsi i wzmocnieni. Witos z zaświatów oddał jeszcze jedną usługę ruchowi, któremu całe życie służył.

SPOTKANIE W LESIE

8 listopad 1945.

Nocowałem w Kielcach, dokąd w drodze do Warszawy przyjechałem autem z Krakowa razem ze Stanisławem Wójcikiem i Wincentym Bryją. Rano wyjechaliśmy w dalszą drogę dość wcześnie. Pogoda typowo jesienna, zimno i pochmurno. Pół drzemiąc, przetrawialiśmy wrażenia minionych dni. Nawet gadatliwy szofer Władek zamilkł i skupił się na prowadzeniu. Nagle bums i stanęliśmy z boku drogi. Kicha nawaliła. Władek szybko założył zapasowe koło, ale nim ruszyliśmy, minęło nas jakieś osobowe auto z twarzami, przypatrującymi nam się w przelocie z tym specjalnym wyrazem, który mówi: „jak to dobrze, że to nie nam się wydarzyło”.

Wkrótce wjechaliśmy w las. Patrzyłem machinalnie przed siebie, gdy nagle z niewielkiej odległości spostrzegłem scenę, która podziałała na mnie jak prąd elektryczny. Trąciwszy sąsiadów, szepnąłem: — „Patrzcie!”

Przed nami na szosie stało auto, które nas minęło, a obok jego pasażerowie. O parę metrów, na brzegu lasu dwóch ludzi kierowało pistolety maszynowe w stojących na szosie. Jeden z nich już nas zauważył i daje znaki, by się zatrzymać. Władek bez pytania zaczął zwalniać, ale jechaliśmy tak szybko, że z rozbiegu minęliśmy dwóch młodych ludzi, kierujących już teraz pistolety w ślad za nami. Miałem dość czasu, by ich obejrzeć. Buty z cholewami, skórzane pasy na krótkich kurtkach, na głowach zniszczone czapki. Twarze blade, wpadnięte, zarost od paru dni nie golony, w płonących oczach czujność i napięcie. W głowie mam jedno pytanie: bandyci, prowokatorzy z UB (bo byli i tacy), czy... partyzanci?

Zostawiliśmy ich w tyle o jakie trzydzieści metrów. Nie można ryzykować, trzeba uciekać. Prawie jednym głosem krzyknęliśmy: „Gazul!” Władek nacisnął pedał i wyskoczyliśmy przed siebie jak z procy. Pochyleni naprzód,

z głowami opuszczonymi na piersi, czekamy na salwę. Cisza, nikt nie strzela. Władek gna jak szalony. Wyrzeliśmy przez tylne okienko. Auto i ludzie stali w miejscu. Odetchnęliśmy z ulgą, ale Władek pędził dalej, motor wył i żwir przyskał naokoło.

Gdy zwolniliśmy, dogoniło nas wkrótce zatrzymane auto. Kazałem Władkowi do nich podjechać. Gdy się samochody zrównały, krzyknąłem:

— Kto to był? Co się stało?

Blada, wystraszona męska twarz wychyliła się z okna pędzącego wozu i odkrzyknęła:

— Partyzanci! Wzięli pieniądze i żywność! Mówili, że nie jedli od paru dni.

Mężczyzna spojrział mi porozumiewawczo w oczy, machnął ręką i dodał:

— Niech im pójdzie na zdrowie. Bóg z nimi!

Opadłem na siedzenie i powtórzyłem do siebie: „Bóg z nimi”.

A więc stałem się świadkiem jednej z licznych scen tragedii, rozgrywającej się na ziemiach polskich, której na imię „Agonia Podziemia”. Po niezliczonych polskich lasach błakają się niedobitki zbrojnych oddziałów, z orłami na czapkach, z ryngrafami na piersiach, nie pogodzone z przegraną, walczące z zaciętymi zębami o głódzie i chłodzie już tylko dla honoru, dla protestu, bez nadziei na zwycięstwo, same i opuszczone. Ni to zakon rycerski, ni to banda wydziedziczonych, zmuszona głodem do wystawiania po drogach. I zaraz myśl uparta, dręcząca mnie od dawna: jakby ich uratować? Zaczęliśmy w trójkę roztrząsać ten temat. Sprawa oglądana z każdej strony miała w kraju jedno tylko rozwiązanie: ujawnienie, czyli w języku urzędowym amnestia, poza tym nic.

Westchnąłem głęboko i powtórzyłem jeszcze raz: — „Bóg z nimi”.

POWRÓT Z LUBIANKI

9 listopada 1945.

W Warszawie czekały na nas dwie dobre wiadomości. Pierwsza, że w wyborach na Węgrzech ludowcy odnieśli decydujące zwycięstwo. Bardzo nas to podniosło na duchu.

A więc mimo wszystko, partie opozycyjne mogą odnosić zwycięstwa w ludowych demokracjach. Oby to było dla nas dobrą wróżbą.

Druga, to wypuszczenie z więzienia na Łubiance Pużaka, Zwierzyńskiego i Bagińskiego, skazanych w procesie szesnastu. Ciekaw jestem, czy i kiedy zwolnią Delegata Jankowskiego, generała Okulickiego i resztę. Wiem, że naszym komunistom byłoby nawet na rękę ich zwolnienie, bo ta rana wciąż w kraju jątrzy, ale w tej sprawie nie mają nic do gadania. Tutaj decyduje tylko Kreml.

MIĘDZY MŁOTEM A KOWADŁEM

10 listopada 1945.

Czwartego, na Radzie Naczelnej PPS, Osóbka powiedział: „Polska nie zrezygnuje z sojuszu i przyjaźni z Rosją, ani ze współpracy z państwami zachodu”. Rada wypowiedziała się przeciw podziałowi świata na dwa bloki. Jestem pewien, że Osóbka dostanie za to ciężki „wygowor”.

BYCZEK NA KURSIE PPR'U

14 listopada 1945.

Wpadł mi w ręce następujący tekst:

„Zaświadczenie”

„Niniejszym kwitujemy odbiór byczką (roczniaka) dla Komitetu Powiatowego Polskiej Partii Robotniczej, na kurs polityczno-wychowawczy. Sierpc, 21 października 45. Sekretarz: J. Wiórkowski. Pieczęć: Powiatowy Komitet PPR w Sierpcu.”

Ciekaw jestem jak się byczek będzie zachowywał na pastwisku i w oborze po przejściu tego kursu. Wiadomo, że byczki są z natury reakcyjne i na przykład czerwony kolor przyprawia je o szal. Może właśnie dlatego wysłano byczkę na kurs, by pokochał tę sztandarową barwę? Może, po powrocie z kursu, zdemokratyzowany byczek nie będzie już leciał z rogami na czerwoną flagę i tego towarzysza, który ją niesie. A może nawet pójdzie na wyższy kurs i kiedyś zasiądzie we władzach PPR?

Dużo myśli nasuwa mi ten eksperyment z byczkiem, o którego właściwe polityczne wychowanie tak bardzo dba PPR w Sierpcu. Jedna z nich jednak coraz bardziej mnie gnębi. Coś mi mówi w głębi duszy, że towarzyszy byczek (roczniak) niewiele skorzysta na kursie PPR w Sierpcu. Na pewno zaraz na początku zostanie zjedzony przez kolegów z kursu.

„LIPA” W MUNDURZE

18 lipca 1945.

Ulicami Warszawy przedefilowały dwa baony wojska polskiego, przybyłe z Francji. Wyszedłem przed „Kruszynkę” na Marszałkowskiej, by im się przyjrzeć. Młodzi chłopcy w alianckim umundurowaniu, z karabinami na ramionach, maszerowali dość bezładnie, rozglądając się ciekawie po ruinach i przechodniach. Pozatykali sobie w lufy i za guziki jakieś kwiatki i wyraźnie czekali na owację.

Publiczności, mimo zapowiedzi prasowych i radiowych, było niewiele, a i ci co przyszli przysłuchali się maszerującym podejrzliwie i w milczeniu. Bo co to za żołnierze, którzy z wolnego świata przyjechali dobrowolnie oddać się w niewolę?

Dzisiaj już wiemy, że to nie żadne polskie wojsko, a młodzi komuniści polskiego pochodzenia, zwerbowani we Francji i przydzieleni w większości do Bezpieki.

Warszawa nie dała się nabrać. Od czasu, gdy znał sowieckich oficerów w polskich mundurach, straciła dla tego ostatniego dawny sentyment. Wie, że do rzędu znanych jej oszustw „na konsula”, „na diament”, doszło nowe: „na mundur”.

ZAMORDOWANIE SCIBIORKA

7 grudnia 1945.

Jatki są w pełnym toku. Kraj coraz bardziej przypomina rzeźnię. Przedwczoraj zamordowano w Łodzi Bolesława Scibiorka, który w Krakowie podpisał 7 listopada akt połączenia lubelskiego Stronnictwa Ludowego z na-

szym. Został zastrzelony o godz. 10 wieczorem we własnym domu. Ten już zapłacił rachunek za przejście do opozycji.

Ale to nie wszystko, bo w ten sam sposób został zabity 23 listopada w Krasnymstawie kawaler *Virtuti Militari*, major B.Ch., Stanisław Sokołowski, wsławiony uwolnieniem w dniu 20 września 1945 z więzienia w Gestapo, w Krasnymstawie, trzystu więźniów.

Powiększyli oni listę naszych zamordowanych działaczy, na której na pierwszym miejscu figuruje: Narcyz-Wiatr Zawojna, komendant B.Ch. na Małopolskę, także kawaler *Virtuti*, zastrzelony przez bezpiekę w biały dzień na plantach krakowskich, a na drugim Władysław Kojder, zabity przez majora bezpieki Sobczyńskiego w lesie, obok rodzinnej wsi. Za nimi idą zamordowani w Bochni: Stanisław Mariasz, Wojciech Kaczmarczyk, działacz wiciorowy Józef Kołodziej i Władysław Kukiel. Dalej — zastrzeleni: Józef Łempicki z powiatu bielskiego, Jan Jartek i Józef Szydłowski z Łapanowa i inni.

Rzuca się w oczy jawność tych morderstw. Przyjeżdżają miejscowi ubecy, dobrze znani całej ludności, i bądź to zabijają ofiarę na oczach rodziny, bądź prowadzą ostentacyjnie przez wieś czy miasteczko, a później strzelają w pobliżu. Niektóre wypadki wskazują, że ubekom wyraźnie zależało na tym, by ludność wiedziała, że oni są zabójcami. Cel tego nie trudno odgadnąć: chęć wzbudzenia postrachu przed bezpieką, no i terror jako podstawa systemu rządzenia. Nie przeszkodziło to jednak Radkiewiczowi w wydaniu wczoraj komunikatu, w którym twierdzi, że Ścibiora i Kojdera zamordowały „zbiry z podziemia”. Ba, nawet wyznaczył nagrodę za wykrycie sprawców, w kwocie 50 tysięcy złotych. Ma prawo ją sam zainkasować.

W rezultacie, ludność boi się bezpieki, jak ognia, ale nienawidzi jej jeszcze bardziej. Nazywa ją „czerwone Gestapo” i gdzie się da, tam resztki podziemia stosują odwet. Niedawno, bo 21 listopada, zaatakowano UB w Grójcu. Rezultat — zabitych dwóch ubeków, a z nastpników siedemnastoletni uczeń gimnazjum w Grójcu.

Ciekawy jest skutek, jaki te morderstwa wywarły na naszych działaczy. Wbrew temu, czego należałoby ocze-

kiwać, nie tylko nie są zastraszeni, lecz przeciwnie, wzmacnia się ich zaciętość. Z rozmów z nimi widzę jednak, że każdy ma świadomość, jaki los go może spotkać. Pytanie: „kiedy na mnie przyjdzie kolej?” ciąży już nad nami wszystkimi. Rozumiem teraz lepiej ostrzeżenie Różańskiego i enkawudysty.

17 grudnia 1945.

Dziś wchodzi w życie dekret z 16 listopada 1945 o sądach doraźnych. Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej wybiera jednego sędziego i dwóch ławników. Kary: śmierć, dożywotnie więzienie lub więzienie.

Ponieważ WRN są całkowicie opanowane przez komunistów, zatem istnieje pewność, że te sądy będą się składały właśnie z nich. Perspektywa bardzo prosta: pepetrowcy będą skazywali na śmierć swoich przeciwników politycznych i, co najważniejsze, wszystko to będzie się odbywało legalnie, a to grunt, bo „pierwszą podstawą demokracji ludowej jest praworządność”.

Gdyby tu nie chodziło o życie ludzkie, można by było umrzeć ze śmiechu.

„TYLKO NIE DEMOKRACJA”

18 grudnia 1945.

Wpadłem wczoraj do „Romy” na ogólnokrajowy zjazd „Wici”. Prawdziwa przyjemność patrzeć i słuchać, jak to młode wiejskie pokolenie, już pełnowartościowi Polacy, mówią o walce o Polskę i to mimo że każdy z nich wie, że dziesiątki ubeków, obecnych na sali, notują każde słowo.

Obok mnie siedział stary bardzo chłop, w kożuchu, z długimi, opuszczonymi wąsami, widać po wieku, że nie delegat na zjazd, a tylko gość. Słuchał z nadzwyczajną uwagą wszystkich przemówień, wymrukując od czasu do czasu pod nosem jakieś uwagi. W pewnym momencie, jeden z licznych mówców stwierdził, że Polska powinna być silna, niepodległa, wolna, ludowa i demokratyczna. Chłopa podrzuciło. Zerwał się, jakby go giez ukąsił i wrzasnął na całą salę:

— Tylko nie demokratyczna!!! Wolna i ludowa do-
brze, ale nie demokratyczna!!!

Siedzący naokoło zaczęli się śmiać i coś mu tłuma-
czyć. Wreszcie usiadł, ale wciąż groźnie mruczał coś pod
nosem, ruszając wąsami.

I ja należałem do śmiejących się. Każdy z nas bowiem
w lot się zorientował, iż stary chłop słowo „demokratycz-
na” rozumiał w tym sensie, jaki mu nadały rządy komu-
nistyczne i protestował przeciwko takiej „demokratycznej”
Polsce. Stąd rodzą się takie powiedzenia, jak: „demokrata
— z przodu „d”, z tyłu krata”. Samochody ministrów, to
w języku warszawskim „demokratki”. W pociągach
w ścisiku, ludzie sobie wymyślają już nie od łobuzów, a od
„demokratów”. Byłoby wdzięcznym zadaniem ułożenie
słownika, w którym znaczenie, nadawane przez komunistów
tysiącom słów, byłoby tłumaczone na uczciwy język. Przy-
powieść biblijna o Wieży Babel: „...i Bóg pomieszał im
języki i przestali się rozumieć...” stała się rzeczywistością.
Używamy z nimi tego samego języka, a mimo to się nie
rozumiemy.

RATYFIKACJA TRAKTATU O CZWARTYM ROZBÓRZE

31 grudnia 1945.

W ostatnim dniu tego roku Krajowa Rada Narodowa
ratyfikowała układ sowiecko-polski o wschodnich grani-
cach. Na wniosek profesora Kuczewskiego przedłożenie
komisji spraw zagranicznych o ratyfikacji przyjęto bez
dyskusji. Po owacji i oklaskach, Bierut stwierdził, że nikt
nie zgłosił sprzeciwu i że ustawa ratyfikacyjna została
jednomyślnie przyjęta.

Nie byłem na sali „Romy”, gdy to się dokonało i tego
nie żałuję. Przedtem już bowiem zostało przez Bierutę
skreślony z listy kandydatów na posłów, przedłożonej
przez nasze Stronnictwo. Obok mnie skreślono Bagińskiego
i Mierzwę. Niewesoły stąd dla nas horoskop, bo posło-
wanie do KRN zapewnia między innymi nietykalność oso-
bista. Czyżby więc...?

Operację formalnego zatwierdzenia czwartego rozbioru
przeprowadzono gładko i bez żadnych zakłóceń, choć

z pewnym pośpiechem. Nowy Rejtan na sali się nie znalazł.

ROZMOWY SYLWESTROWE

1 stycznia 1946.

Sylwestra spędziliśmy w Zarybiu, w Leśnej Podkowie, w gruncie rzeczy smutno. Zgodnie z tradycją, piło się dużo i nawet tańczyło, ale gdy przyszła dwunasta i składanie życzeń, nie pomogło nadrabianie miną. Wszyscy życzyli naszym „wybawicielowi” szczęśliwej podróży w kierunku, skąd przybyli, ale nikt w rychłe spełnienie tego życzenia nie wierzył. Przeciwnie, czarne myśli obsiadły każdą głowę i w zwarzonym nastroju poszliśmy spać dość wcześnie.

W czasie tego wieczoru miałem dwie ciekawe rozmowy. Obie z przedstawicielami wydziedziczonych (dosłownie). Jeden z nich, K., młody ziemianin z Grodziskiego, wziął mnie na bok i opowiadał:

„Mam dla pana coś interesującego. Jak pan zapewne wie, zostałem wyrzucony z mego majątku i obecnie mieszkam w Warszawie, w małym pokoiku na Pradze. Dostałem zajęcie, ale chociaż marne, jakoś żyję. Pewnego wieczoru zapukano do mych drzwi i gdy otworzyłem, zobaczyłem ku memu wielkiemu zdumieniu dwóch najstarszych formal z mego dawnego majątku. Nie wiedziałem, z czym przychodzą, ale ucieszyłem się na ich widok, bo mi przypomnieli moje kochane S., w których się urodziłem i które od niepamiętnych czasów należało do mojej rodziny. Uścisnąłem im ręce, usadziłem, zacząłem rozpytywać, co się w S. dzieje, jak im się powodzi i czy sobie dają radę z gospodarką na swoim. Po paru minutach uprzejmej rozmowy wyjaśnili cel przybycia:

„Pan dziedzic dobrze wie, że to nie my wypędziliśmy pana dziedzica z majątku, a oni. Chociaż należeliśmy przed wojną do związku zawodowego i byliśmy za reformą rolną, ale my jej chcieliśmy od swoich, a nie od tej szarańczy. Stało się jednak inaczej i nikt na to nic nie poradzi. Ale że panu dziedzicowi stała się krzywda, to my, formal, co dostaliśmy ziemię w S., ukryliśmy ze zboża co zostało w śpichrzu, sto metrów dla pana dziedzica i przyjechaliśmy, aby się dowiedzieć, dokąd i kiedy je dostawić.

Wszystko jest zrobione w wielkiej tajemnicy i przewieźmy zboże w nocy.

„Byłem tym bardzo wzruszony, więc objąłem ich i gorąco podziękowałem za niespodziewaną pomoc. Prosiłem też, by mnie już nie tytułowali dziedzicem, bo jakież ja tam teraz dziedzic. Nic nie pomogło, przeciwnie, nazywali mnie tak z uporem do końca rozmowy. W rezultacie sprzedałem te sto metrów i mogę teraz przez jakiś czas lepiej żyć”.

Drugi rozmówca, młoda, przystojna pani miała coś podobnego do opowiedzenia:

„Dostałam wiadomość z naszego majątku, żeby przyjechać. Pojechałam i przywiozłam z powrotem wiele naszych rzeczy, poukrywanych przez fernali w różnych miejscach. Pościel, ubrania, pamiątki rodzinne, meble itp. Witali mnie, szczególnie kobiety, bardzo serdecznie. Co ważniejsze jednak, prosili bardzo, bym przyjechała do nich z matką na stałe i została nauczycielką w miejscowej szkole, a oni dostarczą nam po kryjomu wszystkiego, co potrzebne do życia. Pensja będzie tylko dodatkiem. Odmówiłam z różnych powodów, więc teraz dostarczają nam po cichu produkty do Warszawy. Właściwie jesteśmy obie z matką na ich utrzymaniu”.

Oba opowiadania nie były dla mnie nowiną. Rosjanie, po wkroczeniu do Polski, zachęcali fernali, by nie tylko zajęli dwory i ziemię, ale także by pomścili na „pomieszczykach” dawne krzywdy. Fornale pierwsze zrobili, ale za drugą radą nie poszli i nie było wypadku, by na przykład wymordowali rodzinę właścicieli i to mimo że bezkarność była zapewniona. Jak na tym tle wyglądają masowe mordy ziemian w Rosji i na Ukrainie, po wybuchu rewolucji w roku 1917? Fornale, ta najgorsza nędza wiejska, wykazali w chwili klęski, że nie jest im obce poczucie narodowej solidarności i udowodnili, że dzikość i okrucieństwo wschodu jest obce polskiej naturze.

NA „DZIKICH POLACH”

5 stycznia 1946.

Zymierski raportował na Krajowej Radzie Narodowej o likwidacji 28 band undowców i bulbowców, przeszkła-

dzających repatriacji ludności ukraińskiej z powiatów pozostałych przy Polsce, na sowiecką Ukrainę. Nosił wilk, ponieśli i wilka. Najpierw Ukraińcy wymordowali polską ludność na Podolu i Wołyniu i to widłami, drągami i siekierami, aby „oczyścić teren z obcych elementów”, a teraz ich „czyszczą”.

Te nasze południowe powiaty to prawdziwe „Dzikie Pola”. Banderowcy, resztki partyzantki AK, wojsko Żymierskiego i sowieckie. Już nie wiadomo kto kogo bije, bo w dodatku bandy deztererów sowieckich walczą ze wszystkimi. Ze specjalną zaciętością likwidują ich żołnierze Żymierskiego. Całą nienawiść, jaką czują do Sowietów, wyładowują na Bogu ducha winnych deztererach. Nie brak także wypadków, że biją się z „bratnią armią sowiecką”.

Odnalazł mnie przyjaciel z czasów uniwersyteckich w Poznaniu, obecnie wyższy urzędnik w Szczecinie i opowiedział o wypadku, jaki tym razem zdarzył się w tamtych stronach:

„Sowieccy oficerowie próbowali wyrzucić z przedziału kolejowego polskich pasażerów. Ujął się za nimi milicjant kolejowy. Oficerowie go zastrzelili. Na to zbiegli się inni milicjanci i zastrzelili oficerów. Teraz przybiegł patrol sowiecki i zaczął ostrzeliwać milicjantów. Tym na pomoc przyszedł oddział wojsk Żymierskiego. Sowietci zaalarmowali swoich i rozpoczęło się wzajemne naparzenie, aż miło. Walka trwała około dwóch godzin, z zabitymi po obu stronach. Nasi żołnierze darli się naprzód, jak lwy, wrzeszcząc: „bij Sowietów!” i wzięli sobie niezły odwet za wszelkie upokorzenia. Wreszcie zjawiała się jakaś wyższa władza, która zaprowadziła porządek. Potem zwykle w takich razach komisje i aresztowania...”

Taka już teraz u nas walka na kilka frontów. Każdy ma swego mola, który go gryzie. My mamy peperowców, PPR ma Kreml, bezpieka ma NKWD, a wojsko Żymierskiego — sowieckie. U nich na zewnątrz tak zwane „braterstwo” i jedność, a wewnątrz zgrzytanie na siebie zębami i skakanie do oczu. Z niektórych odruchów peperowców widać, że nie tak łatwo przestać być Polakiem.

„CHŁOPI Z MARSZAŁKOWSKIEJ”

6 stycznia 1946.

Wróciłem z zebrania statutowego PSL na miasto Warszawę. Zostałem wybrany prezesem organizacji stołecznej, którą zająłem się od samego początku i która rozrosła się w przeciągu paru miesięcy do liczby kilku tysięcy osób. Sztab jej stanowią członkowie przedwojennego Koła Inteligencji Ludowej w Warszawie, względnie Związku Inteligencji Ludowej „Orka”, razem przed wojną kilkadziesiąt osób, a szeregowi — to cały wachlarz typów i ludzi. Ogromna większość to ci, co uważają PSL za Stronnictwo Narodowej Niepodległości i dlatego do niego przystąpili. Przeważają wśród nich byli żołnierze AK, którzy w naszej akcji widzą dalszy ciąg dawnej walki, w innej tym razem formie, odpowiadającej zmienionym warunkom. Stąd mamy koła, składające się z przedstawicieli wszystkich warstw: urzędników, nauczycieli, kupców, rzemieślników, robotników (co szczególnie boli PPR i... PPS) i masę różnego rodzaju młodzieży, chłopców i dziewcząt. Mamy też koła zawodowe, na przykład w poszczególnych urzędach i ministerstwach, podmiejskich ogrodników (tak zwanych badylarzy), dzókiejów ze Służewca, nawet dwa koła monterów, złożone ze Ślązaków czasowo przebywających w Warszawie, na montażu prześel Mostu Poniatowskiego. Całe miasto podzielone na dzielnice, odpowiadające przedwojennym starostwom, względnie delegaturom dzielnicowym z czasów Powstania, z zarządami dzielnicowymi na czele. Najniższą jednostką organizacyjną jest koło, których jest kilkaset.

Ponieważ większość członków nie ma ze wsią wiele wspólnego, zatem komuniści zwą nas „chłopi z Marszałkowskiej”. Niech i tak będzie.

RĘCE DO GÓRY!

8 stycznia 1946.

Siedziałem w „Kruszynie” przy pół czarnej, nie domyślając się, że parę kroków ode mnie przewozi bezpieka aresztowaną Zosię. Poszła do swej przyjaciółki, Kazi, kas-

jerki w Związku Spółdzielczym na Brackiej, i gdy obie rozmawiały w pokoju, gdzie się mieściła kasa, otworzyły się drzwi i najpierw wysunął się zza nich rewolwer, a później młody mężczyzna, który rozkazał: „Ręce do góry!” Również z okienka kasowego wyrzwał rewolwer i druga młoda twarz. Napastnicy, podając się za ludzi z lasu, zabrali pieniądze i wyszli nie zaczepieni. Gdy Kazia podniosła alarm, przyjechała bezpieka i zabrała obie kobiety, pod pretekstem zmowy z napastnikami. Na badania wprowadzono je do pokoju z napisem „bandyci” i rozpytywano szczególnie dokładnie o wygląd rabusiów. Gdy opisały go drobiazgowo, zostały natychmiast zwolnione. Przeprowadzający je przez wartę oficer był dość rozmowny i wyjaśnił:

— My znamy tych gagatków. To byli nasi funkcjonariusze, którzy zabrawszy broń, zwiali z bezpieki i pracują teraz na własny rachunek. Fakt, że to byli oni, usuwa wszelkie podejrzenia w stosunku do pań. Obrali już kilka kas i chodzimy im ciągle po piętach.

Nigdy nie słyszałem lepszej charakterystyki bezpieki, jak ta, dana nieświadomie i mimochodem przez jej oficera. Różnica między dawną pracą napastników a obecną polega jedynie na tym, że teraz „pracują” na własny rachunek, a przedtem na rachunek bezpieki.

„ZDRASTWUJTIE GIENIERAL”

9 stycznia 1946.

Kongres PSL został zwołany w Warszawie na dzień 19-21 stycznia 1946. Ma przybyć z całej Polski kilka tysięcy delegatów i gości. Zarządowi stołecznemu PSL powierzono zakwaterowanie wszystkich przyjezdnych. Użytkaliśmy na mieście kilka wielkich sal i teraz trzeba się wystarać o łóżka, a co najmniej o sienniki.

Udałem się w tym celu do wiceministra spraw wojskowych Jaroszewicza do koszar za pomnikiem Sapera. Trzeba było poczekać na przyjęcie, więc usiadłem w kącie biura i wyjąłem gazetę. Prócz mnie byli obecni maszynistka i młody porucznik którzy stanęli pod oknem i szeptali coś do siebie zerkając w moją stronę. Po chwili wszedł do

poczekalni starszy oficer w mundurze polskiego pułkownika i pozdrowił wszystkich gromkim „zdrastwujtie”. rozpoczął po rosyjsku tyradę na jakiś tam temat. Maszynista i porucznik, zresztą bez oznak jakiegokolwiek szacunku dla wysokiej szarży, starali mu się przerwać tok wymowy, ale na próżno. Wskazywali mnie dość wyraźnie oczyma, ale rozgadany pułkownik spojrzeń tych nie zrozumiał i gdy wchodziłem do gabinetu Jaroszewicza, perorował w dalszym ciągu.

Zza biurka podniósł się przystojny, wysoki szatyn lat około trzydziestu pięciu, w mundurze generała i przywitał mnie uprzejmie, tym razem w nienagannym polskim. Ale już po wymianie kilku zdań, gdy przerwał nam rozmowę telefon, Jaroszewicz, podniósłszy słuchawkę, przeszedł z miejsca z zupełną swobodą na doskonały rosyjski i rozpoczynając od „zdrastwujtie gienierał” zaczął rozpytywać nieznanego rozmówcę o zdrowie, dowcipkując i sypiąc rosyjskimi przysłowiami i powiedzonkami, jak z rękawa. Gdy położył słuchawkę, zakończył przerwana ze mną rozmowę konkretnym przyrzeczeniem:

— Damy wam wszystko to, co daliśmy temu drugiemu Stronniectwu Ludowemu, a więc dwa tysiące sienników, i kocy, które dostarczymy na wskazane miejsce.

Podziękowałem i wyszedłem. Gdy się zastanawiałem, skąd Jaroszewicz może znać tak dobrze oba języki, przypomniałem sobie, że jest on Rosjaninem, który wychował się w Polsce, podobno synem popa z Kresów Wschodnich.

Dostałem więc z racji Kongresu dodatkową poglądową lekcję, kto dowodzi naszą armią.

CHŁOPI W GOŚCINIE U WARSZAWIAKÓW

15 stycznia 1946.

Nie mogąc mimo to rozwiązać sprawy zakwaterowania w Warszawie kilku tysięcy osób, zwróciliśmy się do ludności stolicy z apelem, opublikowanym w „Gazecie Ludowej” o zaofiarowanie dla uczestników Kongresu bezpłatnych noclegów. Warszawa, mimo że w ruinach i przełudniona, odpowiedziała spontanicznie i natychmiast. Już

na drugi dzień zaczęły napływać zgłoszenia, często przynoszone osobiście przez ofiarowującego nocleg. Przejęty tym bardzo, przejrzałem je na wrywki i stwierdziłem, że pochodzą od przedstawicieli wszystkich warstw, począwszy od kamieniczników, kupców, profesorów i urzędników, a skończywszy na robotnikach i niezawodnych warszawskich dozorcach domowych. W każdym razie nie byli to nasi członkowie, bo od tych otrzymaliśmy zgłoszenia już poprzednio, drogą organizacyjną.

W ten sposób nie tylko uzyskaliśmy potrzebną ilość kwater, ale stwierdziliśmy ponadto, że Warszawa nas popiera i chce nam pomóc. Poza tym sama rzecz zmuszała do myślenia. Chłopi, pukający do mieszkań warszawskich nie jako mleczarze, czy dostawcy kartosli lub jarzyn, lecz jako goście, przychodzący od frontu, a nie od kuchni. Będą spali na rodzinnych kanapach i otomanach i, oczywiście, prowadzili rozmowy z gospodarzami. Zetkną się dwa światy, żyjące blisko siebie, a mimo to odległe. Warszawiacy, z nabytym szlacheckim stylem życia i potomkowie pańszczyźnianych oraczy zasiądą przy jednym stole. O zachowanie delegatów byłem spokojny, znając wrodzoną, niejako obrzędową godność i takt chłopów w stosunkach towarzyskich, zaś do giętkich warszawiaków miałem zaufanie, że sprostują tej delikatnej sytuacji.

Zawsze się u nas dużo mówiło o potrzebie zbliżenia wsi i miasta, ale niewiele się dla tego celu robiło. Dopiero wspólna niedola dokona tego zbliżenia i nasz Kongres odbędzie się pod znakiem Raclawic, zbratanych z Warszawą.

KONGRES PSL

19 stycznia 1946.

Zaledwie wysiadłem z EKD, gdy zauważyłem, że Nowogrodzka wygląda dzisiaj inaczej. Tłum ludzi płynął w kierunku „Romy”, ale wygląd ich był inny, niż ten, do którego miasto jest przyzwyczajone. Ogorzałe twarze, wysokie czapki barankowe lub granatowe kaszkiety i sporo kozuchów. Tu i tam jaskrawe plamy góralskich strojów, bo znani z kokieterii górale zawsze lubią się popisywać na zjazdach guńkami i wyszywanymi portkami. Gdzie-

niegdzie przesuwa się czarna plama księżowskiej sutanny. Ledwo wmieszałem się w tłum, a już rozpoczęły się powitania. Coraz to ktoś wyciągał rękę i ścisnął mocno. A co dopiero, gdy trafiłem na delegatów z Województwa Białostockiego, gdzie przed wojną byłem prezesem, ze starym Feliksem Szymańskim na czele. Okrzykom, pozdrowieniom i uściskom nie było końca. Nie widzieliśmy się przecież prawie od wybuchu wojny. Koło nas płynął tłum ludzi, przyglądających się życzliwie serdecznym powitanom.

Radośnie podniecony tymi miłymi spotkaniami, przekroczyłem szybko gęste sito straży porządkowej, z zielonymi opaskami na ramionach, złożonej z byłych żołnierzy B.Ch. Stojąc przy wejściu, dokładnie kontrolowali karty wstępu, bo cała Warszawa chciała się wybrać na Kongres, by przysłuchać się jego obradom. Rozdaliśmy na mieście sporą ilość kart wstępu, ale setki warszawiaków odeszły z niczym z naszych biur. Nic dziwnego zatem, że na parę dni przed Kongresem rozwinął się handel pokątny tymi kartami. Jacyś przewidujący kombinatorzy zdobyli na samym początku sporą ich ilość i, mimo że obecnie sprzedawali je po paręset złotych sztuka, nabywców nie brakowało.

Gdy wszedłem na salę, była już prawie pełna. Tysiące ludzi zajęło krzesła i obsiadło galerie. Gwar rozmów, w powietrzu nastrój uroczystego podniecenia. Ze wszystkich galerii zwisają białoczerwone i zielone sztandary. Najwięcej jest ich na scenie, a obok barwne plamy pocztów sztandarowych w strojach góralskich, krakowskich, łowickich i śląskich. Widać także czarne mundury i pióropusze górników. Większość sztandarów przetrwała wojnę w ukryciu i teraz dopiero, po paru latach, zostały wydobyte na światło dzienne. Ponad sceną dwa srebrne orły i wielkie litery PSL oraz duże portrety Wincentego Witosa, Macieja Rataja i Stanisława Thugutta.

Poszedłem środkowym przejściem w kierunku sceny, ściskając na prawo i lewo wyciągające się ręce i odpowiadając na powitania. Wiele znajomych twarzy, tyle tylko, że postarzałych. Padają z różnych stron pytania i odpowiedzi. Ale już pierwszy smutek przesłania radość tych

spotkań. Coraz częściej słyhać zwykle w tych czasach słowa: „zabity... wywieziony... nie wrócił... zaginął...”

Rozejrzałem się po galeriach. Jakieś twarze uśmiechają się do mnie i widać kiwające ręce. Gdy się dobrze wpatrzyłem, widok, który ujrzałem, uderzył mnie swoją niezwykłością. Na galerii siedział przekrój nie tylko całej Warszawy, ale i kraju, w tym paru profesorów i kilka utytułowanych osób. Jakiż przewrót dokonał się w Polsce! Potomkowie hetmanów i wojewodów przybyli na chłopski kongres, by patrzeć i słuchać, jak chłopci obradują nad sprawami kraju i państwa. Różnica miejsc była najlepszą ilustracją dokonanej zmiany. Arystokraci na galerii jako widzowie, chłopci na dole jako aktorzy. Dawne role zostały całkowicie odwrócone.

Nagle na salę spadła cisza. Obejrzałem się i zobaczyłem Bieruta, wchodzącego głównym wejściem, w otoczeniu świty i ochrony. Nikt się nie podniósł i nie rozległ się żaden okrzyk lub brawo. Delegaci udawali, że go nie widzą. Wszyscy nagle oślepli. Co za wyrafinowana manifestacja! Mikołajczyka jeszcze nie było. Czyżby się spóźniał umyślnie? W powietrzu czuło się jednak zakłopotanie. Sytuację starał się ratować Zygmunt Załęski, dawny prezes „Wici”, który wyszedł naprzeciw Bieruta, przywitał go i poprowadził do pierwszego rzędu krzeseł, gdzie już zasiedli zaproszeni goście: Gomułka, Osóbka, Żymierski, Cyrankiewicz, Rabanowski, Podedworny i inni.

Wreszcie, od głównego wejścia rozległy się głosy i oklaski. Wszedł Mikołajczyk. Sala zerwała się na równe nogi i ogłuszający krzyk uderzył w sklepienie. Mikołajczyk kroczył drogą Bieruta, a sala wołała: „Niech żyje!” Gdy krzyk nieco opadł, usłyszałem dźwięki „Jeszcze Polska nie zginęła”, grane przez ukrytą z boku orkiestrę. Dla Bieruta, który został zaproszony na Kongres jako gość honorowy, był to po prostu policzek. Zerknąłem w jego stronę. Siedział blady, z zaciśniętymi ustami, a obok niego cały rząd milczących i gniewnych twarzy.

Ale Mikołajczyk już witał się z gośćmi, a na scenę wdefilowali członkowie władz Stronnictwa, z Władysławem Kiernikiem na czele, zajmując miejsca za długim stołem, nakrytym wzorzystymi pasiakami.

Rozpoczęły się przemówienia powitalne. Gdy Bierut wszedł na mównicę, został tym razem powitany grzecznościowymi oklaskami. Mówił rzeczy dobrze znane z każdej komunistycznej gazety, ale nie poprzestał na tym i zaczął krytykować „rozszczerzenie ruchu ludowego, godzące w jedność obozu demokratycznego”.

Wśród delegatów zaczęły się dziać dziwne rzeczy. Najpierw zakasłało kilka osób, a za nimi kaszel ogarnął całą salę. Gdziekolwiek spojrzałem, wszędzie było widać wahałdowy ruch głów, wstrząsanych paroksyzmem nagłego kaszlu. Nie kasłali tylko goście z pierwszych rzędów. Bierut na mównicy, widząc, że to demonstracja, zamilkł. Jedyne stare wyga Kiernik, przewodniczący Kongresu, nie stracił głowy i zwrócił się do głównego gościa:

— Panie prezydencie, zechce pan wybaczyć ten kaszel, ale nasi delegaci jechali na Kongres w nieopalonych wagonach, często z wybitymi szybami, więc pozaziębiali się stąd kaszląc...

Na sali rozległy się śmiechy i zaprzeczenia.

Ale Bierut już się opanował, szybko dokończył przemówienia i, nie ukrywając wściekłości, opuścił salę wraz z otoczeniem.

Przemawiali jeszcze Gomułka (w stylu Bieruta), premier Osóbka i inni. Żymierski mówił bardzo przypochlebnie i zaryzykował nawet okrzyk: „Niech żyje PSL”, przyjęty huraganem oklasków.

Gdy wszedł na trybunę Podedworny z lubelskiego Stronnictwa Ludowego i wypowiedział słowa: „Mam zaszczyt powitać Kongres imieniem Stronnictwa Ludowego”, rozległa się nieopisana wrzawa i gwizdy. Delegaci powstawali z miejsc i wrzeszczeli: „Precz! Zdrajca! Wyrzucić go!”. Podedworny opuścił oczy i stał tak nieruchomy przez dłuższą chwilę, jak pod pręgierzem. Ale niezawodny Kiernik machał już dzwonkiem jak na pożar, wzywając o spokój. Wreszcie sala uspokoiła się i Podedworny, wykrztusiwszy kilka zdań, zeszedł z trybuny, żegnany krzykiem i gwizdami.

Atmosfera na sali zmieniła się radykalnie, gdy od prezydium powitano ciepło, siedzące wraz z Zosią w krzesłach w charakterze honorowych gości, Marię Niedziałkowską i Kazimierę Dubois. Obie ocierały łzy, gdy sala,

wstawszy, uczciła długimi oklaskami wdowy po zamordowanych bohaterach podziemia, przyjaciółach ruchu ludowego.

20 stycznia 1946.

Dziś drugi dzień Kongresu. Przybyło ogółem 1.158 delegatów i razem z gośćmi jest na sali około czterech tysięcy osób. Nastrój wśród delegatów bardzo podniosły i poważny. Widać, że mają pełną świadomość tego, o co się walka toczy i chcą ją przeprowadzić. Jest to widoczne z każdego przemówienia i z każdego zgłoszonego wniosku, mimo że częściej niż zwykle używają różnych omówień, metafor i dowcipnych chłopskich przypowieści, po których sala wybucha śmiechem, a szpiegujący ubecy zaciskają pięści. Mówią charakterystycznym obrazowym językiem, w którym widać każdą myśl jak na dłoni. Rzuca się w oczy, że chłopci mówią odważniej od inteligencji, mimo że wiedzą, iż na galeriach są także ubecy, notujący każde słowo. Poziom przemówień nieraz tak wysoki, iż wierzyć się nie chce, że to mówią ludzie od pługa. Zakres ich obejmuje nie tylko wewnętrzne sprawy polskie, lecz także międzynarodowe. Słucham tego wszystkiego i po prostu się uczę. Również korespondenci zagraniczni, z których jedni znają język polski, a drudzy przyszli z tłumaczami, są pod podobnym wrażeniem i po zejściu mówców z trybuny, z reguły odbywają z nimi wywiad.

Mówił też dzisiaj Mikołajczyk o konieczności walki o prawdziwą niepodległość i prawdziwą demokrację, oklaskiwany co chwila bardzo gorąco. Nie obyło się jednak bez potknięcia. Stwierdził bowiem w pewnym miejscu, że: „Może nadszedł już czas, żeby powiedzieć publicznie, że uważamy generała Andersa za moralnego sprawcę śmierci generała Sikorskiego. Tak jest. Generał Sikorski nie potrzebowałby jechać na Środkowy Wschód, skąd nie wrócił żywy, gdyby nie watażka, generał Anders, który zapowiedział, że się zbuntuje przeciw rządowi polskiemu...”

Delegaci, tak zawsze skłonni do przyjmowania oklaskami wszystkiego, co Mikołajczyk mówił, zareagowali głuchym milczeniem. Mikołajczyk, który zrobił pauzę, czekając na owację, był wyraźnie zaskoczony tym chłodem, jaki powiał z sali ku niemu. Ja, przyznam się, byłem znów

uderzony szybkością i trafnością tej reakcji. Niezawodny instynkt podszeptał delegatom, że te słowa nie powinny być paść na tej sali, w warunkach, w jakich odbywają się obrady Kongresu.

Dalszy ciąg przemówienia Mikołajczyka przeszedł bez wrażeń. Nastroj na sali był już zwarzony.

Z kolei na mównicę wszedł Aleksander Bogusławski, bodając już ostatni żyjący członek bojówki chłopskiej z 1905 roku, i po wygłoszeniu ostrego przemówienia przeciw mordom i wszelkim bezprawiom, dokonywanym przez bezpiekę, zaproponował Kongresowi powzięcie rezolucji, żądającej likwidacji Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego.

Ledwie przebrzmiały te słowa starego, ogólnie szanowanego Bogusławskiego, salę ogarnął szal. I tym razem wszyscy zerwali się z miejsc i rozległ się jeden wielki krzyk i oklaski. Słychać było wołania: „Bandyci!... Mordercy!... Zbójce!...” Tu i owdzie sterczały wzniesione, grożące pięści. Ktoś zaintonował „Gdy naród do boju” i z paru tysięcy piersi rozległ się potężny śpiew. Delegatów ogarnęło uniesienie. Naokoło błyszczące oczy, gniewne twarze i ogłuszająca melodia buntowniczej pieśni.

Ale czujny Kiernik już dzwonił na scenie i wzywał do przerwania śpiewu i nie zakłócania porządku obrad przez niepożądane manifestacje. Nikt jednak na niego nie zwracał uwagi. Dopiero gdy przebrzmiała ostatnia zwrotka i ostatnie oklaski, zapanował jaki taki spokój. Rezolucję uchwalono bez sprzeciwów.

W podobnym nastroju uchwalono żądanie zniesienia Ministerstwa Informacji i Propagandy i ogłoszenia wyborów samorządowych oraz przyjęto nowy program Stronnictwa, który zawierał, między innymi, żądanie oparcia przyszłych wyborów na konstytucji z marca 1921 roku i wydanej do niej ordynacji wyborczej. Ponadto uchwalono postulat zapewnienia ludności pełni praw obywatelskich, wreszcie zapowiedziano nieubłaganą walkę z totalizmem i dyktaturą. Zapadła także uchwała poświęcona Witosowi. Kongres, być może zgadując myśl Zmarłego, wyrażoną w ostatniej woli, postanowił żądać przeniesienia jego zwłok na Wawel.

W końcu przyszła kolej na mnie. Jako przewodniczący

komisji statutowej, wszedłem na jasno oświetloną mównicę, by zreferować projekt nowego statutu. Przywitały mnie życzliwe oklaski. Rozłożyłem notatki i sporzałem w dół na salę. W ciemnej głębi dostrzegłem morze głów, a w pierwszych rzędach szereg wpatrzonych we mnie, znajomych twarzy. Dojrzałem tam także Zosię, dodającą mi spojrzeniem otuchy.

Rozpocząłem od zreferowania zmiany, wprowadzonej do paragrafu pierwszego statutu:

„Dla odróżnienia od tych, którzy, podszywając się pod naszą starą nazwę Stronnictwa Ludowego, służą innym niż my bogom, i dla podkreślenia, że jesteśmy nie tylko ruchem ludowym, ale w walce o Polskę także narodowym — komisja statutowa proponuje Wysokiemu Kongresowi zatwierdzenie już w praktyce używanego dodatku do naszej przedwojennej nazwy, a mianowicie słowa „Polskie” przed słowami „Stronnictwo Ludowe”.

Salę ogarnął entuzjazm. Jak tyle razy przedtem, rozległa się burza oklasków i okrzyki: „Niech żyje Polska!... Niech żyje Polskie Stronnictwo Ludowe!...” Przede mną, w dole widziałem rozwarłe krzyczące usta i szeregi podnieconych, wzruszonych twarzy. Oklaski i okrzyki trwały dłuższy czas. Gdzieniegdzie, szczególnie wśród kobiet na galeriach, można było zauważyć chusteczki przy oczach.

Głęboko poruszony tak silną reakcją na tak prostą, chociaż ważną rzecz, referowałem dalej i po zaproponowaniu zmiany do artykułu siódmego, a mianowicie, że:

„Członek PSL ma obowiązek stać na straży niepodległości i ustroju demokratycznego państwa polskiego” doczekałem się identycznej owacji.

Gdy zmęczony i rozgorączkowany zeszedłem z trybuny i usiadłem wśród delegatów, pierwszą myślą, jaka mi przyszła do głowy było, że w czasie mego przemówienia uzyskałem jeszcze jeden dowód, że chłopci, mimo już poniesionych ciężkich strat i ryzyka dalszych, chcą walczyć i będą walczyć. Obyśmy tylko tą walką należycie pokierowali.

21 stycznia 1946.

Dowiedziałem się dzisiaj z „Gazety Ludowej”, że: „Sprawy statutowe referował mecenas Korboński, który

dla pozornie suchych zagadnień umiał wzbudzić powszechne zainteresowanie, a nawet entuzjazm". Zrobiło mi to naturalnie przyjemność, ale była ona niczym w porównaniu z satysfakcją, spowodowaną dwoma przemówieniami, jakich wysłuchałem w trzecim i ostatnim dniu Kongresu.

Na trybunę wszedł niepozorny, młody jeszcze człowieczek, który zaczął przemawiać... po kaszubsku. Mimo że na sali w ciągu trzech dni obrad słyhać było narzecza i akcenty ze wszystkich stron Polski, także góralski, ta mowa była prawdziwą niespodzianką. Nie wiem dlaczego, ale wydaje mi się, że narzecze kaszubskie jest najbardziej zbliżone do jakiejś pierwszej prasłowiańskiej mowy, toteż szczególnie wzruszony tym językiem spoza stuleci, słuchałem, jak Józef Gniech z Wejherowa przemawiał do nas imieniem nadmorskiego plemienia. Zaczął od aluzji do ograniczenia przemówień do trzech minut:

— Jechałem do was więcej, niż trzysta kilometrów, a mam tylko przemawiać trzy minuty:

Na sali zapanowała wesołość i rozległy się głosy: „Dać mu więcej!”

Gniech w nielitościwy sposób wykił komunistyczne pojęcie demokracji a później zajął się peperowskimi projektami bloku wyborczego. Zakończył w nieoczekiwany sposób:

— My na tej sali mamy najlepszy znak, że należy iść do wyborów oddzielnie. Spójrzcie na te litery.

Tu Gniech wskazał nad sceną, na dekoracji, trzy wielkie srebrne litery „P.S.L.” i ciągnął dalej:

— Wiecie, że oznaczają one: Polskie Stronnictwo Ludowe. Ale jak je będziecie czytać odwrotnie, od tyłu, to znaczą: Lepiej Samemu Pójsć.

Wybuchł huragan śmiechu i oklaski. Sala dłuższy czas nie mogła wrócić do poprzedniej powagi.

Drugi mówca przemawiał gorąco za dopuszczeniem do jawnej, legalnej działalności wszystkich partii, a nie tylko wybranych i żądał zniesienia odnośnych zakazów. W pewnym miejscu zrobił pauzę i oświadczył z doskonałym udanym oburzeniem:

„Należy także pozwolić komunistom, by mogli jawnie i legalnie utworzyć polską partię komunistyczną. Dlaczego

im się tego zakazuje? Dlaczego te biedaki muszą się ukrywać pod nazwą Polska Partia Robotnicza? To jest bardzo dla nich poniżające, krzywdzi ich, ale przede wszystkim jest nie demokratyczne!”

W ciągu trzech dni Kongresu nie słyszałem takiego wybuchu wesołości. Śmieli się do łez wszyscy, bez wyjątku, nawet ubecy w mundurach i w cywilu, poumieszczani w strategicznych miejscach sali. Ileż w tym podejściu do dobrze znanego faktu było ironii i dowcipu. I mówił to nie wytrawny orator czy inteligent z miasta, a małopolski chłop z mazowieckiej wsi.

W tym dniu wydarzył się także charakterystyczny incydent. Do stołu prezydjalnego podszedł Kisiel, młody, wysoki mężczyzna, znany dowódca partyzancki z małopolskich Baonów Chłopskich i poprosił o głos w nagłej sprawie. Gdy go otrzymał, pobudził do gniewu cały Kongres następującą wiadomością:

„Przyjechała dziś do Warszawy moja żona z wiadomością, że po moim wyjeździe na Kongres, wpadła bezpieka na rewizję i podrzuciła w moim domu broń i amunicję. Teraz czekają na mnie. Proszę Kongres o pomoc i obronę”.

Odpowiedziały mu okrzyki oburzenia. Kiernik, starający się likwidować w zarodku wszystkie antyrządowe wystąpienia, przekazał całą sprawę do załatwienia nowym władzom, wyłonionym przez Kongres.

Na zakończenie dokonano wśród powszechnego entuzjazmu wyboru Mikołajczyka na prezesa Stronnictwa. Był tylko jedynym kandydatem i został wybrany przez aklamację. Kongres zamianifestował pełne do niego zaufanie. Dokonano także wyboru Rady Naczelnej i powołano w jej skład również mnie. Dodatkowo uchwalono także zwołanie nadzwyczajnego kongresu, gdy termin wyborów zostanie ustalony, co winno nastąpić jak najszybciej.

Wreszcie nadeszła chwila zamknięcia obrad i po odśpiewaniu w nastroju skupienia i powagi hymnu narodowego, Kongres się rozwiązał.

22 stycznia 1946.

Dziś chodziłem po mieście, pilnując zwrotu wypożyczonych na Kongres rzeczy i składając, komu należy, po-

dziękowania. Wpadłem też do Domu Akademickiego przy Placu Narutowicza, gdzie nam użyczono sali i dziękowałem niejakiemu Wrzosekowi czy Wrzosowi od motoryzacji, w którego dyspozycji sala się znajdowała, za oddaną przysługę. Byłem przyjemnie zaskoczony, gdy mi oświadczył, że zawsze w przyszłości możemy na niego liczyć. Bardzo chwalił zachowanie delegatów:

„Niczego nie uszkodzili. Kurki całe, zlewy nie zapchane, szyby nie wybite... Ale co najwięcej mi się spodobało, to porządek, w jakim zostawili salę. Rano, przed wyjściem, złożyli sienniki i koce pod ścianą, podłogę zamietli, śmiecie wynieśli. I nikt ich o to nie prosił. Jak tutaj wyglądało po innych kongresach, to lepiej nie mówić”.

Gdy go żegnałem dodał:

— Słyszałem, że Kongres wypadł imponująco.

Wrzosek mówił prawdę. Nie tylko my, zainteresowani, byliśmy tego zdania, ale to samo mówiło całe miasto, no i nasi, nagle zatroskani, przeciwnicy. Może z tego uda się wyciągnąć jakieś korzyści.

„OGIEŃ” WŁADCA PODHAŁA

25 stycznia 1946.

Przyjechaliśmy z Zosią do Zakopanego późnym wieczorem i zamieszkaliśmy w prywatnym pensjonacie, na drodze do Białego. Są to nasze pierwsze wakacje od 1939 roku i mamy zamiar cieszyć się tutaj słońcem, śniegiem i nartami przez całe dwa tygodnie. Podróż była dość niezwykła, gdyż z powodu wielkich śniegów pociąg z Krakowa doszedł tylko do Chabówki i dalej trzeba było jechać góralskimi sankami. Nie przejeżdżaliśmy się tym zbyt często, bo słońce świeciło jasno na niebie bez chmurki, wspaniałe śniegiem dookoła i dalsza podróż zapowiadała się przyjemnie.

Wybrałem sanki, zaprężone w dobrego, mocnego konia i ułożwszy się o cenę ze starym góraliem, ruszyliśmy w drogę. Zaraz za Chabówką wjechaliśmy w ledwo przetartą płozami koleinę i koń, idąc pod górę, wpadł w ciężki, powolny chód, wyrzucając z wysiłkiem łeb za każdym krokiem i zapadając się co chwila w głęboki śnieg. Góral zeszedł z sanek, my zaś, otuleni baraním fartuchem, chło-

nęliśmy stęsknionymi oczyma upragnione od dawna widoki. Jak okiem sięgnąć niezmierzona przestrzeń nieskalanego niczym śniegu, lśniącego w ostrym słońcu na zboczach wzgórz, poprzedzielanych plamami granatowych lasów. Wdychaliśmy z rozkoszą, po warszawskim kurzu, cudowne górskie powietrze i patrzyliśmy, patrzyliśmy bez końca na rozciągające się przed nami cuda.

Droga wreszcie poszła z góry, więc góral, przysiadłszy bokiem na przednim siedzeniu, rozpoczął ostrożną rozmowę. Puściłem z miejsca nieco farby i góral spojrzał na mnie z zainteresowaniem. Dobrze mu patrzyło z oczu, więc zaryzykowałem i poszedłem o krok dalej. Po pół godziny, gdy wymienilem parę nazwisk z Podhala i opowiedziałem trochę o Kongresie PSL, rozmawialiśmy już jak starzy znajomi.

Jadąc tak i gwarząc na aktualne tematy (góral był za PSL), minęliśmy ugrzęzłą w śniegu wielką ciężarówkę, wyladowaną po dach drewnianymi pakami z wódką. Obok, po wydeptanej w śniegu ścieżce chodziła w tę i z powrotem milcząca postać w kozuchu i cyklistówce. Gdy oddaliliśmy się o kilkadziesiąt metrów, góral mruknął pod nosem:

— Już ta wódka tutaj długo nie postoi. Tylko patrzeć, jak przyjdą majorowi i ją zabiorą.

Ki diabeł? Co za „majorowi”? O kim on mówi? Zapytałem więc górala, co to są „majorowi”. Zerknął na mnie znacząco i odpowiedział:

— Ludzie majora Ognia.

Zrobiło mi się jasno w głowie, ale z głupia frant zapytałem:

— A kto to jest major Ogień?

Góral spojrzał mi w oczy z niedowierzaniem:

— A to nie wiecie, panie, kto jest Ogień? On jest z lasu... Teraz, panie, rozumiecie?

Kiwnąłem głową, że tak i pytałem dalej, a góral opowiadał:

„To jest nasz, góralski chłopak. Za Niemców zebrał innych chłopaków, mieli broń i bili Gestapo i żandarmów po całej okolicy. Była ich duża partia. Potem, jak przyszli do Kościeliskiej sowieckie skoczki, to razem z nimi bili Niemców. Gdy się wojna skończyła, Ogień z oddziałem

przyszedł do Nowego Targu i został komendantem milicji, a jego żołnierze milicjantami. Pewno dlatego, że pomagał sowieckim zrzutkom. Rządził tu nami sprawiedliwie. Ale zaczęli mu przysyłać jednego po drugim jakichś obcych oficerów i coś w tym musiało być przeciw niemu, bo jednej nocy Ogień oficerów zarzął, zabrał chłopców i poszedł z powrotem do lasa. Biję teraz tych zbójów, że boją się nosa wysunąć z Zakopanego i Nowego Targu. Po prawdzie, to on rządzi na Podhalu, a nie oni. Jego ludzie są wszędzie i na drogach też sprawdzają, kto jedzie. Komunistów i bezpiekę tłuką na miejscu, innych puszczają. Jakbyście, panie, jechali autobusem z Krakowa, to na pewno byście ich spotkali. A i dzisiaj po drodze też ich może zobaczymy”.

Słuchałem tego opowiadania z niezmierną ciekawością. Legendarny już Ogień, nowoczesny Janosik, ręka sprawiedliwości karząca bezpiekę, a chroniąca prześladowanych, z urodzenia i nazwiska góral Józef Kuraś z Waksmundu, młody mężczyzna olbrzymiego wzrostu, był postacią, znaną mi z opowiadań. Znała zresztą to imię cała Małopolska, a i bezpiece w Warszawie spędzało ono sen z powiek. Czy to zorganizował, czy też objął swoją komendą cały szereg istniejących oddziałów, dość że stał się nie koronowanym królem Podhala, który sparaliżował na tym terenie nowe rządy. Otaczany opieką przez ludność góralską, która go informowała o każdym wrogim ruchu i zaopatrywała w żywność, poruszał się swobodnie w terenie, nie tylko wymykając z obław, organizowanych przez bezpiekę i wojsko, ale bijąc mniejsze grupy gdzie się dało. Nie wierząc widocznie w amnestię, nie ujawnił się.

Przerwaliśmy rozmowę, bo zbliżył się do nas mały, może dziesięcioletni chłopiec, opatulony w jakieś łachmany i dowiedziawszy się, że jedziemy do Zakopanego, prosił o pozwolenie przyłączenia się, bo mu będzie rażniej. Góral skinął głową i chłopiec, chwyciwszy ręką pałąk przedniego siedzenia, pobiegł obok sanek, przysiadając się, gdy zjeżdżaliśmy z góry. Przyjrzawszy się nam ciekawie bystrymi, inteligentnymi oczyma, zapytał, skąd jesteście. Dowiedziawszy się, że z Warszawy, zaczął pytać i mówić. Skończył dopiero po czterech godzinach, już w Zakopanem. Od niego dowiedzieliśmy się o Podhalu wszystkiego.

Góralski chłopiec był uderzająco rozzagarnięty i rozumiał wszystko, co się dookoła niego dzieje.

Gdy tak gadał, podkarmiany co jakiś czas przez Zosię smakołykami zabranymi na drogę, wjechaliśmy w góralską wieś. Rozglądałem się pilnie po chałupach i ludziach. Bieda wyglądała z każdego kąta i spojrzenia. Wszyscy obdarci, aż przykro patrzeć. Widać wydarli się przez wojnę, a teraz nie ma się za co obsprawić. Nagle przed sobą zobaczyliśmy grupę żołnierzy i w uszy uderzył przenikliwy krzyk kobiecy. Jechaliśmy, nie zmniejszając tempa i oczom naszym przedstawił się następujący widok.

Oficer i dwóch żołnierzy stało na środku drogi, zaś trzech wyciągało z krzykiem i biciem ze stajni parę koni w uprzęży, wychodzących na mróz bardzo niechętnie. W podwórzcu, obok sanek, stała stara góralka i przeklinała żołnierzy, krzycząc w niebogłosy. Słowa „złodzieje”, „zbóje” i „przekłęta komuna” przewijały się na zmianę. W okienku izby majaczyła jakaś męska twarz. Góral widocznie bał się wyjść na dwór. Z całości obrazu wynikało jasno, że żołnierze, sądząc na oko z Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego (KBW), zabierali konie i sanki.

Oddaliliśmy się już o kilkadziesiąt metrów, gdy chłopiec nie wytrzymał i wybuchnął:

— A to złodziejska komuna! Przekłęte bandyty! Biorą konie, bo chcą się dostać do Zakopanego przed zmrokiem. Boją się iść nocą, bo mogą spotkać majorowych. Ci by im dali!...

I teraz dla odmiany zaczęła się jego opowieść o Ogniu, o bohaterstwie, walkach i wyczynach tej pierwszej dzisiaj na Podhalu osoby. Chłopiec mówił z płomieniem w oczach i z podziwem w każdym słowie. Zrozumiałem teraz, jak powstają legendy. W jego opowiadaniu Ogień był najwyższym i najsilniejszym góralem na całym Podhalu, a poza tym najdzielniejszym, najmańdrzejszym, najsprytniejszym ze wszystkich ludzi. Umie się wydobyć z każdej zasadzki i w dodatku pobić bezpiekę. A jak to przyszedł na jarmark do Nowego Targu i bezpieka się zamknęła w swoim budynku. A jak strzela, pije i tańczy zbójnickiego!

Gdy wjechaliśmy w pierwsze domy Zakopanego, schował za pazuchę resztę naszych zapasów i z wełnianym

szalikiem Zosi, zawiązanym na brudnej szyi, powiedział nam „Bóg zapłać” i do widzenia — zniknął w ciemnościach.

Żołnierze w zarekwirowanych sankach nas nie minęli. Coś opóźniło ich podróż. Czyżby Ogień?

WCZORAJ I DZIŚ

27 stycznia 1946.

Zakopane było trupem tego, które znałem. Nie w sensie fizycznym, bo domy całe, a nawet na Krupówkach przybyły jakieś budynki w stylu, nazwałbym go, alpejskim, pozostawione przez Niemców, pasujące do otoczenia, jak wół do karety, ale jeśli chodzi o duszę i atmosferę tej zimowej stolicy Polski, znanej nie tylko ze sportów, ale z radości życia, zabaw i flirtów.

Oto restauracja Trzaski, przed którą parę lat temu spadło koło z dorożki, wiozącej z dworca Stanisława Dubois, Mieczysława Thugutta i mnie. Przyjechaliśmy koło ósmej rano nocnym pociągiem z Warszawy i zmierzaliśmy do wielkiej, drewnianej budy na Krupówkach, noszącej dźwięczną nazwę „Poraj”. Stasiek widział w tym palec boży, który nakazuje nam wstąpić natychmiast do Trzaski na jednego. Chętnie zgodziliśmy się z tą niedelficką, bo jasną jak słońce wyrocznią i nakazawszy gaździe, by zawiózł rzeczy do „Poraja” i powiedział starej góralskiej gospodyni, że „przyjechali z Warszawy pan redaktor, pan inżynier i pan mecenas”, wkroczyliśmy w gościnne podwoje, gdzie właśnie kończono zamiatanie. Wyszliśmy stamtąd o pierwszej w nocy. W drodze do „Poraja” Staśkowi, który się posuwał ze znacznym trudem, zdarzył się przykry wypadek. Jakiś nieuważny pijak nadepnął mu na rękę.

Dziś Trzaska zionie pustką i smutkiem. Prócz miejscowych twarzy, ani jednej przyjezdnej warszawskiej. Popołudniu włóczą się jakieś typy. Nastrój, jak na stypie. To samo w „Morskim Oku”. A oto „Empire”... ale lepiej dać spokój przyjemnym wspomnieniom o miejscach dawnej zabawy. Po co rozdrapywać zabliznione przez czas rany. Lepiej nie wywoływać z przeszłości duchów i dawnych obra-

zów, bo rzeczywistość staje się jeszcze przykrzejsza. Requiescant in pace. Dodam więc na zakończenie tylko tyle, że wpadliśmy jeszcze któregoś dnia do „Jędrusia”, by sprawdzić, jak wygląda. Kwiczoły były w szafce, na starym miejscu i smakowały na zakąskę dość dobrze. Ale restauracja była opuszczona i wyglądała na stołówkę, a nie na dawny lokal śniadankowy.

Na Krupówkach za mało turystów, a za dużo mundurów. Zaskoczyła nas wiadomość, że w Zakopanem obowiązuje godzina policyjna. Od szóstej wieczorem nikomu nie wolno wychodzić na ulicę. Miasto o tej porze wygląda, jak wymarłe. Zapytałem w pensjonacie o powód. Kogo oni się tak boją? Właściciel obejrzał się na około i widząc, że nie ma nikogo w pobliżu, szepnął:

— Ognia się boją. W Zakopanem jest Osóbka, Gomułka i wiele osób z rządu. Mieszkają w prywatnych willach, bardzo pilnowanych. Na ogół rzadko ich widać. A że Ogień kręci się dookoła, więc się obawiają napadu. Parę tygodni temu, Ogień przyjechał do „Empiru” na kolację, naturalnie z ochroną. Bezpieka nie odważyła się go zaczepić, więc posiedział spokojnie parę godzin i tak jak przyjechał, tak odjechał. W „Empirze” było wiele osób, które go widziały i mówią, że bawił się bez śladu jakiegokolwiek obawy. To, proszę pana, człowiek bez strachu...

PAN PREMIER NA NARTACH

28 stycznia 1946.

Jeździmy zawzięcie na nartach. Przez sześć przeszło lat człowiek wyszedł z wprawy i kości zeszytywniały, więc idzie dość opornie. Trafiłem przy tej okazji na znajomego sprzed wojny instruktora narciarskiego. I znów to samo: Ogień, Ogień Ogień, plus wiadomość, że Staszek Maruszarz uciekł do Czechosłowacji przed aresztowaniem. Pytałem o znanych narciarzy. Wielu z nich zginęło, chodząc z podziemną pocztą przez Tatry i Czechosłowację na Węgry. Wielka szkoda!

Dziś uśmieliśmy się do łez. Poszliśmy na nartach na Antałówkę. Pojechaliśmy z górki szusem, patrzymy, a tu pod każdym krzakiem zaczajony żołnierz z karabinem.

Pierwsza myśl: trzeba stąd uciekać, bo pachnie strzelaniną. Skręciliśmy w prawo, udając, że nic nie widzimy, ale okrzyknął mnie jakiś żołnierz:

— Panie, a nie ma pan przypadkiem papierosa?

Podjechałem do niego i podałem pudełko. Miał przyjemną, czystą twarz, więc zapytałem:

— Po cóż tu tak marzniecie na tym mrozie?

Uśmiechnął się i wskazując ręką grupę ludzi na pobliskim zboczach, wyjaśnił:

— Pilnujemy premiera Osóbki, bo uczy się jeździć na nartach. Prawdziwa uciecha na to patrzeć, bo wali się z nóg co chwila i ochrona go podnosi, jak worek sieczki.

Chciałem wiedzieć coś więcej, więc zapaliłem sam papierosa i pytałem dalej:

— Ale co wy tu robicie? Bo że tamci muszą go podnosić, to rozumiem, ale po co tu żołnierz siedzi pod każdym krzakiem, jak zając, tego nie pojmuję.

Żołnierz spojrzał na mnie ze zdziwieniem w oczach i zapytał:

— A skąd pan jest? Bo widzę, że nie tutejszy.

— Z Warszawy, przyjechaliśmy tu dwa dni temu.

Twarz żołnierza przybrała wyraz zrozumienia:

— A to co innego. Pan może nie wie. Całe to pilnowanie dlatego, że w okolicy grasuje banda Ognia. Napadają i mordują każdą osobę z partii, z milicji i z bezpieczeństwa...

Niespodziewanie urwał i zmienionym, ostrym już głosem zapytał:

— A kto pan jest?

Patrzył już teraz na mnie podejrzliwie. Przyszło mu widać do głowy, że mówi za wiele do nieznanego człowieka. Podniosłem rękę uspakajającym gestem:

— Swój człowiek, nie bójcie się, swój człowiek.

Podałem mu paczkę z resztą papierosów, podziękował i poszusowaliśmy dalej.

Osóbka uczy się na nartach. Pewnie niedługo zacznie się uczyć tańczyć i grać w bridge'a. Póki jest się premierem, trzeba używać co się da, pamiętając, że „łaska pańska na pstrym koniu jeździ”.

HULTAJSKI BIGOS

29 stycznia 1946.

Dziś wiemy, że trochę przedwojennych bywalców można spotkać w kawiarni „Europejskiej” na Krupówkach i na popołudniowym dancingu w „Watrze”. Powiedziano nam także, że na Gubałówce gra Karasiński ze swoją orkiestrą. Obeszliśmy te trzy lokale i rzeczywiście tak było. Postarzali o parę lat „ostatni z Mohikanów” pili kawę w pierwszej i tańczyli w drugiej. W „Watrze” puściłem się z Zosią w tany, pierwszy raz po paru latach w publicznym lokalu i kręcąc się po sali, obserwowałem tańczących. Zwróciła moją uwagę młoda, bardzo przystojna i dobrze ubrana para. Patrzałem na nich z przyjemnością. Tańczyli doskonale, przytuleni do siebie, widać, że zakochani. On nosił w klapie wstążeczkę *Virtuti Militari*. I para także nas zauważyła, bo tańcząc przyglądali nam się dyskretnie, wymieniając jakieś uwagi. Gdy orkiestra umilkła, zobaczyliśmy ich przy dużym stoliku, w towarzystwie kilku innych młodych par. Wszyscy dość widocznie zwrócili uwagę na nasz stół. W czasie następnego tańca młody człowiek uklonił mi się. Odpowiedziałem skinieniem głowy. Gdy wróciliśmy na miejsce, za chwilę był już przy nas:

— Państwo pozwolą, że się przedstawię: porucznik S. ze zgrupowania Radosława. Wiem, kim państwo jesteście. Przy moim stoliku wszyscy z AK. Czy nie zrobilibyście nam tej wielkiej przyjemności i nie przysiedlibyście się do nas chociaż na chwilę? Wszyscy marzą, by państwa poznać.

Podziękowałem uprzejmie, ale pomyśl zgańłem.

— Zrobił pan błąd, panie poruczniku. Tam pod ścianą siedzi ubek w cywilu, który chodzi za nami, jak cień. Od tej chwili będzie was też miał na oku.

Przystojnemu chłopcu strzeliły z oczu błyskawice:

— Żeby czego tutaj nie oberwał. Ognia ludzie są wszędzie, nawet teraz tu, na tej sali (wskazał okiem czterech młodych chłopców przy stoliku obok wejścia). My ubeków się nie boimy, prosimy więc mimo to do nas.

Nie daliśmy się skusić, tyle tylko, że umówiliśmy się wypić zdrowie AK na odległość. Za parę minut dwa sto-

liki na sali podniosły równocześnie kieliszki i dyskretnie wymieniając spojrzenia, opróżniły do dna ich zawartość.

Na jednej sali kawiarnianej dawni żołnierze Kedywu, partyzanci Ognia i bezpieka. Całkiem niezły bigos. Wpadliśmy z Zosią w lepszy humor. Zakopane odsłoniło na chwilę przed nami swoje uroczę, przedwojenne oblicze, z dodatkiem powojennej szminki.

PRZERWANA MELODIA

31 stycznia 1946.

Karasiński witał nas z wylaniem i łezką w oku. Na pytanie, jak mu się powodzi, odpowiedział wzruszeniem ramion:

— Nawet nieźle, ale czy to człowieka cieszy? Niech pan spojrzy na salę, a zobaczy pan, dla kogo się teraz gra. Hołota na hołocie siedzi i hołotą poganiam. Piją na umór, bo dziś się ma, a co będzie jutro nie wiadomo. Niech państwo obejrzą sobie na przykład ten stolik.

Spojrzeliliśmy w ślad za jego wzrokiem i zobaczyliśmy grupkę młodych mężczyzn i dziewcząt zupełnie pijanych. Krzyk i hałas, jaki robili, zwracał powszechną uwagę, a oni, jak gdyby lubując się w tym, że są przedmiotem zainteresowania całej sali, nie ustawali ani na chwilę. Przyznałem mu w duchu rację. Niestety, takie widoki spotyka się dzisiaj na każdym kroku. Ludzie nie planują na przyszłość, bo nie wróży ona nic dobrego. Żyją więc z dnia na dzień i używają co się da. A najłatwiej dostępna jest wódka...

Karasiński chciał nam zrobić przyjemność, więc powiedział: „Zagram coś dla państwa”, wszedł na podwyższenie i ujął skrzypce w ręce. Rozległy się dźwięki popularnego walca. Tańczyliśmy, a Karasiński uśmiechał się melancholijnie, sygnalizując nam gestem i spojrzeniem przejście z jednej warszawskiej melodii na drugą.

Gdy tak grał, zatrzymała się przed nim pijana para z hałaśliwego stolika i młody człowiek zaczął wymachiwać ręką, niby to dyrygując orkiestrą. Karasiński patrzył na niego z pobbazaniem i grał dalej. Nagle trzask i orkiestra z miejsca urwała. To ręka pijanego spadła na instru-

ment. Na podium stał Karasiński z roztrzaskanymi skrzypcami w dłoni.

Gdy odchodziliśmy, odprowadził nas do drzwi. Był błady, ale opanowany. Pocieszał się go, jak było można, ale na próżno. Zrozumieliśmy go lepiej, gdy powiedział:

— Te skrzypce to była jedyna rzecz, jaka mi została sprzed wojny i mój jedyny majątek.

GÓRALSKIE NADZIEJE

2 luty 1946.

Pojechaliśmy na Kasprowy. Do Kuźnic wioził nas stary góral, który, rzecz zrozumiała, zapytał po drodze, skąd jesteście. Gdy mu odpowiedziałem, że z Warszawy i w czasie rozmowy, jaka się wywiązała, dodałem kilka epitetów pod wiadomym adresem, ośmielony tym zapytał wręcz:

— A co teraz, panie, będzie z nami? I co trzeba robić, żeby było lepiej?

Powiedziałem, co myślę na ten temat i doradziłem w każdym razie głosowanie w wyborach, które się odbędą, na PSL. Górala to nie przekonało:

— Będziemy tu wszyscy głosowali na PSL, ale my starzy mówimy między sobą, że to nie wystarczy. Wyborami Sowietów z Polski nie wypędzi. Jest tylko jedna potęga, która może to zrobić.

— Jaka? — zapytałem, ciekaw, czy usłyszę zwykłą w takich razach odpowiedź.

— Ameryka — odparł góral z przekonaniem i wyrzniętym konia batem, jak gdyby z intencją pokazania mi, jak to trzeba zrobić.

PAN PREMIER SIĘ BAWI

5 luty 1946.

Przed samym wyjazdem spotkaliśmy się z Haliną Zarembiną-Bogacką z łączności radiowej AK, naszą wielką przyjaciółką, która tutaj leczy swoje płuca. Odszukał nas także rotmistrz Szymon, adiutant najpierw Roweckiego,

a później generała Bora. Było z tych spotkań dużo radości i na pożegnanie postanowiliśmy wybrać się do „Morskiego Oka”. Szymon miał przyprowadzić jeszcze jakąś parę z AK.

Gdy przyszliliśmy tam popołudniu, sala była zupełnie pusta i zadowolony z pierwszych gości gospodarz zaprowadził nas do najlepszej łoży, w środku po przeciwnej stronie orkiestry. Zamówiliśmy coś do picia i pogрузyliśmy się w rozmowie na zwykłe tematy, gdy się spotykają ludzie z dawnego podziemia, więc wspólne przygody, Powstanie Warszawskie, wspominki o poległych i żyjących itp. Te różności nikt nie tykał. Po co sobie psuć w ostatnim dniu humor? Wreszcie przysła orkiestra i zjawilo się kilka par, które nadały sali trochę pozorów życia.

W pewnym momencie spojrzałem przypadkowo na drzwi wejściowe i spostrzegłem grupkę osób w mundurach, z pistoletami maszynowymi w ręku, patrzących w naszym kierunku. Przy nich kręcił się zaafektowany gospodarz, tłumacząc coś z ożywieniem i pokazując w naszą stronę. Za chwilę od grupy oderwały się trzy uzbrojone osoby i zniknęły w drzwiach, prowadzących do kuchni. Zaalarmowałem dyskretnie sąsiadów i niepokój ogarnął całe nasze towarzystwo. Mimo to, staraliśmy się zachowywać normalnie i rozmawialiśmy w sposób naturalny, jak dotychczas. Te uwagi jednak, które wymienialiśmy półgłosem, były zgodne pod jednym względem: rozmowa przy drzwiach dotyczyła nas.

Od grupy, która się w międzyczasie powiększyła o parę nowych osób, oderwało się trzech cywilów, którzy wzięwszy z kąta stół, postawili go w dole, na parkiecie przeznaczonym do tańczenia, tuż pod naszą łożą. Nie miałem potrzeby zastanawiać się zbyt długo, kim są trzej cywile. Na miłe pachniało od nich bezpieczeństwa.

Nie ulegało wątpliwości, że nas osaczają ze wszystkich stron. Patrzyliśmy jedno na drugiego z minami, które wskazywały, że nic dobrego nas nie czeka. Na wszelki wypadek zapytałem:

— Czy ktoś z was nie ma przypadkiem czegoś zakazanego przy sobie?

Wszyscy kiwnęli głową, że nie. Postanowiłem wyjaśnić męczącą sytuację i zastukałem o rachunek. Przyniósł go

kelner za chwilę z ponurą, jak mi się wydawało, twarzą i, zainkasowawszy pieniądze, odszedł bez słowa. Teraz trzeba było zrobić generalną próbę, więc dawszy znak spojrzaniem podniosłem się z miejsca, a za mną całe towarzystwo. Cywile z dołu zwrócili twarze ku nam, ale z miejsc się nie ruszyli. Puściłem panie przodem i z nerwami dość napiętymi poszliśmy wprost na grupę mundurów przy wejściu. Raz kozie śmierć. Wóz albo przewóz. Nim doszliśmy do nich, zabiegł nam drogę gospodarz:

— Czy państwo już wychodzą? Co za szkoda! A nie mogliby państwo jeszcze zostać? Za chwilę przyjedzie na dancing pan premier Osóbka z całym towarzystwem i założy mi bardzo na każdej osobie na sali. Prosiłbym tylko, by państwo przenieśli się do innej łoży, bo tę najlepszą wybraliśmy z panami (tu wskazał umundurowane postacie) dla pana premiera.

Z miejsca przyszlismy do siebie. A więc to chodziło o łożę, a nie o nas! Mimo to, nikt nie miał chęci zostać i robić na sali publiczność dla pana premiera, więc chwyciwszy się pretekstu, że zbliża się godzina policyjna, odmówiłem. Gospodarz na to miał gotową radę:

— Proszę państwa, każdy gość może tu zostać dziś do rana. Panowie z bezpieczeństwa (tu z ukłonem, okrągłym gestem wskazał znów grupę w mundurach przy drzwiach), wystawią dla każdego nocną przepustkę.

Tam do diabła, jeszcze tego brakowało! Podziękowaliśmy i wyszliśmy, przeprowadzani groźnymi spojrzeniami stojących przy drzwiach ubeków. Na szczęście nie było wśród nich naszego zwykłego „aniola-stróża”.

Wsiadłszy całym towarzystwem w sanki, które ledwo nas zmieściły, wpadliśmy, jak to się często zdarza po dużym napięciu, w doskonały humor. Nikomu nie chciało się iść spać do domu, więc kupiwszy coś niecoś po drodze, pojechaliśmy do nas. Mieszkaliśmy wszyscy w sąsiadujących willach i można się było rozejść po godzinie policyjnej bez większego ryzyka. Podnieceni, mówiliśmy na wyprzódki po drodze, nie krępując się wcale woźnicą, każdy o swoich wrażeniach, gdy nas ubecy „zaczęli osaczać”. Góral słuchał, milczał i pomachiwał batem. Gdy dojechaliśmy na miejsce i zostawszy sam przy sankach, płaciłem mu za przejazd, mruknął pod nosem:

— Boją się Ognia, jak diabeł święconej wody. Ale jeśli nie on, to może morowa zaraza ich wreszcie wytłucze...

OSTATNI Z ZAMACHOWCÓW

9 luty 1946.

Zaraz po powrocie do Warszawy spotkałem Zdziśława Poradzkiego, jedyne obok szofera Misia żyjącego uczestnika zamachu na dowódcę SS i Gestapo w Warszawie, generała Kutscherę. Pozostałych siedmiu zginęło, dwóch zaraz po zamachu, reszta później w rozmaitych akcjach. Opowiedział mi historię tego zamachu i przeżyłem wraz z nim jeszcze raz całą tą wspaniałą akcję. Przy stojny, wysoki, młody szatyn, ma dość kanciaste ruchy, bo został postrzelany jak sito w późniejszych akcjach i jest 85-procentowym inwalidą. Ma żonę i dziecko, czy też zanoszą się na dziecko. Żyje w nędzy, ale zainteresował się nim generał Spychalski i ma dostać koncesję na budkę z papierosami. Dobrze i to.

PPS NA RÓWNI POCHYLEJ

10 luty 1946.

Trzy dni temu, rozmawiali nasi z PPS i PPR o wspólnym bloku wyborczym, ale bez rezultatu. Obie te partie bardzo nas o to naciskają, lecz bronimy się jak możemy, bo wybory na jedną listę to kapitulacja i koniec. PPS zeszła całkiem na psy, bo chociaż z grymasami, ale zawsze robi to, co chce PPR. Liczą, że się w ten sposób uratują. Jak nad tym musi boleć Pużak! Żuławski robi co może, aby uratować coś z niezależności PPS, ale nic mu się nie udaje.

ŻYWCEM POGRZEBANY

12 luty 1946.

Miałem nowy dowód tego, czym jest bezpieczeństwo. Ledwo wszedłem do siedziby PSL w Alejach Jerozolimskich 85, gdy ktoś z naszych, przechodzących korytarzem, wciągnął

mnie z tajemniczą miną do jednego z pokoi na pierwszym piętrze. Siedziało już tam parę osób, a wśród nich nieznany mi, średniego wieku i krępej budowy mężczyzna. Nieznajomy coś opowiadał i na mój widok zamilkł. Przedstawiono nas sobie i gdy mu ścisnąłem rękę, nie mogłem nie zauważyć na twarzy nowopoznanego śladów ciężkich przeżyć czy choroby. W oczach miał jeszcze wyraz przerażenia, wywołany widocznie przerwana opowieścią. Wziąłem krzesło i usiadłem w kącie, a mężczyzna, jak się okazało nasz działacz z Grójca, pod Warszawą, podjął przerwany wątek:

.....gdy nas ustawiono rzędem, sędziego, profesora, dyrektora spółdzielni i mnie, zrozumiałem, że koniec się zbliża i zacząłem się modlić. Odeszli od nas na kilka kroków i podnieśli automaty. Byłem już wpół przytomny z przerażenia. Nagle rozległ się huk wystrzałów. Padłem wraz z innymi na ziemię. Czy upadek mnie otrzeźwił, czy też Bóg czuwał nade mną, dość że po chwili oprzytomniałem i zdałem sobie sprawę, że żyję. Postanowiłem udawać martwego i leżałem bez ruchu. Gdy nieco uchyliłem oka, dojrzałem moich towarzyszy, leżących bez śladów życia. Poczułem, że leżę w ciepłej kałuży, która ciągle wzrasta. Krew... Zamknąłem oczy z powrotem i modląc się o ratunek, czekałem co będzie.

„Ubecy ruszali się żwawo dookoła i z rozmów ich rozumiałem, że wloką trupy do dołu. Wreszcie ktoś mnie chwycił za nogi i pociągnął kilkadziesiąt kroków. Gdy się zatrzymał, wyczułem bokiem, że leżę obok trupa. Po chwili zazgrzytały łopaty i ziemia zaczęła mi spadać na głowę i ciało. Zgiąłem się w pałąk i ustawiłem tak ręce, by mieć trochę przestrzeni i powietrza do oddychania.

„Co przeżyłem przez te wieki od chwili zasypiania do wydobycia się z płytkiego dołu, nie sposób opisać. W pewnej chwili zacząłem się dusić i poczułem, że albo zaraz wydostanę się spod ziemi, albo zostanę w niej na zawsze. Sam nie wiem, jak wygrzebałem się na wierzch. Ubeków już nie było. Powłokłem się teraz pieszo do krewnych, mieszkających w pobliżu. Tam powoli wróciłem do siebie...”

Drzwi się otworzyły i wszedł major Czaplicki, wezwa-

ny z Ministerstwa Bezpieczeństwa, by wysłuchał dziejów zbrodni w Grójcu z ust jej ofiary.

Opuściłem pokój i poszedłem do siebie, by spokojnie przetrwać niesamowitą historię porwania w biały dzień czterech mieszkańców miasta Grójca, z których jeden tylko cudem ocalał. Żywcem zakopany w grobie! Na samą myśl robi się zimno. Czy też ktoś, kto się nie zetknął sam tak jak ja, z człowiekiem pogrzebanym za życia, uwierzy, że taka rzecz mogła się zdarzyć o 30 kilometrów od stolicy i siedziby centralnych władz? Wątpię. A jednak się naprawdę zdarzyła w roku pańskim 1946, w Grójcu, pod Warszawą.

OBRONCY WOJSKOWI

15 luty 1946.

W Wojskowym Sądzie Okręgowym w Warszawie rozpoczął się proces 23 członków Narodowych Sił Zbrojnych (NSZ), oskarżonych o masowe wymordowanie wsi Wierzchowiny. Cała ta wieś rzekomo zapisała się do PPR, czy coś takiego, i to było przyczyną strasznej represji. Bronią adwokaci: Szulborski, Biejat, Maślanko, Rettinger i inni.

Pierwszy z nich, jak to niektórzy złośliwie mówili, „reakcjonista z czarnym podniebieniem” i były dowódczyk, przysiadł się do mnie kiedyś w kawiarni nie pytany, zaczął wyjaśniać, jak to mu się dopiero obecnie otworzyły oczy na świat, jak to całym sercem stał się demokratą i jaka wielka przyszłość czeka Polskę w przymierzu z Rosją. Zdenerwowałem go, więc by położyć kres tym wynurzeniom przypomniałem mu jego przemówienie na walnym zgromadzeniu Warszawskiej Izby Adwokackiej, kiedy występując przeciwko liście kandydatów na członków Rady, na której także i ja figurowałem, czynił niedwuznaczne aluzje, że to żydo-komuna. Zbladł i rozejrzawszy się po sąsiedztwie, wykrztusił: „Ciszej, na miłość boską!”

Takich „nawróconych” można liczyć na tuziny. Adwokat Ostaszewski, przed wojną bardzo czynny członek sanacyjnego koła adwokatów R.P. (KARP), obecnie Stronnictwa Demokratycznego, z rozbrajającym wprost cynizmem powiedział kiedyś do mnie: „Teraz wy, kolego, jesteś-

cie pravicowcem i reakcjonistą, a ja ludowym demokratą. Teraz decyduje przynależność do partii, a nie to, jakie kto z nas ma przekonania”.

Hołdował widać zasadzie poety Gałczyńskiego, który zapytany, dlaczego zmienił swoją biografię, bo obecnie podaje, że jest synem robotnika, a dawniej mówił, że organisty — odpowiedział bez namysłu: „Czasy się zmieniły, więc i biografie też”.

Niemianowanym dziekanem ławy obrońców przed sądami wojskowymi był Maślanko, dobrze mi znany sprzed wojny, raczej z najlepszej strony. Zastanawiał mnie w związku z tym fakt, jak Maślanko i jemu podobni mogą występować przed sądami wojskowymi, skoro obecnie, zamiast zasady, że zadaniem adwokata jest obrona oskarżonego, obowiązuje pogląd, że obowiązkiem adwokata jest współpraca z sądem i prokuratorem nad wykryciem przestępcy. Kiedyś, z goryczą w głosie, wyjaśnił mi ten zasadniczy problem jeden z grona tych właśnie obrońców:

„Nie ma mowy o tym, abyśmy obecnie mogli iść drogą Patków, Berensonów, Szumańskich i Śmiarowskich, broniąc tak, jak oni bronili przed carskimi sądami Okrzeję, Montwiłła-Mireckiego i innych. Taka rola sama by się narzucała, ale nie te czasy i nie ci Rosjanie. Musimy zastosować się do obowiązującego podejścia i uznać za przestępstwo to, co oni uznają. Ale, poza nielicznymi wyjątkami wśród kolegów, nie pomagamy bezpiece i prokuraturze. Mało mamy do zrobienia, ale mimo to, uznając w większości wypadków winę oskarżonych, udaje nam się uzyskać dla nich niższy wymiar kary. Z reguły zwalamy wszystko na przeszłość, reakcyjne środowisko, burżuazyjne wychowanie itp. i prosimy o wyrozumiałość”.

„Gdy mi jeden z aresztowanych dowódców AK, którego dobrze znacie, powiedział kiedyś, że ten sposób obrony godzi w jego honor, odpowiedziałem, że ten towar nie jest już obecnie w obiegu i że mnie zależy tylko na tym, by dostał jak najkrótszą karę”.

Jak stąd widać, wielkie dzieje adwokatury warszawskiej i jej wspaniałych obrońców zostały zamknięte procesem brzeskim. Był to ostatni proces polityczny w Polsce w wielkim stylu. To, o czym mówił przedwojenny kolega, było już tylko parodią procesu i obrony.

BŁĄD PRZYWÓDCY

23 luty 1946.

PPS i PPR ogłosiły komunikat, że pertraktacje o utworzenie wspólnego bloku z PSL skończyły się fiaskiem. Dawali czterem głównym partiom, to jest sobie, nam i lubelskiemu Stronnictwu Ludowemu po dwadzieścia procent mandatów, a reszta dla Stronnictwa Pracy i Demokratycznego. Nasi odrzucili tę propozycję, ale Mikołajczyk zrobił błąd, bo w pewnym stadium rozmów zażądał dla nas 75 procent mandatów. To porzucenie zasady, że utworzenie wspólnego bloku robi z wyborów farsę i przejście na teren targów o ilość posłów z ewentualnej blokowej listy zepsuło całe nasze dotychczasowe stanowisko. Nie poradził się nikogo i wyrwał jak Filip z konopi. Będzie to nas drogo kosztowało.

ZEZNANIA DLA NORYMBERGI

16 marca 1946.

Moskiewska „Prawda” ogłosiła fragmenty moich zeznań, złożonych w Ministerstwie Sprawiedliwości przed prokuratorami Sawickim i Siewierskim, a później przedstawionych przez sowieckiego prokuratora w Norymberdze, w procesie przeciw marszałkowi Goeringowi, gubernatorowi Frankowi i innym zbrodniarzom niemieckim. Dotyczyły one głównie okrucieństw niemieckich w Polsce. Dziś „Gazeta Ludowa” powtórzyła tę wzmiankę „Prawdy”. Sowiecki prokurator zarekomendował moje zeznania Trybunałowi Międzynarodowemu, jako pochodzące od „jednego z przywódców narodu polskiego w walce z hitlerowskim okupantem”. Ciekawe, czy komuś słuchającemu tego oświadczenia mogło przyjść do głowy, że ten „przywódca polskiego narodu” niedawno temu siedział w więzieniu, pod nadzorem takiegoż sowieckiego prokuratora?

Obaj dostojnicy, gruby Sawicki i przedwojenna znakomitość, pretensjonalny Siewierski, przyjęli mnie parę tygodni przed procesem nieomal z honorami w ciasnym, prowizorycznym biurze Ministerstwa Sprawiedliwości, przy ulicy 6-go Sierpnia. Nie taili tego, że jestem przewidziany

na polskiego koronnego świadka i nad zeznaniami pracowali parę dni. Nic z tego jednak nie wyszło. W sprawę wdał się kierownik sekcji polskiej w delegacji rosyjskiej w Norymberdze, płk. Kurowski, przed wojną komunizujący adwokat o nazwisku Warszawski, i do wyjazdu nie doszło. Sądzę, że nie była tego przyczyną obawa, że ucieknę, bo w każdym razie Zosia pozostałaby w kraju jako zakładnik, a po prostu nie chcieli dopuścić do tego, by przywódca „reakcyjnego podziemia”, które przez całą wojnę „stało z bronią u nogi”, zeznawał w obecności przedstawicieli tylu wolnych narodów, jak to podziemie skutecznie i ofiarnie walczyło z okupantem.

PAN CZY OBYWATEL?

17 marca 1946.

Spotkała ich niespodzianka z najmniej oczekiwanej strony. „Towarzystwo Miłośników Języka” w Krakowie, po referacie profesora dr. Klemensiewicza, wypowiedziało się przeciwko używaniu słowa „obywatel”. Jestem przekonany, że teraz sprawa zostanie podjęta przez „sekcję miłośników języka polskiego” w krakowskiej bezpiece i ta przekona członków Towarzystwa, że byli w błędzie, gdyż już za Piasta i Rzepichy zwracano się w Polsce do siebie per „obywatel” i że tylko termin „towarzysz” jest lepszy, ale na to jeszcze czas.

Z tym obywatelem to prawdziwa zabawa. Na ogół uważa się, że to słowo trafnie oddaje sytuację każdego człowieka w kraju. Ludzie muszą się teraz obywać bez tytułu rzeczy, że z tytułem „obywatel” bardzo im jest do twarzy, a jeśli się to komu nie podoba, to niech tak mówi, jak mój przyjaciel major Franek: „panie obywatelu”. I wilk będzie syty i koza cała.

ANONIM Z WIĘZIENIA

18 marca 1946.

Jedenastego wpadła bezpieka do naszej siedziby w Alejach i przeprowadziła rewizję. Wywrócili wszystko do góry nogami. Dziwne uczucie, jak się człowiek patrzy na ludzi

w polskich mundurach, robiących to samo, co niedawno Gestapo.

Dziś Ministerstwo Bezpieczeństwa ogłosiło, że znaleziono u nas gryps od więźniów z Wroniek „zasądzonych za działalność terrorystyczną”, witający Kongres PSL. Było w związku z tym jakieś śledztwo, a że ktoś tam powiedział, że gryps przeszedł przez moje ręce, więc i mnie nie minęła rozmowa w Miejskim Urzędzie Bezpieczeństwa. Nie znoszę tych przymusowych wizyt w bezdusznym, paskudnym biurach, z mało nęcącą perspektywą, że się z nich nie powróci, ale cóż robić. Poszedłem więc i musiałem się głowić nad pytaniem, jakie mi zadał młody kapitan:

— Dlaczego pan, jako doświadczony prawnik, wiedząc że list doszedł do was nielegalnie, nie zgłosił tego Bezpieczeństwu?

Przyszło mi do głowy dość proste tłumaczenie, którego nie omieszkalem zakomunikować pytającemu ubekowi:

— List był anonimowy, bo podpis „więźniowie z Wroniek” nic nie znaczy, a koperta była normalna, ze znacznikiem. Skąd więc pewność, że był on rzeczywiście nadany z więzienia? Anonimy u nas rzuca się do kosza. A może list jest w ogóle sfabrykowany i został nam podrzucony dla celów prowokacyjnych? Może należałoby sprawę zbadać i od tej strony?

Kapitan skrzywił się, jak po occie siedmiu złodziei i zamknął przesłuchanie słowami:

— Niech pan się ograniczy do roli świadka, bo my doradców nie potrzebujemy. My sami lepiej wiemy, w jakim kierunku prowadzić śledztwo.

A swoją drogą gryps był naprawdę od więźniów z Wroniek, przemycony poza więzienie i nadany pocztą. Kursował z rąk do rąk, oglądany z nabożeństwem jako dowód, że nawet ludzie za kratami interesowali się Kongresem PSL i wiążą z nim duże nadzieje.

„TRUE GLORY”

23 marca 1946.

Odbył się zamknięty pokaz dla prasy filmu amerykańskiego „True Glory”. Mówili mi nasi z „Gazety Ludowej”.

że wspaniały. Ale już wiemy, że publiczności go nie po-
każą. Obudziłby za dużo podziwu i nadziei.

Jesteśmy świadkami zupełnie wyjątkowego zjawiska, jakim jest tęsknota do Zachodu i wszystkiego, co stamtąd pochodzi. Ludzie się pchają na każdy amerykański film, jak na odpust. Po bilety albo trzeba stać godzinami w ogonku, albo kupić od przekupnia. To co nadchodzi z przeciwnego kierunku, ze Wschodu, budzi w kinie śmiech i ludzie wychodzą w pół filmu.

Największym powodzeniem cieszył się swego czasu dodatek filmowy, przedstawiający konferencję w Jaltcie, ale tylko dlatego, że w momencie, gdy Stalin wyciągał rękę do Roosevelta, cała sala wrzeszczała: „Dawaj czasy!”, a później śmiech, gwizdy, no i czasami legitymowanie przez bezpiekę.

Kupiliśmy kiedyś pudełko tekturowe z porcją żołnierską amerykańską. Wücej było z tego oglądania, niż jedzenia. Wszystko czyściutko, pięknie poprzedzielane przegródkami i opakowane w celofan. Takie głupstewko, a już potrafiło wzbudzić tęsknotę i niebezpieczne marzenia.

„LESNE PSL”

9 kwietnia 1946.

Dwa dni temu, w Łodzi, zarzucił płk. Moczar z bezpieki, że „bandyci” schwytani w lesie mieli przy sobie legitymacje PSL, „które są listem żelaznym dla band leśnych”. Może to ma jakiś związek z likwidacją „bandy” Warszycy pod Radomskiem, o czym się obecnie głośno mówi i pisze? Zadam sobie pytanie, po co ludziom w lesie legitymacje PSL? Broń im jest tam potrzebna, żywność i odpowiednie ubranie, a nie kartka papieru. Nie pierwszy to raz spotykamy się z takim oskarżeniem, ale wiemy co się za tym kryje. Bezpieka podrzuca aresztowanym wykradzione nam w czasie różnych rewizji legitymacje, by potem oskarżać PSL o kontakty z NSZ i WIN'em. „Gazeta Ludowa” roi się od naszych ogłoszeń, w których unieważniamy numery skradzionych blankietów legitymacji.

Z ŻAŁOBNEJ KARTY

19 kwietnia 1946.

Próbowano zabić w nocy z 11 na 12 kwietnia Władysława Hruta, wiceprezesa zarządu powiatowego PSL w Zawierciu. Dano do niego salwę z pepeszy. Hrut i trzyletnia córeczka ranni.

Przedtem jeszcze, bo 1 kwietnia, bezpieka zamordowała w Wałbrzychu dr. Jana Bileka, prezesa zarządu powiatowego PSL. Zginęli także z jej rąk Gregorczyk z Sarnak pod Siedlcami i bracia Gójszy z powiatu mławskiego.

Jeśli to się dzieje teraz, to co się będzie działo przed wyborami? Niestety, nie mamy na to żadnej rady. Gdy podnosimy z tego powodu alarm, to co najwyżej przenoszą sprawców z awansem na inne miejsce.

CZTERY POKOLENIA

21 kwietnia 1946.

Przeczytałem dzisiaj w „Gazecie Ludowej” następujący nekrolog rodziny Hennebergów:

„Dnia 25 kwietnia, w kościele po-karmelickim, na Krakowskim Przedmieściu, odbędzie się nabożeństwo za spókoj dusz śp.:

Fryderyka Józefa, porucznika Wojsk Polskich Powstania 1830-1831, poległego w obronie Warszawy 1831 roku.

Karola Augusta, pporucznika W.P. Powstania 1830/31.

Ferdynanda Józefa, Powstańca 1863, zmarłego w katordze na wygnaniu.

Wilhelma Edwarda, Powstańca 1863 roku.

Marii Elwiry, żołnierza P.O.W. — Kijów, w r. 1917/21.

Zdzisława, kapitana 1 Pułku Lotniczego W.P., dowódcy „Dywizjonu 303”, poległego za wolność Polski.

Adama, bestialsko zamordowanego w Oświęcimiu w 1943 r.

Zbigniewa, żołnierza AK, poległego w obronie Warszawy 1944 roku.

Marka, kaprala-podchorążego AK, obrońcy honoru i wolności

Ojczyzny, uczestnika walk warszawskich 1944 —
wielkich synów Polski, członków rodziny Henneberg”.

Strumień krwi, płynący nieprzerwanie przez cztery pokolenia jednej rodziny o nazwisku nie polskiego brzmienia. Trudno jest żyć Polakiem, lecz za to łatwo umrzeć. Ale

żeby to tylko jeden taki nekrolog. Roi się w prasie od podobnych. Ogłaszają je baony i kompanie AK, firmy o swoich poległych pracownikach, te same roczniki szkolne. Od końca wojny trwają te nieustające Zaduszki.

POD ZNAKIEM SZABRU I PIASTÓW

23 kwietnia 1946.

Przylecieliśmy z Zosią do Wrocławia w samo południe. Dzień był piękny, słoneczny, więc chociaż trochę rzucało, podróż była przyjemna. Nie mogę jednak powiedzieć, aby była wygodna i bezpieczna, gdyż ławki, przymocowane do boków rozklekotanej, starej „Dakoty” twarde i wąskie. Lecieliśmy nisko i mogłem, wykręcając szyję, wyglądać przez małe okienko. Dopóki lecieliśmy nad starą Polską widok był, powiedziałbym, normalny: regularna szachownica uprawnych pól, pokreślona esami floresami wojennych okopów i spiralami lśniących w słońcu rzek, stawy, puszczające „zajaczki” prosto w oko, gdzieś tam lasy, które z samolotu zawsze wyglądają, jakby ktoś po zielonych polach porozrzucił ciemne koce. Ale gdy znaleźliśmy się nad Ziemiami Odzyskanymi, widok się zmienił. Prostokąty pól jakoś się zatarły i gęściej wystąpiły okopcone, żółte plamy spalonych osiedli.

W drodze z lotniska do miasta kilometry ruin. Chociaż po Warszawie widok ten nie zrobił na nas większego wrażenia, niemniej pilnie lustrując rozmiary zniszczeń, doszedłem do wniosku, że nie są mniejsze od stołecznych.

Przed biurem „Lotu” stał już samochód naszego przyjaciela I., a i on sam brał nas już w objęcia. I. jest wysokim urzędnikiem nowej gospodarczej administracji i z nim mamy spędzić kilka dni na oględzinach nowych nabytków. Na początek postanowiliśmy coś przekąsić i poprzez zrujnowane ulice pojechaliśmy do jednej z nowopowstałych restauracji. Po drodze ani żywego ducha. Pustka, jak w Warszawie po Powstaniu. Dopiero w pobliżu restauracji minęliśmy paru rzadkich przechodniów.

W środku lokalu sporo osób i gwar rozmów. Rzucał się w uszy lwowski akcent. Nic dziwnego, gdyż we Wro-

ławiu osiedlają się wyrzuceni z rodzinnego miasta Lwowiacy i z tego tu miasta pragną zrobić nowy Lwów.

Do stołu zasiadliśmy w dobrych humorach, bo obok oddany przyjaciel, a przed nami perspektywa kilku ciekawych dni. Zmącił nam się nastrój dopiero, gdy ponad stół wysunęła się niespodziewanie chuda, brudna rączka małego dziecka. Urwałem w pół zdania i przeniosłem oczy na jej właściciela. Obok nas stał mały, wynędzniały ale schludnie ubrany, może sześciolatek chłopczyk i trwożliwie rzucając oczyma dookoła, prosił o datek. Drugi stał przy drzwiach i trzymał je otwarte, zapewniając żebrzącemu szybki odwrót, w razie gdyby się ukazała groźna postać kelnera. Co na mnie jednak zrobiło największe wrażenie, to język, jakim przemawiało do nas biedne dziecko. Mówił po niemiecku. Młody Niemiec w tej roli była to rzecz, do której nie byłem przyzwyczajony. Każde z nas widziało w czasie wojny setki żebrzących dzieci żydowskich i polskich, ale niemieckie, wyciągające rękę po jałmużnę, była to zupełna nowość.

Przygnębia mnie zawsze widok żebrzących dzieci (nawet gdy są niemieckie), toteż dałem małemu dwadzieścia złotych, sumę w takich razach wysoką. Obejrzał banknot, oczy mu zalśniły radością i wymamrotawszy „Danke sehr”, pobiegł do stojącego we drzwiach towarzysza, pokazując mu pieniądź z daleka.

Wdaliśmy się z miejsca w rozważania, jak to Niemcy zeszły na psy, skoro niemieckie dzieci żebrzą i co w ogóle stanie się w przyszłości z „narodem panów”. To filozofowanie nie trwało jednak długo, bo czas płynął, a chcieliśmy jeszcze tego dnia objechać Wrocław.

Gdy wyszliśmy z restauracji, znów napotkaliśmy wyciągniętą rękę. Był to ten sam mały chłopiec. I. mruknął:

— O nie, bracie, drugi raz nie dostaniesz.

A że mówił świetnie po niemiecku, więc przypomniał chłopcu, że już otrzymał od nas datek w restauracji. Młody Niemiec przyjrzał się I. podejrzliwie i zapytał z niedowierzaniem w głosie:

— A ile pan mi dał?

— Dziesięć złotych — odparł I., który nie widział banknotu, jaki wręczyłem chłopcu.

Chłopiec zastanowił się przez dłuższą chwilę, wreszcie,

odpowiedziawszy z naciskiem i odcieniem pogardy w głosie: „Das stimmt nicht”, odwrócił się na pięcie i odszedł, nie zwracając na nas więcej najmniejszej uwagi.

Mnie to rozbawiło, ale I. był oburzony:

— Słyszeliście coś podobnego! Zarzucił mi, że kłamię. Taki pędrak, a tyle już w nim niemieckiej beczelności!

Wziąłem chłopca w obronę:

— Mylisz się, przyjacielu. On dał nam tylko lekcję niemieckiej dokładności. Jak widać, prowadzi w swej głowie całą rachunkowość i notuje wpłaty klientów. A że mu dałem dwadzieścia złotych, a nie dziesięć, więc twoja odpowiedź nie zgadzała się z jego buchalterią. W jego oczach chciałeś się podszyć pod inną osobę. Biegnij za nim i przeproś go!

Przejeżdżając przez plac przed dworcem kolejowym, gdzie był już większy ruch, zauważyliśmy kaprała milicji, opartego w niedbalej pozie o balustradę, palącego papierosa. Swoim zwyczajem poddałem go oględzinom, a że miał twarz, budzącą zaufanie, więc zaproponowaliśmy mu, by pojechał z nami i pokazał miasto, a my się za to odwdzięczymy. Kaprał wprawdzie odrzucił wszelkie dowody wdzięczności, ale wsiadł chętnie i pojechaliśmy przed siebie przez zrujnowane, zalane słońcem ulice. Przypomniałem sobie, że, bodajże w katedrze wrocławskiej, leży jakiś prapradziadek mojej matki. Zacząłem zatem poświęcać więcej uwagi kościołom i stwierdziłem ze smutkiem, że wszystkie te stare zabytki, pamiętające jeszcze dawne polskie panowanie, leżą w gruzach.

Dojechaliśmy do bramy wielkiego parku. Zosia zaproponowała, żeby go obejrzeć, ale kaprał zaprotestował:

— Park jeszcze zaminowany. To prawdziwe pole bitwy, do dziś dnia dobrze zachowane. Leżą tam jeszcze setki nie pochowanych trupów. Czy nie czujecie?

Niepotrzebnie pytał. Znajomy, ciężki, trochę słodki odór ogarnął nas jak chmura i trzeba było szybko stamtąd uciekać.

„Tutaj w każdym kanale, których dziesiątki przecinają miasto we wszystkich kierunkach, leżą do dziś dnia setki trupów. Wrocław był obleżony przez dwa miesiące i Niemcy bronili się zażarcie, walcząc o każdy dom. Cofając się krok za krokiem, wysadzali wszystkie budynki w po-

wietrze. Berlin już się poddał, a Wrocław jeszcze się bronił. Oni tutaj zdobyli się na niebywałe rzeczy, bo wysadzili w środku miasta setki kamienic, gruzy zrównali z ziemią i zrobili lotnisko, na które w nocy samoloty dowoziły zaopatrzenie. Właśnie do niego dojeżdżamy”.

Wjechaliśmy na plac długi jak kiszka, otoczony ze wszystkich stron czerwonymi, osmolonymi szkieletami spalonych domów. Nigdzie żywej duszy i naokoło cisza, ta znajoma po-powstaniowa warszawska cisza, przerywana tylko ćwierkaniem ptaków.

Dreszcz mną nagle wstrząsnął i zaproponowałem:

— Uciekajmy stąd w jakieś weselsze miejsce. Panie kaprału, może są tu wreszcie jakie całe domy i jakie polskie zabytki?

Kapral się uśmiechnął pod wąsem:

— Wszyscy o to samo pytają. Przedmieścia nie są tak zniszczone, jak środek miasta, a co do zabytków, to w ratuszu pozostały orły polskie na suficie. Są jeszcze inne stare budynki i będziemy obok nich przejeżdżać. Ale najwięcej polskich zabytków to pan znajdzie na każdym cmentarzu. Im starszy nagrobek, tym pewniejsze polskie nazwisko.

Dotarliśmy do staromiejskiej dzielnicy i, rzeczywiście, stało tam parę pięknych, średniowiecznych budynków, jakby żywcem przeniesionych z Krakowa. Na duszy zrobiło się zaraz raźniej. Pokrewieństwo dwóch miast rzucało się w oczy. Nareszcie natrafiliśmy na coś bliskiego sercu i oku i pierwsza nić sentymentu została nawiązana.

Z kolei podjechaliśmy do jednej z odnóg Odry i kapral wskazał na przeciwległy brzeg:

„To jest Ostrów Tumski, podobno najstarsze miejsce we Wrocławiu, a może na całym Śląsku. Był odczyt dla milicji o historii Wrocławia i profesor mówił, że po tej wyspie stapały nogi pierwszych władców polskich, Mieszka i Bolesława Chrobrego”.

Spojrzałem w tamtą stronę z nabożeństwem. Oczyma wyobraźni ujrzałem na przeciwległym brzegu tłum konnych wojowników, okrytych skórą, otaczających zwartym kołem mężczyznę olbrzymiego wzrostu, na białym, pięknym koniu, w srebrzystym lśniącem w słońcu pancerzu i purpurowym płaszczu. Nadstawiłem ucha, czy nie

dojdzie mnie poprzez tysiąc lat milczenia echo ich głosów... Niestety, na zalanej słońcem wyspie, pozbawionej wszelkich oznak życia, panowała martwa cisza... Otrząsnąłem się z marzeń i pojechaliśmy dalej.

Zbliżał się już wieczór, a że kapral jeszcze raz odmówił przyjęcia pieniędzy, więc zaprosiliśmy go na kolację. Tam, po paru głębszych, rozgadał się na dobre:

„Pytacie państwo o Niemców? Jeszcze jest ich trochę, ale spokojni, jak trusie. Kłaniają się w pas i spełniają każdy rozkaz bez szemrania, jak niewolnicy. To Sowievi ich tak wyćwiczyli. O, ci im dali dobrą szkołę! Nie było tutaj nawet dziesięcioletniej dziewczynki, która by nie była zgwałcona. Taki już mają gust, że czy mała dziewczynka, czy siedemdziesięcioletnia babka, im wszystko jedno i żadnej nie przepuścili. Obrabowali ich też doszczętnie, no i sporo pomordowali. My przy Sowietach — to anioły.. Kudy nam do nich!”

Kapral skończył z odrobiną zazdrości w głosie i westchnął.

— A jak się teraz Sowievi zachowują? — zapytała Zosia.

Kapral się zirytował:

„Jak wszystko co lepsze ukradli, to się uspokoiłi. Wywozili wszystko: urządzenia fabryczne, zapasy z niemieckich magazynów, fortepiany, stoły, krzesła, wanny i w ogóle co im wpadło pod rękę. Zabrali też z majątków i wiosek konie i bydło i popędzili do Rosji”.

Kapral mówił prawdę. Każdy w Polsce widział niezliczone pociągi, wiozące rozmontowane maszyny i meble do Rosji, a poza tym na wszystkich drogach, prowadzących przez Polskę, można było spotkać tysiączne stada koni i krów, pędzonych w tumanach kurzu wśród ryku i rżenia przez konnych strażników wprost na Wschód. Z nimi szły karawany wozów, okrytych płóciennymi budami. W nocy płonęły na polach ogniska koniuchów i rozlegały się tęskne pieśni. Widziałem sceny pachnące „Trylogią” i przypominające obrazy Brandta. Zdobywcy, jak przed wiekami, pędzili złupione stada przez Dzikie Pola, jakimi w tym czasie były Ziemie Odzyskane. Wypasali przydrożne łąny, które po ich przejściu wyglądały, jak nawiedzone przez szarańczę, a jedyną pociechą była moż-

ność kupienia krowy czy konia za butelkę wódki. By usprawiedliwić rozbój, stworzyli nawet pewną teorię:

— Te tereny należały do was za Bolesława Chrobrego. Były tu wówczas tylko pola, lasy i łąki. Toteż my wam zostawimy pola, lasy i łąki, a reszta to nasza zdobycz wojenna, bo stworzone przez Niemców.

Kapral zakończył opisem życia w Lignicy, głównej kwaterze sił rosyjskich:

„Żyją, jak nigdy w życiu. Mieszkają w pięknych wил-
lach, żrą i chleją od rana. A te ich pękate „ciotki”, to już
nie wiedzą, co na siebie włożyć. Aż śmiech bierze. Sam
Rokossowski mieszka w pałacu, pod Lignicą, jak król.
Kucharze, lokaje, a kobiet Niemek cały harem. A każdy
z nich wysyła do Rosji tony paczek ze zrabowanymi
rzeczami. Te muzyki mają tutaj prawdziwy raj na ziemi...”

Gdy opuściliśmy restaurację, był już późny wieczór.
Kapral miał nocną służbę, więc po serdecznym pożegna-
niu, wskazawszy nam drogę do hotelu, zniknął szybko
w ciemnościach. Poszliśmy pustymi ulicami, wsłuchując
się w stukot własnych kroków. Księżyc świecił dyskretnie,
łagodząc ostre kontury sterczących dwoma rzędami ruin.
Naokoło zupełna cisza, w której głos rozmów wprost raził,
więc zamilkliśmy. Idąc tak zamyśleni, spotkaliśmy jeszcze
jedną tylko osobę. Z framugi spalonego domu wystąpiła
męska postać i zastąpiła nam drogę. Było to tak niespo-
dziewane, że stanęliśmy, jak wryci. Przed nami, w bladym
świecie księżyca, stał na chodniku wysoki starzec o pięknej
twarzy apostoła-myśliciela, ubrany w łachmany i wycią-
gał rękę. I. bez słowa schwycił za portfel i wcisnął mu
banknot. Starzec skłonił z godnością głowę i wyrzekł ja-
kieś niemieckie podziękowanie.

Ze zwarzonymi humorami doszliśmy do hotelu, którego
dalekie światła w ciemnej ulicy wyglądały dla nas, jak
latarnia morska dla zbłąkanego okrętu i poszliśmy spać.

ŚLĄZACZKA Z BIERUTOWIC

24 kwietnia 1946.

Rano, w hotelu, przy śniadaniu gospodarz nas trochę
pocieszył:

„Rzeczywiście, miasto robi wrażenie pustego. Szaber się już skończył, więc przyjezdnych mało, a stali mieszkańcy w dzień są przy pracy, a wieczorem siedzą w domu, bo lepiej nie wychodzić. Sowieci napadają i grabią. Wrocław jest większy od Warszawy i zniszczony przeciętnie na 70 %, a niektóre dzielnice na 95%. Toteż te kilkadziesiąt tysięcy giną w tak wielkiej przestrzeni, jak kropla w morzu. Ale przemysł już powoli rusza, a na jesieni rozpocznie działać nawet uniwersytet”.

Gdy pod wieczór, zbaczając tu i ówdzie, dobiliśmy po całym dniu jazdy do Bierutowic, byliśmy zachwyceni tym, co widzieliśmy po drodze. Wspaniały, bogaty i piękny kraj, w którym kopalnie, fabryki i nowoczesne gospodarstwa rolne zmieniały się kolejno, jak w kalejdoskopie, z widokiem uroczych, średniowiecznych miasteczek, magnackich pałaców i zamków, spoglądających z wysokich wzgórz w doliny, których początek nieraz sięgał czasów piastowskich. Wszystko to poprzedzielane doskonale zagospodarowanymi lasami, z łańcuchem wzgórz nieodmiennie zamykającym horyzont. Słowem kraj mlekiem i miodem płynący, polska ziemia obiecana. Zrozumiałem teraz lepiej powiedzenie, że „tutaj każdy powiat jest więcej wart, niż wschodnie województwo”. Zaczęła mnie powoli rozpierać duma posiadacza. Uczucie to zresztą stawało się w kraju powszechne.

Wstępowaliśmy po drodze do opuszczonych domów i willi. Przeważnie ogołocone ze wszystkiego, prócz ciężkich mebli. Był taki okres między wysiedleniem ludności niemieckiej a napływem polskiej, że wszystkie pociągi, idące na zachód, wiozły tysiące szabrowników, to jest ludzi jadących z workami, sznurami, lub po prostu z gołymi rękami na Dzikie Pola dwudziestego wieku po łup i bogactwo. Fala za falą rozlewała się po pustych wsiach i miasteczkach, biorąc to, czego nie zagrabili Rosjanie i co się dało wziąć na plecy lub do walizki. Wracali, obładowani tłumokami, przywożąc wszystko: począwszy od pościeli i naczyń kuchennych, a skończywszy na obrazach. Zorganizowany szaber prywatny robił to samo na większą skalę i kolumny ciężarówek krążyły w jedną i drugą stronę. Nim nowa władza się spostrzegła i wydała drakońskie zarządzenia, które interpretowane dosłownie zabraniały

nawet przeniesienia biurka z jednego pokoju do drugiego, ziemie zachodnie zostały огоłocone z ruchomości. Na szczęście, większość tego dobytku została w rękach polskich i ucierpieli tylko nowi osiedleńcy.

Wstąpiliśmy też na gospodarstwo przydzielone chłopskiej rodzinie z województwa Stanisławowskiego. Dowiedziawszy się, że nie jesteśmy żadną komisją, a tylko zwiedzamy zachód, przyjęli nas gościnnie i poczęstowali mlekiem. Nic lepszego zresztą nie mieli. Gospodarstwo zaopatrzone w maszyny i zelektryfikowane, dachy kryte blachą, w oborze podłoga cementowa. Dom mieszkalny piętrowy, z kilkoma pokojami. Starzy rodzice, zapytani, jak im się tutaj podoba, odpowiedzieli westchnieniami:

— My już za starzy, by tu rozpocząć nowe życie. Serce ciągnie do rodzinnej wsi, bo tu wszystko inne i obce, chociaż takie bogate. Ale dzieciom się podoba, mimo że na razie wszystkiego brak, a przede wszystkim żywego inwentarza, krów i koni.

Bierutowice, przemianowane tak na cześć wiadomej osoby, są podgórszą miejscowością i punktem wyjściowym wycieczek na Śnieżkę. Typowe niemieckie wille, dobrze wbudowane w zbocza zalesionych wzgórz, połączone doskonałymi drogami. Tam, zaraz po rozlokowaniu się, zetknęliśmy się z pierwszym autochtonem. Przybiegł zaafektowany nasz szofer T., przystojny, młody mężczyzna, straszny przy tym gaduła, ciekawski i kobieciarz. Głosem, którym się oznajmia wiadomość o odkryciu kopalni złota, obwieścił:

— Niedaleko stąd mieszka prawdziwa Ślązaczka! Muszą państwo zaraz ją zobaczyć!

Poszliśmy bez zwłoki i poznaliśmy młodą dziewczynę, siedzącą na ławce przed domem, otoczoną całą gromadą nowych osiedleńców, słuchających pilnie tego, co mówiła. Gdy się wsłuchałem, spostrzegłem, że używa z pewnym trudem języka dziś już martwego, coś z Reja lub biblii księdza Wujka. Przypomniało mi się zaraz Powstanie Śląskie z 1921 roku, w którym brałem udział jako młody chłopiec, i nasze wówczas rozmowy ze Ślązakami pod Olesnem. Język był ten sam, archaiczny polski język, pełen nigdy już nie używanych zwrotów i słów.

Gdy I. dla ułatwienia rozmowy przeszedł na niemiecki,

młoda dziewczyna o jasnych włosach i niebieskich oczach rozgadała się na dobre:

— Było nas tu więcej, niż obecnie, gdyż wielu ze strachu przed ruskimi uciekło do Niemiec, a wielu także wywieziono tam w pośpiechu przez omyłkę. Rodzice moi umarli, ale ja Polka, więc zostałam. Bałam się, ale zostałam. Pod Niemcami było ciężko, ale najgorzej pod Hitlerem...

Od niej to dowiedzieliśmy się, że w Radzie Miejskiej w Opolu jeszcze za Hitlera było paru autochtonów-Ślązaków, że mieli na Śląsku swoje związki i że ojciec był zażartym Polakiem i ją wychował na Polkę. Teraz tutaj pomaga nowym osiedleńcom, bo nie wiedzą gdzie i jak się ruszyć, a ona tu urodzona zna każdy kąt i wszystko wie.

Słuchaliśmy z pewnym wzruszeniem tej polskiej dziewczyny, mówiącej do nas po niemiecku. I znów, jak w czasie okupacji w rozmowie z Mińczukiem, objawiła mi się ta niepokonana siła, jaką są węzły polskiej krwi.

Dziewczyna odprowadziła nas do domu. Pod koniec stała się mniej rozmowna i raz po raz popadała w zamyślenie. Widać było, że gnębi ją jakaś myśl. Spostrzegł to I. i zapytał:

— Dlaczego pani tak nagle straciła humor?

Dziewczyna obrzuciła nas wszystkich spojrzeniem i odpowiedziała:

— Widzę, że wy jesteście państwo (Herrschaften), więc pewno więcej wiecie od innych. A robicie też wrażenie dobrych ludzi, więc miałabym chęć was o coś zapytać, ale się trochę boję.

I. zapewnił ją gorąco, że może o wszystko pytać, bez żadnej obawy. Dziewczyna wparła w niego oczy i wybuchnęła:

— Powiedzcie mi prawdę, czy tu będzie Polska, czy będzie rządził Iwan? Bo jeśli on, to po co ja tu zostałam?

Nasza mętna i zawikłana odpowiedź nie przywróciła jej dobrego humoru. Zdołał to uczynić dopiero przystojny szofer. Najpierw słyszeliśmy z ławki w ogródku jego warszawską gwarę i jej wzruszające archaizmy, a później jego

przyciszony szept i jej głośny śmiech. Widać, że ten miał w zapasie lepsze niż my argumenty. Może on ją przekona, że warto było zostać...

WYCIECZKA NA ŚNIEŻKĘ

25 kwietnia 1946.

Ranek wstał pogodny i wycieczka na Śnieżkę zapowiadała się doskonale. Znakomicie wyspani, wykąpani i nakarmieni jajecznicą z bułkami i kawą, wyruszyliśmy w drogę, która od razu weszła w gęsty, ciemny, świerkowy las. Krocząc wolno gęsiego i rozmawiając na różne tematy, ujrzelśmy za zakrętem cztery osoby z wiązkami chrustu na plecach, idące w naszym kierunku. Nim się z nami zrównali, zeszli z drogi i zdjęli z pleców ciężar. Gdy ich mijaliśmy, mężczyzna, kobieta, dziewczyna i chłopiec grzecznie nas pozdrowili po niemiecku. Gdy po paru minutach obejrzałem się za siebie, cała grupa szła już dalej ze swoim ciężarem.

To spotkanie było powodem długiej rozmowy na temat, jak to Niemcy, gdy pokonani, tracą miarę w uniżoności wobec zwycięzcy. A swoją drogą, czuję się dość nieswojo tutaj w roli „pana i władcy”.

Droga wyszła z lasu i znaleźliśmy się na rozległej przestrzeni, pokrytej zaroślami i trawą. Przed nami otworzył się rozległy widok. Jak okiem sięgnąć góry, lasy i doliny, a w tych białe ściany i czerwone dachy miasteczek, wszystko skąpane w jaskrawym, kwietniowym słońcu. Poiłiśmy oczy pięknym widokiem, wdychając z rozkoszą chłodne górskie powietrze.

Ostatnie paręset metrów wejścia dość strome, ale dróżka, wyłożona płaskimi kamieniami, obrażała moje tatarnicze nogi, gdyż nie nastęczała żadnych górskich problemów. Ot, taka sobie wycieczka, jak na Babią Górę.

Ze szczytu Śnieżki samej perspektywa jeszcze bogatsza, bo i na czeską stronę. Ale psuł ją widok łuf karabinowych, kreślących linię horyzontu, w którąkolwiek stronę nie zwróciłoby się oczu. Prawda, przecież przez Śnieżkę przechodzi czesko-polska granica. Stąd więc taka obsada. Pod tym względem Śnieżka nie różniła się niczym

od Kasprowego w Tatrach, gdzie byliśmy w zimie, który wyglądał jak fort, obsadzony przez zbrojną załogę.

W powrotnej drodze trafiliśmy na zboczu na małą kaplicę i wstąpiliśmy do środka. Ogarnął nas mrok i przenikliwy chłód, jaki dają tylko grube, kamienne ściany. Rozglądając się po nich, odkryliśmy wmurowaną tablicę marmurową z polskim napisem sprzed stu lat, który oznajmiał, że szlachcic taki a taki wybrał się na Śnieżkę i z wyprawy tej więcej nie wrócił, na pamiątkę czego funduje się niniejszą tablicę. Miał rację kapral z Wrocławia. W kościołach i na cmentarzach roi się od śladów polskości tych ziem. Zdążyliśmy już w wolnej chwili obejrzeć cmentarz w Bierutowicach, niedaleko kilkusetletniego drewnianego kościółka, prawdziwego cacka, który „żywcem” został przewieziony z Norwegii przez jakiegoś magnata niemieckiego i jest główną atrakcją tej miejscowości. Pełno na krzyżach i kamiennych nagrobkach takich nazwisk, jak Sikora, Kozok, Ptok, Wujek, Kędzia czy inne.

I trzeba trafiać, że w czasie odczytywania przez nas nagrobków przyszła do norweskiego kościółka wycieczka dzieci z pobliskiej szkoły i doszedł nas świergot dziesiątków dziecinnych, już polskich głosów. Trudno się było oprzeć myśli, że oto tu leży martwe polskie pokolenie, a tam szczebiocze nowe, wstępujące dopiero w życie. Łączność po wiekach została nawiązana i oby jej nic już nie zerwało.

Gdy dochodziliśmy do Bierutowic inną już drogą, ale także przez gęsty las, uderzył w nozdrza znajomy słodki odór rozkładających się ciał. Czyż, na miłość boską, ten zaduch nigdy nas już w życiu nie opuści? Zacząłem się rozglądać, by stwierdzić, skąd się tutaj wziął w czystym jak kryształ powietrzu, ale uprzedziła mnie Zosia, która ma świetny wzrok i dojrzała pierwsza:

— Spójrzcie tam!

Poszliśmy wzrokiem za jej ręką. Na bocznej leśnej dróżce leżały szczątki samolotu, a obok strzępy mundurów, okrywających jakieś nędzne resztki.

Z tym przypomnieniem niedawnej przeszłości, której obrazy wszędzie nas ścigają, wróciliśmy do Bierutowic.

NIEMIECKIE PODZIEMIE

26 kwietnia 1946.

Pojechaliśmy z kolei do Szklarskiej Poręby, a stamtąd do największego w tych górach wodospadu. Doskonała droga szła gęstym świerkowym lasem, pod koniec wzdłuż rwącego górskiego potoku, poprzez osiedla letniskowe pełne pięknych, nie zniszczonych domów. Mnie te okolice przypominały czeską stronę Tatr, gdyż wyglądały na przykład, jak Tatrzańska Łomnica, z tą różnicą tylko, że góry znacznie niższe, raczej typu Beskidów, a nie Tatr.

W Szklarskiej Porębie, aby obejrzeć znaną fabrykę kryształów, trzeba było dostać przepustkę. Przy wejściu warta z karabinem. W środku widok dla laika bardzo ciekawy. W centralnym punkcie dużej hali piec okrągłego kształtu z otworami, skąd było oślepiające, białe światło wrzącej szklanej masy. Naokoło w regularnych odstępach mężczyźni Niemcy, przeważnie starsi, z długimi rurkami w rękach, które raz po raz zanurzali jednym końcem w roztopionej masie. Od tego, co później robili nie mogłem przez dłuższy czas oderwać oczu. Kombinacja dmuchnięć, szybkich obrotów rurki i dotknięć jakimś prętem czy rylcem i powstaje wazon o smukłych, delikatnych kształtach. Szczytem mistrzostwa było dorabianie nóżek i uchwytów. Tak szybkie, że prawie nieuchwytne ruchy szczypców i za chwilę naczynie ma nóżki lub uszy o tych samych co do milimetra rozmiarach i kształtach.

Pojałem teraz lepiej, dlaczego pozwolono zostać tym niemieckim rodzinom, które pracowały w takich hutach od pokoleń. Tej wprawy nie można nabrać w ciągu jednego życia. Trzeba ją odziedziczyć i mieć już we krwi przy urodzeniu.

Do wodospadu trzeba było dojść pieszo wyciętym duktem. Nagle odgłos kopyt, uderzających o twardą ziemię i przez korytarz w lesie, tuż przed nami, śmignęły w długich skokach dwa jelenie. Było to tak niespodziewane, że serce zabiło mocniej i zaparło mi dech. Widok wielkich zwierząt, o grających pod złotą skórą, potężnych mięśniach, unoszonych lekko w powietrzu przez nogi, jak stalowe sprężyny, był naprawdę porywający.

Wodospad, ukryty w bogatej roślinności, o wąskim strumieniu, spadającym na oślizgłe, wielkie granitowe bloki, był harmonijnym uzupełnieniem górzystego, leśnego krajobrazu. Ale psuły wrażenie typowo niemieckie turystyczne ułatwienia, jak ławeczki, barierki i schodki w dół, do dna wodospadu.

Niespodziewanie wynurzyli się z lasu uzbrojeni żołnierze, którzy, ucieszeni rozrywką w leśnej głuszy w postaci turystów, natychmiast wdali się z nami w rozmowę. Papierosy i czekolada, wydobyte przez Zosię stosownie do wypróbowanej recepty, pogłębiły zbliżenie, tak że po kwadransie odważyłem się na pytanie, czego na tym pustkowiu pilnują. Sierżant z miejsca spoważniał:

— Patrolujemy okolicę, bo działa tutaj niemiecka dywersja. Niewielu ich zostało, jednak są wśród nich tajne organizacje i mają broń. Poza tym prześlizgują się z sowieckiej okupacji. Niedawno temu nakryliśmy w okolicy przy robocie tajną radiostację.

Na tę wiadomość podniosłem głowę, jak stary emerytowany koń-woźiwoda, gdy usłyszy znajomy głos trąbki kawaleryjskiej, wzywający do szarży. Spojrzałem na Zosię, a ta odpowiedziała wzrokiem pełnym zrozumienia. Jak to się dziwnie wszystko na tym świecie plecie. Dawniej oni ścigali nasze radiostacje, a teraz my ich. Ale pytałem dalej:

— A co robią te organizacje? Na czym polega ich działalność?

Sierżant nie ukrywał prawdy:

— Robią sabotaż. Jak im się uda, to wysadzą w powietrze jakiś mostek, czy maszynę w fabryce lub przejazd kolejowy... Toteż musimy dobrze uważać.

Nie wypadało pytać dalej, zatem pożegnawszy się, wróciliśmy do auta, debatując po drodze na temat usłyszanых wiadomości.

O podziemiu niemieckim jest dość głośno. Początek tego ruchu był o tyle niezwykły, że sięgał czasów naszego, anty-niemieckiego, wojennego podziemia. Wówczas to nasz wywiad wykrył, że Niemcy powołali do życia specjalną komórkę, która gruntownie studiuje organizację, strategię i taktykę naszego podziemia. Działo się to pod koniec wojny, kiedy już było pewne, że Niemcy ją prze-

grają. Słusznie wówczas oceniliśmy ten fakt jako zapowiedź zorganizowania niemieckiej dywersji na terenach, które będą w przyszłości odebrane przez nas Niemcom. Pierwszy rok posiadania Ziemi Odzyskanych przekonał nas, że mieliśmy rację.

Jedną z pierwszych niemieckich konspiracyjnych organizacji, jaka została odkryta, była „Deutsche Demokratische Partei”. Założyli ją członkowie dawnej Hitler Jugend, by pod tą dostosowaną do nowych czasów ochronną nazwą kultywować starą ideologię i nielegalną akcję antypolską. Inne, o których słyszałem, to „Wehrwolf” i „Freies Deutschland”. Dochodziło do tego, że członkowie tych organizacji napadali na rzadkich jeszcze wówczas na tym terenie Polaków, nie mówiąc już o tym, że przechowywali broń i amunicję.

Tak to fortuna kołem się toczy. Dawniej my przeciw nim, teraz oni przeciw nam.

KOBIETY W ZAPRZĘGU

27 kwietnia 1946.

I. odwiózł nas do Jeleniej Góry, skąd po smutnym pożegnaniu pojechaliśmy już sami ciężarówką, udającą autobus, wyposażoną w drewniane ławki, do Wrocławia. Rynek w Jeleniej Górze to istne cacko. Rzędy starych kamieniczek w doskonałym stanie przypomniały znów warszawskie Stare Miasto z najlepszego okresu. Obejrzelśmy wszystko z grubsza i zgodziliśmy się łatwo, że Jelenia Góra to perła w śląskiej koronie.

W kawiarni, przed odjazdem natknęliśmy się niespodziewanie na Władysława Czajkowskiego, wiceministra Ziemi Odzyskanych i jego pomocnika, adwokata Quirniego. Pierwszy był w podziemiu kierownikiem Biura Ziemi Odzyskanych, drugi urzędnikiem w tymże Biurze i w czasie Powstania delegatem dzielnicowym w Śródmieściu. Gdy jako pełniący obowiązki Delegata Rządu wydałem odezwę z 17 maja 1945, wzywającą społeczeństwo polskie do odbudowy kraju, nie tylko oni obaj, ale setki urzędników, przygotowanych w podziemiu do objęcia administracji ziem zachodnich, poszło na służbę do Minis-

terstwa Ziemi Odzyskanych, by, jak tego wymagał polski interes narodowy, objąć te ziemie w posiadanie i zagospodarować.

Obaj byli nieco zakłopotani nieoczekiwanym spotkaniem. Z jednej strony trudno się było nie przywitać z dawnym przełożonym, z drugiej dla wiceministra i jego zastępcy nie było bezpieczne komunikowanie się z członkiem opozycji i to na głębokiej prowincji. Otwierało to pole do podejrzeń. Wybawiłem ich szybko z trudnej sytuacji, bo wypowiedziawszy parę zachwytów nad Ziemiami Odzyskanymi, życzyłem powodzenia w pracy i zostawiłem ich samych.

W powrotnej drodze wjechaliśmy na hitlerowską autostradę. Wstęga cementu opasywała płaski kraj i ginęła gdzieś daleko za horyzontem. Auto wzięło dużą szybkość, a ja robiłem to, co zawsze, to jest patrzyłem pilnie na boki, by ostatniego dnia nie stracić żadnego z widoków. Jak okiem sięgnąć ciągnęły się opuszczone pola, porośłe wysoką, nigdy nie widzianą przeze mnie trawą i ostami wzrostu człowieka. Ziemia, wyzwolona spod ludzkiego jarzma, wracała do dawnej, dzikiej postaci. To już nie były Dzikie Pola pod przerośniętą, a prawdziwy step, taki jaki być musiał przed paruset laty. Nie zdziwiłbym się, gdyby z gąszcza ostów wychynał koński łeb i śpiczasta czapka Tatarzyna. Zadałem sobie pytanie, czy starczy nam sił i zasobów, by te tereny szybko zagospodarować. Czy przejeżdżał wtedy Czajkowski i widział tę ziemię, czekającą na pług? Gdy tak się nad tym głowiłem, dobiegł mnie z głębi ciężarówki męski głos, który mówił:

— Między Michałowicami a Gręboszowem widziałem dwa pługi, ciągnięte przez kobiety. Przy takich ludziach będą tutaj za rok łany pszenicy.

W ten sposób nieznajomy głos rozstrzygnął dręczące mnie wątpliwości.

ARESZTOWANIE PŁK. JANA RZEPECKIEGO

28 kwietnia 1946.

Przyjechaliśmy już z powrotem do Warszawy i od razu wpadłem w codzienny młynek. Czekająca ważna wiadomość, gdyż wczoraj Radkiewicz na posiedzeniu KRN

oświadczył, że bezpieka i KBW zlikwidowały dotychczas sto dziewięćdziesiąt jeden „band dywersyjnych”. Przy zabitych i schwytanych znaleziono legitymacje PSL. Co ważniejsze jednak, triumfalnie oznajmił, że w listopadzie 1945 aresztowano Zarząd Główny WIN-u, w tym prezesa tej organizacji, plk. Rzepeckiego, mjr. Sanojcę (Cis), Szczurka-Szerskiego (Sławbor), Rybickiego Józefa (Maciej) i Benedykta Muzyczkę, oraz Komendę Główną NSZ, z Abakanowiczem Piotrem, Miodyńskim, Pobołą, Otrębeckim i Swiszczem na czele. Przygnębiająca wiadomość! Z WIN'u, prócz Rybickiego, wszyscy dobrzy znajomi. Z Rzepeckim jestem na „ty” i dużo razem przeżyliśmy. Ładna zapłata za tyle lat walki. Ciężko pomyśleć, co będą z nimi wyprawiali w śledztwie, a później w procesie.

Cóż na tym tle znaczy wiadomość o rozpoczęciu przed czterema dniami procesu „bandy” Topora (Kazimierza Wierzbickiego), składającej się z dwudziestu ludzi. Kropła w morzu niezliczonych procesów przeciw setkom ludzi z podziemia, które mimo amnestii toczą się nadal w całym kraju. A później zwykle krótka wzmianka w kronice prasowej: „skazani na śmierć”, tuż obok wiadomości o cenie chleba, kartofli i mleka. Mnie to sąsiedztwo przestało już razić, gdyż śmierć przed plutonem egzekucyjnym stała się dziś naprawdę chlebem powszednim.

ZAGADKA ŚMIERCI PROKURATORA

30 kwietnia 1946.

W nocy z 30 na 31 marca zamordowano w Krakowie prokuratora, dr. Romana Martiniego. Sprawców wykryto w ciągu paru dni. Są nimi siedemnastoletnia uczennica szkoły dramatycznej, Jolanta Słapianka i dwudziestoletni maturzysta, Stanisław Wróblewski. Dziś jest wiadomość, że Wróblewski uciekł z więzienia.

Koło tej sprawy krąży dużo plotek. Już w parę dni po zabiciu Martiniego doszła do mnie wiadomość, że zabójcy to agenci bezpieki, która nakazała likwidację Martiniego rzekomo z tego powodu, że znalazł się on w posiadaniu materiałów, dowodzących, że zbrodnię w Katyniu popełnili Rosjanie i nie tylko tym się pochwalił, ale nawet

zapropoŃował otwarcie polskich dochodzeŃ w tej sprawie. JeŃli Wróblewski mógł uciec z więzienia, to jest to pewne potwierdzenie plotki, że bezpieczeŃ maczała w tym palce. Bez jej pomocy nie potrafiłby zbiec. Takich cudów nie mał

MILCZĄCY POCHÓD

1 maja 1946.

Stałem dziś na rogu Marszałkowskiej i Alei, oglądając pochód pierwszomajowy. Przygnębiający widok. Idą tyŃiące ludzi w milczących szeregach, ze zmęczonymi, złymi twarzami. Niekiedy zrywa się okrzyk, podtrzymany przez parę głoŃsów, a potem znów długi okres ciszy i tupot maszerujących kroków. Od czasu do czasu słyŃać z pochodu jakąś zjadliwą uwagę pod wiadomym adresem. Ludzi na chodnikach niewiele. Patrzą ze współczuciem na tych, co muszą maszerować i cieszą się, że to nie oni.

Obok mnie, w tłumie, znalazła się nasza kolporterka, starsza kobieta z wielkim naręczem „Gazety Ludowej” i zaczęła głoŃno wywoływać tytuł. Reakcja maszerujących była natychmiastowa. Najpierw wyskoczył młody robotnik i wcisnąwszy kobiecie w rękę banknot, porwał białą płachtę i pogonił za oddalającym się szeregiem. Po nim wybiegł drugi, za drugim trzeci, a kobieta wciąż wołała: „Gazeta Ludowa!...”. Gdy już zapas był na wyczerpaniu, nadbiegło trzech chłopców w białych koszulach i czerwonych krawatach. Pierwszy z rozmachu uderzył kolporterkę w twarz. Kobieta upadła. Teraz młodzieniec w czerwonym krawacie zabrał się do kopania leżącej, wtedy kiedy dwaj pozostali darli resztę gazet na strzępy. Zanim dobiegłem do kopiącego, ktoś z tłumy zdzielił go w głowę łaską i napastnik upadł obok kobiety. Biała koszula zabarwiła się na czerwono. Towarzysze rzucili się w tłum, by schwycić właściciela łaski, ale na próżno. Zamknął im drogę zwarty mur piersi i wrogie twarze. I tu też nagle się zakotłowało. Gdy usłyszałem krzyk: „Towarzysze, na pomoc!...” i gwizdki milicji, czas było się wycofać.

A milczący tłum maszerował dalej, udając, że nie widzi, co się wokół niego dzieje.

DAŁOJ Z ROGATYWKĄ

7 maja 1946.

Dokonano wiekopomnej reformy. Skasowano w wojsku rogatywki, a wprowadzono takie okrągłe kaszkiety, od których do rosyjskiej „szapki” jest tylko krok jeden.

Żegnaj więc rogata czapo, w której od stu lat paradowali nasi żołnierze. Zanadto przypominałaś przeszłość, byś się mogła ostać teraźniejszości. Zawieśniesz teraz w muzeum, jak tyle innych rzeczy. Żegnaj, a może tylko do widzenia!

KRASNOARMIEJCY NA ŚWIĘCONEM

8 maja 1946.

Miałem w pociągu na EKD miłe spotkanie. Przysiadł się do mnie stary woźny z Sądu Okręgowego i z rozczuleniem zaczął wspominać przedwojenne dobre dni. Był już woźnym za carskich czasów i przeżył spory szmat życia, a że natura obdarzyła go tak zwanym chłopskim rozumem, przed którym nie raz inteligenci stają z otwartymi z podziwu ustami, zatem z zainteresowaniem słuchałem jego uwag o czasach, które nadeszły. Psioczył na nie, ile wlazło i chociaż w podejściu do różnych problemów zdradzał konserwatyzm rodem raczej z Izby Panów, mimo to mówił mądrze i rozsądnie. Szczególnie zainteresowało mnie jego opowiadanie o rozmowie z młodym, sowieckim żołnierzem, odbytej w czasie niedawno minionych Świąt Wielkanocnych.

.....Wszedł bez pukania i poprosił o ogień do papierosa. Siedzieliśmy właśnie przy święconem, więc zauważywszy głodne spojrzenie, rzucone na stół, zapytałem go, czy by nie zjadł czegoś z nami, bo, panie mecenasie, chociaż to Sowiet i czubaryk, ale człowiek, a w dodatku stół zastawiony i Wielkanoc... Kiwnął głową i usiadł koło mnie. Mówię po rusku jak po polsku, więc rozmowa poszła gładko, chociaż na początku był bardzo onieśmielony. Gdy jednak wychylił jedną i drugą szklankę bimbru, zagryzł kielbasą i salcesonem, język mu się trochę rozwiązał i zaczął pytać, jak to było u nas przed wojną. Mówiłem

mu prawdę, ale nie bardzo wierzył. Wreszcie zapytał, czy nas panowie bardzo gnębili. To mnie ubodło do żywego, więc odpowiedziałem: „Ja byłem przed wojną woźnym i w szatni zdejmowałem palta z pańskich pleców. Należałem więc do najniższej kategorii ludzi, bo żyłem właściwie z jałmużny (z padajani), ale każdy mnie traktował grzecznie i jak człowieka. A z tego, co mi ci panowie wsuwali do ręki, to sobie kupiłem morgę gruntu i postawiłem na niej ten murowany domek, w którym właśnie siedzisz. A te drzewa i ogród, co widzisz za oknem, to także moje. A teraz spójrz na stół. Przed wojną było na nim w święta dwa razy więcej. Więc jeśli ja, biedak, żyłem tak dawniej w Polsce, to co ty, młokosie (młokosos), będziesz mi tu wmawiał, że mnie panowie w Polsce prześladowali”. — Nic mi na to, panie mecenasie, nie odpowiedział. Posiedział jeszcze trochę, pokopcił swojej śmierdzącej machorki, w końcu powiedział „spasibo” i wyszedł. Ale gdy chwycił za klamkę, obrócił się jeszcze raz do mnie: „Chyba mówisz prawdę. Żyjecie tutaj wszyscy znacznie lepiej, niż my w Sowietach. Teraz widzimy, że to kłamstwo, czego nas uczyli...”

Jest to już druga tego rodzaju historyjka, jaką słyszałem w związku z tegorocznymi świętami. Pierwsza, opowiedziana przez mego przyjaciela G., wyglądała podobnie:

„...weszło dwóch sowieckich kapitanów. Na pierwszy rzut oka obaj byli pijani. Cóż było robić? Poprosiłem ich do stołu i poczęstowałem wódką i święconem. Zabrali się tak ostro do picia, że po pół godziny jeden z nich zasnął przy stole. Drugi, przytomniejszy, starał go się obudzić, ale bezskutecznie. Wreszcie wstał i zaczął się szykować do wyjścia. Podał mi rękę, ale gdy ją ująłem, pociągnął mnie lekko za sobą do sieni. Tam zaczął bardzo przeproszać za najście domu i zachowanie towarzysza. Na pożegnanie zwierzył mi się z ważnego odkrycia: „A ten Stalin to skończona swolocz!!!”.

Dziesiątki podobnych opowiadań krąży po Polsce. Wiadać z nich, że nie ma skutecznego środka na zabicie w człowieku przyrodzonej zdolności do samodzielnego, krytycznego myślenia. Ale stąd droga do buntu daleka. Ta ich rosyjska bierność zabija w zarodku każdy odruch.

Po raz pierwszy tysiące Polaków z młodszego niż woźny pokolenia zetknęło się z prostym ludem rosyjskim, ubranym w żołnierskie rubaszki. Dziwny to rodzaj człowieka. Z jednej strony zdolny do tak dzikich wybryków, że zmusza do pytania, czy to ludzie czy zwierzęta. Dla nich zabić z błahego powodu człowieka, to tak, jak dla innego zapalić papierosa. Trzeba jednak przyznać, że jak ich zabijają, na przykład w bójkach pijackich, to nie robią z tego powodu większych ceregieli i o żadnych zbiorowych represjach à la hitlerowskie nie ma mowy. Zginął, koniec i basta. I tutaj stosują swoją wojenną dewizę: „U nas ludiej mnogo”. Znam wypadek, gdy na chłopskim weselu w lubelskim zabito w kłótni o dziewczynę dwóch żołnierzy sowieckich, którzy tam się przyplątali. Przyjechała specjalna rosyjska komisja wojskowa i stwierdziwszy prawdziwy stan faktyczny, wyjechała nie robiąc nikomu żadnej krzywdy.

Z drugiej strony, nie raz i nie dwa zdradzają dobre serce, są dobrodusznymi i nawet dziecinni. Mnie przede wszystkim ich żal, szczególnie gdy są zażenowani i onieśmieni na przykład nigdy nie widzianymi przedmiotami lub nożem i widelcem przy stole.

Osobiście nie mam do Rosji wielu uprzedzeń. Przeciwnie, żywię duży podziw dla rosyjskiej literatury z „wolnych” carskich czasów, którą udało mi się poznać. Poza tym, interesuje mnie ich mistycyzm, którego ojcem są niewygasłe tęsknoty prostego ludu rosyjskiego, a matką bezbrzeżny, płaski, jednostajny, przynębiający step. Wreszcie, ich walka z Niemcami była wspaniąta.

Ale nie znoszę Rosjan w Polsce!

DROBNER ROZMIENIA SIĘ NA DROBNE

9 maja 1946.

Krakowski „Dziennik Polski” ogłosił sprostowanie przykrej omyłki, a mianowicie, że poseł Drobner zakończył swoje przemówienie okrzykiem: „Niech żyje socjalistyczna Polska”, a nie „demokratyczna Polska”.

Istotnie przykra pomyłka, ale na daleką metę może lepiej było jej nie prostować. A nuż się obrazi „ludowa

demokracja", że nie jest socjalistyczną i obywatel Drohner wróci tam, skąd niedawno wyszedł, to jest za kraty.

KANADYJCZYK W LEŚNEJ PODKOWIE

10 maja 1946.

Jestem po spotkaniu z szefem Misji UNRRA, generałem brygady armii kanadyjskiej, Charles Mills Drury'm. Odbył się ono u nas, w Leśnej Podkowie, dokąd Drury przyjechał z zachowaniem wszelkich ostrożności. Wprawdzie spotkanie było pod każdym względem legalne, ale strzeżonego Pan Bóg strzeże i lepiej, żeby nikt o nim nie wiedział. Przyprowadzono go zatem okrężną drogą, zagajnikami i, zdaje się, nikt niepowołany tego nie spostrzegł.

Ja nie mówię po angielsku, a Drury po polsku, wobec czego trzeba było zaprosić na trzeciego tłumacza. Znalazłem go w osobie jednego z moich licznych przyjaciół, a ponieważ Drury go także znał, ułatwiło to sytuację.

Do stołu zasiadliśmy w cztery osoby. Zosia ma to do siebie, że lubi gości i zna się na kuchni, więc na stole znalazły się różne polskie smakołyki i nalewki, którymi postanowiliśmy olśnić przybysza z dzikiej, „pachnącej żywicą” Kanady. Trzeba mu oddać sprawiedliwość, nie pominął na stole żadnego półmiska i żadnej butelki, ale był niczym w porównaniu z tłumaczem, którego żadne przypomnienie jego obowiązków nie mogło oderwać od jadła, a szczególnie od napoju.

Po posiłku zasiadliśmy z Drury'm na werandzie, a między nami tłumacz, wyglądający dla mojego doświadczonego oka dość podejrzanie. Drury rozpoczął od pytania, jak sobie wyobrażam przyszłość. Zwracając się bokiem do przwajciela, wypowiedziałem na ten temat kilka sceptycznych uwag i zamilkłem, czekając na angielskie tłumaczenie. Zamiast tego usłyszałem:

— Ale ja się z tym, co powiedziałeś, zupełnie nie zgadzam.

Spojrzałem groźnie w mętne, zagazowane oczy:

— Tłumacz, jak mówię, a podyskutujemy ze sobą później.

Gniew przetań na chwilę mgłę w jego spojrzeniu i odparł ostro:

— Już ja mu to lepiej od ciebie wyjaśnię.

Po czym połał się potok angielskiej wymowy. Mówił bez przerwy kwadrans, jeśli się nie policzy czasu, straconego na pojedynkę z czkawką, która idąc mi w sukurs, robiła wszystko, by mu odebrać głos. Drury, czy coś zrozumiał, czy się domyślił, dość że patrzył na mnie pytająco, a ja bezradnie rozkładałem ręce.

Gdy ta sama scena powtórzyła się przy następnym pytaniu, spojrzałem na Drury'ego porozumiewawczo, po czym wstaliśmy i wróciliśmy do stołu i nalewek.

Do rozmów polsko-kanadyjskich tego dnia nie doszło. Tłumacza prawie na plecach wniosłem do ostatniego pociągu, idącego w kierunku Warszawy.

ZIEMIA ODDAJE PROCHY

11 maja 1946.

Dziś pochowano w Palmirach Mieczysława Niedziałkowskiego. W dniu 26 kwietnia natrafiono na jego ciało w zbiorowym grobie na Palmirach. Leżał tam razem z Janem Pohoskim i dziesiątkami innych. Znalezione przy dobrze zachowanych zwłokach sporo dokumentów osobistych, jak na przykład książeczkę wojskową i legitymację dziennikarską. Pogrzeb się odbył „na koszt państwa” w obecności całego dygnitariatu. Między innymi przemawiali Osóbka i Mikołajczyk.

Akcja ekshumacyjna nie jest jeszcze zakończona i wydobywa się coraz to nowe zwłoki. Parę dni temu znaleziono na Mokotowie ciało M. Przybyłko-Potockiej, zabitej przez „ryczącą krowę” w czasie Powstania. Od miesięcy oglądamy rozkopane placyki, skwery i podwórza. Zwykły widok na mieście — to zwaly świeżej ziemi, a obok żółte, zamaskowane sylwetki robotników miejskich, ubranych w ceratowe skafandry. Razem z nimi jakieś poświęcające się panienki, prowadzące żmudną pracę opisywania wszystkiego, co znaleziono przy zwłokach, wreszcie rodziny tych, których spodziewano się znaleźć w grobie. Wszystko to otoczone obłokiem ciężkiego zaduchu rozkładających się ciał.

I jak to często bywa przy masowych robotach, ludzie obojętnieją na pewne sprawy. Rezultatem tego jest apel matki, ogłoszony w „Gazecie Ludowej” z 4 maja, by przy ekshumacjach nie niszczono zwłok i zachowano właściwy stosunek do tego aktu.

PODZIEMIE PRZED SĄDEM I W LESIE

14 maja 1946.

Od siódmego maja toczy się przed Wojskowym Sądem Rejonowym w Warszawie proces ROAK (Ruchu Oporu Armii Krajowej). Oskarżonych jest siedemnastu, z Kocińszewskim na czele. Zostali w śledztwie nieźle spreparowani, gdyż twierdzą, iż ROAK i PSL to to samo i że kontynuując akcję podziemną, liczyli na zwycięstwo wyborcze PSL. Zarzuca im się, że zabili dwunastu ubeków i milicjantów. W trzecim dniu procesu zeznawał płk. Radosław na temat ujawnienia. Stwierdził, że nie było zasady, by dowódcy ujawniali podwładnych. Każdy decydował za siebie. Sądzę, że w tym zeznaniu mieści się zamaskowana krytyka zachowania Rzepeckiego, który, jak wiadomo, ujawnił wszystkich swoich podwładnych bez ich wiedzy i woli.

Obok tego jest wiadomość, że w Lubelskim zlikwidowano oddział Boruty. W walce poległo piętnastu partyzantów. W Ciechanowie zaś rozbito oddział, składający się z dziesięciu osób.

Jak z tego widać, amnestia nie zlikwidowała ani procesów, ani podziemia i marsz śmierci trwa dalej.

WARSZAWSCY AKROBACI

15 maja 1946.

Przeżyłem dzisiaj przykrą chwilę. Wychodziłem z sieni oficyny, stojącej w podwórzu naprzeciw bramy frontowego domu, spalonego do piwnic. Na jego murach stało paru robotników, którzy je rozbijali kilofami, cegła po cegle. Nagle krzyk, coś mignęło mi przed oczyma i razem z kąwałem muru spadł do wypalonego wnętrza człowiek. Upły-

nęła dobra chwila, nim opadł kurz. Wszedłem razem z innymi w gruzy i wydobyliśmy spod cegieł i odłamków tynku nieprzytomnego mężczyznę. Głowa rozbita, nogi i ręce każda leci w inną stronę. Położyliśmy go na podwórzowych śmieciach i ktoś pobiegł zaalarmować pogotowie.

Nic tam już było po mnie, więc poszedłem dalej za swoimi sprawami. Ta praca na murach wymaga niezwyklej odwagi i cyrkowej wprost zręczności. Robotnik stoi nieraz na wysokości paru pięter, jak bocian na gnieździe, mając pod stopami mur o szerokości jednej czy dwóch cegieł i dziubie kilofem. Nie ma żadnego zabezpieczenia, żadnego pasa, żadnego obok rusztowania, prócz drabiny, po której się dostał na górę. Jedno nieostrożne potknięcie, jeden fałszywy krok i leci w dół na cegły. A ileż razy nadwyrężony czy pęknięty mur pod nim się zawalił

Ci rozbieracze ścian to szczyt zawodowego bohaterstwa. Poza tym prawdziwi cyrkowi akrobaci.

GÓRĄ KRAKÓWI

17 maja 1946.

Doszły do nas wiadomości o zajściach akademickich w dniu 3-im maja w Krakowie. Wprawdzie to święto nie jest zakazane, ale go się nie obchodzi. Studenci w tym spokojnym mieście zdecydowali inaczej i urządzili tłumną manifestację na historycznym Rynku. Wznoszono okrzyki przeciw rządowi, gościom ze wschodu, „niech żyje niepodległość” i wszelkiego rodzaju „precze”. Przeciw manifestacji wystąpiła bezpieka i KBW. Rozległ się huk motorów i parotysięczny tłum studentów stanął oko w oko ze sprowadzonymi śpiesznie na ciężarówkach specjalnymi oddziałami, które okrążając manifestację, nadjechały ze wszystkich stron. Żołnierze pozeskakowali śpiesznie na ziemię, pochylili się lufy i każdy mógł dojrzeć w ich ciemnym otworze widmo własnej śmierci. Okrzyki zamarty i tłum znieruchomiał. Skorzystała z tego bezpieka i wtargnąwszy do środka, rozproszyła manifestację wśród strzelaniny, która się nagle wywiązała. Po paru minutach na placu boju zostali tylko ubecy i setki aresztowanych studentów. Zostały także gdzieś tam na bruku plamy krwi.

Podobno w Krakowie wzburzenie trwa. Studenci żądają zwolnienia aresztowanych. Centralna Komisja Porozumiewawcza Akademickich Organizacji Młodzieżowych wydała odezwę, wzywającą do nie ulegania prowokacji i stwierdzającą, że ofiar wśród studentów nie było. Tę ostatnią wiadomość trzeba czytać „po żydowsku”, to jest odwrotnie, czyli że ofiary były.

Muszę zrewidować swój stosunek do Krakowa. Okazuje się, że i to śpiące miasto potrafi się postawić.

CELE ŚMIERCI

Skoro już jestem przy Krakowie, to muszę wspomnieć, że otwarto tam dla publiczności siedzibę Gestapo przy ulicy Pomorskiej. Można oglądać tak zwane cele śmierci, trzy małe piwnice. Napisy na ścianach z ostatniego okresu podziemia zwykle bezimienne, na przykład jeden wzdłuż całej ściany:

„Dulce et decorum est pro patria mori”.

Ale są też i imienne:

„Mika Czesiek nie rozpacza, bo zginie za ojczyznę.
4. I. 45”.

lub:

„Marylko! Już nigdy cię nie zobaczę. Zginę z imieniem twoim i Polski na ustach. Bądź dzielna. Wszechmocny miej mnie w swojej opiece. Witold Moskalik. Kraków.
dn. 8. XII. 44, godz. 13”.

„Oleńko! Gine za sprawę. Tosiek. 11. I. 45.”

„Boże, miej w opiece wszystkich Polaków. T. Mierzyński”.

„Szach-Sroka Henryk, nawrócony bezbożnik, siedział za AK 6. VII. - 31. VII. 44.”

„Jan Flinta „Nietoperz”, wsypany przez „Fausta”
14. IV. 44, wzięty z domu”.

„Julian Sawiński, 6. I. 45, obok siedzi koleżanka Danusia, zabrana z domu za broń, dalej Piotr Kozarski kolega. 7. I. 45.”

Ślad od kuli na ścianie, a pod nim napis:

„Koledzy, zmówcie modlitwę za „Wacława”, który zmarł od kuli dn. 10. X. 44.”

Lepiej, jeśli na tym skończę. Po co rozdrapywać rany, które z takim trudem się goją. Czy to wszystko jednak było potrzebne?

W SIEDZIBIE RYDZA-SMIGŁEGO

19 maja 1946.

Byłem dzisiaj z Józefem Niecką u Spychalskiego na Klonowej, w dawnej siedzibie marszałka Rydza-Smigłego. Urzęduje tam razem z Żymierskim. Budynek tylko co odnowiony świeci świeżymi tynkami. Poza tym lśniące posadzki, okazałe, ciężkie, stylowe meble, gdańskie szafy i skrzynie oraz stara broń, porozwieszana na ścianach. Naokoło kręci się mnóstwo oficerów w nowiutkich mundurach (moda na niedbałość stroju już minęła), z zaafetowanymi twarzami, często z papierami w ręku.

Trzeba było na Spychalskiego poczekać, więc wyprowadzono nas na taras, skąd rozciągał się widok na duży ogród, widok w porównaniu z ruinami miasta niezwykle. Na tarasie spotkałem płk. Narbutta z Alu i poznałem płk. Sidora rodem z B.Ch., bodajże attaché militaire w Rzymie. Obaj uprzedzająco grzeczni. Oto młodzi, dawniej nieznanymi ludzie, robiący w nowej rzeczywistości wielkie kariery w rodzaju marszałków napoleońskich, czy, bez obrazy — legionistów w 1914-1918 roku. Rewolucja zawsze otwiera wielkie możliwości dla odważnych, którzy chcą i potrafią z niej skorzystać. Jak ci chłopcy nie mają być oddani nowej władzy, kiedy w przedwojennych warunkach mogli co najwyżej marzyć o zawrotnej karierze zawodowego podoficera?

Gdy nas wprowadzono do sali, gdzie rzucał się w oczy olbrzymi globus wysokości dorosłego człowieka, wszedł Spychalski, jak zwykle elegancki i przystojny. Tym razem był purpurowy z gniewu i zalał nas potokiem wyrzutów. Właśnie przybyła z Londynu wysłana tam przez niego misja wojskowa, by skłonić oficerów i żołnierzy do powrotu i wróciła z niczym. Spychalski pieniał się na głupotę takiej polityki, wtedy kiedy tu, w wojsku taki brak oficerów itp.

Przyszliśmy, by pomówić z nim o zwolnieniu z więzień i obozów sowieckich tych Bechowców, którzy zostali aresztowani za lubelskich czasów na terenach po prawym brzegu Wisły. Trafiliśmy jednak na złą godzinę, zaproponowaliśmy więc odroczenie rozmowy na później i opuściliśmy wściekającego się wciąż Spychalskiego.

Ciekaw jestem, czy duch Rydza-Smigłego nawiedza dawną jego siedzibę. Chyba nie, bo gdyby zobaczył, kto ją zajmuje, zmarłby po raz drugi.

LEGENDARNY GENERAL MALINOW

2 czerwca 1946.

Musiałem pójść do Ministerstwa Bezpieczeństwa, już nie na Brukową, a do nowej siedziby przy ulicy Koszykowej, w dawnym gmachu niemieckiej policji kryminalnej. Tym razem poszedłem interweniować w sprawie aresztowanych ostatnio bez żadnego powodu ludowców. Jestem przewodniczącym komisji prawniczej PSL i stąd na mnie spoczywają takie obowiązki. Dużo mnie zawsze kosztują takie wizyty, ale ktoś to musi robić, bo ludzie siedzą. Zrzuciwszy więc pychę z serca, kołaczę od czasu do czasu do różnych drzewi.

Ulica przed budynkiem zamknięta dla ruchu i innych samochodów niż bepicki, a meldować się trzeba w sąsiednim budynku, w dawnym sklepie spożywczym, przerobionym na biuro. Spotkałem w nim Jerzego Brauna, ostatniego przewodniczącego podziemnej Rady Jedności Narodowej, który, po odsiedzeniu około jednego roku, przyszedł do ministerstwa likwidować dawne sprawy i wspomnieć sobie okupacyjne czasy. Wychudł i postarzał się okropnie.

Gdy wchodziłem do biura dyrektora gabinetu ministra bezpieczeństwa, spodziewałem się zastać tam płk. Mrozka, wychowanka przedwojennej Szkoły Podchorążych Rezerwy, dąbrowszczaka, młodego człowieka niskiego raczej wzrostu, z którym tego rodzaju sprawy zawsze omawiałem, z reguły zresztą bez rezultatu. Zamiast niego siedział jednak za biurkiem były asesór sądów warszawskich, później adwokat, nazwiskiem Braude, którego z natury rzeczy zna-

łem, tak jak i on mnie. Nie dał tego jednak poznać po sobie i dokonaliśmy ceremonii przedstawienia.

Gdy go informowałem o celu wizyty, otworzyły się drzwi i wszedł... ten sam pięćdziesięcioletni mężczyzna, który blisko rok temu wkroczył do pokoju, gdzie badał mnie plk. bezpieczeństwa Romkowski. Prowadzący mnie wówczas z powrotem do celi oficer UB, wygadał się, że jest to sowiecki zwierzchnik ministra Radkiewicza. Nowo-przybyły spojrzał na mnie i po błysku oka mogłem poznać, że dojrzał w mej twarzy coś znajomego.

Braude, tak jak swego czasu Romkowski, zerwał się z krzesła na równe nogi i patrząc gościowi porozumiewawczo w oczy, powiedział po polsku, bardzo wyraźnie i wolno, tak jak się mówi do osoby słabo znającej dany język:

— Bardzo pana przepraszam, ale jestem teraz zajęty z panem Korbońskim z PSL. Jak skończę, zaraz do pana przyjdę.

Mężczyzna skinął głową, odwrócił się i wyszedł bez słowa. Zupełnie jak przed rokiem.

Takie było moje drugie spotkanie z legendarnym sowieckim generałem Malinowem (*).

ZAWIESZENIE PSL

5 czerwca 1946.

Dwa tygodnie temu, gdyż 12 maja, Ministerstwo Bezpieczeństwa ogłosiło o zawieszeniu działalności PSL w powiatach włoszczowskim i grójeckim z powodu rzekomej współpracy naszej na tym terenie z NSZ i WINem. Przy tej okazji przeprowadzono rewizje i poaresztowano sporo osób. Dziś dla odmiany dowiedzieliśmy się o takiej samej decyzji w stosunku do PSL w powiatach: Augustów, Suwałki, Pułtusk i Szczecin. Gdy się do tego doda, że z powodu terroru i aresztowań naszych ludzi w terenie musieliśmy odwołać obchody Święta Ludowego, wyzna-

(*) Według miarodajnych informacji, pod tym mianem ukrywał się generał Sierow, obecny, to jest w roku 1955, szef sowieckiej policji politycznej.

czone na 9 i 10 czerwca, to będzie się miało drobny ułamek tego, w jakich warunkach działamy.

Toteż ludzie słabsi już się łamią i odskakują. Wiemy już, że Tadeusz Rek, Edward Bertold, Bronisław Drzewiecki i Kazimierz Iwanowski zdecydowali się na inny kurs i będą go propagowali we własnym piśmie „Nowe Wyzwolenie”. Obawiam się, że takich będzie więcej.

JASKINIOWCY NA STARÓWCE

7 czerwca 1946.

Zachęcony opowiadaniem znajomego dziennikarza, który twierdził, że na pobojuwisku Starego Miasta mieszka w warunkach okresu jaskiniowego tylko 904 osoby w ruinach trzydziestu czterech domów, wybrałem się tam i, mimo że straciłem pół dnia, nie żałowałem tego.

Już na Krakowskim Przedmieściu pustka, a na Placu Zamkowym trzeba było długo czekać, nim się ukazał starszy, wynędzniały człowiek, który wynurzył się ze ściany domu, w jakiej na próżno wypatrywałem przejścia. Zapytałem go, jak się można dostać na Starówkę. Był autochtonem, więc rysując ręką w powietrzu, wyjaśnił mi, że najlepiej będzie jeśli pójde naokoło ruin katedry, przez Kanonię. Oprócz tego są tylko dwa przejścia: wąwozem ulicy Piwnej i przez sienie spalonego domu na Świętojerskiej. Innych nie ma, gdyż zwały gruzu odcięły Starówkę od świata. Na zakończenie, gdy mu dałem parę złotych, zapytał:

— A po co pan tam idzie?

— A tak sobie, zobaczyć jak tam wygląda.

Zdumiał się:

— Panie szanowny, czy to warto? Czy pan ma ruin w Warszawie za mało? Nic pan innego tam nie zobaczy, tylko gruzy i koniec.

— Ale tam ludzie jacyś mieszkają?

Stary wzruszył ramionami:

— Mówi pan, że mieszkają? To idź pan, zobacz. Tak mieszkają, że psu budy by pozazdrościli.

Poszedłem wskazaną drogą, brnąc przez zwały cegieł, tynku i połamanych belek wyraźnie zaznaczoną, wijącą

się ścieżką. Ogarnęła mnie natychmiast cisza i nastrój, jak na cmentarzu. Buty głośno zgrzytały na ostrych kantach, a puste mury oddawały głucho echo kroków. Nigdzie żywej duszy i poczułem się trochę nieswojo. Patrzyłem na trupy starych kamieniczek, a one spoglądały w milczeniu na mnie oczodołami wypalonych okien. Po półgodzinnej wędrówce ścieżkami to wspinającymi się w górę, to spadającymi w dół, dojrzałem pierwszy znak życia. Z blaszanej rury, wystającej z ruin tuż nad chodnikiem, unosiła się wąska wstążka dymu. Skierowałem się w tamtą stronę z uczuciem wędrowca, który na pustyni dojrzał blask ogniska. Moje kroki musiały zwrócić uwagę tubylców, gdyż na próg wyszła stara kobieta, patrząc na mnie z ciekawością. Powiedziałem jej dzień dobry i zapytałem co słysząc. Odpowiedziała pytaniem:

— Czy pan z milicji, czy z magistratu?

Roześmiałem się:

— Ani jedno, ani drugie. Bawię się w turystę i idę obejrzeć Rynek Starego Miasta.

— Chyba ruiny Rynku? — poprawiła sceptycznie.

— Jak tu się pani żyje?

— A jak się może żyć w takich gruzach? Stara jestem, to wróciłam na dawne śmiecie, bo gdzie mnie tam wędrować po Warszawie. Tu się urodziłam i tu umrę. Dzieci pomagają, więc mam co jeść, piwnica ma sufit cały, więc sobie tutaj mieszkam.

— A i piecyk też pani zdobyła...

— A mam żelazną „kozę”, którą sobie wyrzycztowałam i na niej gotuję.

— A jest też do kogo usta otworzyć?

Kobieta się ożywiła:

— Właściwie to nie ma. Na tej ulicy, prócz mnie, nie mieszka nikt. Najbliżsi sąsiedzi są parę ulic dalej, a potem dopiero na wybrzeżu, blisko Rybaków, w bunkrach niemieckich mieszka parę rodzin.

— A z czego ci ludzie żyją? — kontynuowałem badanie.

— Zbierają po gruzach stare żelazo i sprzedają, albo też kopią po piwnicach i szukają skarbów. Czasami coś wykopią.

Zwróciłem uwagę na stado gołębi, krążące w powietrzu:

— Ooo, widzę, że gołębie pozostały wierne Starówce...

— A tak, przeżyły Powstanie i po staremu tu się gnieźdzą. Jak pan teraz pójdzie na Rynek, to pan ich więcej zobaczy i pewno jedną starą wariatkę, Majchrzakową, która uważa je za swoje dzieci i koło nich chodzi.

Pobrnąłem dalej i wszedłszy na zwal gruzów wpoprzek ulicy, obrzuciłem wzrokiem sławny zabytek. Rynek przypominał dół, czy studnię o obsuniętych brzegach. W środku, dokąd dochodziły z paru stron wydeptane ścieżki, stała stara kobieta i rzucała pokarm gołębiom, krążącym obok niej całą chmarą. W słońcu błyszczało ziarno, rzucane na wolny w tym miejscu od gruzu kawałek bruku, a ptaki, podrywając się i siadając, łopotały skrzydłami. Prawdziwie sielski widok na tle czworokątu wypalonych murów, ozdobionych kolorową, łowicką wycinanką resztek polichromii. Usiadłem na kawałku muru i patrzyłem przez parę minut na kobietę i ptaki, żałując, że nie jestem malarzem.

Gdy znalazłem się z powrotem o zmroku wśród ludzi na Nowym Świecie, opanował mnie nagły przypływ radości życia. Ulica wydała mi się zalaną potokami światła, mimo że tylko kilka latarni rzucało skąpe światło, rzadcy przechodnie robili wrażenie gęstego tłumu, a kilka lepiej ubranych kobiet poraziło mnie swym paryskim szykiem. Zachciało mi się jeszcze więcej światła i ludzi i wpadłem do „Kopciuszka” w Alejach...

DO WIDZENIA, PANIE HRABIO!

12 czerwca 1946.

Wpadliśmy wieczorem z Zosią i parą przyjaciół do „Canaletta” na Żulińskiego, by coś przekąsić. Gdy zajęliśmy miejsca, zauważyłem w sąsiedniej łoży paru „postępowych katolików” z grupy Piaseckiego, między innymi Stanisława Briesemeistra, siedzących w towarzystwie dwóch przystojnych pańienek. Nie byłoby w tym nic szczególnego, gdyby nie strój ładnych blondynek, wyglądających na bliźniaczki. Wiadome było, że Ministerstwo Bezpieczeństwa otrzymało niedawno przydział dobrego mate-

riału zagranicznego w szkocką kratę, który rozdzieliło między swoje pracowniczki. Jeśli zatem zauważyło się na mieście osobę płci pięknej, paradującą w odpowiedniej kombinacji kolorów i deseni, można było z góry przyjąć, że to ubeczka. A że kolor czerwony odgrywał w tych szatach zawsze dużą rolę, można było te panienki spostrzec łatwo i z daleka. Kolor alarmował, jak czerwone światło na rogu ulicy. I nas teraz zaalarmował, gdyż obie panienki były ubrane w suknie w czerwoną, szkocką kratę.

Ożywiony Briesemeister, zauważywszy nasze spojrzenia, stracił trochę na humorze i zakręcił się na krześle niespokojnie. Towarzysząca nam para, dobrzy znajomi Briesemeistra, postanowiła nie ułatwiać mu życia i puściła głośno parę dowcipów na temat krat na sukienkach, które przypominają do złudzenia inne kraty. Złe samopoczucie Briesemeistra i jego towarzyszy widocznie wzrosło, ale wejście Dominika Horodyńskiego przywróciło zachwianą równowagę ducha. Był widocznie oczekiwany, gdyż męska połowa towarzystwa witała go głośno i z wylaniem. Gdy zbliżył się moment powitania panienek, które z zażenowanym zaciekawieniem przyglądały się przystojnemu przybyszowi, usłyszeliśmy głos Briesemeistra, przedstawiającego Horodyńskiego:

— Pan hrabia!

Czekaliśmy na nazwisko, ale nie padło. Pan hrabia, kropka i koniec. Panienki splonęły rumieńcem szczęścia, a Horodyński, jak przystało na prawdziwego arystokratę, wyciągnął niedbałym ruchem w ich kierunku dwa palce. Ustąpiono mu miejsca przy panienkach i Horodyński z wyniosłą miną zaczął je zabawiać.

Plotkując na temat sąsiadów, zgodnie doszliśmy do wniosku, że staliśmy się przypadkowymi świadkami, jak katolicy wyrabiają sobie stosunki z żeńską połową bezpieki. A że ludowa demokracja ma w prywatnym życiu dużą słabość do arystokracji, więc na kredyt dodano „hrabia” do nazwiska głównej atrakcji, by jeszcze bardziej olśnić „okratowane” panienki.

Teraz Horodyński zauważył nas, uklonił się i pojawił się widocznie, co znaczą ironiczne uśmiešky na naszych twarzach, zarumienił się po czubek włosów. Zepsuliśmy cały nastrój czy robotę, bo za chwilę sąsiedni stolik zapła-

cił rachunek i wszyscy wyszli. Horodyński, wychodząc, skłonił lekko głowę. Odpowiedzieliśmy zgodnym chórem:
— Do widzenia panu hrabiemu!

Ale co by powiedziała pani dyrektor departamentu politycznego Ministerstwa Bezpieczeństwa, Luna Brystygierowa, gdyby zobaczyła przedmiot swego zainteresowania w towarzystwie przystojnych, podwładnych panicnek z bezpieki! Sądzę, że nie tylko Horodyński, ale i panienki miałyby się z pyszna. Z panią Luną nie ma żartów!

A CHCE PAN W MORDE?

18 czerwca 1946.

Wróciłem tylko co z „Romy”, gdzie narobiłem trochę zamieszania, przemawiając w imieniu PSL na zgromadzeniu, zwołanym przez „Ogólnopolską Ligę dla Walki z Rasizmem”, pod hasłem „Naród polski w walce o godność człowieka”. Był to pierwszy wiec dla szerokiej publiczności bez biletów wstępu i kontroli przy wejściu, więc z tego względu zapowiadał się ciekawie. Przewodniczył poseł do KRN, Górecki, z wyglądu i mowy inteligent dużej klasy. Przede mną mówił poseł Bieńkowski z PPR, poseł Cyraniewicz z PPS oraz z londyńczyków Michał Pankiewicz i profesor Górka ze Stronnictwa Demokratycznego. Sala wypełniona po brzegi, w tym sporo Peeselowców z Warszawy, których znajome twarze spostrzegłem zaraz w drugim rzędzie, tuż za mówcami.

Zarówno przemówienie Góreckiego, który zagaił zebranie, jak i następnych, wyprowadziło mnie z równowagi. W kraju pełne więzienia, bezpieczeństwa robi z ludźmi co chce, żadnych praw obywatelskich się nie uznaje, a oni wszyscy piętnują tylko zachód, a o stosunkach w kraju, prócz pochwał, ani jednego krytycznego słowa. Zresztą przemówienia były jałowe i sala znudzona. Atmosfera zakłamania ciążyła na słuchaczach i hamowała każdy żywszy odruch.

Gdy przyszła kolej na mnie, postanowiłem z tym skończyć i rozpocząłem przemówienie od słów:

— Walkę o godność człowieka musimy rozpocząć od kraju, w którym stosunki pozostawiają wiele do życzenia.

Przerwało mi z miejsca parę oklasków, które w chwilę później rozszerzyły się na sporą część sali. Rzecz charakterystyczna, że im dalej od przodu, tym więcej rąk klasnęło. W pierwszym rzędzie nikt nie bił brawa, natomiast wszyscy przyglądali mi się z niezwykłym zaciekawieniem. Ale już drugi rząd szalał.

Trzymając się mocno na wodzy, zacząłem mówić w sposób bardzo spokojny o potrzebie zabezpieczenia człowieka przed bezprawnym pozbawianiem wolności, o konieczności przywrócenia swobodnej działalności politycznej, o zagwarantowaniu wolności prasy, słowa, zgromadzeń itp.

Sala raz po raz przerywała mi oklaskami. Przodował drugi rząd, w tym dwaj młodzi chłopcy, siedzący za Cyrankiewiczem. Górecki, z ręką na dzwonku, patrzył z niepokojem w moją stronę. Gdy znów po jakimś mocniejszym zdaniu rozległy się oklaski i przestałem mówić na chwilę, zauważyłem, że Cyrankiewicz nachylił się do klaszczących za nim chłopców i coś im powiedział. Z kolei chłopcy nachylili się do Cyrankiewicza, widocznie mu odpowiadając. Cyrankiewicz zerwał się z miejsca, jak oparzony, i szybko wyszedł. Teraz z kolei chłopcy wysunęli się pośpiesznie ze swoich krzeseł, ale poszli w przeciwnym niż on kierunku.

Po wiecu podeszła do mnie rozpromieniona Zosia i wyszliśmy razem. Na Nowogrodzkiej zbliżyli się do nas chłopcy z drugiego rzędu:

— Dzień dobry, panie prezesie! Doskonale im pan wszystko wygarnął. Mieliśmy uciechy co niemiara.

— A co wam powiedział Cyrankiewicz? — zapytałem.

— Kazał nam przestać bić brawo.

— A co wy jemu na to?

— Myyy? Niiic... Tylko zapytaliśmy, czy chce dostać po mordzie...

— No, to lepiej wiejcie do domu, by was tu bezpieka nie odnalazła.

— Ma pan rację. Do widzenia panie prezesie!

I dwaj niedoszli „mordobijcy” śpiesznie się oddalili.

PALMIRY, POLANA ŚMIERCI

23 czerwca 1946.

Dziś, w niedzielę, odbył się w Palmirach pogrzeb śp. marszałka Sejmu, Macieja Rataja. Zwłoki jego zostały odnalezione już 25 kwietnia w zbiorowej mogile, jako dwunaste z rzędu. Nie miał opaski na oczach. Znalezione przy nim masę rzeczy: laskę, portfel z dokumentami, przedwojenny dowód osobisty, bilet wizytowy: „Maciej Rataj — Sejm”, listy adresowane na Hożą 14 i szereg drobniaków. Zwłoki pochowano prowizorycznie i dopiero wczoraj, w przeddzień pogrzebu, przełożono je w mojej obecności do metalowej trumny.

Jechałem na Palmiry z uczuciem głębokiego smutku. Nie ma w Warszawie człowieka, któryby nie znał tej nazwy. Przez szereg lat każde usta wymawiały ją z grozą i rozpaczą. Stała się ona, tak jak Oświęcim czy Majdanek, synonimem masowego mordu i obłędnej zbrodni. Był to niemiecki Katyń, tyle że bliższy Warszawie, wtedy kiedy tamten leżał daleko na wschodzie. Bliższy także dlatego, że zasiały go pokotem przede wszystkim trupy warszawiaków. Już w 1940 roku zaczęły krążyć po stolicy wieści, znoszone przez chłopów z Palmir, o tym, jak nocą pędzą przez wieś ciężarówki, wypełnione zbitą masą stojących, milczących postaci i jak później dochodzi z pobliskiego lasu trzaskanie salw karabinowych, pomnożone przez echo. Sam wiele razy miałem w rękę zdjęcia z Palmir, robione przez Niemców w czasie wyjątkowych, dziennych egzekucji. Szczególnie dwa utkwiły mi w pamięci. Jedno, to około dwustu mężczyzn z workami na głowach, ustawionych w dwuszeregu na tle lasu i piaszczystej wydmy, a naprzeciw nich takież dwuszereg żandarmów z karabinami, gotowymi do strzału. Drugie, to ścieżka w lesie, idąca pod górę, a na niej szereg bosych kobiet, każda prowadzona pod rękę przez żandarma, niosącego karabin w drugiej. Zdjęcie, robione z tyłu, pokazuje tylko plecy i bosc nogi idących kobiet. Nie wymagało ono żadnego komentarza. Żandarmi prowadzili kobiety na egzekucję.

Na dwudziestym drugim kilometrze betonowej autostrady do Modlina skręciliśmy w lewo i minąwszy parę

chałup, wjechaliśmy w sosnowy las. Droga kręta i dość kiepska, więc samochód szedł wolno, kołysząc się z boku na bok, jak łódka na falach. Gdy się zatrzymał, wyszedłem na skraj lasu i rzuciłem okiem przed siebie.

Przedemną, w ostrym, rażącym świetle południowego słońca, leżała ogromna, prostokątna, piaszczysta polana, otoczona ze wszystkich stron sosnowym lasem. W powietrzu zapach rozgrzanych sosn, żywicy i piasku, poza tym spokój i cisza, której nie zakłócał żaden głos. Na prawo, na skraju polany wielki, drewniany krzyż z cierniową koroną, który jedynie mógł wskazywać, że nie jest to zwykła leśna polana.

Dojrzałem daleko przed sobą grupkę ludzi i pobrnąłem naprzelaj w ich kierunku. Krocząc po rzadkiej trawie, a czasami grzęznąc po kostki w czystym piasku, myślałem o stosach ciał, leżących w ziemi, po której stąkam. Po drodze mijalem już częściowo odkopane mogiły i indywidualne groby tych, których już wydobyto i rozpoznano, oznaczone prowizorycznymi drewnianymi krzyżkami z imieniem i nazwiskiem.

Gdy przesunąłem się przez grupę znajomych osób, otaczających coś zwartym kołem, spostrzegłem na ziemi trumnę, a w niej zwłoki. Rozpoznałem je natychmiast. Rysy twarzy już zniekształcone, ale znajoma broda, długie, rasowe ręce i dobrze zapamiętane ubranie na szczupłym ciele nie pozostawiały żadnych wątpliwości. Miałem przed sobą zwłoki Rataja.

Postawszy chwilę przy krzątających się obok nowej trumny grabarzach, odszedłem na bok i zapaliłem papierosa, by zabić przykry odór. W pobliżu stał mężczyzna w zniszczonym mundurze z zielonymi wylogami, z dubeltówką na ramieniu. Wyciągnąłem do niego pudełko. Wziął z chęcią papierosa i westchnął:

— Teraz pan Rataj, a przed tym pan Niedziałkowski...

Zaciągnąłem się głęboko i zapytałem:

— Pan z tutejszych lasów?

— Tak, ja tutejszy gajowy.

— A na ile obliczacie ilość rozstrzelanych na tej polanie?

— Komisja z Warszawy mówiła, że będzie około dziesięciu tysięcy.

— A widział pan kiedy egzekucję?

— Raz tylko i to mi wystarczy na całe życie. Przywozili psy ze sobą, więc nie było bezpiecznie kręcić się po lesie, ale nim to wiedziałem, raz zaryzykowałem.

— I co pan widział?

— Było ciemno, ale świecili reflektorami, więc z daleka widziałem, jak ich wyładowali z ciężarówek i prowadzili, otoczonych ze wszystkich stron przez żandarmów z karabinami. Potem ustawili rzędem i wtedy usłyszałem pierwsze okropne krzyki. A później salwa po salwie i jeszcze gorsze jęki i wołania. Jak skończyli strzelanie, przyszedł od strony samochodów nowy tłum mężczyzn pod strażą i ci powrzucali trupy do wykopanych z góry dołów i wszystko zrównali tak, by nie został żaden ślad. Ci mężczyźni to byli Żydzi z Pawiaka, grabarze. My, gajowi szukaliśmy później świeżo skopanej ziemi, znaczyliśmy te miejsca przeważnie w ten sposób, że na starych pieńkach wbijaliśmy gilzę od naboju karabinowego w kierunku, wskazującym mogiłę, a odległość w krokach notowaliśmy w domu. W ten sposób teraz wskazujemy, gdzie kopać.

W dzień pogrzebu, dzisiaj, wstąpiliśmy z Zosią najpierw na Szucha, do Mikołajczyka, gdyż prosił, żeby pojechać razem z nim. Marudził jakoś, więc ruszyliśmy dość późno starym, wielkim Horch'em, razem z Marią Hulewiczową i dwoma bezpiecznikami z ochrony. Jak tylko dotarliśmy do modlińskiej autostrady, zrobił się wielki tłok. Tysiące samochodów, bryczek, wozów i rowerów zapchało drogę i trzeba było posuwać się krok za krokiem. Mikołajczyk raz po raz spoglądał ze zdenerwowaniem na zegarek:

— Spóźniamy się...

Gdy dojechaliśmy na miejsce, salutowani po drodze przez straż porządkową PSL z zielonymi opaskami na rękawach, wejście na polanę było już zamknięte kordonem wojska, za którym widać było w jasnym świetle czerwonego słońca nieprzeliczone tłumy. Mikołajczyk i Hulewiczowa poszli przodem między szpalerem żołnierzy, Zosią i ja za nimi. Już z daleka zauważyłem Bieruta, siedzącego w pierwszym rzędzie naprzeciw ołtarza, a za nim Spychalskiego, Grabskiego, posła czechosłowackiego Heireta, generała Rómmła, generała Borutę-Spiechowicza i innych dygnitarzy. Tłum ten był otoczony płotem oficerskich mun-

durów ochrony. Więc jednak spóźniliśmy się. Mikołajczyk podszedł zaraz do Bieruta, by się przywitać i usprawiedliwić. Spostrzegłem, że Bierut, słuchając wyjaśnień, kiwa głową z kwaśną miną.

Stanęliśmy z Zosią z boku, rozglądając się po otoczeniu. Cała polana była zalana olbrzymim tłumem ludzi. Nad morzem głów powiewały setki sztandarów, w tym czterysta dwadzieścia jeden należących do PSL, z wstęgami krepowymi na drzewcach. Zebrało się tutaj około czterdziestu tysięcy ludzi, by oddać ostatnią posługę Ratajowi, a wśród nich delegacje z całej Polski i ze wszystkich stronnictw i organizacji.

Trumna, okryta białą-czerwoną flagą i zielonym sztandarem PSL, stała na katafalku, otoczonym strażą honorową B.Ch., przed ołtarzem umajonym świerczyną, gdzie ksiądz Jan Zieja już zaczął odprawiać mszę. Po paru minutach zamieszania, spowodowanego naszym spóźnionym przybyciem, zapanowała z powrotem cisza, w której rozlegały się tylko słowa łacińskiego rytuału i śpiewne inwokacje.

Pogrzeżyłem się w myślach o Rataju, którego niezmiernie ceniłem i z którym przeżyłem pierwsze miesiące okupacji w codziennym kontakcie. Jego aresztowanie było jednym z pierwszych ciosów, jakie spadły na nasze podziemie. A później wiadomość o egzekucji, wreszcie śmierć córki Hanki, wnuczka Macieja i zięcia Tadeusza Stankiewicza w czasie Powstania...

Rozmyślenia przerwał mi rytmiczny stukot motoru lotniczego. Spojrzałem w górę i zobaczyłem mały samolot, zataczający kręgi nad polaną. Tysiące głów podniosło się do góry, obserwując ewolucje. Nagle od samolotu odezwała się biała paczka i masa ulotek zaczęła powoli opadać na zgromadzonych w dole ludzi. Za chwilę śnieg białych kartek spadł nam pod stopy.

Podniosłem jedną z nich, przeczytałem i spojrzałem na Bieruta. Gdyby spojrzenia mogły zabijać, już dawno by nie żył. Setki ludzi naokoło spojrzało tak samo. Bierut wy czuł coś w tych spojrzeniach, bo zwrócił się do stojącego obok szefa kancelarii, Gubrynowicza, z zapytaniem najwidoczniej na temat ulotek. Ale nim ten zdążył wyszeptać

odpowiedź, podeszła do Bieruta nasza działaczka S. i podniesionym głosem wykrzyknęła:

— To oburzające! To wprost świętokradztwo! Jak pan mógł pozwolić, by w czasie tego pogrzebu zrucano propagandowe ulotki?

W tłumie, czy to słyszącym te słowa, czy też orientującym się po gwałtownych ruchach S. o co chodzi, przeleciał lekki pomruk. Bierut zarumienił się i pochylił do S., tłumacząc jej coś półgłosem, wtedy kiedy otaczająca go ochrona, porozumiewszy się wzrokiem, ścisnęła szeregi i posunęła się ku niemu. W międzyczasie samolot odleciał.

Ulotkę schowałem do kieszeni na pamiątkę. Zawierała wezwanie PPR do głosowania w zbliżającym się referendum „trzy razy tak”.

Po płomiennym kazaniu księdza Zieji, który nie krępując się obecnością Bieruta i innych, nawoływał do walki o prawdziwą wolność i demokrację, rozpoczęły się przemówienia pożegnalne, dekoracja trumny krzyżem Grunwaldu, ostatnia defilada, poczem złożono trumnę w niedalekim grobie, sąsiadującym z mogiłą przyjaciela Rataja, Mieczysława Niedziałkowskiego.

W czasie długich przemówień odszedłem na bok, by obejrzeć peeselowców z Warszawy. Stali setkami pod transparentami: „Koło Rejonowe Powiśle”, „Koło Rejonowe Placu Trzech Krzyży”, „Koło Zakładowe Wodociągi i Kanalizacja”, „Warszawa-Praga”, „Koło Służewiec-Wyścigi” itp. ...

Zorientowałem się, że może to jest jedyna okazja, by zrobić coś w rodzaju przeglądu całej warszawskiej organizacji PSL. W takiej liczbie bowiem możemy się spotykać tylko na pogrzebach. Gdzie indziej nam nie pozwolą. Szedłem więc od jednego transparentu do drugiego, wymieniając pozdrowienia i ściskając ręce. Pod transparentami gromadki chłopców i dziewcząt ubrane z miejska. Nie potrzebowałem pytać, kto zacytował. Dla doświadczonego oka wystarczyło raz spojrzeć, by rozpoznać dawne warszawskie AK. W innym miejscu cyklistówki, zniszczone kapelusze i silny uścisk spracowanych dłoni. To członkowie kół fabrycznych. Te koła najczęściej boją PPR. Toć parę dni temu „Głos Ludu” opublikował wspólną odezwę

PPR i PPS przeciw „chłopom z Marszałkowskiej”, atakując pomysł organizowania PSL w mieście. A mamy już w Warszawie około czterech tysięcy członków. Natrafiłem też na twarze, których ogorzala cera wskazywała na pracę w polu. To znów podmiejscy chłopci-ogrodnicy, tak zwani „badylarze”. Trafiali się także pod napisami ze Śródmieścia ludzie w ciemnych garniturach, o wyglądzie, który mówił, że się ma do czynienia z miejską inteligencją.

W jednym miejscu, tuż obok młodej pary chłopca i dziewczyny, trzymających drzewca transparentu, stał starszy mężczyzna, postać jak z portretów Kossaka, tyle że bez ulańskiego czaka na głowie. Siwa czupryna, sucha rasowa twarz, orli nos, krzaczaste brwi i sumiaty wąs. Sfotografowano go tak i mam to zdjęcie. Z jakiego środowiska pochodził, miał to wypisane na twarzy.

Odciągnął mnie na bok i szeptał gorączkowo:

— W was cała nadzieja. Jeśli wy nie uratujecie kraju, nikt tego nie zrobi. Myśmy się już skończyli. Na was przyszła kolej.

Uściśnąłem mu rękę bez słowa i posuwając się dalej, zbliżyłem się do kompanii honorowej, stojącej w pobliżu grobu Rataja. Wielecy chłopcy, jak to było widać po twarzach, ubrani w nowe mundury prezentowali się doskonale. Już Polacy mają to do siebie, że w mundurach wyglądają znacznie lepiej, niż w cywilu. Przed ich frontem chodził w tę i z powrotem młody, szczupły oficer o przystojnej, męskiej twarzy, w mundurze pułkownika. Wyglądał, jak rasowy żołnierz i patrzyłem na niego z prawdziwą przyjemnością. Gdy ktoś krzyknął: „Pułkowniku Zarzycki”, do przyjemności dołączyła się ciekawość. Miałem przed sobą byłego wychowanka szkoły kadetów w Rawiczu, Neugebauera, bratanka znanego generała legionisty, chłopca wychowanego w rodzinie, gdzie królował kult Piłsudskiego. Jakimi drogami doszedł do tego, aby zostać w podziemiu instruktorem komunistycznej Gwardii Ludowej? Jaki proces przeszedł ten młody człowiek z innego świata, niż ten w którym obecnie się obraca? Długo się nad tym głowiłem, ale nie mogłem znaleźć odpowiedzi.

Gdy po pogrzebie wracaliśmy z Mikołajczykiem do czekającego w pobliżu auta, otoczył nas tłum i rozpoczęła

się burzliwa manifestacja. Przepychając się przez wiwatu-
jących ludzi, dobrnęliśmy z trudem do samochodu i ruszy-
liśmy wolno, krok za krokiem. Tłum szedł po bokach dro-
gi, wybiegał przed auto, przez szyby zaglądały rozpro-
mienione twarze i otwarte, krzyczące usta. Gdy wreszcie
wvdobyliśmy się z ciżby, zwróciłem się do zamyślnego
Mikołajczyka:

— Nie daj Boże, abyśmy zawiedli te nadzieje...

24 czerwca 1946.

Musiałem pójść zaraz od rana do miejskiego Urzędu
Bezpieczeństwa, by interweniować w sprawie kilkudziesięciu
peeselowców, którzy wracając wczoraj z pogrzebu,
przejechali ciężarówkami przez miasto z podniesionymi
sztańdami i transparentami, wznosząc „antypaństwowe”
okrzyki, za co ich aresztowano.

Dwaj oficerowie byli nastawieni bardzo wrogo. Wda-
łem się z nimi w dyskusję na temat okrzyków i zapytałem,
które z nich były antypaństwowe. Starszy zajrzał do pro-
tokółu i wyjaśnił:

— Wrzeszczeli na całe gardło: „Niech żyje wolność,
niech żyje niepodległość”.

— Cóż w tym złego? — zapytałem perfidnie — że tak
się cieszą z odzyskanej wolności? Przecież to są okrzyki
państwowe i pozytywne.

Oficer spojrzał na mnie krzywym okiem:

— Niech pan nie robi ze mnie wariata. Pan wie
dobrze, co oni mieli na myśli,

REFERENDUM

28 czerwca 1946.

W związku z głosowaniem w referendum, które ma się
odbyć pojutrze, jesteśmy od pogrzebu Rataja w nieustan-
nej gorączce. Na nasze domaganie się wyborów, gdyż
między innymi Naczelny Komitet Wykonawczy PSL obra-
dujący 10 i 11 kwietnia zażądał wyznaczenia ich na lipiec,
„czynniki miarodajne” odpowiedziały zorganizowaniem
referendum, w którym chcą przeprowadzić próbę sił. Uło-

żono tekst pytań w ten sposób, by trudno było na nie odpowiedzieć „nie” i rozpoczęto propagandę za „tak” na każde pytanie. Od chwili opublikowania w dniu 11 maja tekstów pytań, po całym kraju rozbrzmiewa hasło: „Trzy razy tak”. A zostały one sformułowane w sposób następujący:

1) Czy jesteś za zniesieniem Senatu?

2) Czy chcesz utrwalenia w przyszłej konstytucji ustroju gospodarczego, wprowadzonego przez reformę rolną i unarodowienia podstawowych gałęzi gospodarki krajowej z zachowaniem ustawowych uprawnień inicjatywy prywatnej?

3) Czy chcesz utrwalenia zachodnich granic państwa polskiego na Bałtyku, Odrze i Nissie Łużyckiej?

Znaleźliśmy się jako stronnictwo w ciężkiej sytuacji. Wszystkie trzy pytania generalnie odpowiadały naszemu programowi i merytorycznie rzecz biorąc, na każde należałoby odpowiedzieć tak. Z drugiej strony byliśmy świadomi tego, że wypowiedzenie się za „trzy razy tak” pozwoli komunistom twierdzić, że w referendum, pomyślanym przez nich jako votum zaufania kraju dla ich rządów, otrzymali poparcie całego społeczeństwa. Jak z tego wybrnąć?

Osobiście, za podstawę dla mego stanowiska przyjąłem inne, trzecie rozumowanie, podyktowane raczej względami taktycznymi, które przedstawiłem na Radzie Naczelnej PSL, gdy się zebrała dla rozstrzygnięcia, jak głosować. W małej, dusznej sali na ostatnim piętrze naszej siedziby zebrało się stu kilkudziesięciu działaczy, by debatować nad tym ważnym problemem. Mówiłem:

— Nie przyjmujemy rozgrywki w referendum, którą PPR chce nam narzucić. To tak zwane „głosowanie ludowe”, to manewry przed wojną wyborczą. PPR chce w nich sprawdzić, czy i jakie mamy poparcie w masach ludności i jak szeroko sięga oraz jak jest sprawna nasza organizacja. W zależności od wyników referendum nastąpi takie czy inne przygotowanie wyborów. Nie odkrywajmy zawczasu naszych kart i nie ujawniajmy jeszcze naszej siły, którą sami znamy i sprawdzać nie potrzebujemy. Zachowajmy wszystkie atuty na wybory, do których naturalnie musimy iść oddzielnie. Mniejsza szkoda powstanie, jeśli teraz bę-

dziemy głosować trzy razy „tak”, niż gdybyśmy wyłożyli wszystko na stół przedwcześnie, już w referendum.

Gdy się zebrała w bocznym pokoju komisja polityczna, której zadaniem było wybranie i zaproponowanie Radzie odpowiedniej decyzji, cztery osoby na pięć, w tym ja również, wypowiedziały się za „trzy razy tak”. Gdy obrady komisji dobiegały końca, w pokoju zjawił się Mikołajczyk. Poinformowany o naszych poglądach sposepniał i zabrawszy przewodniczącego komisji, wyszedł na schody. Po paru minutach przewodniczący wrócił i z tajemniczą miną oznajmił:

— Musimy na pierwsze głosować „nie”...

Zarzuciliśmy go pytaniami, dlaczego? Powtórzył znane argumenty Mikołajczyka za koniecznością walki z PPR już w referendum. Jeśli chodzi o wytłumaczenie ludziom, dlaczego nie chcemy skasowania Senatu, którego dawniej byliśmy przeciwnikami, to im się powie, że byłoby to sprzeczne z konstytucją z 21 roku, którą uznajemy i szanujemy, a poza tym z czasem zamienimy Senat na Naczelną Izbę Gospodarczą. Nie przekonało to nikogo i wówczas padł wystrzał z najcięższej kolubryny, który zlikwidował z miejsca wszelką opozycję. Usłyszeliśmy, że „za takim głosowaniem przemawiają jeszcze inne, ważniejsze względy, o których jednak trudno jest mówić”.

Przestaliśmy dalej pytać, gdyż każdy z nas zrozumiał, o co chodzi. Tajemnicza recepta na wyzwolenie Polski, przygotowana przez światowej sławy lekarzy i powierzona tylko Mikołajczykowi, wymagała głosowania „nie” na pierwsze pytanie.

Machnąłem ręką i opuściłem pokój. Wiara moja w tę receptę, silna na początku, jest już nieco zachwiana, ale mogę się przecież mylić. Nie było sensu jednak dłużej się opierać i komisja polityczna zaproponowała Radzie Naczelnej głosowanie na pierwsze pytanie „nie”, co Rada niezwłocznie uchwaliła.

WYGRYWAMY MECZ

29 czerwca 1946.

Parę dni temu zrobiłem Mikołajczykowi następującą propozycję:

— W dniu 29 czerwca odbędzie się na Stadionie Wojska Polskiego mecz piłki nożnej Jugosławia-Polska. Ułożyłem się z naszymi peeselowcami, że zakupią dla mnie łożę na trybunie. Do tej łoży wślizgnie się pan razem z nami już po rozpoczęciu meczu, a w czasie przerwy nasi urzędnicy demonstrację, do której powinna się przyłączyć cała publiczność.

Mikołajczyk zgodził się chętnie, więc w południe wstąpiliśmy z Zosią do niego, do domu ministrów na Szucha, a stamtąd, o dokładnie wymierzonym czasie, wyruszyliśmy na stadion na Górnąśląską. Do łoży udało nam się dotrzeć bez zwrócenia czyjejkolwiek uwagi. Mecz już był w pełnym toku i wszystkie spojrzenia skierowane na boisko. Obejrzałem się w tył na wypełnione do ostatniego miejsca trybuny. Powitały mnie tu i ówdzie dyskretne ukłony. Grupy młodych chłopców i dziewcząt były na posterunku. Jak do tego czasu wszystko w porządku. Na prawo od nas, na reprezentacyjnej środkowej trybunie dojrzałem mundury generalskie i znajome postacie ze sfer rządzących. Przede mną, na stojących miejscach, zbита masa głów. Na mecz przybyło ponad dwadzieścia tysięcy osób.

Na razie nie pozostawało nic innego, jak tylko czekać na przerwę. Zająłem się więc grą i jako weteran piłki nożnej spostrzegłem od razu, że Jugosłowianie górują nad polską drużyną kondycją fizyczną i szybkością. Przyglądając się jednak różnego rodzaju podaniom, główkom, strzałom czy „dryblowaniu”, nie zaniedbywałem obserwacji otoczenia i wkrótce zauważyłem peperowców Albrechta i Kliszkę, jak podeszli z boku i z wyrazem niepokoju na twarzy obserwują naszą łożę.

Rozległ się gwizdek sędziego na przerwę i drużyny wśród grzmotu oklasków pobiegły do szatni. Większość widzów powstawała z miejsc, by rozprostować zesztywniałe nogi. Ogarnął mnie niepokój. Za chwilę powinno się zacząć. Teraz powinien paść pierwszy okrzyk. Upłynęła jedna, po tym druga minuta — i nic. Obejrzałem się za siebie. Grupki chłopców i dziewcząt odpowiadały mi spojrzeniami, wyrażającymi gotowość, ale nikt nie zaczynał. Czekałem dalej, coraz bardziej zdenerwowany, nie wiedząc, jak sprowokować początek. Tam do diabła!

Trzeba było wyraźnie wyznaczyć tego, kto ma zacząć. Poważny błąd organizacyjny. Już zacząłem oskarżać siebie i innych, gdy nagle z górnych rzędów wychylił się młody, wysoki chłopiec i usłyszałem wołanie na cały głos:

— Panie prezesie Korboński, czy to premier Mikołajczyk jest w łoży z panem?

Odkrzyknąłem pełnym gardłem:

— Tak jest, to premier Mikołajczyk!

I wybuchła burza. Najpierw rozległy się z różnych stron gorączkowe pytania: „Gdzie?” — „Gdzie jest Mikołajczyk?” — „A tam, w dole, na lewo!” — „To Mikołajczyk, tak to on!”

Ludzie zaczęli się tłoczyć ze wszystkich stron, skacząc przez ławki. Kto jeszcze siedział, ten wstał i rozległy się pierwsze oklaski. Za chwilę klaskały wszystkie dłonie. Nagle ktoś się rozdarł: „Niech żyje Mikołajczyk!” i tyśiące głosów powtórzyło ten okrzyk. Odtąd słyszałem dookoła tylko jedno nieustające wołanie: niech żyje! Bez fałszywej skromności muszę dodać, że usłyszałem także parę razy własne nazwisko.

Tłum, stojący na przeciwległej trybunie, zafalował jak spokojna woda, gdy w nią wrzucić kamień. I stamtąd doszły okrzyki i widać było klaszczące dłonie. Nagle oderwała się od ciemnej masy jedna postać i pobiegła przez zielone boisko ku naszej łoży. Za nią druga, trzecia, dziesiąta i w ciągu minuty tysiąc osób biegło na wyścigi w naszym kierunku. Wkrótce przed łożą w dole widziałem masę rozognionych twarzy, błyszczących oczu i otwartych ust. Krzyk trwał teraz bez przerwy.

Na prawo, z podziemi pod trybunami wybiegł gęśiego sznur żołnierzy z karabinami w rękę i pokłusował dookoła boiska wzdłuż linii autowej. Jak widać, postanowiono odciąć miejsca stojące i tych, co na nich jeszcze pozostali, od boiska i tłumu przed naszą łożą. Jednak już było za późno i większość ludzi ze stojących miejsc znalazła się już na pokrytym zieloną trawą placu.

Zerknąłem na trybunę reprezentacyjną. Ujrzałem zmieszane twarze, zwrócone w naszą stronę i jakąś bezładną bieganinę.

Ale przerwa już się skończyła i na wolnej od tłumu części boiska ukazały się kolorowe koszulki graczy. Rów-

nocześnie głos w megafonach wezwał publiczność do opuszczenia boiska. Na próżno. Chociaż okrzyki już osłabły, ale tłum stał wciąż przed naszą lożą i żądał od Mikołajczyka, by przemówił. Odmawiał, nawołując do powrotu na miejsca i nie przeszkadzania dalszej grze. Wspomagaliśmy go w tym dzielnie, ucieszeni nad wyraz udaniem się imprezy, która wypadła ponad wszelkie nasze spodziewanie.

Wreszcie tłum zeszedł z boiska i gra się rozpoczęła. Ale wojska z linii autowej nie ściągnięto i gęsty kordon uzbrojonych żołnierzy oddzielił na stałe stojące miejsca od boiska. Obawiano się dalszej manifestacji po zakończeniu meczu.

Wysunęliśmy się nieznacznie przed końcem zawodów, żegnani dyskretnymi oklaskami najbliższego otoczenia. Nie pragnąłem powtórzenia się manifestacji, przewidując, że teraz nastąpiłyby masowe aresztowania i może nawet przelew krwi.

Przewidywania te były trafne. Zaledwie nasze auto znalazło się na ulicy, zaczęły nas mijać samochody, śpieszące w kierunku stadionu, pełne ubeków, żołnierzy i młodzieży w białych koszulach i czerwonych krawatach. Kontrakcja była już w toku.

Nie na tym wszakże koniec. Gdy po odwiezieniu Mikołajczyka zaszliśmy do kawiarni na Nowym Świecie, by się napić kawy i oplotkować przeżyte wydarzenia, wpadł nasz znajomy i z miejsca przybiegł do naszego stolika z ważną nowiną:

— Po meczu, około dwóch tysięcy osób, wracających z zawodów, uformowało samorzutnie pochód i ruszyło Piusa, Marszałkowską i Alejami pod gmach PSL. Po drodze krzyczeli: „niech żyje Polska, niech żyje wolność, Mikołajczyk, PSL” i tak dalej. A później przyszła kolej na różne „precze”. Wszystko to odbywało się tak szybko, że bezpieka dopiero w Alejach, przed siedzibą PSL zastąpiła im drogę i rozproszyła manifestację. Co ważniejsze jednak, demonstracja w czasie przerwy została nadana na cały kraj przez radio, które transmitowało przebieg meczu. Ktoś nie spostrzegł się w porę i nie wyłączył mikrofonu...

Odetchnął i wyciągnął do mnie rękę:

— Gratuluję z całego serca. To dziś było prawdziwe referendum. Jutro będzie tylko farsa. Wygraliście je w cuglach.

POKŁOSIE REFERENDUM

5 lipca 1946.

*„Tylko kaczka głupi ptak
Wola ciągle tak, tak, tak!
Mądry człowiek wie co chce
I na pierwsze mówi NIE.”*

Orientujemy się już na ogół, jak wypadło „głosowanie ludowe”. Według naszych obliczeń opartych na danych dostarczonych przez członków komisji głosowania, peeselowców lub sympatyków, z więcej niż dwóch tysięcy obwodów na pierwsze pytanie głosowało „nie” 83,54 %, a „tak” — 16,46 %. Naturalnie oficjalne wyniki są inne: na pierwsze — „nie” 52 %, a „tak” 68 %. Sfałszowano prawdziwy rezultat bez ceremonii.

Samo głosowanie odbyło się gładko. Dzień był piękny, słoneczny, poza tym niedziela i frekwencja głosujących bardzo duża, mimo agitacji podziemia, by zbojkotować całkowicie referendum i nie głosować wcale. To już trzecie z kolei stanowisko, jakie się w tej sprawie w kraju zarysowało. Ale najbardziej nas zastanowiło czwarte podejście, a mianowicie duża ilość głosów „nie” na wszystkie trzy pytania, czego żadna ze zwalczających się stron nie propagowała. Ogromna ilość takich głosów padła na prowincji, głównie w małych miasteczkach. Powód tego wyjaśnił mi daleki krewny z kaliskiego:

— Prawie wszyscy w naszym mieście głosowali „nie” na wszystkie trzy pytania, by im pokazać, że nie chcemy ich rządów i w ogóle nie pragniemy mieć z nimi nic wspólnego.

To spontaniczne, przez nikogo nie podsunięte stanowisko dużego procentu ludności dawało wiele do myślenia. Była w tym jasność i odwaga w określeniu negatywnego stosunku do rzeczywistości, ale nie było w tym rozumu, gdyż nie wolno było w żadnym razie na trzecie pytanie odpowiadać „nie”. Nie pozwalały na to względy między-

narodowe. Peperowcy nazywają od dawna tego rodzaju absolutną negację „wewnętrzną emigracją”.

Ludzie głosowali tajnie mimo nawoływań naszych przeciwników, by głosować jawnie i oddawać czyste kartki, co oznacza według ustawy „trzy razy tak”. Głosowaliśmy z Zosią wcześniej rano w Leśnej Podkowie, a później pojechaliśmy do Warszawy, by się rozejrzeć po mieście. Wszędzie spokój i długie ogonki przed lokalami głosowania. Ludzie stali w milczeniu, z poważnymi twarzami, czekając aż na nich przyjdzie kolej.

Wiemy już, że w kołach rządowych zapanowała konsternacja. Znają prawdziwe wyniki i są nimi przerażeni. Nie sądzili, że kraj jest tak mało przez nich opanowany. Wyobrażam sobie, jakie cięgi dostaną od właściwej władzy. Już to nasi komuniści nie mają szczęścia. W hierarchii światowej zajmują jedno z najgorszych miejsc, a tu w dodatku z referendum kłapa. Oczywiście kłapa kłapą, ale z naszych protestów nie będzie nic. Wiemy, że główny komisarz wyborczy, Wacław Barcikowski, dobrze mi znany przedwojenny, lewicujący adwokat z Warszawy, przekaże je prezydium KRN, a tam, jak wszystkie skargi, schowają je pod sukno.

Doszły do nas wieści, że w związku z głosowaniem miały miejsce gdzieś w kraju zaburzenia. Podobno jakaś strzelanina wynikła między ORMO i nieznanymi osobnikami na Śląsku, pod Strzelanami (nomen omen). W ilżeckim, w gminie Kazanie, w kaliskim i w Korycynie, pow. Sokółka, ORMO rzekomo musiało odeprzeć ataki „band” na lokale komisji wyborczych itp.

Ale komunikat jaki w tej sprawie wydało Ministerstwo Bezpieczeństwa, jest z pewnością przesadzony. Według niego, w czasie od 15 czerwca do 2 lipca miało miejsce 250 napadów, z tego 37 na członków obwodowych komisji głosowania, 63 na lokale tych komisji i 70 na działaczy PPR, PPS, LS i SD. Czternastu członków komisji zostało rzekomo zamordowanych, siedmiu rannych. Zabito w walkach 67 „bandytów”, ujęto 308. Poległo 65 ubeków, milicjantów i ormowców. Między innymi stoczono walki z „bandami” Burzy w krakowskim, Orlicza w gdańskim, Zubryda w sanockim i Orlika (Mariana Bernaciaka), który poległ.

Szkoda, że nie podali liczby peeselowców, aresztowanych przed i w dniu referendum. Wpłynęły już setki nazwisk i trzeba będzie znów deptać koło tego i żądać zwolnienia.

Najlepszy kawał zdarzył się w Krakowie. Opowiedział mi go nasz działacz z tego miasta, który przyjechał ze sprawozdaniem do Warszawy:

— Ludność w Krakowie głosowała, tak jak w całej Polsce, w większości na pierwsze pytanie „nie” i wynik byłby tak samo sfałszowany, jak gdzie indziej. Że tak się jednak nie stało, winić należy słabe nerwy peperowca, przewodniczącego okręgowej komisji wyborczej. Gdy przystąpiła ona do obliczania głosów w obecności naszych przedstawicieli, członków komisji, i okazało się, że ogromna większość kartek zawiera „nie” na pierwsze pytanie, przewodniczący poczuł się nagle chory i opuścił lokal, zdając swoje funkcje zastępcy. Po kwadransie, ten również poczuł się niedobrze i wyszedł, przekazując przewodnictwo następnemu. W ten sposób wynieśli się po kolei, za przykładem przewodniczącego, wszyscy peperowcy. Ci członkowie komisji, którzy zostali, dokończyli szybko obliczeń i natychmiast ogłosili wynik, tak że nie można go już było sfałszować. Teraz Kraków jest zagrożony represjami, bo mówi się, że jest siedzibą reakcji i peperowcy grożą, że większość ludności Krakowa zostanie przesiedlona do innych miast.

REAKCYJNY MOST

6 lipca 1946.

Trzy dni temu zawalił się nadpalony dom na Złotej. Kilka osób zabitych. Tak to mieszkańcy stolicy ciężko płacą za przywiązanie do rodzinnego miasta. Mieszkają po takich ruderach, że w normalnych czasach człowiek bałby się przekroczyć ich progu, nie mówiąc już o mieszkaniu.

Ale kiedy już jestem przy tym temacie, to dla odwrócenia smutnych myśli od tego rodzaju wypadków, muszę oddać głos jednemu z moich znajomych, którego parę dni

temu zastałem osowiałego nad ćwiartką czystej u „Maxima” na rogu Chmielnej i Marszałkowskiej:

— Pytasz, dlaczego siedzę z miną jak na stypie? Sprawa bardzo prosta. Za parę dni pójdę do kryminalu. Jestem przedsiębiorcą, specjalistą od budowy mostów i stawiam je obecnie dla rządu. Znam się na tym i mam dobry zespół techników i majstrów, więc na ogół praca idzie dobrze i zarabia się nieźle. Teraz dopiero poślizgnęła mi się noga... Dostałem do odbudowy most na rzece P. Wziąłem się ostro do roboty i budowa postępowała szybko naprzód. Ale dla nich wszystko jest za wolno. I ciągle mnie pilili, żeby szybciej, bo chcą most uroczyście otworzyć w święto narodowe 22 lipca, wiesz, w rocznicę tego ich tam lubelskiego manifestu. Zaczęli mi nawet robić aluzje, że jeśli nie zdążę na ten termin, to będzie to pachniało trochę sabotażem... Zabawiłem się więc w stachanowca i zacząłem wszystko stawiać na gwałt i naturalnie w takim pośpiechu niektóre roboty zostały wykonane na j. p. W rezultacie, most był gotów na czas, ale jak na niego wjechało na próbę parę umajonych czerwonymi flagami ciężarówek z piaskiem, to łobuz wziął, zawalił się i utonął. Teraz, ktoś za to musi pójść do kozy, więc ktoś, jeśli nie ja?

Tu mój przyjaciel nalał sobie i mnie po kieliszku i w milczeniu wypiliśmy za spokój duszy topielca, który znalazł przedwczesny grób w zimnych i ciemnych nurtach rzeki P. Chciałem go w jakiś sposób pocieszyć, ale nie wiedziałem jak, zatem na chybił-trafił zapytałem:

— A może materiał na budowę był reakcyjny i urządził sabotaż?

Gwałtownie zaprzeczył:

— Nie, prawdziwie ludowy, sprawdzony i przyjęty przez ich komisję, nawet bez pomocy łapówki.

Spojrzałem na niego z głębokim współczuciem:

— No, to rzeczywiście przyszłość twoja nie wygląda różowo.

Pożegnałem się i wyszedłem. Nie widziałem go od tej chwili przeszło rok. Wiadomo, że w ludowej demokracji „bez odsiadki życia nie ma”.

„OKO ZA OKO, ZĄB ZA ZĄB”

7 lipca 1946.

Na wzgórzu Stolzenberg, pod Gdańskiem, powieszono czwartego lipca jedenastu oprawców z pobliskiego obozu w Stutthoffie, skazanych przez sąd na śmierć. O egzekucji ogłaszano od dłuższego czasu i na oznaczony dzień około stu pięćdziesięciu tysięcy ludzi zajęło miejsca na zboczach sąsiednich pagórków. Zgromadziła ich na tym miejscu nie-pohamowana chęć odwetu i żądza zaspokojenia głodnego uczucia zemsty, które przez tyle lat okupacji musieli kryć głęboko w sobie. Wieszali byli więźniowie ze Stutthoffu, którzy na tę okazję ubrali dawne pasiaki. Pod szubienicę podjechały ciężarówki ze skazanymi i amatorami wieszania. Gdy stryczki zostały zaciągnięte na szyjach, ciężarówki ruszyły i jedenaście ciał zakolysało się na sznurach, jak na huśtawce.

Cała ta sprawa nie zasługiwałaby na wzmiankę, gdyby nie reakcja olbrzymich tłumów. Gdy rozpoczęto przygotowania do egzekucji, zaległa taka cisza, że ktoś, kto by zamknął oczy, nie byłby w stanie domyśleć się obecności w tym miejscu ponad stu tysięcy ludzi. Jednak w miarę postępu makabrycznych czynności najpierw odezwał się płacz dzieci, które też tu się niepotrzebnie znalazły, później kobiet, a wreszcie cały tłum ogarnęła histeria, zmieszana z uczuciem nieprzewyciężonej odrazy, co wspólnie wyraziło się w krzykach, płaczu i śpiesznej, masowej ucieczce z miejsca kaźni.

Jak stąd widać, daleko nam do tych Niemców z Woklau, dla których w obozie ustawiono trybuny, by regularnie i wygodnie, jak w teatrze, mogli się przyglądać egzekucjom Polaków. Pod tym względem na pewno są „rasą panów” wyższą w stosunku do nas.

POGROM ŻYDOWSKI W KIELCACH

15 lipca 1946.

Dnia 4 lipca, w godzinach porannych, zaczęto rozpuszczać w wielu punktach Kielc wiadomości, że w domu przy ulicy Planty 7, zamieszkałym wyłącznie przez Ży-

dów, zostało zabite „na mace” czy też jest trzymane przymocą polskie, katolickie dziecko. Wkrótce przed domem zgromadził się wzburzony tłum, który wdarł się do środka i w urządzonych masakrach zginęło 41 Żydów, nie mówiąc już o rannych. W związku z tym pogromem bezpieka aresztowała 62 osoby i już 9 lipca rozpoczął się proces przeciwko „pogromszczykom”, zakończony 11 lipca dwiema wyrokami śmierci. Z przebiegu procesu wynikało, że inicjatorem pogromu był niejaki Antoni Pasowski, który ukrył w swym mieszkaniu w Kielcach, w dniu 1 lipca, ośmioletniego Henryka Błaszczaka i wypuścił go po dwóch dniach, wyuczywszy przedtem, by rozповідаł, że był trzymany przez Żydów w domu przy ulicy Planty 7 z zamiarem zamordowania, ale zdołał zbiec.

Tyle, jeśli chodzi o oficjalną wersję. Natomiast według nieoficjalnych wiadomości, jakie zaczęły do nas masowo napływać z Kielc od naszych członków i sympatyków, sprawa wygląda całkowicie inaczej i wręcz nieprawdopodobnie. Okazuje się, że osoby, które rozpuszczały pogłoski po mieście, byli to notoryczni agenci bezpieki, występujący jawnie, często w obecności milicjantów, którzy zachowywali się biernie, że oni to prowadzili tłum na żydowski dom i wznosili podburzające okrzyki, że w tłumie widać było mundury milicji, że dom przy ulicy Planty 7 jest położony niedaleko od siedziby kieleckiej bezpieki, że masakra trwała z przerwami parę godzin (!) i mimo to bezpieka nie interweniowała, wreszcie, że prezes komitetu żydowskiego Kahane, później zamordowany, łączył się raz po raz telefonicznie z bezpieką i prosił o pomoc, która jednak nie nadeszła.

Dla doświadczonego oka to wystarczało. Było jasne jak słońce, że pogrom był zorganizowany przez bezpiekę według najlepszych czarnosecinnych wzorów, a że sięgnięto przy tym do starego, wypróbowanego środka carskiej ochrany, jakim był mord rytualny, więc nie trudno było się domyśleć, kto tę akcję nakazał. Pozostawało jedynie nierozwiązane pytanie, w jakim celu to zrobiono?

Mieliśmy wkrótce już gotową co do tego opinię, ale kropkę nad „i” postawiła na całej sprawie informacja, jak sądzę, umyślnie puszczona przez komunistów-Żydów. Solidarność żydowska jest rzeczą znaną, a że im nie była

w smak cała impreza w myśl zasady „dzisiaj oni a jutro my”, zatem wiadomość wyciekła na zewnątrz. Obie rzeczy, to jest nasza opinia i informacja, zgadzały się doskonale: pogrom nakazano dlatego, by zmienić nastroje Zachodu w stosunku do Polski. Na skutek bowiem wiadomości, wysłanych przez zagranicznych korespondentów, obecnych w Polsce w czasie referendum i raportów zachodnich ambasad, ujawnionych częściowo przez ich rządy, na Zachodzie, poinformowanym o cynicznym sfałszowaniu referendum, powstał silny prąd sympatii i współczucia dla Polski, tak okropnie ciemnionej i oszukanej. Jeśli więc zachód dowie się teraz o tak dzikim i okropnym wybryku, jak pogrom na tle rasowym, uczucia te zamienią się w oburzenie i odrazę. W ten sposób ujemne skutki sfałszowania referendum zostaną tam całkowicie zlikwidowane. Że zginie przy tym paru Żydów? Cóż to znaczy wobec zasady, że „u nas ludziej mnogie!”

Cały pomysł z punktu widzenia inicjatorów miał ręce i nogi. Nie przewidzieli oni tylko jednego, a mianowicie, że kieleckie społeczeństwo, nie wyłączając nawet PPR, nie pogodzi się z tym, że je obciążą zarzut urządzenia pogromu w dwudziestym wieku i że wobec tego będzie się starało wyświetlić prawdę i wskazać rzeczywistych sprawców. Nigdy nie mieliśmy tylu doniesień i z tak różnych źródeł, jak w tej sprawie. Nie trzymaliśmy ich pod korcem i po paru dniach cała Warszawa, łącznie z ambasadami, знаła już całą prawdę. Z drugiej strony, pozostali przy życiu Żydzi też nie kryli swej opinii o roli kieleckiej bezpieki w tej całej sprawie. Gdy więc w żaden sposób nie dało się usprawiedliwić jej zachowania, jedynie rozsądną myślą było odcięcie się od niej. Toteż nagle zostali aresztowani w Kielcach szef Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Sobczyński, morderca naszego rzeszowskiego działacza Kojdera, komendant Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej Kuźmiński, zastępca jego major Gwiazdowicz i komendant komisariatu Milicji Obywatelskiej, porucznik Zagórski — wszyscy „za niedość energiczną działalność władz”. Przyprawy dodała autentyczna wiadomość, że wszystkie te osoby zagroziły, że jeśli zostaną postawione przed sąd, wówczas powiedzą o pogromie całą prawdę, szczególnie kto go nakazał. Zaniechano zatem tego zamia-

ru i ograniczono się tylko do ich aresztowania na podstawie kompromisowej formułki o „niedość energicznej działalności”.

Jestem pewien zresztą, że im włos z głowy nie spadnie i że wszystko skończy się, jak zwykle w takich wypadkach, na przeniesieniu i awansie. Już tam kruk krukowi oka nie wykole.

WYROK NA GEN. MICHAJŁOWICZA

16 lipca 1946.

Ogłoszono dzisiaj, że przywódca podziemia jugosłowiańskiego, generał Michajłowicz, został skazany w Belgradzie na śmierć. Wiadomość ta zrobiła wielkie wrażenie i dała dużo do myślenia. Taki los spotyka obecnie przywódców antyniemieckiego podziemia. Czegóż w takim razie może się spodziewać Rzepecki, który właśnie siedzi i czeka na proces?

BIMBER NA INDEKSIE

17 lipca 1946.

Handel bimbrem w dalszym ciągu kwitnie i władze skarbowe mają z nim dużo kłopotu. Ale producenci tej „ognistej wody” nabrali bojowego ducha i zaczęli stosować nowoczesne środki obrony, a mianowicie minują drogi, prowadzące do bimbrowni najczęściej ukrytej w lesie, lub samotnej chacie, stojącej na uboczu. Właśnie dowiedziałem się, że wyleciała na takiej minie ciężarówka z ubekami i strażą celną, zmierzająca w nocy do leśnej kryjówki. Niedługo, a w wojnie z bimbrem będą musieli używać aparatów do wykrywania min.

KAT W RĘKAWICZKACH

22 lipca 1946.

Powieszono wczoraj na stokach cytadeli w Poznaniu Greisera, wielkorządcę „Wartegau”. Sto tysięcy ludzi patrzyło na szubienicę, widoczną na kilka kilometrów. Reakcja widzów taka, jak w czasie egzekucji na Stolzenbergu.

Sprawiedliwości stało się zadość i fortuna kołem się toczy. Ale dlaczego kata ustrojono jak na bal, we frak i białe rękawiczki, tego doprawdy nie rozumiem. To są jakieś reakcyjne pozostałości, których ludowa demokracja nie powinna tolerować. Nie rozumiem także, dlaczego nie zastosowano na przykład dobrze znanego, katyńskiego strzelania w tył głowy, a takie kosztowne ceremonie.

JAZDA „NA ŁEBKA”

26 lipca 1946.

Humor jeszcze całkowicie nie zaginął w narodzie. Widziałem rysunek, przedstawiający obecną jazdę „na łebka” i taką samą jazdę przed kilkudziesięciu laty. Podobieństwo wprost uderzające. W jednym i w drugim wypadku energiczni przedsiębiorcy, wołający: „Na Pragę, na Pragę!... Na Żolibórz!... Na Mokotów!...” — i liczący wynagrodzenie „od łebka”. Sam na własne uszy słyszałem taką wymianę zdań między przedsiębiorcą a furmanem:

— Antoś, a masz tam jeszcze wolne miejsce?

Zapytany odchrzyknął:

— Ze dwa łebki to się jeszcze dadzą wcisnąć!

W zakresie komunikacji wojna nas cofnęła o kilkadziesiąt lat. Ale za to w innym dotrzymujemy kroku najnowszym wynalazkom. Ile razy teraz idę Marszałkowską do „Kruszynki”, tyle razy słyszę na rogu Chmielnej głos przekupki:

— Wiśnie, wiśnie na sprzedaż!... Prawdziwe atomówki!...

„OGNIEM I MIECZEM”

27 lipca 1946.

Walka wszystkich ze wszystkimi trwa. Z jednej strony podziemie zabiło 3 lipca Jana Rusina, posła lubelskiego Stronnictwa Ludowego do KRN, z drugiej bezpieka zamordowała następujących naszych działaczy: 24 czerwca Jana Sygudę, sołtysa wsi Wreczyca Wielka, pow. Częstochowa; 19 czerwca w lesie pod Miedzyrzeczem Józefa Jeleśzuka, sekretarza powiatowego PSL i w nocy z 12 na

13 lipca w górach, pow. Pińczów, Michała Zachariasza, sekretarza powiatowego PSL w Pińczowie.

Tym wypadkom towarzyszy wiadomość o zabiciu na Wybrzeżu partyzanta Kaczorowskiego (Kmicica) i o likwidacji „bandy” Orlika z WINu. Stoczono z nią bitwę na terenie powiatu Garwolin i rozproszono oddział, liczący około trzystu osób. Poza tym, ogłoszono w Krakowie 12 lipca wyrok sądu wojskowego, skazujący dwunastu akademików za zajęcia trzeciomajowe na kary od czterech lat do ośmiu miesięcy więzienia. Wreszcie, rozpoczął się przed sądem wojskowym w Łodzi proces czternastu członków organizacji podziemnej „Pogotowie Akcji Specjalnej”, z Antonim Kularskim i Januszem Westfalem na czele, a w Białymstoku ogłoszono wyrok sądu wojskowego w procesie dwudziestu czterech członków WINu, z Aleksandrem Rybnikiem na czele. Siedmiu skazano na śmierć. Punktem kulminacyjnym na odcinku sądowym jest wyrok, wydany na mego znajomego, pułkownika Liniarskiego (Mścisława), dowódcę WINu w okręgu białostockim.

A zbrojne podziemie działa w dalszym ciągu. Parę tygodni temu, nieznany oddział partyzancki w sile sześćdziesięciu ludzi, ubranych w mundury wojskowe, opanował na kilka godzin miasteczko Szydłowiec. Przy tej okazji zatrzymywano i kontrolowano wszystkie przejeżdżające samochody. W dniu 16 lipca, inny oddział partyzancki w liczbie około pięćdziesięciu ludzi, zatrzymał między stacjami Stryków i Stronie pociąg Kraków-Zakopane i rozbroił wszystkich znajdujących się w nim żołnierzy. Czyżby to była akcja Ognia?

Ukraińskie podziemie też nie śpi. W powiatach Przemyśl, Jarosław, Lubaczów i Sanok oddziały banderowców i bulbowców, nieraz liczące po czterystu ludzi, niszczą „ogniem i mieczem” wsie i ludność polską, rzną bydło, wycinają sady i zostawiają gołą ziemię i niebo. W kwietniu spalili wsie polskie Bukowsko, Nowotaniec, Nagórzaniny i Puławy. Do Sanoka schroniło się około dziesięciu tysięcy pogorzańców. Według plakatów, rozlepianych przez ukraińskie podziemie, akcja ta ma na celu przeciwdziałanie wysiedleniu z tych terenów ludności ukraińskiej na Ukrainę sowiecką. Przyszła także wiadomość, że partyzanci ukraińscy spalili wieś Temeszów, pow. Brzozów.

Polaków wrzucano żywcem do ognia. Zabito także proboszcza. Walczy z nimi wojsko Żymierskiego, które dwa miesiące temu rozbiło oddział Dudy w lasach Ładowskich, województwo Rzeszów, oraz kilka oddziałów Ukraińskiej Powstańczej Armii w hrubieszowskim.

Przyznać się muszę, że nie bardzo rozumiem, co ma wspólnego palenie polskich wsi i wyrzynanie polskiej ludności, której pozwolono zostać na miejscu, z wysiedlaniem Ukraińców do Sowietów. Gdzie Krym, gdzie Rzym a gdzie karczmy babińskie? Czy to przypadkiem nie dalszy ciąg „oczyszczania terenu z wrogiego elementu”, zapoczątkowany już za okupacji niemieckiej?

POGRZEB DELEGATA RZĄDU PROF. PIEKAŁKIEWICZA

28 lipca 1946.

Wczoraj odbył się na Powązkach pogrzeb byłego Delegata Rządu, profesora Jana Piekałkiewicza. Zamordowany przez Niemców 19 czerwca 1943 roku i pochowany po wykupieniu zwłok na Brudnie, został obecnie ekshumowany i złożony w grobie rodziny Krzyżanowskich, na Powązkach. Znów smutna uroczystość, która mi przypominała niedawno minione czasy okupacyjne i moją współpracę z Piekałkiewiczem.

Pocieszyła nas trochę pani B., którą spotkaliśmy w cieniastych alejach Powązek, w ulubionej czarnej aksamitce na szyi. Była bardzo przygnębiona i z punktu zaczęła narzekać na obecne czasy:

— A weźmy na przykład dzisiejsze pogrzeby... Jakież one okropnie smuutne!...

Zosię zdziwiło to wyznanie, więc poprosiła o wyjaśnienie:

— A kiedyż to, proszę pani, pogrzeby były wesołe?

— A przed wojną, proszę pani. W kościele zawsze śpiewał ktoś na chórze, muzyka grała, jakiś kwartet czy nawet orkiestra, ludzie ubrani przyzwoicie, światła... Było na co popatrzeć i czego posłuchać. A dzisiaj?!

W ostatnich tygodniach akcja ekshumacyjna, szczególnie poległych akistów, uległa ogromnemu nasileniu. Cała

prasa pełna nekrologów, podpisanych przez różne komitety ekshumacyjne. Między innymi czytałem nekrolog firmy Krzysztof Brun i Syn o poległych dwudziestu pracownikach. Wszyscy się śpieszą, by przed rocznicą Powstania przenieść zwłoki na cmentarz AK, gdyż 1 sierpnia odbędzie się tam uroczyste poświęcenie pomnika, wzniesionego staraniem pułkownika Radosława i jego podwładnych. Pomysleć, że już upłynęło dwa lata od tej chwili, gdy stałem na rogu Koszykowej i rozległy się pierwsze strzały. Jak ten czas szybko leci!

WŚRÓD POLEGŁYCH BOHATERÓW

1 sierpnia 1946.

Parę dni temu spotkałem się rano z pułkownikiem Radosławem, wsiedliśmy w stare, otwarte auto i pomknęliśmy do Młocin. Za kierownicą siedział młody chłopak, zwracający się do Radosława służbiście per „panie pułkowniku”, więc widocznie z Kedywu, który nas szybko przeprowadził przez puste jeszcze ulice. Było wczesnie więc dość chłodno, pogoda piękna, słoneczna. Wystawiałem twarz na wiatr i słońce i rozkoszowałem się szybką jazdą, nadstawiając pilnie ucha na to, co mówił Radosław:

— Staram się utrzymać kontakt z moimi byłymi żołnierzami i pomagam im jak mogę, bo w wielu wypadkach tej pomocy potrzebują. Ułatwiam im na przykład znalezienie pracy lub przyjęcie na studia. Założyłem coś w rodzaju biura pośrednictwa pracy, poza tym różne spółdzielcze warsztaty, na przykład naprawy samochodów, i tak jakoś się wzajemnie popieramy. Utrzymuję też stały kontakt z komisjami ekshumacyjnymi i rodzicami, poszukującymi zwłok, których, jak wiecie, jest tysiące. Musimy wydobyć wszystkich naszych poległych i pochować, jak należy.

— A prowadzicie ewidencję waszych byłych żołnierzy?

— zapytałem, zaalarmowany pewną obawą.

Radosław przytaknął:

— Naturalnie. Mam przecież spisy wszystkich ujawnionych.

To wyznanie natchnęło mnie sceptycyzmem:

— To jeszcze za to wszystko będziecie siedzieć.

W międzyczasie dojechaliśmy do Młocin, szofer skre-

cił w prawo i stanęliśmy wkrótce przed niedużym, piętrowym budynkiem, u drzwi którego w postawie na baczność stał inwalida bez nogi. Prowadzeni przez niego, weszliśmy do środka i Radosław objaśniał:

— To jest ochronka dla sierot po poległych z AK. Jest ich parę setek, rozlokowanych po krewnych i różnych ludziach, niektóre w okropnej nędzy. Najbardziej potrzebujące wkrótce tu przeniesiemy. Tam będzie sala szkolna i jadalnia, a na piętrze sypialnia. Powinno się tutaj zmieścić około pięćdziesięciu sierot. Staram się też, by je adoptowali rodzice poległych. Niech im zastąpią tamtych. Sam też zdecydowałem się adoptować małą dziewczynkę...

Słuchałem tego z przygnębieniem. To niedość że tylu poległo, ale jeszcze zostały małe sieroty, które głodują. Nie ma widać dna ta nasza klęska i nędza.

Inwalida poczęstował nas na pożegnanie zbożową kawą i poinformował z zadowoleniem w głosie, że wkrótce dostanie protezę i będzie mógł poruszać się znacznie lepiej.

Po pół godzinie jazdy, stanęliśmy u wrót wojskowego cmentarza na Powązkach. Weszliśmy w szeroką, piaszczystą aleję. Radosław informował w dalszym ciągu:

— ...a teraz muszę prowadzić walkę o trupy. Co, nie chcecie wierzyć? A tak, powtarzam, walczę o trupy. Jest tutaj kwatera ALu, ale grobów na niej niewiele, toteż oni nabrali obawy, że w porównaniu do tysięcy grobów AK, ilość pogrzebanych alowców wygląda bardzo mizernie i zakazali mi dalszego grzebania zwłok na naszych kwaterach. W tej szopie — tam — leży w trumnach kilkadziesiąt zwłok, których nam nie wolno pochować. Wierzyć się nie chce, ale część ich ukradli i pochowali po kryjomu na kwaterze ALu.

Dodałem do tego własną interpretację:

— Cmentarz pokazuje prawdziwy stosunek sił w czasie Powstania. Kilku dziesięciu poległych alowców na kilka tysięcy akowców. Gdyby wcześniej dokonali tego odkrycia, z pewnością nie pozwoliliby wam na grzebanie akowców w jednym miejscu.

Doszedłem do kwater AK i stanąłem w osłupieniu, przejęty widokiem, jaki się przede mną roztoczył. Na szerokiej płaszczyźnie, obramowanej krzewami i rzadkimi drzewami, leżały w jasnym słońcu tysiące grobów. Jeden rząd

za drugim, jeden czworobok obok drugiego, jedna kolumna przy drugiej. Polegli leżeli w regularnych odstępach, sformowani w kompanie, baony i pułki, jak do defilady na Placu Saskim. Każdy w paradnych, czerwonych wyłogach kwitnących na grobach begonii i szalwi.

Okrążyliśmy wąskimi ścieżkami cały cmentarz. Radosław, krocząc przodem przed frontem zastygłych na baczność mogił, jak dowódca dokonywujący przeglądu oddziałów, objaśniał:

— Tu leży baon „Zośka”, tam „Parasol” dalej „Miotła”. Tamci są od Żywiciela, ci z „Baszty”... tutaj od „Kilińskiego” obok z baterii Kuby...

— Tego znałem dobrze. Wspaniały żołnierz i zdolny naukowiec. Tamten świetny dowódca, zapowiadał się znakomicie. Ta szesnastoletnia dziewczyna zginęła, niosąc mój raport... ten znów, osłaniając odwrót swojej kompanii...

Szedłem wzrokiem za ręką Radosława, ale patrząc na groby, widziałem cienie chłopców w panterkach i hełmach na głowie, z piętami na ramieniu, pistoletami w rękę i granatami za pasem. Patrzyłem na groby, ale widziałem dziewczęta w kombinezonach, przeciętych skórzanym pasem, z białą-czerwoną opaską na rękę — wszyscy z purpurowymi kwiatami ran na strzaskanym czole lub przedziurawionej piersi.

Litania nazwisk i faktów trwała przez całą tę długą, krzyżową drogę. Radosław pobladł, pot osiadł mu na skroniach, ale w smutnym zapamiętaniu ciągnął dalej tragiczną opowieść. Mówił o bohaterskich walkach, o niezmiernym poświęceniu i o bezgranicznej odwadze tych, którzy tu leżeli, a których ilość sięga dziesięciu tysięcy. Dziesięć tysięcy chłopców i dziewcząt w wieku od czternastu do dwudziestu pięciu lat leżało pokotem przed nami na zalanej słońcem polanie. Krew z krwi, kość z kości dzieci Warszawy, które zaćmiły sławą swą i klęską wszystko to, co stolica dotychczas w swym życiu widziała.

Doszliśmy do pomnika. Na małym placyku wśród grobów stanął na fundamencie z piaskowca wysoki, czworoboczny blok czarnego marmuru. Na jednej ze ścian napis:

„Żołnierzom Armii Krajowej, poległym
w walkach o wolność. — Towarzysze broni.”

Na przeciwległej ścianie: „Powstanie Warszawskie” i w otoku liści laurowych daty: „1. VIII. — 2. X. 1944”.

Po drugiej stronie pomnika symboliczna kotwica „P.W.” i lata: „1939 — 1945”.

Ostatnia ściana ozdobiona Krzyżem *Virtuti Militari* i słowami „*Gloria victis*”.

Rozejrzałem się dookoła i zwierzyłem z pewnego pomysłu:

— Trzeba by było rozejrzeć się tutaj za jakimś miejscem dla was, no i dla mnie.

Radosław uśmiechnął się smutno:

— Mam już dla siebie upatrzone. A i dla was też się znajdzie i, jeśli chcecie, to niedaleko mnie.

— Z przyjemnością, pułkowniku. To sobie od czasu do czasu w jaką ciepłą noc przysiadzimy na grobie i pogadamy... Ale dla mnie zarezerwujcie na dwie osoby...

W DRUGĄ ROCZNICĘ POWSTANIA

Pierwszego sierpnia miasto przybrało od rana odświeżony wygląd. W powietrzu nastrój uroczysty. Sklepy bez rozkazu pozamykane, w witrynach kwiaty i kolory biało-czerwone. Na miejscach straceń na ulicach, przy tablicach a często fotografiach, wmurowanych w ściany, poznaczone kulami plutonów egzekucyjnych, kwiaty i straż honorowa. Na rogu Alei Jerozolimskich, tuż przy Marszałkowskiej, trzymają straż dwaj byli żołnierze AK w hełmach niemieckich, z opaskami biało-czerwonymi na rękawach. Tramwaje i ulice, prowadzące na Powązki, zatłoczone do ostatniego miejsca, a na drodze na cmentarz rzeka ludzi odświeżnie ubranych, z bukietami kwiatów w ręku. Wśród nich setki przyjezdnych z Krakowa, Poznania, Śląska i Wybrzeża. To warszawiacy, rozsypańi po całej Polsce, przybyli na ten dzień do rodzinnego miasta.

Już przed bramami cmentarza tłum, a na cmentarzu samym pół Warszawy. Oczywiście nie tej oficjalnej, a tej prawdziwej. A i ludek warszawski, ten który wydał Kilińskiego i przeżył Powstanie na Starówce, stawiał się też licznie, by uczcić swoich poległych. Wśród czarnych garniturów inteligencji widać kaszkiety i czapki z Powiśla, Pragi,

z Młocin i dalekiego Służewca. Wszędzie snują się zamysłeni ludzie, szepcząc modlitwy. Setki młodych mężczyzn i kobiet z oznakami AK na piersi. Wiele osób stoi przy grobach swoich bliskich. Ci mają na twarzach świeże ślady łez. Ale najbardziej nieszczęśliwe są te samotne pary, które nie mają grobu, przy jakim mogłyby się zatrzymać i błądzą po cmentarzu bez celu. Ich mogiła leży w nieznanym miejscu, którego dotychczas nie odnaleźli, ale którego będą szukać do końca życia.

Po mszy świętej i kazaniu, kompania honorowa sprezentowała broń i wśród tysięcy zaległo milczenie, przerywane tylko szumem wiatru i szelestem liści. W ciszę tę wdziera się trzykrotnie salwa honorowa, po czym przed pomnikiem, gdzie pełnią straż harcerze, zostaje złożony pierwszy wieniec od pułkownika Radosława, a później dziesiątki innych.

Przez cały czas uroczystości tłum trzymał się na wzdzy i nikt nie stracił panowania nad sobą. Rzadko rozlega się szloch i wszyscy przeżywają smutne chwile w nastroju spokojnej powagi. Jedyne dźwięki, jaki towarzyszy głosom ptaków i szelestowi liści, to szept modlitw, wypowiadanych przez tysiące ust.

I jak poprzednio salwa, tak teraz wdzierają się w tę ciszę przejmujące dźwięki marsza żałobnego Chopina, granego przez orkiestrę wojskową. Jeśli Chopin, tworząc go, przełożył na dźwięki to co przeżywał, musiał przejść przez piekło za życia.

Przez tłum przebiegł dreszcz niepokoju, a gdy wstrząsający głos trąb bił w niebo dalej, owładnął nim histeryczny płacz. Płakało na głos tysiące mężczyzn, kobiet i dzieci. Płakali także księża i żołnierze, stojący w karnych szeregach. Ogromny szloch zagłuszał chwilami głos instrumentów.

Ale widocznie to wyładowanie było potrzebne, bo gdy dźwięki marsza ucichły, tłum zaczął opuszczać cmentarz z uczuciem widocznej ulgi. Ze łzami spłynęła rozpacz i żal, ból i zwątpienie. Przynajmniej na dzisiaj.

NAD BAŁTYKIEM

2 sierpnia 1946.

Po całonocnej podróży koleją, przyjechaliśmy pogodnym rankiem do Sopotu i po ulokowaniu się w prywatnym mieszkaniu u starszej pani, która wynajmowała pokoje, udaliśmy się na oględziny miasta. Jeśli chodzi o jego środkową część, nie odznaczało się niczym szczególnym, prócz chyba nazw ulic, jak Rokossowskiego, Stalina i Bolesława Bieruta, której w pierwszych miesiącach po objęciu Wybrzeża nadano nazwę Stefana Batorego. W krótkim jednak czasie sławny król musiał ustąpić miejsca nowemu „władcy”. Za to gęsto zalesiony wał wysokich wzgórz, oddzielających Sopot od lądu, z łańcuchem nowoczesnych will, wbudowanych umiejętnie w zbocza, otoczonych ogrodami pełnymi kwiatów, późno kwitnących krzewów i rzadkich drzew, był naprawdę urzekający. Panorama, jaka się roztaczała z tych wzgórz na morze, mogła konkurować z renomowanymi widokami słynnych zagranicznych plaż. Również ulica, prowadząca na długie, drewniane moło, zwisające nad morzem jak wędka, zarzucona ręką rybaka, z ruinami Kasyna Gry i wielkim nowoczesnym hotelem po lewej stronie, miała też pewien swoisty urok i charakter, który nadawały kawiarnie i restauracje warszawskiego typu, rozłożone po obydwu stronach ulicy oraz świąteczny tłum turystów, zalegający chodniki i obsiadujący stoliki, ustawione w ogródkach pod gołym niebem.

Plażowanie i spacer po mołu były to największe miejscowe atrakcje. Na szerokim, czystym pasie piasku, lśniącego w słońcu oślepiającym blaskiem, wylegiwały się jak stada foki setki osób obojga płci, w najróżniejszych kostiumach i pozach, wystawiając na działanie promieni słonecznych błyszczące od olejków twarze i grzbiety. Słońce nie żałowało promieni i podsmażało miejskie skóry na olbrzymiej, piaszczystej patelni do właściwego koloru. Od czasu do czasu ręka niewidzialnej kucharki przewracała zwaly ciała z jednej strony na drugą, by przypiec je z obu stron jednakowo.

Moło było deptakiem, gdzie jedni lustrowali gości i stroje, drudzy sycili wzrok rozległym widokiem zielonej prze-

strzeni, poznaczonej ruchomymi punktami przejeżdżających okrętów i koili stargane wojną nerwy łagodnym pluskiem fal, obijających się o drewniane słupy. Z końca mola z pewnym wysiłkiem można było dojrzeć w pogodny dzień na dalekim horyzoncie dwa wąskie paski, jasny i ciemny, plaży i lasu na Helu. Bliżej, na lewo, widniały kontury Oksywia i wejście do portu w Gdyni, z prawa były w niebo dymy statków, które już zaczęły zawijać do portu w Gdańsku.

Gdy jeszcze przelecieliśmy autem imponującą, nowoczesną autostradą, łączącą Sopot z Gdańskiem i Gdynią, z widokiem od strony lądu na zalesione wzgórza, mieliśmy mniej więcej pełny obraz miejsca, w którym zamierzaliśmy spędzić najbliższe dni.

Przegląd wypadł dobrze. To, co widzieliśmy, było o klasę bogatsze i piękniejsze od ubogich widoków ze środka kraju, do których byliśmy przyzwyczajeni. A że śladów wojny było niewiele i tłum w Sopocie nastawiony na powrót do przedwojennego stylu życia i zabawy, zatem postanowiliśmy dostosować się do tej atmosfery i na jakiś czas zapomnieć o polityce, bezpieczeństwie, ruinach Warszawy i cmentarzach. Udawajmy, że tego wszystkiego nie ma. Niech żyje lato, słońce, plaża i morze!

KOSZMARNĄ NOC

3 sierpnia 1946.

Po całodziennym, chociaż ostrożnym, plażowaniu wybraliśmy się wieczorem na dancing do Grand Hotelu nad morzem ze znajomymi z Warszawy, państwem J., na których natknęliśmy się w pierwszej godzinie pobytu w Sopocie. Duża sala restauracyjna była pełna rozbawionych gości. Dobra orkiestra grała prawie bez przerwy, panie tańczyły doskonale, więc czas upływał w tym przyjemnym nastroju, dla którego powstania konieczna jest świadomość, że jutro się nie idzie do biura czy pracy, że można wstać późno i że zamiast codziennych kłopotów ma się przed sobą parę dni pływania i wylegiwania na słońcu. Słowem, spędzaliśmy czas zgodnie z receptą, wystawioną sobie na okres wakacji.

W przerwie między jednym tańcem a drugim, rozległ się obok nas głos:

— Dobry wieczór państwu. To państwo tutaj?!!!

Podniosłem głowę szybciej, niż należało. W głosie witającego było więcej zdziwienia, niż na to pozwalały stereotypowe wyrazy. Stał przy nas K., młody ziemianin, który w Sylwestra opowiedział mi wzruszającą historię o pomocy, jaką mu dali jego dawni fornale. Patrzył na mnie z niepokojem i pytaniem w oczach. Odpowiedziałem pytaniem:

— Dzień dobry panu. Co pan widzi w tym nadzwyczajnego, że jesteśmy tutaj? Toć lato i wakacje.

Usiadł, pochylił głowę nad stolikiem i zapytał szepcąc:

— Czy pan wie, co się stało wczoraj w Warszawie?

Serce zabiło mi mocniej i niewidzialna dłoń ścisnęła w „dolku”. Zachowując jednak na zewnątrz spokój, odpowiedziałem:

— Nie wiem nic. A cóż takiego się stało?

K. zerwał się z krzesła:

— Przyleciałem dziś popołudniu z Warszawy samolotem i przywiozłem dzisiejszą „Gazetę Ludową”. Zaraz ją przyniosę.

Odszedł pośpiesznie, a my w milczeniu patrzyliśmy na siebie, nie domyślając się niczego. Zosia spokojna, chociaż ze znajomym, okupacyjnym wyrazem czujności i napięcia w twarzy. J-scy wyraźnie zaniepokojeni. Nie rozmawialiśmy, czekając na K., który wkrótce wrócił i wręczając mi gazetę, wskazał palcem:

— Niech pan czyta tutaj.

Przybliżyłem płachtę papieru do oczu i zacząłem czytać półgłosem sprawozdanie z pierwszego w kraju procesu o szpiegostwo, jaki się rozpoczął przed Wojskowym Sądem Okręgowym w Warszawie przeciwko oskarżonym: Jerzemu Kozarzewskiemu, Sławomirowi Modzelewskiemu, Janinie Konopackiej, Bogdanowi Banaszewskiemu, Jerzemu Niewiadomskiemu i Kazimierzowi Wiśniewskiemu. Akt oskarżenia rozpoczynał się od tego, że Modzelewski został wysłany z zagranicy do kraju przez majora Kozłowskiego (Mikołaja), kierownika ośrodka szpiegowskiego w Regensburgu.

Przerwałem czytanie, podniosłem oczy na K. i zapytałem z pretensją:

— Po co pan mi każe to czytać? Cóż to ma wspólnego ze mną?

— Niech pan czyta dalej — odparł wyraźnie zdenerwowany K. Powróciłem do lektury... i nagle zamilkłem. Jest! Przebiegłem szybko tekst oczyma i zamarłem. Ale głosy przy stole żądały dalszego ciągu, więc kontynuowałem półgłosem:

„Zagadnięty o swe kontakty, jakie miał nawiązać w kraju, oskarżony Modzelewski wymienia kilka nazwisk. Ze względu na to, że jednym z tych kontaktów miał być Stefan Korboński, który obecnie jest członkiem władz naczelnych Polskiego Stronnictwa Ludowego, prokurator zwraca się do sądu z wnioskiem, by ze względu na interes państwa zarządzona została tajność tej części rozprawy. Nie spotkawszy się ze sprzeciwem ze strony obrońców, sąd przychyliła się do tego wniosku”.

„Po wznowieniu jawnej rozprawy, oskarżony stwierdza, że nazwisko Korbońskiego zostało mu podane przez majora Mikołaja”.

Skończyłem i spojrzałem na obecnych. Siedzieli bez słowa, czekając na to, co powiem. Przebiegłem myślą wszystkie spotkania z ostatnich miesięcy, ale nie mogłem sobie przypomnieć, bym rozmawiał z kurierem z zagranicy, o jakim mówiło sprawozdanie. Mózg pracował szybko i sprawnie, twarz się przesuwiała po twarzy, ale żadnej, która pasowałaby do sytuacji. Nagle Zosia coś sobie przypomniała:

— Teraz rozumiem. Odszukała mnie dziś w południe pani S. z Warszawy i poinformowała o dziwnym telefonie od swego męża, lekarza. Prosił ją, by postarała się nas zobaczyć i powiedziała tobie, żebyś natychmiast wyjechał z Wybrzeża, bo pobyt nad morzem może ci bardzo zaszkodzić. Nie rozumiałam tego, skąd specjalista od chorób dziecięcych, który cię zresztą nigdy nie badał, mógł wpaść na taką myśl, więc nawet ci tego nie powtórzyłam. Ale teraz rozumiem i myślę, że...

— Psst! — syknął J. Zosia przerwała. J. pochylił do nas głowę i szepnął:

— Na razie nie patrzcie w dół, pod naszą łóżę, ale

dopiero po paru minutach. W tej chwili usiedli tam faceci, wyglądający na bezpiekę.

Zaczęliśmy rozmawiać na obojętne tematy i dopiero po jakimś czasie skierowałem nieznacznie spojrzenie w tamtą stronę. Przy stoliku siedziało dwóch młodych oficerów i jeden cywil. Wszyscy spod oka obserwowali naszą łożę.

Pamięć przyniosła natychmiast podobny obraz. Siedzimy w łoży w Zakopanem, w Morskim Oku, a pod nami stół z ubekami. Podobieństwo uderzające, więc może i tym razem to tylko przypadek, że bezpieka, która kontroluje wszystkie lokale, zajęła stolik tuż obok nas. Natychmiast jednak odrzuciłem tę pociechę. Dowód, że tym razem jest inaczej, leżał przede mną w postaci numeru „Gazety Ludowej” z 3 sierpnia 1946. Widocznie Modzelewskiego już spreparowali i mnie obciążył, włączając przez to do procesu o szpiegostwo. Pachnie to więzieniem. Gdy będziemy wychodzili z restauracji, nastąpi aresztowanie.

Byliśmy przygotowani z Zosią na taką chwilę od dawna, gdyż liczyliśmy się z tym, że ponowne aresztowanie może nastąpić każdego czasu, pod byle jakim pretekstem. Toteż nie straciliśmy zimnej krwi, niemniej perspektywa powrotu do celi nie usposabiała pogodnie. Trzeba było wrócić do obrzędowych w takich razach czynności, wobec czego zacząłem od pytania, tak jak w Zakopanem, czy nie ma kto przypadkiem czegoś obciążającego przy sobie itd. Po wskazaniu kogo i gdzie należy zawiadomić o ewentualnym aresztowaniu, postanowiłem zrobić próbę:

Za chwilę wstanę i pójde do toalety. Jeśli którykolwiek z nich pójdzie za mną, to będzie to zły znak. Obserwujcie pilnie.

Wstałem i opuściłem salę. Gdy po paru minutach wróciłem trzech nieznajomi siedzieli na swoich miejscach. Na moje pytające spojrzenie Zosia wyjaśniła:

— Jeden wyrzał za tobą, ale zaraz wrócił.

Nie było co dalej zwlekać. O dalszej zabawie nie mogło być, oczywiście, mowy, a że przyszedł na mnie zwykły w takich wypadkach atak wściekłości, postanowiłem skończyć tę grę w ciuciubabkę jak najszybciej. Zwróciłem się do J-skich i K.:

— Pożegnajcie się i wyjdźcie. Po co macie być w to zamieszani? My wyjdziemy wkrótce po was i wtedy stanie się to, co ma się stać.

Wszyscy troje odmówili:

— Chcemy być z wami do końca.

Spojrzałem na nich z uznaniem. Bardzo nierozsądnie, ale bardzo ładnie. Zadzwońłem wobec tego na kelnera, zapłaciliśmy rachunek i z oczyma w plecach skierowaliśmy się ku wyjściu. We drzwiach obejrzałem się za siebie. Jeden z oficerów szedł w ślad za nami.

Gdy wsiedliśmy w auto, należące do J., ścisnąłem go za ramię:

— Gazu, spróbujmy ich zgubić.

J. nacisnął pedał i wyskoczyliśmy jak z procy. Dojrzałem tylko oficera, biegnącego od wyjścia w kierunku zaparkowanych aut.

Krążyliśmy między Gdańskiem i Gdynią przez jakieś dwie godziny, debatując nad tym, co mógł zeznać Modzelewski i co mnie czeka. Zosia wyglądała przez tylne okienko, ale nikt nie jechał w ślad za nami. Wreszcie zmęczenie wzięło górę i gdy w dodatku uprzytomniłem sobie, że nie zdążyliśmy się jeszcze w Sopocie zameldować i nasz adres nie może być znany bezpiece, postanowiłem wrócić do domu. Na wszelki wypadek podjechaliśmy od strony opłotków, a nie od ulicy, i K. poszedł naprzód na zwiady. Wrócił po chwili przerażony i blady, jak ściana:

— Na dróżce leży człowiek i obserwuje wejście do waszego domu.

Wskoczyliśmy w auto i pomknęliśmy przed siebie. Widać, że nas osaczają i może już bezpieka czeka w naszym pokoju. Co zatem robić? Dać się aresztować, czy z powrotem nura w podziemie? Po dłuższym namyśle, postanowiłem nie robić nic:

— Modzelewskiego nie znam i nigdy go nie widziałem, ani z nim rozmawiałem. Jeśli się ukryję, to może to być wykorzystane przez nich jako przyznanie się do wymuszonego na nim oskarżenia. Obciążyłoby to nie tylko mnie, ale i PSL także. Nie mogę do tego dopuścić...

Decyzja przyniosła mi ulgę. Jak zawsze, najgorsze są wahania. Rozstrzygnięcie, dobre czy złe, przynosi z reguły odprężenie. Już w lepszym nastroju wstąpiliśmy w Gdyni

do jakiegoś jeszcze otwartego baru, po czym, gotowi na wszystko, wróciliśmy do Sopotu, do domu. J-scy i K. razem z nami. Podjechaliśmy od frontu i tu nas czekała przyjemna niespodzianka. Ani przed domem, ani w środku nie było nikogo. Ale co w takim razie miał znaczyć człowiek, leżący na dróżce i obserwujący wejście?

Tym razem nie dałem się zastąpić nikomu i poszedłem dróżką, by sprawdzić co się z nim dzieje. Już po paru krokach, w pierwszym świetle brzasku zauważyłem postać rozciągniętą na dróżce. Zbliżyłem się, tupiąc umyślnie nogami. Człowiek się nie poruszył. Zawołałem:

— Hej, panie, co pan tu robi?!

Leżący nie odpowiedział. Podeszedłem bliżej i nachyliłem się. Rzekomy obserwator spał, a w moje nozdrza uderzył straszliwy odór bimbru...

Roześmiałem się na głos i przywołałem resztę towarzystwa. Za chwilę pięć osób trzęsło się od śmiechu na dróżce, a pijak spał dalej snem sprawiedliwego. K. dał dowód, że ma spostrzegawcze oko:

— Jak tu byłem pierwszy raz, miał jeszcze buty na nogach. W międzyczasie ktoś go rozzuł i buty ukradł.

Olśniła mnie nagła myśl:

— Zagadka rozwiązana. Zarządzono nade mną na razie lokalną obserwację, ale nic więcej. To nic nowego, można wytrzymać.

Wszyscy się z tym zgodzili, a że nocne przeżycia wybiły nas ze snu i w międzyczasie wstał piękny, letni dzień, poszliśmy na spacer na moło, a później na śniadanie do kawiarni, gdzie wprost pożarliśmy niesłychaną ilość jajecznicy, wędlin, kawy i bułek.

Tak się skończył pierwszy dzień naszych wakacji nad morzem. Ładny wypoczynek! Nie spaliśmy już drugą noc, a jeśli chodzi o emocje, to Sopot niczym się nie różni od Warszawy, raczej przeciwnie. Receptę na spokojne spędzenie czasu diabli wzięli i wróciliśmy do normalnego życia, w którym bezpieka, strach i rzucanie się jak ryba w matni jest codziennym naszym chlebem.

UKAMIENOWANIE UBEKÓW

5 sierpnia 1946.

Znajomych z Warszawy i w ogóle ze wszystkich stron Polski coraz więcej, część ich osiedlona na Wybrzeżu na stałe. Odwiedziłem też naszych ludowców i od nich dowiedziałem się najwięcej, bo ze swoim nie mieli żadnych obaw. Okazało się, że pod spokojną na pozór powierzchnią życia na Wybrzeżu dzieje się to samo, co w reszcie kraju. Oto jedno z licznych lokalnych wydarzeń, opowiedziane mi przez adwokata T.:

„Robotnicy portowi mają bardzo nędzne płace i przymierają głodem. Wysyłali delegacje jedna za drugą, ale wracały z kwitkiem. Wreszcie postanowili zastrajkować i zwołali w tym celu wiec. W czasie przemówień ktoś rozpoznał w tłumie dwóch ubeków z Gdańska, ubranych za robotników. Gdy wskazał ich palcem i krzyknął: „To ubecy!” — ci w nogi, a część tłumu za nimi. Ubecy wrywali co sił, a ścigający tłum rzucał w nich kamienie i cegły. Najpierw upadł jeden, później drugi i tak ich dokończyli... Zostali właściwie ukamienowani”.

„W nocy zaczęły się aresztowania. Samochody bezpieki krążyły w ciemnościach od domu do domu. Na drugi dzień całe Wybrzeże już wiedziało, że porwano w nocy z mieszkań około dwustu robotników. Od tego czasu zaginął po nich wszelki ślad. Tyle tylko wiadomo, że jednej z następnych nocy załadowano ich na statek i wywieziono. Pewnie do Rosji”.

Już teraz wiem, że cała marynarka ma tylko rosyjskich oficerów, nie licząc kilku polskich „na okrasę”. We wszystkich morskich urzędach i instytucjach rosyjscy doradcy i kontrolerzy. W każdym porcie najlepsza część wydzielona dla Rosjan i odseparowana od reszty. W Szczecinie odbyły się już trzy ceremonie przekazania portu polskiej administracji. Za każdym razem oddali paręset metrów nadbrzeża, ale główną część portu trzymają w dalszym ciągu w swoim ręku. Idzie z niego do Rosji dziesiątkami statków „zdobyc wojenna” z naszych terenów.

W KOLEBCE PRUSACTWA

8 sierpnia 1946.

Pogoda się trochę zepsuła, zatem jeździmy po okolicy, oglądając to, co jest godne widzenia. Duże wrażenie zrobił na mnie Malborg, który widziałem pierwszy raz. Podjechaliśmy od strony Nogatu i widok olbrzymiej masy zamczyska z czerwonej cegły, o prostopadłej ścianie wynurzającej się wprost z wody, robił wrażenie potęgi i ogromu.

Z przeciwnej strony, od zrujnowanego miasteczka, rzucały się w oczy ślady wojny. Częściowo obalone mury i zniesiony dach z czerwonej dachówki. Sterczą jak gołe żebra rzędy obnażonych krokwi. Tu i tam postrzępione wyrwy od granatów. Weszliśmy na rozległy podwórzec Niskiego Zamku, a później przez jedną i drugą bramę oraz zwodzony most na ciasny dziedziniec Wysokiego Zamku. Prowadził nas tubylec, który zaofiarował się na przewodnika. Wszędzie pełno gruzów, blaszanych pudełek po konserwach i stalowych hełmów niemieckich. Tubylec informował:

„Sowiety zdobyły miasto bez większego trudu i poszły dalej. Ale w zamku zamknęły się jakieś oddziały SS, z zamiarem bronięcia go do ostatniego naboju a właściwie chwili, kiedy będą uwolnieni przez zapowiedzianą przez Hitlera kontrofensywę. Trzymali się tutaj przez sześć tygodni, żywiąc konserwami i czerpiąc wodę z tej oto studni. Większość poległa”.

Podniosłem z ziemi hełm w pokrowcu i pomyślałem o jego właścicielu. Jakież piekło musiał przeżywać ten Niemiec, gdy zrozumiał, że ta oto kolebka prusactwa, ta niemiecka świętość narodowa, zostanie zdobyta i pohańbiona stopami obcego najeźdźcy. Uczucie podobne do tego, jakie gryzło nas, Polaków, na myśl o hitlerowskim gubernatorze Franku, przemierzającym sale i podwórcę Wawelu. A teraz Malborg wrócił tam, dokąd przed wiekami należał. Tak to fortuna kołem się toczy.

Uniosłem hełm wyżej, by poszukać w środku, na skórze, jakiegoś monogramu, czy innego śladu po właścicielu, i odrzuciłem ze wstrętem. Hełm cuchnął trupem.

Weszliśmy do wnętrza i oglądaliśmy salę po sali, kruż-

ganek po krużganku, przejście po przejściu. Podziwialiśmy resztki kolorowych, rzeźbionych fresków i smukłe kolumnienki maurytańskie, gdyż aż tutaj dotarły wpływy tej architektury. Mimo białego dnia i upału na dworze, tutaj, w masie kamienia, panował półmrok i chłód. Kroki i słowa rozlegały się głośno, jak w pustym grobowcu. W jakimś przejściu natrafiliśmy na dwóch mężczyzn, niosących kilofy i kobietę ze szpadlem w ręku. Byli wymazani wapnem i cegłą jak nieboskie stworzenia. Stañeli, patrząc wrogo, gdy ich mijaliśmy. Kiedy zniknęli z oczu za zakrętem, zapytałem przewodnika:

— Co to za jedni?

— Szabrownicy — odpowiedział z odcieniem ironii. — Chodzą gadki między ludźmi, że Niemcy zamurowali tutaj jakieś skarby. Łażą więc i stukają w ściany. Z początku pewno myśleli, że my to konkurencja.

NA ŻUŁAWACH

9 sierpnia 1946.

Z Malborge pojechaliśmy na Żuławy. Jak okiem sięgnąć błyszczące płaszczyzny zalewu, poznaczone ciemnymi plamami pól, wyłaniających się z potopu, jak grzbiety wielorybów z morskich fal. Tu i ówdzie prostokąty budynków, wychodzących wprost z wody. Gdzie zaś się zdarzy kawałek wyższego gruntu, osty na wysokość człowieka, zupełnie jak na Śląsku. Gnieźdzą się w nich tysiące myszy, które rozmnożyły się do rozmiarów kłęski. Lepiej teraz pojmuję legendę o pożarciu Popiela przez myszy.

Niemcy, cofając się, otworzyli wszystkie śluzy i zaleli setki kilometrów kwadratowych najurodzajniejszych na świecie gruntów. Nowa administracja Wybrzeża uruchomiła już olbrzymie pompy i Żuławy zostaną wkrótce osuszone.

Nigdzie żywego ducha. Jechaliśmy autem dłużej niż godzinę po dobrej drodze, wśród zupełnej pustyni. Co za kontrast z tętniącymi życiem Sopotem i Gdynią. (Nie mogę powiedzieć jednakże, że z Gdańskiem, spalonym przez Sowiety bez żadnego powodu w dwa dni po zdobyciu, który rozmiarami zniszczeń przypomina Wrocław

i Warszawę.) Dopiero we Fromborgu natrafiliśmy na pierwszych ludzi. Był to konny patrol wojsk pogranicza. Zatrzymał nas i jeden z jeźdźców zapytał, co tu robimy. Gdy wyjaśniliśmy cel przybycia, pokręcił głową z dezaprobatą:

— Droga do klasztoru jest ot tam, ale wracajcie póki widno. Tu nie jest bezpiecznie. Jak traficie na Sowietów, możecie nie wyjść żywi. Nie tylko obrabują, ale może nawet zabijają.

Pojechaliśmy pustymi ulicami wśród opuszczonych domów, często bez okien i z pootwieranymi drzwiami. Miasto bez ludzi zawsze mnie przynębia i napawa obawą, a że rad żołnierza nie należało lekceważyć, więc nagliłem, by oględzin dokonać możliwie szybko.

Po paru minutach dojechaliśmy do wzgórza, na którym stoi klasztor, gdzie Kopernik dokonywał swoich sławnych pomiarów i obliczeń. Wysokie mury, otaczające to miejsce, budynek klasztorny i wieża, stały nienaruszone. W podwórzcu, dokąd dostaliśmy się przez nie zamkniętą bramę, wysoka trawa między kamieniami bruku, której od dawna nie tknęła stopa ludzka. Więc to tutaj, w tym klasztorze, spędził kilka lat swego życia sławny na cały świat rodak. Można go sobie łatwo wyobrazić, stojącego wieczorem na murze i spoglądającego w gwiazdy. Wysoka postać w ciemnej, powłóczystej szacie, na tle jaśniejszego nieba, iskrzącego się milionami światel, z głową o długich, opadających na ramiona włosach wzniesioną do góry i głęboko zamyślonych oczach.

Ulegliśmy nastrojowi, jaki wyobraźnia łatwo stwarza, gdy ma do dyspozycji stare mury na cichym bezludziu i może je ożywić ułamkiem historii. Przyjazd się opłacił.

Wieczorem, po szybkim powrocie do Sopotu, zresztą bez przygód, poszliśmy z Zosią na molo, by patrząc na światła płynących na zachód okrętów, pomarzyć trochę o tym innym świecie, do którego nas tak ciągnie. Co by to była za rozkosz, gdyby tak bez żadnej trudności i obawy można było wsiąść na taki statek i pojechać na jakiś czas w daleki, ciekawy świat. W takiej chwili najsilniej odczuwałem pręty klatki, w której jesteśmy zamknięci.

Na samym końcu mola zwróciła moją uwagę wysoka postać w długiej pelerynie, stojąca bez ruchu w preten-

sjonalnej pozie, z oczyma wlepionymi w niewidzialne morze. W tej postawie widuje się Napoleona na popularnych litografiach: noga wysunięta naprzód, ręce skrzyżowane na piersi, wzrok utkwiony w dal. Zatrzymaliśmy się, by nie przeszkadzać marzycielowi, który tu przybył niezawodnie w tym co i my celu, i oparci łokciami o drewnianą balustradę, utkwiliśmy oczy w ciemną przestrzeń ożywioną błyskiem fal w świetle nadbrzeżnych latarni.

Gdy po pół godzinie mijał nas, mieliśmy powód do zdziwienia. W blasku światła ujrzelśmy w młodej twarzy rozmarzone, tęskne oczy, a pod nią, na kołnierzu munduru, wężyki generalskie. Czyżby więc i nowoupieczeni generałowie odczuwali tęsknotę za wolnym światem? Co za czarna niewdzięczność w stosunku do ludowej demokracji, która ich obdarzyła tak pięknym, szerokim, srebrnym wężykiem, symbolem władzy nad tysiącami ludzi. Może to jednak za mało, by zabić tęsknotę za światem i wolnością?

W HITLEROWSKIEJ RZEŹNI

10 sierpnia 1946.

Dzień był pełen wrażeń. Najpierw rano, na głównej ulicy, spotkaliśmy kapitana Różańskiego z Ministerstwa Bezpieczeństwa z Warszawy, który nam szarmancko zsalutował. Mina jego nie zdradzała żadnych złych zamiarów, wobec czego utrwalilem się w przekonaniu, że na razie aresztowanie nie grozi. Później, w południe, widzieliśmy na moło Żymierskiego w towarzystwie wojewody Zrałka (popularnie zwanego Srałkiem), gdy wysiadali z luksusowej motorówki. Od Żymierskiego bił blask, jak od choinki. W bieli od stóp do głów, w paradnym mundurze wielkiego admirała nieistniejącej floty, dźwigał na piersiach parę funtów medali, nie licząc akselbantów i złotych wyłogów. Zrałek, były oenerowiec, który jeden z pierwszych odkrył bliskie pokrewieństwo między dwiema ideologiami, dla odmiany w czerni. Wracali, widać, z jakiegoś przeglądu czy galówki. Naokoło nich tłum dzieci prawie biegnących, by im dotrzymać kroku. Śmiały się i pokazywały Żymierskiego palcami. Ten, zadowolony z wrażenia, jakie wywierał, uśmiechał się do dzieci roz-

kosznie, natomiast Zralek był widocznie wściekły, gdyż rozglądał się ciągle za kimś, pewnie za policją, by dzieci rozpędziła.

Zosię ten widok rozbawił:

— Co ci ta scena przypomina?

Odpowiedziałem bez namysłu:

— Kataryniarza z małpą, lub podwórzowych akrobatów, za którymi zawsze dzieci biegają.

Żymierski otrzymał w Sopocie jedną z najładniejszych willi, tuż nad morzem. Odpowiednia część plaży została oddzielona drutem od reszty i oddana do jego wyłącznej dyspozycji. Dwaj żołnierze pilnują, by jej nie dotknęła noga zwykłego śmiertelnika. Jak to pogodzić z ludową demokracją?

Pojechaliśmy obejrzeć to, co pozostało z obozu koncentracyjnego w Stutthoffie. Droga po pewnym czasie połączyła się z torem kolejowym, który biegł równolegle do niej, aż do obozu. Nasz towarzysz, znajomy z Wybrzeża, objaśniał:

— Tym torem przychodziły pociągi z więźniami aż pod sam obóz i tam, na rampie, były wyładowywane.

Gdy przekroczyliśmy szeroki, wycięty w sosnowym lesie wjazd, oczom naszym ukazały się szeregi walących się, niskich baraków o zniszczonych dachach, powyrywanych futrynach, często bez drzwi, niekiedy bez ścian. Stały rzędami na ogromnym placu, wyciętym w lesie, który zakrywał obóz ze wszystkich stron przed niepożądanymi oczyma. Ziało pustką i zniszczeniem.

Poszliśmy na prawo, najstarszą częścią obozu. Znajomy popchnął drewniane drzwi i znaleźliśmy się w niskim pomieszczeniu z jedynym meblem, długim na człowieka stołem, przysuniętym krótszą krawędzią do ściany, w której widniała ruchoma kłapa. Znajomy wskazał palcem:

— Na tym stole zabijano więźnia zastrzykami fenolu, a później, przez tę oto kłapę, trupa wysuwano do następnego pomieszczenia, skąd już wędrował do krematorium.

Opuściliśmy szybko tę ludzką rzeźnię i skierowaliśmy się w stronę wysokiego płotu, z drutami już porwanymi, w którym w regularnych odstępach sterczały wieże strażnicze. Blisko płotu rozpoznałem krematorium, wyglądające jak lokomobila, obudowana fundamentem z cegieł. Przez

otwarte, żelazne drzwiczki widać było parę nadpalonych goleni. Naokoło, pod nogami stosy popiołu.

O parę metrów, z boku, stał mały, kwadratowy budynek z cegły, z płaskim dachem, na który prowadziły ni to schody, ni to drabina. Z zewnątrz budynku, przy ścianie, domurowany mały piec.

Weszliśmy przez otwarte drzwi do środka. Ściany i podłoga pokryte cementem, a na nim tu i ówdzie zielonkawo-niebieskie plamy. W suficie mały otwór, przez który zagładało niebo. Pod ścianą coś w rodzaju cementowej ławki z otworami. W powietrzu lekki zapach nieznanymi chemikalii. Znajomy kontynuował:

— Tu gazowano po kilkadziesiąt osób na raz. Piec z zewnątrz służył do ogrzewania, a ta niby ława pod ścianą kryje rury, którymi ciepło tutaj dochodziło. Proszek z puszek, zamieniający się w podwyższonej temperaturze na gaz, wysypywano stamtąd, z góry, przez otwór w dachu.

Wrażenie było jednak za silne, nawet na nasze stępiejące nerwy. Stać tak w środku czterech ścian, o które drapały i biły w bezsilnej męce tysiące rąk... Oddychać tak wśród murów, które widziały powolne duszenie się tysięcy nagich, wynędzniałych istot, rzucanych o cement konwulsjami konania... Dotykać spojrzeniem miejsc, na które spoglądały wykręcone przerażeniem gałki oczne niezliczonych ofiar... To było za dużo nawet na nasze zatwardziałe serca, przyzwyczajone w czasie wojny do rzeczy możliwych i niemożliwych.

Poczułem, że nie wolno nam było wchodzić do środka tego grobowca i że jest w tym coś z świętokradztwa i nekrofilii. Chwyciłem pod rękę Zosię i czym prędzej wyszliśmy na świeże powietrze, słońce i wiatr. Zapaliłem papierosa i chciwie wciągając dym w płuca, przychodziłem powoli do siebie.

Gdy wracaliśmy, zauważyłem w gęstwinie krzaków i drzew, o kilkanaście metrów za zasiekami z drutu, dach a na nim dymiący komin. Znajomy spostrzegł mój wzrok i pośpieszył z informacją:

— To gospodarstwo poniemieckie, a za nim dalej inne. Zdziwiłem się:

— Tak blisko obozu? No i komory gazowej i krema-

torium? Przecież stamtąd mogli nie tylko widzieć wszystko, co się w obozie dzieje, ale z uwagi na sąsiedztwo krematorium nawet czuć. Pewnie właściciele z tego powodu z nich wysiedlili?

— Ale gdzie tam! — obruszył się znajomy. — Żaden z Niemców, którzy mieli swoje gospodarstwa w sąsiedztwie obozu, nie został z nich usunięty. Gospodarowali tutaj bez żadnych trudności.

— To i musieli wszystko widzieć i wiedzieć? — zapytałem ponownie, by się upewnić. Aż ręce wzniosł do góry:

— Naturalnie, że wszystko widzieli i wiedzieli. Przecież utrzymywali stosunki z Niemcami z zarządu obozu, esesmani ze straży przychodzili w odwiedziny do ich córek, a poza tym korzystali z siły roboczej z obozu i to darmo.

Jak w tych warunkach Niemcy mają czelność twierdzić, że nie wiedzieli, co się w obozach koncentracyjnych działo?

Było jeszcze dość wcześnie, więc poszliśmy na plażę, by się wykąpać. Leżąc na piasku wśród tłumu młodych, opalonych ciał, rozflirtowanych par i roześmianych, zaczepnych spojrzeń, nie mogłem odpędzić od siebie widoku komory o zielonkawo-niebieskich plamach. W nozdrzach wierciły jeszcze resztki zapachu, w oczach przesuwwały się kolejno oglądane przed godziną obrazy. Ale życie zawsze zwycięża śmierć i rozbawiona plaża pokonała wkrótce wspomnienia cementowej rzeźni.

TANIEC Z REWOLWEREM

11 sierpnia 1946.

Nie zrażeni wspomnieniami pierwszego wieczoru, poszliśmy znów na dancing do Grand Hotelu. Zastaliśmy sporo towarzystwa o wyglądzie przedwojennym, tańczącego zawzięcie i bawiącego się wesoło. Zagrano walca, który, jak wiadomo, jest czymś w rodzaju narodowego tańca panów w starszym wieku, więc kto żyw ruszył na parkiet. Tańczyłem i ja z Zosią, dając oko z dawnego nalogu na wszystko, co się wokół dzieje. W pewnym momencie zauważyłem, że spojrzenia tańczących idą w kierunku środka

sali i zmierzają ku jednej parze. I ja przyjrzałem jej się uważnie. Para nie tańczyła, a hulała, wirując namiętnie w podwójnie szybkim tempie na środku sali, oddanym już przez inne pary do jej wyłącznej dyspozycji. Styl tańca wskazywał na osoby, tańczące wszystko w jednakowy, ale za to szybki sposób. On, o barach atlety i ordynarnych rysach, widząc że jest podziwiany i biorąc to za dobrą monetę, dodawał tempa. Ona starała mu się dorównać. Nie był to jednak dostateczny powód, by tańczącą parę obdarzać specjalną uwagą. Takich, jak oni, jest teraz na każdym dancingu coraz więcej. Nowi ludzie sięgali śmiało po przyjemności, zastrzeżone dawniej dla klas panujących. O pijaństwach i luksusowych ucztach nowej elity krąży po Warszawie legendy, a o willi Borejszy pod Warszawą, w której się odbywają nocne orgie nowych dygnitarzy, wie całe miasto.

Teraz tańcząca para krążyła już po sali, jak oszalała i nareszcie zrozumiałem powód zainteresowania, jakim ją darzono. Odchylone wirem powietrza poły marynarki atletycznego tancerza, odsłaniały od czasu do czasu skórzany pas, a na nim z jednej strony nagan w kaburze, a z drugiej długi, fiński nóż.

Codziennie czuję na własnej skórze, że w Polsce dokonana się rewolucja. Ale ten widok pokazał mi ją od bardzo specjalnej strony. Do życia i ... użycia dorwali się teraz nowi ludzie, którzy dla obrony nowych praw, w tym do tańczenia w eleganckiej restauracji, nie zawahają się użyć noża i rewolweru.

TAJEMNICA ODKRYTA

13 sierpnia 1946.

Natychmiast po powrocie do Warszawy natknąłem się w kawiarni na jednego z obrońców w procesie Modzelewskiego, który zresztą wraz z wszystkimi innymi oskarżonymi został skazany na śmierć. Odciągnął mnie na bok i zaczął tłumaczyć, że obrońcy robili co mogli, by nie dopuścić do wyroków śmierci, ale, niestety, nie udało się. Opowiedziałem mu o niepokojach, gdy przeczytałem o zeznaniach Modzelewskiego, dotyczących mojej osoby. Na-

myślał się przez chwilę, wreszcie machnął ręką i uchylił rąbka tajemnicy:

— Już jest po wyroku, więc mimo zarządzenia w tej części rozprawy tajności, mogę was poinformować bez większego ryzyka o tym, co zeznał Modzelewski. Otóż stwierdził on kategorycznie, że nie mógł wykonać rozkazu majora Mikołaja, by się widzieć z wami, bo przedtem został aresztowany.

A więc to tak rzecz się miała! Jeden moment nie był jednak dość jasny, więc zapytałem:

— Ale po cóż w takim razie zarządzono tajność rozprawy, skoro już ze śledztwa było wiadome, że Modzelewski się ze mną nie spotkał?

Gdy usłyszałem odpowiedź, wyszła na jaw cała perfidia tego zarządzenia:

— Przez nakazanie tajności rozprawy chciano stworzyć na zewnątrz pozory, że Modzelewski się z wami widział i że mówiliście o takich rzeczach, których ujawnienie „może zagrozić interesom państwa”, konkretnie o organizowaniu szpiegostwa.

W rezultacie teraz wiem, że obserwacja, roztoczona nade mną w Sopocie, nie miała związku z procesem, a była tylko dalszym ciągiem warszawskiej. Toć już znam na pamięć te twarze, które mnie rano witają na przystanku EKD, gdy wysiadam z pociągu, a po tym w ciągu dnia ciągle się na nie natykam. Do niedawna, posiadacz jednej z nich stale urzędował w południe w „Kruszynie”, gdzie spotykam się regularnie o tej porze z Zosią. Było z nim trochę kłopotu, bo, jak mi powiedziała jedna z kelnerek, „kawy i herbaty nie lubi, a piwa i wódki nie trzymamy”. „Więc co w rezultacie zamawia?” — zapytałem. „Pół czarnej, ale jej nawet nie tyka”.

Od paru tygodni, jeszcze przed naszym wyjazdem na wakacje, zaprowadzono inny, uproszczony system. Rano ubek sprawdza tylko na Nowogrodzkiej, czy wysiadm z pociągu, w południe zagląda do „Kruszynki” przez okno lub drzwi, czy tam jestem, wreszcie wieczorem przeprowadza mnie wzrokiem, gdy wsiadam do pociągu do Leśnej Podkowy. Na Wybrzeżu przyjęto chyba ten ostatni system, bo nikt za mną stale nie chodził, ale na kilka twarzy natykałem się ciągle.

Wracając jednak do procesu Modzelewskiego, to w każdym razie jedna rzecz im się udała. Co nam wakacje zepsuli, to zepsuli.

OSIEM TON PROCHÓW

14 sierpnia 1946.

W czasie naszego pobytu na Wybrzeżu odnaleziono na terenie GISZu (Główny Inspektorat Sił Zbrojnych), w sklepionych piwnicach, zwały prochów ludzkich, a w nich masę szczyryków, medalików, papierośnic, zapalniczek, obrączek, sprzączek od podwiązek kobiecych i szpilek do włosów. Są to pozostałości po zamordowanych w pierwszych dniach Powstańa, kiedy to zabijano wszystkich, bez wyjątku, mężczyzn, kobiety i dzieci. W piwnicach Niemcy urządzili prowizoryczne krematorium i palili tam zwłoki.

Takie same zwały prochów znaleziono na Woli, w Parku Sowińskiego, w fabryce Franaszka i w warszawskiej lili fabryki Ursus, wreszcie na Nowolipkach, gdzie jakieś hieny, w poszukiwaniu wartościowych przedmiotów przesiewały prochy przez wielkie sita.

Dnia 6 sierpnia odbył się z kościoła Zbawiciela pogrzeb ośmiu ton prochów ludzkich, zamkniętych w stu trumnach. (Ładne czasy! Prochy ludzkie waży się dzisiaj na tony, jak węgiel.) Zebrano także prochy z ulicy Wolskiej 60 i 124, a także z ulicy Okopowej i z Instytutu Radowego na Ochocie. Na pogrzeb przyszło tysiące osób. Trumny załadowano po dziesięć na ciężarówkę i powieziono powoli na cmentarz Powstańców. Tam zsypano prochy do specjalnie wybudowanej krypty, którą zamurowano i zarzucono kwiatami. Przede wszystkim na pogrzeb przyszły te tysiące nieszczęśliwców, które nie mogły odnaleźć zwłok swoich najbliższych. Może ich prochy znajdują się w tych ośmiu tonach?

Powtórzyły się nawet w szczegółach sceny z pierwszego sierpnia, gdyż po salwach kompanii honorowej, jakie przypomniały niektórym salwy plutonów egzekucyjnych, rozległy się histeryczne krzyki i płacz ogromnego tłumu, w tym także żołnierzy. Nie wiem dlaczego, ale ten ostatni szczegół specjalnie mnie porusza. Stają mi przed oczyma

dwa rzędy młodych chłopców w zielonkawych mundurach, trzymających w ręku śmiertelne narzędzia, walczących z łkaniem i łzami, które im zalewają twarz. Może to dlatego, że jestem przyzwyczajony do regulaminowo spokojnych żołnierskich twarzy, którym w szyku nie wolno zdradzać żadnych uczuć. To, co widzieli, było jednak silniejsze od dyscypliny i żołnierze zrównali się z tłumem.

PRÓBUJĘ PIÓRA

15 sierpnia 1946.

Parę dni temu „Gazeta Ludowa” skończyła drukować serię moich wspomnień z okresu podziemia. Rzecz niespotykana, cenzor Zabłudowski nie skreślił z nich ani jednego słowa! Czyż mam w tym widzieć potwierdzenie opinii, jaka mnie doszła z kół pepeerowskich, że mojej konspiracyjnej robocie, szczególnie w zakresie Walki Cywilnej, nie mają nic do zarzucenia, nawet wręcz przeciwnie?... Jakby to było dobrze, gdyby kiedyś w przyszłości dało się o tym napisać książkę. O tych wspaniałych ludziach, którzy w tej walce zginęli i pamięć o których nie powinna zaginać i o tych wydarzeniach, które w naszej historii nie mają sobie równych. Może się uda. W każdym razie, czemuż o tym przynajmniej nie pomarzyć?

RAUT W RADZIE MINISTRÓW

22 sierpnia 1946.

Prosił mnie Mikołajczyk, aby pójść z nim na raut, wydany na cześć mayor'a miasta Nowego Jorku, La Guardi, w pałacu Rady Ministrów. Widziałem w tym wyraźny interes, by gość nie był otoczony tylko przez nich i zetknął się także z opozycją, więc poszliśmy w czwórkę, to jest: Mikołajczyk, Bańczyk, Wójcik i ja.

Świeżo odnowiony, historyczny pałac na Krakowskim Przedmieściu, wyglądał wśród otaczających go ruin, jak barwny kwiat na kamienistej pustyni. Przyglądałem się budynkowi z uczuciem właściciela, który odbudowuje ukochaną siedzibę i cieszy się z każdej położonej cegły.

U góry schodów, przy wejściu do pierwszej sali, w której zbierali się goście, stał Gomułka w towarzystwie dwóch panów w starannie skrojonych ubraniach, których maniere i twarze wskazywały, że i przed wojną zwykli byli przy takich okazjach stać w tym samym miejscu, asystując gospodarzowi. Tyle tylko, że gospodarz się zmienił. Gomułce, gdy ujrzał naszą grupę, stężała twarz i patrzył z góry w milczeniu, gdy wstępowaliśmy po schodach. Gdy Mikołajczyk dokonywał ceremonii przedstawienia, Gomułka obrzucił mnie ostrym, nieprzyjemnym spojrzeniem, w którym jednak dostrzegłem błysk zainteresowania, i wyciągnął rękę. Uścisk miał mocny, właściwy ludziom, którym praca fizyczna nie była obcą.

Pierwszy raz oglądałem go tak z bliska. Miał duże czoło, powiększone przez łysinę i wiele zapalczywej energii w oczach. Niezależnie od roli komunisty numer jeden, jaką pełni w partii, kierował Ministerstwem Ziem Odzyskanych, którego cele i działalność były na ogół wyjęte z zażartej walki politycznej, jaka się toczy na ziemiach polskich. Każdy pragnął, by ziemie odzyskane zostały jak najszybciej odbudowane i zagospodarowane. Z tego względu podziemie zezwoliło na pracę w tym ministerstwie i na ziemiach odzyskanych paru tysiącom urzędników administracyjnych, inżynierów, leśników, agronomów itp., zorganizowanym w podziemnym Biurze Ziem Odzyskanych, które od paru lat pracowało w konspiracji nad planami objęcia i zagospodarowania tych terenów. Jak te prace przygotowawcze wyglądały, niech zaświadczy o tym opowiadanie inżyniera-elektryka z Elektrowni Pruszkowskiej, którego wysłuchałem już w roku 1943:

„Jestem już obecnie mianowany dyrektorem elektrowni w Szczecinie i dla jej objęcia przygotowałem paru inżynierów, techników i majstrów, ogółem ekipę z dwudziestu osób. Udało mi się sprowadzić z Niemiec pod takim czy innym pretekstem wszystkie wydawnictwa, broszury, prospekty i inne materiały, dotyczące tej elektrowni i wiem o niej wszystko. Nawet udało mi się, przy stworzeniu fikcyjnych powodów i przy nieświadomej pomocy naszego niemieckiego Treuhändera, wyjechać do Szczecina i spędzić w elektrowni parę dni, rzekomo na studiowaniu nowych metod, które u siebie chcemy zastosować. Uzupełni-

łem sobie przy tej okazji moją bibliotekę, dotyczącą elektrowni. Dziś mogę trafić po ciemku do każdego ważniejszego miejsca w elektrowni i jeśli nie będzie zniszczona, uruchomić ją w ciągu dwudziestu czterech godzin”.

Weszliśmy w tłum ludzi, oczekujących na otwarcie drzwi do głównej sali. Natknąłem się z miejsca na pułkownika Łętowskiego, adjutanta Żymierskiego (byłego majora „Mechanika” z AK). Zwrócił twarz w bok i udał że mnie nie widzi. Gdy wyciągnąłem rękę do adwokata Bittnera, który niedawno wrócił z Londynu, prawie że się przestraszył i przemówiwszy kilka słów, pośpiesznie się oddalił. Nie widziałem większych tchórzów od tych, co wrócili z emigracji do kraju. Liczyliśmy na to, że wesprą nas w walce, a tymczasem okazało się, że są przez strach po prostu sparaliżowani. Srodze zawiedliśmy się na nowych przybyszach. Pamiętam dobrze, jak zrzędył miny tych urzędników, co wrócili z Mikołajczykiem po nowe kariery (z odpiętym ostatnim guzikiem od kamizelki). Gdy się zorientowali, jak sprawy stoją, szczególnie gdy doszły do nich wiadomości o aresztowaniach i morderstwach bezpieki, wpadli w popłoch. Tego się żaden z nich nie spodziewał.

Dobrze, że się wreszcie drzwi do głównej sali otworzyły i mogliśmy się zmieszać z tłumem prących w ich kierunku gości. Od paru minut staliśmy samotni na środku sali, jak trędowaci. Między nami a resztą zebranych utworzyła się pusta przestrzeń, której nikt nie miał odwagi przekroczyć. Otwarcie drzwi przerwało tę nieprzyjemną sytuację.

Podeszliśmy wraz z innymi do zastawionych stołów i trzymając się razem, spożywaliśmy dary boże. Naokoło mnóstwo nieznanych twarzy. W strojach przeważa jeszcze styl rewolucyjny, czyli robiona niedbałość. Nie chciałbym z tą sztucznością przesadzać, gdyż było też sporo osób w ubraniach, a przede wszystkim koszulach, znoszonych w sposób naturalny. Przodowali w tym kelnerzy, którzy chyba po to włożyli białe kurtki, by pokazać, że na ludowym raucie mogą być brudne. W zachowaniu większości gości nienaturalna swoboda ludzi, nieobytych z tego rodzaju zebraniemi. Wśród nich, jak kolki w płocie, osoby, które od tłumu różnił nie tyle ubiór i zachowanie, ile coś

nieuchwytnego, co wskazywało na przynależność do środowiska, które w tym gmachu bywało przed wojną. Przedstawicieli świata, jaki ustąpił miejsca nowemu, można łatwo i wszędzie rozpoznać. Jako całość, hałaśliwy, rozgestykulowany tłum nie pasował do pięknych ram, stworzonych przez odnowiony z pietyzmem, historyczny pałac.

Niespodziewanie przyłączył się do nas Żymierski w lśniącym od medali i ozdób marszałkowskim mundurze. Stanowczo ma w sobie coś z Goeringa, gdyż zanadto lubi błyskotki. Zauważył widocznie nasze osamotnienie i zaczął grać rolę gospodarza, za co, Bogiem a prawdą, poczułem do niego odrobinę wdzięczności. Samotność wśród wroiego lub obojętnego tłumu jest może najgorszym rodzajem samotności.

Nagle usłyszałem głos z drugiej strony długiego stołu:

— Jak się masz Stefan! Jakże się cieszę, że jesteś tutaj razem z nami!

Witającym mnie z taką ostentacją był Edward Droźniak, prezes Banku Polskiego, który posilał się naprzeciw mnie, mając po bokach Janusza Żółtowskiego z przedwojennej polskiej służby dyplomatycznej i drugiego pana, o którym mi powiedziano, że to znany przedwojenny specjalista od spraw finansowych Barański.

Droźniak, mój kolega jeszcze z czasów gimnazjalnych, był okazem typowego oportunisty-karierowicza, jakich tyśiące. W czasie wojny utrzymywał żywe i liczne kontakty z naszym podziemiem, które jednak pozrywał jeden po drugim w miarę zbliżania się armii sowieckiej. Ile razy przyjeżdżał z Krakowa do Warszawy, w urzędowym charakterze dyrektora jakiejś krakowskiej Kasy Komunalnej czy Oszczędności, tyle razy docierał do mnie, choćbym nie wiem jak był schowany. Gdy po Powstaniu pojechałem do Krakowa i zapukałem do drzwi jego mieszkania, prosząc o nocleg, odmówił pod blahym pretekstem. Nowej władzy oddał się duszą i ciałem, chociaż, jak go znam, raczej ciałem i to za dobrym wynagrodzeniem, bo za wysokie stanowisko.

Podjęliśmy rozmowę przez stół, wymieniając informacje o wspólnych znajomych, gdyż jest to najłatwiejszy temat w kłopotliwych sytuacjach. Włączył się do niej demonstracyjnie Żółtowski, który znał mnie od dawna, ale ogra-

niczył się do nieznacznego, pół-konspiracyjnego skinienia głową, gdy się przedtem nasze spojrzenia spotkały. Ot, takie ściągnięcie skóry na czole, jakby się chciało spędzić z niego muchę. Poinformował natychmiast swego obecnego przełożonego, Droźniaka, że zna mnie świetnie i od paru lat i że też się bardzo z tego cieszy, że mnie tutaj widzi.

Z Droźniakiem miałem już uprzednio dwa okazyjne spotkania. Raz w kuluarach KRN, gdzie namawiał mnie na zerwanie z opozycją:

— Nie pływ pod prąd, bo utoniesz. Koło historii toczy się w innym kierunku i cię zmiażdży.

Gdy zarzuciłem mu popieranie terroru i współodpowiedzialność za morderstwa, nie zaprzeczał:

— Tak jest, to słusznie. Ale jesteśmy w okresie rewolucji i ofiary być muszą. Jak z niego wyjdziemy, terror nie będzie więcej potrzebny.

Drugie spotkanie miało miejsce w Leśnej Podkowie. Siedzieliśmy z Zosią wieczorem w kawiarence „Pod Lipkami”, otoczonej sosnowym lasem, gdy otworzyły się drzwi i wszedł Droźniak z żoną, w liczniejszym towarzystwie, wszyscy pod dobrą datą. Przysiedli się do nas i pili dalej. W pewnej chwili Droźniak rozejrzał się po ciemnym lesie, zerknął na zegarek i zaniepokoił się:

— Czas iść do domu. Jest już bardzo późno i ciemno, a czasy nie takie spokojne.

Postanowiłem napędzić mu strachu:

— Jak długo siedzisz ze mną, włos z głowy ci nie spadnie.

— Co to ma znaczyć? — zapytał Droźniak z niespokojnym zdziwieniem.

— Jesteśmy tu przecież pilnowani przez moich ludzi — odparłem niedbale, jakbym mówił o najzwyklejszej sprawie. Droźniak zbłądł i za pięć minut zostaliśmy z Zosią sami.

No, ale teraz miałem już dosyć rautu, rozmowy z Droźniakiem i kanapek, które nagle wydały mi się wyschnięte, więc podszedłem do Mikołajczyka, rozmawiającego z La Guardia. Mały, gruby człowieczek, z kilkunastoletnim synem u boku, stał na środku sali, wyciągając rękę do przedstawianych mu osób.

Zaspokoiwszy ciekawość, ruszyłem samotnie ku wyjściu. W zupełnie pustym przedsionku natrafiłem znów na Łętowskiego. Widząc, że nie ma nikogo, rzucił się ku mnie, złapał za rękę i wskazując wzrokiem salę, wyrzucił z siebie z głębokim przejęciem:

— Czegośmy to dożyli, panie Delegacie! Czegośmy to doczekali!

LA GUARDIA I CHŁOPKA

26 sierpnia 1946.

La Guardia pojechał na oględziny tak zwanego „przyczółka kieleckiego”. Ta nazwa została nadana terenom powiatów: kozienickiego, opatowskiego, stopnickiego, sandomierskiego, iłżeckiego i kieleckiego, gdzie na skutek walk zostały zniszczone 634 wsie. Pozbawieni wszystkiego ludzie mieszkają po ziemiankach i czekają na pomoc. Najcięższy problem to dziesiątki tysięcy głodujących i prawie nagich dzieci. Rатуje je cała Polska, przede wszystkim dzieci z innych stron kraju. Oliarność na ten cel jest naprawdę ogromna i przypomina spontaniczny wybuch solidarności narodowej, gdy po Warszawie rozeszła się wiadomość, że dzieci z zamojszczyzny są transportowane przez miasto do Niemiec. Nasz czołowy działacz z kielecczyny, P., twierdzi, że sama Warszawa pomogła uratować pięćdziesiąt pięć tysięcy dzieci.

La Guardia, objeżdżając te tereny z synem, wprowadził go do ziemianki i wskazując na leżące na słomie dzieci, surowo nakazał:

— Zapamiętaj sobie ten widok na całe życie. Jeśli ci się będzie kiedykolwiek wydawało, że ci jest źle, przypomnij sobie, jak te dzieci tu żyły.

Babka trojga małych wnucząt wyprowadziła go z ziemianki i z niezamierzonym wyrzutem w głosie powiedziała do tłumacza:

— Niech mu pan podziękuje chociaż za to, że przyjechał popatrzeć na naszą biedę...

La Guardia wysłuchał tłumaczenia, łza mu się zakłęciła w oku, uściśnął kobiecie rękę i odszedł bez słowa.

NAPAD NA SIEDZIBĘ PSL

8 września 1946.

Dziś, w niedzielę, byłem obecny na statutowym, dorocznym zgromadzeniu PSL, dzielnicy Warszawa-Śródmieście, na którym wygłosiłem referat na temat aktualnej sytuacji politycznej. Idea przewodnia przemówienia: wybory to ostatnia szansa, którą musimy wyzyskać bez reszty, chociaż referendum stanowi dla nich złą prognozę. Przed tym wysłuchałem sprawozdania organizacyjnego, według którego mamy w dzielnicy Śródmieście: 564 robotników, 345 rzemieślników, 326 urzędników, 52 handlowców i 43 wolne zawody. Razem 1.130 członków. Robotnicy przodują, zadając kłam twierdzeniom PPR o „mobilizacji reakcji warszawskiej pod sztandarami PSL”. Jeśli oni będą uznani za reakcję, to któż w takim razie nie?

Zebranie odbywało się w sali na ostatnim piętrze naszego budynku w Alejach Jerozolimskich, które ma balkon, idący wzdłuż całej kamienicy. W czasie mego przemówienia doszły z ulicy najpierw kroki wielu maszerujących ludzi, a później okrzyki, które zaczęły odrywać uwagę słuchaczy od referatu i coraz więcej głów patrzyło w stronę okien.

Przerwałem przemówienie i poprosiłem o sprawdzenie, co się dzieje na ulicy. Parę osób wyszło na balkon i usłyszałem stamtąd podniecone głosy:

— Przed naszym gmachem odbywa się demonstracja. Jest sporo czerwonych sztandarów i wznoszą okrzyki przeciw PSL!

Poprosiłem, by nikt więcej nie wychodził na balkon, bo przed pustym gmachem demonstracja będzie trwała krócej, niż wówczas, gdy spostrzegą, że mają słuchaczy i powróciłem do referatu.

Nagle od ulicy rozległy się strzały, brzęk tłuczonych szyb i przeciągły krzyk. Urwałem w pół zdania i wybiegłem na balkon. Tłum atakował naszą siedzibę. Z dołu dochodziło walenie żelaznych łomów w zamknięte kraty głównego wejścia, fruwały kamienie i rozlegały się okrzyki, zachęcające napastników.

Rzuciłem się do telefonu i zadzwoniłem do milicji, żądając natychmiastowej pomocy. Przyszło mi bowiem błyskawicznie na myśl, że jeśli tego się nie zrobi, milicja łatwo się usprawiedliwi, twierdząc, że nikt jej o napadzie nie zawiadomił. Gdy zbiegłem za innymi na dół, już było po wszystkim. Na nasz widok ostatni z napastników wyskoczyli z okien parterowego biura i tłum śpiesznie się oddalił w kierunku Marszałkowskiej. Z prawdziwą przykrością dojrzałem wśród napastników, obok białych koszul i czerwonych krawatów ZWM-owców, także niebieskie koszule TUR-owców.

Zaczęliśmy oglądać pobojuwisko. Parter przedstawiał obraz zupełnego zniszczenia. Wybite okna, rozbite biurka, połamane krzesła, potłuczone lampy i, co najgorsze, potraskane cenne maszyny do pisania. Podłoga zawałona podartymi aktami i papierem. Drzwi wejściowe wylamane.

Wyszedłem na ulicę i natknąłem się na pułkownika milicji obywatelskiej Konarzewskiego, z sowiecką oznaką na mundurze, który wydawał jakieś zarządzenia otaczającym go milicjantom.

— Dlaczego milicja dopuściła tłum przed gmach i ułatwiła przez to napad?

Konarzewski, z fałszywie współczującą miną, zaczął się usprawiedliwiać:

— A skąd myśmy mogli wiedzieć, że odbędzie się demonstracja przed gmachem PSL?

Odpowiedziałem na to, siląc się na spokój:

— Przyjawszy nawet, że milicja z góry o tym nie wiedziała, to jednak musiała zauważyć tłum, maszerujący Marszałkowską i Alejami przez jakie pół godziny.

Konarzewski nie dał się zbić z tropu:

— Toteż zauważyła, dała mi znać i oto tu jesteśmy.

Dalsza rozmowa nie miała celu, więc zawróciłem do bramy. Tu, ktoś pociągnął mnie za rękaw. Odszedłem na bok i usłyszałem ważną informację:

— Jeszcze nim pochód nadszedł, milicja była już tutaj, pochowana po sąsiednich bramach. Gdyby się w gmachu wywiązała bójka, pewno by was pod tym pretekstem poaresztowali.

ARESZTOWANIE MIERZWY

25 września 1946.

Ogłoszono komunikat o aresztowaniu w Krakowie Stanisława Mierzwy. Mieliśmy o tym już dawno wiadomość i podziałała, jak ostrzeżenie. Był to nasz główny działacz na Małopolskę, darzony przez zmarłego prezesa Witosa największym zaufaniem i przez nas uważany za jego następcę na tamtejszym gruncie. Mądry, zrównoważony i obdarzony dużym poczuciem odpowiedzialności, był jednym z filarów stronnictwa. On to zresztą pierwszy miał odwagę przeciwstawić się dyktatorskim manierom Mikołajczyka, o których nie mogę już więcej milczeć, a które od początku nam dokuczają. Nie radzi się nikogo, nie liczy się z opinią Naczelnego Komitetu Wykonawczego i załatwia wszystko arbitralnie, według własnego widzimisię. W związku z tym Mierzwa usunął się na jakiś czas od prac w NKW i trzeba było dużego wysiłku, by stosunki między nim a Mikołajczykiem ułożyły się jako tako.

Ale jego aresztowanie jest sygnałem, że rozpoczęto już likwidację góry PSL. Dla mnie jest to groźne memento. Wszak Biecut skreślił z listy naszych kandydatów na posłów do KRN właśnie Mierzwę, Bagińskiego i mnie. Małopolscy członkowie NKW, z sędziwym Władysławem Witkiem na czele, uważając, że Mikołajczyk zbyt łatwo z tym się pogodził, zaatakowali go na posiedzeniu tego ciała. Wybuchło coś w rodzaju wewnętrznego przesilenia i Mikołajczyk zrobił z tego kwestię zaufania. By uratować sytuację i zażegnać kryzys, Bagiński, działając w swoim i moim imieniu, zaapelował do Małopolan, by nie robili z tego sprawy zasadniczej i cała rzecz przycichła.

Mierzwa jest już dzisiaj w więzieniu. Kto następny?

KATYŃ W KĘPNIE I SPALENIE WĄWOLNICY

26 września 1946.

Byłem swego czasu obecny na sali „Romy”, kiedy w ostatnim dniu sesji KRN wszedł na mównicę jeden z naszych posłów i zawiadomił Radę o wstrząsającym odkryciu:

„W Kępnie Wielkopolskim, w ogrodzie willi, w której mieści się siedziba Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa, leży pogrzebanych kilkadziesiąt osób, pomordowanych przez miejscową bezpiekę. Są to niewątpliwie zwłoki tych mieszkańców Kępna i okolicy, którzy w ostatnich miesiącach zaginęli bez śladu. Imieniem PSL wnoszę o natychmiastowe powzięcie przez Radę uchwały, zarządzającej w tej sprawie śledztwo i wyznaczenie dla prowadzenia go odpowiedniej komisji poselskiej”.

Na sali zaległa nagle cisza, w której rozlegał się tylko głos naszego przedstawiciela, motywującego szerzej swoje żądanie. Wiadomość zrobiła na wszystkich piorunujące wrażenie. Nawet peperowcy milczeli, niepewni, jak się zachować. Wszystkie oczy zawisły na ustach przewodniczącego, Bieruta, który słuchał przemówienia z oznakami widocznego zniecierpliwienia. Gdy nasz mówca skończył wśród głuchej ciszy, Bierut pośpiesznie zajął jego miejsce na mównicy, przy mikrofonie. Ogarnął salę gniewnym wzrokiem i oświadczył głosem, który brzmiał, jak rozkaz:

— Za kilka minut mamy zakończyć sesję. Gdybym zarządził dyskusję nad wnioskiem PSL, musiałbym ją przedłużyć do jutra, co nie leży w planach Rady. Toteż sądzę, że najlepszym jego załatwieniem będzie przekazanie interpelacji PSL do zbadania i wyjaśnienia ministrowi bezpieczeństwa, który w tej sprawie złoży Radzie w swoim czasie odpowiednie sprawozdanie.

Najpierw zaczął bić brawa PPR, po czym rozszerzyły się na całą salę, z wyjątkiem ław PSL, gdzie widać było podniesione postacie, machanie protestacyjne rąk i słychać okrzyki: „Hańba, mordercy!”

W jakiś czas potem mieliśmy już wiadomość, że zwłoki zostały wykopane w nocy i po kryjomu pogrzebane w pobliskim lesie. Gdy i tam je ludność wypatrzyła, odgrzebano je ponownie i wywieziono w nieznanym kierunku. Już nikt więcej na ich ślad nie natrafił.

Druga interpelacja PSL dotyczyła spalenia przez bezpiekę w dniu 2 maja 1946 osady Wąwolnica, w powiecie puławskim. Już od dawna w sferach bezpieczeństwa osadę tę uważano za główny ośrodek podziemia na okolicznym terenie. Wyaresztowano spośród jej mieszkańców wiele osób, ale to się bynajmniej nie przyczyniło do zmniejsze-

nia działalności tamtejszego podziemia. Wówczas zdecydowano się uciec do radykalnych środków, by wytepić do gruntu to „gniazdo os”. Wybrano w tym celu... spalenie całego miasteczka. W dniu 2 maja oddziały bezpieki wkroczyły do Wąwolnicy i zaczęły palić dom po domu, wśród krzyku uciekającej z płonących mieszkań ludności, ryku palonego bydła i płaczu kobiet i dzieci. Spalono ponad trzysta gospodarstw. Pogorzelnicy z Wąwolnicy bez trudu rozpoznali wśród podpalaczy ubeków z Puław i okolicy, którzy zresztą nie starali się wcale kryć swych osób, i rzecz cała rozniosła się szeroko po lubelszczyźnie, a od naocznych świadków, członków PSL, dotarła do naszej centrali w Warszawie.

Dziś właśnie, na sesji KRN, odpowiadał na obie interpelacje dyrektor departamentu Ministerstwa Bezpieczeństwa Chmielewski. Oświadczył krótko i węzłowato, że w ogrodzie willi w Kępnie znaleziono w dniu 6 kwietnia br. zwłoki aresztanta Stefana Drogi, który został przypadkowo zabity, gdy w nocy z 22 na 23 listopada 1945 „banda” NSZ w liczbie 150 ludzi napadła na urząd bezpieczeństwa w Kępnie, zabijając pięciu funkcjonariuszy UB i dwoje dzieci.

Co zaś się tyczy spalenia Wąwolnicy, to zrobiła to „banda” Orlika z WINu, podczas walki z wojskiem i milicją. Budynków nie można było uratować, bo w środku wybuchała amunicja.

Wszystko wytłumaczył jaśniej od słońca. Nawet zabójcy Scibiorka zostali wykryci! Sam minister Radkiewicz poinformował 23 bm. Radę z mównicy w „Romie”, że zabili go: Wiesław Płoński i Bolesław Panek, obaj z WINu. Ale gdy Bańczyk z PSL zajął po nim miejsce na trybunie i stwierdził, że rzecz się miała zupełnie inaczej, Radkiewicz nie zdobył się już na żadną reakcję.

Wprost kapitalny jest ten pomysł bezpieki włączenia dzieci do afery w Kępnie. Co za potwory ci partyzanci! Nie dość, że mordują „stróżów porządku i prawa”, ale nawet niewinnych dzieci nie oszczędzają. Prawdziwe Herody z brodą!

W wyjaśnieniu co do Wąwolnicy popełniono dwa błędy: pierwszy, to wzmianka o amunicji, wybuchającej w płonących budynkach. W ten sposób dano do zrozu-

mienia, że Wąwolnica też miała coś na sumieniu i właściwie poniosła zasłużoną karę, jeśli z powodu nielegalnie przechowywanej, a wybuchającej w czasie pożaru amunicji, nie można było ratować budynków. Czy nie lepiej było obciążyć winą tylko partyzantów?

Drugi, to podkreślenie, że ludzie Orlika byli umundurowani, przez co mogli być wzięci za wojsko lub bezpieczeństwo. Jest w tym pewne usprawiedliwienie oskarżeń, podniesionych przez ludność przeciw bezpieczeństwu, że to ona paliła. Po co?

Nie wytłumaczono tylko jednego, a mianowicie, w jakim celu „banda” Orlika miałaby palić Wąwolnicę?

Cała odpowiedź na interpelację, to typowe „łapaj złodzieja”, tylko sfluszerowane.

Zresztą nie tylko pali się Wąwolnicę i morduje ludzi w Kępnach. Lista naszych zabitych wykazuje dalsze straty. Zginął Jan Henryk Pecio, porucznik B.Ch., wiceprezes PSL na powiat Puławy, zamordowany 1 września br., gdy szedł wieczorem na przedstawienie. W dniu 2 sierpnia zamordowano w miechowskim majora B.Ch., Apolinarego Józefowicza i członka zarządu powiatowego PSL, inż. Stefana Miłkowskiego, zaś 20 lipca we wsi Jaroszyn, powiat Kozienice, działacza PSL Władysława Wnuka. Żałobna lista rośnie dalej i nie widać jej rychłego końca.

WARSZAWA POWSTAJE Z POPIOŁÓW

29 września 1946.

Przez dwa dni, wczoraj i przedwczoraj, chłopcy z okolic Warszawy i PSL stołeczne odgruzowywali miasto. Akcja ta jest wśród ludności dość popularna, mimo że jest nadużywana propagandowo. Jeśli jakaś wycieczka przez parę godzin pogrzebie łopatomy, to pożytek z tego niewielki, za to hałas na całą Polskę. Niemniej wszyscy chcą odbudować Warszawę, by była piękniejszą, niż dawniej i pod tym względem nie ma różnicy między peperowcem a członkiem podziemia. W całym kraju istnieją komitety odbudowy Warszawy i odbywają się ciągle zbiórki na ten cel, chociaż jest to kropla w morzu w porównaniu z potrzebami. Brak jest przede wszystkim nowoczesnych

maszyn i wszystko robi się ręką, kilofem i łopatą. Istnieje w Warszawie coś w rodzaju milczącego sprzysiężenia młodych architektów, którzy jak tysiące innych fachowców zajęli wobec krajowej rzeczywistości stanowisko „końskich okularów”. Widzieć przed sobą tylko jeden cel i nie patrzeć na boki. Ci ludzie planują budowę nowej Warszawy, w której już nie będzie nic z przedwojennego architektonicznego brzydactwa, oni odbudowują Gdańsk, Wrocław i Szczecin. Obok nich, inżynierowie stawiają na nowo zniszczone fabryki, budują drogi, mosty i koleje. Daje się wyczuć w kraju głód i tęsknota za pracą we własnym zawodzie. Zdemobilizowani żołnierze, jeńcy z obozów, ludzie z wojennego podziemia chcą pracować i tworzyć. Wszystkim przyświeca jedna myśl: co wymurujemy, tego nie ukradną i nie wywiozą na wschód.

Zjechało się przedwczoraj do Warszawy tysiące wozów chłopskich, przystrojonych zielonymi chorągiewkami. Podmiejskie wsie wyludniły się doszczętnie, gdyż przybyły także kobiety. Zjechały się poza tym delegacje PSL z całego kraju i parę tysięcy ludzi stanęło o godzinie siódmej rano do pracy na Wspólnej, Hożej, Placu Trzech Krzyży i ma ulicach między Kruczą a Marszałkowską.

Wziąłem się też sam do łopaty, by nie tylko dać dobry przykład, ale by sprawdzić, czy mięśnie stać jeszcze na większy wysiłek. Wszyscy pracowali zawzięcie wśród żartów i dogadywań, w nastroju trochę majówkowym. Wkrótce rozpoczął się ciąg obładowanych wozów ulicą Marszałkowską w kierunku Puławskiej i pustych z powrotem.

Koło południa pojawili się nieoczekiwani goście. Między pracującymi chłopami ukazali się warszawiacy. Jedni przyszlizli zwyczajnie z łopatami, żeby pomagać, drudzy — a tych była większość — przynieśli coś ze sobą. Zjawiły się dzbanki z lemoniadą, papierosy, ciastka i kanapki oraz. Bogiem a prawdą, nawet mocniejsze trunki. Tu i ówdzie widać było zadarte głowy i grdyki, chodzące rytmicznie w tę i z powrotem. Warszawiacy częstowali chłopów, którzy przyjechali porządkować ich miasto. Był to już drugi wypadek, kiedy Warszawa zbliżyła się do wsi. (Pierwszy miał miejsce w czasie Kongresu PSL, w styczniu br., gdy miasto ofiarowało noclegi dla jego uczestników.) Towarzyszyły temu zbliżeniu różne rozmówki, prze-

ważnie na temat: „trzymajcie się chłopci... Są was miliony i trudno was będzie złamać... w was nadzieja całego kraju, bo nas w mieście wkrótce wykończą... Chyba, że Ameryka...” — Chłopi spokojnie odpowiadali: „Nie damy się. My jesteśmy twardy i wytrzymały naród... Ale i wy nie upadajcie na duchu. Przeżyliście okupację, przeżyjecie demokrację...”

Ogółem w ciągu dwóch dni chłopci wywieźli 12.000 ton gruzu, a więc wynik niełada. Epilogiem tej akcji było wezwanie mnie znów do bezpieki, pod zarzutem zorganizowania przez stołeczny PSL pod pretekstem odgruzowania Warszawy imprezy propagandowej, „bo na wozach były zielone chorągiewki”. A jakie miały być?!

MIKOŁAJCZYK CONTRA ANDERS

30 września 1946.

Rozmawiałem z towarzyszami ze stronnictwa na temat uchwały Rady Ministrów z 26 września, pozbawiającej obywatelstwa generała Andersa i 75 innych oficerów. Interesowało mnie, jak się zachował przy tym Mikołajczyk. Nie chciałem być w jego skórze na tym posiedzeniu. Bo z jednej strony nie można głosować za, a z drugiej, jak będzie głosował przeciw, to poprze pośrednio rząd londyński, którego Anders jest filarem, i to przeciw rządowi, którego sam jest wicepremierem. Dylemat w jego sytuacji trudny do rozwiązania.

Przy tej rozmowie okazało się, że nikt z nas nie zna składu rządu w Londynie. Jak daleko odeszliśmy od czasów wojennych, kiedy Londyn był alfą i omegą podziemnego życia politycznego. Każdy dziś czuje, że punkt ciężkości przeniósł się z emigracji do kraju i tu teraz rozgrywa się główna walka o nasze istnienie. Londyn strasznie zmałał i znalazł się gdzieś na peryferiach.

Co do interesującej mnie kwestii, usłyszałem od uczestnika posiedzenia Rady Ministrów następującą wersję:

„Mikołajczyk sprzeciwiał się odebraniu obywatelstwa 75 oficerom, twierdząc, że nie należy karać ślepego narzędzia, a sprawcę. Oficerowie ci byli i są posłuszni rozkazom Andersa i nie mają swobodnego wyboru, więc nie

należy ich winić, a jego. Zwalając w ten sposób całą winę na Andersa, nie mógł już później inaczej głosować, jak za odebraniem mu obywatelstwa”.

Jeśli tak rzecz się miała, to stąd widać jasno, że wice-premierostwo Mikołajczyka w rządzie to pułapka dla Mikołajczyka, szefa opozycji i prezesa PSL.

BÓG NIE RYCHLIWY...

1 października 1946.

Przyszła wiadomość o ogłoszonym wczoraj wyroku w procesie norymberskim. Gubernator Frank skazany na śmierć i będzie powieszony. Przypomniał mi się końcowy ustęp mojej odezwy jako szefa Kierownictwa Walki Cywilnej, z 17 września 1942, w sprawie mordowania Żydów:

„Podobnie jak w sprawie ofiar polskich, odpowiedzialność fizyczna za te zbrodnie spadnie na katów i ich współników”.

Przyszła kreska na Matyska i arcykat Frank zawisnie na stryczku. Odczuwam jednak z tego powodu mniej satysfakcji, niżby należało. To pewnie dlatego, iż teraźniejszość panuje nade mną całkowicie i minione podziemie więcej się oddaliło w przeszłość, niżby to uzasadniał wpływ tylko dwóch lat.

„PARTYZANCI” Z BEZPIEKI

3 października 1946.

„Gazeta Ludowa” zakończyła dzisiaj kronikę, drukowaną codziennie od 1 sierpnia, pt. „Dzień Walczącej Stolicy”. Dwa lata temu skończyło się Powstanie Warszawskie, którego ważniejsze wydarzenia kronika opisywała dzień po dniu.

Oni uczcili tę rocznicę w ten sposób, że generał Witold-Józwiak stwierdził w wywiadzie prasowym, iż organa bezpieczeństwa rozbiły dotychczas 86 „band” podziemnych, łapiąc 2.000 członków, same zaś straciły łącznie z milicją około 2.000 zabitych i 2.000 rannych.

Zawsze się zastanawiam, czy cyfrom tym wierzyć, czy nie. Jeślibezpieka je powiększa i przedstawia podziemie liczniejszym niż jest, to zarazem przyznaje się pośrednio do złego funkcjonowania i niemożności zlikwidowania go. Z drugiej strony, wyolbrzymianie podziemia ułatwia utrzymanie w życiu przepisów wyjątkowych, sądów wojskowych, dużego budżetu bezpieki itp. Dziś skłaniam się ku temu, by dać pierwszeństwo drugiemu rozumowaniu, a to z powodu odkrycia, jakiego dokonaliśmy w ostatnich dniach.

Okazało się, że „obrońcy prawa i porządku publicznego” organizują swoją własną, a więc fikcyjną partyzantkę dla celów prowokacyjnych. Dochodziły nas już od dawna wiadomości z radomskiego, że grasuje tam jakaś banda, która wykazuje się legitymacjami PSL i stara nawiązać kontakt z okoliczną ludnością. Po pewnym czasie przyjeżdża bezpieka z dokładną listą i aresztuje wszystkich, którzy z bandą się zetknęli. Obecnie przyjechali ludzie z siedleckiego z prośbą o pomoc w sprawie innej bandy leśnej, która tam działa i podszywając się pod Baony Chłopskie, odmawia młodych chłopców od stawania do poboru do wojska, a ludność nakłania do nie oddawania świadczeń na rzecz państwa. Kto jak kto, ale nasi Bechowcy z tamtych stron są najbardziej powołani do tego, by stwierdzić, że to nie ludzie z B.Ch. są w tej bandzie, więc prowokacja wychodzi, jak szydło z worka.

Niezależnie od tego padają dalsze ofiary z prawdziwego podziemia, bo w ubiegłym miesiącu zapadło przed Wojskowym Sądem Rejonowym w Katowicach trzy wyroki śmierci na członków oddziału kapitana Groma (Henryka Gawrona), należącego do WIN'u. Wreszcie, Wojskowy Sąd Rejonowy w Bydgoszczy skazał na różne kary więzienia sztab pomorskiego okręgu NSZ, a Wojskowy Sąd Rejonowy w Łodzi na takie same kary członków podziemnej organizacji „Walka z bezprawiem”.

Łańcuch ostatnich wydarzeń na tym polu zamyka komunikat P.A.P. z Lublina, według którego „bandy” Zapory z WINu i Cisego z NSZ, uzbrojone w broń maszynową, razem 50 osób, napadły na wieś Maniaki i spaliły ją, w tym 11 gospodarstw należących do b.akówców.

Najlepszy jest ten pomysł, że członkowie WINu, który składa się z nieujawnionych akowców, niszczą własność swych ujawnionych towarzyszy broni. Należy go zaliczyć do tej samej kategorii, co rzekome zabicie przez podziemie dwojga dzieci w Kępnie. Te kłamstwa są obliczone na obudzenie w społeczeństwie oburzenia przeciwko podziemiu. Przypomina mi to tolerowanie przez Gestapo bandytów, by ich zbrodniami obarczyć ówczesną konspirację i zohydzić ją w oczach kraju. Nauka nie poszła w las i dzisiaj mają w bezpieczeństwie wiernych naśladowców. Nie darmo ją ludzie nazywają „czerwone Gestapo”.

PRAWNICTWO „LUDOWE”

6 października 1946.

Wpadłem na walne zgromadzenie Zrzeszenia Prawników Demokratów, by posłuchać tego, co się tam mówi. Na sali było ponad sto osób, między innymi minister sprawiedliwości Świątkowski z PPS, którego dawniej znałem jako spokojnego, przyzwoitego człowieka, cieszącego się dobrą opinią zarówno w kołach prawniczych, jak i politycznych. Przewrót zrobił z niego zupełną szmatę. Rzadko kto teraz wysługuje się Pepeerowi, jak Świątkowski. Poza nim spostrzegłem Chajna z PPR, wiceministra sprawiedliwości, przedwojennego aplikanta adwokackiego, dalej Józefa Stopnickiego, człowieka wielkiej uczciwości, odwagi i dużych zdolności, zastępcę śródmiejskiego Delegata w okresie Powstania, dalej prokuratora Jarosza i przedwojennego prokuratora Jonsika z Poznania, który był filarem tamtejszej sanacji, no i wschodzącą gwiazdę „ludowego” prawnictwa, samego pułkownika (!) Muszkata.

Trafilem właśnie na przemówienie tego ostatniego. Muszkat, ustrojony w mundur, omawiał rolę sądu, prokuratury i obrony w ludowym wymiarze sprawiedliwości. Usłyszałem, że sąd winien obecnie zrozumieć, że do każdego przepisu należy stosować marksistowską wykładnię, według której dobro ludowej demokracji jest naczelnym nakazem i jeśli pewien przepis temu warunkowi nie odpowiada, nie może być stosowany.

Jeśli chodzi o prokuraturę, to obecna rewolucyjna sy-

tuacja wymaga wyposażenia jej w nadzwyczajne uprawnienia, które by jej pozwoliły wkraczać nie tylko tam, gdzie istnieje podejrzenie o popełnienie przestępstwa, ale również w każdym wypadku formalnie legalnego działania, które jednak z punktu widzenia demokracji ludowej jest szkodliwe, a przez to bezprawne.

Co zaś się tyczy roli adwokata, to powinien on zapomnieć o przedwojennej zasadzie, że jego zadaniem jest obrona oskarżonego przed karą. W ludowym wymiarze sprawiedliwości jest on, obok sądu i prokuratury, trzecim organem, którego zadaniem jest wykrycie przestępcy, chociaż byłby to jego własny klient.

Ogromnie zbudowany tymi nowymi teoriami, które z sądu robiły instytucję polityczną, z prokuratorów panów życia i śmierci każdego człowieka, nawet będącego w zupełnej zgodzie z prawem, a z adwokatów pomocniczych funkcjonariuszy policji śledczej, zabierałem się już do wyjścia, gdy zwróciło moją uwagę, że Świątkowski prosi o głos. Zatrzymałem się i usłyszałem jego i Chajna oświadczenie, że nie mogą kandydować do zarządu Zrzeszenia razem z peeselowcami, bo PSL łączy się z podziemiem.

Więc i tutaj dotarła ta popularna śpiewka. Nie byłem ciekaw dalszego ciągu i wyszedłem. Sądzę, że do swoich teorii będą musieli znaleźć zupełnie nowych ludzi, bo starzy się do tego nie nadają. Robią to zresztą, bo coraz częściej trafia się na sędziów i prokuratorów z trzymiesięcznym „wyższym wykształceniem ludowym”. Wyroki ferują z punktu widzenia nowej doktryny bezbłędnie, szkoda tylko że nie można tego samego powiedzieć o ich ortografii.

W BLOKU, CZY SAMI?

8 października 1946.

Dwa dni temu, 6 października, odbyło się posiedzenie naszej Rady Naczelnej, poświęcone głównie problemowi, czy iść do wyborów oddzielnie, czy w bloku z innymi partiami. W dniu 27 września ogłoszono o bloku wyborczym PPR, PPS, Stronnictwa Ludowego i Stronnictwa Demokratycznego i my mieliśmy teraz zająć wobec tego stano-

wisko. Jesteśmy pod ciężką presją, by się przyłączyć do bloku. PPR i PPS przodują w akcji nacisku politycznego, jaki się na nas wywiera przy pomocy stałych ataków prasy, demagogicznych uchwał i pytań, kierowanych publicznie pod naszym adresem. W międzyczasie komisja ordynacji wyborczej KRN odrzuciła wszystkie nasze wnioski i poprawki.

Przeszło sto osób ze wszystkich stron kraju zebrało się w naszym gmachu, pod przewodnictwem Władysława Kiemika, który, wyczuwając wśród zebranych nastroj niechętny dla bloku, nie zdradził się niczym, że jest jego cichym zwolennikiem i, jak przystało na wytrawnego, starego lisa, zagał posiedzenie dość bezstronnie i bezbarwnie.

Po paru przemówieniach, sytuacja wyjaśniła się ostatecznie. Poza nieliczną grupą osób, przygotowujących się już do przejścia do przeciwnego obozu, olbrzymia większość Rady, w tym i ja, wypowiedziała się zdecydowanie przeciw przystąpieniu do bloku. Pójdziemy do wyborów sami, z własną listą i pod własnymi hasłami.

Szkoda, że jaki przyszedł historyk nie był obecny na sali, gdy Rada obradowała nad tą brzemienną w skutki decyzją. Zanotowałby u tych potomków pańszczyźnianych oraczy niezwykle poczucie odpowiedzialności za losy kraju, który w przeszłości był dla nich raczej macochą, a nie matką i to widziane w perspektywie dziesiątków lat, a nie najbliższych, co do których każdy już przewiduje, że przyniosą klęskę. Nie ma takich, którzy po doświadczeniach. Na decyzji Rady zaważyły dwa motywy. Pierwszy, to tajemnicza recepta Mikołajczyka, dla zrealizowania której potrzebne jest uprzednie przeprowadzenie wyborów i może nawet ich sfalszowanie przez komunistów. Coraz mniej ludzi w nią wierzy, ale większość liczy się z nią w dalszym ciągu. Drugi, to głębokie przeświadczenie, że należy walczyć do końca i raczej być pobitym, niż dobrowolnie skapitulować. Uratuje to godność kraju i wyda owoce, jeśli nie w bliskiej, to w dalekiej przyszłości. Oba te motywy były ze sobą w zgodzie i nie ma potrzeby rozstrzygania, który przeważał.

Jak to tego czasu, z jednego tylko miejsca, ale to nie byle jakiego, przyszło wskazanie, które pośrednio poparło naszą walkę o wolne wybory. Dnia 10 września zostało

wydane na Jasnej Górze, w Częstochowie, orędownie episkopatu, wzywające wiernych: „do zachowania całkowitej swobody wybierania programów politycznych”. Powinno to nam pomóc.

Już nie wiem który raz przekonywuję się, że kościół katolicki w walce o wolną Polskę zajął takie miejsce, które czyni z niego jeden z fundamentów naszej niepodległości.

CENZOR I WÓDKA

26 października 1946.

Rzadko się teraz śmiejemy, znacznie rzadziej niż pod okupacją niemiecką, a i te dowcipy, które obecnie kursują, znacznie więcej są zaprawione goryczą, niż dawne. Dziś jednak miałem pod tym względem dobry dzień, bo udał nam się niezły kawał.

Początkiem wszystkiego był artykuł Romana Werfla w „Głosie Ludu”, w którym nazwał redakcję naszej „Gazety Ludowej” obcą agenturą. Członkowie tej redakcji doszli do wniosku, że w istniejących warunkach nie można tego oskarżenia puścić płazem i pozwali Werfla przed sąd dziennikarski.

O całej sprawie dowiedziałem się dopiero wówczas, gdy się zaczęły kłopoty i gdy trzech dziennikarzy z naszej gazety, skrobiąc się w głowę, przyszli do mnie, jako przewodniczącego komisji prawniczej, z prośbą o radę:

„PPR postanowił nadać rozprawie przed sądem dziennikarskim duże rozmiary i wielki rozgłos. Pragną oni przeprowadzić coś w rodzaju publicznego sądu, już nie tylko nad nami, ale nad całym PSL. Pracują nad tym najlepsze peperowskie głowy i adwokaci. W procesie tym wystąpią w charakterze świadków takie tuzy, jak cenzor Zabłudowski, pułkownik Kliszko, generał Grosz, i w ogóle tylu, ilu będzie potrzeba. Wreszcie, co najgorsze, jeden adwokat po drugim odmawiają nam pomocy. Co robić, panie mecenasie?”

Najpierw zburzałem ich, że przyszli za późno, a następnie zarzuciłem wręcz karygodne nieprzemyślenie sprawy do końca:

— Jak mogliście, panowie, przypuszczać, że w obec-

nych warunkach możecie wygrać proces z Romanem Werflem, czołowym publicystą PPR?

Trzej poważni ludzie opuścili głowy i odpowiedzieli zgodnym chórem:

— Stało się.

Poszedłem po rozum do głowy i wymyśliłem pewien sposób, dla zrealizowania którego zasiadłem 13 października na sali rozpraw, obok skarżących członków redakcji „Gazety Ludowej”. Mała sala była nabita po brzegi. Dojrzałem wśród tłumu znane twarze łuzów prasowych z przeciwnego obozu i sporo wybitnych polityków. Nasza grupka była w tym tłumie, który nam się przyglądał niezyczliwie, dość osamotniona.

Wszedł sąd w składzie trzech osób i rozprawa się rozpoczęła. Po załatwieniu formalności i przed przystąpieniem do przewodu, powstał z ławy obok mnie naczelny redaktor „Gazety Ludowej”, Augustyński, zresztą najbardziej pogodny człowiek na świecie jakiego znałem, i poprosił o głos. Gdy ten mu został udzielony przez przewodniczącego, w jednej osobie zawodowego sędziego i dziennikarza, Augustyński skierował wprost do Werfla następujące pytanie:

— Czy pan, nazywając redakcję „Gazety Ludowej” obcą agenturą, miał intencję obrażenia pracujących w niej pańskich zawodowych kolegów, których większość przecież pan zna?

Werfel na to wstał i oświadczył z ochoczą gotowością:

— Moje twierdzenie nie odnosiło się osobiście czy indywidualnie do żadnego z poszczególnych członków redakcji „Gazety Ludowej” i nikogo z nich nie zamierzałem dotknąć. Było ono tylko opinią polityczną, wypowiedzianą o kierunku, jaki „Gazeta Ludowa” reprezentuje.

Augustyński spojrzał na mnie, a że kiwnąłem głową potakująco, zatem zabrał głos ponownie:

— Wobec oświadczenia redaktora Werfla, iż nie miał zamiaru dotknąć któregośkolwiek z członków redakcji „Gazety Ludowej”, skargę cofamy.

Na sali zakotłowało się. Jakies osoby podbiegły do Werfla i gestykulując gorączkowo, coś mu tłumaczyły. W międzyczasie przewodniczący, poszeptawszy najpierw z jednym a później drugim sędzią, z czego do nas doszło

tylko potakiwanie głowami, zastukał młotkiem w stół. Na sali zapanowała cisza, w której rozległ się głos przewodniczącego:

— Wobec cofnięcia skargi przez skarżącą stronę, sąd postanowił postępowanie umorzyć.

Gdy trzech sędziowie podnieśli się z za stołu i skierowali się ku wyjściu, wśród obecnych zapanowała konsternacja. Nikt takiego wyniku się nie spodziewał. Coraz więcej osób gromadziło się wokół Werfla, wyraźnie mu już teraz wymyślając. Gdy opuszczaliśmy salę, wpadł na nią „złotousty” Bieńkowski z PPR i także pobiegł do Werfla. We drzwiach obejrzałem się. Bieńkowski coś wykrzykiwał, żywo gestykułując, a purpurowy na twarzy Werfel starał mu się przerwać.

W najlepszym nastroju udaliśmy się do kawiarni, by opłotkować wydarzenie. Udało się nie tylko wycofać z przegranej z góry sprawy, ale nawet uzyskać od Werfla pewnego rodzaju satysfakcję. Cała nasza taktyka był oparta na założeniu, że według zwyczajów, panujących w świecie dziennikarskim, żaden z kolegów, nawet peperowiec, nie odważy się oświadczyć, że twierdził coś o drugim koledze z zamiarem obrażenia go. Że Werfel dodał do tego swoje trzy grosze, za to będzie płacił. Ale to już jego, nie nasze zmartwienie.

Ta cała sprawa była zresztą jednym z najmniejszych kłopotów, związanych z „Gazetą Ludową”. Wydawanie tego jedyne go codziennego, niezależnego pisma, jest prawdziwą udręką. Najpierw nałożono ograniczenia na ilość egzemplarzy, jakie wolno drukować i dozwolone 70.000 nie kryje zapotrzebowania. Rezultatem tego jest „pasek” w Warszawie na „Gazetę Ludową”, którą przekupnie sprzedają za cenę kilkakrotnie wyższą od nominalnej. Stało się to w stolicy pewnym problemem i spowodowało nawet uchwałę walnego zgromadzenia PSL Praga-Północ z 15 września, żądającą zlikwidowania tego niepożądanego zjawiska, bo wygórowana cena „w pasku” pomniejsza czytelnictwo.

Z kolei cenzura robi wszystko co może, by utrudnić życie temu pismu. Wydrukowany do korekty egzemplarz musi być dostarczony cenzorowi, a jego nożyce dokonywują reszty. Artykuł za artykułem ulegają konfiskacie i te-

raz trzeba je zastąpić innymi, gdyż pismo nie może się ukazać z białą plamą! Miarą tego, jak cenzura idzie daleko, jest fakt, że nie tylko przemówienia posłów do KRN są cenzurowane, ale nawet mowy ministrów i posłów z PPR. Nie pomogły interpelacje i interwencje, nawet przyrzeczenia premiera Osóbki, że z tym skończy. Cenzura nic sobie z tego nie robi i w dalszym ciągu wycina z przemówień to, co chce. Wycięła także wspomniane przyrzeczenie Osóbki.

Gdy wreszcie usunięty tekst zostanie zastąpiony innym, numer idzie do druku do upaństwowionej drukarni, a ta już stara się o to, by pismo wyszło spod prasy parę godzin później od innych. Skutkiem tego „Gazeta Ludowa” ukazuje się na mieście ostatnia i na prowincję dochodzi później, niż inne pisma. Mimo to, w Warszawie po południu już jej nie można dostać. Zresztą na temat szykan, stosowanych przez cenzurę, która jest składową częścią bezpieki, można by tomy pisać.

Gdy wszelkiego rodzaju protesty i środki polityczne zawiodły, Augustyński postanowił uciec się do z dawna wypróbowanych metod i pozyskawszy dla swego pomysłu Kazimierza Banacha, kierownika naszego wydziału prasowego, zaprosił cenzora Zabłudowskiego dla poprawienia stosunków na wódkę:

„Jak go zalejemy to poruszymy nasze bolączki. Na pewno da się coś niecoś naprawić — mówił optymista Augustyński”.

Co z tego wyszło, opowiedział mi później Banach:

„Zabłudowski zaproszenie przyjął z oznakami nieukrywanego zadowolenia, wobec czego, zaopatrzwszy się w odpowiednią ilość gotówki, poszliśmy do „Polonii”. Postanowiliśmy nie oszczędzać i na stole pokazały się najlepsze rzeczy, jakie „Polonia” miała w karcie. Okazało się, że Zabłudowski ma apetyt całkiem dobry, a i pociąga z kieliszka też nie najgorzej. Mnie znacie, więc o sobie nie mówię...”

Tu Banach spuścił skromnie oczy, a ja z przekonaniem przytaknąłem. Banach sływał w naszym środowisku z pragnienia, którego byle czym nie można było ugasić.

„Augustyński” — ciągnął Banach dalej — „przyjemny i wesoły z natury, a że dwoił się i troił, zatem dowcip

szedł za dowcipem i dawno się tak nie ubawiłem. Dolewałem Zabłudowskiemu gęsto, ale bestia ciągnął jak gąbka i nic po nim nie było znać. Lalek więc dalej, a on łykał jednego za drugim i tak trwało dłuższy czas... Nagle słyszę, jak Augustyński mówi: «Pan jest bardzo miły człowiek, panie Zabłudowski, więc doprawdy dziwię się, jak pan może zajmować się taką brudną robotą, jak cenzura»".

„We mnie, jak piorun strzelił. Patrzę wściekły na Augustyńskiego i wicie, co widzę? Augustyński zalany w dechę! Twarz purpurowa, oczy mętne, język belkocze. On, który miał upić Zabłudowskiego, ledwo siedzi na krześle, a Zabłudowski wygląda, jakby cały wieczór pił mleko!”

„Augustyńskiego kopnąłem pod stołem w kostkę i zagadałem jakoś Zabłudowskiego, nalawszy znów po kieliszku jemu i sobie. Augustyński nie chciał pozostać w tyle, więc nalał sobie sam i brnął dalej: «Pański ojciec, panie Zabłudowski, to był bardzo porządny kupiec, szanowany na całych Nalewkach. A pan, panie Zabłudowski, to co?...»”

„Przeprosiłem Zabłudowskiego i zażądałem rachunku. Augustyński nie mógł już wyjść o własnych siłach, więc go obaj wzięliśmy pod pachy i zaciągnęliśmy do dorożki. Zabłudowski miał kwaśną minę, ale widać na świeżym powietrzu i jego trochę zamroczyło, bo nabrał ochoty do dalszego picia i zaprosił mnie do siebie do domu na poprawiny. Naturalnie pojechałem i robiłem co można, żeby naprawić złe wrażenie. Gładziłem dzieci po włosach (tfu!) i mówiłem, że piękne. Chwaliłem meble i w ogóle. Zabłudowski starał się być dobrym gospodarzem, ale humoru już nie odzyskał. Co z tego wyjdzie, nie wiem, ale na pewno nic dobrego. Dopiero teraz się zorientowałem, że Augustyński prawie nie pije i nie ma żadnej w tym wprawy. Ładne poprawienie stosunków! A niech to diabli wezmą!”

Finałem tych wszystkich spraw było aresztowanie Augustyńskiego pod zarzutem szpiegostwa i współpracy z podziemiem. Doniósł o tym wczorajszy komunikat PAT'a, zawiadamiając równocześnie o aresztowaniu w Krakowie Buczka, redaktora naszego tygodnika „Piaś” oraz Bagiń-

skiego, który został uwięziony w Warszawie za wydawanie „nielegalnego” biuletynu PSL, gdyż w ten sposób określono wewnętrzne wydawnictwo partyjne, przeznaczone dla informowania członków stronnictwa o bieżących sprawach.

Ten ostatni areszt ma dla mnie specjalne znaczenie. Z trzech osób, które swego czasu Bierut skreślił z listy naszych kandydatów na posłów do KRN, dwóch — to jest Mierzwa i Bagiński — już siedzą. Teraz kolej na mnie.

Z KRÓLA PREZYDENT

16 listopada 1946.

Urok ludowej demokracji jest tak silny, że łamię nawet najtrwalsze opory. Ulegają mu nawet dynastie, bo oto król cygański, Rudolf Kwiek, wydał orędzie, w którym oświadczył, że rezygnuje z tytułu króla i odtąd będzie się nazywał prezydentem. Przypomniawszy przy tej okazji swoją koronację, która odbyła się w czerwcu 1926 roku, na stadionie sportowym w Warszawie, przy udziale wielmożów cygańskich z całej Europy i swoją wspaniałością oraz ceremoniałem zapędziła w kozi róg dwór angielski. Jestem pewien, że wielu warszawiaków pamięta ten wielki dzień w życiu naszej stolicy, kiedy to na nią były zwrócone oczy całego świata, informowanego bez przerwy o przebiegu świetnej ceremonii przez Radio Polskie. Jako zaprzysiężony przeciwnik monarchii, nie byłem obecny na uroczystości koronacyjnej, chociaż przyznam się, że mnie tam bardzo ciągnęło, a bilety wstępu nie były zbyt drogie. Natomiast pamiętam, jak po zakończeniu tego historycznego wydarzenia, powiększyła się ilość głosów, wołających po podwórzach warszawskich: „Rondle pobielam... Garnki drutuję...” To delegaci z całego świata odbywali gościnne występy w Warszawie.

Przy okazji tej ważnej deklaracji król, przepraszam, prezydent Kwiek, udzielił szeregu smutnych informacji, dotyczących jego poddanych. W Polsce było ich 284.000, a zostało tylko 170.000. Reszta wymordowana przez Niemców. Sam Kwiek stracił szesnastu członków swojej rodziny, spalonych w barakach na Woli w czasie Powsta-

nia. Zresztą dużo cyganów walczyło w czasie Powstania i w partyzantce na lubelszczyźnie, w szeregach AK.

Ten żywiołowy prąd ku demokracji wtargnął nawet na deski sceniczne, gdyż teatr w Łodzi gra obecnie „Hrabinę Maricę” jako po prostu „Maricę”. Jak z tego jednak widać na „Króla Leara” czy „Hamleta” w ludowej demokracji miejsca nie ma. Za dużo głów koronowanych, a za mało ściętych przez „mściwy miecz ludu”.

WYBORY W STYCZNIU 1947

17 listopada 1946.

Ogłoszono o wyznaczeniu wyborów do Sejmu na 19 stycznia 1947. Generalnym komisarzem wyborczym został mianowany przez KRN Kazimierz Bzowski, prezes Sądu Najwyższego. Członkiem Państwowej Komisji Wyborczej z naszego ramienia został Stanisław Mazur, a jego zastępcą Stanisław Osiecki.

Porozumiewamy się obecnie z grupą Żuławskiego z PPS w sprawie zgłoszenia w niektórych okręgach wyborczych wspólnej listy. W tym celu spotkałem się któregoś wieczoru na Nowogrodzkiej z socjalistą Zdanowskim i poprowadziłem go ciemnymi uliczkami na rozmowę z naszymi. Przypomniały nam się niedawne czasy okupacyjne, kiedy w ten sam sposób przemykaliśmy się na konspiracyjne zebrania. Kiedyż to się wreszcie skończy?

SĄD NAD ROZTWOROWSKIM

21 listopada 1946.

W Szczecinie odbyła się publiczna rozprawa nad sztuką K.H. Rostworowskiego „Przeprowadzka”. Zapadł wyrok, potępiający tę sztukę z powodu aspołeczności, apolityczności i amoralności, przyjęty przez sędziów na widowni spontanicznymi oklaskami. Ciekaw teraz jestem, kiedy przyjdzie kolej na „Przedwiośnie” Żeromskiego, „Chłopów” Reymonta i „Wesele” Wyspiańskiego.

A swoją drogą, jakież to dla nas wszystkich „awans społeczny”. Dawniej zajmowali się krytyką teatralną czy literacką tylko wybrani. A dzisiaj, każdy może zasiąść wy-

godnie na sali i nawet nie czytając książki czy sztuki, brać udział w sądzie nad nią i jej autorem.

Jest to tylko jedno z wielu dobrodziejstw nowego ustroju. Do nich należy zaliczyć także nadzwyczajną radość życia, widoczną na każdym kroku, która pozwala ludziom przetwarzać najbardziej ponure dawne przeżycia na „radosny uśmiech teraźniejszości”. Czyż tego nie jest najlepszym dowodem „*Bal Reprezentacyjny Polskiego Związku Byłych Więźniów Politycznych Hitlerowskich Więzień i Obozów Koncentracyjnych*”? Tysiące osób obojga płci będą płasnąć ochoczo, wspominając nieopisane piękno słońca, wschodzącego nad kominami krematorium, lub śpiewny głos drutów kolczastych, targanych łagodnym powiewem zefirku, niosącego na swych skrzydłach zapach palonych ciał. A jak pięknie musi wyglądać mazur, odtańczony w pasiakach! Pióro poprostu cofa się przed opisem tego nowego stylu życia, jakim się dzisiaj cieszymy, dzięki rządowi ludowej demokracji. „Ja drugiej takiej strony nie znam, gdzie tak wolno dyszyt’ czelowiek”.

GÓRALU, CZY CI NIE ŻAL?

23 listopada 1946.

W Zakopanem ogłoszono wyrok w procesie tak zwanego „Gorralenvolku”. Główny oskarżony, Józef Cukier, przewodniczący tzw. komitetu góralskiego, otrzymał 15 lat więzienia, inni, jak Tomasz Kościelniak, Stanisław Muł, Antoni Kęska i Antoni Tomala niższe kary. Dr Henryk Szatkowski, który zbiegł zagranicę, został osądzony zaocznie.

W ten sposób zakończyła się głupia, hitlerowska okupacyjna afera, która się rozpoczęła od „Gorallenvereinu”, a skończyła na odkryciu przez Niemców w końcu dwudziestego wieku, w sercu Europy, nieznanego reszcie świata „narodu góralskiego”.

Główny bohater tej afery, Wacław Krzeptowski, nie dożył tej chwili. Parę lat wcześniej dosięgła go ręka karzącej sprawiedliwości. Z wyroku podziemia został schwytany i powieszony w nocy na Krupówkach, w Zakopanem, głównej siedzibie jego zdradzieckiej działalności.

NA ŻAŁOBNEJ AKADEMII

24 listopada 1946.

Poszedłem dzisiaj na akademię ku czci pomordowanych adwokatów warszawskich. Urządzono ją w sali teatru na Marszałkowskiej 8. Pisząc te słowa, zdaję sobie sprawę z tego, że staję się coraz bardziej jednostajny. Wciąż eks-humacje, pogrzeby, nekrologi, żałobne akademie. Ale cóż na to mogę poradzić, że życie w Polsce stało się także pod tym względem jednostajne i duża część jego to właśnie te żałobne uroczystości. Jesteśmy, szczególnie Warszawa, jednym wielkim pobjowiskiem, na którym co krok — to cmentarz. Ci, co przeżyli wojnę, przede wszystkim Powstanie Warszawskie, codziennie kroczą ścieżkami wśród mogił.

Dla równowagi za to wspominam ciągle o kawiarniach, barach i restauracjach, na tle których rozgrywają się często opisywane przeze mnie wydarzenia. Przyczyna tego bardzo prosta. Mieszkamy w Leśnej Podkowie, a cały dzień spędzamy w Warszawie. Gdy wyjdę z siedziby Stronnictwa, rozpoczyna się seria spotkań w tych właśnie miejscach.

Już od przedsionka rozpoczęły się powitania i okrzyki. Masa twarzy, których się nie widziało od szeregu lat. Tylko zamiast blond, czy czarnych czupryn, które się miało w pamięci, siwizna lub woskowa bladość łysiny. Wszyscy się postarzelili, skurczyli i poszarzelili.

Zaproszono mnie, bym zajął miejsce w prezydium, na estradzie, więc miałem przed oczyma całą salę, a na niej kilkaset osób, z ogromną przewagą mężczyzn. Akademię zagał mecenas Kulczycki, prezes Naczelnej Izby Adwokackiej, dawny patron wiceministra sprawiedliwości Chajna, po czym odegrano marsz żałobny Chopina. Wysłuchałem go już nie wiem po raz który. Na sali wybuchł powszechny płacz, szlochy, co już jest regułą na tego rodzaju uroczystościach. Ludzie nie panują nad sobą i ciągle jestem świadkiem historycznych wybuchów. Z estrady widziałem tylko białe chusteczki przy każdej twarzy i wstrząsane łkaniami ramiona. Muszę się przyznać, że mnie już na to nie stać. Łzy dawno wyschły i patrzę na wszystko suchym okiem.

Po przemówieniach M. Jarosza i Józefa Stopnickiego, który, nie szczędząc krytycznych aluzji, przywoływał cienie Nowodworskich, Berensonów i Szumańskich, tych symboli walki o wolność, by nas wspomagały w walce o właściwą rolę adwokatury, rozpoczęło się czytanie listy zamordowanych.

Na sali, która się uspokoiła i wysłuchiwała w skupieniu i powadze obu przemówień, ktoś, widocznie usłyszawszy znajome nazwisko, wybuchnął znów głośnym płaczem. Zawtórowali mu inni. I tak już trwało do końca. Dwaj adwokaci, czytający na zmianę listę pomordowanych, wymawiali jedno nazwisko po drugim, a na sali coraz to rozlegał się głośny szloch.

Czytanie listy trwało nadspodziewanie długo. Nic dziwnego, gdyż z 2.136 adwokatów z Warszawskiej Izby Adwokackiej, około 1.200 zostało zamordowanych, a więc przeszło połowa.

Wyszedłem zupełnie rozstrojony. Nie będę więcej chodził na tego rodzaju uroczystości. Trzeba oszczędzać nerwy. Będą potrzebne do czego innego.

IDŹ NA MESSALKĘ!

25 listopada 1946.

Dzisiaj, dla odmiany, cała Warszawa obchodziła na sali „Romy” pięćdziesięcioletni jubileusz pracy scenicznej Lucyny Messal. Sądzę, że „Roma” odetchnęła nieco na tej artystycznej imprezie, bo posiedzenia KRN, dla których służy przede wszystkim, nie nastroją chyba ścian na wesoło. Jest to jedyna większa sala w ruinach Warszawy, toteż służy wszystkiemu, powiedziałbym chrztom, ślubom i pogrzebom każdego wydarzenia, które się rozgrywa w stolicy.

Messalka przetrwała całą okupację, prowadząc restaurację „Pod kasztanami”, w podwórzu Instytutu Głuchoniemych, przy Placu Trzech Krzyży. Teraz chciała się przypomnieć Warszawie, która kiedyś, przed laty, leżała u jej stóp. Stolica jej nie zawiodła i olbrzymia sala „Romy” była wypełniona do ostatniego miejsca. I to nie tylko przez tych, co przyszli tutaj wsparci o mocne ramiona do-

rosłych wnuków, lub przyjechali na wózkach, ale także przez młodsze pokolenie, które nie pamiętało najświetniejszych lat królowej polskiej operetki. Messalce wielokrotnie urządzono owację, a występy jej kolegów zaspokoili najwybredniejsze wymagania.

Ale przez całą tę imprezę snuła się cienka nić rozrzewnienia i smutku. W Messalce publiczność żegnała aa zawsze część dawnej Warszawy, miasta zabawy, wesołości i dowcipu, tej Warszawy, która może już nigdy nie wróci.

Na jubileusz nie poszedłem. Mam dosyć ruin miasta. Po co mam patrzeć na ludzkie...

Z SALI SĄDOWEJ

12 grudnia 1946.

Na wczoraj zwołano do Ministerstwa Bezpieczeństwa konferencję prasową. Udzielał informacji pułkownik Romkowski, o tyle dobry mój znajomy, że mnie swego czasu badał, gdy siedziałem w bezpiece. Stwierdził, że władze bezpieczeństwa aresztowały po dwa komplety kolejnych władz konspiracyjnych WIN-u i NSZ, oraz że schwytały drukarnię WIN-u i zlikwidowały jego pisma: „Honor i Ojczyzna”, „Słowo Polskie” i „Polskę Niepodległą”. Według niego, w ostatnich trzech miesiącach miało miejsce w Polsce trzy tysiące napadów, których ofiarą padło sześciuset ludzi. Twierdzi, że powstała także w podziemiu „Międzyorganizacyjna Komisja Porozumiewawcza”, będąca czymś w rodzaju centralnego kierownictwa. W lubelskim i rzeszowskim rzekomo istnieje porozumienie NSZ-tu, WIN-u i UPA (Ukraińskiej Powstańczej Armii), a aresztowany dowódca WIN-u, Niepokójczycki, przyznaje kontakt tej organizacji z PSL, o którym mówi, że był słaby u góry, a lepszy w dołach.

Abstrahując od tego, czy informacje Romkowskiego są prawdziwe czy nie, muszę przyznać, że tu i tam dochodzi do sporadycznych zbrojnych starć i krew się leje nadal. Można już z całą pewnością stwierdzić, że amnestia nie doprowadziła do ujawnienia całego podziemia, czego dowodem są, między innymi, liczne procesy, niewątpliwie przyspieszone przez bezpiekę z uwagi na zbliżające się wybory, w których podziemie z pewnością zechce odegrać

pewną rolę. Oto lista tych wydarzeń z miesiący październik, listopad i początek grudnia.

Dnia 9 października rozpoczął się przed Wojskowym Sądem Okręgowym w Warszawie proces 11 osób z NSZ i „Organizacji Polskiej”;

W październiku, Wojskowy Sąd Rejonowy w Krakowie skazał na śmierć dowódcę „bandy” NSZ, Jana Nosala, zaś innych członków tej „bandy” na więzienie;

Wojskowy Sąd Rejonowy w Katowicach rozpatrywał sprawę 22 członków podziemnej „Komendy Wojewódzkiej „Klimczok”, organizacja „Bory”, zakończoną czterema wyrokami śmierci;

Na Śląsku toczą się procesy: „Wędrowca” (Józefa Wilisza) i Józefa Gabrzyły z organizacji „Kuznia” oraz Aleksandra Kasaraby;

Na Pomorzu zakończono jednym wyrokiem śmierci i kilkoma wyrokami więzienia proces „bandy” NSZ, działającej na terenie powiatów lubawskiego, brodnickiego i działdowskiego;

Zapowiedziano proces przed Wojskowym Sądem Okręgowym, na sesji w Płońsku, „bandy” Marcinkowskiego, zwanej po prostu AK, która nawoływała do bojkotu referendum i miała swych członków w milicji obywatelskiej i w bezpiece;

W Warszawie toczył się od 18 listopada przed Wojskowym Sądem Rejonowym proces przeciw księdzu Zygmuntowi Jarkiewiczowi o dowodzenie akcją „bandy dywersyjnej”, zakończony skazaniem go na śmierć;

W Zakopanem, mimo likwidacji „bandy” Groźnego (Mariana Sawarskiego) i Bratka (Jana Osińskiego) wprowadzono ze względu na złe warunki bezpieczeństwa godzinę policyjną od 7 wieczór do 6 rano;

„Bandy” grasują na Mazurach i w okolicach Częstochowy;

W październiku, miasteczko Wyszków, położone o 50 kilometrów od Warszawy, zostało zajęte przez „bandę”, liczącą stu ludzi, która splądrowała urząd pocztowy, stację kolejową, „Rolnika” i inne urzędy państwowe.

Pięć wyroków śmierci zapadło w Katowicach, w procesie „bandy” Śmiertelnych z NSZ, pod dowództwem Andrusa (Zdzisława Krausego);

Wojskowy Sąd Rejonowy w Łodzi skazał na śmierć członka grupy dywersyjnej „Błyskawica”, a w Częstochowie zapadło parę wyroków, skazujących na wieloletnie więzienie członków „bandy” Warszycy;

Wojskowy Sąd Rejonowy w Białymstoku skazał w procesie „bandy” WIN-u Witolda Langiewicza na 15 lat;

Wojskowy Sąd Rejonowy w Krakowie, na sesji w Wadowicach, skazał na śmierć dwóch członków osiemnastoosobowej „bandy” NSZ Niebora, w tym jej przywódcę Mieczysława Kozłowskiego;

Wojskowy Sąd Rejonowy w Katowicach wydał trzy wyroki śmierci na członków „bandy leśnej” „Słońce” oraz na sesji w Bielsku dwa wyroki śmierci na członków „bandy” NSZ w Beskidach Śląskich;

Na stacji kolejowej w Strychowie, powiat Wadowice, bitwa stoczona przez trzydziesto-osobową „bandę” z milicją i wojskiem.

Tę serię kończą dwa procesy w Warszawie. Jeden przed Wojskowym Sądem Rejonowym z pięcioma wyrokami śmierci na członków organizacji „Narodowe Zjednoczenie Wojskowe” i „Narodowy Związek Zbrojny”. Drugi przed Wojskowym Sądem Okręgowym na rozprawie, toczącej się w więzieniu na Mokotowie, w świetlicy funkcjonariuszy więziennych, z sześcioma wyrokami śmierci na członków Komendy Głównej NSZ: Poboche, Abakanowicza, Wolframa, Swiszcza, Salskiego i Kocena. Broniewską, żonę komendanta głównego NSZ, skazano na 8 lat więzienia.

Z procesów tych widać jeszcze raz, że podziemie istnieje i nadal działa, poza tym że uległo zupełnej, zresztą samorządnej decentralizacji, atoli z dwoma przodującymi organizacjami, WIN-em przede wszystkim, a następnie NSZ-tem na czele. W miejsce dawnego AK zrodziły się, jak grzyby po deszczu, dziesiątki nowych, małych organizacji, skutkiem czego zdekonspirowanie jednej nie przerywa się na drugą i to jest zaletą tego systemu, który lepiej odpowiada obecnej sytuacji, a mianowicie o wiele większej penetracji bezpieki, niż Gestapo. W tym rozproszeniu widać instynkt samozachowawczy Polaków, urodzonych konspiratorów. Technicznie podziemie stara się przystosować do nowych warunków. Niestety politycznie nie ma już

należytego uzasadnienia i jest tylko protestem bez szans na zwycięstwo.

Dlaczego o tych sprawach piszę tak szczegółowo i dokładnie, może nawet monotonicznie? Dlatego, iż sądzę, że zarówno nazwy organizacji podziemnych, jak i nazwiska osób, które oddały swoje życie w służbie Wielkiej Sprawy, tym bardziej nie powinny zaginać, im więcej ta służba wyglądała na straconą.

PODSŁUCH W ŚCIANIE

13 grudnia 1946.

Znów wyłamali szuflady w moim biurku w zarządzie stołecznym PSL, w naszej siedzibie w Alejach Jerozolimskich 85. Już to się przytrafiło uprzednio kilka razy. Oni wyłamują, my za każdym razem naprawiamy. Ale na tym koniec. Już nie każę zakładać więcej nowych zamków, bo nie ma sensu. Szuflady będą odtąd otwarte.

Na co oni liczą? Co się spodziewają znaleźć? Przecież nikt nie będzie trzymał żadnych nielegalnych papierów w szufladach biurka, w lokalu stronnictwa, na który spadają ciągle rewizje. Tacy lekkomyślni znów nie jesteśmy. Więc po co?

Wogóle życie stało się nieznośne. Sporo naszych woźnych zostało zmuszonych do służby w bezpiece i jest to zupełnie widoczne. Przyszedł kiedyś do mnie Anglik, Winch, z brytyjskiej ambasady, który mówi po polsku. Jak tylko się drzwi za nim zamknęły, wszedł do pokoju woźny i zaczął grzebać wśród palt. Nie mogłem ani go wyrzucić za drzwi, ani przerwać rozmowy, gdyż wówczas miałby dowód, że ma ona charakter poufny, więc rozmawiałem dalej z Winch'em, a woźny, majstrując przy wieszaku, nadstawiał ucha. Trzy razy tak nam przerywał, wchodząc do pokoju, nie mówiąc już o tym, że podsłuchiwał w międzyczasie pod drzwiami.

Ale to nic w porównaniu z tym, co mi się niedawno wydarzyło. Ktoś zapukał do drzwi i na moje „proszę” wsunął się starszy człowiek. Nie mówiąc ani słowa, wykiwał mnie palcem na pusty korytarz i tam podnieconym szeptem poinformował, że jest woźnym z biura magistrac-

kiego, które rozdziela nasze lokale, rozmieszczone na niższych i wyższych od niego piętrach. Pragnie mi powiedzieć w tajemnicy coś ważnego i prosi o spotkanie na mieście. Z rozmowy z nim następnego dnia wyszedłem zaalarmowany. Starszy człowiek, trzęsąc się ze strachu czy zdenerwowania, odkrył rzeczywiście tajemnicę:

„W pana pokoju jest założony podsłuch. Zakładali go z naszego biura i ja to podpatrzyłem. Bałem się zdradzić, ale sumienie spokoju mi nie daje i musiałem to panu powiedzieć. Niech tylko pan, na miłość boską, nie wyda, że to ja ostrzegłem, bo bezpieka ze mnie skórę zedrze”.

Podziękowałem mu gorąco i zapewniłem, że nigdy jego nazwiska nie wymienię i w ogóle już je zapomniałem, co rzeczywiście jest prawdą.

Teraz trzeba było zaaranżować całe przedstawienie. Nie wtajemniczając nikogo, przeprowadziłem w pokoju z podsłuchem cały szereg rozmów, z których wynikało, że lokal ten jest dla mnie niewygodny i przeniosę się na parter. Po przeprowadzce, załatwiając w nowym lokalu bieżące sprawy, byłem już nastawiony na czujność i ciągle przemysliwałem nad tym, gdzie teraz może być podsłuch założony. Nasz obszerny pokój miał ściany jedną od ulicy, drugą od sąsiedniego, parterowego, pustego budyneczku, w wystawowym oknie którego od miesiący wisiała kartka „do wynajęcia”. Z pozostałych dwóch stron — korytarz i wejście. Nad głową nasze lokale, od dołu betonowe sklepienie piwnicy. Wyglądaliśmy na dobrze zabezpieczonych.

Tymczasem któregoś dnia spostrzegłem, że kartka z okna budynku, przytykającego do naszej ściany, zniknęła i okno jest zasłonięte. W normalnych warunkach nie zwróciłbym na to najmniejszej uwagi, ale ostrzeżony...

Wybrałem jednego ze sprytniejszych i odważniejszych ludzi z dawnego podziemia, wtajemniczyłem go w moje podejrzenia, nie wspominając jednak o podsłuchu na dawnym lokalu, i prosiłem o zbadanie sprawy. Po tygodniu, na spacerze, złożył mi sprawozdanie:

„Poszedłem do dozorczy na sąsiedniej posesji i zapytałem czy w tym budynku jest sklep do wynajęcia. Odburknał, że nie. Udałem zdziwienie i zawołałem, że przecież na własne oczy widziałem kartkę „do wynajęcia”. Odpowiedział, że to było tydzień temu, ale w międzyczasie sklep

został wynajęty. Poprosiłem go wówczas, by mi dał nazwisko i adres osoby, która sklep wynajęła, bo mi się to miejsce bardzo podoba i może mi je odstąpi lub podnajmie. Wyraźnie zniecierpliwiony odparł, żebym przestał marudzić. To nie są jego sprawy i nic mi dać nie może. Wcisnąłem mu wówczas w rękę duży napiwek i ponowiłem pytanie, przyrzekając znacznie więcej, jeśli uda mi się sklep dostać. Złagodniał od razu, długo się namyślał, wreszcie mi poradził: «Niech się pan tym sklepem przestanie interesować, bo to się może dla pana źle skończyć...» Oburzyłem się: «Co to ma znaczyć? Cóż to, nie wolno się pytać, kto wynajął sklep? Czy to zbrodnia, czy co?!» Nachylił mi się wówczas do ucha: «Jakbym panu powiedział, kto wynajął, to byś się pan ze...ł ze strachu. Idź pan już, na miłość boską i nie narażaj siebie, ani mnie».

To mi wystarczyło. Porozmawiałem z zaufanym technikiem, też z dawnego podziemia, który przyszedł, opukał ścianę, przytknął do niej jakiś instrument z podziałką i latającą strzałką i wskazał palcem:

— To tutaj!

„NIECH PAN TO PODPISZE”

Najpierw złapał mnie na korytarzu w naszym gmachu młody chłopiec, członek PSL i poprosił o radę. Wyszliśmy na spacer, by uniknąć podsłuchu i chłopiec wyłożył, o co mu chodzi:

„Parę tygodni temu zjawił się w biurze, gdzie pracuję, jakiś nieznajomy, pokazał legitymację UB i kazał iść ze sobą. Wsiadliśmy do samochodu, który czekał na ulicy i zawiózł mnie do miejskiego Urzędu Bezpieczeństwa na Pragę. Tam, oficer UB zaczął mi czytać protokół, według którego na imieninach kolegi wymyślałem na Sowiety i komunę. Zdumiałem się. To była prawda, ale przecież na imieninach byli sami swoi, więc jak mogło dojść do UB? Zaprzeczyłem jednak wszystkiemu, tłumacząc poza tym, że wszyscy mieli dobrze w czubie i ja za nic nie mógłbym sobie przypomnieć, ani co ja, ani co inni mówili. Kapitan zaczął cytować z protokołu całe zdania wypowiedziane przeze mnie i groził, że zginę w więzieniu, że już z prze-

sluchania nie wyjdę itp. Ja się broniłem, że jestem niewinny, że to omyłka i coś w tym rodzaju. Po godzinie złągodniał i powiedział, że jednak na razie mnie nie zamknie, bo jestem młody i nie chce mi łamać życia, ale ponieważ wie, że jestem w PSL, więc mam opisać wszystkich kolegów z tej organizacji, a przede wszystkim jaka jest ich przeszłość, co robią i mówią między sobą, jakich mają znajomych, czy się bawią i piją, czy mają przyjaciółki, narzeczone i jakie, ich adresy, w ogóle wszystko. Mam to przynieść mu za tydzień”.

„Byłem tak oszołomiony i tak chciałem się stamtąd wydostać, że nie powiedziałem ani tak, ani nie i zwolnili mnie. W ciągu paru dni, jakie miałem przed sobą, przeżyłem całą sprawę i postanowiłem, za Boga, nic nie pisać, by nie zostać konfidentem bezpieki. Niech się dzieje co chce, ale donosicielem nie będę. Myślałem też o ucieczce, ale dokąd i za co?”

„Jak pan widzi, system mają taki, że jak jaby napisał coś o rozmowach, jakie prowadzą moi koledzy z PSL, to przyjdą do jednego czy drugiego i zaczną go tak samo szantażować jak mnie z powodu mojej gadaniny na imieninach, o której doniósł jakiś sterroryzowany nieszczęśnik. W ten sposób można budować sieć agentów bez końca”.

„Po dziesięciu dniach przyszedł ten pierwszy ubek i znów mnie zawiózł do bezpieki. Tam, oficer zapytał, czy raport gotów. Odpowiedziałem twardo, że się namyśliłem i nic nie będę pisał. Za pięć minut byłem już w ciemnej piwnicy. Trzymali mnie w niej dwa tygodnie. Co tam przeżyłem, trudno opisać. Ciemno, wilgoć, głód i zimno. Spałem na ziemi, bo nie było podłogi, bez przykrycia, tak jak mnie wzięli z biura. Ciągłe się modliłem i prosiłem Boga, by mi dał siły, żeby to przetrzymać i nie załamać się. Nie odmówił mi swej pomocy, bo gdy co trzy dni wyprowadzali mnie z piwnicy i pytali, czy napiszę raport, to miałem tyle mocy w sobie, że odpowiadałem nie i wracałem do piwnicy”.

„Po dwóch tygodniach zaprowadzili mnie znów do tego samego oficera. Tym razem siedział przede mną inny człowiek. Uśmiechnięty, uprzejmy, prosił siadać i poczęstował papierosem. Uszom nie chciałem wierzyć, gdy powiedział: „Widzę, że pan jest człowiek z charakterem i do

niczego nie da się zmusić. Szkoda, że pan nie chce dobrowolnie współpracować z nami, ale mówi się trudno... Postanowiłem pana zwolnić, ale przedtem niech pan podpisze zobowiązanie, że pan przed nikim nie zdradzi, o czym tu z panem mówiliśmy”.

„Przeczytałem podsunęty mi papier uważnie. Brzmiał on mniej więcej dosłownie: „Ja, niżej podpisany, zobowiązuję się nigdy i w żadnych okolicznościach nie ujawniać treści rozmów, przeprowadzonych ze mną przez organa bezpieczeństwa”. Papier do niczego nie zobowiązywał, więc chwyciłem za pióro i podpisałem. Za chwilę byłem już wolny i szczęśliwy na ulicy...”

„Toteż moje zdumienie i rozpacz były nieopisane, gdy po tygodniu, wychodząc z biura, natknąłem się znów na przystanku na pierwszego ubeka i ten mnie zapytał, czy raport gotów. Odpowiedziałem wścickły, że powinien o tym wiedzieć, że odmówiłem pisania raportów i że UB ze mnie zrezygnowało. Odparł na to, że jest przeciwnie, gdyż UB ma na piśmie moje zobowiązanie do współpracy. Wścickłem się jeszcze bardziej i krzyknąłem, że takie zobowiązanie nie istnieje, gdyż podpisałem tylko papier, że nie ujawnię treści rozmów z UB. A na to ubek z tryumfującą miną: „Ale właśnie z tych rozmowach pan przyrzekł współpracę i papier jest dowodem na piśmie, że pan przed nikim nie zdradzi, iż jest pan naszym współpracownikiem! Przyjdę w to samo miejsce za tydzień i będzie źle z panem, jeśli raport nie będzie gotów”.

Młody chłopiec, podniecony długą opowieścią, patrzył mi błagalnie w oczy i prosił:

— Co ja teraz mam robić, panie prezesie? Niech mi pan poradzi. Ja za nic nie zostanę ich agentem, ale co w takim razie robić?

Powiedziałem mu, by przyszedł za dwa dni, gdyż chciałem mieć trochę czasu do namysłu. Chłopcu patrzyło dobrze z oczu i czułem, że mówi prawdę. Poza tym, informacje zebrane w ciągu dwóch dni, wykluczały prowokację. Chłopiec miał wspaniałą kartę z podziemia. Gdy spotkaliśmy się ponownie, miałem już gotową radę:

— Niech pan pójdzie sam do bezpieki i powie, co następuje: „Po zwolnieniu z więzienia, zostałem wezwany przez pana prezesa Korbońskiego na rozmowę i gdy przy-

szedłem, prezes Korboński oświadczył mi krótko: Nie pytam pana o nic, ale znając praktykę bezpieki, jestem pewien, że został pan jej konfidentem. Udzielam panu zatem bezterminowego urlopu z PSL i proszę na przyszłość wstrzymać się od wszelkich z nami kontaktów. Gdyby pan tego nie przestrzegał, będzie to dla mnie dowodem, że moje podejrzenia są słuszne i zostanie pan z PSL wydalony”.

Po paru dniach przyszedł na spotkanie z rozpromienioną miną:

„Chwyciło wspaniale. Uwierzyli całkowicie. Zaczęli pana kłąć w okropny sposób. Powiedzieli o panu między innymi: «Wolelibyśmy, żeby siedział w lesie, w podziemiu, bo byłoby z tego mniej szkody, niż jak chodzi z zadartą głową po Marszałkowskiej, wywijając laseczką i przypomina ludziom reakcyjną konspirację». Ależ oni mają pana na wątrobie!”

Drugi wypadek był znacznie cięższy. I tym razem przyszedł młody, osiemnastoletni chłopiec, strasznie wynędzniały i owrzodzony i też prosił o radę:

„Gdy odmówiłem współpracy, zamknęli mnie w piwnicy, ale na dodatek co drugi dzień wpuszczali do czegoś w rodzaju studni, wykopanej w sąsiedniej komórce i trzymali do pasa w lodowatej wodzie. Gdy już zanosilo się, że upadnę i utonę, wydobywali mnie i pytali, czy będę pisał raporty. Odmawiałem, wracałem do piwnicy, a później znów kąpiel...”

„Po czterech tygodniach byłem gotów do pożegnania się z tym światem i pewno dlatego mnie wypuścili. Myślę, że jednak nie dadzą mi dalej spokoju, więc co pan prezes radzi robić?”

Udzieliłem mu zatem bezterminowego urlopu w identyczny jak poprzednio sposób i doradziłem, by to odkrył przed bezpieką, ale dopiero, gdy go będą nagabywać.

Po paru miesiącach przyszedł się pożegnać. Błada cera i wrzody zniknęły i wyglądał już normalnie. Bezpieka naturalnie przyszła, ale wysłuchawszy opowiadania, odczepiła się od niego. Wyjeżdża do Gdańska, do szkoły technicznej i sądzi, że będzie tam miał spokój. Na odchodnym zwierzył mi się z ważnej decyzji:

— Ujawniłem się, bo nie było sensu tkwić w podziemiu, a że chciałem pracować legalnie, więc zapisałem się

do PSL. Ale widzi pan prezes, co z tej pracy wyszło. Wracam z powrotem do podziemia.

Trzeci wypadek rozwiązał się sam, bez potrzeby spiskowania z zainteresowaną osobą. Został aresztowany wraz z synem członek jednego z zarządów dzielnicowych w Warszawie. Gdy go po kilku dniach zwolniono, ale bez syna, i spotkałem go na posiedzeniu, zapytałem zagną przy powitaniu, ściskając go mocno za rękę:

— Czy zmusili pana do współpracy?

Przyzwoity człowiek nie mógł opanować krwawego rumieńca, jaki mu wypłynął na twarz. Puściłem rękę i uspokoiłem go:

— Niech pan nie odpowiada, bo twarz już pana wyręczyła.

Przyszedł ucieszony za parę dni, z dobrą nowiną:

— Jak przyszedł do mnie po raport, opowiedziałem, jak rumieniec mnie zdradził. Skłęli mnie od ostatnich i stwierdziwszy, że jestem na konfidenta za głupi, odeszli. Mam nadzieję, że na zawsze. Syna też zwolnili.

Gdy wypadki aresztowań, a następnie zwalniania peeselowców z warszawskiej organizacji przekroczyły parę dziesiątków osób, które jednakże nie zgłosiły się do mnie ani z wyznaniem, ani z prośbą o radę, urządziłem po cichu, bez żadnego rozgłosu ich zebranie, na którym powiedziałem mniej więcej, co następuje:

— Wiem, że безпеaka po aresztowaniu zmuszała was do zgody na współpracę. Jedni z was ulegli terrorowi, drudzy nie. Może dla uniknięcia ryzyka byłoby lepiej zawiesić was wszystkich w prawach członków, ale z drugiej strony spotkałaby niezasłużona kara tych, co mieli dość sił, by odmówić, więc tego nie zrobię. Nie widzę innego wyjścia, jak tylko apelowanie do tych, którzy ulegli presji, by pod takim czy innym pozorem usunęli się sami z PSL, a w ostateczności, by nie dali się zmusić do kłamliwych donosów. Prawdy się nie boimy, bo nie mamy tutaj nic do ukrywania. Na zakończenie dodam, że to, co powiedziałem, nie może być uznane za rozgrzeszenie donosicielstwa, które w każdym wypadku będzie zdradą sprawy, o którą walczymy. Czy chciałby ktoś z was zabrać głos?

Nikt się nie zgłosił i makabryczne zebranie na tym się skończyło.

POŚLUGACZKA I CHŁOP

Można by tomy napisać na temat, jak się zmusza ludzi do występowania z PSL. Najpopularniejszy sposób, to groźba wyrzucenia z pracy. I znów, jak poprzednio, słabsi jej ulegają, mocniejsi nie. Dwa wypadki wydają mi się dość charakterystyczne.

Pierwszy, to młoda, prosta dziewczyna, która zamiatała i myła podłogi w jakimś urzędzie. Gdy w Warszawie powstało PSL, zapisała się do niego natychmiast. Wydawałoby się, że na taką pracowniczkę najniższej kategorii nikt nie zwraca uwagi, tymczasem padło na nią kontrolujące spojrzenie i zażądano wystąpienia z PSL. Dziewczyna, dawna akaczka, kategorycznie odmówiła i z dnia na dzień w państwie, gdzie „ochrona praw robotnika jest świętym kanonem”, została wyrzucona na bruk.

Drugi wypadek miał miejsce ze starym działaczem ludowym z siedleckiego, którego znałem od wielu lat i który mi sam o nim opowiadał:

„Dostałem wezwanie do bezpieki w Siedlcach, bym się stawił w poniedziałek o 6-ej rano. Aby odemnie dojechać do Siedlec, trzeba trzech godzin czasu, więc wyjechałem o trzeciej w nocy. Przyjechałem na szóstą, ale mnie do środka wpuścili dopiero o ósmej. Gdy usiadłem na ławce, przyszedł jakiś młokos w mundurze, sprawdził moje nazwisko i kazał czekać. Czekałem tak do szóstej popołudniu, bo kogokolwiek zaczepiłem, kazał czekać. O szóstej przyszedł jakiś oficer i powiedział, że dziś jest za późno i żeby jutro stawił się na szóstą. Zacząłem narzekać, że dziś przyjechałem o szóstej, ale mnie wpuszczono do budynku dopiero o ósmej, więc po co mam znów przyjeżdżać na szóstą. „To nic” — odpowiedział — „ale jutro was, obywatelu, wpuszczą na pewno o szóstej”.

„Nie opłacało się jechać do domu, więc przenocowałem na wozie, pod gołym niebem i rano byłem w UB. Potwórzyła się ta sama historia, z tą tylko zmianą, że o szóstej popołudniu kazali mi jechać do domu i czekać, aż dadzą znać. Gdy wieczorem, po trzech godzinach drogi, dojeżdżałem do domu, dogoniło mnie auto i siedzący w nim ubek kazał mi być z powrotem w bezpiece na drugi dzień, znów o szóstej rano...”

„Te szykany powtórzyły się parokrotnie. Gdy się pytałem wprost, dlaczego mnie prześladują, odpowiadali pytaniem, dlaczego jestem członkiem PSL? Nie mogę tego już wytrzymać i po trzydziestu latach czynnej pracy w stronnictwie, muszę się usunąć. Duszą pozostanę z wami, ale pracować już nie mogę, bo jestem fizycznie i moralnie złamany, nie mówiąc już o zmarnowaniu przez nieustanne wyjazdy koni i całej gospodarki...”

AKOWCY W FUFIAJKACH

14 grudnia 1946.

Siedziałem w naszym biurze, w pokoju należącym do B. gdy ktoś zapukał do drzwi i na „proszę” weszło... dwóch młodych, sowieckich żołnierzy. Płaskie czapki barankowe z nausznikami, watowane fufajki i także spodnie. Milczeliśmy, zaskoczeni wizytą niespodziewanych gości i czekaliśmy, aż się odezwą. Obaj bardzo młodzi, o pucółowatych, czerwonych twarzach, obaj zdjęli przy wejściu czapki i obaj patrzyli na nas bez słowa, stanawszy nieśmiało przy drzwiach.

Trzeba było ruszyć z miejsca, więc zwróciłem się do nich po rosyjsku:

— Cziewo wam nada?

Musiałem chyba zrobić wielkie oczy, gdy usłyszałem po polsku:

— My nie Sowiety, panie, my z AK. Właśnie wróciliśmy z Rosji.

Usadziliśmy czym prędzej obu chłopców, poczęstowaliśmy papierosami i zapytaliśmy, co ich do nas sprowadza. Palili chciwie jednego za drugim, a później zabrali się do kielbasy, chleba i piwa, które sprowadziliśmy z sąsiedztwa, dowiedziawszy się, że głodni. Ich historia mogła wycisnąć łzy z najbardziej zatwardziałych oczu:

„Służyliśmy w wileńskiej dywizji AK, jak cała młodzież z naszych okolic i braliśmy udział w walkach o Wilno. Jesteśmy ze wsi, synowie gospodarzy. Po zdobyciu miasta, stosunki z Sowietami były bardzo dobre. Wyżsi oficerowie przyjeżdżali do naszej dywizji, oglądali nas

i chwalili za doskonałe współdziałanie w walkach i odwagę”.

„Któregoś dnia zaprosili Sowieci naszych oficerów na wielkie przyjęcie. W godzinę po ich odejście, spostrzegły nasze strażę, że ze wszystkich stron podchodzą sowieckie oddziały w pogotowiu bojowym. Wkrótce już nikt nie miał wątpliwości, że nas otaczają. Tych paru oficerów, co zostało z nami, dało rozkaz, by się rozproszyć i wymykać drobnymi oddziałami z sowieckiego okrążenia. Byliśmy w grupie kilkudziesięciu żołnierzy, którzy próbowali to zrobić, ale nie udało się i Sowieci nas rozbili. Po paru dniach było nas już razem rozbitych dobre parę tysięcy. Wtedy przyjechali samochodami oficerowie sowieccy i urządzili wiec. Jeden z nich wystąpił i oświadczył, że każdy z nas może się natychmiast zgłosić do armii polskiej generała Berlinga, a kto tego nie robi, będzie wysłany do obozu w Rosji”.

„Zaczęliśmy wołać: «Gdzie są oficerowie? My chcemy naszych oficerów!...» Na to Sowieci odpowiedzieli, że oficerowie jako reakcyjniści, burżuazyjni, kapitaliści i wrogowie demokracji, zostali aresztowani. Zerwała się burza. Parę tysięcy głosów wołało: «My chcemy oficerów! Oddajcie z powrotem naszych oficerów! Bez oficerów nie będziemy z wami gadać!»”

„Sowieci odjechali z niczym, ale nas wszystkich załadowano w wagony i wywieziono do obozów w Rosji. Panowie pewno wiedzą, jak to jest w obozach. Tysiące umarło, tysiące ciężko chorowało, a poza tym nędza, głód, smród i wszy... Przyjrzelśmy się z bliska sowieckiemu rajowi i nie chcemy go więcej w życiu oglądać”.

„Parę tygodni temu zaczęli zwalniać z naszego obozu akowców. Jak z innych, nie wiemy. Wysłali nas, ale nie na wileńszczyznę, a wprost do Polski, mówiąc, że z wileńszczyzny wszyscy Polacy zostali już wysiedleni na Śląsk. Przyjechaliśmy na ślepo do Warszawy i stąd mamy zamiar rozpocząć poszukiwania rodziców. Poradzili nam dobrzy ludzie, by pójść do PSL, bo tam nam pomogą, więc przyszedliśmy tutaj. Czy panowie nie wiedzą, w jakim miejscu na Ziemiach Odzyskanych osiedlili się ludzie spod Wilna?”

Za parę godzin mieliśmy już dla nich pewne wskazówki i złożywszy się między sobą na bilety kolejowe i żywność, wyprawiliśmy ich na dworzec z prośbą, by dali znać, jak odnajdą swoich.

Po paru tygodniach dostaliśmy pocztówkę, pisaną niewprawną ręką, która zawiadamiała lakonicznie: „Rodziców odnaleźliśmy. Dziękujemy za pomoc. Należymy już do koła PSL w naszej wsi”.

KRYJÓWKA W BARZE

16 grudnia 1946.

Nasza bardzo bliska znajoma H. została nagle aresztowana. Jej narzeczony szukał nas po mieście, by o tym powiadomić, ale że nie mógł nigdzie na nas trafić, więc wieczorem ustawił się na przystanku EKD na Nowogrodzkiej i w ostatniej chwili ściągnął nas za łokcie ze stopni ruszającego wagonu. Byliśmy bardzo z aresztowaną dziewczyną związani, a że narzeczony sądził, iż aresztowanie może mieć związek ze mną, zatem nie należało tej wiadomości lekceważyć. Wszak strzeżonego Pan Bóg strzeże.

Pierwsza zasada w takich razach, to zyskanie na czasie dla zastanowienia się i wyjaśnienia sytuacji. Zgodnie z tym, nie należało wracać na noc do domu, wobec czego, zamiast wsiąść w następny pociąg, ruszyliśmy przed siebie ciemnymi ulicami miasta. Idąc bez celu, roztrząsaliśmy wszystkie możliwe powody aresztowania. Czas jednak upływał i trzeba było pomyśleć o noclegu. Niestety, nie można było zapukać do drzwi przyjaciół, bo po cóż ich w razie czego narażać, a w hotelu trzeba się meldować. Więc dokąd pójść? Znajomy uderzył się w czoło:

— Chodźmy do mojego przyjaciela z AK, który ma tutaj w pobliżu bar. Na pewno się zgodzi, abyśmy przenocowali na kanapkach.

Poszliśmy zatem do baru. Przyjaciół przyjął nas z otwartymi rękoma i nie tylko udzielił noclegu, ale zaprosił nas na kolację oświadczył, że przenocuje z nami razem. Gdy się okazało w dodatku, że kelnerka nas zna, bo była

łączniczką Delegatury Rządu, zamiast trzech, zostało na noc w zamkniętym na cztery spusty barze pięć osób.

Mieliśmy wiele godzin przed sobą, więc zaczawszy rozmowę tradycyjnie od wspomnień z Powstania i podziemnia, przeszliśmy z kolei do aktualnych tematów. Zagadnałem przy tej okazji właściciela baru, jak mu się powodzi i jak w ogóle stoi „prywatna inicjatywa”. Odpowiedź brzmiała pesymistycznie:

— Nie stoi, proszę pana, a leży. Ja sam zamykam tę budę, bo nie mogę dać rady. Oni mnie likwidują podatkami. Najpierw wymierzili dochodowy i musiałem zapłacić, a teraz przyszedł drugi wymiar, tym razem od jakiejś tam „obywatelskiej” komisji podatkowej, trzykrotnie wyższy od pierwszego.

— Czy tego samego podatku? — wtrąciłem.

— Tak, tego samego — wyjaśnił z goryczą. — Wziąłem więc moje książki i poszedłem do nich, by udowodnić, jaki jest mój dochód i okazać kwity na dowód, że podatek od niego zapłaciłem. Roześmieli mi się w oczy i powiedzieli, że komisja ma prawo wymierzać podatki według swobodnej oceny, a wszystkie książki z reguły są fałszywe. Jak zapłacę nowy podatek, to cały dochód diabli wezmą i to z nadwyżką, więc budę zamykam. Oby tylko ze mną nie zrobili tak, jak z „Bukietem”.

— A co zrobili z „Bukietem”? — zapytałem, ciekawy losu popularnej restauracji, otworzonej na nowo przy Marszałkowskiej.

— Gdy jej właściciel, otrzymawszy dodatkowy wymiar, chciał ją zamknąć, zakazali mu tego: „Nie, bratku, masz prowadzić ją nadal tak długo, dopóki nie spłacisz całego domiaru podatkowego”. Teraz ich człowiek siedzi w kasie i inkasuje gotówkę od kelnerów. Wydziela tylko tyle pieniędzy, ile trzeba na kupno produktów. Właściciel zeszedł do roli zarządzającego we własnym interesie. Takimi metodami, przez podatki, można szybciej przeprowadzić rewolucję, niż przy pomocy Sowietów i bezpieki.

Gospodarz miał rację. Natychmiast po zakończeniu wojny, inicjatywa prywatna rzuciła się do pracy i odbudowy we wszystkich kierunkach, przede wszystkim do handlu. Dzięki niej ożyła martwa Warszawa, gdyż pierwsi prywatni przedsiębiorcy zaczęli budować sklepy na par-

terze wypalonych budynków, ściągając tym murarzy, stolarzy, szklarzy itd. Pierwszym chyba prywatnym przedsiębiorstwem w zniszczonej Warszawie był bar z parówkami i bimbrem, założony na środku Marszałkowskiej w unieruchomionym w czasie Powstania tramwaju, już w parę dni po zajęciu miasta przez wojska sowieckie. Powstawały zakłady, warsztaty i fabryczki, wszystko zgodnie z przepisami i skutkiem tego na niewielką skalę. Między innymi, w okolicach Warszawy rozwinęło się tkactwo samodziiałów, produkujące bardzo piękne materiały. Rozwijał się handel, rzemiosła i drobny przemysł. Wkroczył w to jednak nowy ustrój i przez nadmierne i kilkakrotne opodatkowanie niszczył wszystko bezlitośnie.

Jeden tylko rodzaj „prywatnej inicjatywy” funkcjonował nadal, ale to tylko dlatego, że systematycznie uchylał się od płacenia podatków. Były to bimbrownie, które przeżyły okupację i starały się przeżyć „demokrację”. Mimo ciągłych najazdów, ten przemysł kwitł i centrum jego stanowił w okolicach Warszawy Tarczyn, zwany elektownie „Zagłębiem Bimbrowym”.

Późno w noc rozłożyliśmy się na kanapkach i przedrzeźniali do rana. Po południu wiedzieliśmy już, że aresztowania objęły większą ilość osób i bezpieka pozakładała w szeregu mieszkań nowe „kotły”. Sprawa z nami jednak nie była bezpośrednio związana.

To już trzeci raz zostaliśmy tak zaalarmowani. Pierwszy raz w Zakopanem, drugi w Sopotach, a teraz trzeci. Ale cóż robić? Wszyscy żyjemy teraz w ciągłym napięciu i strachu, a „strach ma wielkie oczy”.

SPOTKANIE Z PODZIEMIEM

18 grudnia 1946.

Poszedłem na proszoną kolację, a wróciłem z zebrania z władzami nowego podziemia. Jak tylko znalazłem się w pokoju i rozejrzałem po twarzach, zrozumiałem natychmiast, w jakim jestem towarzystwie. Stosując się jednak do metody, obranej przez gospodarza, który mnie nie uprzedził ani o osobach zaproszonych gości, ani o charakterze spotkania, nie zdradziłem żadnego zdziwienia i, mam

nadzieję, z najnaturalniejszą na świecie miną i bez zbędnych pytań, zająłem miejsce przy stole. Muszę się nawet przyznać, że z pewną przyjemnością odetchnąłem znajomą atmosferą. Obserwując ten szczególny wyraz twarzy, jaki mają konspiratorzy, na który składa się świadomość ciągłego niebezpieczeństwa i nieustanna czujność w zachowaniu, oraz słuchając dawnego podziemnego języka, poczułem się jak wysłużony koń kawaleryjski, gdy usłyszysz głos trąbki.

Przy kolacji rozmowa potoczyła się wartkim tempem i po paru kwadransach zrozumiałem cel, dla którego zostałem zaproszony. Chodziło o naradzenie się ze mną, jakie zając stanowisko wobec zbliżających się wyborów. Czy propagować wzięcie w nich udziału, czy bojkot? Rzecznicy bojkotu uzasadniali swoje stanowisko w następujący sposób:

„Kraj znalazł się pod okupacją sowiecką i wzięcie udziału w wyborach byłoby formalnym jej uznaniem, poniekąd zgodą na okupację, wtedy kiedy bojkot będzie najsilniejszym przeciw niej protestem. Jesteśmy zwolennikami zasady, że nie należy współdziałać z żadną imprezą, która bezpośrednio czy pośrednio prowadziaby do takiego uznania. Zresztą wybory będą sfałszowane i nie wykażą prawdziwej woli kraju, natomiast posłużą komunistom do przekonywania zachodu, że naród wybrał właśnie ich i obdarzył przez to swoim zaufaniem. Należy zatem wybory zbojkotować i powiadomić zawczasu o tej decyzji kraj i zagranicę. Ciekawi jesteśmy pańskiego zdania w tej sprawie nie jako jednego z przywódców PSL, które propaguje pójsście do wyborów, ale jako ostatniej politycznej głowy wojennego podziemia”.

Zwolennicy wzięcia udziału w wyborach, których się stałem głównym rzecznikiem niejako automatycznie, przeciwstawili temu następujące argumenty:

„Nie bojkot wyborów, a wzięcie w nich udziału i głosowanie na PSL, które do nich idzie pod hasłem odzyskania prawdziwej niepodległości i prawdziwej demokracji, będzie protestem przeciw obecnej rzeczywistości. Bojkot, gdy się o nim powiadomi swoich i obcych, może być uznany przez pierwszych za kapitulację, przez drugich za odmowę rozegrania walki z komuną o wyzwolenie kraju

w drodze wyborów. Zresztą odbędą się one w każdym razie i z pewnością zostaną sfałszowane. Jeśli jednak zbojkotujemy je, wówczas nie będziemy mogli nawet twierdzić, iż dopuszczono się oszustw, bo przez nieobecność naszych zwolenników uniemożliwimy sobie sprawdzenie tego. W razie bojkotu, jak udowodnimy, że prawdziwa wola kraju jest inna? Nieobecnych nie obliczymy, więc tym bardziej nie będą się liczyć. Poza tym, z całej polityki Mikołajczyka, który prze do wyborów, wynika jasno, że ich sfałszowanie będzie początkiem interwencji alianckiej. Wreszcie, będą one ostatnią szansą na pewną poprawę”.

Od siebie dodałem także, że kontynuowanie podziemia wojennego typu nie ma dalszego uzasadnienia i technicznie jest przestarzałe. Wydając odezwy do narodu polskiego i do AK z dnia 17 i 27 maja 1945 roku, nawołujące do powrotu do normalnego życia, naprawdę miałem to na myśli. Jeśli przegramy wybory, wówczas trzeba obmyślić całkiem nowe, dalekofalowe metody walki o wyzwolenie, które muszą uwzględniać nową sytuację i gwarantować pewne powodzenie. Nawet trudno by w tej chwili przesądzać, czy to będzie akcja konspiracyjna wybranych, czy masowy ruch oporu całego narodu.

W wyniku długiej debaty, większość zebranych wypowiedziała się za nie przeciwdziałaniem udziałowi w wyborach z jednej strony, z drugiej — za nie popieraniem ich. Innymi słowy, zdecydowano zachować postawę wyczekującą i neutralną.

Gdy wychodząc pierwszy z zebrania, ścisnąłem z pewnym wzruszeniem wyciągnięte dłonie, najmłodszy z gości i zarazem najzagorzalszy zwolennik bojkotu zapytał mnie półgłosem:

— A kiedy z powrotem do nas, panie Zieliński?

Wracając do domu późnym wieczorem ledwo mającą w ciemnościach leśną ścieżką, dużo nad tym pytaniem myślałem. Wreszcie wyłoniła się odpowiedź, wprawdzie przykra, ale za to jasna: nie nadaję się już do podziemia. Przywódca, który raz został ujawniony, nie może po raz drugi konspirować w tym samym systemie. To jest jedno z podstawowych przykazań konspiracji.

ECHA KOLABORACJI

22 grudnia 1946.

Sąd Okręgowy w Krakowie uwolnił od winy i kary Stanisława Wasylewskiego, oskarżonego o współpracę z hitlerowską okupacyjną gazetą lwowską, „dla braku dowodów”.

Jakoś naszym okupacyjnym wyrzutom za dużo rzeczy uchodzi na sucho. Malickiej zrobiono jakiś głupi proces o przywłaszczenie cudzych rzeczy i uniewinniono. Jedyna kara jaka ją spotkała za bliskie stosunki z Niemcami, to wyrok Centralnego Sądu ZASP'u, zakazujący jej występowania do 1 września 1947 roku, więc za niecały rok może już grać. Podobnie załatwiono się z Dymszą, Perzanowską i innymi. Ale i na emigracji dzieje się nie lepiej. Dochodzą nas słuchy, że Ferdynand Goetel został przyjęty w Londynie z otwartymi ramionami i gra nawet rolę „byłego członka podziemia”. Może, ale chyba z tego gatunku, co aktor Kondrat, który najpierw występował w filmie niemieckim, zohydzającym Polskę i Polaków, a później, gdy się karta wojny zaczęła odwracać, wstąpił do AK, by się w ten sposób zrehabilitować. Miałem nawet o niego zajście na posiedzeniu Kierownictwa Walki Podziemnej, gdzie zaatakowałem przyjęcie go do AK. Zostało zarządzone dochodzenie, które wykazało, że oficer, przyjmujący Kondrata, nie miał najmniejszego pojęcia, jaką była jego przeszłość.

Może źle się stało, że prokurator podziemnego sądu specjalnego w Warszawie nie wniósł sprawy Goetla do sądu i odłożył ją na po wojnie. Pobłażliwość w takich sprawach nigdy nie popłaca.

I POLAŁA SIĘ KREW SOWIECKA...

28 grudnia 1946.

Na ulicy spotkałem Franciszka Kamińskiego, komendanta Baonów Chłopskich, a że nie miał nic do roboty, więc go zabrałem ze sobą do „Feminy” na przyjęcie w pierwszą rocznicę jej założenia. Jest to zakład fryzjersko-

kosmetyczny, założony przez Zosię do spółki z dwoma innymi osobami. Odkryła ona swego czasu na Saskiej Kępie swego dawnego fryzjera z „Cleo” pracującego w nędznym pokoiku. Gdy poinformował ją, że cały zespół doskonałych fryzjerów z „Cleo” bieduje po różnych dziurach, wpadła na pomysł zorganizowania zakładu fryzjersko-kosmetycznego, w którym wszyscy oni mogliby pracować i zarabiać. Znaleźli się wspólnicy z pieniędzmi, wynajęto parter w ruinach wypalonego domu na Chmielnej, przy Marszałkowskiej, młodzi, znajomi architekci zaprojektowali piękne, nowoczesne wnętrza i po paru miesiącach funkcjonował już tam najmodniejszy w Warszawie zakład fryzjersko-kosmetyczny. Nigdy w życiu nie przypuszczałem, że będziemy żyli z ondulacji i manicure, ale obecnie bardzo sobie to chwale.

Gdy przekroczyliśmy próg tego przybytku, olśniło nas jaskrawe światło i ogłuszył gwar rozmów. W oślepiającym blasku elektrycznych żyrandoli, pomnożonym przez odbicia licznych luster, ujrzelśmy elegancki tłum, rozbity na grupki z kieliszkami w rękę. Rzuciła się w oczy wielka przewaga pań, które otaczały zwartym kołem rzadkich przedstawicieli płci brzydkiej. Każdy z nich był ośrodkiem, ku któremu biegły roziskrzane spojrzenia i promieniste uśmiechy pięknie umalowanych ust. Ale też ci ostatni w zupełności na to zasługiwali. Nieskazitelny krój ubrań, najmodniejsze krawaty i skondensowana wytworność w każdym ruchu i geście. Znałem prawie wszystkich, kobiety i mężczyzn. To klientki emablowały tych, od zręczności rąk których zależało zwycięstwo nad rywalką, lub pomnożenie grona wielbicieli o jedną jeszcze ofiarę. Rzuciło się nie tyle w oczy, ile w uszy, że panie są z panami po imieniu, ale nie odwrotnie. Słyszał było: „panie Antoni... panie Franciszku... panie Kazimierzu...”, a w odpowiedzi: „pani prezesowo... pani dyrektorowo... pani doktorowo...”.

Stanęliśmy przy bufecie, gdzie nieśmiałego i zażenowanego Kamińskiego wzięła w obroty jakaś przystojna pani, zainteresowana jego podziemną funkcją, ja zaś, usunąwszy się na bok, zabawiłem się w obserwatora.

Przedemną, na kilkudziesięciu metrach kwadratowych lśniącej posadzki, obramowanej półkami i wysokimi lustrami, leżało pole bitwy, na którym warszawianki toczyły nie-

ustępliwą walkę z nowym ustrojem o zachowanie przedwojennej, stołecznej elegancji. Dla ich wyglądu symbolem nowych czasów były pękate amazonki sowieckie, szersze niż wyższe, w męskich mundurach lub w perkalikowych sukienkach w jaskrawe kwiaty i w walonkach, wciągniętych na wielkie stopy. Nosiły na głowie fryzury, których by się nie powstydział strach na wróble, a o twarzach, ściętych wichrami północy i poznaczonych przez mróz i ospę, lepiej nie mówić. Przeciwno tej modzie rodem z Syberii powstał samorzutnie i spontanicznie prawdziwy „front narodowy”, którego PPR mógłby pozazdrościć, gdyż obok pań z „reakcji”, ubranych w drogie, krajowe samodziały lub importowane różnymi drogami materiały zagraniczne, stały w jednym szeregu żony i narzeczone nowych dygnitarzy, nie wyłączając aktorki Andryczówny, ukochanej Cyrankiewicza. Z czasem ten jednolity front zamienił się na „międzynarodówkę dobrego wyglądu”, gdyż do „Feminy” zaczęły zaglądać już nie tylko panie z zachodnich ambasad, ale nawet któregoś dnia zawitała tam we własnej osobie sama pani Lebediew, żona ambasadora sowieckiego. Fryzjerzy rzucili się na nią, jak na świeżo wykopany, a więc surowy brylant. Oszlifowali ją tak po paru tygodniach, że z biedą mogła uchodzić za „popa”, to jest „pełniącą obowiązki Polki”. Nie ma co mówić, „Femina” w rękach Zosi stała się prawdziwą redutą walki z nowym systemem o niezależność wyglądu. Jak na razie, w tym sektorze nie było widać rażących różnic sprzed wojny. Jak do tego czasu warszawianki zwyciężały. Ale już na horyzoncie przyszłości zaczęły się gromadzić ciężkie chmury...

Te głębokie rozmyślenia przerwał mi główny filar układu, który przyszedł zabawić rozmową męża pani szefowej. Wypiliśmy pod grzybki, no i oczywiście musiałem odpowiedzieć na cały szereg pytań na tematy polityczne i wysłuchać paru opinii. Fryzjerzy mają wrodzone zamiłowanie do polityki i głowy prawie ministerialne, zatem musiałem się dobrze pilnować, by moje odpowiedzi stały na poziomie pytań. Z wypowiedzianych opinii mogłem wywnioskować, że mój kompan jest takim konserwatystą, że ja przy nim z moimi poglądami jestem czerwony, jak

rak. O nowej władzy mówił jak udzielny książę, którego rewolucja pozbawiła tronu, kraju i majątku.

Wywody na ten temat przerwała młoda, skromnie ubrana panienska, która po dłuższym krążeniu dookoła, nareszcie odważyła się do mnie przemówić:

— Chciałam podziękować panu prezesowi za pomoc w otrzymywaniu posady w „Feminie”. To właśnie mnie wyrzucono z pracy za odmowę wypisania się z PSL i pani Zofia przyjęła mnie tutaj.

Była to właśnie ta posługaczka, o której poprzednio wspomniałem.

Gdy odeszła, mój rozmówca podniósł brwi do góry:

— Mieliśmy z nią dużo kłopotu, bo o manicure nie miała żadnego pojęcia i trzeba ją było uczyć od początku. Ot, takie sobie dziewczę od miotły... Kiedyś przyszła pani Lebediew i trafiła na nią, bo inne były zajęte. Tak się dziewczyna tą klientką zdenerwowała, że ręce jej się trzęsły i zacięła panią ambasadorową głęboko w palec. Zrobiło się z tego całe piekło, krzyku i rwetesu co niemiara. Samo tamowanie krwi trwało jakieś dziesięć minut. No, a później drugie tyle przeproszanie...

Tu przymrużył filuternie oko i dodał:

— Ale co jej ułała sowieckiej krwi, to ułała...

SYLWESTROWE WIWATY

1 stycznia 1947.

Na Sylwestra, namówieni przez znajomych i zgodnie z odwiecznym zwyczajem, który wymaga, by witać Nowy Rok na wesoło, wybraliśmy się w kilka osób do świeżo odnowionej restauracji w „Hotelu Europejskim”.

Przy drzwiach minęliśmy zarządzającego, księcia — przepraszam — obywatela Czetwertyńskiego, który robił honory domu. Gdy w drodze do zarezerwowanego stolika przemierzaliśmy salę, mogłem stwierdzić, że jest pełna, że towarzystwo jest na ogół młode i że mundurów niewiele. Pachniało świeżym tynkiem i dymem tytoniowym. Pod ścianą siedziała orkiestra, ubrana w białe smokingi i po pierwszych dźwiękach mogłem rozpoznać, że gra dobrze.

Uderzyła mnie od razu myśl, że gdyby tak sądzić po wyglądzie sali i atmosferze, to tylko przewaga ciemnych marynarek i brak fraków wskazywałyby, że w kraju coś się zmieniło. Ten ostatni strój nowy system zlikwidował całkowicie, odbierając go nawet kelnerom. Słowem frak przeszedł do muzeum. Większość gości zachowywała się w sposób, powiedziałbym, przedwojenny, a mniejszość ludzi nowych przyglądała się pierwszej grupie i starała się ją naśladować. Wszyscy roześmiani, rozbawieni i roztańczeni, a w miarę zbliżania się północy pod coraz lepszą datą. Zapowiadała się wesoła zabawa, której ludzie byli ogromnie spragnieni. Głód zabawy jest powszechny. W czasie wojny nie można było i nie wypadało się bawić na przykład w publicznych lokalach. No, ale wojna się skończyła i chociaż teraźniejszość nie jest tym, o czym się marzyło, ale „jak się nie ma co się lubi, to się lubi co się ma”, a stracone lata trzeba odbić. Raz się jest młodym i młodość ma swoje prawa. Toteż restauracje i dancingi są dziś przepełnione, a balów i zabaw bez liku.

Nagle światło zgasło i gong zaczął wybijać dwunastą godzinę. Nadszedł czas składania sobie życzeń. Wziąłem Zosię w objęcia i zacząłem jej szeptać do ucha różne miłe słowa, a zakończyłem życzeniem, by dzień, na który czekamy, przyszedł jak najwcześniej i by na przyszłego Sylwestra już ich w Polsce nie było.

Rozległo się dwunaste uderzenie i światło zabłysło z powrotem. Byłem przygotowany na tradycyjną, hałaśliwą, noworoczną owację. Tymczasem, z wyjątkiem dwóch, trzech stolików, sala była niema i prócz szcękania trących kieliszków i dyskretnego odgłosu pocałunków, nie było słyhać żadnego okrzyku. Naprawdę zdziwiony tą ciszą, rozejrzałem się po sąsiadach. Zamiast twarzy dostrzegłem chusteczki przy oczach, a tuż obok mnie jakieś wydekoltowane kobiece plecy, trzęsące się od hamowanego płaczu. Przy dalszych stolikach to samo. W oczach łzy, usta szepczące życzenia wprost do ucha. Zrozumiałem. Nie mogły one, tak jak moje, dojść do niepożądanych osób.

Gdy skończyliśmy życzenia ze sobą, zaczęło się z innymi. Najpierw sąsiedni stolik, który zaraz po naszym przyjsciu poszeptał sobie trochę na nasz temat, podniósł

kieliszki w górę i najbliższy nam mężczyzna, pochyliwszy się, wyrzekł półgłosem:

— Wypijmy razem, by w przyszłym roku diabli ich stąd wzięli...

Potem z kolei przychodzili inni, znajomi i nieznajomi i to, co mówili, sprowadzało się do jednego:

— Oby ich na przyszłego Sylwestra oczy nasze nie oglądały!

Atmosfera zabawy wracała na salę powoli i opornie. I tak jak poprzedniego roku, ciężkie myśli obsiadły wszystkie głowy i trudno było ich się szybko pozbyć. Każdy się zastanawiał, co nam przyniesie Nowy Rok. Wyzwolenie czy dalszą niewolę, klęskę czy zwycięstwo?

Dyrygent przerwał ciszę uderzeniem pałeczki w pulpit i zapowiedział:

— Zagramy nową melodię z Ameryki, dotychczas w Polsce nieznaną. Nazywa się „Chatanooga Chou, Chou”.

Machnął ręką i rozległy się dźwięki nieznanego tańca. Po chwili cała sala tańczyła, a za godzinę dyrygent nie mógł grać nic innego, niż „Chatanooga Chou Chou”. Magiczne słowa „melodia z Ameryki” i naprawdę dobry jazz przywróciły z powrotem dobry nastrój na sali. Drugi głód, jaki panuje, był w tej chwili przynajmniej w drobnej części zaspakajany. Jest nim niczym nieodparta tęsknota za wszystkim, co pochodzi z zachodu. Najdrobniejsza rzecz stamtąd, jakieś pióro czy chusteczka, są oglądane i dotykane z podziwem i ciekawością, jakby pochodziły z innej planety. Na najgorszy, stary amerykański film pchają się tysiące. Na sowieckie trzeba spędzać na salę członków związków zawodowych.

Jedna z par zaczęła ściągać na siebie uwagę tańczących. Oboje młodzi i przystojni, wykonywali jakiś nieznanym taniec. Trzymając się tylko za jedną rękę, miotali się po sali w różne strony, trzęsąc jak galareta w oszalałym, szybkim rytmie. Nogi były w posadzkę, jak w bęben. W sumie jednak porywało tempem, żywiołowością i egzotyecznością.

Najpierw powstał koło nich krąg osób, przyglądających się uważnie, później ta i owa para zaczęła próbować.

wreszcie, po jakimś czasie, wszyscy już się miotali w nigdy przedtem nie widzianej odmianie tańca świętego Wita.

Zapytałem dyrygenta, co to za taniec. Usłyszałem w odpowiedzi nieznanne słowo:

— Jitteborg!

Nagle — trrach!... trrach!... i na sali powstała panika. Orkiestra ucięła w pół taktu, rozległ się piskliwy krzyk przerażonych kobiet i tłum ruszył w popłochu ku wyjściu. Ktoś bez przerwy strzelał w sufit i na głowy gości sypał się tynk. Strzały szły od stolika, zajętego przez wojskowych. Widać tam było szamoczącego się oficera, z ręką uzbrojoną w rewolwer, skierowaną w górę, trzymanego już w tej chwili przez kilkanaście rąk. Dochodziły stamtąd wyzwiska i krzyk:

— Rozpędzę tę reakcyjną bandę! Dość tej zabawy! Won stąd wszyscy! My teraz będziemy tu się bawić!! My i nikt więcej!!!

Sala opróżniała się błyskawicznie. Domyślny kelner biegł już do nas z rachunkiem. Biorąc pieniądze, pochylił mi się do ucha:

— Ubek się upił i coś mu się nie spodobało. Słyszał pan, co wołał? „Tylko my się teraz będziemy tutaj bawić!”

Kelner westchnął i dodał:

— Nowe czasy i nowi ludzie w „Europejskiej”...

Rewolwer, pierwszy raz widziany na dancingu w Sopocie, wiszący spokojnie u pasa atletycznego tancerza, w pięć miesięcy później zaczął już strzelać. Rewolucja, nawet na parkiecie dancingowym, szła milowymi krokami naprzód.

WARSZAWA I WARSZAWKA

2 stycznia 1947.

Na Sylwestra stolica bawiła się na całego. Ta nowa, urzędowa, w pałacu namiestnikowskim, gdzie się mieści Prezydium Rady Ministrów. Był tam obecny Bierut, któremu wczoraj składał życzenia korpus dyplomatyczny, premier Osóbka z żoną Wiselką (dlaczego nie Wołgą?) i cały dygnitariat. Ludowo-demokratycznego wyglądu dostarczyła „dostojnemu zgromadzeniu” (według słów prasy rządowej) młodzież omturowska w szafirowych koszulach (pewnie ta

sama co szturmowała siedzibę PSL). O godzinie 24-ej powitano Nowy Rok ustami artystów Teatru Polskiego. Po deklamacji aktora Mariana Wyrzykowskiego, przemówił premier Osóbka. Ludek warszawski i, jeśli kto chce, Warszawka bawiła się w pełnych barach i restauracjach. Drzwi do „Polonii” zamknięto o godzinie trzeciej w nocy, bo była przepełniona. Na Marszałkowskiej ruch tramwajowy i pieszy przez całą noc. Wszędzie tradycyjne baloniki, unoszące się ponad głowami. W sali „Romy”, tym razem program rewiowo-koncertowy i tańce do szóstej rano. Na bal w Politechnice ludzie wchodzili przez okna i, by się dostać do szatni, trzeba było czekać dwie godziny w ogonku. W Teatrze Polskim, na galowym przedstawieniu grał Solski w „Grubych Rybach”.

Ta sama Warszawa, która potrafiła przez 63 dni Powstania głodować, walczyć i ginąć, ta sama Warszawa musi się bawić, gdy są po temu jakie takie warunki. Taka się urodziła i taka już jest. A może tylko w zabawie szuka zapomnienia?

WSPOMNIENIE O LEONIE BERENSONIE

17 stycznia 1947.

Dzisiaj ukazał się w „Gazecie Ludowej” mój artykuł o Leonie Berensonie. Nawiązując do apelu zamieszczonego w prasie przez przyjaciół i wielbicieli tego wybitnego człowieka i prawnika, by zbierać po nim pamiątki, zaofiarowałem gotowość wręczenia odpowiedniej instytucji oryginalnego wyroku Sądu Apelacyjnego w Warszawie z dnia 20 lipca 1933 roku, w sprawie brzeskiej, w którym to procesie Berenson grał rolę dziekana ławy obrońców. Znalazłem wyrok w strzępach aktów kancelarii mojej i Zygmunta Gralińskiego, który był również jednym z obrońców w tym procesie, i uważałem, że najlepsze miejsce dla niego będzie w muzeum.

Nie mogę się powstrzymać, by nie wspomnieć coś więcej o Berensonie, dla którego miałem tak wiele szacunku. Pierwszą tego przyczyną był fakt, iż był on jednym z ostatnich żyjących obrońców w procesach bojowców z 1905 roku. Dla mnie, nazwisko Okrzei, Montwiłła-Mireckiego,

Barona i innych, którzy zginęli na carskiej szubienicy, była to historia. Dla Berensona były to wspomnienia z młodych lat. Miał do mnie słabość, więc nieraz dał się naciągać na opowiadania o tamtych czasach i ludziach, które chłonałem całą duszą. Był pedantem, jeśli chodzi o prowadzenie aktów i notatek, które przechowywał od początku swej zawodowej kariery, toteż, jak mówiono, na podstawie jego zaświadczeń nadawano Krzyże Niepodległości.

Był jednym z tych, którzy prawdziwie i głęboko cierpieli z powodu Brześcia, Berezy Kartuskiej, Gołędzinowa i składania hołdów fałszywym bogom. Związany ściśle z opozycją, był duszą i organizatorem obrony w procesie brzeskim. Nigdy nie opuszczał ławy obrońców i przez miesiące można go było oglądać, siedzącego na pierwszym jej miejscu, bacznie na wszystko, parującego każde uderzenie niesławnej pamięci prokuratorów Grabowskiego i Rauzego i stawiającego żądania, mające na celu bezstronne i sprawiedliwe prowadzenie procesu.

W czasie okupacji zamieszkiwał w Mokotowie, przy ulicy Narbutta, w mieszkaniu, zdaje się, pani Sempołowskiej. Od rana do wieczora siedział przy oknie, na parterze, z fajką w ustach i książką w ręku. Odwiedzałem go tam od czasu do czasu, by mu dać choć trochę informacji ze świata i kraju i każde spotkanie kończyło się zawsze w ten sam sposób, to jest błaganiem, bym na siebie uważał i nie ryzykował za wiele, bo muszę doczekać Polski niepodległej. Oby!...

Któregoś dnia nikt nie odpowiedział na moje pukanie do drzwi. W mieszkaniu już nie było nikogo.

Berenson zmarł w ghetcie, dokąd się musiał przenieść z uwagi na pochodzenie. Towarzyszyła mu tam służąca, słynna Borkusia, nie rozstająca się z Berensonem przez około trzydzieści lat. Sama aryjka, nie chciała w krytycznej chwili opuścić człowieka, którym opiekowała się od lat, jak matka. W ghetcie, Berenson, pobity ciężko z nieznanых mi powodów przez Gestapo, wkrótce zmarł.

Razem z nim zeszedł ze świata jeden z ostatnich z plejady słynnych, warszawskich obrońców politycznych, człowiek wielkiego serca, kryształowej uczciwości, dobry i zasłużony Polak.

W WIGILIĘ WYBORÓW

18 stycznia 1947.

Jutro wybory. Od szeregu tygodni żyję w gorączce. Nie pojechaliśmy z Zosią nigdzie na święta, bo jestem cichym zastępcą naszego partyjnego, także nieoficjalnego, komisarza wyborczego, poza tym prowadzę akcję przedwyborczą na terenie Warszawy, gdzie kandyduję na drugim miejscu, zaraz po Mikołajczyku. Niezależnie od tego, kandyduję także na moim przedwojennym terenie, w okręgu Łomża, Elk i Suwałki oraz z listy państwowej. Pierwsze święto Bożego Narodzenia spędziłem na dyżurze w naszej siedzibie. Jestem stale niewyspany i podenerwowany, gdyż to co przeżyliśmy w okresie przedwyborczym przekroczyło nasze najgorsze oczekiwania.

Mamy już dane z terenu o popełnionych nadużyciach, poparte cyframi, datami i nazwiskami i na nich zostały oparte dwa memoriały, złożone ambasadorom amerykańskiemu, angielskiemu i... sowieckiemu, a mianowicie z dnia 18 grudnia 1946 i z dnia dzisiejszego, uzupełnione odpowiednimi dowodami, spisami i załącznikami. Oto najważniejsze fakty:

Około pół miliona osób, w tym 98 kandydatów na posłów, zostało skreślonych z list wyborców pod fałszywym pretekstem współpracy z Niemcami. Ponieważ Polska była krajem, który przodował w walce podziemnej z okupantem i „nie wydał Quislinga”, ten zarzut masowej kolaboracji jest oburzającym przeinaczeniem rzeczywistości. Tego nie mógł wymyślić Polak. Tylko obca perfidia mogła podsunąć taką podłość.

Około stu tysięcy członków PSL przeszło przez areszty i przesłuchania, trwające od paru dni do paru tygodni. Wielu siedzi do dziś dnia.

Lista naszych zamordowanych działaczy wzrosła w tym okresie do 118 (*). Przeszło przez więzienie i częściowo jeszcze w nich się znajduje 147-miu kandydatów na posłów z list okręgowych, 15 z listy państwowej oraz 1.962 działaczy terenowych, a także prawie wszyscy dele-

(*) Lista nazwisk 118 zamordowanych na stronie 374.

gowani przez PSL na mężów zaufania, w ogólnej liczbie 5.227 osób, gdyż tyle jest obwodowych komisji wyborczych. Poza tym bezpieka przeprowadziła 327 rewizji w naszych lokalach, przyczem w 48 wypadkach podrzucono przy tej okazji broń. Zakazano także w tym okresie czasu działalności PSL w 29 powiatach.

Do wyborów idziemy sami, jeśli nie liczyć Krakowa, gdzie na wspólnej z nami liście kandyduje Żuławski z niezależnej PPS. W Warszawie umieściliśmy na naszej liście socjalistę Zdanowskiego, ale został przez Główną Komisję Wyborczą skreślony.

W bloku stają do wyborów PPR, PPS, Stronnictwo Demokratyczne i lubelskie Stronnictwo Ludowe. Natomiast Partia Pracy, Postępowi Katolicy i PSL-Wyzwolenie, które powstało na krótko przed wyborami przez odłamanie się od nas paru ludzi, z inżynierem Bronisławem Drzewieckim i Tadeuszem Rekiem na czele, otrzymały polecenie, by iść do wyborów oddzielnie i w ten sposób stworzyć pozory, że i inne partie, a nie tylko my, są poza blokiem i mają zamiar z nim rywalizować. Postępowym Katolikom zezwolono na wystawienie list tylko w trzech okręgach.

Po doświadczeniach z referendum, usunięto całkowicie naszych ludzi z wszystkich komisji wyborczych, z wyjątkiem głównej. W skład jej, jak już o tym mówiłem, wszedł Stanisław Mazur z zastępcą, Stanisławem Osieckim. Cała obsada 52-ch okręgowych komisji wyborczych i 5.227-miu obwodowych komisji wyborczych składa się bądź z peperorców, bądź z przedstawicieli partii zablokowanych lub sprzymierzonych. Już nikt nasz zaufany nie będzie im mógł patrzeć na palce.

Nasze listy kandydatów zostały unieważnione pod tym czy innym pozorem w dziesięciu okręgach, a mianowicie: Bielsk, Chrzanów, Kielce, Kalisz, Łódź, Ostrowiec, Przemyśl, Przasnysz, Radom i Myślenice, które razem wybierają 76-ciu posłów. W związku z tym, odstępując od naszego zasadniczego stanowiska, ogłosiliśmy w tych okręgach bojkot wyborów.

Ile wysiłku trzeba było włożyć w utrzymanie na listach kandydatów stu ważnych podpisów wyborców, których bezpieka z reguły zmuszała do wycofywania podpi-

sów, trudno opisać. To samo odnosi się do dotrzymywania terminów wyborczych, na przykład zgłaszania list kandydatów na posłów.

Blok ma w całym kraju, we wszystkich okręgach, numer listy jeden i ten sam „3”, kiedy my w każdym okręgu inny, a mianowicie: „1”, „2”, „4” lub inne. Bezpieka postarała się też o to na poczcie, by nasze przesyłki z kartami do głosowania, dostosowanymi do danego okręgu, powędrowały do innego. Trzeba było wszędzie w ostatniej chwili wysyłać nowe karty przez kurierów. Tych znów starano się w drodze aresztować i tak w kółko.

Musiałem się przeprowadzić w Leśnej Podkowie z mieszkania, położonego na jej krańcach, bliżej do środka, do willi pani O. Ostrzeżono mnie bowiem z paru stron, że gdy wieczorem wędruję przez las, mogę być łatwo zastrzelony. Także i Mikołajczyk zwrócił mi na to uwagę. Dla świętego spokoju przeprowadziliśmy się, gdyż „strzeżonego Pan Bóg strzeże”, ale osobiście nie czuję się bardziej bezpieczny, niż przedtem. Jeśli będą mnie chcieli zastrzelić, będą mogli to zrobić w dziesiątkach różnych okazji.

Wszystko się co chwila rwie, ale ludzie dokonywują cudów poświęcenia, wykazując niesłychaną odwagę, upór i wytrwałość i tylko dzięki temu zdążyliśmy wszystko zrobić na czas.

Z BEZPIEKĄ NA PIĘTACH

Poszedłem na obiad z moim przyjacielem, naszym posłem do KRN, który niedawno wrócił z Dolnego Śląska, gdzie przygotowywał naszą listę kandydatów na posłów. Wysyłaliśmy na taką robotę z reguły posłów do KRN, z uwagi na przysługujący im immunitet, który w każdym razie gwarantował, że nie będą aresztowani. Przyjaciół był zmęczony i ze śladami ciężkich trudów na wychudzonej twarzy. Dręczyła go jednak chęć podzielenia się z kimś swymi przeżyciami, toteż gdy zaczął mówić, nie mógł skończyć. Ja zaś słuchałem z wlepionymi oczyma i zapartym tchem, gdyż nasze warszawskie przygody i troski wydawały się niczym w porównaniu z tym, co on przeszedł:

„Zaraz za Katowicami zauważyłem, że za naszym autem jedzie krok w krok inne. Byłem przygotowany na to, że bezpieka będzie mnie śledziła, więc się tym zbytnio nie przejmowałem. Gdy jednak oddaliliśmy się znacznie od Katowic i znaleźli w lasach, gdzie szosa szła po wysokim nasypie, zdarzyła się rzecz nieoczekiwana. Auto z czterema ludźmi, jadące krok w krok za nami, zaczęło nas dopędzać i gdy się zrównało z moim samochodem, ich szofer zawołał do mego: „Zjeżdżaj na prawo, łobuzie! Czemu nie ustępujesz, gdy widzisz, że chcę cię minąć!” Mój zjechał, ile mógł i tamten miał wolną drogę, ale nie mijał nas, tylko najeżdżał dalej na nasz wóz, wrzeszcząc ciągle to samo. Mój szofer, nie w ciemie bity stary cwaniak z Warszawy, zrozumiał w lot, że tamten chce nas zepchnąć z nasypu w parometrowy dół i w ten sposób wykończyć. Zamiast więc dalej zjeżdżać w bok, co groziło zważeniem się, dał gazu, wyskoczył naprzód na środek szosy i tam zahamował i stanął. Ubekowskie auto minęło nas bez zatrzymania, ale zdołaliśmy usłyszeć: „Nie tu, to gdzie indziej dostaniemy was sk.....ny”. Później nie było już takiej siły, która by zmusiła nas do zjeżdżania im z drogi...”

„Gdy już byłem na Dolnym Śląsku i nocowałem w pewnym miasteczku, wszedł do mego pokoju porucznik UB i oświadczył, że mnie aresztuje. Nie straciłem zimnej krwi i wręczając mu legitymację poselską KRN, powiedziałem: Wolnego, panie poruczniku, wolnego, a później oberka... Jestem posłem do KRN, więc nie mogę być aresztowany. A oto moja legitymacja. Porucznik legitymację wziął do ręki, obejrzał ją dokładnie, pomyślał przez chwilę i... zgadnij Stefan, co powiedział?”

— Skąd mogę wiedzieć? — zżymnąłem się — ale chyba cię nie aresztował?

— Otóż właśnie, że tak. Pan porucznik oświadczył mi, że jest... analfabetą, nie umie czytać i wobec tego nie jest w stanie sprawdzić, czy jestem rzeczywiście posłem do KRN. Muszę zatem z nim jechać, bo inaczej użyje broni.

— I pojechałeś? — zapytałem naprawdę zdumiony.

Taka odpowiedź ubeka nigdy by mi nie przyszła do głowy. Porucznik UB, którego jednym z głównych zajęć

jest pisanie protokółów przesłuchań, śmie twierdzić, że jest analfabetą. Co za bezczelne kłamstwo!

— A co miałem robić? — odparł przyjaciel. — Pojechałem z nim i zamknął mnie w celi, zabrawszy ze sobą legitymację. Po 24 godzinach bez jedzenia i w zimnie wszedł do mnie kapitan, bardzo grzecznie przeprosił „pana posła” za nieporozumienie i wypuścił mnie na wolność...

„Jeździłem po wsiach i zbierałem podpisy na liście kandydatów, ale ciężko było je dostać, bo bezpieka albo jechała przede mną i z góry ludzi terroryzowała, albo jechała zaraz za mną i zmuszała ich do podpisywania oświadczeń, cofających złożone podpisy. Toteż ucieszyłem się niezmiernie, gdy wieczorem na noclegu dotarł do mnie prawie konspiracyjnie chłop, którego wysłała cała wieś, prosząc, bym do nich przyjechał, bo wszyscy dorośli pragną podpisać naszą listę. Zaciekawiony, zapytałem, skąd ta gotowość. Wyjaśnił, że są wysiedleńcami ze lwowskiego, których osadzono na Dolnym Śląsku i to powinno mi wystarczyć”.

„Wymknęliśmy się rano, jeszcze po ciemku, tak by bezpieka tego nie zauważyła. To nam się udało, gdyż w nasze ślady nikt nie pojechał. Po przyjeździe zasiadłem w jakimś większym domu i tam podpisało listę więcej, niż stu mężczyzn i miałem na wszelki wypadek dużą nadwyżkę podpisów. Byli zdeterminowani i gotowi na wszelkie represje. Przeklinali nowe rządy i dodawali nam otuchy. Mówię ci, serce mi rosło, gdy na nich patrzyłem. Cóż za wspaniali ludzie! Gdy wyjeżdżałem ze wsi, minąłem się już z autem bezpieki, które jednak nie zawróciło za mną i pozostało we wsi. Był to zły znak i nabrałem pewności, że coś się we wsi stanie”.

„Gdy przyjechałem do siedziby okręgowej komisji, postanowiłem tam odpocząć i odczekać parę dni, by złożyć listę w ostatniej chwili, to jest 20 grudnia. Tymczasem, już na drugi dzień w południe doręczono mi oświadczenie, podpisane przez tych samych mężczyzn, którzy dali podpisy na naszą listę, stwierdzające, że podpisy na liście cofają, gdyż zostali wprowadzeni w błąd co do ich znaczenia. Parę godzin później wiedziałem już, co się stało. Otóż bezpieka po moim wyjeździe spędziła kobiety i dzieci z całej wsi na jedno podwórze i oświadczyła, że będzie je tu

trzymała na mrozie tak długo, dopóki mężczyźni nie cofną podpisów. Stali tak przez całą noc, drżąc z zimna, bo wszyscy zacięli się, żeby nie ustąpić. Starsze dzieci, które już rozumiały, o co chodzi, nawet nie płakały. Dopiero gdy się zrobiło widno i bezpieka nie pozwoliła iść po żywność i wodę i zanosilo się, że dzieci mogą zmarnieć na mrozie, chłopci ustąpili i podpisali oświadczenie, zreagowane przez bezpiekę”.

„Możesz sobie łatwo wyobrazić, com robił, by przez dwa dni zebrać brakujące podpisy. Ale dopomógł mi nowy argument, który działał nawet na słabych. Mówilem po prostu, że jak w ciągu 48 godzin nie zbiorę podpisów, to w tym okręgu nie będzie wcale listy PSL. I to skutkowało”.

„Gdy 20-go rano wybierałem się do okręgowej komisji wyborczej, by złożyć listę, zapukał ktoś do drzwi i wszedł ten sam chłop, który przyszedł do mnie parę dni temu z zaproszeniem od lwowskiej wsi. Zdumiałem się, gdy wręczył mi nowe oświadczenie, podpisane przez tych samych mężczyzn, stwierdzające, że unieważniają oni deklarację daną bezpiece, gdyż została na nich wymuszona i przywracają moc swoim pierwszym podpisom...”

WARIAT W OKRĘGOWEJ KOMISJI WYBORCZEJ

Któregoś dnia po dwudziestym grudnia, to jest po złożeniu okręgowych list kandydatów na posłów, ledwo przekroczyłem próg mego pokoju, gdy wszedł nasz komisarz wyborczy z bardzo zaaferowaną miną:

— Mamą nowy pasztet w okręgu X. Wyobraź sobie, nie dopuścili tam naszej listy z powodu nie złożenia jej w terminie, wtedy kiedy ja mam w ręku pokwitowanie, wystawione przez sekretarza komisji z datą i pieczęcią, stwierdzające, że nasza lista wpłynęła na czas. Co z tym fantem robić?

Rada była prosta, więc pośpieszyłem z odpowiedzią:

— Trzeba z tym pokwitowaniem iść do Bzowskiego, by spowodował sprostowanie czy zmianę uchwały okręgowej komisji wyborczej. To z jednej strony i zaraz. Z dru-

giej, zażądaj niezwłocznie informacji od naszych ludzi z X., jak mogło dojść do takiej decyzji.

Kolega się z tym zgodził, ale poprosił o pomoc:

— A nie poszedłbyś ze mną do Bzowskiego? Jesteś adwokatem z Warszawy, więc Bzowski cię zna i będzie się więcej z tobą liczył, niż ze mną.

Pojechaliśmy niezwłocznie na Wiejską, do dawnego budynku Sejmu, gdzie urzędował Główny Komisarz Wyborczy, prezes Sądu Najwyższego Bzowski, kreatura całkowicie uległa wobec peperowskich dyrektyw. Najpierw, sekretarz Głównej Komisji Wyborczej starał się nas nie dopuścić do swego przełożonego i proponował, że sam sprawę załatwi. Nie daliśmy się na to namówić i po pewnym czasie przyjął nas sam Bzowski, siwiejący starszy człowiek, patrzący na nas z niepokojem w oczach. Wizyta przedstawicieli opozycji nie wróżyła dla niego nic dobrego.

Mój towarzysz wyjaśnił sprawę i pokazał pokwitowanie. Bzowski obejrzał je uważnie ze wszystkich stron i nie taił swego zdziwienia:

— Pokwitowanie jest w porządku i stanowi dostateczny dowód, że lista została złożona w terminie. Muszę jednak zażądać wyjaśnień od okręgowej komisji wyborczej, co wymaga pewnego czasu, więc możeby panowie przyszli pojutrze?

Następnego dnia usłyszeliśmy od naszego działacza z X., sprowadzonego na poczekaniu do Warszawy, jedyne w swoim rodzaju opowiadanie:

„Pełnomocnik naszej listy od dawna przeczuwał, że będą przeszkody i liczył się z tym, że lista z podpisami zostanie mu wykradziona lub że będzie aresztowany, jak ją będzie niósł do komisji. Miał się więc na baczności i złożenie listy zorganizował w ten sposób, że odpowiedniego dnia udał się do okręgowej komisji wyborczej w towarzystwie znajomego, ale bez listy, wtedy kiedy jego żona, bardzo dzielna i rozgarnięta kobieta, ukrywając listę gdzieś na sobie, poszła do lokalu komisji inną drogą”.

„Zgodnie z przewidywaniami gdy nasz pełnomocnik zbliżał się do siedziby komisji, wyskoczyła nagle z pobliskiej bramy bezpieka i zabrała go do powiatowego urzędu bezpieczeństwa, gdzie go poinformowano, że został aresztowany z powodu oskarżenia o posiadanie broni i podda-

no osobistej rewizji. Ubecy byli wściekli, nie znalazłszy przy nim listy i nie kryli się już z tym, że o nią, a nie o broń chodzi”.

„W międzyczasie żona dotarła do lokalu komisji bez przeszkód, wręczyła tam listę sekretarzowi, a ten jej wystawił odpowiednie pokwitowanie, właśnie to, które przesłaliśmy tu panom do Warszawy”.

Gdy następnego dnia weszliśmy do gabinetu Bzowskiego, ten był wyraźnie zaambarasowany i unikał naszego wzroku. Zapytaliśmy bez niepotrzebnej zwłoki o rezultat dochodzeń, jakie wszczął w tej sprawie. Odpowiedź Bzowskiego, który przecież był jednym z prezesów Sądu Najwyższego, zbiła nas po prostu z nóg. Bzowski, drżącym nieco ze wstydu i zdenerwowania głosem, oświadczył nam, co następuje:

— Proszę panów, pokwitowanie, które mi panowie okazali, nie ma żadnego prawnego znaczenia, gdyż zostało wystawione przez osobę umysłowo chorą, a takie dokumenty, jak panom to dobrze wiadomo, w rozumieniu prawa nie posiadają żadnej wartości. Ważnego pokwitowania panowie nie posiadają.

Nam zatkało dech. Czy oni poszaleli, czy my zwariowaliśmy? Twierdzić, że sekretarz okręgowej komisji wyborczej jest wariatem?! Przecież to jest nieprawdopodobny cynizm! Czyż nie mogli wymyślić czegoś bardziej prawdopodobnego?

Siląc się na spokój, zapytałem Bzowskiego:

— Panie prezesie, jakżeż to jest możliwe? Wariatów nie mianuje się sekretarzami komisji wyborczej. Wariaci siedzą w Tworkach lub Kulparkowie, więc co to znaczy ta heca?

Bzowski, patrząc gdzieś w bok na ścianę, odpowiedział z trudem, jakby się dławiał własnymi słowami:

— Właśnie go tam wczoraj umieszczono. Mianowano go sekretarzem, nie zdając sobie sprawy, że jest umysłowo chory.

Co jeszcze Bzowski od nas usłyszał trudno by streścić. Przestaliśmy się krępować i bez obślonek piętnowaliśmy rolę, jaką w tej całej sprawie i w ogóle w wyborach odgrywa. Bzowski nawet nie starał się bronić. Mieliśmy

przed sobą złamanego starca, który gotów się był za chwilę rozplakać.

Wstaliśmy z krzeseł i wyszliśmy bez pożegnania.

Późniejsza interwencja Mazura i Osieckiego i u Bzowskiego i na posiedzeniu Głównej Komisji Wyborczej nie odniosła żadnego skutku. Listy nie przywrócono do ważności i w okręgu X. nie dopuszczono nas do wyborów. Taki był rozkaz z góry. Wprawdzie nierozgarnięty sekretarz jego wykonanie skomplikował, ale od tego są tęgie mózgi sowieckich doradców, by na wszystko znaleźć radę.

„JAK KUBA BOGU, TAK BÓG KUBIE”

Na okres akcji wyborczej bezpieczeństwa przygotowała cały szereg procesów, obliczonych na to, by zdyskredytować PSL i przedstawić je jako burzyciela porządku publicznego, powiązanego z podziemiem. Obawiam się, że ich stratedzy wyborczy popełnili błąd, licząc, że tego rodzaju zarzuty powstrzymają ludzi od głosowania na PSL. Moim zdaniem, skutek tego będzie wręcz przeciwny, gdyż dla tych, którzy pragną likwidacji obecnego systemu wszystkimi możliwymi środkami, włączając akcję podziemną — a takich jest jeszcze sporo — będzie to raczej zachętą do głosowania na PSL.

Z drugiej strony przyspieszono procesy o udział w podziemiu, by to ostatnie sterroryzować i powstrzymać od akcji przeszkadzania wyborom. Niezależnie od drobnych plotek, należących do tej serii, jakimi są: proces księdza Bolesława Stefańskiego i trzynastu innych z ROAK'u. rozpoczęty 17 grudnia przed Rejonowym Sądem Wojskowym w Warszawie oraz proces przed Rejonowym Sądem Wojskowym w Łodzi przeciwko organizacji KWP (Kierownictwo Walki Podziemnej), zakończony ośmiu wyrokami śmierci, rozpoczęto 4 stycznia zorganizowany na wielką skalę proces pułkowników Jana Rzepeckiego, Jana Szczurka, Antoniego Sanojcy i innych z Komendy Głównej WIN'u. Sposób, w jaki prasa rządowa podaje sprawozdania z tego procesu, wskazuje, że będzie się ciągnął przez cały okres przedwyborczy.

Ósmego stycznia „Wieczór Warszawski” wypuścił nadzwyczajny dodatek pod tytułem: „Nagły odwrót prezesa Mikołajczyka. Bojkot wyborów na rozkaz podziemia. Sensacyjne aresztowania. Grube ryby w sieci. Wielkie wrzenie w PSL”. Sensacja ta została oparta na aresztowaniu podpułkownika Wacława Lipińskiego, w którego fałszywie znaleziono rzekomo list do Mikołajczyka, zawierający żądanie bojkotu wyborów. Że Lipiński został aresztowany, nie mogło mnie to zdziwić. Z jednej strony był nielegalny i ukrywał się. Z drugiej, opublikował w „Gazecie Ludowej” dwa artykuły pod swoim prawdziwym nazwiskiem, a mianowicie: 7 listopada 1946 o obronie Warszawy w 1939 roku i 17 listopada 1946, pod tytułem „Prasa podczas oblężenia” (fragmenty pamiętnika: „Wrześniowa obrona Warszawy w roku 1939”). Kiedyś pokazano mi go przy stoliku w restauracji u „Bukieta” na Marszałkowskiej. Jak na człowieka, który się ukrywa, dość ryzykowne. Rozumiem, że jego aresztowanie ma dostarczyć materiału przeciw nam, na co nadzwyczajny dodatek wyraźnie wskazuje.

Także 10 stycznia rozpoczęto przed Rejonowym Sądem Wojskowym w Warszawie proces przeciw Waldemarowi Baczakowi, urzędnikowi MSZ, dalej — Ksaweremu Grocholskiemu, Witoldowi Kalickiemu i Krystynie Kosiorek, o należenie do WIN'u i szpiegostwo na rzecz zachodnich ambasad. Baczakowi, skazanemu wraz z Grocholskim i Kalickim na śmierć, zarzucono bliski kontakt z aresztowanymi członkami redakcji „Gazety Ludowej” — Augustyńskim, Zarańskim i Bartoszewskim, czemu Baczak zresztą zaprzeczył. W ten sposób połączono PSL już nie tylko z podziemiem, ale i z robotą szpiegowską.

W dniu 17 stycznia, a zatem na dwa dni przed wyborami, ogłoszono cały szereg wyroków drugiej kategorii, to jest obliczonych na zastraszenie podziemia i powstrzymanie go od przeszkadzania wyborom 19 stycznia. Wśród nich znalazł się nowy typ wyroku, a mianowicie sądu dożywotniego, zwołanego na miejscu przestępstwa, skazującego na śmierć siedmiu ludzi z 20-osobowej „bandy” Bartosza, z ugrupowania „Młot”. A oto lista dalszych spraw i wyroków.

Wojskowy Sąd Rejonowy w Łodzi, na sesji wyjazdowej

wej w Skomlinie, powiat Wieluń, skazał na śmierć dwie osoby z „bandy” Babinicza. Ten sam sąd skazał na śmierć komendanta okręgu łódzkiego WIN'u Grendę Kazimierza (pseudo Gruda) i szefa wywiadu Zbigniewa Zakrzewskiego (pseudo Bryła).

Wojskowy Sąd Okręgowy w Białymstoku, na sesji w Mińsku Mazowieckim, skazał na śmierć dwie osoby z WIN'u.

Dnia 13 stycznia ogłoszono cztery wyroki śmierci w procesie WIN'u okręgu śląsko-dąbrowskiego. Zostali skazani na śmierć Władysław Szczepka, Stanisław Laskowski, Emil Wehrstein i dr Józef Brudniak.

Doniesiono o zlikwidowaniu na terenie Krakowa grupy NSZ-tu Kruka (dowódca Stanisław Ptak) oraz grupy dywersyjnej „Błyskawica”.

Niezależnie od tego, rozpętała się odrębna walka, połączona ze stratami, na odcinku ściśle wyborczym. Z jednej strony wystrzeliwuje się naszych działaczy i liczba takich morderstw osiągnęła cyfrę 118, o czym już wspomniałem. Ostatnim na tej liście jest Zieliński, nasz działacz w powiecie Działdowo. Z drugiej strony, mimo braku generalnej dyrektywy centralnych władz podziemia, by przeciwdziałać wyborom, poszczególne grupy zbrojne, czy to na skutek nie podlegania niczyjemu kierownictwu, czy też braku subordynacji, podjęły na własną rękę akcję antywyborczą typu terrorystycznego. Oto jej rezultaty:

W okręgu nr 17, Chełm Lubelski, został zabity zastępca przewodniczącego komisji obwodowej nr 13, Stanisław Wójcik i przewodniczący komisji obwodowej nr 21, Piotr Łupkowski oraz jeden żołnierz ze straży, przydzielony do tej komisji.

Pod Pabianicami, w okręgu wyborczym nr 9, został zabity zastępca przewodniczącego obwodowej komisji nr 131, Kasprzycki.

Pod Bielskiem Śląskim, w okręgu nr 42, został zabity zastępca przewodniczącego komisji obwodowej nr 40, Ludwik Słowik.

W Malborku, województwo gdańskie, został zamordowany wraz z żoną, kuzynką i służącą, Zygmunt Podfilipski, przewodniczący powiatowego komitetu PPS i powiatowej Rady Narodowej w Malborku.

W okręgu wyborczym Nr 20, Ełk, gdzie kandyduję, został zabity przewodniczący komisji obwodowej nr 72. Jan Ostrowski.

W Dobrym Mieście, powiat Lidzbark, został zabity przewodniczący komisji wyborczej, Jan Rasin i członek obwodowej komisji Lucja Anatolak.

We wsi Kodenice, powiat Biała Podlaska, zamordowano przewodniczącego obwodowej komisji, Wiktora Stefaniaka.

W białostockim uprowadzono członków obwodowej komisji wyborczej, za co Rejonowy Sąd Wojskowy na sesji w Grajewie skazał na śmierć pięciu członków „bandy” NZW (Narodowe Zjednoczenie Wojskowe).

Wreszcie, „banda” Bohuna z NSZ, w liczbie czterdziestu osób, napadła na lokal obwodowej komisji wyborczej w Zwierzyńcu, powiat Zamość i zabiła pięciu ormowców ze wsi Zygmuntów, gmina Terespol, a mianowicie: Romana Lewandowskiego, Andrzeja Tatandę, Szczepana Łazarczuka, Stefana Widziucha i Jana Ziomko. Zwłoki oblano benzyną i podpalono.

WARSZAWA W DNIU WYBORÓW

19 stycznia 1947.

Wstałem rano skoro świt i byłem jednym z pierwszych głosujących w Leśnej Podkowie. Oddałem mój głos bez żadnych przeszkód, przeprowadzony ironicznymi spojrzeniami członków komisji i natychmiast pośpieszyłem do Warszawy. Już na rogu Alei Jerozolimskich i Marszałkowskiej natknąłem się na pierwszy pochód głosujących na listę blokową nr 3, maszerujący z orkiestrą na czele. Ulica dławiała się dźwiękami głośniego marsza, ale tłum włókł się ospale i nie w nogę, bez śladu jakiegokolwiek ożywienia, tym bardziej zapалу. Realizowało się to, co blokowcy od dawna zapowiadali, a mianowicie „entuzjastyczne, tłumne, spontaniczne i otwarte (to jest z numerkiem 3 niesionym w rękę i wystawionym na pokaz) głosowanie na listę blokową”. W tym celu nakazano zbiórkę urzędników przed budynkami urzędów, a robotników w podwórzach fabryk i stamtąd, ustawionych w kolumny często z orkie-

strą na czele, poprowadzono pod eskortą peperowców z tych samych urzędów i fabryk do urn wyborczych. W komisji wyborczej każdy podchodził do stołu, trzymając trójkę demonstracyjnie w rękę i wkładał ją do koperty, wręczonej przez przewodniczącego.

Gdy przyszedłem do naszej głównej kwatery, wszyscy już byli na posterunku gotowi działać, o ile zajdzie tego potrzeba.

Pierwszymi jaskółkami, zwiastującymi nadużycia przy urnie, byli mężowie zaufania PSL, delegowani do asystowania w obwodowych komisjach wyborczych. Takich komisji było w Warszawie 166 i właśnie jednego z poprzednich dni wręczyłem osobiście 166-ciu naszym członkom odpowiednie pisma nominacyjne. Napływali teraz w takiej liczbie, że wkrótce pokój zarządu stołecznego PSL był za mały, by ich pomieścić. Twarze rozczzerwienione od gniewu i mrozu, w oczach wściekłość. Przyszli z jedną nowiną: nie wpuszczono ich w ogóle do lokalu komisji z powodu nie wykazania się świadectwem moralności! To był trick, oczywiście niezgodny z ordynacją wyborczą, którym nas zaskoczono w ostatniej chwili. Zażądano bowiem, by każdy z mężów zaufania miał przy sobie w dniu wyborów świadectwo moralności, wydane przez starostwo, na podstawie opinii bezpieki. Naturalnie, że takich świadectw odmówiono w 80 % i tylko 22 naszych przedstawicieli otrzymało je w Warszawie i zostali wpuszczeni do lokali wyborczych. Z nich tylko sześciu dotrwało do końca dzisiejszego dnia. Reszta została usunięta w czasie głosowania pod tym czy innym pretekstem.

Gdy odpłynęli mężowie zaufania, zaczęły wpadać inne osoby, nasi członkowie i obcy. Wszyscy z rozpaczą w oczach, trzęsący się z oburzenia. Jeden z nich, były akista, uczestnik Powstania, wpadł bez pukania do pokoju, wołając:

— Skreślili mnie, dranie, z listy w ostatniej chwili. Sprawdzalem ją parę dni temu i moje nazwisko na niej figurowało. Gdy przyszedłem dzisiaj, by głosować, powiedzieli mi, że skreślone z powodu mojej współpracy z Niemcami. Ja i współpraca z Niemcami! Chyba ta rana z Powstania, co mam na piersi, to dowód tej współpracy! Co za draństwo! Co na to zrobić, panie prezesie?

Po nim weszła para nieznajomych inteligentów. Ona płakała, on mówił podniesionym głosem:

— Zróbcie coś zaraz, panowie, bo do lokalu komisji nie wpuszczają ludzi, którzy przyszli sami, a nie w zorganizowanych grupach, z trójką w ręku. Staliśmy z żoną na mrozie parę godzin, bo od samego rana, ale milicja nas nie wpuściła, gdyż głosujący jawnie w zorganizowanych grupach mają pierwszeństwo. Co robić, panie prezesie?

Drzwi się otwierały bez przerwy i tak wpadali jeden za drugim, zgorączkowani i gniewni. Ten, że mu przewodniczący podał kopertę, w której w środku już była włożona trójka. Tamten, że mu przewodniczący razem z kopertą wręczył trójkę. Trzeci, że zażądano od niego, by pokazał kartkę, którą ma zamiar włożyć. Czwarty, że przy drzwiach stoi uzbrojona milicja, a przecież to nie wolno. Piąty, że w lokalu komisji paru ludzi rozdaje trójki, a to jest zabronione... I tak bez końca.

Po południu, gdy już było ciemno, wpadło do pokoju dwóch może dziesięcioletnich chłopców. Oczy podbite, twarze posiniaczone i pokrwawione. Biedne ubrania w strzępach. Zawołałem kobiety, lecz nim przyszły z jodyną i watą, wysłuchałem ich opowiadania. Mówili na wyprzódki, jeden przerywając drugiemu:

— Dostaliśmy tutaj parę setek numerków PSL i ustawiliśmy się dzisiaj od rana, nawet dalej niż sto metrów od lokalu komisji, bo tak wolno i rozdawaliśmy numerki. Parę godzin jakoś nikt nam nie przeszkadzał, ale nagle po południu otoczyła nas bojówka, odebrała kartki i pobiła. Ledwo im się wyrwaliśmy i przyszliśmy prosto tutaj, by o tym powiedzieć...

Zaledwie skończyli, gdy weszło paru korespondentów pism angielskich i amerykańskich po nowiny. Zobaczywszy pobitych chłopców, zapytali z niepokojem, co się stało. Kazałem chłopcom powtórzyć opowiadanie. Orientując się, że mają do czynienia z cudzoziemcami, zrobili to z ochotą, a ktoś ich słowa tłumaczył bieżąco, zdanie po zdaniu. Korespondenci wyjęli notatniki i wśród szczęku aparatów fotograficznych zaczęli pisać.

Teraz chłopcy, pozując do zdjęć, byli już w siódmym niebie. Gdy wszystko się skończyło i twarze ich zostały

doprowadzone do jakiego takiego porządku, zabierając się do wyjścia, zapytali:

— To o nas, proszę pana, będzie pisało w zagranicznych gazetach?

— Nie tylko będzie o pobiciu was — odpowiedziałem — ale także będą wasze fotografie, z tymi siniakami i podartym ubraniem.

Obaj się roześmieli radośnie i jeden dodał:

— To już nawet nie żałuję, że mi wybili dwa zęby! I z dumą wyciągnął z kieszeni dwa jeszcze pokrwawione siekacze.

Pod koniec dnia wpadła jeszcze raz ta sama para inteligentów, tym razem rozpromieniona i zadowolona:

— Jednak głosowaliśmy, panie prezesie, ale tylko podstępem. Ci wszyscy, których nie puszczono, poszeptali między sobą, odeszli na bok, ustawili się czwórkami, i wołając „niech żyje blok wyborczy”, „niech żyje PPR”, pomaszrowali do wejścia, a my wśród nich. Pierwsze czwórki niosły nr 3 w ręku. Wzięli nas za jawnie głosujących „trójkowiczów” i wpuścili do środka. Tam już był tłok i zaraz zmieszaliśmy się z innymi i naturalnie powyciągaliśmy z ukrycia wasze numerki. Ale zaraz po nas lokal zamknęli, mimo że była dopiero szósta i setki tych, co po nas przyszli sami, zostało jeszcze na ulicy. Ci nie dołączyli się już do środka...

Zaraz za inteligentami napłynęła cała fala ludzi z tą samą wiadomością, a mianowicie, że z chwilą, gdy zorganizowane grupy skończyły głosowanie i przed lokalami pozostali tylko ci, którzy przyszli sami, co wskazywało, że będą głosować na PSL, lokale zostały zamknięte, mimo że do siódmej było jeszcze jedna czy dwie godziny.

Wieczorem przybyło sześciu naszych mężów zaufania, którzy zostali dopuszczeni do asystowania przy głosowaniu i wytrwali do zamknięcia lokali. Zaraz po tym zostali z nich usunięci, by nie mogli asystować przy obliczaniu głosów. Razem z nimi zostali także wydaleny mężowie zaufania partii blokowych, z wyjątkiem członków PPR. W rezultacie, obliczenie wyników głosowania zostanie dokonane tylko przez komunistów i ich zaufanych. Każdy z przybywających potwierdzał poza tym wiadomości wcześniejsze

o masowym udziale ludności Warszawy w głosowaniu. Kto żyw biegł do urny, by stoczyć może ostatnią walkę.

Ze wszystkich mężów zaufania najciekawszą historię miał do opowiedzenia Wincenty Bryja, który otrzymał przydział do komisji, urzędującej w dawnym Banku Gospodarstwa Krajowego, przy skrzyżowaniu Nowego Świata i Alei Jerozolimskich:

„Gdy zostałem dopuszczony jako mąż zaufania, o czym głównie zadecydowała moja legitymacja poselska, najpierw obejrzałem sobie dokładnie urnę wyborczą. Była to zwyczajna skrzynka sosnowa z otworem u góry, na której ścianie zauważyłem w jednym miejscu duży sęk. Korzystając z nieuwagi członków komisji, zrobiłem na tym sęku anilinowym ołówkiem znak krzyża”.

„W godzinę od rozpoczęcia głosowania zauważyłem, że przewodniczący zaczyna się denerwować. Nie dziwiłem się temu wcale, gdyż prawie wszyscy wyborcy głosowali tajnie, a to nieomylnie oznaczało, że na PSL. Koło dwunastej cała komisja była wyraźnie nastraszona, a jeden z jej członków powiedział mi półgębkiem, że prawie wszyscy głosują na PSL. Około pierwszej przewodniczący zaproponował kilkunastominutową przerwę na herbatę. Zaprotestowałem gwałtownie, ale powiedział mi, że to nie sprawa mężów zaufania, a komisji, która zresztą, idąc na herbatę do stołówki, zabierze ze sobą skrzynkę. Postanowiłem urny nie spuszczać z oczu i poszedłem z nimi”.

„Gdy wracaliśmy korytarzem do pokoju komisji, dwóch ludzi niosło skrzynkę na przodzie, a pozostali szli za nimi, ja w ostatniej parze z mężem zaufania, wyobraź sobie, PPR. W miejscu, gdzie się krzyżowały dwa korytarze, wyskoczyło nagle paru ludzi w mundurach, z pistoletami maszynowymi w rękę i zastąpiwszy mi drogę, odcięli mnie i peperowca od reszty, która, nie oglądając się kroczyła dalej i po chwili zniknęła za drzwiami. Zacząłem głośno wołać, że jestem posłem KRN i żądam przepuszczenia mnie do lokalu komisji. Nie zwracając na to, jak również na protesty peperowca, naturalnie udane, żadnej uwagi, oświadczyli, że nas aresztują i zaprowadzili do jakiegoś pokoju, gdzie znajdujący się tam oficer wypytał mnie i peperowca najpierw o personalia, a później, obejrawszy moją legitymację, wstał, przeprosił za nieporozumienie.

które wynikało z nadmiernej gorliwości osób „pilnujących aktu wyborczego przed zamachami podziemia” i zwolnił”.

„Gdy wróciłem do pokoju komisji, rzuciłem się zaraz do skrzynki. Nie miała ona ani sęka ani krzyża, naznaczonego ołówkiem. Zaprotestowałem natychmiast, twierdząc, że skrzynka została zamieniona i zażądałem spisania protokołu. Przewodniczący, już widząc dobrze na to przygotowany, najpierw odmówił, a później, gdy nalegałem, stwierdziwszy, że zakłócam spokój w lokalu wyborczym, wyrzucił mnie za drzwi...”

Drugi mąż, a właściwie kobieta zaufania, Genowefa Osiejowa, także poseł do KRN, doznała przeżyć znacznie krótszych, ale za to intensywniejszych:

„W lokalu komisji był duży tłok koło urny, więc weszłam pod ścianą na krzesło, by lepiej widzieć, co się koło niej dzieje. Wówczas wywołano sztuczną bójkę i w trakcie wzajemnego okładania się zwalono mnie z krzesła i uderzono w brzuch tak silnie, że straciłam przytomność...”

TAJEMNICA USTĘPU NA PRADZE

22 stycznia 1947.

Wczoraj wieczorem wyszedłem z Zosią z lokalu stronictwa i zmierzaliśmy Alejami w kierunku Marszałkowskiej, z zamiarem udania się do domu, do Leśnej Podkowy. Idąc, rozmawialiśmy na jedyny temat, jaki wszystkich absorbował, a mianowicie wyborów. Zaledwie minęliśmy kilka kamienic, gdy z bramy domu wystąpiły niespodziewanie dwa cienie, niosące w rękach jakieś białe zawiniątka i zastąpiły nam drogę. Zatrzymaliśmy się trochę zaskoczeni, a wtedy jeden z cieni zwrócił się do mnie:

— Panie prezesie, my jesteśmy z PSL-Praga i mamy do pana ważną sprawę.

Wpatrzyłem się uważnie w dwie młode twarze. Rysy znajome, więc zapytałem, o co chodzi. Usłyszałem w odpowiedzi:

— W dniu wyborów podpatrywaliśmy z ukrycia obliczanie głosów przez komisję i widzieliśmy, jak jej przewodniczący wszystkie numerki PSL zawiązał w gazety i wrzucił do ustępu w podwórzu. Jak tylko komisja się

rozeszła, wyłowiliśmy je stamtąd i właśnie mamy je tutaj, w tych paczkach. Nie chcieliśmy ich przynosić do pańskiego biura, bo mogliby nas szpicle podejrzeć, więc czekaliśmy tutaj, aż pan będzie przechodził.

Pochwaliłem ich za ostrożność:

— Zrobiliście bardzo przeźornie. Dajcie paczki, ja je wezmę ze sobą. Przydadzą się.

Obaj zaśmieli się cichutko:

— Ale one bardzo śmierdzą, bo przez parę godzin zdrowo nasiąkły. Może my je zawieziemy tam, gdzie pan prezes każe?

Nie było sensu trudzić ich dalej, wobec czego wzięliśmy z Zosią cuchnące zawiniątka i po przyjeździe do Leśnej Podkowy, rozłożyliśmy w nocy na werandzie, by przeschły. Było w nich około dwóch tysięcy numerków PSL.

Nazajutrz, na konferencji prasowej urządzonej w stronnictwie, na którą przybyli między innymi Marguerite Higgins z New Yorku, White z New Yorku, Cang, korespondent 'Times'a z Londynu i inni, te pachnące dowody zostały wyłożone na stole. Korespondenci, zatykając nosy, fotografowali je ze wszystkich stron, notując skwapliwie odnośne informacje. Nie trwało to jednak długo. Zapach nie pozwalał.

PO WYBORACH

2 luty 1947.

Dziś zakończyły się obrady Rady Naczelnej PSL, w czasie których zrobiliśmy bilans wyborów i przeprowadziliśmy wybór nowego NKW. Między innymi także ja zostałem wybrany jego członkiem. Na wiceprezesów powołano Stanisława Bańczyka i Stanisława Klimczaka. Na generalnego sekretarza Stanisława Wójcika, na skarbnika Wincentego Bryję.

Nastrój dwudniowych obrad pełen przygnębienia. Wybory wypadły gorzej, niż się tego ktokolwiek mógł spodziewać. Otrzymaliśmy tylko 28 mandatów na ogólną liczbę 444., z czego 24 z list okręgowych, a 4 z listy państwowej. Prawdziwa kropla w morzu. Mikołajczyk przyjął mandat z okręgu Gniezno, zrzekając się z Warszawy, tak że

ja wyszedłem w stolicy na pierwszym miejscu, z czego jestem bardzo dumny. Dawna powstańcza Warszawa stała jeszcze raz do walki, niestety, tak jak poprzednia przegranej. Tym razem nie z karabinem, a z kartką wyborczą w ręku. Będę ją reprezentował w sejmie, co jest wielkim zaszczytem, ale i ciężkim obowiązkiem. Według naszych obserwacji, ludność stolicy głosowała masowo i ogłoszone oficjalne dane mogą być prawdziwe. Według nich, na 384.795 uprawnionych do głosowania, wzięło udział w wyborach 328,198, czyli 85 %. Falszerstwa firmował przewodniczący okręgowej komisji wyborczej, dziekan Rady Adwokackiej w Warszawie, Władysław Tomorowicz, przedwojenny sanacyjny adwokat, wysługujący się teraz komunistom bez miary. Według opinii, jakie nas doszły, 87 % głosów w Warszawie padło na PSL, co wskazuje, że nawet zorganizowanym grupom udało się przemycić nasze kartki. Powinniśmy byli wobec tego otrzymać 8-9 mandatów na ogólną liczbę dziesięciu, a nie dwa.

W całym kraju, według oficjalnego komunikatu, było uprawnionych do głosowania 12.701.056, z czego głosowało 11.413.618. I znów muszę podkreślić, że nie wiemy, czy ta cyfra jest prawdziwa czy nie, ale sprawozdania ze wszystkich okręgów, prócz dziesięciu gdzie ogłosiliśmy bojkot, mówią o masowym udziale ludności, której na ogół poza samymi komisjami wyborczymi nikt nie przeszkadzał w głosowaniu, gdyż podziemie 19 stycznia zachowało się spokojnie. Ogłoszono tylko o dwóch napadach w tym dniu na lokale komisji, a mianowicie „bandy” Szatana w powiecie Lubartów i Zapory w lubelskim.

Z podziału miejsc w sejmie blok otrzymał 394 mandaty, Stronnictwo Pracy 12, PSL-Nowe Wyzwolenie 7 i Postępowi Katolicy 3.

Jakie były prawdziwe wyniki wyborów? Dane nasze co do tego możemy oprzeć tylko na raportach tych stu naszych mężów zaufania na ogólną liczbę 5.227 komisji, którzy takim czy innym sposobem asystowali przy akcie głosowania. Co ważniejsze jednak, udało nam się zebrać poufne informacje od pseudo-komunistów z 1.200 obwodowych komisji i te wykazały, że 68 % głosów padło na PSL, a 32 % na blok i pozostałe drobne stronnictwa. Użytkaliśmy tak wysoką ilość głosów mimo tego, że całe wsie

nie mogły głosować, gdyż dyrygowano ruchem wyborców w ten sposób, że przetrzymano na mrozie te wsie, które miały opinię „gniazd PSL”, a później zamknięto lokale komisji i nie dopuszczono ich do głosowania.

Można by było te dane uznać za nie wystarczające, gdyby nie fakt, że wiadomości, jakie przesiąkły z kół peperowskich, potwierdziły je całkowicie. Osobiście jestem zdania, że można mówić o utrzymaniu absolutnej tajemnicy tam, gdzie wchodzi w rachubę nie więcej, niż trzy osoby. Natomiast tam, gdzie jest więcej osób, tajemnica nie da się utrzymać przez dłuższy czas. Takie doświadczenie wyniosłem z podziemia. Ponieważ zaś prawdziwy wynik wyborów znało aż kilkuset komunistów, wiadomości o ich prawdziwym wyniku przesiąkły od nich do nas bardzo szybko.

W tym stanie rzeczy wnosimy indywidualne protesty przeciw wyborom we wszystkich 52-ch okręgach i jeden generalny protest, obejmujący cały kraj, z żądaniem unieważnienia wyborów w całej Polsce. Opracowanie tego ostatniego powierzono mnie i zużyłem około stu stron pisma maszynowego, by przedstawić kilkadziesiąt różnych rodzajów nadużyć wyborczych.

Członkowie Rady Naczelnej rozjechali się w nastroju z jednej strony głębokiej depresji, z drugiej niespokojnego oczekiwania. Wybory zostały przeprowadzone, tak jak tego chciała Anglia i Ameryka oraz działający w porozumieniu z nimi Mikołajczyk. Jaka teraz będzie reakcja tych krajów na ich sfalszowanie? Najbliższe dni powinny przynieść wyjaśnienie. Mikołajczyk wręczył już ambasadorom angielskiemu i amerykańskiemu wszystkie materiały, dotyczące fałszów i wszelkie potrzebne dowody mają w ręku. Co teraz nastąpi? To pytanie towarzyszy członkom Rady, rozjeżdżającym się we wszystkie strony kraju.

ZA WIERNĄ SŁUŻBĘ

3 luty 1947.

Dziś, w gmachu sądu przy ulicy Leszno ogłoszono wyrok Rejonowego Sądu Wojskowego w Warszawie w procesie pułkownika Jana Rzepeckiego, który po aresztowaniu

szesnastu, w tym generała Okulickiego, został mianowany Delegatem Sił Zbrojnych w Kraju, wtedy kiedy ja, w związku z aresztowaniem Delegata Rządu wicepremiera Jana Jankowskiego, także jednego ze wspomnianych szesnastu, zostałem p.o. Delegatem Rządu w Kraju. Rzepecki, aresztowany 5 listopada 1945, został skazany na 8 lat więzienia. Z innych znajomych, podpułkownik Jan Szczurek (Sławbor), aresztowany 23 listopada 1945, otrzymał 7 lat, major Antoni Sanojca (Kortum), aresztowany 5 listopada 1945, 6 lat i Ludwik Muzyczka (Benedykt), aresztowany 22 grudnia 1945, 10 lat, wreszcie Emilia Malessa (Marcysia) — dwa lata.

Przebieg procesu mogłem śledzić tylko w prasie, gdyż dostanie się na salę sądową ani nie było możliwe, ani wskazane. Była pod silną ochroną bezpieczeństwa z uwagi na obawę zamachu ze strony podziemia i wpuszczano na nią za przepustkami tylko ludzi pewnych, w praktyce prasę, peperowców i konfidentów bezpieczeństwa. Czytałem więc tylko, jak tysiące innych, sprawozdania z procesu i oglądałem liczne zdjęcia z sali sądowej. Można było poznać po postarzałych twarzach, wpadniętych oczach i wychudzonych policzkach, że oskarżeni mają za sobą ciężkie przejścia. Niestety, widać to było także po ich zeznaniach, szczególnie Rzepeckiego, które czytałem z mieszanymi uczuciami. Po aresztowaniu ujawnił on wszystko bez wyjątku: ludzi, adresy, broń i pieniądze, obliczane na około jeden milion dolarów. Według wiadomości, jakie mnie doszły, nie zostało to wymuszone na nim torturami, a stało się dzięki pewnemu systemowi obrony, jaki Rzepecki przyjął. Przyznał on uroczyście i kategorycznie, że pozostanie w konspiracji było ciężkim błędem i oświadczył, że ze swej strony dokona wszystkiego, by ten błąd naprawić i podziemie winowskie ostatecznie zlikwidować. Wobec tego w śledztwie wydał wszystkich i wszystko. W zamian za to otrzymał przyrzeczenie, że nikt z ludzi przez niego ujawnionych nie zostanie aresztowany i to przyrzeczenie było przez szereg miesięcy przez bezpieczeństwo honorowane. Jest to pierwszy wypadek masowego ujawnienia podwładnych, dokonany przez przełożonego bez ich wiedzy i zgody. Poprzednio, ani aresztowanie Delegata Jankowskiego, ani dowódcy AK generała Okulickiego, ani też późniejsze mo-

je nie spowodowały ujawnienia ludzi i pieniędzy. Jeśli chodzi o te ostatnie, to przetrwały one do likwidacji Delegatury i podziemnej Rady Jedności, zarządzanej zresztą w dwa dni po moim aresztowaniu. Zadysponowała nimi specjalna komisja, wyłoniona dla likwidacji obu tych ciał. Ani jeden człowiek i ani jeden grosz nie dostał się wówczas w ręce bezpieki.

W związku ze swoją obroną, Rzepecki wyolbrzymiał w zeznaniach te momenty, kiedy zajmował w przeszłości krytyczne stanowisko czy to w stosunku do rządu w Londynie, czy też do rozwoju sytuacji w podziemiu, a na odwrót pomniejszał to wszystko, co mogło wyglądać na ścisłe z tym rządem współdziałanie. Całość zaś tego, co mówił, obracała się między dwoma przepisanyymi dla takich procesów biegunami: tu demokracja, tam reakcja. Zgodnie z tą receptą Rzepecki twierdził, że jak długo byli w rządzie ludowcy, miał on oblicze demokratyczne, z chwilą gdy wyszli, utracił je. Według niego, generał Rowecki był demokratą, generał Bór — reakcjonistą. Oto fragmenty ważniejszych jego zeznań według sprawozdań prasowych:

„Losy AK ułożyły się tragicznie... ZWZ i AK miały oblicze lewicowe... Od śmierci Sikorskiego i aresztowania Delegata Piekalkiewicza zaczęły przeważać prądy prawicowe... NSZ zamordował inżyniera Makowieckiego i docenta Widerszala... W obozie Woldenberg on, Rzepecki, i sześciu pułkowników (Sanojca, Szostak, Niepokójczycki, Srebrzyński, Herman i Błędowski) postanowili wrócić do kraju. Od odejścia ludowców z rządu w Londynie uważali go już tylko za placówkę dyplomatyczną. Po powrocie do kraju oddali się do dyspozycji generała Okulickiego, który jego, Rzepeckiego, poinformował o rozwiązaniu AK. Po aresztowaniu Okulickiego, objął jego funkcje...”

W drugim dniu procesu Rzepecki przeszedł do zeznań, dotyczących współpracy ze mną:

„Dla mnie był to najcięższy okres w życiu... Postanowiłem kontynuować rozwiązanie AK i utrzymywać kontakt z Delegaturą Rządu, na której czele stał Stefan Korboński, człowieka którego znałem od dawna i szanowałem za jego charakter i demokratyczne przekonania. Ponadto, utrzymywałem kontakt z pułkownikiem Radosławem, od którego udało mi się uzyskać statut organizacji „NIE”. Ge-

nerał Okulicki nie znał tego statutu. Po zaznajomieniu się z ideami „Nie”, wystąpiłem z żądaniem rozwiązania tej organizacji. Ponieważ w Londynie nie byłem dobrze notowany, zwróciłem się do Korbońskiego z prośbą, by on przekazał moje żądanie. Uczynił to...”

Licząc się z likwidacją rządu w Londynie, Rzepecki postanowił trzymać się ludowców. Został mianowany Delegatem Sił Zbrojnych depeszą z Londynu, odebraną 13 maja 1945 roku. Pułkownik Radosław otrzymał nominację na delegata na okręg centralny, Sławbor na zachodni, Sanojca na południowy. Rozkaz z Londynu mówił, że Rzepecki ma działać pod kierunkiem Delegata Rządu. W związku z tym zeznał:

„Zwróciłem się do mecenasa Korbońskiego, jako do Delegata Rządu, by publicznie zajął stanowisko wobec tego, co się w kraju dzieje. Siedemnastego maja ukazała się odezwa, podpisana przez Delegata Rządu, której ostatnie słowa, skierowane do żołnierzy Armii Krajowej, brzmiały:wychodźcie z lasu, w lesie czeka was zguba...” Dnia 27 maja ukazała się druga odezwa, podpisana przez Delegata Rządu i Delegata Sił Zbrojnych na Kraj, krytykująca w dość ostrych słowach wewnętrzną sytuację, ale znów zakończona wezwaniem:nie dajcie się sprovokować do żadnych wystąpień zbrojnych...”

Rzepecki dalej ujawnił szereg ważnych szczegółów:

„Pod gruzami domu na ulicy Bagno leżał milion dolarów... 24 lipca 1945 wydałem odezwę do żołnierzy AK. Był to mój ostatni publiczny występ jako Delegata Sił Zbrojnych w Kraju... Po zjeździe 5 sierpnia 1945, postanowiłem zlikwidować Delegaturę. Dnia 18 sierpnia nadszedł od aresztowanego w końcu lipca Radosława list z więzienia, proponujący mi spotkanie z kimś z rządu. Odmówiłem, nie mając zaufania... Po opuszczeniu więzienia, Radosław widział się ze mną i namawiał do wydania rozkazu o ujawnieniu. Odmówiłem z braku zaufania... W dniu 2 września zapadła decyzja zorganizowania WIN'u...”

Z kolei, trzeciego dnia procesu, Rzepecki znów wrócił do spraw, związanych z moją działalnością. Oto wyjątek ze sprawozdania prasowego:

.....Na pytanie prokuratora, czy dokument ten (wytyczne, opracowane przez pułkownika Rzepeckiego z 11 kwietnia 1945 o dalszym trwaniu konspiracji) był pokazywany komuś z konspiracyjnych władz politycznych, oskarżony odpowiada, iż czytał go Delegat Rządu Korboński. „Co powiedział?” „Radził poczekać na rozstrzygnięcie sprawy pruszkowskiej (aresztowanie generała Okulickiego). Miał nadzieję na pomyślne jej załatwienie, a wtedy sytuacja byłaby zupełnie wyjaśniona”.

Wreszcie, Rzepecki zakończył swoje zeznania stwierdzeniem, że pozostanie w podziemiu AK należy tłumaczyć „czadem nieufności” i użył wyrażenia „smutnej sławy WIN” w sposób wskazujący, że ma na myśli postępującą degenerację tej organizacji. Zapytany, dlaczego wówczas nie ocenił tak trzeźwo sytuacji, jak obecnie, odpowiedział:

„Czyając otoczony w czasie polowania przez nagonkę, ma czas na spokojną ocenę?”

Po zarządzeniu przez sąd tajności rozprawy dla odczytania dokumentów, znalezionych przy łączniczce Kraszewskiej, Rzepecki, po przywróceniu jawności, przyznał, że i w Delegaturze Sił Zbrojnych i w WIN-ie działały wpływy obcego wywiadu.

Kapitan Kazimierz Leski, zeznający po Rzepeckim, który w czasie Powstania pierwszy otrzymał *Virtuti Militari*, poszedł po tej samej linii obrony, co jego przełożony, gdyż stwierdził, że po aresztowaniu 23 listopada 1945 ujawnił kolegów i materiały. Leski przyznał:

„Postąpiłem nielojalnie wobec kolegów, ale uważałem, że jest cel wyższy: zakończenie konspiracji w ogóle”.

Natomiast w zachowaniu się i zeznaniach podpułkownika Szczurka wystąpiła wyraźna krytyka linii obrony, przyjętej przez Rzepeckiego. Szczurek wyjaśnił, że do rozprawy odmawiał w ogóle zeznań, ale Rzepecki ujawnił tak dużo: „że teraz i ja muszę wyjaśnić pewne sprawy”. Oświadczył on, że jest synem chłopca, który wyjechał do Ameryki, że był ranny w czasie Powstania i że miarą jego obiektywności jest fakt, że na jego wniosek Bór dekorował kapitana Gustawa z komunistycznego AL'u Krzyżem *Virtuti Militari*. Zdaniem Szczurka, WIN był pomyślany jako organizacja polityczna. Po aresztowaniu Rzepeckiego przeciął łączność z Londynem, wysyłając depezę:

„Pułkownik Rzepecki został aresztowany i sypie. Nie przysyłać żadnych kurierów”.

Gdy doszło do badania majora Sanojcy przyznał on, że w WIN'ie była prowadzona akcja „Z”, to jest zbierania wiadomości, czyli szpiegostwo, zaprzeczył jednak, by istniał fundusz wyborczy w kwocie 20.000 dolarów.

Z podziwem czytałem w sprawozdaniach sądowych życiorysy Józefa Rybickiego i Mariana Gołębiowskiego. Pierwszy był dowódcą legendarnego już Kedywu na miasto Warszawę i powiaty warszawskie. On to w czasie okupacji kierował tymi wspaniałymi bojowymi akcjami, które stolica tak podziwiała. Stwierdził między innymi, że okręg białostocki ubóstwiał „Mścisława” i nie chciał słyszeć o rozwiązaniu. Poza tym wygłosił mętny i zagmatwany wywód o atawizmie, którym tłumaczył istnienie podziemia. Gołębiowski był skoczkiem i przeszedł przez wszystkie rodzaje bojowych akcji, uzyskując najwyższe pochwały.

Wreszcie Muzyczka przedstawił strukturę państwowej administracji zastępczej, organizowanej przez wydział administracji w Komendzie Głównej AK, na którego stał czele. Sprawa ta była swego czasu przedmiotem zatargów między Delegaturą Rządu a Komendą Główną, co znalazło swój wyraz w jego zeznaniach.

Ciekawy szczegół odsłoniły zeznania świadka Pawła Zodrowa. Stwierdził on mianowicie, że w tomaszowskim obwodzie WIN'u nawiązano kontakt z przedstawicielami podziemnego rządu ukraińskiego, którzy prosili o pomoc sanitarną i ułatwienie łączności z Londynem.

Gdy zamknięto przewód sądowy, zabrał głos prokurator pułkownik Holder. Jego przemówienie odkryło właściwy cel procesu, gdyż starał się on udowodnić ścisły związek WIN'u z PSL, do czego zresztą proces nie dostarczył żadnych dowodów.

Gdy na zakończenie zabrali głos adwokaci z Maślan-
ką, obrońcą Rzepeckiego, na czele, poszli oni po utartej drodze obrony w wypadkach, gdy oskarżeni przyznają się do winy. Powołując się na złe środowisko, w którym ich klienci wyrosli, na błędy polityczne Polski przedwrześniowej, na reakcyjność otoczenia, w którym działali, wreszcie podkreślając fakt, że oskarżeni przejrzeni na oczy, przyznali się do popełnienia przestępstwa, jakim była ich pod-

ziemna działalność i okazali żal oraz skruchę, prosili o łagodny wymiar kary.

Tak to do ostatniego dowódcy wojskowego polskiego podziemia i jego sztabu zastosowano system obrony, typowy dla procesów o kradzież z włamaniem.

Cały proces przeżywałem bardzo ciężko. Sanojca był pierwszym człowiekiem z ZWZ, jakiego poznałem jeszcze w 1939 roku, z Rzepeckim byłem bardzo zaprzyjaźniony i na „ty”, z Muzyczką wyklócałem się po przyjacielsku szereg lat o różne sprawy. Ze Szczurkiem rozmawiałem kilka razy w czasie Powstania. Wszyscy byli mi bardzo bliscy. Obecny ich los nasuwał najsmutniejsze refleksje. Czułem, jak tysiące innych, że tym ludziom dzieje się okropna krzywda. Narażali codziennie swoje życie przez wiele lat, a w nagrodę posadzono ich na ławie oskarżonych i obcy ludzie, ubrani w polskie mundury, sądzą ich dzisiaj za to, że rzekomo działali na szkodę swego kraju. Nigdy tragedia AK nie wystąpiła tak wyraźnie, jak w tym procesie. A że przy tym niektórzy, a przede wszystkim Rzepecki, załamali się o tyle, że potępili swoją przeszłą działalność, myślenie o tym co się rozgrywa na sali sądowej stało się dla mnie nie do zniesienia.

OTWARCIE SEJMU

4 lutego 1947.

Wyskoczyłem z kolejki na Nowogrodzkiej i rozejrzałem się nieznacznie dookoła. Który z ubeków będzie dzisiaj sterczał tutaj na posterunku?... Jest! Stoi w bramie po przeciwnej stronie. Już mnie zobaczył i schował się w głębi.

Dziś pierwszy raz zbiera się Sejm i śpieszę na jego otwarcie. Czuję się dzisiaj więcej niż kiedykolwiek związany z Warszawą i tą dawną podziemną i tą nową, powstającą do życia, jak Feniks z popiołów. Zna mnie ona już trochę pod prawdziwym nazwiskiem i od wyjścia z więzienia nie szczędzi dowodów sympatii. To jakiś nieznajomy człowiek ukloni się na ulicy, to ktoś odwróci się i pokaże towarzyszowi, to znów jakieś usta szepną w przełocie miłe, pełne otuchy słowa.

Czuje się tym zobowiązany i wiem, że oczekuje się ode mnie, że moja przyszła działalność w Sejmie będzie dal- szym ciągiem dawnej walki, prowadzonej od dwóch lat w innej postaci. Sejm będzie jej nowym terenem, chociaż przykro pomyśleć, że może jej końcem.

Wszedłem już w Wiejską i widzę z daleka las cho- rągwi przed lśniącym nowymi tynkami budynkiem Sejmu. Ruch na ulicy duży. Pełno milicji i ubeków, przepro- wadzających oczyma każdego przechodnia. „Demokratki” śmigają po jezdni, zwożąc do Sejmu dygnitarzy rządo- wych. Brak jednak ciekawego tłumu rzuca się w oczy. Warszawa ma świadomość przegranej i nie wyległa w tym dniu na ulicę. Przy wejściu do Sejmu muszę się wylegity- mować. Używam w tym celu już prawdziwego dokumen- tu, stwierdzającego, że Stefan Korboński jest posłem na Sejm.

To ostatnie słowo budzi dawne wspomnienia. W 1929 przyjechałem z Poznania na stałe do Warszawy i za- mieszkałem w Hotelu Sejmowym w pokoju obok dr. Zyg- munta Gralińskiego, wówczas posła z „Wyzwolenia”. Chłonałem całą pierśią atmosferę Sejmu. Nowe znajomo- ści, znane nazwiska, życie wśród zagadnień politycznych. Cały wachlarz nowych, odmiennych wrażeń. Czyż mogłem wówczas przypuszczać, że w szesnaście lat później będę wchodził do tego samego budynku jako poseł na Sejm? Ale czy jako poseł na Sejm? Sądzę, że tak. Wybór mój i innych z naszej listy jest prawdziwy, bo przecież nie nam komuniści dosypali głosów, a tylko sobie. Zostaliśmy naprawdę wybrani przez ludność, która w wyborach wi- działa ostatnią deskę ratunku i wzięła w nich masowy udział. Musimy wzamian za to wypełnić nasz wobec niej obowiązek. Niezależnie od tego Sejm jest oparty na oszustwie wyborczym, jakiego świat nie widział. Ale rów- nież „brzeskie” i późniejsze wybory też były sfałszowane przez sanację a mimo to nikt nie twierdził, że ówczesne sejmy nie były sejmami. Dodając nawiasem, sfałszowanie wyborów przez swoich jest gorszą zbrodnią niż przez obcych.

Zebrałiśmy się, posłowie z PSL, w pokoju hotelowym, w nastroju przygnębienia. Trzeba było omówić nasze za-

chowanie na pierwszym posiedzeniu. Wystarczył jeden pokój, by nas wszystkich pomieścić.

Gdy wchodzimy o jedenastej na salę sejmową, oślepia nas blask reflektorów, skierowanych w naszą stronę. Słychać terkot aparatów filmowych. Cała sala już pełna, tylko przeznaczone dla nas miejsca zioną pustką. Głosy rozmów nagle cichną i wszyscy patrzą na nas. Siadamy byle jak i zaczynamy rozglądać się po sali.

Panuje na niej nastrój podniecenia, właściwy skupiskom ludzi, oczekujących na coś ważnego, który natychmiast nam się udziela. Wszystko naokoło lśni czystością i luksusem. Nowe ściany, dach i wygodne wyściełane siedzenia. Tuż na lewo od nas, w górze, pod kwadratową ścianą ławy ministerialne, a w pierwszej z nich premier Osóbka, człowiek, którego własne nazwisko najlepiej określa. Osóbka i nic więcej. Obok Gomułka, dalej znany mi osobiście z okresu mego pobytu w więzieniu, minister bezpieczeństwa Radkiewicz, a z tyłu widzę dobrze mi znaną twarz ministra Putka. Dalej pod ścianą pusta trybuna marszałka, a przed nią mównica, z ustawionym na niej rzędem mikrofonów. Po przeciwnej stronie, twarzą do ław ministerialnych, zasiedli wiceministrowie. Posłowie zajęli miejsca w półkołu amfiteatru, którego ściana jest podstawą.

Naprzeciw nas widzę PPR i w pierwszym rzędzie Bermana, Zambrowskiego, Ochaba, Mazura, Chelchowskiego, Kliszkę i innych. Przyglądają nam się z ironicznym uśmiechem, wymieniając między sobą jakieś uwagi, widocznie na nasz temat. W środku tych ław plama trzech mundurów generalskich. To Spychalski, Jaroszewicz, a trochę z tyłu za nimi Świerczewski, najciekawsza zresztą z nich postać. Na galerii, ponad ławami PPR, loża prasowa, a w niej zbity tłum dziennikarzy, wśród nich wielu zagranicznych. Ktoś stamtąd daje znaki wyraźnie w moją stronę. To Zosia zasiadła tam w pierwszym rzędzie, by oglądać to jedyne w swoim rodzaju widowisko.

W centrum, naprzeciwko trybuny marszałkowskiej, zajęli miejsca posłowie z PPS. Świecą wśród nich łysiny Cyrankiewicza i Szwalbego, widać wąsatego Drobnera i postarzałą Kłuszyńską. Rodzynką w tym cieście jest Cyraniewicz. Członek naszego podziemia w 1939-1940 roku, autor wielu anty-sowieckich artykułów w prasie podziem-

nej, pozyskany przez komunistów w Oświęcimiu, dziś ich wtyczka numer jeden w PPS. Bezpieka ma na niego sporo obciążającego materiału i musi być posłuszny. Wypędzony kleryk, pół-inteligent Matuszewski to druga po Cyraniewicz wtyczka, a zestrachany adwokat Świątkowski — trzecia. Kręci się obok nich Julian Hochfeld, niedawno przybyły z Anglii, ale już tylko ubiorem przynależny do tego świata, który opuścił.

Ławy PPS usiane są czerwonymi punktami. Co to jest? Wpatrzyłem się lepiej i dojrzałem czerwone goździki w klapach marynarek. Wzruszyłem ramionami. Co chcą przez to powiedzieć? Może, że dzisiaj święto, lub że są tak czerwoni jak PPR? Głupota, obłuda czy kolor ochronny?

Dalej na prawo dojrzałem ławy lubelskiego Stronnictwa Ludowego, na czele z odkomenderowanym do niego przez Politbiuro, starym komunistą Kowalskim i jego uczniem i wychowankiem Korzyckim. Muszę powiedzieć, że ta część Sejmu prezentowała się na oko najgorzej. Może dlatego, że zasiadły tam wszystkie szumowiny, jakie bujne życie polityczne wsi polskiej wyrzuciło teraz na powierzchnię. Wśród nich znajome postacie sanacyjnych „kadzi-chołów”: Wyrzykowskiego i Langerę, gotowych służyć każdemu za mandat poselski. Stwierdziłem, że Langer z zamieszek wojennych wyniósł cało dumę swego żywota, wypielegnowaną, bujną, lwią czuprynę. Z całej jego głowy tylko ta kępa włosów zasługiwała na pewną uwagę. Także na tych ławach widać żółtą plamę munduru generalskiego. To „pop” sowiecki generał Popławski, ledwo mówiący po polsku, odkomenderowany przez Moskwę na polskiego posła ludowego.

Obok rządowych ludowców zasiedli posłowie ze Stronnictwa Pracy. Jakieś nieznane typy, a wśród nich śniada, czarna twarz Widy-Wirskiego, poznańskiego lekarza, którego wybuch wojny uratował od kryminału. Miał tam w sądzie sprawę o zawodowe spędzanie płodu. Jest to notoryczna wtyczka peperowska w tym fikcyjnym stronnictwie.

Ale nagle mignęła mi lepiej znajoma twarz. To Tilgner, ekonomista wsławiony tym, że na zebraniu polskich przemysłowców, zwołanym przez hitlerowskiego gubernatora

Fischera, w odpowiedzi na apel Fischera o współpracę przemysłu polskiego z niemieckim, on jeden jedyny z obecnych Polaków zabrał głos i zapewnił Fischera o gotowości do tej współpracy. Otworzyłem szeroko oczy. Tacy ludzie w Sejmie? Widocznie liczą na to, że z takimi obciążeniami, Cyrankiewicz, Tilgner i inni będą im służyć na dwóch łapkach.

Z kolei zasiadło Stronnictwo Demokratyczne, także na czele z przydzielonym do niego przedwojennym komunistą Chajnem, figurantem Rzymowskim i masonem Wacławem Barcikowskim, adwokatem w stolicy, z którym zasiadałem około dwóch lat w warszawskiej Radzie Adwokackiej, jako wówczas najmłodszy jej członek. Ale moją uwagę wkrótce przykuła inna twarz. Czyż mnie wzrok nie myli? Toż to Jaśnie Wielmożny Książę Krzysztof Radziwiłł we własnej osobie! Dlaczego go tutaj wprowadzili? Już rozumiem. Obecność jego ma wykazać, że ludowa demokracja traktuje wszystkich jednakowo. Jest w niej miejsce nawet dla książąt. Jakie wrażenie robi to zagranicą! Sprytny pomysł. Przypomniała mi się moja i Staśka Dubois rozmowa w roku 1940, w Hotelu Europejskim, z innym Radziwiłłem, Januszem, którego przyszliśmy prosić o pomoc dla aresztowanych Rataja i Niedziałkowskiego. Wrócił on niedawno z Sowietów, zwolniony staraniem swych kuzynów, królewskiej rodziny włoskiej. Opowiadał nam o swej rozmowie z Berią, na którą go sprowadzono z więzienia. Beria namawiał go, by został w Rosji dobrowolnie, a znajdzie się dla niego odpowiednie zajęcie. Książę Janusz odmówił i wrócił do kraju, by współpracować z naszym podziemiem. A więc ten pomysł, zrodzony w Rosji w roku 1940, został zrealizowany w Polsce w sześć lat później, chociaż w znacznie gorszej personalnej odmianie.

Obok Radziwiłła komunistka Krassowska, także odkomenderowana do Stronnictwa Demokratycznego. Mizdrzy się do przystojnego Jodłowskiego. Wiem, że ten młody adwokat, znany z radykalnych poglądów, przeszedł przez ciężką wewnętrzną walkę. Ale gdy się zdecydował, dał tak głębokiego nura w nową rzeczywistość, że wypłynął na powierzchnię już jako mąż zaufania komunistów.

Obejrzałem się teraz za siebie i ujrzałem charakterys-

tyczną scenę. Trzej rządowi katolicy, Bieńkowski, Frankowski i Bocheński pośpiesznie przenosili się z ław, które zajęli za nami, do ław za Stronnictwem Demokratycznym. Złe usiedli. Nie mogłem się powstrzymać, by nie krzyknąć za nimi: „A może usiądziecie naprzeciwko?” i wskazałem ławy PPR. Odpowiedzieli mi tylko zakłopotanym uśmiechem.

Ta trójka razem to drugi chodzący wykładnik zasady, że im kto więcej ma obciążeń, tym wierniej służy. Z przeszłością, zdolną zaprowadzić każdego z nich za kratę, podjęli się pod wodzą przedwojennego faszysty, Bolesława Piaseckiego, ważnego zadania, bo rozbijania ruchu i kościoła katolickiego. Z nich Bieńkowski, aresztowany w czasie Powstania przez NKWD na terenach po prawym brzegu Wisły, odsiedział swoich parę miesięcy w piwnicy bez światła i to go tak oświeciło, że dzisiaj wierzy tylko w blask, bijący ze wschodu.

Za Stronnictwem Pracy i Demokratycznym, zagubiona grupka ludowych posłów z „Nowego Wyzwolenia”, a na ich czele dobrze mi znany Tadeusz Rek, dawny aplikant Gralińskiego, mający za sobą tak jak Bieńkowski blisko rok pobytu w piwnicach UB, oraz radykalny ludowiec inżynier Drzewiecki, chory, ponury, łamiący się ciągle w sobie.

Spoważniałem natychmiast, gdy z kolei spojrzałem na ostatnią ławę. Trzy tragiczne postacie, maryl niedawnej przeszłości siedzące samotnie, milczące i zadumane. Eugeniusz Kwiatkowski, Zygmunt Żuławski i Zofia Nałkowska. Przedwojenny wicepremier, były legionista Piłsudskiego i znakomita pisarka zjawili się na sali jak duchy, chyba tylko po to, by podkreślić różnicę między tym co było i jest. Gdy tak patrzę na nich, przychodzi mi na myśl, że tylko sześć lat upłynęło od wybuchu wojny, ale zmian jakie zaszły wystarczyłoby na stulecie.

Spostrzegłem jednak szybko, że w innym kierunku idą spojrzenia obecnych, pełne szacunku. Kierując oczy w ślad za nimi, musiałem wzrokiem dalsze galerie. Co za komplet znajomych twarzy! Na galerii siedziała cała warszawska bezpieka. W mundurach i w cywilu, mężczyźni i kobiety, całe to towarzystwo, które po aresztowaniu oglądało mnie co wieczór, jak niedźwiedzia w klatce. Ale nie ku nim

biegły spojrzenia z sali. Wykręciłem prawie szyję i dojrzałem w łoży nad nami reżysera całego widowiska, sowieckiego ambasadora Lebediewa. Otyły, o ciemnych włosach, sowiecki namiestnik, otoczony licznym gronem swoich urzędników, patrzył rozpromieniony w dół na salę i czekał na podniesienie kurtyny. Obok w łożach ambasador czeski Hejret, szwajcarski Roy-Ganz i szwedzki Westring. Ambasadorowie amerykański, angielski i francuski demonstracyjnie nie przybyli.

Przegląd sali dał mi dobry obraz sytuacji. Gdyby tak połączyć PPR i ich wtyczki w zablokowanych stronnictwach nicią pajęczą z łożą nad nami, powstałaby siatka, okrywająca całą salę, z pajakiem — Lebediewem w jej środku.

Ale kogo ta siatka okrywa — zadałem sobie pytanie. Czy wyłącznie szumowiny, wtyczki, oportunistów, karierowiczów i ludzi złamanych więzieniem? Wcale nie. W podnieconym tłumie, który mnie otaczał, było wielu ludzi szczerze i prawdziwie chcących służyć krajowi. Wybrali oni tylko inną drogę niż my, którzy tę służbę widzimy w otwartej politycznej walce z dyktaturą komunistyczną, mimo że wynik jej zarysowuje się po wyborach gorzej, niż kiedykolwiek. Ich zdaniem, polityka PSL jest „walką gołego tyłka z batem”, a jedynie właściwą jest polityka zapobiegania ciosom przez współpracę z komunistami. Dla nich było za mało dotychczasowych doświadczeń i mieli jeszcze złudzenia. My już nie.

Ale oto z zewnątrz słychać dźwięki hymnu narodowego. Na sali poruszenie. Temperatura nastrojów skacze w górę o parę stopni. Spojrzenia odwracają się od Lebediewa i kierują ku głównemu wejściu u szczytu amfiteatru. Za chwilę staje w nim czarno ubrana postać i starannie wymierzonym krokiem posuwa się po czerwonym chodniku w kierunku trybuny marszałka. W miarę jak kroczy, sala wstaje i rozlegają się okrzyki i oklaski. My siedzimy, jak przykuci do swoich miejsc. Patrzę wielkimi oczyma na dramat jaki wokół mnie zaczyna się rozgrywać, pewien że historia oceni go jako jedną z najcięższych chwil w naszych dziejach.

Bierut jest już na mównicy i w uroczystym, pompacyjnym przemówieniu przekazuje funkcje Krajowej Rady Na-

rodowej nowemu Sejmowi. Na zakończenie odczytuje tekst ślubowania poselskiego, przyjęty większością głosów i powołuje na przewodniczącego najstarszego wiekiem posła z PPS, Trąbalskiego, który sam składa ślubowanie i odbiera od posłów przysięgę.

Następuje odczytanie depesz powitalnych. Nadeszły aż dwie: od Związku Polaków w Australii i... od związku mechaników w Pruszkowie. Czyta je najmłodszy wiekiem poseł, Ożga-Michalski z SL. Gdy skończył, z naszych ław padło pytanie: „Panie sekretarzu, a nie ma tam przypadkiem depeszy z Kozieglów?” Sala buchnęła śmiechem. Ta przynajmniej pociecha, że mają jakie takie poczucie humoru.

Z pierwszej ławy przede mną podnosi się masywna postać Mikołajczyka. Na sali i na galeriach zapada cisza. Mikołajczyk składa imieniem PSL deklarację, że wybory zostały całkowicie sfałszowane, że nasze Stronnictwo wniesie protesty wyborcze i będzie dążyć do unieważnienia wyborów w całym kraju. Na sali zrywa się wrzawa, słysząc okrzyki i śmiechy.

Staruszek Trąbalski zarządza teraz wybór marszałka Sejmu. Podnosi się Szymanek z SL i zgłasza kandydaturę Władysława Kowalskiego. Rozlega się huragan oklasków. Żadne dalsze kandydatury nie wpływają. Przedstawienie, widać, doskonale wyreżyserowane i aktorzy poruszają się po scenie bez błędu i w tempie przyśpieszonego filmu. My żądamy tajnego głosowania. Wniosek bez dyskusji odrzucony. Kowalski, wybrany marszałkiem Sejmu, zajmuje fotel. Sala wstaje i wybucha śpiewem: „Gdy naród do boju”.

Widzę, że Kowalski się postarzał. Spotykałem go z rzadka przed wojną na skromnych herbatkach u Stanisława Thugutta, którego Kowalski był gorącym wielbicielem. Stojąc gdzieś w kącie ze szklanką herbaty w ręku, na ogół milczał i słuchał. Budził zaciekawienie ten syn formala, który się wydobył z samego dna wiejskiej nędzy, stał się publicystą i podawał się za radykalnego ludowca. Dzisiaj odsłonił już swoje prawdziwe oblicze i zajął jedno z kluczowych stanowisk w nowym systemie.

A sala wciąż śpiewa. W uszy moje wpadają słowa: „...armaty pod Stoczkiem zdobywała wiara rękami czar-

nymi od pług, panowie w stolicy palili cygara, radzili o braciach zza Buga..." Zaczynam się zastanawiać nad tymi słowami. Na kim wiara zdobywała pod Stoczek armaty? Przecież na Moskalach! O jakich braciach zza Buga radzili panowie? Przecież o tych, zagarniętych przez Rosję! Wszak to jest bojowa pieśń ludowców, którą śpiewaliśmy pełną piersią na Kongresie PSL w Warszawie, w styczniu 1946 roku, na znak protestu przeciw nowej rzeczywistości, a obecni na sali goście-komuniści bledli ze wściekłości. Teraz ten śpiew jest skierowany przeciw nam i tym milionom ludzi, którzy poza tym budynkiem stoją za nami. Nic z tego nie rozumiem. O parę metrów ode mnie widzę „popa” Popławskiego, jak porusza ustami i udaje, że śpiewa. Więc w tej pieśni on teraz zajął moje miejsce, a ja jego? To teraz ja jestem za Moskała, a on za polskiego patriotę? Zaczynam się śmiać sam do siebie, ale takim śmiechem, że zaniepokoił sąsiadów. Gdy wyjaśniłem przyczynę, wszyscy się godzą na jedno: „Od tego wszystkiego w głowie się mąci”.

Po wybraniu na wicemarszałków Stanisława Szwalbego z PPS, Romana Zambrowskiego z PPR i Wacława Barcikowskiego z SD, wchodzi na trybunę Jodłowski i referuje tak zwaną „małą konstytucję”, na której ma się oprzeć tymczasowa organizacja władz. Gdy skończył, podnosi się ponownie wytresowany Szymanek i imieniem PPS oraz PPR (l) zgłasza poprawkę do tekstu przysięgi prezydenta. Wnosi o dodanie do niej słów: „Tak mi dopomóż Bóg”.

Zaczynam się znów trząść od śmiechu. Ale nie od tego dobrego zdrowego, który jest darem niebios i lekarstwem na troski, lecz od tego chorego, złego chichotu, który się rodzi z odrazy i gniewu. Bierut będzie wzywał Boga o pomoc w zbożnym dziele rządzenia Polską! Bóg w służbie Pepeeru! Co za nadzwyczajny cynizm. Ale posunięcie bardzo niebezpieczne. Ludzie z wyrobieniem politycznym poznają się na nim, lecz jak na to zareaguje człowiek u ulicy? Co będzie, jeśli weźmie ten fałszywy pieniądz za dobrą monetę?

Małą konstytucję wraz z poprawką Szymanka uchwalono 358 głosami przeciw naszym 26, przy dwóch wstrzymujących się. Niestety, nie głosowali przeciw także dwaj

posłowie z naszego środowiska. Pierwsza szczerba we własnych szeregach. Czy się rozszerzy?

BÓG W SŁUŻBIE PPR

5 luty 1947.

Gdy wchodzę rano na salę sejmową, otacza mnie od razu nastrój uroczysty. Posłowie, przeważnie ubrani na czarno, rozmawiają ze sobą przyciszonym głosem. Wkrótce Kowalski otwiera posiedzenie i załatwia formalności, ale tak nieudolnie, że wywołuje to z naszej strony głośnie kpiny i nastrój na sali pryska. Widać, że nie ma w tych sprawach żadnego wyrobienia. Dookoła słychać ironiczne uwagi i dowcipy. Wreszcie zniecierpliwiony Szwalbe wprowadza na trybunie jaki taki porządek i Kowalski wzywa Sejm do zgłaszania kandydatów na prezydenta R.P. Zapada ponownie cisza, pełna oczekiwania.

Z ostatniej ławy przy głównym wejściu podnosi się Henryk Kołodziejski, przedwojenny bibliotekarz sejmowy, wybitny mason i bardzo wpływowa postać w polskim życiu politycznym. Wszedł do Sejmu z listy blokowej razem z Eugeniuszem Kwiatkowskim, jako „bezpartyjny”. Patrzę na niego ze zdziwieniem. Byłem z Kołodziejskim w stałym kontakcie w czasie minionego podziemia, którego przywódcy utrzymywali z nim ożywione stosunki. Wyśłałem między innymi w czasie Powstania Warszawskiego jego znaną depeszę do wicepremiera Kwapińskiego, żądającą pomocy dla walczącej stolicy. Mimo że trzymał się nieco na uboczu, uważaliśmy go za swojego. A tu naraz wybór jego z listy blokowej, a teraz... Kołodziejski, socjalista z 1905 roku, przyjaciel Rataja, Thugutta, Niedziałkowskiego i Pużaka, zgłasza w tym Sejmie kandydata na prezydenta! Kogóż on zgłosi? Może to będzie tylko jakaś protestacyjna kandydatura, jakaś wallenrodyczna demonstracja? Czekam więc z niecierpliwością.

Ale Kołodziejski jest już na trybunie i mówiąc coś do Kowalskiego, podaje mu białą kartkę papieru. Kowalski spojrzał na świstek i uderzywszy trzykrotnie młotkiem w pulpit oznajmił: „Poseł Kołodziejski zgłosił imieniem zblokowanych stronnictw PPR, PPS, SL i SD jako kan-

dydata na prezydenta (po pauzie, podniesionym głosem) „Bolesława Bieruta!” Na sali wybucha huragan oklasków i okrzyki „niech żyje”. Wśród hałasu Kowalski pyta, czy są jeszcze jakie inne zgłoszenia. Słysząc odpowiedzi: „Nie, nie! Niech żyje Bierut!” Siedzimy spokojnie w naszych ławach, wymieniając między sobą uwagi. Kandydatura Bieruta nie jest dla nas niespodzianką, ale żeby ją zgłosił Kołodziejski?! Szydę sam z siebie, jak mogłem nawet przez chwilę posądzać go o chęć zrobienia demonstracji. Ale niezbadane są drogi, którymi chodzi polska masoneria. Bo skąd się wziął także mason Barcikowski w prezydium Sejmu? Jasne jest, że w osobie Kołodziejskiego dała ona, jeśli nie sankcję nowej rzeczywistości, to w każdym razie swą aprobatę dla Bieruta.

Rozpoczęło się głosowanie. Sekretarz odczytuje nazwiska posłów, którzy kolejno podchodzą do urny i składają kartki. Z ław naszych zrywają się okrzyki, gdy po nazwisku Stanisław Radkiewicz pada nazwisko Krzysztof Radziwiłł i „czerwony książę” z zakłopotanym uśmiechem zmierza do urny. Słysząc głosy: „Papa się w grobie przewraca!...” „Každy sejm musi mieć swego Radziwiłła...” „O cześć wam panowie, magnaci!...”

Posłowie z PPR i SL zaczynają bić mu brawo, ale na ławach PPS cisza. Widać, że nie jest im w smak ta scena. My wstrzymujemy się od głosowania i oddajemy białe kartki.

Po godzinie, Kowalski stwierdza: „W głosowaniu oddano 443 głosy, białych kartek 24, jeden głos nieważny. Wszystkie ważne głosy padły na posła Bieruta, wobec czego poseł Bolesław Bierut został wybrany prezydentem Rzeczypospolitej”.

Sala, z wyjątkiem naszych ław, wstaje na równe nogi i rozlegają się długotrwałe oklaski. Kowalski odracza posiedzenie do drugiej po południu i zawiadamia Sejm, że wraz z premierem jedzie do elekta, by go powiadomić o wyborze.

Przed drugą wszedłem na balkon od Wiejskiej, by widzieć przyjazd „elekta”. Naturalnie pierwsze miejsca przy balustradzie zajęli ubecy, by ktoś przypadkiem nie upuścił czegoś ciężkiego „wybrańcowi narodu” na głowę. Wśród nich oczywiście znajome twarze z tym dyskretnym uśmiesz-

kiem na ustach na mój widok, jaki się przybiera wówczas, gdy się widzi osobę, do znajomości z którą nie wypada się publicznie przyznawać.

Na dziedzińcu przed Sejmem stoi już orkiestra wojskowa i kompania honorowa piechoty w umundurowaniu prosto z igły wraz ze sztandarem. Parę rzędów młodych, polskich, zdrowych chłopskich twarzy bez wyrazu, ot tak, jak każe regulamin i dyscyplina. Czy też im co przyjdzie do głowy, gdy będą prezentowali broń przed Bierutem? Ale już słysząc tupot końskich kopyt i rozlegając się słowa komendy. Na podwórzu wjeżdża szwadron szwoleżerów, a w ich środku, w wielkim, lśniącym aucie Bierut i Osóbka. Chorągiewki powiewają na wietrze, piękne, starannie dobrane konie potrząsają głowami i brzęczą wędzidłami. Kompania prezentuje broń, chyli się sztandar, orkiestra gra „Jeszcze Polska nie zginęła”. Bierut i Osóbka wysiadają, witani u wejścia przez Szwalbego, który ich wprowadza do środka budynku sejmowego.

Wracając na salę, kręcę głową. Nic się w tej scenie, którą oglądałem, nie zmieniło prócz osób. Gdyby nie Bierut i Osóbka, mógłbym ulec złudzeniu, że wszystko jest tak, jak było. Przedwojenny ceremoniał skopiowano drobniutko. Gdzie się podziała prostota i skromność pierwszych obchodów rewolucji, kiedy jej głodni wodzowie występowali w żołnierskich kurtkach, kryjących brudne koszule? To już nie Lenin w starym wojskowym samochodzie, najeżonym bagnetami i z żołdatami w papachach, oblepiałymi błotniki. Rewolucja dzisiaj nosi futra i jeździ Cadillacami w asyście eskorty nie gorszej od Marokańczyków Franco lub konnych gwardzistów prezydenta Francji. Ale rozumiem sens tego wszystkiego. Grunt utrzymać zewnętrzne pozory państwa niepodległego. Wówczas Polacy, czy inni, łatwiej strawią przykrą rzeczywistość. Poza tym trzeba to robić także dla zagranicy. Niech więc na zewnątrz jedyną różnicą będzie to, że zamiast Mościckiego przyjeżdża w czarnym Cadillacu Bierut.

Gdy wszedłem na salę, główny aktor tej sceny stał już po prawej stronie Kowalskiego, który kończył go pytać, czy przyjmuje wybór na prezydenta. Słyszę odpowiedź, wypowiedzianą donośnym głosem: „Przyjmuje”. Na sali zrywa się znów owacja. Wszyscy, prócz nas, wstają. Mam

tego widoku dosyć i mrużę do sąsiada: „Żylaków dostaną od tej gimnastyki. Powstań, siadaj, siadaj, powstań — tak od samego rana, już nie wiem który raz”. Tymczasem Bierut podchodzi do stołu prezydialnego, kładzie lewą rękę na wielkiej, oprawnej w czerwoną skórę, konstytucji z 17 marca 1921, wznosi dwa palce do góry i dobitnie powtarza słowa przysięgi:

„Ślubuję uroczyście, obejmując urząd prezydenta Rzeczypospolitej, wedle najlepszego rozumienia i zgodnie z sumieniem, rzetelnie pracować dla dobra narodu polskiego, praw demokratycznych Rzeczypospolitej święcie przestrzegać, godności narodu i państwa strzec niezachwianie, sprawiedliwość względem wszystkich bez różnicy obywateli za pierwszą mieć sobie cnotę, obowiązkom urzędu i służby poświęcić się niepodzielnie. Tak mi dopomóż Bóg”.

Skończył i Bóg cierpliwy nie uderzył w niego piorunem. Sala znów śpiewa hymn narodowy, a po nim „Nie rzucim ziemi skąd nasz ród”.

To mnie dobiło i szybko wyszedłem. Nawet przy moim dwuletnim obyciu z tymi sprawami, za dużo wrażeń na jeden dzień.

Na Wiejskiej za bramą czekała już Zosia, która cały dzień spędziła na galerii prasowej. Wystarczyło na nią spojrzeć, by poznać, jak jest pod wrażeniem tego, co widziała. Milczeliśmy, idąc szybko w kierunku Alei Jerozolimskich i walcząc ze sobą, by już więcej nie myśleć o całej tej hecy. Ale na próżno. Scena za sceną wracały w pamięci i niesposób się było ich pozbyć. Chyba się od nich nigdy w życiu nie uwolnię.

Wreszcie Zosia przerwała milczenie: „Mam dla ciebie nowinę. Dzisiaj ogłoszono, że Bierut ułaskawił całkowicie pułkowników Rzepeckiego, Szczurka i Sanojcę, a także Jachimka i Maleszę. Gołębiowskiemu zamienił karę śmierci na bezterminowe więzienie”.

Ucieszyłem się zwyczajnie, po ludzku, że starzy towarzysze walki z okupantem wyszli na wolność. To była jedna strona medalu. A druga, to spryt tych ludzi, który im podyktował prawdziwy akt łaski przy objęciu urzędu przez fałszywego prezydenta. Maluczko, a doprowadzą do tego, że kłamstwo i prawda rzucają się sobie w objęcia i w skołatanych głowach poddanych zapanuje błogi spokój.

Weszliśmy na rogu Chmielnej i Marszałkowskiej do „Maxima”, by w sposób obrzędowy i przyjęty od wieków zalać robaka. Wszak dobry trunek na frasunek. Robiłem co można, by go utopić w przezroczystym płynie, wspomagany dzielnie przez Zosię, ale napróżno. Robak wpił się gdzieś bardzo głęboko i gryzł, gryzł bez końca i bez litości.

ŻUŁAWSKI OSKARŻA

8 luty 1947.

Dzisiejsze posiedzenie Sejmu rozpoczęło się przemówieniem Lechowicza ze Stronnictwa Demokratycznego, który uzasadniał wniosek o powzięcie uchwały, stwierdzającej, że KRN „dobrze zasłużyła się ojczyźnie”. Głosowaliśmy przeciw, ale uchwała przeszła ogromną większością głosów.

Z kolei wszedł na mównicę Żuławski, który poprzednie głosował razem z nami, na sali zapanowała zupełna cisza. Żuławski zrobił wrażenie samym ukazaniem się. Wszyscy patrzyli z zainteresowaniem na wysoką, szczupłą postać i piękną, rasową twarz wybitnego socjalisty, który prze-trwał w podziemiu całą wojnę i obecnie walczył o nie-zależność polityczną PPS. Wyglądał, jak postać z obrazów Kossaka i doskonale go sobie wyobrażałem na koniu, z czakiem ufańskim na głowie.

Patrzyłem na niego z dużą domieszką ciepła, gdyż ce-niłem go niezmiernie, a poza tym ulegałem czarowi pew-nego romantyzmu, jaki otaczał osobę Żuławskiego. Wśród ogólnego zainteresowania Żuławski rozpoczął:

„Wysoka Izbo! Wchodzę na tę trybunę pierwszy raz po dwunastu latach i pierwszy raz jako niezależny socja-lista biorę udział w dyskusji nad exposé nowego rządu, który w gruncie rzeczy nie jest nowym, lecz dalszym cią-giem tej samej myśli politycznej, która już przejawiała się w Lublinie”.

„I gdyby nie otaczające mnie gruzy, gdyby nie brak dawnych moich towarzyszy broni, Barlickiego, Niedział-kowskiego, Czapińskiego, Liebermanna, Piotrowskiego, Du-bois, Ziemięckiego i innych, z którymi walczyliśmy razem przeciwko totalistycznym zakusom sanacji — gdyby nie

świadomość, że w międzyczasie przeszedł nad naszymi głowami potworny huragan — powiedziałbym, że się tu nic nie zmieniło.

„Ta sama sala, ta sama zwarta większość upojona władzą i zwycięstwem, te same zagadnienia rzucane niegdyś z Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem, a dziś z Bloku Demokratycznego, że „siły demokracji polskiej wzięły na siebie odpowiedzialność przed narodem”. Te same frazesy, że „w Demokratycznym Bloku zespoliło się wszystko, co zdrowe i twórcze w narodzie” — zupełnie jak swojego czasu w Ozonie — i te same dumne przechwałki, czego to rząd nie dokonał pod względem wybudowania czy odbudowania Polski. Ta sama również słaba opozycja, której — zupełnie jak dawniej — zarzuca się, że nie potrafi postawić nic konstruktywnego, lecz bezpłodnie ustawicznie podnosi te same skargi na gwałty administracji, na areszty, na nadużycia wyborcze i na pogwałcenie wolności słowa i prasy. I tak samo wreszcie, jak twierdzono dawniej, że rząd generała Składkowskiego oparty o sanację jest opatrnościowym i że tylko on jeden może podnieść Polskę wzwyż — i dziś znowu zapewnia się, że tylko rząd, oparty o blok, może zabezpieczyć na trwałe jej niepodległość i odbudować jej gruzы...

.... Piłsudski nazwał Polaków narodem idiotów i uznał, że we własnym ich interesie ma prawo wychowywać ich batem. Dziś, rządząca elita, najlepsi w narodzie, w popularnych rozmowach przedstawiają tak samo, że gdyby ustąpili, zapanowałyby w Polsce straszne rzeczy: biały terror i najczarniejsza reakcja. Kto to ma prawo podejrzewać ten naród, złożony w ogromnej większości z ludzi pracy — chłopów, inteligentów i robotników — o reakcyjność dla tego tylko, że chce on sam wyrokować o sprawiedliwości społecznej, o zrównaniu praw, o wolności, o swej reprezentacji sejmowej i o swoim rządzie?

„Piłsudski twierdził, że przeprowadzając wybory brzeskie, oszczędził narodowi większego nieszczęścia, a pułkownik Sławek powiedział wprost, że czasem lepiej popełnić oszustwo wyborcze na obywatelach, niż wytaczać przeciwko nim mitraliezy. Wywołało to wówczas wśród nas wszystkich powszechne oburzenie.

„Toteż kiedy powiedziano mi, że w auli Uniwersytetu

Krakowskiego pan premier Osóbka zapowiedział, że rząd musi zwyciężyć, bo nie było jeszcze wypadku, by ktoś, posiadając władzę, przegrał przy wyborach, byłem przerażony... Nie mogą tylko przegrać wyborów rządu totalistyczne, terroryzując wyborców...

„Na ogół nie będę mówił o tych wyborach (*przerwywania*), przytoczę tylko parę szczegółów, na które sam patrzyłem. W Krakowie skreślono z list wyborczych tysiące i tysiące ludzi pod pozorem, że współpracowali z Niemcami lub z podziemiem. Skreślono między innymi mego syna, który przesiedział trzy lata w Oświęcimiu i Buchenwaldzie i przywrócono mu prawo głosu dopiero, gdy zagroził skargą o oszczerstwo. Mejej synowej kazano podpisać, że będzie głosowała na „trójkę”, a mojej siostrzenicy, mieszkającej razem ze mną, zagrożono konsekwencjami utraty mieszkania, posady, a nawet aresztem, nie licząc się z najprymitywniejszymi nawet względami przyzwoitości (*wrzawa, przerywania*)...

.....Poza Krakowem kandydowałem jeszcze w okręgu chrzanowskim, gdzie unieważniono mi listę pod pozorem, że sterroryzowałem wyborców do jej podpisania...

„A jak zrobiono z moim starym przyjacielem, Zdanowskim, długoletnim mym zastępcą w Komisji Centralnej Związków Zawodowych? On, jak ja, nie mógł się pogodzić swego czasu z polityką WRN, któremu można było postawić takie czy inne zarzuty polityczne, ale któremu trzeba było przyznać, że walczył z Niemcami najbardziej zacięcie, najbardziej ofiarnie i nie raz bohatersko. I tak, jak ja, chciał po tym kandydować niezależnie. W czasie okupacji uniknął aresztowania prawie cudem, wyszedłszy przez drugie drzwi biura, za co Gestapo aresztowało jego żonę. I temu człowiekowi, któremu krycie się ułatwiło wówczas „Społem” i wiceprezydent Szwalbe — często narażając przez to własną osobę — na Państwowej Komisji Wyborczej postawił zarzut kolaboracji z Niemcami właśnie był członek WRN. Komisja zaś orzekła, że wobec tego, iż kierownictwo WRN przeciwdziało walce zbrojnej z okupantem, pozbawia Zdanowskiego prawa wybieralności do Sejmu...

„W czasie okupacji napisałem rozprawę: „Bogactwo wolności i moralność”. Poszła do cenzury bodaj w czerw-

cu czy lipcu 1946 roku, gdzie skreślono mi cały szereg zdań i powiedzeń, między innymi, że „Bolesław Chrobry nakreślił granice państwa od Miśni aż po Dniepr”. Cenzor słowo „Dniepr” poprawił na „Bug” i w żaden sposób nie mogłem wytłumaczyć, że Kijów leży nie nad Bugiem, lecz nad Dnieprem (*wesołość*). No, ale to były śmieszne drobnostki. Po wielkim mozole otrzymałem wreszcie klauzulę: „Wojewódzki Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk. Zezwala się na drukowanie. Dnia 24 września 1946”.

„Myślałem, że sprawa skończona, ale gdzież tam! Złożoną książkę wstrzymano ze względu na zbliżające się wybory, w których miałem odwagę wysunąć odrębną, niezależną kandydaturę do sejmu. A potem, mimo klauzuli „zezwała się drukować” zażądano ode mnie nowych skreśleń, na przykład słów, że dla członków społeczeństwa „jest ważna nie forma własności przedsiębiorstw, lecz by ich nikt nie wyzyskiwał” lub „że powszechny dobrobyt i powszechne bogactwo można osiągnąć zupełnie”, w czym to inkryminowane zdania miały naruszyć ustawę.

„Narzekaliśmy, i to słusznie, na cenzurę sanacji. Ale ogarnęło mnie największe zdziwienie, gdy usłyszałem, jak polski literat wygłosił prelekcję przez radio, sławiąc obecną wolność słowa w Polsce...”

Na zakończenie Żuławski, już wyraźnie zmęczony, powiedział:

„Ja zaś chcę bronić socjalizmu i jego czystości oraz być wyrzutem sumienia tych wszystkich, którzy wbrew przyrzeczeniom, obietnicom, słowom i nawet własnym przekonaniom nie oparli się pokusie uczestniczenia we władzy. I może pan premier Osóbka przedstawić mnie wobec zagranicznych dziennikarzy jako zgrzybiałego starca — na pół poczytalnego — może pan doktor Drobner, cierpiący na ciężką, nieuleczalną megalomanię, kłaść mnie już za życia w trumnę, w której bym bezsprzecznie wolął leżeć, niż żyć w niesławie, żem sprzeniewierzył się moim ideałom — ja się nie obrażam ani na nich, ani na historię”.

(Tekst niestety, bez skonfiskowanych ustępów.)

Gdy skończył i zaczął schodzić z trybuny, z ław naszych rozległy się samotne oklaski. Reszta sali milczała.

pograżona w zamyśleniu. Nikt przez dłuższą chwilę nie ruszył się z miejsca. Mowa, której ostatnie słowa tylko co przebrzmiały, jeśli nie zatargała wszystkimi sumieniami, to w każdym razie zmusiła do myślenia i zastanowienia. Wszyscy wiedzieli, że Żuławski przed laty przeszedł przez ciężki atak apoplektyczny i był przez jakiś czas częściowo sparaliżowany. Wypowiedzenie takiej mowy skracało mu życie i mogło się nawet skończyć katastrofą na trybunie sejmowej. Był to już głos człowieka, stojącego nad grobem i to podwajało wrażenie przemówienia, które pod względem retorycznym było najlepszym z dotychczas w Sejmie wygłoszonych.

Czy było we wszystkim słuszne? Mnie osobiście raziło zestawienie jednym tchem rządów sanacyjnych z obecnymi, włącznie z zacytowaniem sławnego powiedzenia Piłsudskiego o „narodzie idiotów”. Ja osobiście wątpię, by Piłsudski użył tych słów w przypisywanym im sensie. Za bardzo kochał Polskę, by być tak złego zdania o Polakach. Może miał na myśli swoje otoczenie? Jeśli tak, to nie czułbym się kompetentny do kwestionowania tej opinii. Poza tym jednak wszystko, co Żuławski powiedział na temat sanacji, było zgodne z prawdą.

Gdy po przemówieniu przechadzałem się z nim po korytarzu, prawiąc mu zasłużone komplementy i omawiając sprawę przedrukowania mowy w „Gazecie Ludowej”, z przeciwnej strony ukazał się Cyrankiewicz. Byłem ciekaw spotkania tych dwóch krakowskich socjalistów, z których jeden mógł być ojcem drugiego, więc nastawiłem oczy i uszy. Cyrankiewicz minął nas z lodowatą miną i oczyma, wlepionymi w jakiś punkt ponad naszymi głowami. Żuławski obejrzał się za nim i ze smutkiem w głosie poskarżył się:

— Nawet mnie, staremu, już się teraz nie kłania...

BEVIN A ŻELAZNA KURTYNA

17 luty 1947.

Cała prasa podała wyjątki z przemówienia angielskiego ministra Bevina, wygłoszonego wczoraj na konferencji londyńskiego oddziału Labour Party. Bevin zaprzeczył

złośliwym twierdzeniom, jakoby Żelazna Kurtyna dzieliła Zachód od Wschodu:

„Jest to nietrafny i niefortunny zwrot.* ... Ja osobiście nigdy zwrotu tego nie używałem...”

Głupi, czy o drogę pyta?

ŻULAWSKI CONTRA KOWALSKI

18 luty 1947.

Na samym wstępie dzisiejszego posiedzenia wybuchła awantura. Na trybunę wszedł Żulawski i w najbardziej ostrych słowach zaprotestował przeciwko skreśleniu przez Kowalskiego ze stenogramu sejmowego pewnych ustępów z jego przemówienia. Poparło go tylko PSL oraz, dziwna rzecz, katolicy i wniosek upadł. Mamy więc nową praktykę. Dawniej, przemówienia posłów z KRN cenzurował tylko Zabłudowski, dzisiaj będą przechodziły przez podwójną cenzurę, bo przez marszałka Sejmu i przez Urząd Kontroli Prasy.

Upadł także nasz kontr-projekt konstytucyjny. Zaproponowaliśmy utrzymanie w mocy konstytucji z 17 marca 1921 z pewnymi zmianami, ale wniosek ten odrzucono.

Natomiast jednogłośnie uchwalono powołanie przez Sejm komisji dla opracowania ustawy amnestyjnej, która upamiętni otwarcie Sejmu. Wszedłem w jej skład z ramienia PSL. Trzeba będzie zakasać rękawy i dopilnować przede wszystkim tego, by jak najwięcej osób z podziemia zostało zwolnionych z więzień, gdyż siedzi ich jeszcze wiele tysięcy.

„VERBA VOLANT, SCRIPTA MANENT”

19 luty 1947.

Trochę ożywienia wnieśli dzisiaj do obrad Motyka i Hochfeld, obaj z PPS oraz Langer z lubelskiego SL. Pierwszy zachwycił się demokratycznością obecnego sejmku cytując jako dowód fakt, że otwarcia pierwszego sejmku, w roku 1919 dokonał Radziwiłł, a obecnego robociarz Trąbalski. Odkrzyknęliśmy, że gdyby Krzysztof Radziwiłł

był najstarszym z posłów, to również i ten sejm byłby otwarty przez księcia.

Hochfeld zrobił krytyczną aluzję do łączności PSL z emigracją londyńską. Speszył się, gdy usłyszał z naszych ław:

— A gdzie pan był w czasie wojny?

Nadrabiając miną, atakował nas w dalszym ciągu, twierdząc między innymi, że „Gazeta Ludowa” przemilcza projekt „małej konstytucji”. Odpowiedzieliśmy:

— Miej pan pretensję do Zabłudowskiego, który skonfiskował artykuł na ten temat!

Usłyszawszy to, dał za wygraną i zeszedł z trybuny.

Z kolei Langer wniósł swe opasłe ciało na mównicę i podniosłymi słowy zaczął apoteozować ludową demokrację. Czekaliśmy tylko na tę chwilę, mając coś przygotowanego w zanadrzu. Gdy Langer doszedł do punktu kulminacyjnego, wielbiąc wszystko i wszystkich, z ław naszych podniosła się postać i wyciągając w jego kierunku rękę z broszurą, krzyknęła gromkim głosem:

— Antoś, a poznajesz tę książkę?

Langer rzucił okiem i zamarł, natomiast z sali odezwały się pytania: Co to jest?

Odpowiedź naszego kolegi wywołała burzę śmiechu i okrzyków:

— To jest broszura, napisana przed wojną przez posła Langerę, pod tytułem: „Wódz Narodu Marszałek Śmigły-Rydz” i zadedykowana własnoręcznie przez autora w następujący sposób: „Wielce czcigodnemu p. Koledze Libickiemu w dowód wspólnej pracy ideowej składa autor”.

Sala, usłyszawszy oba nazwiska, zareagowała głośnym śmiechem i oklaskami. Langer, blady jak ściana, zeszedł z trybuny. Na dziś był wykończony.

Pierwszy użytek, zrobiony z naszej podręcznej biblioteczki, wypadł dobrze. Mamy w niej także antykomunistyczną broszurę pod tytułem „Czcciele szatana”, napisaną przed wojną przez obecnego ministra spraw zagranicznych Rzymowskiego oraz szereg antysowieckich artykułów, ogłoszonych przez marszałka Kowalskiego, między innymi „Ciszej o Sowietach”, który został wydrukowany w „Epoce” i demaskował oraz potępiał czystki sowieckie, wzywając Sowiety, by nie wynosiły pod niebiosa swego

ustroju. Komunista Kowalski opublikował go w okresie schizmy, przez który wówczas przechodził.

Wszystkie poprawki do „małej konstytucji”, które zgłosiliśmy po odrzuceniu naszego projektu, nie zostały uwzględnione i ustawę tę uchwalono w brzmieniu, proponowanym przez blok. Najważniejszym z niej jest artykuł pierwszy, a mianowicie:

„Do czasu uchwalenia przez Sejm Ustawodawczy nowej konstytucji Rzplitej Polskiej, ustrój, zakres działania i wzajemny stosunek władz naczelnych Rzplitej Polskiej unormowane są przepisami niniejszej ustawy, w oparciu o podstawowe założenia konstytucji z dnia 17 marca 1921, zasady ustawodawstwa o Radach Narodowych oraz wyniki głosowania ludowego, przeprowadzonego w dniu 30 czerwca 1946”.

Według nowej ustawy, organami władzy ludowej demokracji są: Sejm Ustawodawczy, prezydent Rzplitej, Rada Państwa i rząd Rzplitej. Kadencja Sejmu będzie trwała lat pięć, a prezydent będzie wybierany na lat siedem, bezwzględną większością głosów, przy obecności dwóch trzecich ustawowej liczby posłów.

Pozory na zewnątrz stworzono jakie takie, ale w rzeczywistości organy władzy ludowej pozostaną te same: bezpieka i sowieckie NKWD.

NIESPODZIEWANE SPOTKANIE

20 luty 1947.

Spędziłem cały dzień na posiedzeniu komisji amnestyjnej, obradującej pod przewodnictwem Sokorskiego z PPR. Nie mogę powiedzieć, że czułem się swojo wśród ludzi, z którymi zetknąłem się z bliska po raz pierwszy, szczególnie jeszcze, gdy ujrzałem wśród nich pułkownika Romkowskiego z Ministerstwa Bezpieczeństwa, który występował przed komisją, jako delegat bezpieki. Patrzyliśmy na siebie z ukosa, ja dziwiąc się niezwyklej sytuacji, w jakiej mnie życie postawiło. Półtora roku temu więzień, badany przez Romkowskiego, dzisiaj razem z nim uczestnik narady sejmowej.

Już po pierwszej wymianie zdań zauważyłem, że Romkowski wszystko dyktuje i o wszystkim będzie decydował. Mówcy zwracali się właściwie do niego, a gdy cokolwiek zaproponował, natychmiast to uchwalano. Z całości debaty wynikało, że w stosunku do podziemia amnestia będzie połowiczna, gdyż, co do kar, będzie polegała głównie na zamianie kary śmierci na dożywotnie więzienie oraz na zmniejszeniu czasowych kar więzienia, zaś co do osób, to zostaną z niej wyłączeni żołnierze Żymierskiego, którzy zdezerutowali do lasów, do partyzantki.

W tym stanie sprawy zabrałem głos, domagając się pełnej amnestii, obejmującej wszystkich bez wyjątku członków podziemia i wypuszczenia na wolność wszystkich aresztowanych, bez względu na wysokość kary. Gdy Romkowski się temu sprzeciwił, otwarły się upusty wymowy i członkowie komisji jeden za drugim atakowali moje poprawki.

Sprawa wyglądała źle, więc zrzuciwszy pychę z serca, podszedłem do Romkowskiego i poprosiłem go na bok. Tam, w dłuższej rozmowie udało mi się przekonać go, że nie wystarczy, jeśli karę śmierci zamieni się na dożywotnie więzienie i jeśli takich skazanych nie uważa za możliwe zwolnić od razu, to w każdym razie należy im dać taką szansę na przyszłość. Również po pewnym wahaniu zgodził się ze mną, że wykluczenie kogokolwiek w lesie spod amnestii będzie równoznaczne z pozostawieniem tam narybku pod dalszą partyzantkę. Gdy wróciliśmy do stołu obrad komisji i Romkowski oświadczył, że zmienia stanowisko i godzi się na zamianę kary śmierci na 15 lat więzienia zamiast na dożywotnie i na nie wyłączenie kogokolwiek z podziemia spod amnestii, w poglądach członków komisji zaszła natychmiastowa zmiana. Jeden po drugim chwalili zaaprobowane przez Romkowskiego zmiany. Ba, nawet padło parę uprzejmych słów pod moim adresem.

Niestety, odrzucono moje żądanie, by zwolnić niezwłocznie wszystkich, skazanych na kary więzienia, bez względu na ich wymiar. Ponowię je jutro na plenarnym posiedzeniu, gdzie ustawę będzie referował Sokorski, a ja mam przedstawić poprawki mniejszości. Uff, to będzie na pewno gorący dzień!

MÓJ DZIEŃ W SEJMIE

21 luty 1947.

Dziś był mój wielki dzień. Nigdy dotąd nie przemawiałem na plenum, więc do sejmu przybyłem dość podniecony i zdenerwowany, ale z wewnętrzną decyzją powiedzenia wszystkiego, co należy. W kuluarach czekał już na mnie Zygmunt Załęski, który pragnął się zaznajomić z treścią mego przemówienia. Gdy mu je wyrecytowałem punkt po punkcie, pokręcił głową z powątpiewaniem: „Za ostre...”

Pierwszy zabrał głos Sokorski, który zreferował projekt ustawy, według której kary śmierci i dożywotniego więzienia zostałyby zamienione na 15 lat, kary ponad 10 lat umorzone w jednej trzeciej, kary od 5 do 10 lat darowane w połowie, kary do 5 lat umorzone w całości. Przy tej okazji Sokorski stwierdził, że w więzieniach przebywa 7.579 osób, skazanych za przestępstwa wojskowe i polityczne, zaś 13.497 pozostaje w więzieniu śledczym. Co do członków podziemia, działających na wolności względnie w lasach, to każdemu, kto się w przepisany terminie ujawni, zapewnia się całkowitą bezkarność.

Na zakończenie, Sokorski poinformował Sejm o uchwale komisji, która postanowiła napiętnować zgłoszone przez posła Korbońskiego poprawki, jako demagogiczne. Sala, z wyjątkiem posłów z PSL, odpowiedziała na to burzliwymi oklaskami.

Gdy Kowalski wywołał moje nazwisko i znalazłem się na oświetlonej reflektorem trybunie, mogłem mimo podniecenia zauważyć, że sala zamilkła i czeka z pewnym zacięciem na mój występ. Moje drugie ja, kontrolujące pilnie każdy krok pierwszego, powiedziało mi teraz, że sytuacja jest o tyle dramatyczna, że na trybunie stanął ostatni polityczny kierownik wojennego podziemia, by walczyć o wolność i prawa byłych jego członków. Obrzuciłem pole bitwy uważnym spojrzeniem. Przede mną majaczyło morze białych punktów, wśród których w przednich rzędach szereg znajomych twarzy. Na lewo, nade mną, galeria pełna dziennikarzy, z oczyma skierowanymi na trybunę. Nie szukałem wśród nich jak zwykle Zosi. Prosiłem ją, by nie przychodziła na dzisiejsze posiedzenie. Przewidy-

wałem, że będzie ciężkie i chciałem jej zaoszczędzić przykrości. Na prawo, w górze, majaczyła pełna twarz Lebie-diewa, który przyglądał mi się uważnie, wymieniając jakieś uwagi z pochylonym ku niemu uniżenie urzędnikiem z so-wieckiej ambasady. W prostej linii pod nim świeciła w elektrycznym blasku łysina Cyrankiewicza, który awan-sowawszy na premiera, zajął na ławach ministrów miejsce Osóbki.

Rozpocząłem od stwierdzenia, że w dniu wczorajszym byłem obecny przy otwarciu posiedzenia komisji amnestyjnej i opuściłem miejsce jej obrad już po jego zamknięciu, zatem mogę z całą pewnością stwierdzić, że żadna taka uchwała, o jakiej mówił poseł Sokorski, nie zapadła i wy-rażam ubolewanie z tego powodu, iż Sejm został poinformowany w sposób, niezgodny z rzeczywistością. Przerwały mi pierwsze okrzyki, po których przeszedłem już do właści-wego tematu:

— Debaterujemy tutaj nad tym, jak zlikwidować stare podziemie, jak przerwać bratobójcze walki i przywrócić krajowi spokój. Ale czy zdajecie sobie sprawę z tego, że wy, którzy tak rzekomo dbacie o zlikwidowanie dawnej konspiracji, jesteście równocześnie twórcami nowego, da-leko więcej liczniejszego i może jeszcze niebezpieczniejszego podziemia? Na to nowe podziemie składają się te setki tysięcy ludzi, które skreślono z list wyborczych pod obel-żywym pretekstem współpracy z niemieckim okupantem, wtedy kiedy ci ludzie, tak jak cały naród, walczyli z nim przez cztery lata wojny na śmierć i życie. Do tego pod-ziemia należą także te tysiące, które bezprawnie areszto-wano, które przeszły przez więzienia i badania i ci wszyscy, których się nęka każdego dnia i prześladowe...

Przerwała mi burza wściekłych wrzasków. Postanowi-łem je przeczekać, więc milcząc, wpatrywałem się w roz-ognione twarze i rozwarte do krzyku usta. Słyszałem do-okola: „Prowokator!... Precz!... Odebrać mu głos!...” Gdy sala się nieco uspokoiła, podjąłem przerwany wątek:

— Źródło konspiracji leży w nastrojach, które stwo-rzyło niezadowolenie szerokich mas ludności z warunków politycznych, jakie się w Polsce wytworzyły. Konieczne jest więc i leży w granicach możliwości rządu stworzenie takich warunków politycznych w Polsce, które odmieniają

klimat na niesprzyjający konspiracji. Warunki te, to przywrócenie w Polsce prawdziwej wolności i poszanowania praw obywatelskich, godności człowieka, jego życia, zdrowia, normalizacja stosunków politycznych i oparcie się na zaufaniu i wyborze, dokonanym przez obywateli, wreszcie stosowanie w praktyce, na co dzień zasad demokracji, nie koniecznie integralnej, zachodniej, wschodniej czy ludowej, ale takiej zwykłej, po prostu demokracji demokratycznej. Niestety, rząd, który ustąpił, nie poszedł po tej drodze, zaś to co się dokonało 19 stycznia br., nie spowodowało polepszenia warunków...

Pochwaliłem zmianę stosunku do AK:

— Zamiast „bandyci z AK” z początku 1945-go, mówi się dzisiaj słusznie bohaterscy żołnierze AK...

Skrytykowałem oddanie wykonania poprzedniej ustawy amnestyjnej z 2 sierpnia 1945 roku tylko w ręce organów bezpieczeństwa, z wyłączeniem sądów i prokuratury i dodałem:

— Zdarza się, że za samo posiadanie ukrytej broni orzeka się karę do 10 lat więzienia...

Ocenilem pozytywnie akt łaski w stosunku do Rzepeckiego i towarzyszy, jednak dodałem:

— Ale jak wytłumaczyć jego podwładnym w więzieniu fakt, że Rzepecki wyszedł na wolność, a oni mają siedzieć?

Zażądałem absolutnej amnestii, aby wszyscy zostali wypuszczeni z więzień i by wszyscy mogli się ujawnić, a także kontroli wykonania amnestii przez czynnik sędziowski i komisję specjalną, wyłonioną przez Sejm, z możliwością odwołania się od decyzji odmownej. Podniosłem także, że należy podjąć kroki, by ci członkowie podziemia, którzy znaleźli się w więzieniach poza terenem Polski, mogli też odzyskać wolność. Przestrzegłem rząd przed rozbijaniem legalnej opozycji, jaką jest PSL:

— Zainteresowanie kraju Sejmem zeszłoby do zera, gdyby na każde przedłożenie rządowe rozlegało się zawsze „trzy razy tak”.

Z ironią stwierdziłem, że:

— Zlikwidowanie podziemia przysporzy naszym przeciwnikom kłopotu, bo z czym wówczas będą wiązać PSL? U kogo będzie się wówczas znajdowało legitymacje PSL?

Wreszcie, zakończyłem następującymi słowy:

— Nie można odgórnie rządzić takim narodem, który w okresie strasznej okupacji wzniósł się na szczyty bohaterstwa, który nie wydał Quislinga, pierwszy rozpoczął walkę i dotrwał do jej końca, ani przez chwilę jej nie zaprzestając.

— Będziemy głosowali za całością ustawy, dlatego że szczerze i gorąco pragniemy normalizacji stosunków, pragniemy, by w tym umęczonym kraju wreszcie zapanował spokój.

Przemówienia dokończyłem z dużym trudem. Począwszy od pierwszego ustępu, hałas i okrzyki zrywały się co chwila i musiałem dobrze natężyć głos przy mikrofonie, by salę przekrzyczeć. Gdy skończyłem i schodziłem z trybuny, wybuchła prawdziwa burza, w której ginęły oklaski z ław PSL. Uściskawszy po drodze wyciągniętą rękę Mikołajczyka, gratulującego przemówienia, wyszedłem na korytarz. We drzwiach dobiegł mnie już głos Zambrowskiego, piętnujący „niebывалą prowokację, jakiej sejm stał się świadkiem...”

W domu czekała dygocąca ze zdenerwowania Zosia. Siedziała cały czas przy radio i miała dla mnie nowiny:

— Słyszałam całe przemówienie Sokorskiego. Ale gdy Kowalski wymienił twoje nazwisko, przerwano transmisję z posiedzenia Sejmu i nadano muzykę. Dopiero, jak zaczął mówić Zambrowski, włączono Sejm ponownie i z tego, co on mówił, mogłam się zorientować, żeś ich doprowadził do szafu...

CENZURA DWOI SIĘ I TROI

22 luty 1947.

Wszystkie nasze poprawki do ustawy amnestyjnej zostały przez Sejm odrzucone i przeszła w brzmieniu, proponowanym przez Sokorskiego. Zgodnie z moją zapowiedzią, głosowaliśmy za ustawą.

Stoczyliśmy ponownie walkę o cenzurowanie przemówień poselskich, gdyż druga, krótka mowa Żuławskiego, wygłoszona 18-go dała do tego nowy powód. Mimo że Kowalski scenzurował ją bardzo skrupulatnie, usuwając

cały szereg ustępów, Urząd Kontroli Prasy skonfiskował ją w całości, nie pozwalając nawet na przedruk sejmowego stenogramu.

Jeśli chodzi o moją mowę, to w jednej trzeciej została także skreślona ze stenogramu, tak by ze skonfiskowanej części nie pozostał żaden ślad. O tyle udało im się osiągnąć ten cel, że tę część mogę tylko odtworzyć z pamięci, a więc, naturalnie, nie wszystko. Jestem jednak pewien, że całość mowy będzie przechowywana w jednym miejscu. W bezpieczeństwie.

„ŻOŁNIERZ KRÓLOWEJ MADAGASKARU”

23 luty 1947.

Dla oderwania się od polityki, wybraliśmy się z Zosią do Teatru Muzycznego Wojska Polskiego, przy Królewskiej 13, w dawnym IPS-ie, na „Żołnierza Królowej Madagaskaru”. Zналиśmy tę sztukę sprzed wojny i pamiętaliśmy, jak świetny był Maszyński w roli Mazurkiewicza. Nie chcieliśmy sobie psuć utrwalonego w pamięci wrażenia, ale pociągnęły nas entuzjastyczne opinie o przedstawieniu, jakie krążyły po mieście. Cała Warszawa mówiła o nieznanym wierszu Artura Bartelsa, odkrytym przez Tuwima, który włączony w tekst sztuki, budzi na widowni entuzjastyczne oklaski, mieszane ze łzami. Prasa wielbiła Tuwima za nową i oryginalną inscenizację tej komedii, mówiąc, że Tuwim ubrał ją w nowy kostium — prawdziwej miłości do Warszawy, która jest właściwym bohaterem tej sztuki.

Poszliśmy i nie żałowaliśmy tego. Ludwik Sempoliński w roli Mazurkiewicza nie był gorszy od Maszyńskiego, a Mira Zimińska i Tadeusz Olsza przeszli samych siebie. Gwoździem przedstawienia był jednak wiersz Bartelsa, w opracowaniu muzycznym Sygietyńskiego. Gdy Zimińska wysunęła się ku rampie i rozległy się pierwsze dźwięki i słowa, musiałem, tak jak wszyscy inni, sięgnąć po chusteczkę do kieszeni. Z piosenki (i komentarza do niej) wynikało, że w czasie Powstania 1831 roku doszły do Lwowa pogłoski, że Warszawa została doszczętnie spalona. Bartels wybrał się do Warszawy i stwierdził z radością, jak mówi powtarzający się refren piosenki, że:

*„Mówili: nie ma Warszawy,
A tu jest Warszawa!”*

W przerwie znajomy dziennikarz opowiedział nam o zajściu między Tuwimem a Spychalskim, którego władzy teatr podlegał, o pensję Zimińskiej. Spychalski zarzucił Tuwimowi, że płaci Zimińskiej więcej, niż on swoim generałom. Na to Tuwim:

- A ilu ma pan generałów?
- Ponad stu — odpowiedział zdziwiony Spychalski.
- A Zimińska jest tylko jedna — krótko uciął Tuwim.

OGIEŃ NIE ŻYJE!

27 luty 1947.

Ogień zginął. Został otoczony przez wojska KBW w samotnym domu na Turbaczu, w Gorcach, w którym odbywał odprawę ze swoimi dowódcami terenowymi. Propozycję poddania odrzucił z pogardą. W walce, jaka się wywiązała, ginęli po kolei jego ludzie, jeden za drugim. Gdy wszyscy sześciu zostali zabici i kabowcy wdarli się do środka, Ogień strzelił sobie w skroń. Przewieziony do szpitala w Nowym Targu, zmarł tam 22 lutego br.

Tak się skończył góralski epos. Już nie żyje tatrzański Janosik dwudziestego wieku, góral Józef Kuraś z Waksmundu, którego sława na Podhalu zaćmiła mit poprzednika i żyć będzie przez wiele lat, przekazywana z pokolenia na pokolenie. Mówić o nim będą juhasi wieczorami na halach, przy buzującym ognisku. Szeptać o nim będą babki wnukom w góralskich chałupach, w czasie długich, zimowych wieczorów, gdy belki trzaskają od mrozu, a po ścianach, oświetlonych migotliwym światłem naftowego kaganka, tańczą cienie tych, których się wspomina. Marzyć będą o jego sławie rośli chłopcy góralscy, którym Podhale wyda się za ciasne. I jeszcze wiele lat będzie, jak zmora, dusił we śnie piersi ubeków.

A jeśli bezpiecznika, pędzącego nocą autem po górskiej szosie, ściśnie nieoczekiwane strach za gardło i przerażenie podniesie mu włosy na głowie, niech wie, że to cień

Ognia, wędrujący po szczytach i dolinach, musnął go w przelocie.

WARSZAWSKIE PAMIĄTKI

28 luty 1947.

Pogotowie Ratunkowe narzeka, że ciągle ma do czynienia z ranami lub wypadkami śmierci od zabłąkanych kul. Rozumiem to doskonale, bo moda na nocne strzelanie trwa nadal i to nie tylko w stolicy, ale i w podmiejskich osiedlach. Ciągłe się słyszy świsty zabłąkanych kul i nawet człowiek tak się do tego przyzwyczaił, że uważa to za normalne zjawisko. Odpowiedzialni za to są głównie nasi goście ze wschodu, dla których strzelane wiwaty są częścią składową każdej popijawy, no i te nowe, „ludowe” elementy, które ich naśladują.

Towarzyszą temu inne wybuchy, związane z odbudową Warszawy. Ruiny Poczty Głównej na Placu Napoleona i cementowe zbiorniki wody, wybudowane przez Niemców tu i ówdzie, trzeba wysadzać i stąd dodatkowe hałasy, strachy i wypadanie szyb.

Ale w Bogu nadzieja, że z czasem Warszawa powróci do normalnego stanu. Już w lipcu zeszłego roku otwarto odbudowany Most Poniatowskiego. Co dzień odnajdują się te czy inne cenne pamiątki, na przykład szablę z pomnika Kilińskiego odnaleziono w piekarni na Powązkach, zaś księża wydobyli spod gruzów katedry św. Jana słynną monstrancję, rzeźbioną przez króla Zygmunta.

Taką żyjącą pamiątką jest również wyniosła postać prezydenta Stanisława Wojciechowskiego, którego od czasu do czasu widuję, idącego ulicą. Ma obecnie 78 lat. Przeżył całą okupację w Warszawie, w tym Powstanie i obóz w Pruszkowie. Jedyńy syn, Edmund, został zamordowany w Oświęcimiu.

Że wszystko powoli mija i nowe się rodzi, można to stwierdzić także na ulicy Szarej, która wraz z Książęcą i Czerniakowską jest jeszcze pustynią w porównaniu z tętniącym życiem Nowym Światem. Sąsiadują tam na murze na wpół zburzonego domu dwie tabliczki: „Trumny gotowe” i „Akuszerka przyjmuje”.

W takim domu można przeżyć całe życie, nie wychylając nosa za próg. Wszystko jest na miejscu.

GUBERNATOR FISCHER CONTRA GEN. BACH

3 marca 1947.

Dziś skazano w Warszawie hitlerowskiego gubernatora Warszawy, Ludwika Fischera oraz hitlerowskich dygnitarzy: Meisingera i Daumego na karę śmierci. Leist, niemiecki prezydent miasta Warszawy, wykił się tylko kilkoma latami więzienia, gdyż, zgodnie z rzeczywistością, sąd uznał, że starał się on o tyle nie tępić Polaków, o ile mu na to jego urząd pozwalał.

Proces rozpoczął się już 17 grudnia ubiegłego roku i, jako były Kierownik Walki Cywilnej, zostałem wezwany na świadka na drugi dzień rozprawy. Miałem zeznawać o rządach Fischera w Warszawie w ogólności, ale specjalnie cieszyłem się na myśl, jak będę mówił, patrząc mu wprost w oczy, o moim udziale w organizowaniu na niego zamachu, który doszedł do skutku w lasach pod Wawrem w dniu 8 stycznia 1944. Paru Niemców, wracających z polowania, zostało zabitych i rannych, ale Fischer wyszedł cało. Były nawet pogłoski, że w ostatniej chwili został zatrzymany w Warszawie przez nagłe zajęcie i na polowanie nie pojechał.

Gdy wszedłem na salę, pierwsze osoby, jakie spotkałem, byli to dwa sędziowie poznańscy, Janik i Suchowiak, moi dobrzy znajomi z poznańskich czasów, którzy w procesie służyli za tłumaczy. Spotkanie było bardzo przyjemne i wspominkom nie było końca.

Z kolei skierowałem swój wzrok na ławę oskarżonych. Jak to miejsce ogromnie ludzi zmienia. Miałem w oczach Fischera jako butnego, tęgiego młodego człowieka w mundurze SS, rozglądającego się dumnie po ulicach Warszawy z pędzącego, otwartego auta, otoczonego samochodami ochrony, najeżonymi lufami pistoletów maszynowych. Teraz siedział przede mną mężczyzna w średnim wieku, z obwisłymi policzkami, przygarbiony i opuszczony. Obok niego Leist był uosobieniem zrezygnowanej rozpacz. W rysach trzeciego dojrzałem coś znajomego. Gdzieś go

widziałem bardzo z bliska i w nieprzyjemnych okolicznościach... Pamięć pracowała zawzięcie, ale bez rezultatu. Dopomógł mi dopiero jeden z obrońców z urzędu, mój kolega, który przyniósł mi w przerwie jego fotografię w mundurze, znajdującą się w aktach sądowych. Poznałem go teraz natychmiast. Był to olbrzymi oficer SS, dowodzący łapanką wrześniową w roku 1940, która ogarnęła również mnie. Oglądałem go przez dłuższy czas, przechadzającego się ze szpicrutą w ręku środkiem ujeżdżalni w koszarach szwoleżerów, w przejściu, utworzonym w tłumie dwóch tysięcy ludzi, leżących na trocinach, którzy tego ranka zostali porwani z domów i ulic Warszawy. Dziś, w cywilnym i skromnym ubraniu był cieniem siebie dawnego. Nazywał się Meisinger.

Syciłem spojrzenie widokiem pobitych wrogów, rozmyślając nad zmiennością losów ludzkich. Ale na salę wszedł sąd i jako świadek, zgodnie z procedurą, musiałem się usunąć do poczekalni. Spędziłem w niej nudnie cały dzień, czekając, aż zostaną wezwany na salę rozpraw. Powtórzyła się ze mną historia norymberska. Tak jak w tym pierwszym procesie, również i obecnie zrezygnowano ze mnie jako świadka. Ktoś z powołanych zorientował się w ostatniej chwili, że nie można dopuścić, by jeden z przywódców „londyńskiego podziemia” zeznawał o jego walce z Fiszerem and Co., skoro się twierdzi, że to podziemie „stało całą wojnę z bronią u nogi”.

Wybrałem się jeszcze raz na ten proces już w charakterze widza, gdy z więzienia w Norymberdze sprowadzono do Warszawy generała von dem Bacha, by go przesłuchać jako świadka. Byłem ciekaw tego człowieka, który dowodził siłami niemieckimi, walczącymi z Powstaniem Warszawskim. Okazało się, że warto było przyjść.

Gdy przewodniczący nakazał wprowadzenie świadka Bacha, otworzyły się drzwi i w otoczeniu eskorty wszedł na salę sprężystym, żołnierskim krokiem bardzo wysoki mężczyzna w zielonej, tyrolskiej kurtce i ciepłych, filcowych kapcach na nogach. Złożył lekki ukłon w kierunku stołu sędziowskiego i na pytania zaczął składać personalia. Stwierdził między innymi, że urodził się 1 marca 1899 w Lomberg, na Pomorzu. Na tematy, związane z Powstaniem, oświadczył, co następuje:

— Po podpisaniu aktu kapitulacyjnego, zostałem natchmianem przeniesiony do Budapesztu... Gdy w kwaterze głównej osobiście przedkładałem akt kapitulacji do zatwierdzenia, Himmler oświadczył: „Trzeba obecnie zrealizować rozkaz Führera, aby Warszawę zrównać z ziemią”.

Był szefem ośrodka zwalczania partyzantów... Kazał zwołać sąd wojenny, który skazał na rozstrzelanie generała Kamińskiego za mordy, popełniane na ludności... Brygada Dirlewangera składała się z kryminalistów...

Po południu doszło do gwałtownej utarczki z Fischerem. Bach z wściekłością z głosem wołał:

— Ja nie mieszkalem w pałacach, ale byłem na froncie! Fischer nie mniej głośno odwrzasnął:

— Teraz wiem i rozumiem, dlaczego Niemcy przegrały wojnę!

Na tym się nie skończyło, bo gdy Bach oświadczył, że nie miał czasu na konferencje z Fischerem, gdyż walczył, Fischer wybuchnął:

— Walkę tę prowadził pan w Sochaczewie, gdy u mnie zjadał sześć kuropatw na raz!

Na to Bach:

— Nie jest to taktowne w obecnej sytuacji wypominać mi owe kuropatwy...

W dalszym ciągu Fischer zeznał, że Bach dostał odznaczenie za stłumienie Powstania. Bach nie pozostał dłużny:

— Widzę, że pańskie Gestapo pracowało pilnie, lecz niedokładnie.

Muszę przyznać, że była to nie lada satysfakcja patrzeć na tych hitlerowców, klócących się przed polskim sądem i publicznością i słuchać ich wzajemnych oskarżeń i złośliwości. Nie było w tym nic z godności, jaką należało zachować. Ale tym się Niemcy różnią od Polaków, że jej nie mają w takiej chwili.

WARSZAWSKIE MELODIE

6 marca 1947.

Nie mogliśmy pójść w ubiegłą niedzielę na wieczór, poświęcony 30-leciu pracy muzycznej Elektorowicza i ogrom-

nie tego żalowaliśmy. Zosia i ja bardzo lubimy popularnego piosenkarza i marzyliśmy o tym, by go zobaczyć i posłuchać. Cała impreza odbyła się pod znakiem piosenek, których bohaterem była jego Warszawa. Mogliśmy sobie łatwo wyobrazić, jak to wyglądało, gdyż jakiś czas temu natknęliśmy się na Elektrowicza, grającego w podrzędnej knajpce na Wspólnej i widząc starych znajomych i wielbicieli, urządził dla nas tylko wspaniały koncert.

Grał i podśpiewywał bez przerwy jakieś dwie godziny, chwytając od czasu do czasu prawą ręką za kieliszek, wtedy kiedy palce lewej biegały nadal po klawiszach. Było w tej grze coś z koncertu Jankiela. Zaczął od piosenek legionowych, ale wnet przeszedł do melodii ze „złotego wieku” warszawskich teatrzyków. Odżyły wspomnienia Qui-Pro-Quo, „Morskiego Oka”, przypomniawszy się Zuli Pogorzelskiej, Ordonównie, Kalinównie, Modzelewskiej, a z aktorów Jarossy, Lopek Krukowski, Lawiński, Tom i inni. Grał, jak w transie, przechodząc od jednej piosenki do drugiej, a my, wtórując mu w pamięci, słuchaliśmy z rozkoszą, rozanieleni i rozrzewnieni. Przewinęło się w tych piosenkach całe życie Warszawy z ubiegłego dwudziestolecia. Odżyło w melodii uroczne, wesołe, frywolne miasto, Warszawa „Europy” „Bristolu”, „Adrii” i „Café Clubu”. Warszawa podwórkowych orkiestr i śpiewaków, Warszawa balów i dancigów, miasto rozbawione, tańczące i zakochane w dowcipie i lekkiej piosence.

W pewnej chwili przerwał, westchnął i popłynęły jedna za drugą piosenki powstańcze, wiązane fragmentami „Czerwonych Maków na Monte Cassino”. Przypomniawszy, że Warszawa nie tylko umiała się bawić i swawolić, ale że jest to miasto buntu, walki, krwi, śmierci i chwały, zbratane z tymi, co nie doszli „z ziemi włoskiej do polskiej” i zostali na zawsze na stokach krwawego wzgórza. Grał teraz, sięgając już nie po kieliszek, a do oczu, by palcem strącić natrętą łzę, która gwałtem pchała na policzek.

Zakończył „Piosenką o Warszawie”, wstał, powiedział „już późno”, uściśnął nam ręce i wyszedł w ciemną ulicę i ruiny, on, ostatni piosenkarz tej Warszawy, której grobem było Powstanie 1944 roku.

W tej samej okolicy przeżyliśmy także inny wieczór, w którym również królowała piosenka, tylko nieco odmiennego typu. Ponieważ mieszkamy w Leśnej Podkowie, a cały dzień spędzamy w Warszawie, wobec tego odżywiamy się po barach i restauracyjkach, które, goniąc za różnaitością, ciągle zmieniamy. Nie jest to ani tanio, ani zdrowo, ale co na to poradzić. Wpadliśmy któregoś wieczoru, także na Wspólnej, do zatłoczonej restauracyjki, wybudowanej na parterze ruin i zajęliśmy prawie że ostatni stolik. Mała salka była pełna młodych mężczyzn i kobiet, a sądząc po hałasie, wszyscy mieli niezłe w czubie. Przy jednym stoliku zobaczyłem zwykły widok, to jest mundury i nos mi powiedział, że to jest bezpieka. Gdy zabraliśmy się do kolacji z zamiarem szybkiego załatwienia się z jedzeniem i wyjścia, wstała od najbardziej rozbawionego i głośnego stolika młoda dziewczyna i zasiadłszy do opuszczonego przez grajka fortepianu, zaczęła grać, zresztą dość biegle, różne popularne piosenki, zaś sala głośnie jej wtórowała. W pewnej chwili przeszła na popularną melodię wojskową i doszedłszy do refrenu, zaśpiewała pełną pierśią:

*Lanca do boju, szabla w dłoń,
Bolszewika goń, goń, goń!!!*

Sala wybuchła śmiechem i oklaskami. Przy następnej zwrotce już wszyscy z zapalem powtórzyli refren i zanosiło się na to, że piosenka będzie śpiewana bez końca.

Nie brał w tym tylko udziału stolik z mundurami. Pochylili głowy ku sobie i coś tam szeptali z poważnymi minami. Wreszcie jeden wstał, podszedł do dziewczyny i szepnął jej coś do ucha. Chłopcy od jej stolika nasrożyli się. Ale dziewczyna uśmiechnęła się wdzięcznie, kiwnęła głową i wróciła do przerwanej piosenki. Doszedłszy znów do refrenu, zatrzymała się i zwróciwszy do sali roziskrzone oczy i rozrurruienioną twarz, zapowiedziała:

— A teraz zaśpiewamy z pewną zmianą.

Uderzyła w klawisze i wybuchnęła na cały głos:

*Lanca do boju, szabla w dłoń,
tego siego goń, goń goń!!!*

Teraz już śpiewał nawet stolik z mundurami.
Wyszliśmy znacznie pocieszeni. Nie zginął jeszcze
duch w narodzie!

ZATOPIONA DYWIZJA

7 marca 1947.

Jeszcze w początkach grudnia ubiegłego roku odkryto na dnie Zalewu Wiślanego, w odległości 9 kilometrów od Fromborga, między Łysą Górą a Rybackim Kątem, niemiecką dywizję pancerną, która starała się w styczniu 1945 uciec przed atakującymi Rosjanami po lodzie. Łód się jednak załamał i dywizja znalazła się na dnie płytkiego zresztą w tym miejscu zalewu. Ci, co się zajmują obecnie wydobywaniem samochodów, mówią o widoku, który swą grozą przechodzi wszystko słyszane i widziane. Około 1.200 czołgów, samochodów pancernych, osobowych i ciężarówek stoi w szyku marszowym na głębokości 5-8 metrów, z szoferami za kierownicą, z żołnierzami w wieżyczkach pancernych przy działach, gotowych do strzału, i kierowcami w budkach zamkniętych ciężarówek. Dywizja zatonała w takim porządku, w jakim maszerowała i ten ład oraz gotowość bojowa trupów robi niesamowite wrażenie. Można sobie wyobrazić scenę tonięcia. Potężny trzask pękającego lodu, a po nim lawina dalszych trzasków. Kilka tysięcy ludzi, zamkniętych w wozach, osuwa się błyskawicznie, może nawet bez jednego okrzyku, w lodowate odmęty i po chwili nad ich grobem unoszą się tylko wiry, bąble powietrza i plamy oliwy.

Znam legendę o zaczarowanych rycerzach, śpiących we wnętrzu Tatr, którzy czekają na sygnał, by ruszyć do boju. W legendę tę można uwierzyć, gdy się pojedzie na Zalew Wiślany u brzegów Bałtyku.

WIZYTA Z LASU

9 marca 1947.

Kilka dni po moim występie w Sejmie, wszedł do mego pokoju w siedzibie PSL młody, nieznany mi człowiek i po-

prosił o rozmowę w cztery oczy. Takie prośby zdarzają się dość często, więc nie byłem tym zbyt zaskoczony. Ponieważ jednak pokój był pełen ludzi, no i podsłuch w ścianie, więc zaproponowałem spacer, wyszedłem z gościem na ulicę. Było jednak coś znajomego w rysach twarzy przybysza, idąc więc obok niego Alejami i czekając na wyjaśnienie celu wizyty, pracowałem mocno głową, by sobie przypomnieć, gdzie ja już tę twarz widziałem.

Gdy oddaliliśmy się od naszego gmachu, młody człowiek odchrząknął i przysunąwszy się bliżej do mnie, wyrzekł półgłosem:

— Jestem z lasu. Wysłał mnie mój dowódca, który czytał pana przemówienie sejmowe w „Gazecie Ludowej”, z rozkazem, bym dotarł do pana i dowiedział się, czy pan je wygłosił „na lipę”, bo pan tak musiał mówić, czy też pan na serio jest za ujawnieniem się podziemia.

Przybysz mówił dużo i obszernie na ten temat, a ja, już teraz mocno zaskoczony, rozmyślałem nad dziwną misją i wysłańcem. Rzuciło się w oczy dość prymitywne jej wykonanie. Ot, przyszedł tak wprost do mnie, do lokalu stronnictwa, nie licząc się z tym, że go nie znam i nie obawiając się ludzi, których tam może spotkać. Tak się tych spraw nie załatwia. Ogarnęła mnie pewna obawa i postanowiłem nabrać wody w usta. Kroczyłem więc obok przybysza, zadając tylko takie pytania, które pozwalały na lepsze zorientowanie, co się naprawdę w jego misji kryje, natomiast co do sprawy samej nie puszczałem pary z ust. A on gadał i gadał. O ciężkim życiu w lesie, o głodzie i chłodzie z jednej strony, z drugiej o chęci pozostania w lesie, jeśli tylko dowiedzą się, że przemówienie było powiedziane „na lipę”. Mają do mnie zaufanie, jako do ostatniego Delegata Rządu i stąd chcą wiedzieć na pewno...

W czasie tej gadaniny błyskawica olśniła mą pamięć i wydobyła z archiwum widzianych rzeczy i osób twarz nieznajomego, ukazując ją w prawdziwym świetle. Panując nad głosem, by nie okazać najmniejszego wzruszenia, przerwałem mu:

— Już dobrze zrozumiałem, o co panu chodzi. Niech pan wraca do swego dowódcy i powie mu, że przemówienie było powiedziane najzupełniej na serio. Jestem zdecyd-

dowanym przeciwnikiem dalszego tkwienia w lasach. Nie ma to w tej chwili żadnego sensu i celu i trzeba wracać do normalnego życia.

I teraz ja z kolei odwzajemniłem mu się dłuższym wywodem na powyższy temat. „Wysłannik z lasu” wyglądał na mocno rozczarowanego, już więcej nie marudził, szybko się pożegnał i odszedł. Ja zawróciłem w stronę naszego budynku, pękając na wewnątrz od śmiechu z nieudanej prowokacji i głupiej miny ubeka. Bowiem w rzekomym partyzancie rozpoznałem funkcjonariusza bezpieczeństwa, który dwa lata temu blisko przesunął się kilkakrotnie przez moją celę, a twarzy, które wówczas widziałem, nie zapomnę do końca życia.

Po nim przyszli inni. Miałem się na baczności i ze śmiertelną powagą zapewniałem każdego, że jestem zawziętym przeciwnikiem dalszego podziemia, że trzeba się ujawnić i dużo w tym sensie. Reakcja ubeków była zawsze jednakowa: zawód i starannie hamowany gniew.

Ale spotkanie, z którego tylko co wróciłem, było zupełnie innego gatunku. Najpierw odwiedziła mnie osoba dobrze mi znana z dawnego podziemia, która powiedziała mi, o co chodzi. Następnego dnia pojechałem z nią na Żoliborz i tam, w zamkniętym pokoju przegadałem parę godzin z prawdziwym wysłannikiem oddziału leśnego. Wpatrywałem się w młodego mężczyznę, jak urzeczony. Człowiek z dawnego mojego świata, z którym niedawno się rozstałem. Bliski mi i zarazem już daleki. Przystojna, chociaż wymizerowana i niewyspana twarz, śmiałe, palące spojrzenie, nerwowe ruchy. Cel rozmowy: mam doradzić, czy trwać w lesie, czy porzucić partyzantkę. Wyciągnąłem go, tak jak przed laty Jędrusia, na opowiadanie o życiu w lesie i walkach. Jakżeż się różniło od tego, com usłyszał dawniej od Jędrusia. Zamiast wiary w zwycięstwo, które tocząca się wojna w końcu przyniesie, topniejąca z każdym miesiącem nadzieja na konflikt, który wprowadzie na pewno wybuchnie, ale nie wiadomo kiedy się zacznie. Zamiast zapалу do walki i nieustannego nękania przeciwnika, przygnębiające wymykanie się z obław i nocne wędrówki po leśnych wertepach. Zamiast otwartych drzwi do każdej chaty, gościny i noclegu, zamknięte wrota i prośba, by iść dalej, gdyż będą aresztowania i represje. Za-

miast zrzutów broni i zaopatrzenia, stare, wystrzelane gruchoty i skąpa amunicja, liczona na wagę złota. A nad wszystkim góruje głód, brak snu i okropne zmęczenie, którego nie można się pozbyć.

Gdy skończył to zaprawione krwią, potem i łzami opowiadanie, wlepił we mnie pytające oczy i czekał na słowo nadziei. Skręcając się w środku od uczucia bezsilnej rozpacz, powtórzyłem mu odpowiedź... daną ubekowi. Bo naprawdę wierzę, że, niestety, nie ma innego wyjścia.

ROZLUCKI REDIVIVUS?

1 kwietnia 1947.

Wróciłem z pogrzebu generała broni Karola Świerczewskiego, drugiego wiceministra Obrony Narodowej, byłego dowódcy II Armii, posła na Sejm, który zginął, jak mówi komunikat Ministerstwa Obrony Narodowej, w dniu 28 marca, o godzinie 10-ej rano, od kul ukraińskich faszystów z UPA, na drodze Sanok-Baligród. Kolumna aut, jadących szosą wśród zalesionych wzgórz, dostała się w zasadzkę band Stacha i Hrynia. Świerczewski rzekomo wyskoczył z auta i objął dowodzenie walką, która trwała dwie godziny. Stojąc na środku szosy, został zabity salwą karabinu maszynowego.

Pogrzeb odbył się z wielką pompą. Zwłoki wystawiono w Centralnym Domu Żołnierza. Straż honorową pełnili dąbrowszczacy, między innymi wiceminister przemysłu płk. Szyr, o którego zdolnościach fachowych słyszałem z obiektywnych ust bardzo pochlebne opinie, i płk. Korczyński z AL'u. O pierwszej przyjechał Bierut i dziekan generalny WP, ksiądz Warchałowski, rozpoczął egzekwie. Trumnę wynieśli i złożyli na lawecie: Żymierski, Spychalski, Korczyc, Jaroszewicz, Gomułka, Minc, Zawadzki i Półpawski. W czasie tego orkiestra odegrała marsza żałobnego Chopina, a kompania honorowa sprezentowała broń.

Na czele długiego pochodu kroczył generał Paszkiewicz, za nim poczty sztandarowe, baon piechoty, szwadron przyboczny, setki wieńców oraz liczne delegacje, niosące czerwone chorągwie, które nadały kolor całemu pogrzebowi. Dalej kroczyli księża, niesiono orderzy na ośmiu podusz-

kach, wreszcie trumna, a za nią w głębokiej żałobie żona i córka zmarłego. Pochód dygnitarzy rozpoczynał Bierut, za którym widniały mundury delegacji armii sowieckiej, francuskiej, czeskiej, jugosłowiańskiej i republikańskiej hiszpańskiej.

Z kolei kroczył cały Sejm, a wśród posłów Mikołajczyk, ja i inni koledzy z PSL. Idąc, zastanawiałem się nad nieboszczykiem i pogłoskami, jakie krążyły w związku z jego śmiercią. Niewątpliwie był z pochodzenia Polakiem i prawdopodobnie urodzonym w Warszawie. Dowodził tego w pewnym stopniu gest, szeroko opisywany w czasopiśmie wojskowych. Gdy II Armia w walce z Niemcami dotarła do brzegów Wisły i Świerczewski ze swym sztabem stanął nad jej wodami, w minutę ściągnął ze siebie mundur i skoczył w jej nurty. Musiało to być chyba daleko od Warszawy, u schyłku lata 1944 roku. Gdy wyszedł, ociekając wodą, zawołał radośnie do sztabu:

— Trzydzieści lat temu kąpałem się ostatni raz w tej rzece! Marzyłem, by jeszcze kiedyś móc w niej popływać.

Poprzedzała go legenda generała Waltera, słynnego dowódcy brygady międzynarodowej w domowej wojnie hiszpańskiej. Był dobrze widziany na Kremlu i rzekomo jego tylko z Polaków Stalin tykał. W Polsce został najpierw dowódcą okręgu korpusu w Poznaniu i stamtąd, obok plotki, że jest strasznym pijakiem, przyszły wieści, że się bardzo stara o żołnierzy i wyklóca z dowódcami sowieckimi o należyte dla nich zaopatrzenie. A że jego dobre stosunki ze Stalinem są znane, więc mu ustępują, wreszcie — że się polonizuje w szybkim tempie. Te ostatnie pogłoski mnożyły się coraz bardziej, jak również wiadomości, że stosunki jego z Rosjanami są coraz gorsze. W Sejmie siedział spokojnie i nie zabierał głosu. Często patrzyłem na jego niską, krępą sylwetkę i zastanawiałem się, co się w tym człowieku naprawdę kryje. Czyżby nowy Rozłucki?

Po jego śmierci buchnęła plotka, że został zabity nie przez UPA, a w zasadzce, urządzonej przez NKWD, które wietrzyło w nim już przyszłego wroga. Sprzyjał jej fakt, że napastnicy byli dobrze poinformowani o dniu i miejscu, gdzie będzie przejeżdżał Świerczewski. Podróży inspekcyjnych się nie ogłasza, a trudno przypuszczać, by robiąca

bokami i goniona z miejsca na miejsce partyzantka ukraińska miała aż tak dobry wywiad.

Krocząc wolno w żałobnym pochodzie po pustych ulicach, starałem się rozwiązać zagadkę śmierci Świerczewskiego. Nie udało mi się i do dziś dnia nie wiem, czy szedłem za trumną komunisty, generała Waltera, czy nowego Rozłuckiego.

Stolica zignorowała całkowicie żałobną uroczystość. Jej opinia o pogrzebie była krótka i lapidarna:

— Za dużo sztandarów, za mało trumien.

DWIE WYSTAWY

24 kwietnia 1947.

W Inowrocławiu zorganizowano wystawę „Kultury Hitlerowskiej”. Wśród eksponatów można oglądać: nóż do otwierania listów z kości ludzkiej, z napisem: „Echter Jude”, pantofle uplecione z włosów ludzkich, poduszkę z włosów ludzkich, popielniczki z czaszek ludzkich itp. Szkoda, że dla kompletu nie sprowadzili ze Świętego Krzyża w kieleckim tablicy, wiszącej do dziś dnia w byłym obozie jeńców sowieckich z napisem: „Ludożerstwo karane będzie rozstrzelaniem”. Wystawa byłaby pełniejsza.

Do tego czasu myślałem, że szczytem hitlerowskiej produkcji z ludzkiego surowca były abażury z tatuowanej skóry i mydło z tłuszczu żydowskiego, znalezione w specjalnej fabryczce w Gdańsku, której zdjęcia oglądałem. Z tego, co wystawiono w miłym mieście poznańskim, które parę razy odwiedzałem przed wojną, widzę, że moje wiadomości w tej dziedzinie były bardzo niekompletne.

Innego rodzaju stałą wystawę organizuje drugie, bliskie sercu memu miasto poznańskie, Września, przez którą ciągle przejeżdżałem w rodzinne, kaliskie strony. Wystawa będzie poświęcona słynnemu strajkowi szkolnemu, zorganizowanemu przez dzieci wrzesińskie w 1901 roku przeciwko nauczaniu ich religii z niemieckich książek. Hitlerowcy zniszczyli istniejące przed wojną muzeum, ale budynki szkoły, w której strajk wybuchł, jest cały i w nim mają być umieszczone te rozproszone pamiątki, jakie ocalały.

Obydwie poznańskie imprezy pozornie dotyczą każda czego innego. A przecież jest między nimi jakieś ukryte pokrewieństwo. Dla mnie przerabianie polskich dzieci na niemieckie i to przy pomocy katechizmu, to trochę jak produkcja abażurów z ludzkiej skóry.

HOLD AMERYCE

25 kwietnia 1947.

Przeczytałem parę dni temu w gazecie, poszedłem zobaczyć i okazało się prawdą. Optyk Stanisław Skalski z ulicy Kopernika 15 zbudował w swoim sklepie kapliczkę ku czci prezydenta Roosevelta. Na tle flagi amerykańskiej duża fotografia zmarłego prezydenta, a u stóp wielka gwiazda o dwunastu promieniach, oświetlona z wewnątrz. Każdy z promieni symbolizuje rok panowania Roosevelta, całość pokryta milionami drobnych kryształków. W gwieździe jest 48 otworów, przez które przebiega światło. Każdy otwór, to jeden stan amerykański. W czterech promieniach są umieszczone reflektory, które rzucają światło na kryształki. U dołu gwiazdy napis: „Wielkiemu Prezydentowi Rooseveltowi w drugą rocznicę śmierci”.

Ponieważ przedostały się już do Polski wiadomości o prawdziwym stosunku Roosevelta do naszych spraw i już widać gołym okiem złe skutki jego ustępstw wobec Rosji, zatem kapliczka ku jego czci wydała mi się na pierwszy rzut oka pomnikiem głupoty. Uspokoilem się jednak, gdy zrozumiałem prawdziwe intencje nieznanego optyka, które zdradzała iskrząca się w świetle ukrytych żarówek gwiazda. Poprzez Roosevelta chciał uczcić Amerykę, jej pomoc powojenną dla Polski i wszystkie nadzieje z nią na przyszłość związane.

A swoją drogą, jestem przekonany, że optyk Skalski tę gwiazdę odsiedzi. Ciekaw tylko jestem, czy każdy z czterech promieni będzie oznaczał jeden miesiąc czy jeden rok więzienia?

POSEŁ WYRZYKOWSKI POD PRĘGIERZEM

26 kwietnia 1947.

Zakończyła się druga sesja Sejmu, otwarta 16 kwietnia, poświęcona głównie sprawom budżetowym. Przy otwarcu asystował, jak zwykle, ambasador Lebediew, spoglądający w dół ze swej łoży baczny okiem, czy wszystko odbywa się „po planu”. Nie była ona pozbawiona weselejszych momentów, co notuję z pociechą, jako że na poważną sprawę budżetu nasza mała garstka nie ma żadnego wpływu. Więc cała korzyść, jeśli ma się odrobinę uciechy z tego powodu, że się różnym ludziom napsuje trochę krwi.

Referent komisji skarbowo-budżetowej, poseł Wyrzykowski z lubelskiego Stronnictwa Ludowego, przedwojenny sanacyjny „kadzichłop”, wniósł o uchwalenie projektu rządowego o prowizorium budżetowym na drugi kwartał bieżącego roku, powołując się na precedens z 1924 roku, kiedy Sejm uchwalił takie prowizorium, przedłożone przez Władysława Grabskiego.

W trakcie jego przemówienia z naszych ław padło pytanie:

— A jak pan wtedy głosował?

Wyrzykowski zmieszał się, ale szybko odparł:

— Głosowałem za prowizorium, tak jak większość sejmowa i klub „Piasta” z posłem Kiernikiem.

Na to głos z naszych ław:

— Ale Kiernik pozostał wierny ruchowi ludowemu, a pan poszedł do sanacji.

Wyrzykowski spłonął rumieńcem, jak panna przy ślubie i szybko, myląc się raz po raz, dokończył przemówienia. Zebrał trzęsącymi się rękoma manatki i zeszedł z mównicy.

Och, jak te typki nie lubią takich przypomnień, och, jak nie lubią!

Zrobiliśmy też awanturę o nie nadanie biegu protestom wyborczym, ale na próżno.

Następnego dnia zgłosiliśmy nagły wniosek „o wyjęcie spod kompetencji sądów wojskowych osób cywilnych, aresztowanych za przestępstwa polityczne i poddanie ich kompetencji sądów cywilnych”. Marszałek poddał pod gło-

sowanie nagłość wniosku i ogromna większość z miejsca ją odrzuciła. W ten sposób, jedna z głównych naszych bolączek będzie nadal jątrzyć.

Poza tym został stworzony nowy precedens, gdyż marszałek odmówił nie tylko rozpatrzenia, ale nawet samego odczytania naszych interpelacji w sprawie przetrzymywania w więzieniu bez procesu Stanisława Mierzwę.

Wreszcie, na zakończenie wniosliśmy na komisji budżetowej przy rozpatrywaniu budżetu Ministerstwa Bezpieczeństwa, o skreślenie symbolicznej złotówki i wezwaliśmy rząd o wniesienie projektu ustawy o przekazaniu kompetencji i funkcji Ministerstwa Bezpieczeństwa Ministerstwu Sprawiedliwości oraz Ministerstwu Administracji Publicznej. Również i te wnioski z miejsca odrzucono.

WIZYTA MINISTRA BEVINA

28 kwietnia 1947.

Wczoraj przybył do Warszawy brytyjski minister spraw zagranicznych, Bevin, i miał dłuższą rozmowę w cztery oczy (ale chyba z udziałem tłumacza) z Cyrankiewiczem. Dziś po mieście krążą pogłoski, że zaraz po wyjściu Bevina wpadł do Cyrankiewicza jego podwładny, Jakub Berman z Prezydium Rady Ministrów i zrugał swego zwierzchnika, „pana premiera”, od ostatnich za to, że ośmielił się mówić z Bevinem sam na sam, bez przywołania kontrolera z PPR. Ciężki to chleb takie premierostwo i to mimo, że Cyrankiewicz jest tajnym członkiem PPR i nawet bywa dopuszczany do czwartkowych, poufnych posiedzeń w mieszkaniu Gomułki, w Alei Szucha.

ROZKŁAD W PSL

30 kwietnia 1947.

Biją nas od zewnątrz i rozkładają od środka. Opozycja wewnątrz stronnictwa, kierowana przez Józefa Nieckę i Czesława Wycecha, domagająca się zaniechania walki i porozumienia z PPR, nie zadawalnia się już agitacją we własnych szeregach i wystąpiła publicznie, wydając nowe

pismo „Chłopi i państwo”. Ponieważ stało się to bez wiedzy NKW, który poza tym uznał to za szkodliwe dla stronnictwa, zatem uchwałą z 27 marca zostali oni z PSL wykluczeni. Z kolei trzeba było wydalić Kazimierza Banacha, Stanisława Kotera, Bronisława Warownego i Marię Szczawińską, którzy poszli jeszcze dalej w kumanii się z PPR. Muszę stwierdzić z całą otwartością, że jedną z przyczyn tego rozkładu jest utrata wiary w cudowną receptę na wyzwolenie Polski, przywiezioną z Londynu przez Mikołajczyka. Wybory zostały sfałszowane w sposób, urągający znaczeniu tego słowa i przekraczający nasze najgorsze oczekiwania. Niemniej Anglia i Ameryka, poza papierowymi notami, nie podjęły żadnych kroków, które by wskazywały, że istnieje jakiś konkretny plan wyzwolenia Polski. Pozostawiono nas samych sobie i Mikołajczyk wygląda obecnie albo na oszukanego przez Zachód, albo na tego, który nas oszukał. Skutki tego wszystkiego, to upadek wiary w powodzenie naszej akcji i wzmagająca się z dnia na dzień dezercja.

Towarzyszą temu rozkładowi procesy i wyroki, jakie się posypały na naszych. Niezależnie od Stanisława Mierzy i Jana Nowaka, sekretarza zarządu wojewódzkiego w Poznaniu, którzy w więzieniu czekają na proces, dnia 17 kwietnia został skazany na osiem lat więzienia Kazimierz Bagiński, a razem z nim na trzy lata Tadeusz Wyrzykowski, na sześć lat Tadeusz Węgrzyniak oraz Wiktor Bazylewski. Wszystkim zmniejszono karę z mocy amnestii do połowy, Wyrzykowskiemu darowano całkowicie. Skazano ich w związku z uznaniem, że powielany komunikat wewnętrzny PSL, rozsyłany do członków, zawierał: „treść przestępczą, szczególnie niebezpieczną dla państwa w okresie odbudowy”. Przypomniało mi to do złudzenia okupacyjne, hitlerowskie rozporządzenie „o zagrożeniu dzieła odbudowy w Generalnej Gubernii”.

Poza naszym budynkiem w Alejach, nie można się już ruszyć. Na zebrania albo nie dają zezwolenia, albo je rozbijają. Na Pradze urządziło tamtejsze PSL zamknięte zebranie dla członków. W czasie przemówienia na salę wtargnęła bezpieka i zaczęła strzelać w sufit. Jakaś spłoszona kobieta wyskoczyła oknem i złamała nogę. Na prowincji

jest jeszcze gorzej i nasze życie organizacyjne jest tam całkowicie sparaliżowane.

W dodatku, na zjeździe „Wici”, który się rozpoczął w „Romie” 27 kwietnia, zwyciężyli zwolennicy współpracy z PPR i prezesem został Stefan Ignar. Nie jest to drobiazg, gdyż „Wici” liczą obecnie 5.669 kół i 465.000 członków.

W całości życie polityczne stronnictwa zamiera i dawniej pełne interesantów korytarze naszej siedziby, zioną obecnie pustką.

AMNESTIA W CYFRACH

7 maja 1947.

W związku z upływem terminu amnestii w dniu 25 kwietnia, ogłoszono dziś ostateczne wyniki ujawnienia. Według oficjalnych danych, ujawniło się 55.277 osób, w tym 22.887 członków WIN'u, 4.892 NSZ'u, 8.432 członków „band leśnych” i 7.448 dezertków.

Przy tej okazji podziemie wydało: 14.151 jednostek broni, w tym 10 działek, 12 moździerzy, 72 CKM'ów, 832 RKM'ów, 2.752 automatów, 2.740 pistoletów i 6.830 karabinów.

Przed tym jeszcze, bo 17 kwietnia, Radkiewicz stwierdził w Sejmie, że zwolniono z więzień z mocy amnestii z wyroków i śledztwa 25.265 osób. Jeśli przyjąć tę cyfrę za prawdziwą, to trzeba przyznać, że spora ilość osób odzyskała wolność.

Zmniejszyła się także ilość zbrojnych akcji, gdyż według Radkiewicza, w październiku 1946 miało miejsce 1.214 napadów i padło 234 zabitych, w marcu 1947 — tylko 463 starcia i 194 zabitych, a w ciągu dwudziestu dni kwietnia — 178 ataków i 52 zabitych.

W toku akcji amnestyjnej miał miejsce cały szereg interesujących epizodów. Ujawnił się na przykład zastępca Komendanta WIN'u na okręg białostocki, Żegota, ze sztabem. W Myślenicach wróciła do legalnego życia „banda” Huragana z NSZ, a w Krościenku Rocha. Ujawnianie objęło także Narodowe Zjednoczenie Wojskowe i Tajne Harcerstwo AK (THAK) oraz tych z Baonów Chłopskich.

k którzy do tego czasu pozostawali w podziemiu. Zgłosił się także redaktor gazetki WIN'u „Echa Leśne” i zdał maszyny do pisania, powielacze i archiwum. Wydano wreszcie podziemną drukarnię w Boernerowie, dawną własność Armii Krajowej.

Duże wrażenie zrobiło na mnie ujawnienie podziemnej fabryki broni i magazynów, ukrytych w wykopie pod piwnicą domu przy ulicy Leszno, spalonego w roku 1939. Fabryka, w czasie okupacji niemieckiej, była wyposażona w instalacje elektryczne, wodociągowe i gazowe. Miała podziemną strzelnicę, wykop, długi na 70 metrów, który służył do prób broni. Została zdana pewna ilość „stenów” i maszyny, zdolne do dalszej produkcji tej broni.

Gdyby ta fabryka należała na przykład do AL'u, zostałaaby z pewnością zabezpieczona i utrzymana w niezmiennym stanie, jako pamiątka narodowa. Ale że zbudowało ją AK, niechybnie pójdzie na marne.

Szczyptę soli atyckiej wniosła do spraw amnestyjnych pani dyrektor departamentu Ministerstwa Bezpieczeństwa, Luna Brystygierowa, która na komisji sejmowej wyjaśniła z rozbijającą szczerością, że w jednym z powiatów ujawnili się jako członkowie WIN'u miejscowy starosta i wicestarosta. Wzorowy przykład państwa podziemnego na terenie jednego powiatu!

Niezależnie jednak od akcji ujawniania i zwalniania z więzień, wszczęto w okresie amnestyjnym, to jest do 25 kwietnia, cały szereg procesów przeciw podziemiu, a to w widocznym zamiarze wywarcia presji na wahających się i pokazania, co ich czeka, jeśli pozostaną w podziemiu. Posypały się przy tym wyroki śmierci, na przykład w Gdańsku, na członków organizacji „Semper Fidelis Victoria”, i jeden w Katowicach na członka Narodowej Organizacji Wojskowej oraz trzy w Tarnowskich Górach.

W krakowskim procesie „Salwy” z 23-ma oskarżonymi na czele z dowódcą Włodzimierzem Morajko, uczniem gimnazjum, i zakonnikiem Dominikiem Jurkowskim, zapadło osiem wyroków śmierci, zamienionych na mocy amnestii na 15 lat więzienia.

W Lublinie ogłoszono o wykryciu podziemnej organizacji „Orzeł Biały” i zapowiedziano, że jej członkowie staną przed sądem doraźnym.

W Walbrzychu, w procesie „bandy” Iskra, zorganizowanej przez Stanisława Kościelniaka, będącej ekspozyturą dolnośląską Ognia, zapadły cztery wyroki śmierci, z zamiarą na 15 lat więzienia.

Z kontrakcji podziemia wybiła się na czoło zasadzka, w której „banda” Uskoka zabiła w gminie Serniki, powiat Lubartów, siedmiu ormowców (Ochotnicza Rezerwa Milicji Obywatelskiej), zarazem członków ZWM, wracających z demonstracji pierwszomajowych.

Krew się leje w dalszym ciągu po obu stronach i końca tego nie widać.

ARKA NOEGO NA KOŁACH

24 maja 1947.

Gdy w lecie zeszłego roku wpadłem któregoś dnia z Zosią do „Kruszynki”, czekała tam już na nas Halina Bogacka (pseudo Zarembina). Nie mogła się zdecydować i chciała zasięgnąć naszej rady:

— Mam możliwość wyjechania zagranicę już jutro. Rybicki zorganizował już nową grupę i wyjeżdżają. Z jednej strony pragnęłabym bardzo dostać się do męża, Wacka, do Londynu, z drugiej nie bardzo mi się chce już teraz kraj opuszczać. Może jeszcze tym razem nie pojadę, a dopiero następnym? Co wy o tym sądzicie?

Nazwisko Stefana Rybickiego było mi dobrze znane z opowiadań tych, którzy z czerwonego potopu, jaki zalał kraj, chcieli się wyratować i myśleli o ucieczce zagranicę. Podawano je sobie z ust do ust i już narosła wokół niego legenda. Przystojny, 45-letni awanturnik, ubrany w biały fantastyczny mundur nieznanej armii, jeździł w tę i z powrotem, wywożąc ludzi nielegalnie zagranicę nie tuzinami a setkami. Brał za to grube pieniądze, ale transportował wygodnie, bo w biały dzień, autobusami i pociągami i o żadnym przekradaniu się po nocach przez graniczne rzeki i wertepy nie było mowy. Termin wyjazdu jego transportów był znany wszystkim zainteresowanym, a wyjeżdżających gromadził nawet w hotelu. Robił to tak jawnie i bezczelnie, przekupując wszystkich, przede wszystkim

straż graniczną, że przepowiadałem temu szybki koniec. Toteż nie wahałem się długo, co Halinie poradzić:

— Korzystaj z okazji i wyjeżdżaj natychmiast. Drugiej już może nie być. Rybicki działa za jawnie i na taką skalę, że cała rzecz musi się wysypać.

Zosia też była tego samego zdania, wobec czego Halina postanowiła pójść za naszą radą i wyjechać bez dalszej zwłoki. Pożegnanie było bardzo smutne i, by nie zwracać uwagi, odbyło się w bramie wypalonego domu na Chmielnej. Wyściskaliśmy ją gorąco i odeszliśmy przygnębieni. Robi się koło nas coraz puściej. Jedni przyjaciele poginęli, drudzy po Powstaniu poszli do niewoli, a stamtąd dalej zagranicę, inni znów są w więzieniu, a teraz Halina, z którą tyle przeżyliśmy razem, opuszcza nas, może na zawsze. Co za przekłęty los, który zmusza ludzi do porzucania tego, co najbardziej kochają i skazuje ich na tułaczkę. Niedługo, a zostaniemy sami.

Wczoraj nastąpił epilog całej sprawy. Rybicki został skazany przez sąd w Warszawie na 6 lat i 6 miesięcy więzienia. Halina wyjechała ostatnim jego transportem. Gdy Rybicki przybył ponownie do kraju i zaczął organizować nową partię wyjeżdżających, został aresztowany.

Na procesie, który zaczął się 13 maja, oskarżony zafascynował wszystkich: sąd, prokuratorów, bezpiekę i salę. Wszyscy z zapartym tchem słuchali jego zeznań. Mówił z uśmiechem o swoim życiu, przejściach i upodobaniach. Człowiek bez ojczyzny, żądny przygód i niesłuchanie żywotny. Spędził 23 lata (?) we francuskiej Legii Cudzoziemskiej. Jako obywatel francuski walczył w czasie wojny pod Narvikiem, w Afryce Północnej i w Normandii. Ostatnio był tłumaczem w Głównej Kwaterze amerykańskiej we Frankfurcie. Gdy pierwszy raz przyjechał po wojnie na urlop do kraju i rodziny, ogłosił wywiad w komunistycznym „Głosie Ludu” i „Żołnierzu Polskim”. Mówi w trakcie zeznań z uśmiechem:

— Dla mnie szampan był napojem codziennym. Kobiety i pieniądze miałem w bród.

Ostatnim razem wywiózł w osiemnastu autobusach 358 osób, które załadował w biały dzień na Rynku w Krakowie ze wszystkimi bagażami. Teraz mu się noga powinęła, ale trudno. Raz się jest pod wozem, drugi raz na wozie.

Wyrok przyjął z pogodą, jakby to chodziło o spędzenie paru tygodni na Riwierze.

A swoją drogą jak to dobrze, że Halina nie odłożyła wyjazdu „do drugiego razu”. Gdyby wpadli na jej trop, zafasowałaby też parę lat.

Skoro ciągle mowa o karach i więzieniu, to muszę dodać, że właśnie podano w prasie wiadomość, iż „dekretem Prezydium Rady Najwyższej zniesiona została w Rosji kara śmierci” a obok tego panegiryki, w jak wysokiej cenie jest w Sowietach życie ludzkie. Koń by się uśmieł! Żeby mieli chociaż odrobinę poczucia humoru, to by takich bzdur przynajmniej w Polsce nie ogłaszali.

SEJM NA WESOŁO

3 czerwca 1947.

Zakończyliśmy dziś czterodniową sesję Sejmu. Pierwszego dnia posiedzenie trwało tylko 20 minut, ale to wystarczyło Mincowi, by zwalić odpowiedzialność za drożyznę na „podziemie gospodarcze”. Nasz język pod nowymi rządami wzbogacił się o cały szereg wyrażen. Mamy więc: „podziemie polityczne”, z odmianami — „reakcyjne” lub „londyńskie”, dalej „podziemie gospodarcze”, „stronnictwa leśne”, „emigrację wewnętrzną”, to jest tych, co zamykają oczy na krajową rzeczywistość itp. Te różne podziemia są winne wszystkiemu co złe, wtedy kiedy rządy ludowe, z odmianami „chłopsko-robotnicze” lub „demokratyczne” lub „postępowe”, nie ponoszą za to żadnej winy.

W ciągu tych 20 minut załatwiono dziesięć projektów ustaw, czyli jedna ustawa na dwie minuty. To się nazywa stachanowskie tempo! Nasz odpowiednik Stachanowa, Pstrowski, nie żyje, więc nie mogę nawet użyć jego nazwiska. Podobno go zabili jego towarzysze pracy, górnicy z tej kopalni, w nagrodę za to, że tak wydatnie dopomógł do wyzyskiwania ich zdrowia i sił. Dziś pozostał po Pstrowskim tylko dwuwiersz:

„Jeśli chcesz iść na Sąd Boski,
Pracuj tak, jak Wicek Pstrowski”.

W czasie sesji było na sali trochę kpin, bo jak Minc zapowiedział dla właścicieli kamienic podwyżkę czynszów najmu i dostał oklaski z ław PPR, ktoś krzyknął:

— Nigdy nie myślałem, że w PPR jest tylu kamieniczników.

Z kolei, gdy poseł Kurowski z PPR referował, że Monopol Zapalczany musi zarzucić kolor czerwony na pudełku, gdyż jest za drogi, rozległ się z naszych ław drugi głos:

— Dajcie zielony, to będzie trochę nadziei!

Żartowano też z Wyrzykowskiego, gdy chwalił loterię państwową:

— Rozumiemy to dobrze, bo jest pan w tym wieku, kiedy można stawiać tylko na loterię...

Chełchowski z PPR mówi co kilka słów „prawda” i to do znudzenia. Wreszcie mu ktoś z naszych przerwał:

— Nikt panu nie mówi, że co pan głądzi, to nieprawda. Wierzmy na słowo.

Wysłuchałem też paru facecji naszego posła Chwalińskiego, olbrzymiego wzrostu chłopca z wieluńskiego, który ma bardzo specyficzne poczucie humoru i opowiada żywo i barwnie:

— Na całą moją wieś przydzielili tylko dziesięć worków nawozów sztucznych. To jak chłopcy po nie szli z pustymi workami pod pachą, ja im doradzałem: po co wam worki? Wystarczy, jak pójdziecie z tabakierkami...

— Na pasiekę poprzydzielali tylko po jednym kilo cukru ale za to po jednym instruktorze na gminę. Pewno będą oni uczyć pszczoły, jak oszczędzać cukier i mimo to zwiększyć produkcję ponad przedwojenną normę. A może tylko pszczoły zdemokratyzują? Przepędzą królowe i zostawią tylko trutnie?...

Zdziwiła wszystkich odwaga postępowych katolików, którzy ośmielili się wnieść interpelację w sprawie usuwania przez milicję obywatelską w dniu 3-im maja w Poznaniu, sztandarów narodowych. Obchód tego święta był zakazany w całym kraju. I jak to pogodzić z mową radiową Bieruta, wygłoszoną tegoż dnia, w której wielbił Konstytucję 3-go Maja?

Jeśli chodzi o postępowych katolików, to miałem ciekawą rozmowę z naszym działaczem z siedleckiego, które-

mu przed wyborami tamtejsza bezpieka proponowała kandydowanie z listy katolickiej. Gdy się zaślaniał tym, że jest od wielu lat członkiem ruchu ludowego i katolicy z pewnością by taki pomysł wyśmiali, otrzymał krótką odpowiedź:

— O to niech się pan nie troszczy. Jeśli tylko pan da zgodę, to my resztę z nimi załatwimy.

URNA ZAMIAST KWIATÓW

5 czerwca 1947.

Zdziczenie powojenne zabiło poczucie dobrego smaku. W Sosnowcu, na meczu piłki nożnej z drużyną francuską, wręczono jej w upominku urnę z napisem:

„Vive la France et la Pologne! Prochy braci Francuzów pomordowanych w obozie oświęcimskim przez krwawych zbirów hitlerowskich”.

Wręczać w upominku prochy ludzkie, jak bukiet kwiatów — coś za makabryczny pomysł! W dodatku, jak odróżnić prochy francuskie na przykład od polskich? Czyżby Francuzów palili w oddzielnych piecach i prochy wysypywali na „francuską kupkę”?

Oto są natychmiastowe skutki skomunizowania kierownictwa Polskiego Związku Piłki Nożnej. Nowi ludzie mają nowe pomysły i właśnie to udowodnili. Powinni dostać za to w nagrodę kurek mosiężny, przepraszam, Krzyż Grunwaldu.

PEPESOWCY W BOŻE CIAŁO

9 czerwca 1947.

Bawi w Polsce kardynał Griffin i to jest okazją do manifestacji, które są mniej katolickie, a więcej antykomunistyczne. W ogóle kościoły są przepełnione i nigdy nie było w Polsce takiego rozwoju życia religijnego, jak obecnie. Chodzą do nich i modlą się nawet tacy, których przed wojną kijem by nie zapędził do kościoła. Ludzie chcą uciec od rzeczywistości, a o ile chodzi o przyszłość

to, rozczarowani do wszystkich, coraz więcej liczą na Boga.

Kardynał Griffin razem z kardynałem Hlondem byli gośćmi katolickiego uniwersytetu w Lublinie. Po kolacji odbył się wielki raut na kilkaset osób, a później na cześć gości olbrzymia manifestacja studentów.

W Boże Ciało kardynał Griffin był na procesji w Łowiczu. Znalazły się tam również wszystkie ambasady. Wyobrażam sobie, jak im się musiał podobać łowicki tłum, ustrojony we wszystkie kolory tęczy, na tle starej katedry. Zawsze jeździłem do Łowicza na to piękne widowisko i nie mogłem od niego oczu oderwać, a szczególnie od widoku kilkuletnich dziewczynek, ubranych w łowickie pasiaki. Wyglądały jak najpiękniejsze lalki na świecie.

W Warszawie Boże Ciało święcono także bardzo uroczyście. Poza lokalnymi procesjami w każdej parafii, główna procesja ruszyła sprzed pro-katedralnego kościoła św. Józefa. Kardynała Hlonda prowadzili do pierwszego ołtarza generał Jaroszewicz i minister kolei Rabanowski. (Diabeł ubrał się w ornat i na mszę ogonem dzwoni.) Ołtarze między innymi ustawiono na ruinach kaplicy przy Placu Teatralnym, przy Grobie Nieznanego Żołnierza i przy figurze św. Jana, na Senatorskiej. Rzucił się w oczy masowy udział pepesowców z czerwonymi znaczkami w klapie, niosących kościelne chorągwie, a pienia religijne wykonał reprezentacyjny chór PPS, „Polonia”. Można by pomyśleć, że to pochód pierwszomajowy, a nie procesja Bożego Ciała. To połączenie czerwonych oznak partyjnych z wizerunkami świętych na chorągwiach i pobożnym śpiewem daje mi dużo do myślenia. Czyżby komuniści mieli rację, gdy mówią o PPS, że jest jak rzodkiewka: z wierzchu czerwona, a w środku biała?

Co do ministra Rabanowskiego, to jestem bardzo ciekaw, kto kogo prowadził: czy Rabanowski kardynała Hlonda, czy kardynał Rabanowskiego? Ten ostatni słynie bowiem z tego, że chodzi pijany od wczesnego ranka, chwiejąc się na nogach. O nim to mówią peperowcy: trzeba Rabanowskiemu odebrać koleje, bo je kiedy przepije.

ARESZTOWANIE PUŻAKA

8 czerwca 1947.

Ogłoszono dziś komunikat o aresztowaniu podziemnego WRN: Kazimierza Pużaka, Tadeusza Sturm de Sztréma, Józefa Dziegielewskiego, Władysława Wilczyńskiego i Wiktora Krawczyka. Rzekomo WRN należał do „Komitetu Porozumiewawczego Podziemnych Stronnictw Politycznych”, gdzie był reprezentowany przez już dawniej aresztowanego Adama Obarskiego. U głównego kasjera WRN, Misiorowskiego, jakoby znaleziono 55.000 dolarów.

Ta wiadomość dobiła mnie do reszty. Pużak znów aresztowany! Jakżeż jest ciężkie życie tego człowieka. Najpierw, za carskich czasów, osiem lat twierdzy w Szlisselburgu, później cała pięcioletnia poniewierka w podziemiu razem z nami. Z kolei proces i więzienie w Moskwie wraz z piętnastoma przywódcami podziemia, a teraz, na stare lata, znów za kratami. A razem z nim tylu znajomych i przyjaciół. Trudno to wszystko już wytrzymać.

ZIEMIA GROMADZI ŻYWYCH

9 czerwca 1947.

Ciekawa jest polityka nowej władzy w stosunku do Polaków, rozproszonych po świecie. Wygląda na słuszną, ale Bóg wie, co się za nią kryje. Sprowadzono już dawniej z Westfalii osiadłych tam od pokoleń polskich górników i osadzono w kopalniach na Dolnym Śląsku. Jest to twarde i wypróbowany w walkach o polskość element, więc będą na pewno mieli z nimi kłopoty. We Francji prowadzi się intensywną kampanię za powrotem do kraju i tysiące ludzi, osiadłych tam przed wojną, wróciło i wraca. W mniejszym zakresie wróciła wojenna emigracja z Anglii. Ale żeby sprowadzać Polaków z Jugosławii, to już zakrawa na niezwykłość. Przybyło ich ostatnio, jak podają, szesnaście tysięcy, urodzonych w Bośni. Zostali osiedleni także na Dolnym Śląsku, w powiecie bolesławickim. Żyją według obyczaju miejsca urodzenia, a więc mężczyźni noszą noże, uczują na sposób serbski, na przykład pieką całego wieprza, krają swoimi nożami, piją i tańczą.

Robi się też obecnie na Ziemiach Odzyskanych różne odkrycia. W kilku wsiach na przykład, między jeziorem Gardzińskim i Łebskim, w powiecie słupskim, odkryto resztki Słowińców (wieś Gardno, Głowczyce i Rowy). We wsi Kluki są jeszcze starzy ludzie, którzy znają mowę słowińską. Przy okazji szukania Słowińców, znaleziono także na Pomorzu zachodnim, na ziemiach dawniej całkowicie zniemczonych, grupy katolickiej ludności, znającej język polski. Na pytanie, kim są, odpowiadają: „my są Poloki-Mazury”.

Te wiadomości mają dla mnie urok pewnej egzotyki i, nie wiem dlaczego, ale mnie wzruszają.

A z drugiej strony, można się wściec, gdy się słyszy, że na przykład zarząd miejski w Gdańsku wysiedlił do Niemiec przez niedbalstwo paru polskich autochtonów. Co ci ludzie, którzy ostali się na miejscu mimo wieloletnich niemieckich prześladowań, czuli, gdy ich wyrzucał do Niemiec polski urzędnik? Teraz już na nich Polska może postawić krzyżyk.

JEDZCIE DORSZE!

11 czerwca 1947.

Za pięć dni, bo 16-go, mają otworzyć w „Polonii” wystawę potraw rybnych, celem popularyzacji ich spożycia.

Z tym jedzeniem ryb to ciężka sprawa. Nie byliśmy narodem morskim, a że w rzekach i jeziorach tyle ryb, co na zakąskę, więc Polacy stali się narodem mięsożernym. Tymczasem mięsa coraz mniej, bo to co jest znika za wschodnią granicą, a ryb coraz więcej, gdyż wybrzeża bałtyckiego mamy obecnie ponad pięćset kilometrów. Jak więc przekonać Polaków, że poza śledziem z beczki, śledziem marynowanym, w oliwie lub w śmietanie i poza karpem z wody lub szczupakiem po żydowsku, trzeba jadać także ryby morskie, a przede wszystkim dorsza, którego jest najwięcej? Urząd Rybacki twierdzi, że można z niego zrobić trzydzieści potraw! Tymczasem prasa doniosła, że we Wrocławiu zepsuło się 6,5 ton tej popularnej ryby, gdyż nie można było znaleźć na nią nabywców. Więc co robić?

Ale od czegoż są wystawy, jak nie od tego, by ludzi uczyć? Ta, którą mają otworzyć w Warszawie, będzie miała jednak trudne zadanie. Stolica zajęła już dawno stanowisko wobec dorszy i nie łatwo je będzie zmienić. Wypowiedziała je krótko, ale za to dobitnie:

— Jedzcie dorsze, g...o gorsze!

POLSKIE LIDICE CZEKAJĄ

17 czerwca 1947.

Mam dużo sympatii i uznania dla Czechów i zawsze byłem zawziętym przeciwnikiem polityki Becka w stosunku do naszych czeskich pobratymców. Ale to, co się wyprawia ze zniszczoną przez hitlerowców wsią Lidice, może rozgoryczyć każdego Polaka. Dowiedziałem się z prasy, że 16 bm. położono kamień węgielny pod nową wieś Lidice, na której odbudowę górnicy angielscy zebrali 240.000 funtów. Podczas tej uroczystości, delegat tych górników, Lawther, wręczył pierwszy czek na 32.375 funtów. Zatem Lidice będą odbudowane i słusznie, bo im się to należy. Ale co będzie z tysiącami naszych Lidic? Dlaczego nikt na Zachodzie nie pomyśli o tym, że w Polsce zostały spalone przez hitlerowców do gruntu setki wsi, które też zasługują na pomoc i odbudowę. W zamojszczyźnie na przykład wypalono doszczętnie wszystkie wsie, sąsiadujące z lasami, gdzie się ukrywali partyzanci, i to często z całą ludnością, starcami, kobietami i dziećmi. A nasze główne Lidice, stołeczna Warszawa, wypalona już po Powstaniu dom po domu?

Myślę z goryczą o tym, jak dziwną jest psychologia Zachodu. Jedne Lidice wstrząsnęły jego opinią. Tysiąc Lidic nie zrobiły żadnego wrażenia.

DZWONEK ALARMOWY

18 czerwca 1947.

Bomba pękła! Mam być aresztowany w ciągu najbliższych trzech, czterech miesięcy. Chociaż od dawna jesteśmy przygotowani na taką ewentualność i żyjemy

z Zosią w ciągłym napięciu, prowadząc na ten temat niekończące się rozmowy w czasie spacerów po pięknej dąbrowie w Leśnej Podkowie, to jednak, gdy ostrzeżenie przyszło, podziało jak grom z nieba. Bo co innego przypuszczenie, a co innego pewność. Dowiedziałem się, że przyjechało kilku enkawudzistów z Moskwy, która jest niezadowolona z roboty bezpieki na odcinku PSL i oni wzięli sprawę w swoje ręce. Aresztowanie nastąpi natychmiast po uchwaleniu przez Sejm, że się mnie pozbawia nietykalności poselskiej i prawdopodobnie w kuluarach Sejmu. Zostanę postawiony pod zarzutem mordowania komunistów w czasie niemieckiej okupacji przy pomocy wyroków sądów podziemnych, podległych Kierownictwu Walki Cywilnej, którego byłem szefem. Już dwóch ludzi, siedzących w więzieniu, zgodziło się wzamian za ułaskawienie złożyć obciążające mnie zeznania, a mianowicie, że wykonali fikcyjne wyroki i zastrzelili takich a takich komunistów. Decyzja zlikwidowania mnie zapadła po moim przemówieniu o amnestii. Była to przysłowiowa kropla, która przelała pełny dzban. Przez dłuższy czas łudzono się, że „nawrócę z błędnej drogi”, porzucę PSL i przyłączę się do „obozu postępu i demokracji”. Przemówienie wykazało, że jestem niepoprawny wobec czego należy ze mną skończyć. Naturalnie Zosia zostanie również aresztowana i dostanie swoje parę lat. Mamy jeszcze przed sobą kilka miesięcy czasu i mogę spokojnie się na ten moment nastawić. O postępie przygotowań do aresztowania będę bieżąco informowany.

Wiadomość przyniósł pewnego późnego wieczoru mój opiekun i strażnik, mniej głośny, ale za to bardziej zaufany od innych komunistów... Może jednak lepiej, jeśli na tym poprzestanę. Papier nie lubi takich zwierzeń. Dodam tylko tyle, iż przyczyną roztoczonej nade mną opieki jest fakt, że będąc w podziemiu oddałem mu drobną usługę. On ma jednak co do tego inne zdanie i twierdzi, że ta drobna usługa uratowała mu życie. Niech będzie, jak on chce.

Nie jest to pierwsza wiadomość od niego i nie ostatnia, ale wszystkie związane wyłącznie z moim bezpieczeństwem. O innych sprawach nie mówi, a ja nie pytam. Czasami tylko, gdy nie może wytrzymać, wybucha i wtedy leją się z jego ust zwierzenia, dotyczące zupełnie nieznanых spraw i rzeczy. Powodem tych wybuchów jest zwykle

złe traktowanie komunistów polskich przez zwierzchników sowieckich. Widać z tych zwierzeń, że życie dygnitarzy komunistycznych nie jest łatwe. „Bracia ideowi” z Moskwy trzymają ich za mordę i dyrygują nimi jak sierżant rekrutem. Miejscem tych najbardziej zaufanych spotkań panów i sług jest mieszkanie Gomułki. Tam, raz na tydzień, w każdy czwartek schodzą się Bierut, Zambrowski, Berman, Ochab, Radkiewicz i inni z polskiej strony i tajemniczy generał Malinow, zwykle w towarzystwie dwóch, trzech doradców z drugiej. Polacy wnoszą poszczególne sprawy pod obrady, Rosjanie decydują. Nigdy odwrotnie. Czasami Malinow wychodzi z doradcami do sąsiedniego pokoju i tam się z nimi naradza, wtedy kiedy Polacy przerywają się w milczeniu spojrzzeniami, w których nie widać zadowolenia z powodu takiego braku zaufania do nich.

Czasami w pokoju w Alei Szucha rozgrywają się dramaty. Pewnego dnia Malinow wyjął z grubej teczki oprawną wielostronicową książkę i kładąc na stół, oznajmił, że jest to opracowany w Moskwie plan aresztowania w Polsce i wywiezienia do Rosji na wypadek „kryzysu”, poprzedzającego wojnę, trzystu tysięcy ludzi, którzy mogliby być niebezpieczni dla rządów ludowych w Polsce. Plan ten dzieli „kandydatów” na kilka kategorii, przy czym na pierwszym miejscu idą byli żołnierze, którzy wrócili z Zachodu, na drugim byli członkowie podziemia, na trzecim peeselowcy, na czwartym wszystkie pozostałe niepewne elementy. Plan zawiera rozkład jazdy specjalnych pociągów, jakie mają być zestawione, stacji skąd odejdą, miejsc, gdzie przekroczą granicę — słowem wszystko, co pod względem organizacyjnym i technicznym należy zrobić, by cała operacja była zakończona w ciągu kilkudziesięciu godzin.

Polscy uczestnicy narady słuchają wykładu w grobowym milczeniu. Twarze sztywnieją, oczy częściej niż zwykle chowają się za powieki. Każdy walczy, by na zewnątrz nie ujawniać wrażenia, jakie wywarł gigantyczny plan. Wprawdzie serca mają z kamienia, ale i im się nie podoba to wyżymanie resztek krwi z narodu, który jej tyle wylał. I na ich rozkaz zapełniają się więzienia „wrogami klasowymi”, ale ten plan masowego wysłania setek tysięcy ludzi w tundry syberyjskie budzi nawet w nich nie-

chętne odruchy. Siedzą więc i milczą i to milczenie ich zdradza i jest powodem chłodu, z jakim Malinow żegna się, opuszczając zebranie.

Po paru tygodniach przesiąkła do nas z terenowych urzędów bezpieczeństwa wiadomość, że są w robocie spisy wszystkich „niepewnych”.

Od mego opiekuna wiem na przykład, dlaczego mnie nie skreślono pod jakimkolwiek pozorem z listy kandydatów na posłów. Zaproponował to Gomulka, ale sprzeciwił się Jakub Berman, mówiąc: „W tej całej reakcyjnej, podziemnej bandzie on był jednym z tych, którzy starali się ratować Żydów...”

Gomulka wycofał się z propozycji z widocznym pośpiechem i cała sprawa upadła.

Na kilka dni przed wyborami, odkrył mi mój opiekun ich przyszły wynik. Brzmiało to tak nieprawdopodobnie, że Mikołajczyk, gdy mu powtórzyłem otrzymaną wiadomość, nie chciał wierzyć i prosił o sprawdzenie. Wróciłem z tą samą odpowiedzią:

— Nie pozwolą wam mieć więcej, niż 30 mandatów, choćbyście na głowie stawali...

Było takich informacji i opowiadań więcej, ale nie sposób dzisiaj nad nimi się dłużej rozwodzić. Nie mam na to ani czasu, ani głowy. Całe szczęście, że zostałem ostrzeżony zawczasu i aresztowanie nie spadło nagle. Mamy przed sobą około trzech miesięcy i także własny, dawny, przygotowany na taką sytuację plan. Według niego, jeśli aresztowanie mnie nie zaskoczy, spróbujemy ucieczki.

Teraz jednak pierwsza rzecz — to nie dać nic poznać po sobie. Żyć i poruszać się tak, jak dawniej, chodzić w te same miejsca, spotykać tych samych ludzi, nawet udawać przed sobą, że się nic nie zmieniło. Za żadną cenę nie zdradzić, co nam chodzi po głowie.

SEJMOWE MIGAWKI

20 czerwca 1947.

Wczoraj, zaraz po otwarciu posiedzenia, Kowalski ogłosił, że prezydium Sejmu odrzuciło wszystkie wnioski

PSL o przywrócenie w protokole sejmowym ustępów, skonfiskowanych z naszych i Żuławskiego przemówień. Zatem z wyższego rozkazu nie pozostaną żadne ślady z tego, co się w naszych przemówieniach nie podobało nowej władzy.

Dziś było na posiedzeniu także trochę śmiechu. Gdy Langer schodził z trybuny, po wygłoszeniu przemówienia, Bańczyk wyciągnął znów jego broszurę o Rydzu Śmigłym i wśród śmiechów zaczął ją z daleka pokazywać nie-szczęsnemu autorowi. Langer, najwyraźniej przygotowany na taką sytuację, zawrócił na mównicę i poprosił Kowalskiego o udzielenie mu głosu w sprawie osobistej. Kowalski skwapliwie się zgodził, po czym Langer, wyjąwszy z kieszeni kartkę, odczytał z niej z góry przygotowane na taki wypadek oświadczenie, mniej więcej następującej treści:

— W życiu każdego polityka zdarzają się pomyłki, szczególnie, gdy działa w takich niezdrowych warunkach, jakie panowały w dyktatorskiej, sanacyjnej Polsce. Przyznaję się, że pisząc broszurę o Rydzu Śmigłym popełniłem ciężką omyłkę, której bardzo żałuję.

Nie wytrzymałem i krzyknąłem:

— A teraz nie popełniasz przypadkiem omyłki?!

Wybuchł huragan śmiechu, także na ławach PPR. Jestem pewien, że nawet ci ludzie mają ukrytą pogardę dla takich lokai, jak Langer, Wyrzykowski et consortes.

Później przemawiał Żuławski, ostro krytykując bezprawie, terror, rządy policyjne, oszustwa wyborcze, a szczególnie zakaz obchodu 3-go Maja. Przerywano mu okrzykami: „...za czyje pieniądze?... Faszysta!... Prowokator!...” Gdy skończył, posłowie zblokowani podnieśli się z miejsc i na znak protestu odśpiewali Rotę. Żeby to chociaż Międzynarodówkę, ale Rotę! Świat zaczyna chodzić do góry nogami.

21 czerwca 1947.

W drodze na posiedzenie Sejmu zaczął mnie w wagonie EKD znajomy głos:

— Jak się masz, najelegantszy z posłów!

Prawie się obraziłem:

— Zwariowałeś Karol? Skąd ci się to wzięło?

— Masz tu „Życie Warszawy” i czytaj.

Zerknąłem do „Ech sejmowych” i rzeczywiście stwierdziłem że sprawozdawca, podkreślając, iż z powodu panujących upałów posłowie siedzą na sali sejmowej bez marynarek, dodał: „Nawet najlepiej ubrany z posłów, obywatel Korboński, też zdjął marynarkę”.

Niech to będzie uznane za miarę upadku Sejmu, jeśli mogę w nim uchodzić za „arbitra elegantiarum”.

Nastroiło mnie to dość pogodnie, ale straciłem humor, gdy wysłuchałem przemówienia Hochfelda, który odpowiadając na wczorajszą mowę Żuławskiego, nazwał jego protest przeciw zniesieniu święta 3-go Maja objawem „endeckiego kółtuństwa”. Gdyby to chociaż peperowiec przeprowadził ten atak, ale pepesowiec Hochfeld na pepesowca Żuławskiego? Na szczęście „psie głosy nie idą pod niebiosy”.

23 czerwca 1947.

Mikołajczyk mówił długo i obszernie dlaczego PSL jest w opozycji. Jest to prawdziwe rzucanie grochem o ścianę, ale od czasu do czasu trzeba to robić. Przypomniawszy między innymi, że odmawiając zgody na blok wyborczy w całym kraju, zgodził się jednak na wspólną listę w województwach wschodnich i zachodnich. Duże poruszenie i wesołość wywołało jego oświadczenie, że w drukowanym stenogramie KRN z jedenastej sesji, z dnia 21-23 września 1946, w części, dotyczącej przemówienia posła Kliszki, znajduje się następujący ustęp:

„Po raz pierwszy bowiem w historii ustroju państwowego Polski urzeczywistniona będzie w całej rozciągłości zasada pięcioprzymiotnikowego prawa wyborczego: powszechności, BEZPRAWNOŚCI, proporcjonalności, tajności i równości”.

Rozległy się śmiechy ze wszystkich stron sali i głosy na ławach PPR:

— To omyłka drukarska! Powinno być: bezpośredniości!

Na to Mikołajczyk:

— Nie sędzę, by to był błąd drukarski. Stać was na

to, by powiedzieć otwarcie, iż nie dbacie o prawo. Stenogram odkrył wasze prawdziwe oblicze.

Odpowiadał Mikołajczykowi poseł Kaczocha, który zrobił go odpowiedzialnym za... śmierć Sikorskiego!

Koło tej ostatniej sprawy robi się błędne koło. Mikołajczyk oskarża o to Andersa, teraz Kaczocha Mikołajczyka. Może się jeszcze znajdzie ktoś, kto oskarży Kaczochę?

24 czerwca 1947.

Po raz pierwszy wszedł na trybunę generał Paszkiewicz, obecny dowódca okręgu wojskowego w Warszawie, poseł z lubelskiego Stronnictwa Ludowego. Jest on bohaterem wydarzenia, które mu nie przynosi zaszczytu. Mianowany zaraz po powrocie z Anglii dowódcą oddziałów pacyfikujących białostockie, dla zadokumentowania swej gorliwości wobec nowej władzy wybrał się osobiście na uśmierzanie partyzantów w okolicach Śniadowa i Czerwonego Boru. Udało mu się tam otoczyć przeważającymi siłami i rozbić oddział leśny oraz schwycić dowódcę. Ten, skoczek z Anglii zrzucony do Polski na spadochronie, gdy został postawiony przez oblicze wrogiego dowódcy, rozpoznawszy w nim swego dawnego generała, dobrze mu znajomego z Anglii, dostał ataku szału. Zelżył Paszkiewicza wobec jego sztabu w okropny sposób i na zakończenie napluł mu w twarz. Skoczek został na miejscu rozstrzelany, ale za wielu ludzi było świadkami tego zajścia i cała sprawa dotarła do Warszawy.

Paszkiewicz, wysoki i szczupły mężczyzna w mundurze generalskim, z piersią obwieszoną medalami, rozpoczął od ataku na PSL, zarzucając mu, że przy pomocy swego wojska, „band leśnych”, założyło „republikę białostocką”. Twierdził, że powiatowe zarządy PSL w Suwałkach i Augustowie stoją na czele tego wojska i że mianowaliśmy tam także swoich leśnych wojewodów i starostów.

Do takich zarzutów jesteśmy przyzwyczajeni, ba, nawet poczułem coś w rodzaju dumy, że to wszystko ma się dziać na terenie województwa Białostockiego, gdzie byłem przed wojną prezesem Stronnictwa Ludowego. Dokuczyło nam jednak, że wychodzi to z ust człowieka o tak wytartym czole, jak Paszkiewicz. Podnieśliśmy więc wielki

gwałt, sypiąc pod jego adresem zgola nieparlamentarnymi wyzwiskami i gdy Kowalski wykluczył z posiedzenia Bańczyka, wyszliśmy z sali razem z nim.

Wróciliśmy z powrotem, gdy zaczęła mówić Chorażyńska z PSL, energiczna i zadzierzysta osoba, znana działaczka „Wici”. Przerywał jej stale jakiś poseł z SL, nie mający jednak większej wprawy w wymawianiu wyrazów pochodzenia cudzoziemskiego, gdyż krzyknął pod jej adresem:

— Trzeba przeprowadzić demoralizację „Wici”! (za-
miast „demokratyzację”).

Znów wybuch śmiechu co zawsze chętnie notuję, gdyż są to jedyne łżejsze momenty w tym ponurym widowisku, jakie się rozgrywa na sali sejmowej.

26 czerwca 1947.

Popisywał się dzisiaj poseł Ćwik z PPS, atakując znów Żuławskiego i nazywając go „narzędziem faszyzmu”. Muszę z tego powodu zauważyć, że ci pepesowcy, co powrócili z zagranicy do Polski, urządzają coś w rodzaju wyścigów w podlizywaniu się Pepeerowi. Parę dni temu Hochfeld atakował Żuławskiego, a dziś Ćwik. Jest w tym coś bardzo poniżającego. Mogliby tę robotę zostawić PPR.

Przygadałem dziś Bieńkowskiemu z PPR (nie mieszać z postępowym katolikiem Bieńkowskim). Znudził mnie do niemożliwości używaniem przez cały czas superlatywów. Wszystko, co robi PPR, względnie ludowa demokracja, jest naj... Prawie wbrew woli wykrzyknąłem:

— Przesadza pan!

Bieńkowski, siłąc się na dowcip odparował:

— Nic dziwnego, bo z fachu jestem ogrodnikiem.

Mruknałem na to, jednak dostatecznie głośno, by być słyszany:

— To widać z poziomu pańskich przemówień.

27 czerwca 1947.

Generał Paszkiewicz dostał za swoje. Mikołajczyk zabrał dziś ponownie głos i najpierw gwałtownie zaatakował PPR, wymieniając z imienia i nazwiska funkcyjona-

riuszy bezpieki i członków PPR, byłych Volksdeutsche, żandarmów niemieckich i gestapowców oraz szturmowców SA. Zacytował między innymi nazwiska byłych gestapowców Bernarda i komendanta Szkatułę (prawdziwe nazwisko Szulc z Zielonej Góry).

Z kolei przechodząc do generała Paszkiewicza, stwierdził, że w czasie strajku chłopskiego, jaki wybuchł 16 sierpnia 1937 roku, kiedy to z rąk policji zginęło 42 chłopów, a około 5.000 było aresztowanych, Paszkiewicz, stojąc 25 sierpnia 1937 na moście koło młyna w Podhajcach, rozkazał żołnierzom bić zatrzymanych chłopów, zachęcając ich do tego słowami:

— Bijcie tych s.....synów BOLSZEWIKÓW!!!

Powstała nieopisana wrzawa, ale nie brał w niej udziału tylko jeden człowiek. Był nim sam Paszkiewicz, który siedział na swojej ławie z opuszczoną głową, cicho jak trusia.

Z kolei wszedł na trybunę minister Radkiewicz i kategorycznie zaprzeczył twierdzeniom Mikołajczyka o byłych gestapowcach w bezpiece, ale wszystko, co powiedział, nie brzmiało przekonująco. Nie czuło się w jego słowach prawdy. Atak na Paszkiewicza pominął milczeniem.

„PO PRIKAZU”

10 lipca 1947.

Najpierw przyszła wiadomość, że Cyrankiewicz i minister spraw zagranicznych Modzelewski, którzy przed zamknięciem 4 lipca letniej sesji Sejmu wyjechali do Pragi, złożyli tam oświadczenie, że przyjmują Plan Marshalla. Od tygodni dyskutowało się na temat tego nowego dobrodziejstwa Ameryki, jakie spadło na zniszczone przez wojnę kraje i deklaracja Cyrankiewicza i Modzelewskiego została przyjęta z wielkim zadowoleniem. Radość była powszechna, gdyż pomocy tej bardzo kraj potrzebuje. Na wiosnę przeszliśmy, szczególnie województwa południowe, przez katastrofę strasznej powodzi, a upalne lato też nie wyszło żniwom na dobre, słowem każdy dziękował Bogu za dar zza oceanu.

Aż tu nagle dziś ogłoszono notę rządu polskiego z 9-go

lipca odrzucającą zaproszenie do przybycia na konferencję paryską w sprawie Planu Marshalla, wyznaczoną na 12-go, co jest równoznaczne z odmową przyjęcia tego planu.

Wszyscy byli tym bardzo poruszeni. Skąd nagle ta nieoczekiwana zmiana? Mieliśmy dostać za nic paręset milionów dolarów, a oni to odrzucili. Sprawa została wyjaśniona bardzo szybko. Cyrankiewicz otrzymał telefon z Moskwy, który odbierał w postawie na baczność, powtarzając co chwila „słuszajusz” lub „tak toczno”, po czym bezzwłocznie została wysłana nota z 9 lipca.

DRUGI DZWONEK

13 lipca 1947.

Sytuacja raptownie się pogorszyła. W czasie ostatniej sesji, gdy na pozór spokojnie zasiadałem na ławie poselskiej, w rzeczywistości zjadał mnie niepokój. Zjawił się niespodziewanie zdenerwowany opiekun i doniósł, że śledztwo natrafiło na dowód moich kontaktów z obecnym podziemiem, które wystarczą, by mnie także oskarżyć o przynależność do niego. Skutkiem tego odkrycia cała sprawa nabrała nowego aspektu i rumieńców. Jacyś ludzie zostali zamknięci i od nich pochodzą te obciążające zeznania. Terminu aresztowania jednak nie przyspieszono i nastąpi ono, jak zaplanowano, to jest dopiero na jesieni, zaraz po rozpoczęciu nowej sesji sejmowej, bo najpierw trzeba mnie pozbawić nietykalności poselskiej. „Fundamentem demokracji ludowej jest poszanowanie prawa” więc przede wszystkim Sejm musi uchwalić wydanie mnie sądom.

W parę dni później miałem ostrzeżenie z innej strony. Stosownie do instrukcji, ustawiłem się o ósmej rano przed cukiernią Lardellego i czekałem cierpliwie, rozglądając się ciekawie po znajomym terenie. Przypomniały mi się najlepsze podziemne czasy, w których Polna odgrywała dużą rolę. Tędy przewoziło się stacje nadawcze z warsztatu nieboszczyka Ziutka na Politechnikę do Cesi Broniewskiej. Tutaj zgromadziła się bojówka, by ewakuować ten warsztat po śmierci Ziutka. W te drzwi wchodziło się na

koncerty orkiestry Filharmonii Warszawskiej, tutaj zginął gestapowiec Szulc, postrzelany jak sito i tak dalej...

Podjechał nagle jeep, zahamował ostro i wyskoczył z niego jeden z posłów zablokowanych partii, grający w nowym systemie dość wybitną rolę. Auto odjechało, a my udaliśmy się na poszukiwanie jakiejś już otwartej cukierni, by nie pokazywać się znanadto na ulicy. Byłem bardzo zaintrygowany tym spotkaniem, którego cel, gdy usiedliśmy przy marmurowym stoliku, zaraz się wyjaśnił. Poseł zapewnił najpierw o swym dla mnie szacunku i uznaniu dla tego, co robiłem w podziemiu, do którego sam również należał, po czym udzielił mi następującej przyjacielskiej rady:

— Jest z panem bardzo źle. Nie wiem z jakiego konkretnego powodu, ale na pewno czeka pana aresztowanie. To udało mi się wywachać. Przed tym, moim zdaniem, są tylko dwa rodzaje ratunku. Jeden, to natychmiastowe opuszczenie PSL i przyłączenie się co najmniej do rządowego SL oraz złożenie oświadczenia, potępiającego przeszlą działalność. Drugi — tu spojrzał mi głęboko w oczy i zniżył głos — to... szybka ucieczka zagranicę.

To rzekłszy pożegnał się i wyszedł, rozglądając się na wszystkie strony.

Obydwie informacje nie tylko się pokrywały, ale jedna wzmacniała drugą. Poinformowałem zaraz Zosię i odbyliśmy walną naradę. Ucieczka sama została zdecydowana już wcześniej i pozostawał tylko wybór drogi. Wchodziły w rachubę trzy kierunki. A więc po pierwsze, wędrówka przez Czechosłowację, najpierw pieszo przez góry, a później koleją do amerykańskiej okupacji w Niemczech, po drugie — droga sowieckim samochodem wojskowym ze Szczecina przez Wschodnie Niemcy do stony angielskiej, po trzecie — droga morską z wybrzeża do Szwecji statkiem lub kutrem. Zważywszy wszystkie pro i contra, wybraliśmy najłatwiejszą i najkrótszą. Uciekniemy do Szwecji.

TAJEMNICZA NARADA

15 lipca 1947.

Powziąwszy tę decyzję, postanowiłem dla przygotowania sprawy pojechać na Wybrzeże na letnie wakacje. Przed tym jednak chciałem wybadać, czy moi koledzy z naczelnych władz stronnictwa nie myślą o tym samym, to jest o ucieczce. Sytuacja na tyle była już jasna, że o dalszej działalności politycznej PSL nie mogło być mowy. Stronnictwo było sparaliżowane i tylko przez swoje formalne istnienie wprowadzało w błąd zagranicę, stwarzając pozory, że w Polsce istnieje normalna opozycja, wtedy kiedy poza naszą grupką w Sejmie, nikt już nie mógł bezkarnie podejmować jakiejkolwiek akcji politycznej. Większość wybitnych działaczy siedziała już w więzieniu, a reszta z determinacją czekała na swoją kolej. Zwróciłem się więc do Mikołajczyka z prośbą, by urządził poufne posiedzenie prezydium NKW z moim udziałem. Mikołajczyk spojrzał zdziwiony i nieco zaniepokojony, ale na propozycję się zgodził.

Spotkanie nastąpiło w jego willi na Mokotowie. Prócz gospodarza, byli obecni Bańczyk, Bagiński, Wójcik i ja. Zacząłem od scharakteryzowania obecnej sytuacji stronnictwa, a skończyłem na bardzo ostrożnie wypowiedzianej opinii, że może należałoby się zastanowić nad przeniesieniem działalności naczelnych władz stronnictwa zagranicę, na emigrację, gdyż prędzej czy później wszystkich tu nas obecnych czeka ten sam los: więzienie, a może nawet śmierć. Wyjeżdżam właśnie na wakacje, nad morze, i mógłbym tam coś niecoś przygotować.

Gdy skończyłem, nikt nie zabierał głosu. Wszyscy zrozumieli, o co mi chodzi, ale milczeli, nie kwapiąc się do odkrycia własnych myśli. Cisza zaczęła już ciążyć nad zebraniem. Powoli jednak wszystkie spojrzenia skierowały się ku Mikołajczykowi, który pojął ich sens i zabrał głos. Zgodził się na ogół z moją oceną sytuacji, ale zakończył w sposób dość nieoczekiwany:

— Niezależnie od tego, musimy dotrwać na posterunku do końca, chociażby najgorszego. Kryją nas jeszcze mandaty poselskie i chociaż całe stronnictwo nie jest już na ogół zdolne do akcji, my ją musimy dalej prowadzić

na terenie Sejmu. To jest nasz obowiązek wobec wyborców i całego kraju.

Nikt się tej opinii nie sprzeciwił i na tym się narada skończyła. Rozeszliśmy się w pojedynkę, by nie zwracać na siebie uwagi.

Wracając do domu, myślałem z uznaniem o Mikołajczyku. Robiłem sobie wyrzuty, że nie doceniałem jednak tego człowieka. Myślałem ze zrozumieniem o przywódcy, który, poprowadziwszy setki tysięcy ludzi do walki, gdy ta została przegrana, postanowił raczej zginąć, niż uciec z pola bitwy. Porównanie z kapitanem, który pozostaje na tonącym okręcie, narzucało się samo przez się. Mocny człowiek. Mając świadomość, że prędzej czy później zginie, decyduje się nie opuszczać placu boju i walczyć do ostatka. Ja sam muszę się dobrze zastanowić, czy w tych warunkach wolno i wypada mi uciekać.

I jak zawsze ze mną bywa, gdy stoję w obliczu krytycznej decyzji, nastąpiło pewne „rozdzielenie jaźni” i dwóch moich ja zaczęło ze sobą dyskusz. Jeden wypowiadał opinie, drugi je krytykował. Pierwszy mówił:

— Dosyć się narażałem przez tyle lat wojny. Nadszedł czas, by mnie zastąpili inni. Mam prawo uciec, tym bardziej że pozostając, ryzykuję własną głowę.

Drugi krytykował:

— Chcesz uciec pierwszy, a innych zostawić? Co na to powiedzą szeregowcy, członkowie stronnictwa?

Pierwszy na to:

— A co im z tego przyjdzie, jeśli zostaną aresztowani i skazani na tak długie więzienie, że już z niego nie wyjdę, a może nawet na śmierć? Przeciwnie, jeśli ucieknę zagranicę, to tam będę mógł dalej działać.

Drugi szydlawie:

— Cóż tak się śmierci boisz? Czyżbyś chciał żyć wiecznie? A jeśli cię złapią? To dopiero będzie kompromitacja i wstyd! Mikołajczyk zdecydował się zginąć, a ty nie możesz?

Pierwszy:

— Mikołajczyk, to co innego. On jest prezesem stronnictwa, a ja nie.

Dyskusja trwała dość długo i w jej wyniku końcowe wnioski uformowały się bardzo jasno. Decyzja Mikołajczy-

ka pozostania w kraju aż do wiadomego końca tworzy z niego bohatera, którego pomniki będą zdobiły w przyszłości skwer w każdym miasteczku. Może nawet politycznie da duże korzyści, otwierając oczy Zachodowi na to, co się w Polsce dzieje. Były polski premier i wicepremier w więzieniu a może nawet przed plutonem egzekucyjnym! To wstrząśnie sumieniem świata. Ale rozciągnięcie tego całopalenia na NKW jest błędem. NKW, a w nim także ja, powinien znaleźć się zagranicą. Jeśli to się nie stanie na skutek opozycji Mikołajczyka, to w każdym razie mnie wolno wyjechać. Ale przed tym muszę zrobić wszystko, by zrealizować pomysł, który od pewnego czasu propaguję, a mianowicie rozwiązać stronnictwo, gdyż w ten sposób nikt nie będzie się czuł opuszczony czy porzucony. Żołnierze zostaną zdemobilizowani i z koszar powrócą do domu. Nikt już nad nimi nie będzie mógł objąć dowództwa. No i muszę wyjechać za wiedzą i zgodą prezesa stronnictwa. Jeśli spełnię te dwa warunki, to wszystko będzie w porządku.

POD KATOWSKIM MIECZEM

31 lipca 1947.

Ciągle sprawozdania o napadach i z procesów o przynależność do podziemia należą do naszego codziennego chleba i notuję je aż do znudzenia, ale lipiec pobił pod tym względem wszystkie rekordy. W poprzednich miesiącach było nieco lepiej, bo ogłoszono tylko trzy wyroki śmierci w procesie „Armii Polskiej w Kraju”, która działała w powiatach Wadowice, Myślenice i Kraków oraz doniesiono o sprawie podziemnego Stronnictwa Narodowego w Krakowie, w związku z wydawaniem tajnego miesięcznika „Młoda Polska” nadto o rozprawie w Warszawie „Organizacji Polskiej” i NSZ, zakończonej skazaniem adwokata Jerzego Zakulskiego i Konrada oraz Władysława Dybowskich (ojciec i syn) na śmierć, i adwokata Witolda Bayera na lat sześć. O Bayerze wiedziałem, że zniknął wiele miesięcy temu bez śladu, widziany ostatnio na przystanku tramwajowym i rodzina oraz przyjaciele przez dłuższy czas domyślali się tylko, co się z nim stało.

Sezon podziemny w lipcu rozpoczął się od komunikatu Ministerstwa Bezpieczeństwa, że w nocy z 2 na 3 lipca, resztki „band” Uskoka, Jastrzębia, Orдона i Zapory napadły na osadę Puchaczów, powiat Lubartów i zamordowały 21 osób, członków PPR, PPS i lubelskiego SL.

Z kolei ogłoszono, że „banda” Roli zamordowała we wsi Wybrane, powiat Łomża, rodzinę Olechowskich rzekomo z tego powodu, iż jeden jej członek, należący do WIN'u, ujawnił się.

Dalej pojawił się komunikat, że uczeń czwartej klasy gimnazjum pedagogicznego, Mieczysław Noworol, zamordował 26 czerwca swego profesora Józefa Czechowskiego, członka PPR.

Wreszcie opublikowano, że pod Okalewem, powiat Rypin, napadła „banda” leśna na funkcjonariuszy bezpieki i Ormo i w potyczce zginęło kilkanaście osób.

Dnia 9 lipca rozpoczął się w Warszawie proces „Liceum”, z Barbarą Sadowską na czele, zakończony wyrokiem 13 lat więzienia na Stanisława Karolkiewicza, a karą od 10 do 5 lat dla innych. W toku procesu wyszło na jaw, że Karolkiewicz, walcząc na Kresach w polskiej partyzantce, otrzymał osobiste podziękowanie od sowieckiego generała Kapustina „za przeprowadzenie partyzantów radzieckich przez Niemen”. Pozostał w podziemiu w związku z rozkazem Rzepeckiego, potępiającym decyzję Radosława ujawnienia grup AK. Za jego zasługi wobec Sowietów dołożono mu teraz do podziękowania 13 lat więzienia.

W Katowicach skazano na więzienie członków tajnej „Młodzieży Wszechpolskiej”, a w Łodzi adwokata Witolda Kotowskiego za organizowanie nielegalnego Stronnictwa Narodowego.

W Warszawie, dnia 31 lipca zakończono proces WIN'u wyrokiem skazującym dr Zofię Franio na 12 lat, a Gałaję na 10 lat więzienia. W drugim dniu tego procesu zeznawał doprowadzony z więzienia mój dobry znajomy, pepesiak Adam Obarski. Zaprzeczył, by korzystał z drukarni PSL na Hożej dla celów nielegalnych. Zaniósł tam raz tylko artykuł o Niedziałkowskim.

Na zakończenie, w dniu 31 lipca ogłoszono wyrok śmierci na mego znajomego z podziemia, Wiktora Lipiń-

skiego i Zygmunta Sałacińskiego, za zabranie „na lewo” 50 ton cyny, przeznaczonej dla fabryk państwowych. Dostałem do mnie, że Lipiński w czasie transportów z więzienia na śledztwo dwa razy próbował ucieczki, ale nadaremnie. Za każdym razem ciężko pobity, nie załamał się jednak, twierdząc uparcie przed sądem, że zabranie 50 ton cyny uważał „za akt sabotażu ekonomicznego wobec nowego okupanta”.

Niestety, nie mogę powiedzieć na tym koniec, gdyż obawiam się w przyszłości nowych napadów i procesów, zatem wolę napisać: na razie tyle!

OKNO NA ŚWIAT

5 sierpnia 1947.

Od kilku dni jesteśmy na wybrzeżu, w Sopocie i rozglądamy się za możliwościami ucieczki. Robimy to sami, gdyż nikogo ze znajomych nie wtajemniczamy w nasze plany, ani nie prosimy o pomoc, by ich nie narażać w przyszłości, gdybyśmy na przykład zostali schwytani.

Wygląda tu wszystko już nieco inaczej, niż rok temu. Tłum nie jest mniejszy, gdyż więcej wycieczek niż dawniej, ale przyjezdnych z Warszawy, żadnych rozrywek i odbicia straconych lat wojny, znacznie mniej. Nowa władza uchwyciła już Wybrzeże mocno w garść i miejscowi są bardzo pod wrażeniem świeżo zaanonsowanej akcji wysiedlania w głąb kraju „elementów niepewnych”. Jest więc w powietrzu atmosfera niepokoju i przygnębienia. Więcej też widać wszędzie mundurów, które z rzeczy popularnej w przedwojennej Polsce zamieniły się w obiekt niechętnych i podejrzliwych spojrzeń.

Nie wyjeżdżamy nigdzie dalej, niż Gdynia i Gdańsk, bo wziąłem się do porządkowania materiałów z okresu wojny i pisania notatek, na których chcę oprzeć przyszłą książkę o podziemiu. Muszę ją napisać, gdyż nie mogę dopuścić do tego, by na przykład pamięć o Ziutku zagięła, lub by akcje Walki Cywilnej zostały zapomniane. W związku z ucieczką muszę spalić wszystkie materiały, a notatki zabiorę ze sobą. Jeśli zostaniemy schwytani, to chociaż zostaną w bezpieczeństwie. Nie najlepsze to miejsce, jeśli

chodzi o przechowywanie materiału do książki o „reakcyjnym podziemiu”, ale nie ma innego wyboru.

Piszę notatki od wczesnego rana w domu, a później na plaży, leżąc na kocu i wystawiając plecy pod słońce. Po południu lub wieczorem dyktuję je Zosi, która pisze na maszynie i nie raz dopomaga jakimś szczegółem lub trafną uwagą.

Prowadzimy, jak stąd widać, życie regularne i spokojne, nad którym jak zmora ciąży myśl o konieczności ucieczki. Wyczuwamy doskonale, że na emigracji czeka nas ciężkie życie i tęsknota za krajem i Warszawą. Mamy dokładne wiadomości o tamtejszych stosunkach i, jak cały kraj, odnosimy się do rozdźwięków wśród naszej politycznej emigracji krytycznie. Toteż mimo nieznośnego ciężaru, jaki dławi w kraju piersi każdego człowieka, nie wyłączając nawet niektórych kategorii komunistów, i mimo tęsknoty za prawdziwą wolnością, myślimy o ucieczce ze smutkiem, jako o ostateczności. Ale jeśli ma się do wyboru wieloletnie więzienie, a może nawet stryczek z jednej strony, a z drugiej ucieczkę i ciężkie życie zagranicą, to naturalnie wybiera się to ostatnie. Zdajemy sobie też sprawę, że możemy być schwytani, gdyż szanse ucieczki mamy gorsze od innych, co właśnie wykazał wypadek, jaki się dzisiaj wydarzył.

Rozłożyłem się na plaży na kocu, z notatkami w rękę, a Zosia niedaleko mnie z torbą, torebką i torebeczką, które razem zawierały cały arsenał olejków i maści, bez jakich szanująca się kobieta nie dotknie nogą nadmorskiego piasku. Przysiadł się także do nas Tadeusz Rakowski z podziemnego Departamentu Spraw Wewnętrznych, który nam swego czasu dał mieszkanie na robotę radiostacji, a po wojnie, za zgodą swego podziemnego zwierzchnika, objął stanowisko sekretarza generalnego Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Utrzymywałem z nim stały, poufny kontakt i od niego to dowiedziałem się o wielu interesujących rzeczach, dotyczących organizacji i prac tego ministerstwa, a między innymi o słynnym telefonie, łączącym ten urząd z Moskwą.

Po pewnym czasie odsunąłem się od Zosi i gościa i zabrałem do roboty. Pisanie szło dobrze aż do momentu, gdy jakiś cień zasłonił mi słońce. Podniosłem oczy na

śmiałka i ujrzałem nieznanego mężczyznę lat ponad czterdzieści, który pilnie mi się przypatrywał. Nim otworzyłem usta, by zapytać czym mu mogę służyć, przyklęknął i wyszeptał:

— Proszę o ogień. Tylko wolno, niech pan się nie śpieszy.

Sięgnąłem leniwym ruchem po pudełko zapalek, zesunąłem pokrywkę i wyciągnąłem powoli zapalkę, podczas gdy nieznamy, nie podnosząc się z kolana, gorączkowo szeptał:

— Na prawo od pana, leży obok drewnianego chodnika młody człowiek, który obecnie czyta gazetę. Niech pan teraz nie patrzy w jego stronę. To ubek, który tu pana obserwuje. W ogóle jest pan tutaj od pierwszej chwili pod obserwacją.

Zapaliłem zapalkę i podniosłem ogień do jego twarzy. Pociągnął mocno, wypuścił kłęb dymu i z głośnym „dziękuję panu” odszedł.

Nie spojrzałem nawet w ślad za nim i pogрузyłem się na nowo w pracy. Dopiero po paru minutach poddałem nieznacznym, niemniej uważnym oględzinom młodego człowieka obok drewnianego chodnika. W jego rysach dostrzegłem coś znajomego. Po chwili zastanowienia przypomniałem sobie. Był to młody człowiek, na którego ciągle się natykamy na ulicy, w restauracji, w cukierni i na deptaku. Nie obudziło to naszych podejrzeń, gdyż natykamy się ciągle na dziesiątki takich znajomych z widzenia. Braliśmy go, tak jak i innych, za gościa, który spędza lato na Wybrzeżu. Dopiero ostrzeżenie otworzyło mi oczy.

Zwróciłem się do Zosi i Rakowskiego:

— Czy słyszeliście, co ten facet do mnie powiedział?

— Jaki facet? — zdziwiła się Zosia. — Leżałam z zamkniętymi oczyma i nikogo nie zauważyłam.

Również Rakowski nie spostrzegł epizodu z zapalką, mimo iż znajdował się o parę kroków. Dowodziło to, że nieznamy zachował się umiejętnie.

Powtórzyłem treść ostrzeżenia. Zrobiło na obojgu duże wrażenie. Szczególnie Zosia, obejrzawszy dokładnie ubeka, kręciła głową:

— Popatrz, popatrz... pamiętam go doskonale. Ciągle

go spotykamy. Robił to jednak dość dobrze, gdyż nie nabraliśmy do niego podejrzeń.

Ale kim jest nieznajomy przyjaciel? Ciekaw jestem, czy spotkam go jeszcze kiedyś w życiu. Skąd miał tę wiadomość? Czy może ubek, lub miejscowy komunista? Prawdziwa zagadka.

Teraz jednak, skoro wiemy, że jesteśmy śledzeni, trzeba zdwoić ostrożność, by niczym nie zdradzić naszych ukrytych zamiarów.

PROCES REDAKTORA AUGUSTYŃSKIEGO

8 sierpnia 1947.

Opracowywanie notatek urozmaicam sobie lekturą gazet. Jest to pewna odmiana, ale w żadnym razie nie rozrywka, gdyż wszystkie pisma drukują na pierwszym miejscu sprawozdania z procesu naczelnego redaktora „Gazety Ludowej”, Zygmunta Augustyńskiego, księdza Leona Pawliny, proboszcza kościoła na Tamce i Zygmunta Maciejca, funkcjonariusza bezpieki. Proces przygotowany według najnowszego szablonu, a więc o szpiegostwo. Maciejec, który „od dawna miał wątpliwości odnośnie swojej pracy w bezpiece i toczył ze sobą walkę”, poszedł po radę do Pawliny, któremu później donosił „takie rzeczy, które uważał za złe w aparacie państwowym”. Pawlina rzekomo przekazywał te wiadomości Augustyńskiemu, ten Mikołajczykowi, a ten znów „obcym ambasadom”. Wszystko genialnie proste, łatwe i jasne! Augustyński dostał 15 lat, Pawlina 10, Maciejca skazano na karę śmierci.

Ta ostatnia postać była w procesie najbardziej tragiczną. Zwyczajny, przeciętny człowiek, bez żadnych sympatii dla komunizmu, zabłąkał się do bezpieki i tam dopiero przejrzał na oczy. Widząc, że jest w zwykłej rzeźni, gdzie ludzi morduje się tuzinami, a katuje setkami, chciał się stamtąd wydostać. Wówczas usłyszał od kolegów słynne zdanie:

— Z bezpieki można odejść, ale tylko do ziemi.

Rzucał się, jak ryba w matni, zrozpaczony tym, co widział po piwnicach bezpieki, chciał temu jakoś zapobiec

i w rezultacie stał się sprawdzianem prawdziwości sławnego powiedzenia. Odejdzie z bezpieki do ziemi.

Pewną pociechę znalazłem dzisiaj w wiadomości, że w fabryce Konrad Jarnuszkiewicz i Spółka w Warszawie przekazano Muzeum Wojska narzędzia i półfabrykaty, służące do produkcji stenów dla AK. Przyjmował dar generał Zarzycki-Neugebauer, zaś pułkownik Sęk-Małecki z AL'u udekorował 20 robotników tej podziemnej wytwórni medalami „Za Warszawę”. Kierownikiem produkcji był porucznik Kapler-Judkiewicz. Pierwszy sten wyprodukowano w lutym 1944 roku. Ogółem sfabrykowano 180 pistoletów maszynowych tego typu.

EPILOG OGNI

15 sierpnia 1947.

W Krakowie ogłoszono wyrok w procesie dwunastu członków „bandy” Ognia. Następca zabitego dowódcy, 20-letni uczeń gimnazjum Stanisław Wróbel i inni skazani na śmierć, z zamianą na 15 lat więzienia, między innymi za zabicie pod Obidową dwóch ubeków, jadących autem. Wśród oskarżonych znajdowała się także 19-letnia Polacykówna, siostra wdowy po Ogniu, która też się zjawiła na sali sądowej.

Tą wiadomością zamykam ostatecznie rozdział moich wspomnień, który nosi tytuł: „Ogień — władca Podhala”.

DRUGA KOMENDA WIN'U PRZED SĄDEM

28 sierpnia 1947.

Nie mamy szczęścia do pobytu na Wybrzeżu. Rok temu, ledwo przybyliśmy tutaj, gdy w Warszawie rozpoczął się proces przeciwko podziemnemu emisariuszowi, Sławomirowi Modzelewskiemu, w którym wymieniono moje nazwisko. Obecnie znów rozpoczął się 11 sierpnia w Krakowie proces przeciwko drugiej Komendzie WIN'u, w którym również mówi się o Korbońskim i moim podziemnym pseudo, Zielińskim. Jest to jeszcze jeden zły znak, gdyż widać, że chodzi o przygotowanie atmosfery dla mego

aresztowania. Pająk coraz szerzej rozpina swoje sieci. Zaczyna mi się trochę palić pod nogami.

Na ławie oskarżonych zasiedli: szef WIN'u, pułkownik Franciszek Niepokójczycki (Franek, Saper), Alojzy Kaczmarczyk, Józef Ostafin, Rzymek vel Strzałkowski i inni. Dla powiązania WIN'u z PSL, posadzono razem z nimi Stanisława Mierzwę z PSL i redaktora naszego „Piasta”, Karola Buczka. Cały proces toczy się pod znakiem łączności i współpracy podziemnego WIN'u z legalnym PSL.

Rzymek vel Strzałkowski na wstępie wyjaśnił, „że jest inwalidą, ponieważ wyskoczył z 3-go piętra przed aresztowaniem i pogruchotał się”.

Co do Mierzwy, to wszyscy wiemy, że w więzieniu kategorycznie odmawiał podpisania oświadczenia, potępiającego swoją działalność w PSL i to mimo że mu ofiarowano wzamian wolność i po pewnym czasie stanowisko ministerialne. By go zmiękczyć, wożono go od czasu do czasu z więzienia do domu, na spotkania z żoną i dziećmi po to, by w powrotnej drodze mówić: „...no i co, panie Mierzwa? Złoży pan oświadczenie, czy nie? Właściwie los pana jest w pańskich rękach. Jeśli pan podpisze oświadczenie, będzie pan zaraz wolny. Jeśli nie, wyda pan sam na siebie wyrok wieloletniego więzienia. Jest pan teraz sam sędzią we własnej sprawie. My umywamy ręce...”

Mierzwa, człowiek twardy, konsekwentnie odmawiał i by nie ulec pokusie, odmówił także dalszych wyjazdów do rodziny. W międzyczasie, w więzieniu wypadły mu wszystkie zęby.

Oto jego dialog z prokuratorem według sprawozdań prasowych:

— Kiedy byliście (PSL) ujawnieni?

— Osiemnastego marca 1945.

Prokurator:

— Czy oskarżony wie, że delegat Korboński był aresztowany już po ujawnieniu, bo się nie ujawnił?

Mierzwa:

— Ja ujawniłem się, a czy wszyscy się ujawnili, nie wiem.

Z drugiej strony, Niepokójczycki wspominał w swych zeznaniach o próbach nawiązania kontaktu z tym „człon-

kiem NKW PSL, który w czasie okupacji był Delegatem”.

W procesie padły nadto nazwiska aresztowanego pułkownika Lipińskiego, a mianowicie, że pisywał do „Gazety Ludowej” i byłego wojewody Józewskiego, że był delegatem nielegalnego Polskiego Stronnictwa Demokratycznego w centralnej podziemnej władzy, Komisji Porozumiewawczej Stronnictw Politycznych, w skład której wchodziły poza tym: Stronnictwo Niezawisłości Narodowej (dawny sanacyjny „Konwent”), socjaliści (ktoś z WRN), Wolność i Niezawisłość oraz Stronnictwo Narodowe.

Co do sił zbrojnych WIN’u, Niepokójczycki zeznał, że WIN miał w białostockim nie 16 baonów, jak to się mówiło, a faktycznie 3, na co prokurator przedłożył dowody, że na tym terenie funkcjonowało 13 oddziałów leśnych.

W czasie trwania tego procesu przyjechali na Wybrzeże Mikołajczyk i Bańczyk. Pierwszy był niezadowolony z tego, że rozpoczęta przeze mnie przed wyjazdem akcja za rozwiązaniem stronnictwa przesiąknęła na łamy prasy. I mnie wpadł także w ręce egzemplarz pisma, z artykułem o grupie ludzi wewnątrz PSL, z Franciszkiem Kamińskim i Korbońskim na czele, którzy są za rozwiązaniem stronnictwa, „widząc beznadziejność sytuacji, w jaką je zapchnęła zgubna polityka Mikołajczyka”. (Każda sprawa ma dwa oblicza. Inne z naszej, a inne z ich strony.)

Wybraliśmy się, Zosia, Mikołajczyk i ja, do kawiarni na głównej ulicy Sopotu. Uderzyła mnie obojętność przechodniów na widok naszego znanego towarzysza. W roku 1945 było nie do pomyślenia, by Mikołajczyk mógł się ukazać pieszo na ulicy. Wszędzie bowiem, gdzie się zjawiał, wyrastały jak spod ziemi tysiączne tłumy i rozlegały się okrzyki „niech żyje!”. Teraz, gdy kroczyliśmy po chodniku, ten i ów się obejrzał, a w kawiarni na jego widok pochylili się tylko głowy przy stolikach i ludzie poszeptali ze sobą, wskazując go oczyma. Ale o żadnej manifestacji dawnego typu, czy większym zainteresowaniu, nie było mowy. Wyciągnąłem z tego smutne wnioski. W 1945 roku ludzie wierzyli w cudowną receptę na wyzwolenie, przywiezioną przez Mikołajczyka z Londynu. W roku 1947, po przegranych wyborach, po których ze strony za-

granicy nie nastąpiło nic poza czczymi protestami, wiara ta zniknęła bez śladu. I słusznie.

Chodząc po moło z Bańczykiem, starałem się go przekonać dla koncepcji rozwiązania stronnictwa:

— Jeśli go nie rozwiążemy — mówiłem — to po aresztowaniu całego obecnego NKW, co jest nieuniknione, Niećko i Banach przyjdą po prostu do naszych biur i wszedłszy w posiadanie spisów i kartotek członków, opanują z zupełną łatwością całe stronnictwo. Dajmy chłopom możliwość wydostania się z beznadziejnej sytuacji, w jakiej się razem z nami znaleźli. Taką walkę, jaką należało, stoczyliśmy i lata 1945-1947 będą w przyszłości dla chłopów tym, czym 1905 rok dla PPS. Że ją przegraliśmy, nie winię za to nikogo. Ale powiększać tę przegraną przez ułatwienie odstępcom opanowania masy naszych członków, którzy ich nienawidzą, ale którzy mogą być zmuszeni do pozostania w stronnictwie pod nowym kierownictwem — to błąd i głupota.

Bańczyk wyglądał na przekonanego, podzielał moje poglądy, ale ostatecznie stanowiska nie zajął. Sądzę, że jako wiceprezes czuł się skrzepowany oficjalną decyzją prezesa stronnictwa, by kontynuować jego istnienie i walczyć.

PROKURATOR ZARAKOWSKI W ROLI HISTORYKA

11 września 1947.

Wróciliśmy z Wybrzeża w dobrym nastroju. Anioł stróż z безпеکی nie przeszkodził nam w zorientowaniu się co do możliwości ucieczki. Nie takich jak on wyprowadzało się w pole. Możliwości te istnieją i wciąż jeszcze są dobre. Nie ma dnia, by ktoś z Wybrzeża nie uciekł do Szwecji. Zwykła procedura, to wejście w kontakt z marynarzami ze szwedzkich węglowców, które zawijają każdego dnia do Gdyni. Pełno ich w każdym barze i kręcą się koło nich pośrednicy. Za wynagrodzeniem w kwocie 200-300 dolarów od osoby szmuglują uciekających na statek i ukrywają na dnie na okres kilku godzin, w ciągu których безпека przeprowadza rewizję. Reszta to fraszka. W czasie naszego pobytu nawet uciekło na jachcie kilkanaście osób.

w tym niemowlę, które wniesiono na pokład w koszyku z jedzeniem. Jeśli zatem uda nam się przyjechać niespostrzeżenie na Wybrzeże i ukryć na okres tygodnia, ucieczka w ciągu tego czasu zapewniona.

W Warszawie wpadłem od razu w atmosferę zbliżającego się szybko końca. Przede wszystkim zostałem gwałtownie zaatakowany w procesie WIN'u przez prokuratora pułkownika Zarakowskiego:

— ...Ci, co zaprzędali Polskę w 1939 roku... broń skierowali przeciwko naszemu sojusznikowi i tym, którzy o demokrację ludową walczyli. Działo się to wtedy, gdy pan Zieliński vel Korboński, obecny poseł na Sejm z PSL, był Delegatem...

— ...Niepokójczycki i Zieliński w 1945 roku, gdy żołnierze Polski walczyli z Niemcami, myśleli, że przejdą do historii. Nie omylili się, lecz ich karta będzie jedną z najczarniejszych kart historii reakcji w Polsce — kartą skrytobójczą i bandytów...

Baj baję będziesz w raju. Naturalnie, nie przykładam żadnej wagi do tego, co taki kundel mówi, ale atak sam, zresztą silniejszy od dotychczasowych, trzeba uważać za ostatni etap w przygotowaniach atmosfery, ułatwiającej moje aresztowanie.

W ostatnim dniu rozprawy Niepokójczycki, zachowujący się cały czas bardzo godnie, nie prosił o łaskę, a tylko o sprawiedliwy wyrok. Dziś go ogłosili: Franciszek Niepokójczycki, Alojzy Karczmarczyk, Józef Ostafin, Rzymek vel Strzałkowski, Eugeniusz Ralski, Jan Kot, Wiktor Langner, Walerian Tumanowicz — wszyscy skazani na śmierć z dekretu z 13 czerwca 1946 „o przestępstwach szczególnie niebezpiecznych w okresie odbudowy państwa”. Mierzwa dostał 10 lat, a Buczek 15.

Rejestr śmierci powiększył się znów o parę nazwisk.

AGONIA UKRAIŃSKIEJ POWSTANCZEJ ARMII

18 września 1947.

W ciągu ostatnich kwartałów walki z Ukraińcami toczyły się bez przerwy. Oficjalne komunikaty doniosły, że wojsko Żymierskiego pobiło w rejonie Dynowa, w woje-

wódcztwie Rzeszowskim, „bandę” Burlaka, liczącą około trzystu ludzi, w rejonie Sanoka „bandy” Krylacza i Nieczaja zaś w okolicy Łukowa „bandę” Lewki (Michała Zimana). Poza tym zajęto obóz zimowy „bandy” Hrynia koło Jasła i jeszcze we wrześniu ubiegłego roku rozbito „bandę” Szrenia w Międzyzlesiu, powiat Lesko, kładąc trupem 23 jej członków. Wreszcie, dnia 22 października ubiegłego roku, wojsko stoczyło bitwę ze 150-osobowym oddziałem U.P.A., który zaatakował gromadę Prusice.

Z drugiej strony, w nocy z 14 na 15 listopada ubiegłego roku oddział banderowców w liczbie około czterystu ludzi napadł na polską wieś Kąty, powiat Jasło i złupił ją doszczętnie. Inne oddziały obrabowały w tym czasie wsie Ładawę, Wiązanicę, Łask i Lubinę w powiecie jarosławskim.

Ale najciekawsze wiadomości, wskazujące, że zanosi się na koniec tych walk, przywiózł z Podhala mój przyjaciel, który pojechał tam odwiedzić rodzinę:

„Idą od dłuższego czasu górami na zachód grupy partyzantów, po kilkanaście osób każda, ubranych zwykle w buty z cholewami i skórzane płaszcze. Są dobrze uzbrojeni i mają sporo broni maszynowej. Przez wsie przechodzą milcząc, unikają kontaktu z ludnością, na pozdrowienia nie odpowiadają, żywności — na przykład owiec — nie rekwirują a kupują i za wszystko płacą. Przy takich okazjach mówią po polsku, ale widać, że nie Polacy...”

Tajemnica tego milczącego pochodu została już wyjaśniona. To UPA przebija się na zachód, idąc wzdłuż granicy czesko-polskiej i często przechodząc na terytorium Czech. Przy tej okazji czechosłowackie oddziały bezpieczeństwa zlikwidowały do reszty, już uprzednio pobitą przez wojsko Żymierskiego, „bandę” Burlaka (Włodzimierza Szczekalskiego) i schwytały go.

Więc i Ukraińcy również przeżywają swoją Agonię Podziemia, ale może przynajmniej będzie to końcem bratobójczych i zarazem samobójczych walk z Polakami.

NOWA SZLACHTA

27. września 1947.

Mimo że humory pod „zdechłym Medorkiem”, przeżyłem dziś chwilę odprężenia, czytając urzędowe ogłoszenie o zmianie nazwisk. W tych zmianach można się przy odrobinie wyobraźni dopatrzeć odbicia przemian, jakie w Polsce zaszły, ba, nawet zajmowania stanowisk wobec nowych kierunków politycznych. Pod jednym względem zmiany te są „reakcyjne” i grają na niewątpliwym snobizmie nowych ludzi. Otóż z reguły nowe nazwiska brzmią „po szlachecku”, co w nowej rzeczywistości, jeśli jest się oddanym panującej władzy, wcale nie szkodzi. Rządzący nami pseudo-proletariat lubi koło siebie na podległych stanowiskach widzieć ludzi dobrze wyglądających, ze znajomością języków i z dobrze brzmiącym nazwiskiem. No, a od tego jest rewolucja, by poprawić także własne.

Dowiedziałem się więc z ogłoszenia, że Jan Rzeźnik zmienił nazwisko na Zawada-Skrzyński (a więc z przydomkiem). Okazało się także, że obywatel Schimscheimer jest wielbicielem sienkiewiczowskich postaci, gdyż zmienił nazwisko na Połaniecki...

Człowiekiem, myślącym na daleką metę i przewidującym pogorszenie się stosunków z Rzymem, był obywatel Papież, toteż zmienił nazwisko na Parocki.

Natomiast dwaj inni obywatele okazali się niepoprawni. Zamiast wybrać nazwiska z myślą o przyszłości, oni przeciwnie, zademonstrowali, że przez swoje nowe imię wiążą się na całe życie z przeszłością. I to jeszcze jaką! Bo jeśli ktoś zamienia niewinnie brzmiące, dźwięczne nazwisko Gruenberg na Grot, to niezależnie od tego jak wygląda, zawsze będzie przypominał bohaterskiego dowódcę Armii Krajowej, generała Grota, a przez to „reakcyjne londyńskie podziemie”. Za taką rzecz można się nawet przesiedzieć jakieś głupie parę lat.

O drugim nawet boje się pisać. To, co on zrobił, jest prawdziwą demonstracją. To coś jak „trzy razy nie” w referendum — całkowita negacja nowej rzeczywistości i odraza do „braterskiego sojusznika”. Bo tak tylko można rozumieć przybranie nazwiska Starowiejski, które przywodzi

na pamięć figurę reakcyjnego kulaka, po to, by porzucić takie nazwisko na czasie, jak... Moskall

SPEŁNIONY ŚLUB

28 września 1947.

Przed ucieczką postanowiliśmy pojechać na Jasną Górę, by dopełnić ślubu. Gdy dnia 11 listopada 1943 roku schwytali nas Niemcy na schodach domu przy ulicy Dolnej, zaraz po naszym wyjściu z lokalu podziemnej radiostacji, zrobiliśmy ślub, że jeśli się uratujemy, pójdziemy pieszo do Częstochowy. Tysiące ludzi złożyło podobne ślubowanie w tysiącach podobnych wypadków, bo wiadomo, że „jak trwoga to do Boga”. Gdyby je po wojnie zaczęli sumiennie wykonywać, to, oceniając rzecz optymistycznie, drogi do Częstochowy byłyby zatłoczone przez dłuższy okres czasu. Z drugiej jednak strony, znając ułomną ludzką naturę, można było pesymistycznie przypuszczać, że trudności pieszej wędrówki mogą wielu od wypełnienia ślubu odstraszyć. Zdawał sobie z tego sprawę dobrego serca episkopat polski i biorąc całą odpowiedzialność przed Niebem na siebie, ogłosił, że kto zrobił przyrzeczenie odbycia pieszej wędrówki na Jasną Górę, wystarczy jeśli tam pojedzie koleją, samochodem czy innym środkiem lokomocji. Skorzystaliśmy z tego i pojechaliśmy do Częstochowy „kanadyjką”, autem pół-ciężarowym z demobilu amerykańskiego.

Szofer był dobry, auto mocne i pogoda wspaniała, więc wjechaliśmy do Częstochowy po trzech i pół godzinach. Gdy tylko z daleka ujrzałem na tle błękitnego nieba smukłą sylwetkę Jasnogórskiej wieży, ogarnęło mnie głębokie wzruszenie i obległy wspomnienia wczesnej młodości. Znałem w tym mieście każdy kamień w bruku, gdyż chodziłem tutaj do gimnazjum już od pierwszej klasy. W tym mieście wziąłem udział w rozbrojeniu Niemców 11 listopada 1918 roku, stąd uciekłem na obronę Lwowa, a w roku 1920 poszedłem na wojnę bolszewicką. Wreszcie z Częstochowy także w 1921 roku powędrowałem na trzecie Powstanie Śląskie. Przypomniał mi się dyrektor Wacław Płodowski (Wacus), wysoki, szczupły, powłóczący nogą, który z ironicznym uśmieszkiem na twarzy witał

cierpką uwagą każdy mój powrót z wyprawy wojennej w szkolne progi, niemniej wszystko ułatwiał i pomagał.

Odżyły wspomnienia wagarów na Jasną Górę, wycieczek na Zieloną Górę, do Olsztyna na zamek i do grot lub do źródeł i skał Złotego Potoku.

Ale już podjechaliśmy pod klasztor od ulicy Siedmiu Kamienic i weszliśmy w pierwszą bramę. Zamieniłem się teraz w przewodnika, gdyż Zosia nigdy przed tym nie była w Częstochowie i półgłosem informowałem o miejscach i pamiątkach, mijanych po drodze do kaplicy z cudownym obrazem Matki Boskiej. Ludzi w kościele było niewiele, wszędzie majestatyczny spokój i cisza, w której zbyt głośno rozlegały się nasze kroki po kamiennej posadzce. Weszliśmy do kaplicy, zawieszanej tysiącami złotych i srebrnych wotów i, dojrawszy w półmroku głównego ołtarza, za rzędem olbrzymich, srebrnych wiszących lamp, ciemne oblicze ze szramą na policzku, padliśmy na kolana...

Z kościelnego mroku wyszliśmy na zalane słońcem wały klasztoru. Prowadziłem Zosię od jednej stacji Męki Pańskiej do drugiej, wskazując widniejące na dalekim, zamglonym horyzoncie wieże zamku w Olsztynie, a tuż pod bokiem kościół św. Barbary z cudowną studnią, miasto rozciągnięte u stóp wzgórza, przecięte osią Alei Matki Boskiej, od której jak żebra od kręgosłupa rozchodzą się ulice głównej części miasta, i wiele innych widoków, które dla człowieka obcego nie mają żadnego znaczenia, dla mnie jednak wiązały się z mnóstwem uczniowskich przeżyć i wspomnień.

Idąc tak dookoła klasztoru, nawróciłem do niedawnej przeszłości:

— Tutaj, Zosiu, miał się rozegrać ostatni akt walk podziemia z Niemcami. Tutaj, w tym klasztorze, miały się zebrać po Powstaniu Warszawskim resztki AK, by go bronić przed możliwą zagładą. Zachodziła obawa, że Niemcy w szale niszczenia wszystkiego, co trzyma razem Polaków, zechcą zniszczyć klasztor. Miała temu zapobiec zbrojna załoga i byliśmy o krok od tego, by powtórzyć obronę Częstochowy przed najazdem szwedzkim. Na szczęście do tego nie doszło i klasztor jest cały...

Przed powrotem pojechaliśmy w Aleję, by coś prze-

kąsić. Spostrzegłem po drodze parę znajomych twarzy, ale mocno postarzałych i to było wszystko, jeśli chodzi o ludzi. Mury natomiast pozostały niezmienione i patrzyłem na nie ze smutnym rozrzewnieniem. Może je widzę po raz ostatni.

Kolegów z gimnazjum nie szukałem. Część z nich zginęła w czasie wojny, zresztą po co ludzi narażać, skoro jestem „trefny”. Wprawdzie nikt z bezpieki w nasze ślady nie pojechał, gdyż wymknęliśmy się o świcie, ale kto tam może wiedzieć...

Dotarliśmy do restauracji, której nazwę i adres otrzymałem w Warszawie z rekomendacją, że znośna. Gdy przyszliliśmy na miejsce, drzwi były zamknięte. Poruszyłem parę razy klamkę, ale nikt nie otworzył. Gdy wracałem do Zosi i auta, zatrzymał mnie jakiś starszy przechodzień:

— Pan nie tutejszy?

— Nie, jestem w przejeździe.

— To widać, bo jakby pan był z Częstochowy, to by pan wiedział, że restauracja zamknięta, a właściciel aresztowany.

Z tym znajomym słowem w uszach opuściliśmy Częstochowę, miasto mojej młodości.

PIĘĆ PRZED DWUNASTĄ

11 października 1947.

Poinformowałem Mikołajczyka, że uciekam w najbliższym czasie. Pojechałem do jego willi na Mokotów i tam, w cztery oczy, zaznajomiłem z powziętą decyzją. Nie był zaskoczony, gdyż po powrocie znad morza nie raz wspominałem w rozmowach z nim o konieczności opuszczenia kraju. Wiadomość przyjął spokojnie, tyle tylko, że mu twarz sposępniała. Wysłuchał mego zwierzenia, nie przerywając mi słowem lub gestem i gdy skończyłem, powiedział bardzo poważnie:

— Nie będę was odwodził od ucieczki, gdyż wiem, że macie do niej szczególne powody. Dajcie mi tylko znać o terminie.

Zadał mi jeszcze parę pytań na temat drogi, jaką wybrałem i na tym rozmowa się skończyła. Wyszedłem z niej pod pogłębionym wrażeniem, że Mikołajczyk sam nie myśli o ucieczce i postanowił zostać na całopalenie.

Kilka dni temu, gdyż ósmego października, stoczyłem z nim walkę na posiedzeniu NKW. Miała ona tylko charakter spokojnej wymiany różnych poglądów, ale dotyczyła bardzo zasadniczej sprawy. Podniosłem jeszcze raz w dramatycznym przemówieniu, propagowaną przeze mnie od miesięcy, myśl rozwiązania stronnictwa, mówiąc wyraźnie, że czołowi przywódcy zostaną wkrótce aresztowani, a wówczas stronnictwo zostanie opanowane przez tak zwaną „lewicę PSL”, z Józefem Niecką na czele i chłopci zmuszeni do podporządkowania się nowemu kierownictwu, które jest całkowicie pod wpływami PPR. Zapobiec temu może tylko rozwiązanie PSL. Poparli mnie tacy członkowie NKW, względnie posłowie, jak Stanisław Klimczak, Czesław Poniecki, Józef Burda, Stanisław Jagiełło i inni, stwierdzając, że praktycznie działalność stronnictwa w terenie zamarła i nie warto ludzi narażać dla utrzymania jego fikcji. Reszta członków NKW milczała.

Mikołajczyk słuchał z pochmurną twarzą, wreszcie zabrał głos i oświadczył mniej więcej, co następuje:

— Dużo jest w tym racji, co mówi kolega Korboński, jednakże formalne rozwiązanie stronnictwa byłoby kapitulacją i uznaniem całkowitego zwycięstwa komunistów w Polsce. Trzeba więc walczyć do końca i raczej ulec w walce, niż jej dobrowolnie zaniechać.

Wobec sprzeciwu Mikołajczyka cała sprawa, jak zawsze, upadła. Niezależnie jednak od tego, lansowane przeze mnie poglądy, które już poprzednio przedostały się do prasy blokowego SL, stały się obecnie także powodem wyraźnego ostrzeżenia, jakie do mnie skierowała „lewica PSL”. Rzecznikiem jej był Kazimierz Banach:

— Wasz pomysł rozwiązania stronnictwa jest dla ruchu ludowego bardzo szkodliwy i zasługuje na najostrzejsze potępienie. Jest to koncepcja odwrócenia się milionów chłopów polskich od istniejącej rzeczywistości i przejście do emigracji wewnętrznej, która ignoruje to, co się w kraju dzieje i ogranicza do sobkowskiego bytowania wewnątrz własnej zagrody, a co najwyżej wsi. Przeciwnie, chłopci muszą wejść odważnie w nową rzeczywistość i wziąć udział w budowaniu nowego życia, niezależnie od tego, czy im się to podoba, czy nie. Jeśli to

inni będą za nich robić, chłop w nowej Polsce nie stanie się nigdy pełnoprawnym obywatelem.

Nie mogłem z nim być szczerzy i powiedzieć otwarcie, że tak czy inaczej chłopów w nowym ustroju zawsze czeka niewolnictwo. Niestety, Kazimierz Banach był już ściśle związany z bezpieczeńką i prawdopodobnie więcej działał na jej zlecenie, niż „lewicy PSL”. Ograniczyłem się więc tylko do paru ogólników i szybko zakończyłem rozmowę.

W każdym razie, jeśli o mnie chodzi, to zrobiłem wszystko, co leżało w mojej mocy, by doprowadzić do rozwiązania stronnictwa i teraz w tej sprawie mogę umyć ręce.

POŻEGNANIE Z WISNIOWKĄ

13 października 1947.

Sprykrzył nam się już żalobny nastrój, jaki towarzyszy przygotowaniu do ucieczki, wobec czego postanowiliśmy zgodnie ze staropolską tradycją urządzić coś w rodzaju pożegnania, oczywiście bez najmniejszej nawet aluzji wobec gości co do istotnych powodów towarzyskiego zebrania. Jednym z czynników, który przeważał szalę na rzecz urządzenia tej imprezy, był fakt, że Zośia zrobiła w ciągu lata parę butelek wiśniówki i smorodinówki i serce nam się krajało na myśl, że po naszej ucieczce pękate gąsiorki z filtrami na szyjkach, pełne purpurowej treści, wpadną w zdradzieckie ręce bezpieki i zostaną pohańbione przez ordynarne gardła ubeków, przyzwyczajone do bimbru i machorki. Myśl zniszczenia cennych zapasów odrzuciliśmy z miejsca, nauczeni przykrym doświadczeniem naszej przyjaciółki Hali, która w 1939 roku, po zajęciu Warszawy przez Niemców, wylała do zlewu dwa litry bezcennego spirytusu z obawy, że „jak Niemcy wejdą do mieszkania i się upiją, to będą gwałcić”. Niemcy jednak mieszkanie zlekceważyli i nie weszli, natomiast Halina stała się od tej chwili przedmiotem kpin i żartów całej rodziny, krewnych i znajomych i z pewnością będzie nosiła na czole piętno nierozważnego czynu aż do końca dni swoich. W odrzuceniu pomysłu zniszczenia odegrał jeszcze jeden motyw pewną, może nawet decydującą rolę. Była

nim obawa, że przy tej operacji serca nam pękną z żalu i na tym skończy się cała ucieczka.

Oznaczonego wieczoru kilkanaście osób zgromadziło się w willi, w której zamieszkiwaliśmy w Leśnej Podkowie. Po paru kolejkach naprawdę doskonałych nalewek, wszyscy wpadli w znakomity humor, który często towarzyszy improwizowanym na prędkę zabawom, a rzadko panuje na starannie i od dawna przygotowanych przyjęciach. A że towarzystwo dzieliło się na tych, co już siedzieli i tych, co na pewno będą siedzieć, więc humor był trochę wisielczy i o podkładzie: „może to już ostatni raz”.

W pewnej chwili przypomniałem sobie dobrego znajomego, kresowianina, niezmiernie wesołego kompana, który wraz z żoną mieszkał w niedalekim sąsiedztwie. Gdy głośno wyraziłem żal, że go nie ma wśród nas, Zosia rozstrzygnęła krótko:

— To niech ktoś pójdzie po niego i sprowadzi go.

— Jest już bardzo późno i pewnie śpią...

Na to reszta krzyknęła:

— To ich trzeba obudzić!

Zgodziłem się z tym i postanowiłem znajomego ściągnąć za wszelką cenę. A że istniała obawa, iż może nie otworzyć drzwi, więc zdecydowałem użyć takiego sposobu, który otwiera w Polsce wszystkie zamki. Sięgnąłem wobec tego ręką do ściany i zdjąłem z niej dwa hełmy stalowe francuskie z pierwszej wojny światowej i dwie szable, które razem z hełmami tworzyły na kilimie groźną dekorację. Te narzędzia wojny należały do właścicielki willi, w której mieszkaliśmy na pierwszym piętrze. Przywołałem dwóch najmłodszych uczestników zebrania i poszeptawszy z nimi na boku, wsadziłem każdemu hełm na głowę i szablę do ręki. Narzuciwszy na siebie ciemne „opończe”, zanurzyli się w czarną, zimną i wietrzną noc.

Wkrótce dwie groźnie wyglądające postacie dotarły do ciemnej zupełnie willi i przekroczywszy furtkę, stanęły przed wielkimi, oszklonymi francuskimi drzwiami, wychodzącymi na werandę. Wewnątrz było ciemno i głucho. Mieszkańcy willi spali.

Nocni goście zapukali we framugę głośno i energicznie i nadstawili uszu. Upłynęło parę minut, ale w willi nikt

się nie odezwał. Zapukali ponownie, tylko głośniej i po krótkiej przerwie drugi raz.

Wreszcie błysnęło słabe światelko i oczom zbrojnych mężów ukazała się postać, jakby żywcem wzięta z niemieckich reklam środków przeczyszczających. Kalesony do kostek, jegerowska nocna koszula, na głowie szlafmyca, a w ręku świeca w lichtarzu z uchem. Postać zbliżyła się do drzwi i wlepiając niespokojne oczy w ciemność, zapytała pełnym trwogi głosem, z wyraźnym kresowym akcentem:

— Kto tam włóczy się po nocy?

Zaświeciła elektryczna latarka tak, by blask jej padł na hełmy i podniesione szable, a nie na twarze, i rozległ się głos jednego z przybyszów:

— Otwierać! UB na rewizję!

W odpowiedzi usłyszeli:

— Zaraz, zaraz, za chwilę... — i jakiś niewyraźny pomruk, wyglądający na przekleństwo.

Klucz zazgrzytał w zamku i nasi wysłannicy wkroczyli do środka, oświetlając tym razem latarką własne twarze. Nim zdumiony kresowiak zdołał otworzyć usta, usłyszał bezapelacyjny rozkaz:

— Wstawajcie, ubierajcie się i idziemy! Przysłał nas Stefan, by was sprowadzić na bigos!

Reakcja była natychmiastowa, gdyż postać w kalesonach odwróciwszy się, gromko powtórzyła w głąb mieszkania:

— Jadzia! Wstawaj, ubieraj się, idziemy do Stefanów na bigos!

Teraz dopiero padł na fotel i trzęsąc się ze śmiechu, oglądał hełmy i szable, powtarzając raz po raz:

— A toście mnie nastraszyli! Niech was licho porwie! Co ja się strachu najadłem, co ja się najadłem strachu!...

Wieczór z dwoma nowymi nabytkami nabrał świeżych rumieńców i sił, tak że nad ranem po nalewkach śladu nie było. Ostatni most za nami został spalony.

Żegnając się przy drzwiach, kresowiec wziął mnie na bok:

— Drogi panie Stefanie, ja o nic pana nie pytam i niech pan nie mówi ani tak, ani nie, ale dzisiejszy wieczór wygląda mi na pożegnanie.

Wziął mnie w objęcia, oczy mu zwilgotniały i ucałował w oba policzki, dodając szeptem:

— Niech was Bóg prowadzi i ma w swojej opiece...

DWÓCH BOLESŁAWÓW

14 października 1947.

Donoszą z Poznania, że król Bolesław Chrobry prze-wrócił się w grobie w podziemiach katedry poznańskiej. Stało to się w chwili, gdy drugi Bolesław o nazwisku Bierut, wygłaszając w tym mieście przemówienie na uroczystości wręczenia sztandaru jakiejś jednostce wojskowej, złożył uroczysty meldunek jego prochom, zwracając się przy tym do obywateli-królów Bolesława i Mieszka per „wy”. Bierut meldował:

— Stajemy przed wami, czcigodni przodkowie... wierni waszym przykładom.. Zerwaliśmy raz na zawsze z fałszywą koncepcją polityczną, z polityką ekspansji na wschód, na bratnie ziemie słowiańskie, kosztem prastarych siedzib ojcowskich w dorzeczach Odry i Wisły...

Miłościwie nam panujący Bolesław, wybrał się tym razem pod złym adresem. Gdyby polityka polska miała być wierna przykładowi Chrobrego, to nie tylko stanęlibyśmy nad Odrą i Nissą, ale znaleźlibyśmy się także w Kijowie, o złotą bramę którego Chrobry wyszczerbił swój miecz.

Tę kartę historii nowa władza chciałaby wymazać za wszelką cenę. Nie darmo Żuławskiemu w jego broszurze, w zdaniu: „Bolesław Chrobry nakreślił granice państwa od Miśni aż po Dniepr”, cenzor poprawił słowo Dniepr na Bug.

Krzywdzi się ogromnie tę piękną polską rzekę, gdy się z niej robi jakąś naturalną, odwieczną i świętą granicę między Polską i Rosją. Niech Bóg broni, co oni wyprawiają z tym Bugiem.

SĄD NAJWYŻSZY I PLOTKI

15 października 1947.

Od szeregu miesięcy prasa publikuje nowy rodzaj wyroków, dochodzących do pięciu lat więzienia. Są to kary

za powtarzanie wiadomości, podawanych przez radio angielskie i amerykańskie. Wprawdzie nie śmiano wprowadzić zakazu słuchania zachodnich audycji, z obawy, że ludzie się tego nie wyrzekną i powstanie milionowe „podziemie radiowe” ale jest to źle widziane i osoby, mające aparaty do chwytania tych audycji, figurują w specjalnych spisach bezpieki. W tym stanie sprawy słucha się zachodniego radia przy zamkniętych oknach i drzwiach i robi to w mieście zabawne wrażenie, gdy na przykład w upalne dni lipcowe czy sierpniowe wszystkie okna się zamykają, gdy się zbliża godzina odpowiednich audycji. Komuniści słuchają ich z tą samą pilnością, co „reakcja” i pod tym względem także istnieje „jednolity front narodowy”.

Świeżo ogłoszone wyroki, to akt pierwszy akcji przeciwko słuchaczom radia angielskiego i amerykańskiego. A że „ludowa demokracja jest oparta na poszanowaniu prawa”, nie zawahano się nakazać Sądowi Najwyższemu, by wyprodukował odpowiedni wyrok. Stało się to właśnie i odnośna teza tego Sądu została parę dni temu ogłoszona. Oto ona:

„Niejednokrotne powtarzanie różnym osobom na terenie fabryki wiadomości, które zostały uznane za fałszywe i mogące obniżyć powagę naczelných organów państwa polskiego, wyczerpuje pojęcie „rozpowszechnienia” w rozumieniu art. 16 (obecnie art. 22) małego kodeksu karnego”.

Przypomniało mi się znane powiedzenie sędziów śledczych sowieckich: „Najważniejsza rzecz, to aresztować człowieka, a paragraf na niego zawsze się znajdzie”.

PRZEZ RÓŻOWE OKULARY

16 października 1947.

Ośmiu angielskich laburzystów, posłów do Izby Gmin, z Zilliacusem na czele, miało dziś w Warszawie konferencję prasową, na której podpisali uzgodnioną między sobą informację dla prasy. Zawiera ona między innymi następujący ustęp:

„Szczególne wrażenie na nas wszystkich uczyniła wesołość, widniejąca na twarzach ludzi na ulicach oraz przy pracy i jesteśmy przekonani, że stanowi ona widomy znak

ducha socjalistycznego, który ożywia Polskę, oraz przeprowadzonej dziś, zadziwiającej odbudowy społecznej”.

Ciekaw jestem, czy to głupota, czy zła wola? Polska stała się krajem, w którym niefrasobliwy, wesoły uśmiech zniknął bez śladu, a w każdym razie w miejscach, gdzie go rzekomo goście angielscy widzieli, to jest na ulicy i przy pracy. Ludzie na ulicach chodzą ponurzy, z reguły śpiesząc się gdzieś po coś, w przepełnionych tramwajach ciągle kłótnie i bójki, w fabrykach robotnicy, zgrzytając zębami, wychodzą ze skóry, by utrzymać stachanowskie tempo. Gdzie za tym oni mogli widzieć te uśmiechy? Może ktoś wyszczerzył do nich zęby z wściekłości, że dają się wodzić za nosy agentom „generała” Grosza?

Powiedziałbym słowami Brzechwy: „Trochę za wiele, nie przesadzajmy obywatele!”

NIEDZIELNA ROZMOWA

19 października 1947.

Uciekamy z Warszawy w czwartek, 23 października. Dostałem wiadomość, że nowa sesja Sejmu zostanie zwołana na 29 października i ten dzień należy uważać za pierwszą możliwą datę aresztowania. Opiekun, więcej zdenerwowany niż ja sam, nagli, żeby nie zwlekać, bo jeśli na Wybrzeżu wyłonią się w ostatniej chwili jakieś trudności, to lepiej mieć parę dni w zapasie.

Rozpuszczamy już na prawo i lewo wiadomość, że wyjeżdżamy wkrótce na parodniowy urlop, abym mógł odpocząć przed nową sesją, chociaż nie możemy na razie zdecydować dokąd. W związku z tym, gdy znikniemy w czwartek, nie zdziwią się ani znajomi, ani w stronnictwie, ani kontrolujący nas ubek, gdy mu o naszym wyjeździe doniosą. Ten co najwyżej zacznie natychmiast poszukiwania za naszym miejscem pobytu, ale nim podniesie alarm, możemy być już w Szwecji lub w... zacisznym pomieszczeniu bezpieki w Gdańsku, jeśli nas schwytają.

Szanse ucieczki są dość poważne, chociaż wiadomość o nieudanej próbie harcerza na „Batorym” serca nam nie dodała. Na wysokości Helu wyszedł sam z komina, czarny jak murzyn i na wpół uduszony. Wysłano go motorówką na ląd i wydano w ręce bezpieki.

Staramy się być spokojni i zachowywać normalnie. Wieloletni trening podziemny sprawia, że nam się to udaje. W głębi duszy jednak gryzie robak, obawa, że może rozstajemy się z krajem na zawsze. W szybkie wyzwolenie nie wierzymy, więc nie wiadomo czy i kiedy nogi nasze będą ponownie stąpać po ulicach niezapomnianej Warszawy.

Dziś po południu poszedłem do Mikołajczyka, by go zawiadomić o terminie opuszczenia Warszawy. Przyjął wiadomość spokojnie i wypytawszy tym razem dokładnie o wszelkie szczegóły, upewnił się na zakończenie rozmowy, że będę jutro, to jest w poniedziałek w siedzibie stronnictwa, na wspólnym posiedzeniu klubu poselskiego PSL i NKW. Podaliśmy sobie ręce ze słowami: „A więc do zobaczenia jutro rano”.

W powrotnej drodze, jak zwykle po każdej rozmowie z Mikołajczykiem, przetrawiałem jej treść i myślałem o losie, jaki go czeka. Więzienie, czy śmierć? Ale przecież jego aresztowanie to skandal międzynarodowy, bo ujmą się za nim rządy brytyjski i amerykański. Z drugiej jednak strony, bułgarski Mikołajczyk, Mikołaj Petkow, stracony 23 września br., a proces rumuńskiego Mikołajczyka, Juliusza Maniu, wyznaczony na 10 października br. Mikołajczyk musi to brać pod uwagę, zatem widocznie chce pójść ich drogą i złożyć ofiarę ze siebie. Niezmiernie odważna decyzja.

NIESPODZIANKA

20 października 1947.

Dziwnie wzruszony szedłem dziś do siedziby stronnictwa. Wpadnę tu jeszcze we wtorek, środę i czwartek rano, jednak z większością ludzi, których dziś tu spotkam, może się już więcej nie zobaczę. A ileż razem przeżyliśmy, szczególnie w podziemiu, jeśli nie liczyć czasu od chwili rozpoczęcia mej pracy w „Wyzwoleniu”, w Poznaniu, w roku 1925, kiedy to w tym endeckim wówczas mieście byłem radcą prawnym sekretariatu tego stronnictwa na ulicy Jasnej, prowadzonego przez Resztaka, który zginął i dr. Komzę, wówczas studenta medycyny, dziś majora lekarza w armii Żymierskiego. Ileż bruderszaftów, wypię-

tych później, w czasach aplikanckich z „poznaniakami”, którzy mnie bardzo polubili i tylko jeden mieli w stosunku do mnie zarzut: „Twój cały feler, Stefan, to to, żeś się urodził z tamtej strony Strzałkowa, bo tak to jesteś całym nas”.

Ale dość tych odległych wspomnień, które nie mają nic wspólnego z posiedzeniem, na jakie przyszedłem. Zresztą nie wolno się roztkliwiać, bo to zaciemnia jasność sądu i rozhartowuje. Nie te czasy, by dopuszczać do siebie zwykle, ludzkie uczucia. Dziś rządzą w Polsce wilcze prawa i nie wolno o tym ani na chwilę zapominać. Jeśli wypuszcze się w tych ostatnich dniach z garści, to mogę popełnić błędy i cała rzecz źle się skończy.

Skupiony i opanowany zająłem miejsce w kilku rzędach siedzących w milczeniu postaci. Wkrótce wszedł Mikołajczyk i otworzył posiedzenie. Mówił, jak zwykle, spokojnie na temat tego, co należy robić w czasie zbliżającej się sesji Sejmu. Zakończył apelem o wytrwanie i nie ustawianie w walce, której prowadzenie do końca jest naszym świętym obowiązkiem. Gdy zamilkł, rozległy się skąpe oklaski.

Stałem w przejściu, gdy Mikołajczyk wychodził. Mijając mnie, wyrzekł półgłosem:

— Chodźcie do mnie na chwilę. Mam coś ważnego do powiedzenia.

Poszedłem w ślad za nim. Gdy znaleźliśmy się w jego gabinecie, Mikołajczyk zamknął drzwi, przysunął twarz do mej twarzy i szepnął:

— Jutro uciekam. Sytuacja jest taka, że nie mogę zwlekać ani chwili. Nie uciekajcie wcześniej, niż w środę. Zobowiązuję was do tajemnicy w stosunku do wszystkich. Rozpuściłem wiadomość, że jadę w objazd i do matki, więc nieobecność nie powinna nikogo zainteresować. Do widzenia.

Na mnie wiadomość podziałała, jak piorun z jasnego nieba. Stałem przez chwilę odurzony, nie mogąc zebrać myśli. Mikołajczyk ucieka!... Ale od czego wieloletni trening? Opanowałem się, uściśnałem wyciągniętą rękę i wyszedłem z gabinetu do sekretariatu, gdzie za biurkiem siedziała Maria Hulewiczowa. Dopiero teraz zauważyłem, że jest blada i ma ślady łez na twarzy. Spojrzała na mnie,

ale takim wzrokiem, że zmusił mnie do zatrzymania się i zadania pytania:

— A co z panią, pani Mario?

Usłyszałem w odpowiedzi coś pośredniego między głosem a płaczem:

— Wywożą tylko prezesa. Ja uciekam inną drogą.

Pocałowałem ją w rękę i szybko zbiegłem po schodach na ulicę. Tutaj otworzyły się upusty i popłynęła fala myśli. Jakie wrażenie zrobiła na mnie otrzymana od Mikołajczyka informacja i co w tej chwili o nim myślałem, zatrzymam dla siebie. Ale pewne rzeczy muszą być powiedziane i utrwalone. A więc, wezwania i apele o kontynuowanie walki i wytrwanie miały na celu tylko zamaskowanie ucieczki i to mimo, że wprowadzały w błąd setki tysięcy członków stronnictwa, których pchały do dalszej, beznadziejnej walki. Ten sam także cel miało sprzeciwianie się rozwiązaniu stronnictwa. Bo gdyby została podjęta jego likwidacja, mogło to bezpiekę naprowadzić na myśl, że główna osoba planuje ucieczkę, a to znów mogło pogorszyć jej szanse. W związku z tym setki tysięcy członków zostało pozostawionych na pastwę komunistów w zorganizowanym stronnictwie. Poza tym, opuszcza osoby, które mu zaufały i przyjechały z nim z Anglii i które znają wszelkie jego tajemnice. Wreszcie fakt, że go wywożą, wskazuje, iż ucieczkę planował od dawna, gdyż wywiezienie wymagało dłuższych przygotowań.

Gdy tak biegłem w kierunku „Kruszynki”, z masy szczegółów zaczął się wyłaniać jasny obraz. Dowiedziawszy się ode mnie o terminie mojej ucieczki z Warszawy, postanowił uciec o dwa dni wcześniej, gdyż to także zapewniało lepsze szanse powodzenia. Gdyby bowiem moja ucieczka nastąpiła pierwsza i została zauważona, zostałby lepiej obstawiony przez bezpiekę i perspektywy udania się byłyby gorsze. Była w tym wszystkim zimna i bezwzględna kalkulacja, ale nic z ludzkich uczuć.

Do „Kruszynki” wszedłem spokojny i uśmiechnięty. Ludzi było niewiele i stolik Zosi, która tu już siedziała nad filiżanką kawy, nie miał sąsiadów. Całując ją w rękę, szepnąłem:

— Mam bardzo ważną wiadomość. Trzymaj się mocno i nie daj nic poznać po sobie.

Uśmiech, z jakim mnie witała, zniknął natychmiast i twarz jej spoważniała. Wlepiła we mnie uważne oczy i usłyszałem:

— Jestem gotowa.

Obejrzałem się jeszcze raz dookoła, by się upewnić, że nikt nie podsłucha i nachyliwszy się nad stolikiem, wyrzuciłem z siebie:

— Mikołajczyk ucieka jutro.

By dać jej czas na ochłonięcie, zacząłem zapalać papierosa. Po chwili, powtórzywszy jeszcze raz trzy brzemienne w skutki słowa, powiedziałem jej, co na ten temat myślę i zakończyłem wnioskiem:

— Nie możemy czekać do czwartku, bo może być za późno. Trzeba uciec z Warszawy równocześnie z Mikołajczykiem, więc jutro.

Zosia była również tego zdania. Wyjazd Mikołajczyka może być znacznie łatwiej zauważony, niż nasz, wobec czego najlepiej będzie uciec równocześnie, gdyż wówczas i jemu się nic nie zepsuje i samemu nie narazi.

Oboje zgodziliśmy się także natychmiast, że wbrew żądaniu Mikołajczyka, pewnych ludzi najbardziej zagrożonych należy uprzedzić, by im dać także szansę ucieczki. Doszedłem do wniosku, że takimi są obaj wiceprezesi PSL, w pierwszym rządzie Bagiński, który po Niecce i Klimczaku objął z kolei to stanowisko i niedawno wyszedł z więzienia, ulaskawiony przez Bieruta na prośbę byłych więźniów brzeskich. Nie można pozwolić na to, by znów wrócił do więzienia. Przypomniały mi się przy tej okazji pierwsze lata konspiracji, kiedy wysłałem Bagińskiemu, który utknął na jakiejś zapadłej wsi wołyńskiej, papiery i pieniądze, umożliwiające mu w ten sposób przyjazd do Warszawy. Dobrze się stało, gdyż wkrótce Polacy w tamtych stronach zostali wymordowani przez Ukraińców. Drugi wiceprezes, Bańczyk, jeśli nie ucieknie, prędzej czy później będzie musiał zapłacić za „zdradę”, jaką było opuszczenie lubelskiego SL i przejście do PSL. Ponieważ z nim byłem umówiony na popołudnie, więc na razie trzeba odszukać tylko Bagińskiego, który na pewno jest jeszcze w siedzibie stronnictwa.

Nie chcieliśmy się ze sobą w takiej chwili rozstawać, a i należało na gwałt cały szereg spraw omówić, więc

ruszyliśmy razem w kierunku domu przy Alejach Jerozolimskich 85. Niestety, tam nas czekała wiadomość, że Bagiński wraz z Mikołajczykiem, mieszkając w sąsiedztwie, odjechali autem parę minut temu do domu.

Teraz Zosia wróciła do Leśnej Podkowy, by zrobić najkonieczniejsze przygotowania, a ja poszedłem na spotkanie z Bańczykiem. Czekałem na niego przez godzinę, ale się nie zjawił. Machnąłem ręką i pojechałem do domu, przeżywając po drodze wrażenia całego dnia i rozmyślając nad przyśpieszeniem uciezki. A co w myśli natknąłem się na Mikołajczyka, tyle razy doznawałem szoku. Cały gmach, jaki sobie o nim wybudowałem, runął w gruzy.

ŻEGNAJ WARSZAWO!

21 października 1947.

Wpadłem od rana do siedziby stronnictwa, opustoszałej więcej niż kiedykolwiek i dowiedziałem się, że Bagiński jest w gmachu naszej spółdzielni wydawniczej, parę domów dalej. Poszedłem tam razem z jednym z pracowników i trzęsąc się wewnątrz ze zniecierpliwienia, brałem udział przeszło godzinę w jego i Bagińskiego rozmowie na temat różnych spraw organizacyjnych. Gdy wreszcie wyszedł, zamknąłem starannie drzwi i poprosiłem stojącego Bagińskiego, by usiadł, bo mam dla niego nowinę, która go z nóg zwali. Bagiński wzruszył ramionami, ale zastosował się do rady i utkwivszy we mnie oczy, czekał na zapowiedzianą sensację. Miałem czas oswoić się z sytuacją przez wczoraj, więc dość lekko wystrzeliłem wielki nabój:

— Dziś ucieka Mikołajczyk.

Bagińskiego sparaliżowało. Przez dłuższą chwilę robił wrażenie człowieka zupełnie osłupiałego. Zbladł i nie mógł wykrztusić ani słowa. Wreszcie, zupełnie obcym głosem powiedział:

— Niech pan powtórzy jeszcze raz, bo może się prześłyszałem.

Powtórzyłem i natychmiast przeszedłem do opowiadania, skąd o tym wiem i co o tym myślę. Powiadomiłem go także, że uciekam z Warszawy za parę godzin. Bagiński po pierwszym wstrząsie powoli przychodził do siebie

i przerwał mi, gdy mówiłem o tym, jak go wczoraj szukałem w stronnictwie:

— Widziałem, jak pan szedł do stronnictwa razem z panią Zofią. Mikołajczyk zabrał mnie do auta, by podwieźć do domu i jadąc, was zauważyłem. Nawet zwróciłem uwagę Mikołajczykowi, że coś się musiało stać, gdyż Korbońscy prawie biegną do stronnictwa i to o dość niezwykłej porze. Ale on na to mruknął pod nosem, że pewnie pan czegoś zapomniał, czy coś w tym rodzaju.

Rozmawialiśmy jeszcze przez kilkanaście minut, ja coraz bardziej się śpiesząc. Bagiński coraz bardziej zdenerwowany usłyszana nowiną, która spadła na niego tak nieoczekiwanie. Nigdy się jej nie spodziewał i całkowicie podzielał moje na ten temat opinie. Wreszcie zapytał:

— Co pan mi radzi robić?

Tupnąłem nogą i prawie krzyknąłem:

— Uciekać, natychmiast uciekać! Tu nie ma żadnego wyboru i nie ma co się namyslać. Do zobaczenia po tamtej stronie.

Po południu spotkałem się z Zosią i pojechaliśmy do rożką przez miasto, by się pożegnać z Warszawą. Chłoniliśmy wzrokiem drogie sercu naszemu ruiny, by obraz ich utrwalić w pamięci raz na zawsze. Odwiedzaliśmy miejsca, które dla innych są tylko murami wypalanej kamienicy, skrzyżowaniem ulic lub kawałkiem zniszczonego bruku, wtedy kiedy dla nas są nocną kryjówką lub też miejscem spotkań z ludźmi, których kochaliśmy, a którzy nie żyją, czy też tym kawałkiem przepojonej krwią ulicy warszawskiej, gdzie bliski nam człowiek padł od kul. Tu była kwatera KWC, a tam nasza radiostacja. Tu w czasie Powstania stała barykada, a tam była sadzawka po wybuchu bomby. Tu stał wypalony czołg, a stamtąd szedł nasz atak. W tym podwórzu był cmentarz, a w tamtym ołtarz, przy którym w niedzielę ksiądz odprawiał mszę i głos dzwonków mieszał się z hukiem wybuchających bomb i grzechotem karabinów maszynowych.

Litania wspomnień trwała bez końca, a towarzyszył jej miarowy tupot końskich kopyt. Był piękny jesienny dzień i zalana słońcem Warszawa starała nam się pokazać na pożegnanie w najlepszym świetle.

Na rogu Marszałkowskiej i Alei Jerozolimskich wysie-

dliśmy i przystanęliśmy w skupieniu na miejscu dawnej ulicznej egzekucji. Zosia przyniosła kwiaty i ulokowała je teraz w blaszanej puszcze od konserw, stojącej smutnie pod ścianą. Patrzyłem na dziury od kul w murze i myślałem, czy nie lepiej by było, gdyby jedna z nich trafiła mnie wówczas.

Stamtąd pojechaliśmy Alejami, Nowym Światem i Ordynacką na miejsce dla nas najdroższe. Zatrzymaliśmy się w milczeniu na skrzyżowaniu Tamki i Kopernika i rozejrzeliśmy się po znajomej okolicy. Tuż niedaleko, z baru „Kazik” wzięło Gestapo Staśka Dubois. Tam na Kopernika mieszkaliśmy przez krótki czas w okresie Powstania, a wtedy nie mogłem się dostać do domu, gdyż ciągle biła artyleria i cegły spadały mi na głowę. Dziś naokoło ruiny i warszawska cisza, w której jest coś z cmentarza i coś z uspio-nego wulkanu.

Zmówiliśmy Wieczny Odpoczynek i Zosia resztę kwiatów oparła o mur. Patrzyłem pilnie na płyty chodnika i zdawało mi się, że widzę jeszcze ślady ciemnej plamy, nad którą tak samo stałem cztery lata temu. Tu zgasła źrenica mego oka, tu poległ od kuli w dniu 10 maja 1943 roku młodziutki, genialny, nieodżałowany Ziutek Stankiewicz, a plama, której zarysy zdawałem się widzieć, to jego krew, wchłonięta miłośnie przez warszawski bruk, na którym wyrósł i zginął.

Wieczorem, tak jak staliśmy, to jest Zosia z damską torbą w ręku, a ja z czarną teczką pod pachą, nie żegnając się z nikim, zniknęliśmy z Warszawy bez śladu. Daj Boże, by nie na zawsze!

UCIECZKA

4 listopada 1947.

Już jedenasty dzień siedzimy ukryci w małym pokoiku w Gdyni, w najbardziej beznadziejnej sytuacji. Wszystkie drogi ucieczki zamknięte za jednym pociągnięciem. Zaraz po przyjeździe rozpoczęliśmy dyskretne starania i wszystko rozwijało się normalnie w ciągu dwóch dni. Aż tu nagle w sobotę, 25 października, zamknięto całe Wybrzeże i rozpoczęło się szaleństwo. Dziesiątki kutrów straż-

niczych wyszły na morze, zatrzymując i rewidując każdy statek i każdą, najmniejszą nawet, łódkę rybacką. Wydano zarządzenie, że jeśli jakiś statek nie zatrzyma się w dzień na głos syreny, a w nocy na sygnał świetlny, zostanie ostrzelany i zatopiony. Na wszystkich drogach wyją motory samochodów bezpieki. W nocy rozpoczęły się rewizje i aresztowania. Nie tylko o ucieczce, ale nawet o wysunięciu nosa poza próg kryjówki nie mogło być mowy.

Niedługo czekaliśmy na wyjaśnienie przyczyny, której tylko mogliśmy się domyśleć. Bomba wybuchła już w niedzielę. I radio i prasa, w tym „Gazeta Ludowa” z 26 października, podały wiadomość o ucieczce Mikołajczyka, Kazimierza Bagińskiego z żoną, Wincentego Bryji, Marii Hulewiczowej oraz Korbońskiego z żoną w tej formie, że Stanisław Bańczyk i Stanisław Wójcik zgłosili się w sobotę 25 października u premiera Cyrankiewicza i zakomunikowali, „że prezes stronnictwa od paru dni przepadł bez wieści”.

Wygląda na to, że został wbity ostatni gwóźdź do naszej trumny. Zostaliśmy na lodzie i nie widać innego wyjścia, jak tylko jazda „na wariata” do Szczecina i poszukiwanie drogi stamtąd przez rosyjską strefę okupacyjną w Niemczech do angielskiej. Albo też pojechać na lubelszczyznę i tam odszukać oddział partyzancki, którego dowódcę znam z dawnych czasów. Ale co robić w lesie? To może tylko przedłużyć życie na wolności o kilka miesięcy, bo oddział ten, tak jak i inne, jest prędzej czy później skazany na zagładę. Więc w końcu co robić?

Postanowiliśmy wybrać pierwsze rozwiązanie, ale najpierw trzeba poczekać kilka dni, nim wyruszymy koleją do Szczecina. Niech się bezpieka trochę uspokoi, co na pewno nastąpi, jeśli wywiezienie Mikołajczyka się udało.

Czekamy więc zamknięci w czterech ścianach małego pokoiku, nudząc się piekielnie, ale tą szarpiającą nerwy nudą, pełną napięcia i ciągłych spekulacji, jakby się tu wyrwać z ciasnej klatki na szeroki, wolny świat. Znaleziliśmy się w pułapce, z której nie widać wyjścia. Żyjemy uszami, które chwytają najłżejszy szmer na schodach. Idą, czy nie idą? W nocy trudno spać, raz z powodu zdener-

wowania, po drugie tapczan jest tak wąski, że co się jedno ruszy, to budzi drugie. Staramy się czytać książki, jakie są pod ręką, ale nic z tego nie wychodzi, bo raz po raz książka wypada z ręki i wraca się do spekulacji, co robić, by uciec. Wieczorami Zosia wychodzi po zakupy żywności i prasę, więc wiem już z „Gazety Ludowej”, że Mikołajczyk nie uciekł we wtorek, jak to mi zapowiedział, ale już w poniedziałek 20 października, w parę godzin po rozmowie ze mną. Podał mi więc termin o dzień późniejszy od rzeczywistego. Redakcję „Gazety Ludowej” objął już W. Schayer z „lewicy PSL”. Doniosła ona, że został powołany nowy NKW z Józefem Niecką na czele, który objął kierownictwo stronnictwa, jego biura, majątek oraz redakcję prasy ludowej. Komunikat mówił, że Niecko „będzie się starał wyprowadzić PSL z pułapki, w jaką zostało zapędzone przez zgubną politykę Mikołajczyka, z którą PSL bierze ostateczny rozbrat”.

A więc stało się tak, jak przewidywałem. Wobec nie rozwiązania stronnictwa i nie zniszczenia kartotek członków, wystarczyło, że Niecko i kilku jego ludzi zajęło opróżnione miejsca i kilkaset tysięcy chłopów, największych wrogów komunizmu w Polsce, znalazło się w ciągu jednej doby w szeregach pro-komunistycznego stronnictwa. Ciężką wzięł na siebie Mikołajczyk odpowiedzialność, gdy nie zgodził się na rozwiązanie PSL.

Dobiła nas ostatecznie audycja wieczorna z Londynu. Usłyszeliśmy w niej znajomy głos Mikołajczyka, tłumaczący obszernie powody jego ucieczki i stwierdzający na zakończenie, że „.....są podstawy do przypuszczenia, że Stefan Korboński i jego żona znajdują się już w bezpiecznym miejscu...”

W bezpiecznym miejscu! Swoim wrogom nie życzyłbym takiego bezpiecznego miejsca.

5 listopada 1947.

Opatrzność zesłała nam w ostatniej chwili pomoc w osobie mieszkającego stale w Gdyni Szweda, Karla Nilssona. Stało się to tak niespodziewanie, że muszę w tym widzieć palec Boży. Zetknęliśmy się wczoraj z tym starszym, siwiejącym już cudzoziemcem, który umówiwszy

się szybko o zwyczajowe wynagrodzenie, na co byliśmy przygotowani, gdyż Zosia sprzedawała część swego udziału w „Feminie”, zdecydował krótko:

— Pan pójdzie zaraz ze mną, a po panią przyjdę za dwa, trzy dni. Pani ucieknie innym statkiem.

Odmówiłem kategorycznie i oświadczyłem, że albo oboje uciekamy razem, albo wcale. Nilsson nalegał w dalszym ciągu, ale gdy nie ustępowałem, wreszcie się zgodził:

— No to dobrze, ale najpierw zabiorę pana, a później przyjadę po panią.

Gdy szedłem po ulicy do stojącego w pobliżu auta, nogi się uginały pode mną. Mimo podniecenia i zaabsorbowania ucieczką, zauważyłem z szyderstwem, że dolne kończyny odzwyczaiły się przez dwa tygodnie zamknięcia od ruchu i że w ogóle fizycznie jestem w złej formie.

Pojechaliśmy słabo oświetlonymi ulicami do portu i tam, różnymi zagmatwanymi przejazdami poprzez tory kolejowe dotarliśmy do mola, przy którym stał statek. Przy wejściu sterczała postać z karabinem, a po torach kręciły się jakieś podejrzanе typy, wyglądające na tajniaków.

Nilsson zostawił mnie w aucie i zniknął na statku. Nieobecność jego trwała kilkanaście minut, ale mnie się wydawało, że to wieczność. W końcu wrócił i bez słowa usiadł za kierownicą. Gdy ruszyliśmy z powrotem w stronę miasta, odwrócił się do mnie:

— Nie udało się i musimy wracać. Ale po drodze podjedziemy pod statek „Drottning Victoria”, który przewozi pociągi z Warszawy do Sztokholmu, gdyż tam mam coś do załatwienia.

Po paru minutach podjechaliśmy do przystani, przy której stał wielki pasażerski statek. Z miejsca zauważyłem, że szerokie wejście na statek, zaopatrzone w szyny, jest zalane światłem reflektorów i że kręci się w nim parę osób z karabinami.

Nilsson znów zniknął na statku, a ja wcisnąwszy czapkę na oczy i zesunąwszy się głęboko na siedzeniu, pozostałem w ciemnym aucie. Minuta wlokła się za minutą, a ja czekałem bez końca, coraz bardziej znieczcierpliwiony i niespokojny. Naokoło kręciło się sporo ludzi i jeden, czy dwóch zajrzało przez szyby do ciemnego wnętrza. Wreszcie z daleka ujrzałem Nilssona, opuszczającego statek

w towarzystwie drugiego mężczyzny i po paru minutach wszyscy troje byliśmy już w powrotnej drodze do miasta. Tym razem Nilsson miał lepszą minę, gdy się dzielił ze mną dobrą nowiną:

— Jeśli się nie boicie ryzykować wejścia na ten statek, to możecie nim uciec jutro rano. Dziś wprowadziłbym was na pokład. Ryzyko polega na tym, że wejście na statek jest miejscem najlepiej pilnowanym na całym Wybrzeżu i musicie przejść przez cztery posterunki, jakie tam stoją: straży celnej, która zażąda paszportu, straży kolejowej, milicji obywatelskiej i Wojskowej Ochrony Pogranicza. Niestety, innej drogi nie będzie w ciągu najbliższych dni, a wam się przecież śpieszy.

Zapytałem go, by się upewnić:

— Czy pan osobiście będzie nas wprowadzał?

— Tak — odparł Nilsson — będę szedł razem z wami.

Wzruszyłem na to ramionami:

— Jeżeli pan się nie boi, to czego my się mamy bać?

Nilsson się uśmiechnął:

— Ja, to co innego. Ze mną inna sprawa. Ja mam swoje chody i sposoby, ale czy pan się decyduje?

— Naturalnie — odparłem bez namysłu i zapadłem w milczenie. Nie było co się wahać. Nie ma innego wyjścia. Wiedzieliśmy już od Nilssona, że na Wybrzeżu szaleją w dalszym ciągu aresztowania i rewizje. Łada dzień mogą trafić na nasz ślad i wówczas koniec.

Wróciliśmy do mieszkania Nilssona, gdzie już czekał na nas suto zastawiony stół. Nilsson zniknął, a ja usiadłem z milczącym towarzyszem do kolacji i jedliśmy z apetytem, wymieniając tylko rzadkie uwagi w języku niemieckim. Nadpłynęło odprężenie i poczułem się pełnym sił, energii i determinacji, by popróbować ryzyka, które było wprawdzie duże, ale „odważnym szczęście sprzyja”. Wóz albo przewóz.

Nilsson wrócił po godzinie i przywiózł Zosię. Powitaliśmy się jak po rocznym niewidzeniu i poinformowałem ją o wszystkim. Zgodziła się natychmiast. Raz kozie śmierć.

Po następnej godzinie, z mieszkania Nilssona wyszły cztery osoby. Milczący mężczyzna, który dźwigał pod paltem perski dywan, owinięty dookoła bioder i wyglądał, jak

tęga kobieta i to w ostatnim miesiącu ciąży; Nilsson, który wyladował sobie kieszenie butelkami „taty z mamą”, oraz para Szwedów: on wysoki, z okularami na nosie, w wojskowym szwedzkim płaszczu i furażerze, ona w sportowym palcie kroju międzynarodowego — burberry. Wszyscy czworo zmieścili się z trudem w małym aucie i ruszyli do portu.

Samochód zatrzymał się o jakieś 200 metrów od statku i cztery osoby poszły w kierunku jasnej plamy wejścia, na które dwa reflektory rzucały z obu stron tak oślepiające światło, iż mimo ciemnej nocy można tam było igłę znaleźć. Kręciło się w tym miejscu, jak poprzednio, paru ludzi, w tym trzech z karabinami, zwisającymi na pasach z ramion.

Towarzystwo z samochodu kroczyło w następującym porządku: z przodu szwedzka para, a z tyłu za nią w odległości kilku kroków Nilsson i drugi mężczyzna. Gdy pierwsza para znalazła się w obrębie jasnej plamy, nie zwracając najmniejszej uwagi na ludzi z karabinami i nie zwalniając kroku, jak gdyby nigdy nic skierowała się ku mostkowi, łączącemu statek z nadbrzeżem. Zastąpił jej jednak drogę mężczyzna w mundurze celnika i odezwał się głosem:

— Proszę o paszporty.

Mężczyzna w szwedzkim płaszczu wykonał rękoma i głową parę gestów, które na całym świecie mają jednakowe znaczenie: „nie rozumiem, o co ci chodzi”. Celnik powtórzył z naciskiem: „proszę o paszporty”, po czym mruknął do mężczyzn z karabinami, którzy zbliżyli się w międzyczasie:

— Nie rozumiem po polsku...

Mężczyzna w szwedzkim płaszczu powtórzył poprzedni gest, ale tym razem z wyraźnym już zniecierpliwieniem, poczym mruczając coś pod nosem, co mogło tak dobrze wyglądać na przekleństwo, jak na wymysł, wskazał niecierpliwym machnięciem ręki na nadchodzącego Nilssona i wzięwszy kobietę pod rękę zdecydowanym krokiem wszedł na mostek. Za nim tylko biegł głos Nilssona, uspakajającego celnika i zbrojne posterunki:

— To nasi znajomi Szwedzi z Warszawy, którzy idą z nami na kolację. Nie róbcie im trudności, bo przecież po

kolacji wróca. A żeby wam się w międzyczasie nie nudziło, macie tutaj każdy po butelce wódki.

W ten sposób, udając Szwedów, weszliśmy na statek i zasiedliśmy do drugiej już z kolei kolacji, jaka była z góry zastawiona w czystutkiej kabinie. Byliśmy zupełnie oszołomieni przeżyciami ostatnich paru godzin, a najwięcej łatwością, z jaką dostaliśmy się na statek. Nie więcej niż dziesięć minut od chwili wyjścia z auta, a oto jesteśmy już u przedsionka wolności. Milczeliśmy, przetrawiając ponownie w myśli tylko co przeżyte chwile. Nie mogliśmy ani jeść, ani mówić, tyle tylko, że po paru latach odnowiliśmy znajomość ze szwedzkim aquavitem.

Orzeźwiony nim znakomicie, powędrowałem wdzięczną myślą do czterech butelek, pozostawionych przez Nilssona w rękach czterech strażników, które tak zaabsorbowały ich uwagę, że pomogły nam wydatnie przy przekraczaniu zalanej światłem areny, na której decydowały się losy naszego życia. Zawsze staraliśmy się być w dobrych stosunkach z płynem, który je wypełniał i teraz dało to owoce i to jeszcze jakie. Jestem przekonany, że uratowana od hańby nalewka z Leśnej Podkowy dała znać krewnej z Wybrzeża jakimiś niedostępnymi dla umysłu ludzkiego drogami o naszych zamiarach i ta, idąc nam z pomocą, w tej chwili rozluźnia „ludową czujność” strażników i przekreśla wszelkie groźne dla nas zarządzenia bezpieki.

Po kolacji, Nilsson i milczący Szwed zaprowadzili nas do kabiny i oświadczyli, że pozostaniemy tutaj przez noc. O szóstej rano będziemy obudzeni i ukryci na dnie statku, gdyż może przed jego odejściem, między 9-10 rano, przyjdzie rewizja.

W kabinie nastąpiło bardzo gorące pożegnanie z Nilssonem. Dziękowałem mu z wylaniem za pomoc, a on, prawdziwie po polsku objął mnie i ucałował w oba policzki, także mocno wzruszony. Wychodząc dodał jeszcze:

— Życzę wam szczęścia — i drzwi się zamknęły za odważnym człowiekiem, który wprawdzie nie dawał tej pomocy bezinteresownie, ale ryzykował wielokrotnie więcej, niż otrzymana suma była warta.

Zostaliśmy sami już w innym świecie. Wspaniale urządzona, pachnąca czystością, wyłożona czerwonym drzewem kabina, dwa wygodne łóżka i atmosfera czegoś

zupełnie odmiennego od tego, w czym żyliśmy od wielu lat.

Patrzyliśmy na siebie ze zdumieniem, nie wierząc własnym oczom. Byliśmy już na statku, ale nie dotarło to jeszcze do naszej świadomości, która wciąż tkwiła w czterech ścianach małej pułapki, skąd parę godzin temu nie było dla nas żadnego wyjścia. Później napłynęła fala radości i rzuciliśmy się sobie w objęcia, ciągle nieprzytomni na myśl, że już po wszystkim. W tej chwili ani do głowy nam nie przyszło, że mogą nas jeszcze znaleźć na statku.

Dlaczego poszło tak gładko? Doszedłem do wniosku, że głównie dlatego, że wybraliśmy do ucieczki miejsce, jak mówił Nilsson, najlepiej strzeżone na Wybrzeżu. Bezpieczeństwo, która poobsadzała wszystkie ciemne mola, gdzie stały węglowce i statki handlowe oraz przystanie kutrów rybackich, istotnie przez myśl nie przeszło, że możemy ryzykować przejście przez kilka posterunków na Drottning Victorię.

Gdy podniecenie opadło, ogarnęło nas śmiertelne znużenie. Rzuciliśmy się na łóżka i pierwszy raz od ucieczki z Warszawy przespaliśmy noc, jak kamień. Trzeba było mocnego pukania, by nas obudzić o szóstej rano.

Pośpiesznie ubrani, wyszliśmy z kabiny i prowadzeni przez milczącego wczorajszego znajomego, dotarliśmy rozmaitymi przejściami i zakamarkami na sam spód statku. Nim to się jednak stało, miałem możliwość, przechodząc przez pokład, rzucić ostatnie spojrzenie na Gdynię i Wybrzeże. Wstawał wyjątkowo jak na listopad pogodny dzień. Nad taflą spokojnej, portowej wody, poznaczoną tęczowymi smugami tłustego oleju, unosiła się lekka mgiełka, pokreślona pionami licznych masztów. Nad wodą kołowały leniwie mewy, coś do nas pokrzykując. Nad mgłą, jak zawieszzone w powietrzu, unosiły się dalekie kontury wzgórz, otaczających Gdynię. Westchnąłem i z tym ostatnim obrazem Polski zanurzyłem się w ciemnym przejściu.

Szwed kazał nam się położyć na wódrach, leżących na podłodze niewielkiego pomieszczenia i zakazał rozmowy i w ogóle poruszania się aż do czasu, dopóki po nas nie przyjdzie, chociażby to miało trwać wiele godzin. Wy-

dawszy te instrukcje, zgasił światło i wyszedł, zamknawszy nas od zewnątrz.

Zostaliśmy w zupełnych ciemnościach i przeleżeliśmy tak parę godzin, szepcząc jedno do drugiego wargami, przytkniętymi do ucha. Wreszcie, najpierw łagodny, a później stopniowo potęgujący się szum zwrócił moją uwagę. Wyciągnąłem w ciemnościach rękę i dotknąłem zimnej, metalowej ściany statku. Wibrowała! Scisnąłem Zosi rękę i szepnąłem:

— Już płyniemy.

Po dwóch godzinach rozległy się w sąsiednim pomieszczeniu głośnie kroki, klucz zazgrzytał w zamku i oślepił nas strumień światła, jaki uderzył w odwykłe od blasku oczy. We drzwiach stał uśmiechnięty Szwed:

— Wstawajcie. Jesteśmy już na pełnym morzu. Nic wam już nie grozi.

Te słowa nie zrobiły na nas prawie żadnego wrażenia, tak już poczuliśmy się pewni, znalazłszy się na statku. Wróciliśmy tą samą drogą do kajuty, kryjąc się wyraźnie przed resztą załogi. Naokoło jak okiem sięgnąć majestatyczne, pofałdowane falami morze i samotny, olbrzymi statek z welonem dymu, opadającym na wodę, wiozący nas w nowy, nieznany świat.

Gdy nasz opiekun wychodził, nakazując nam pozostanie przez cały czas drogi w kajucie, zapytałem, chcąc zaspokoić zjadającą mnie ciekawość:

— A czy nie było żadnych trudności ze strażnikami?

Szwed machnął lekceważąco ręką:

— Prawie żadnych. Jeden tylko z nich upierał się trochę, że ta szwedzka para, która poszła na kolację, nie zeszła ze statku, ale mu wytłumaczyliśmy, że widocznie upił się i zasnął, gdyż para wróciła na ląd o trzeciej w nocy. Zamilkł wówczas, a że inni go nie podtrzymali, więc statek odszedł bez przeszkód. Jutro rano będziecie już w Szwecji.

W SZWECJI

7 listopada 1947.

Po portu w Trelleborgu dotarliśmy 6-go wczesnym rankiem. Na przystani spotkał nas uprzejmy pan w śred-

nim wieku, któremu pokazałem moją legitymację poselską i wyjaśniłem po niemiecku, kim jesteśmy, dlaczego uciekliśmy z Polski i poprosiłem o azyl. Uprzejmy pan zamiast odpowiedzi pokazał mi szwedzką gazetę sprzed dwóch tygodni ze wzmianką o naszej ucieczce, po czym poinformował, że Bagiński z żoną szczęśliwie przedostał się na teren amerykańskiej okupacji w Niemczech, natomiast Hulewiczowa, wraz z towarzyszącymi jej Wincentym Bryją i sekretarzem Mikołajczyka, Dąbrowskim, zostali schwytani w Czechach i wydani Polsce. Zmartwiło nas to niezmiernie i w czasie śniadania z nieznanym mówiło się tylko o tym. Może by do tego nieszczęścia nie doszło, gdyby się posłuchano mojej rady, udzielonej w lecie na tajnej naradzie w willi Mikołajczyka.

Z kolei zostaliśmy zaprowadzeni do hotelu, gdzie nieznamy oświadczył nam, że możemy robić w Trelleborgu co nam się żywnie podoba, z wyjątkiem wyjazdu do Sztokholmu, gdyż w tej sprawie miejscowe władze muszą się porozumieć z centralnymi, którym zostanie zakomunikowane: po pierwsze moja prośba o azyl, po drugie życzenie, by nie nadawać naszemu przybyciu do Szwecji rozgłosu, gdyż pragnę jak najszybciej wyjechać stąd do Anglii.

Siedzimy więc w hotelu, przyzwyczajając się do nowej sytuacji, przeglądamy ilustrowane tygodniki i bez końca omawiamy szczegóły udanej ucieczki, przeżywając ją za każdym razem na nowo. Ale jesteśmy już po szoku, więc napięcie mija i nerwy się uspakajają. Spimy doskonale, jemy w restauracji nieznane szwedzkie smakołyki, patrząc jednak z obrzydzeniem na gości, zapijających śledzie mlekiem. Spacerujemy też po ulicach i porcie niewielkiego, czystego ale dobrze uprzemysłowionego miasta. Spokojne i śpiące nie robi wrażenia portu, który w zasadzie powinien „pulsować życiem”. Ludzi na ulicach niewiele, poruszają się cicho, mówią półgłosem. Nawet nie słysząc krzyku dzieci. Nastrój mieszany, bo jeszcze się cieszymy z ucieczki, ale już zaprzatają głowę nowe kłopoty. Czy uda się dostać do Anglii? Co będziemy tam robić i z czego żyć? Poza tym wszystko tutaj inne i obce. Wprost nie chce się wierzyć, że dzieli nas od polskich wybrzeży tylko 300 km. wody. Oba kraje są tak różne, jakby je dzieliło tysiące mil.

Dziś popołudniu, gdy wyszliśmy na podmiejską drogę, gdyż ciągle spacerujemy, nie mogąc usiedzieć bezczynnie na miejscu w cichym hoteliku, dopędził nas na rowerze uprzejmy pan. Twarz miał zafrasowaną, a i w nas serca upadły, gdy usłyszeliśmy złą nowinę:

— Cała załoga Drottning Victoria aresztowana w Gdyni, zaraz gdy tam statek ponownie zawinął. Również zatrzymane i poddane rewizji wszystkie statki szwedzkie, znajdujące się w porcie gdyńskim. Zdaje się, wasza ucieczka została wykryta, bo i Karl Nilsson aresztowany również. Lepiej będzie, jeśli dziś wyjedziecie do Sztokholmu, tam będzie dla was bezpieczniej.

Co za nieszczęście! Dlaczego tak się stało? I Nilsson także! Co mogło być tego przyczyną? Głowiłem się nad tym niedługo, bo odpowiedź narzucała się sama. Widocznie ten wartownik, który upierał się, że nie wróciliśmy ze statku na ląd, zameldował o tym, a wówczas bezpieka, po zadaniu mu kilku pytań, na przykład jak rzekoma szwedzka para wyglądała, od razu się zorientowała, że to my.

Wróciliśmy do hotelu zupełnie złamani. Myśl, że ktoś inny będzie pokutował za naszą ucieczkę była nieznośna i pozbawiła nas resztek radości z odzyskanej wolności.

W nocy otworzyły się bezszelestnie drzwi i weszły trzy męskie postacie. Nim zdążyłem zapytać: „Kto to?” — już byłem w ich mocy. Potrójny ciężar ciał przygwoździł mnie do materaca. Na gardle czułem ucisk żelaznej ręki, zabrakło mi tchu i zacząłem się dusić. Ostatnim aktem woli zebrałem wszystkie siły i kilkoma błyskawicznymi ciosami strąciłem z siebie napastników. Dосkoczyłem do kontaktu i ostre światło zalało pokój w chwili, gdy trzech mężczyzn ruszało do ataku na mnie. Włosy mi stanęły na głowie, gdy rozpoznałem w nich Różańskiego i dwóch jego podkomendnych z warszawskiej bezpieki. Ale już obalony leżałem na podłodze, czując na skroni zimne dotknięcie lufy rewolweru. Resztą tchu w płucach krzyknąłem: „Na pomoc!...”

Ocknąłem się. Obudziło mnie mocne szarpanie. Nade mną stała przerażona Zosia, wołając:

— Stefan, na miłość boską, co ci jest? Czego tak strasznie krzyczysz?

Oprzytomniałem od razu:

— To nic, głupstwo. Śniło mi się, że mnie napadła bezpieka. Już mieli mnie zastrzelić, gdy mnie obudziłaś...

PRÓBA PORWANIA

14 listopada 1947.

Do Sztokholmu pojechaliśmy z wszelkimi ostrożnościami, pożegnani na dworcu przez uprzejmego pana. Zdziwiło mnie, że w związku z koniecznością przesiadki na inny pociąg w Malmö, poinstruował nas, że nie należy wychodzić na dworzec i że na takim a takim torze zastaniemy wagon sypialny, w którym będzie otwarty przedział X. Zapytałem, dlaczego te ostrożności. Odpowiedział zupełnie szczerze:

— Także w Szwecji musicie się mieć na baczności. Tu już zdarzały się dziwne rzeczy z uchodźcami.

Śmiałem się w duchu z tego ostrzeżenia, ale zgodnie ze wskazówkami, dotarliśmy do otwartego przedziału bez omyłek i pytania się kogokolwiek o drogę.

Gdy pociąg przybył do Sztokholmu, weszło do naszego przedziału dwóch młodych ludzi, z których jeden mówił po niemiecku, a drugi po angielsku i z uprzejmym uśmiechem na twarzy poinformowali nas, że są wraz z autem do naszej dyspozycji. Pojechaliśmy zaraz razem na śniadanie, a później na pocztę, skąd wysłałem depeszę do Mikołajczyka i mego przyjaciela Mieczysława Thugutta z poufną wiadomością, gdzie się znajdujemy i prośbą o jak najszybsze zabranie nas do Anglii.

Parę dni żyliśmy spokojnie w małym hoteliku na Vasa Gatan, ciesząc się wolnością i spędzając czas na oglądaniu pięknego miasta, będącego harmonijnym połączeniem wody, skał, drzew, średniowiecznych pałaców i ultranowoczesnych budowli. Wszystko w nim po ruinach Warszawy było dla nas nowe, bogate i... obce. Wszędzie bił w oczy dobrobyt i spokój w ludziach, w ulicy, w hotelu i mieście. Ruiny Warszawy, które wciąż mamy w pamięci, wyglądają w porównaniu z tym, co widzimy, jak zmora. Ale ludzie mają twarze bez wyrazu, tak odmienne od warszawskich, na których wojna i okupacja wypisały niezatarte piętno, bardzo je w ten sposób uczłowiczając.

Władze szwedzkie zapewniły mnie, że otrzymamy prawo azylu i nie zostaniemy wydani Warszawie, ale przyjęły z ulgą wiadomość, że pragniemy jak najszybciej wyjechać do Anglii. Przydzieliły one do nas tłumacza, Szweda polskiego pochodzenia, p. Pomiana, potomka powstańca z 1863 roku i to jeszcze bardziej uprzyjemniało pobyt w gościnnym mieście. Ich gotowość do wszelkiego rodzaju pomocy, której nie przyjąłem, była nadzwyczajna i pozostała na zawsze w mej wdzięcznej pamięci. Szwedzi z bliska byli takimi, jakimi ich sobie wyobrażałem na podstawie akcji księcia Bernadotte, który w ostatnim roku wojny wymógł na Himmlerze zgodę na wywiezienie do Szwecji paru tysięcy więźniarek i w ten sposób uratował je w ostatniej chwili od niechybnej zagłady. Taki też obraz wyrobiłem sobie o Szwedach, obserwując wspaniałą pracę Szwedzkiego Czerwonego Krzyża w powojennej Polsce. Jedyne słowa krytyki, wypowiedziane pod adresem Szwedów, jakie słyszałem, wyszły z ust dziewięcioletniego Wojtka, syna mego przyjaciela, który spędził lato na kolonii, zorganizowanej przez Szwedów w Polsce. Na zapytanie, jak było na obozie i czy jedzenie było dobre, pochwalił wszystko z jednym wyjątkiem:

— Wujku, oni podają razem kakao na gorzko, a kielbasę na słodko! Brrr...

I tutaj Wojtek wykonał parę ruchów, które wskazywały, że jego żołądek odsyłał tę mieszkankę z powrotem.

Tak życie nasze wyglądało z zewnątrz. Wewnątrz zamartwialiśmy się aresztowaniami w Gdyni, niecierpliwie wyczekując na każdą dalszą wiadomość.

Spokój prysnął bez śladu 12 listopada. Wracaliśmy do hotelu z p. Pomianem, gdy uwagę jego zwróciły głosy sprzedawców gazet, wykrzykujących jakiś tytuł. Kupił gazetę, spojrzał na pierwszą stronę pisma „Expressen” i zwrócił się do nas:

— Tajemnica odkryta. Tu jest cała historia waszej ucieczki.

Gdy weszliśmy do hotelu, rozpoczęło się piekło. W ciągu paru godzin przez nasz skromny pokój przewalało się kilkudziesięciu dziennikarzy i fotografów. Blask lamp i reflektorów, cudzoziemskie głosy, zadające pytania w kilku językach, hałas i tłok. Na bezceremonialne żądania sia-

daliśmy i wstawaliśmy, uśmiechaliśmy się do siebie lub do aparatów fotograficznych, trzymaliśmy się za ręce lub pod ręce, nawet wygrażałem pięścią niewidzialnej, odległej ode mnie o 300 km. bezpiece. Po pewnym czasie zjawił się także poseł Potworowski, konsul Stefaniak i kilku rodaków i oni wreszcie wprowadzili jaki taki porządek w cały ten rozgardiasz. Ale największą radością było zjawienie się Cesi Broniewskiej, naszej współpracownicy z podziemia i przyjaciółki, której się udało w roku 1946 wydostać z kraju i zamieszkać w Sztokholmie. Przynajmniej jedna znajoma, przyjazna dusza...

Na drugi dzień, to jest 13 listopada, gdziekolwiek ukazaliśmy się na mieście, wszędzie witały nas uśmiechy i pozdrowienia, wypowiadane w nieznanym języku. „Svenska Dagbladet”, „Stockholms Tidningen”, „MT Morgen Tidningen” i „Dagens Nyheter” dały nasze fotografie i wywiady na pierwszej stronie i stąd ludzie nas poznawali. Było w tym coś bardzo ludzkiego, od czego odwykliśmy w ciągu wilczych lat wojny.

Pewnego pieprzu dodała wiadomość, że poseł rządu warszawskiego w Sztokholmie, Adam Ostrowski, były kierownik Walki Cywilnej na okręg lwowski i przez to mój podwładny, zresztą karierowicz bez żadnych przekonań, czci i wiary, wniósł w związku z moją ucieczką ostry protest i zażądał wydania mnie „prawowitym władzom polskim”, jak również wycofania konsula szwedzkiego w Gdańsku, Jana Fryderyka Bergendahla, rzekomo zamieszanego w tę sprawę. Wyobrażam sobie zdumienie tego człowieka, którego nazwisko pierwszy raz usłyszałem w Sztokholmie, gdy go powiązano z naszą ucieczką!

Sensacją tego dnia było jednak zupełnie co innego. Po południu zadzwonił telefon i usłyszałem w nim zdenerwowany głos świeżo poznanego rodaka:

— Od tej chwili niech państwo nie przyjmują żadnego telefonu i nie wychodzą z pokoju. Jesteście w niebezpieczeństwie. Za kwadrans przyjadę i wszystko wyjaśnię.

Już po kilkunastu minutach słuchaliśmy fantastycznej historii, opowiedanej przez podnieconego rodaka, nie wierząc wprost własnym uszom:

— Wczoraj była próba uprowadzenia was z hotelu. Późnym wieczorem podjechało w jego sąsiedztwo auto

polskiego attaché militaire, majora Nadzina i ukryło się w pobliskiej, ciemnej i nieuczęszczanej uliczce. Z auta weszło czterech mężczyzn do waszego hoteliku, gdzie właściciel przepuścił ich bez pytania, przyzwyczajony do tego, że do was przychodzą różne osoby. Już byli przy waszych drzwiach, gdy coś ich spłoszyło.

Odniosłem się sceptycznie do tej wiadomości:

— Skąd pan to wszystko wie?

Nasz gość nie stracił na pewno siebie:

— Niedługo dowie się pan o tym z innych źródeł.

Nie napisałbym o tym wszystkim ani słowa, kładąc całe opowiadanie na karb bujnej wyobraźni przeczulonego rodaka, gdyby nie wizyta urzędnika jednej z zachodnich ambasad, która nastąpiła zaraz po wyjściu pierwszego gościa. Młody, średniego wzrostu dyplomata, zachowując się z nadzwyczajną flegmą, poinformował nas obojętnym tonem, jakby mówił o najzwyczajniejszej rzeczy na świecie, że jesteśmy w niebezpieczeństwie i w związku z tym zaprasza nas imieniem swego przełożonego do zamieszkania w poselstwie do czasu naszego wyjazdu ze Szwecji.

Teraz już sprawa wyglądała poważniej, ale nie mogliśmy się nią zbyt przejąć, gdyż po udaniu się ucieczki żadne niebezpieczeństwo nie było w stanie wytrącić nas z równowagi. Natomiast przeraziła mnie perspektywa opuszczenia przytulnego pokoiku i zamieszkania wśród nieznamych cudzoziemców. Odmówiłem więc uprzejmie, ale kategorycznie, prosząc co najwyżej o broń, na co młody dyplomata oświadczył z tym samym, co poprzednio spokojem, że bez nas z hotelu nie wyjdzie i że w każdym razie musimy zaraz z nim pojechać do poselstwa i tam się rozmówić z kim należy. Pojechaliśmy zatem i w rezultacie zjedliśmy kolację i spędziliśmy przemłą wieczór w domu pierwszego sekretarza, zakłócony tylko wizytą jakiegoś spóźnionego reportera i fotografa, którzy nas tam jeszcze zdolali dopaść.

Dalszym potwierdzeniem tego, że coś nam jednak groziło, była rada, udzielona przez miarodajne czynniki, by przyspieszyć wyjazd. Dano nam wprost do ręki bilety lotnicze, dokumenty i wizy i odwieziono na lotnisko.

Gdy wsiadaliśmy do samolotu, dojrzałem obok schodków dwie młode, miłe, męskie twarze. Wpatrzyłem się

w nie uważnie, starając się uprzytomnić sobie, gdzie ja je uprzednio widziałem. Młodzi mężczyźni, zauważywszy moje spojrzenie, uchyłili z lekka kapeluszy.

Dopiero w samolocie pamięć dostarczyła odpowiedniego zdjęcia. Toż to wczoraj wieczorem, słysząc liczne kroki koło naszych drzwi, wstałem z łóżka i wciągnąwszy coś niecoś na siebie, wyjrzałem na korytarz. Nie było nikogo, jedynie w otwartych drzwiach sąsiedniego numeru stali tylko co widziani dwaj młodzi mężczyźni...

Zrobiło mi się jasno w głowie. To te dwa opiekuńcze duchy, umieszczone w sąsiednim pokoju przez przewidujące szwedzkie władze, odstraszyły towarzyszy majora Nadzina od „próby porwania”. A swoją drogą to nadzwyczajna beczelność, by sobie pozwalać na takie akcje w obcym kraju.

Transatlantyczny samolot, lecący do New Yorku, zaabsorbował mnie całkowicie. Nigdy takim olbrzymem nie leciałem. Ale nie mogłem oddawać się spokojnej kontemplacji obszernego wnętrza, wygodnych foteli i długich skrzydeł, widocznych w smudze światła niewidzialnych lamp, gdyż ciągle mi ktoś przeszkadzał. A to stewardessa częstowała owocami, a to czekoladkami, a to znów czymś mocniejszym. Później przysiadł się kapitan i po angielsku objaśnił Zosi, która ten język nieco zna, całą trasę lotu. Okazywano nam tyle uprzejmości i uwagi, że musiała stać za tym czyjaś rekomendacja.

Gdy samolot wylądował w Prestwick i zmierzaliśmy ku wyjściu, zbliżył się do nas jeden z dalej jadących pasażerów i zaczął coś mówić szybko i z przejęciem. Kiwałem bezradnie głową, że nie rozumiemy, na co ten skreślił na trzymanej w ręku gazecie kilka słów i wcisnąwszy mi ją w garść, wrócił na swoje miejsce.

Czekając w ogonku na załatwienie formalności, spojrzałem na pierwszą stronę. Pod tytułem „Stockholm Tidningen” i datą 13 listopada 1947, widniała nasza duża fotografia, a obok niej słowa, skreślone ręką nieznanego towarzysza podróży:

— *Welcome in the free world! God bless you!*

Z tym dobrym życzeniem weszliśmy w nowe życie.

EPILOG

Jest już styczeń 1956 roku, gdy te wspomnienia idą do druku i dużo od naszej ucieczki zaszło w kraju nowych rzeczy i zmian. Najpierw Sejm pozbawił mnie, uchwałą z 15 listopada 1947 roku, mandatu poselskiego. Następnie rozpoczęło się w różnych procesach ujawnianie moich stosunków z nowym podziemiem, jak gdyby z ukrytym celem usprawiedliwienia zamierzonego aresztowania. Pierwszym, który mnie „obciążył”, był stary znajomy, Adam Obarski, z PPS, siedzący od dawna w więzieniu. Stwierdził on, badany jako świadek w jednym z procesów, że byłem w stałym kontakcie z naczelną władzą nowego podziemia, Komitetem Porozumiewawczym Organizacji Demokratycznych Polski Podziemnej, czy nawet jego członkiem. Z kolei, w procesie Kasznicy i Leszka Neumana z NSZ, który rozpoczął się 12 lutego 1948 roku, ten ostatni, również dobry mój znajomy jeszcze z poznańskich czasów, ujawnił swój poufny ze mną kontakt. Skazano go zresztą na śmierć. Jako trzeci zeznawał na ten sam temat Zygmunt Lachert ze Stronnictwa Narodowego, doprowadzony z więzienia na proces Karla Nilssona, który się rozpoczął 2 października 1948 roku i zakończył skazaniem Nilssona na pięć lat więzienia, którą to karę już odbył i powrócił do Szwecji. Według „Głosu Ludu” z 4 października 1948 roku, świadek Lachert: „opowiada sądowi o podziemnej działalności Korbońskiego po wyzwoleniu kraju. Według zeznań świadka, Korboński pełnił funkcję łącznika między legal-

nym mikołajczykowskim PSL, a podziemną organizacją „Ośrodek”, grupującą przedstawicieli nielegalnego SN, WRN i WIN. Świadek dodaje, że w okresie, poprzedzającym ucieczkę Korbońskiego, „Ośrodek” czynił przygotowania do rozwinięcia działalności zagranicą, zwłaszcza w Ameryce”. Innymi słowy Lachert zrobił coś w rodzaju aluzji, że moja ucieczka łączyła się z tymi planami.

Pisząc te słowa, musiałem zerknąć w lustro. Nigdy nie przypuszczałem, że osoba, której odbicie w nim widzę, jest takim zawziętym konspiratorem. Kto by to przypuszczał?

Wreszcie, w połowie grudnia 1951 roku odbył się w Warszawie proces, w którym, gdybym nie uciekł, zasiadłbym niewątpliwie na ławie oskarżonych razem z Pajorem, Ojrzyńskim, Nienałtowskim i Czystowskim. Sprowadzeni do sądu z więzienia świadkowie Kurczewski i Zborowski, oskarżyli mnie o mordowanie osób „z lewicy” przy pomocy sądów podziemnych („Życie Warszawy” z 14 grudnia 1951 roku).

Tyle, jeśli chodzi o mnie. Co się tyczy innych wydażeń i zmian, to mnóstwo ich ciśnie się pod pióro do zanotowania.

Oto wędrują do więzienia na wiele lat najbliżsi współpracownicy Mikołajczyka, ludzie niezmiernie mu oddani, których przywiózł ze sobą z Londynu. W ten sposób płacą za jego ucieczkę Paweł Siudak i Witold Kulerski. Również Maria Hulewiczowa, Wincenty Bryja i sekretarz Dąbrowski, schwytani w czasie własnej ucieczki, otrzymują wieloletnie kary pozbawienia wolności.

Oto niezłomny Kazimierz Pużak, postawiony w listopadzie 1948 roku przed sąd odmawia zeznań, nie chcąc uznać siedzących za stołem sędziowskim ubeków za organ wymiaru sprawiedliwości. Skazany na wieloletnie więzienie, wkrótce w nim umiera.

Przed sądem wojskowym stają także dwaj słynni partyzanci i nareszcie kraj dowiaduje się ich prawdziwych nazwisk. Jeden z nich, to Zapor z lubelskiego, obecnie Hieronim Deputowski, a drugi, to Murat — Jan Małolepszy.

Wracają po raz drugi do więzienia moi starzy znajomi z podziemia, pułkownicy AK, Rzepecki, Radosław-Mazurkiewicz i Wolański-Gorazdowski, po to, by po dłuższym w nim pobycie znaleźć się ponownie na wolności.

Nie ma już PPS i PPR, które połączyły się w Polską Zjednoczoną Partię Robotniczą. W ich ślady poszło PSL i SL, które razem utworzyły Zjednoczone Stronnictwo Ludowe, będąc w tej chwili tylko wiejskim odgałęzieniem partii komunistycznej.

Upłynęła już kadencja Sejmu z 1947 roku i jest nowy, „wybrany” w roku 1952, według całkowicie odmiennego systemu fałszerstw. Gdy w roku 1947 okazało się, że masowe fałszowanie wyników w 5.227 obwodowych komisjach wyborczych prowadzi nieuchronnie do zdekonspirowania nadużyć, tym razem zdecydowano się nie ujmować czy dosypywać kartek wyborczych do urn, a tylko sfałszowano protokoły kilkudziesięciu okręgowych komisji wyborczych i to w gronie paru najbardziej zaufanych komunistów, z wyeliminowaniem nawet dygnitarzy bezpieczeństwa i sowieckich specjalistów od wywabiania pisma i fałszowania podpisów.

Co ciekawsze jednak, to fakt, że bożyszczce pepeerowskie z lat 45-47, „uwielbiany przez masy ludowo-robotnicze”, komunista Nr 1, towarzysz Wiesław-Władysław Gomułka, znalazł się również za kratami, pod zarzutem prawicowego odchylenia. Zamknięto także generała Mariana Spychalskiego, który przecież musiał kiedyś zapłacić za takie „reakcyjne” pomysły jak na przykład przyjmowanie do armii przedwojennych zawodowych oficerów. Siedzi także marszałek Żymierski, z którego zrobiono arcyszpiega, służącego kolejno polskiej przedwojennej dwójce i wywiadowi francuskiemu, a w czasie wojny Gestapo i wywiadowi sowieckiemu. Kręcę nad tym wszystkim głową, mrucząc pod nosem dobrze znaną ludowo-demokratyczną maksymę: „Bez odsiadki życia nie ma”.

Dwa jednak dalsze aresztowania zmuszają mnie do filozoficznych rozmyślań nad znikomością dóbr tego świata. Bo czyż mogłem przypuszczać w roku 1945, gdy mnie badał w bezpiece płk. Roman Romkowski i kpt. Józef Różański, że w dziesięć lat później oni sami zasiądą w zacisznych jej celach, może tych samych, w których badali i katowali członków podziemia. I to w dodatku pierwszy z nich, już jako generał i wiceminister bezpieczeństwa, drugi — jako pułkownik. Właśnie „New York Times” z 29 grudnia 1955 roku doniósł o skazaniu Różańskiego na pięć lat więzienia.

Nosił wilk, ponieśli i wilka. Tak to Kronos komunistyczny pożera własne dzieci, nigdy nie syty ofiar i krwi.

Dziś wiadomo powszechnie, że widziany przeze mnie dwukrotnie doradca bezpieki, legendarny sowiecki generał Malinow, to Sierow, następca Berii, obecny władca sowieckiej policji politycznej. Dziś Radkiewicz nie jest już ministrem wszechwładnej bezpieki, a spożywa gorzki chleb niełaski, kierując Państwowymi Gospodarstwami Rolnymi. (Dowcip warszawski: Co to jest P.G.R.? — Przyszły grób Radkiewicza!)

Obecnie wyszły na jaw wewnętrzne stosunki w polskiej partii komunistycznej, tak jak w żadnej innej. Od tego, co dziś wiemy, oczy wywracają się ze zdumienia. Okazuje się, ten sam PPR, który oskarżał nasze podziemie o niechęć walki z Niemcami i „stanie z bronią u nogi”, współpracował z Gestapo, czym kierował Jerzy Albrecht, którego tyle razy oglądałem w Sejmie. Dziś wiemy, że „syn ludu pracującego, zrodzony w nędzy i poniżeniu”, Bolesław Bierut, ma do swej dyspozycji dziesięć zameczków i pałacików, gabinety myśliwskie, salonki, samoloty, kochanki i setki służby oraz że były na niego trzy nieudane zamachy: jeden z nich, dokonany przez robotnika, a drugi przez żołnierza z własnej ochrony, a więc nie przez „reakcyjne podziemie”.

Został ujawniony wewnętrzny mechanizm partii komunistycznej, oparty na niebywałym szantażu, według szablonu: Radkiewicz ma zarejestrowane w aktach grzechy członków politbiura, Bierut ma u siebie akta z grzechami Radkiewicza, a Moskwa z grzechami Bieruta. W ten sposób w piramidzie szantażu, stojący wyżej trzyma za gardło stojącego niżej.

Obecnie wiemy więcej o wewnętrznych tajemnicach bezpieki, niż dwa lata temu wiedział najlepiej funkcjonujący zachodni wywiad.

A od tego wszystkiego, co teraz doszło do naszej wiadomości, bierze głębokie obrzydzenie i rozpacz, że to dzieje się w kraju, który nigdy na to nie zasłużył i wśród ludzi, których bohaterstwo i cierpienia godne są lepszego losu. Najgorsze zaś to, że nad Polską zawisła ciemna noc i nie widać najmniejszych oznak zbliżającego się świtu.

Na emigracji czekała nas masa nowych wrażeń i przeżyć. Już w pierwszych tygodniach doszło do starć między Bagińskim i mną z jednej strony, a Mikołajczykiem z drugiej, aczkolwiek na zewnątrz przez dwa lata udało nam się utrzymać pozory harmonii w interesie dużej roli, jaką Mikołajczyk mógł jeszcze odegrać na emigracji. No, ale z tych planów nic nie wyszło, rozejście stało się nieuniknione i rzeczywiście nastąpiło w początkach 1950 roku, już po ucieczce z kraju w grudniu 1948 roku drugiej grupy ludowców, a mianowicie Stanisława Bańczyka, Stanisława Wójcika, Władysława Zaremby i Bronisława Załęskiego. Ci z kolei rozstali się z Mikołajczykiem w roku 1955 i rozbitcie PSL na emigracji stało się zupełne.

Wskoczyłem równymi nogami w życie emigracyjne, czyniąc przy tym na prawo i lewo różne obserwacje, które to zajęcie kontynuuję z pasją do dziś dnia. Najpierw na wyspie brytyjskiej odkryłem znakomicie zachowane szczątki tej przedwojennej polskiej rzeczywistości, którą wojna w kraju zlikwidowała bez reszty. Pokonawszy pierwsze trudności językowe, stworzone przez czas i odmienne warunki (nie bardzo rozumiałem tej polskiej mowy, jaką do mnie stamtąd przemawiano), dowiedziałem się, że kraj od 1945 roku jest niemową, że państwo polskie i śmietanka narodu jest na emigracji i że największym naszym dobrem jest legalizm, który na szczęście, udało się uratować tym kilku odważnym przywódcom, którzy zdołali go wywieźć zagranicę już w pierwszych dniach wojny. Zrazu nie bardzo wiedziałem, o co chodzi, ale przytomny zawsze tłumacz i opiekun szepnął mi do ucha: „Szosa zaleszczycka” — i zrobiło mi się jasno w głowie.

Później doszło mnie stamtąd ostrzeżenie, że przede wszystkim należy wystrzegać się zachodnich agentur i poinformowano mnie o obowiązujących w tej mierze zasadach. Gdy nieśmiało zauważyłem, że według nich nie należałoby dzisiaj podawać ręki ani Kościuszcze, ani Pułaskiemu, bo byli to „amerykańscy agenci na obcym żołdzie”, oburzono się na mnie i powiedziano, że kalam świętości, ale nic poza tym.

Dowiedziałem się także, że nie wolno utrzymywać kontaktów z krajem, bo jak jest on niemową i to w dodatku niepiśmienną i niedorozwiniętą, to po co go pytać? Sami

lepiej wiemy. Nie chciałem się z tym zgodzić i nie godzę do dziś dnia, ale chyba będę musiał ustąpić przed tak wielkim autorytetem, jak były „premier”, który wyraźnie powiedział: „... a nasz rząd na szczęście nie posiadał żadnych tajnych agend w kraju, ani też żadnych kontaktów.” (Patrz „Kultura” z listopada 1955 roku, str. 97.) Na razie jeszcze wydaje mi się, że ogłosił on za cnotę to, co jest największą słabością i upośledzeniem rządów na emigracji.

Z kolei poinformowano mnie, że nasze PSL współpracowało w kraju z komunistami i z tego powodu nie może należeć do obozu niepodległościowego, a ci pomordowani przez bezpiekę ludowcy, których listę pokazałem, to wcale nie ofiary walki, a owoce współpracy!

Czas płynął i przybywało każdego tygodnia doświadczeń i obserwacji. Zauważyłem, że niemieccy kolaboranci nie tylko cieszą się spokojnym życiem, ale pisują nawet łzawe historyjki o bohaterskiej walce podziemia z hitlerowskim okupantem. Starałem się to sobie jakoś wytłumaczyć. A to, że czas zaciera różnice, a to, że ludzie mają dziś do tych spraw inne podejście itp. Ale nie wiele pomagało. Dopiero lepiej zrozumiałem te zmiany, gdy zacząłem czytać ckliwe opowieści Sławoja-Składkowskiego na temat „nie było tak źle”. Maluczko, a zacznę razem z nim ronić łzy nad cierpieniami „granatowych chłopców”, zmuszonych przez okrutny los do strzelania w piersi buntowniczych chłopów (a padło ich 42 w czasie strajku chłopskiego, który się rozpoczął 16 sierpnia 1937 roku).

Ostatecznie zrobiło mi się jasno w głowie, gdy przeczytałem, że czołowi przywódcy NSZ poskładali wizyty potężnym żydowskim organizacjom, zaraz po przyjeździe do Now Yorku. Czasy się zmieniają, więc i poglądy również.

Pewną pociechę znalazłem w odkryciu, że Związek Przyszłych Premierów, o którym piszę w tej książce, istnieje także na emigracji. Ba, nie tylko istnieje, ale kwitnie i liczy parę setek dożywotnych członków! Wstyd mi się nawet zrobiło za naszą kilkuosobową krajową ekipę.

A obok tego wszystkiego zwarta masa polskiej emigracji: byłych Akowców, żołnierzy, marynarzy i lotników, robotników miejskich i chłopów, działaczy politycznych i społecznych, wyrosłych z kierunków, mających swe korzenie w kraju, tysiące inteligencji zawodowej, uczonych, pi-

sarzy, malarzy i artystów, a wśród nich młode pokolenie, wybijające się w wolnym świecie. Przeszło pół miliona ofiarnych, patriotycznych Polaków, marzących każdego dnia o powrocie do wolnej Polski i ślących codziennie do kraju nie tylko myśli i platoniczne uczucia, ale tysiące cennych paczek, które ratują ich rodziny od głodu i nędzy i podtrzymują je na duchu, jako dowód pamięci i pomocy z wolnego świata. To jest prawdziwe oblicze emigracji, będące godnym odbiciem oblicza kraju, emigracji ofiarnej, zdolnej do szybkiej, samorządnej akcji, gdy zajdzie tego rzeczywista potrzeba, emigracji, która potrafi w kilka dni zebrać tysiące funtów, jeśli chodzi o ratunek rodaków, którzy znaleźli się w niebezpieczeństwie. Nie pozwoliła ona, by swobodna twórczość polska zamarła i ona to umożliwia wydawanie publikacji naukowych, dzieł literackich i licznej prasy, ona zapełnia teatry, sale odczytowe i miejsca manifestacji.

A za nią stoi potężne zaplecze Polonii Amerykańskiej, Kanadyjskiej, Francuskiej, Brazylijskiej i innych krajów. Potomkowie powstańców 1831 i 1863 roku, bojowców z 1905 roku i tych oraczy, których nędza wygnała z Polski, rozpołowionej przez zaborców. Dzieci tych, dla których nasz kraj był macochą, nie matką, stanęły za nową emigracją zwartym murem, by ramię przy ramieniu walczyć z nią razem o wyzwolenie kraju ich przodków...

Dużo o tych cieniach i blaskach życia emigracyjnego dałoby się powiedzieć, ale, niestety, nie w ramach epilogu. Może by więc rozwinąć te tematy i napisać trzecią książkę? Trylogie są dzisiaj w modzie... Cóżby to było, gdybym tak na przykład napisał jeszcze... „W imieniu Emigracji”?!

K o n i e c.

INDEKS NAZWISK

- Abakanowicz Piotr: 100, 196.
 Albrecht Jerzy: 128, 361.
 Anatolak Łucja: 232.
 Anders Władysław, gen.: 14, 59, 178, 179, 306.
 „Andrus” patrz Zdzisław Krause: 195.
 Andryczówna: 214.
 Augustyński Zygmunt, redaktor: 185, 187, 188, 230, 318.
 „Babinicz”: 231.
 Bach von dem, gen.: 275, 276, 277.
 Baczak Waldemar: 230.
 Bagiński Kazimierz: 33, 44, 48, 173, 188, 189, 289, 311, 339, 340, 341, 343, 351, 362.
 Banach Kazimierz: 19, 187, 289, 322, 329, 330.
 Banaszewski Bogdan: 149.
 Bańczyk Stanisław: 41, 165, 175, 238, 304, 307, 311, 321, 322, 339, 340, 343, 362.
 Barcikowski Wacław: 132, 250, 254, 256.
 Barlicki Norbert: 259.
 Baron: 220.
 Bartels Artur: 272.
 „Bartosz”: 230.
 Bartoszewski: 230.
 Batory Stefan: 147.
 Bayer Witold: 313.
 Bazylewski Wiktor: 289.
 Beck Józef: 300.
 Bedell-Smith: 24.
 „Benedykt” patrz Muzyczka Ludwik: 241.
 Berenson Leon, adw.: 33, 79, 193, 219, 220.
 Bergendahl Jan-Fryderyk: 355.
 Beria: 250, 361.
 Berling: 206.
 Berman Jakub: 248, 288, 302, 303.
 Bernaciak Marian („Orlik”) 132.
 Bernadotte: 354.
 Bernard: 308.
 Bertold Edward: 113.
 Bevin, minister: 263, 288.
 Biejał, adw.: 78.
 Bieńkowski, postępowy katolik: 251.
 Bieńkowski, poseł PPR: 19, 117, 186, 307.
 Bierut Bolesław: 20, 21, 25, 36, 37, 39, 48, 57, 58, 121, 122, 123, 147, 173, 174, 189, 218, 252, 254, 256, 257, 258, 283, 284, 295, 302, 333, 339, 361.
 Bilek Jan, dr.: 84.
 Bittner, adw.: 167.
 Błaszczyk Henryk: 136.
 Błędowski, plk.: 242.
 Bocheński Aleksander: 251.
 Bogacka Halina (Zarembina): 73, 292.
 Bogusławski Aleksander: 60.
 „Bohun”: 232.
 Bolesław Chrobry: 88, 90, 262, 333.
 Borejsza Jerzy: 162.
 „Boruta”: 107.
 Boruta-Spiechowicz, gen.: 121.
 Bór, gen.: 74, 242, 244.

Brandt: 89.
 „Bratek” patrz Jan Osiński: 195.
 Braude, adw.: 11, 112.
 Braun Jerzy: 111.
 Briesemeister Stanisław: 115, 116.
 Broniewska, żona Kmdta Gł. NSZ: 196.
 Broniewska Celina: 309, 355.
 Brudniak Józef dr.: 231.
 Brun Krzysztof: 142.
 Bryja Wincenty: 42, 236, 238, 343, 351, 359.
 „Bryla” patrz Zakrzewski Zbigniew: 231.
 Brystygierowa Luna: 117, 291.
 Brzechwa: 335.
 Buczek Karol, redaktor: 188, 320, 323.
 Bułganin, gen.: 17.
 Burda Józef: 329.
 „Burlak” patrz Włodzimierz Szczekalski: 324.
 „Burza”: 132.
 Bzowski Kazimierz: 190, 226, 227, 228, 229.

Cang Joel: 238.
 Chajm: 181, 182, 192, 250.
 Chelchowski, poseł: 19, 248, 295.
 Chmielewski: 175.
 Chopin Fryderyk: 30, 146, 283.
 Chorążyna, posłanka: 307.
 Chwaliński, poseł: 295.
 „Cis”: 180.
 „Cis” patrz Sanojca mjr.: 100.
 Cukier Józef: 191.
 Cyrankiewicz Józef: 19, 57, 117, 118, 214, 248, 249, 250, 263, 269, 288, 308, 309, 343.
 Czajkowski Władysław, wice-minister: 98, 99.
 Czapiński: 259.
 Czaplicki mjr.: 26, 27, 29, 77.
 Czechowski Józef, prof.: 314.
 Czetwertyński: 215.
 Czystowski: 359.

Ćwik, poseł: 307.
 Daume: 275.
 Dąbrowski: 351, 359.
 Deputowski Hieronim („Zapora”): 359.
 Dirlewanger: 277.
 Drobner, poseł: 104, 105, 248, 262.
 Droga Stefan: 175.
 Droźniak Edward: 168, 169.
 Drury Charles Mills, gen.: 105, 106.
 Drzewiecki Bronisław, inż.: 113, 222, 251.
 Dubois Kazimiera: 58.
 Dubois Stanisław: 68, 250, 259, 342.
 Duda: 141.
 Dybowski, Konrad i Władysław: 313.
 Dymśa Adolf: 18, 212.
 Dziegielewski Józef: 298.
 Eisenhower, gen. 24, 25.
 Elektorowicz Witold: 277, 278.

„Faust”: 109.
 Fischer Ludwig, gubernator: 250, 275, 276, 277.
 Flinta Jan („Nietoperz”) 109.
 Franaszek: 164.
 Franco, gen.: 257.
 „Franek” patrz Niepokójczycki: 320.
 Franio Zofia, dr.: 314.
 Frank, gubernator: 80, 155, 179.
 Frankowski Jan: 251.

Gabrzyła Józef: 195.
 Gałaj: 314.
 Galczyński K.I.: 79.
 Gawron Henryk („Grom” kpt.): 180.
 Gniech Józef: 62.
 Goering, marszałek: 80, 168.
 Goetel Ferdynand: 212.
 Golebiowski Marian: 245, 253.

- Gomulka Władysław („Wiel-
sław”): 20, 39, 57, 58, 69,
166, 248, 283, 288, 302, 303,
360.
- Gójscy, bracia: 84.
- Górecki, poseł: 117, 118.
- Górka Olgierd, prof.: 117.
- Grabowski Witold, prokurator:
33, 220.
- Grabski Stanisław, prof.: 38,
40, 121.
- Grabski Władysław: 287.
- Graliński Zygmunt, dr.: 32, 35,
219, 247, 251.
- Gregorcuk: 84.
- Greiser: 138.
- Grenda Kazimierz („Gruda”):
231.
- Griffin, kardynał: 296, 297.
- Grocholski Ksawery: 230.
- „Grom” kpt. patrz Gawron Hen-
ryk: 180.
- Grosz Wiktor, gen.: 19, 184,
335.
- Grot (Gruenberg): 325.
- „Gruda” patrz Grenda Kazi-
mierz: 231.
- Gruenberg (Grot): 325.
- „Groźny” patrz Sawarski Ma-
rian: 195.
- Gubrynowicz: 122.
- Gustaw, kpt.: 244.
- Gwiazdowicz Marian: 137.
- Heiret, poseł: 121, 337.
- Hennebergowie: Adam, Ferdy-
nand-Józef, Fryderyk-Józef,
Karol-August, Marek, Maria-
Elwira, Wilhelm - Edward,
Zbigniew i Zdzisław: 84.
- Herman Franciszek, plk.: 242.
- Higgins Marguerite: 238.
- Himmler: 277, 354.
- Hitler: 93, 155.
- Hlond, kardynał: 297.
- Hochfeld Julian: 249, 264, 265,
305, 307.
- Holder, plk.: 245.
- Horodyński Dominik: 116, 117.
- Hrut Władysław: 84.
- „Hryń”: 283, 324.
- Hulewiczowa Maria: 121, 337,
343, 351, 359.
- „Huragan”: 290.
- Ignar Stefan: 290.
- Iwanowski Kazimierz: 113.
- Jachimek: 258.
- Jagiello Stanisław: 329.
- Janik, sędzia: 275.
- Jankowski Jan: 44, 241.
- Janosik: 66, 273.
- Jaracz Stefan: 18.
- Jarkiewicz Zygmunt, ks.: 195.
- Jarnuszkiewicz Konrad: 319.
- Jarossy Fryderyk: 278.
- Jarosz M., prokurator: 181, 193.
- Jaroszewicz, gen.: 53, 54, 248,
283, 297.
- Jarotek Jan: 46.
- „Jastrząb”: 314.
- Jeleszuk Józef: 139.
- Jodłowski, adw.: 250, 254.
- Jonsik, prokurator: 181.
- Józefowicz Apolinary: 176.
- Józewski Henryk, wojewoda: 321.
- Jurkowski Dominik: 291.
- Kaczmarczyk Alojzy: 320, 323.
- Kaczmarczyk Wojciech: 46.
- Kaczocha, poseł: 306.
- Kaczorowski („Kmicic”): 140.
- Kahane: 136.
- Kalicki Witold: 230.
- Kalinówna Dora: 278.
- Kamiński, gen.: 277.
- Kamiński Franciszek: 19, 212,
213, 321.
- Kapler-Judkiewicz, por.: 319.
- Kapustin, gen.: 314.
- Karasiński: 71, 72, 73.
- Karolkiewicz Stanisław: 314.
- Kasaraba Aleksander: 195.
- Kasprzycki: 231.
- Kasznica: 358.
- Kędzia: 95.
- Kęska Antoni: 191.

- Kiernik Władysław: 57, 58, 60, 63, 183, 287.
 „Kiliński”: 144.
 Kiliński Jan: 145, 274.
 Kisiel: 63.
 Klemensiewicz, prof. dr.: 81.
 Klimczak Stanisław: 238, 329, 339.
 Kliszko, plk.: 19, 128, 184, 248, 305.
 Kłuszyńska Dorota: 248.
 „Kmicic” patrz Kaczorowski: 140.
 Kocen: 196.
 Kociszewski: 107.
 Kojder Władysław: 46, 137.
 Kołodziej Józef: 46.
 Kołodziejski Henryk: 255, 256.
 Komza dr. mjr.: 336.
 Konarzewski, plk.: 172.
 Kondrat: 212.
 Koniew marszałek: 17.
 Konopacka Janina: 149.
 Kopernik: 157.
 Korbońska Zofia (Zosia): *passim*.
 Korboński Stefan: 12, 61, 112, 129, 150, 201, 202, 242, 243, 244, 247, 268, 305, 319, 320, 321, 323, 329, 341, 343, 344, 358.
 Korczyc, gen.: 283.
 Korczyński, plk.: 283.
 „Kortum” patrz Sanojca Antoni: 241.
 Korzycki: 249.
 Kosiorek Krystyna: 230.
 Kossak: 124, 259.
 Kościelniak Stanisław: 292.
 Kościelniak Tomasz: 191.
 Kościuszko Tadeusz: 362.
 Kot Jan: 323.
 Koter Stanisław: 289.
 Kotowski Witold, adw.: 314.
 Kowalski Władysław: 249, 253, 255, 256, 257, 264, 265, 266, 268, 271, 303, 304, 307.
 Kozarski Piotr: 109.
 Kozarzewski Jerzy: 149.
 Kozłowski mjr.: („Mikołaj”): 149.
 Kozłowski Mieczysław: 196.
 Kozok: 95.
 Kraszewska, łączniczka: 244.
 Krause Zdzisław („Andrus”): 195.
 Krawczyk Wiktor: 298.
 Krukowski (Łopek): 278.
 Krylacz: 324.
 Krzeptowski Wacław: 191.
 Krzyżanowscy: 141.
 Księżarczyk, plk.: 19.
 „Kuba”: 144.
 Kuczewski, prof.: 48.
 Kukiel Władysław: 46.
 Kularski Antoni: 140.
 Kulczycki, adw.: 192.
 Kulerski Witold: 359.
 Kuraś Józef („Ogień”): 66, 273, 274.
 Kurowski, plk. (patrz Warszawski): 81.
 Kurczewski: 359.
 Kurowski, poseł: 295.
 Kutschera, gen.: 76.
 Kuźmiński: 137.
 Kwapiński Jan: 255.
 Kwiatkowski Eugeniusz: 251, 255.
 Kwieciński Janusz: 26.
 Kwiek Rudolf: 189.
 Lachert Zygmunt: 358, 359.
 La Guardia: 165, 169, 170.
 Langer Antoni, poseł: 249, 264, 265, 304.
 Langiewicz Witold: 196.
 Langner Wiktor: 323.
 Laskowski Stanisław: 231.
 Laval: 28.
 Lawiński Ludwik: 278.
 Lawther: 300.
 Lechowicz: 259.
 Leist: 275.
 Lenin: 257.
 Leski Kazimierz, kpt.: 244.
 Lewandowski (Korboński Stefan) 12.
 Lewandowski Roman: 232.
 „Lewko” patrz Ziman Michał: 324.
 Libicki Konrad: 265.

- Liebermann Hersz: 33, 259.
 Lebediew: 214, 215, 252, 269, 287.
 Liniarski, plk.: („Mścislaw”): 140.
 Lipiński Wacław, ppłk.: 230, 321.
 Lipiński Wiktor: 314-315.
 Łazarczuk Szczepan: 232.
 Łempicki Józef: 46.
 Łętowski, plk. (mjr. „Mechanik”): 19-20, 167, 170.
 Łupkowski Piotr: 231.
 „Maciej” patrz Rybicki Józef: 100.
 Maciejec Zygmunt: 318.
 Majchrzakowa: 115.
 Makowiecki, inż.: 242.
 Malessa Emilia („Marcysia”): 241, 258.
 Malicka Maria: 212.
 Malinow, gen. patrz Sierow: 111, 112, 302, 361.
 Małolepszy Jan („Murat”): 359.
 Maniu Juliusz: 336.
 Marcinkowski: 195.
 „Marcysia” patrz Malessa Emilia 241.
 Mariasz Stanisław: 46.
 Marshall, gen.: 308, 309.
 Martini Roman, dr. prok.: 100.
 Marusarz Staszek: 69.
 Masiowa: 37.
 Maszyński Mariusz: 272.
 Maślanko, adw.: 78, 79, 245.
 Matuszewski: 249.
 Mazur: 248.
 Mazur Stanisław: 190, 222, 229.
 Mazurkiewicz („Radosław” plk.): 359.
 „Mechanik” mjr. patrz plk. Łętowski: 167.
 Meisinger: 275, 276.
 Messal Lucyna: 193, 194.
 Michajłowicz, gen.: 138.
 Mierzwa Stanisław: 48, 173, 189, 288, 289, 320, 323.
 Mierzyński T.: 109.
 Mieszko I.: 88, 333.
 Mika Czesiek: 109.
 „Mikołaj” mjr. patrz Kozłowski mjr.: 149, 150, 163.
 Mikołajczyk Stanisław: 14, 18, 22, 36, 39, 40, 57, 59, 60, 63, 80, 106, 121, 122, 124, 125, 127, 128, 129, 130, 165, 166, 167, 169, 173, 178, 179, 183, 211, 221, 223, 230, 238, 240, 253, 271, 284, 289, 303, 305, 306, 307, 308, 311, 312, 313, 318, 321, 328, 329, 336, 337, 339, 340, 341, 343, 344, 351, 353, 359, 362.
 Milkowski Stefan, inż.: 176.
 Minc Hilary: 283, 294, 295.
 Miodyński: 100.
 Misiorowski: 298.
 Miś: 76.
 Moczar, plk.: 21, 83.
 Modzelewska Maria: 278.
 Modzelewski, minister: 308.
 Modzelewski Sławomir: 149, 150, 151, 152, 162, 163, 164, 319.
 Montwiłł-Mirecki: 79, 219.
 Morajko Włodzimierz: 291.
 Moskal (Starowiejski): 325.
 Moskalik Witold: 109.
 Mościcki Ignacy: 257.
 Motyka, poseł: 264.
 Mrozek, plk.: 22-23, 111.
 „Mścislaw” patrz Liniarski: 137.
 Muł Stanisław: 191.
 „Murat” patrz Małolepszy Jan: 359.
 Muszkat, plk.: 181.
 Muzyczka Ludwik („Benedykt”): 100, 241, 245, 246.
 Nadzin, mjr.: 356, 357.
 Nalkowska Zofia: 251.
 Napoleon: 21.
 Narbutt, plk.: 19, 110.
 Neugebauer patrz Zarzycki plk.: 124.
 Neuman Leszek: 358.
 Niebor: 196.

- Nieczaj: 324.
 Niecko Józef: 19, 110, 288, 322, 329, 339, 344.
 Niedziałkowska Maria: 58.
 Niedziałkowski Mieczysław: 32, 35, 106, 120, 123, 250, 255, 259, 314.
 „Niedźwiadek” patrz Okulicki gen.: 17.
 Nienaltowski: 359.
 Niepokójczycki Franciszek, plk. („Franek”, „Saper”): 194, 242, 320, 321, 323.
 „Nietoperz” patrz Flinta Jan: 109.
 Niewiadomski Jerzy: 149.
 Nilsson Karl: 344, 345, 346, 347, 348, 352, 358.
 Nosal Jan: 195.
 Nowak patrz Korboński Stefan: 12.
 Nowak Jan: 289.
 Nowodworski: 193.
 Noworol Mieczysław: 314.
 Obarski Adam: 298, 314, 358.
 Ochab: 248, 302.
 „Ogień” mjr. patrz Kuraś Józef: 64-68, 69, 70, 71, 72, 76, 140, 273, 274, 292, 319.
 Ojrzyński: 359.
 Okrzeja: 79, 219.
 Okulicki, gen.: 17, 44, 241, 242, 243, 244.
 Olechowscy: 314.
 Olsza Tadeusz: 272.
 „Ordon”: 314.
 Ordonówna Hanka: 278.
 „Orlicz”: 132.
 „Orlik” patrz Bernaciak Marian: 132, 140, 175, 176.
 Osiecki Stanisław: 190, 222, 229.
 Osiejowa Genowefa: 237.
 Osinowski Jan („Bratek”): 195.
 Osóbka, premier: 21, 38, 40, 44, 57, 58, 69, 70, 75, 106, 187, 218, 219, 248, 257, 261, 262, 269.
 Osóbka Wiselka: 218.
 Ostafin Józef: 320, 323.
 Ostaszewski, adw.: 78.
 Osterwa: 18.
 Ostromecki: 100.
 Ostrowski Adam: 355.
 Ostrowski Jan: 232.
 Ożga-Michalski, poseł: 253.
 Pajor: 359.
 Panek Bolesław: 175.
 Pankiewicz Michał: 117.
 Papież (Parocki): 325.
 Parocki (Papież): 325.
 Pasowski Antoni: 136.
 Paszkiewicz, gen.: 283, 306, 307, 308.
 Patek: 79.
 Pawlina Leon, ks.: 318.
 Pecio Jan Henryk: 176.
 Perzanowska: 212.
 Pétain: 28.
 Petkow Mikołaj: 336.
 Piasecki Bolesław: 115, 251.
 Piekalkiewicz Jan, prof.: 141, 242.
 Pilsudski Józef: 36, 124, 251, 260, 263.
 Piotrowski: 259.
 Płodowski Wacław: 326.
 Płoński Wiesław: 175.
 Pobocha: 100, 196.
 Podeworny: 57, 58.
 Podfilipski Zygmunt: 231.
 Pogorzelska Zula: 278.
 Pohoski Jan: 106.
 Polaczykówna: 319.
 Polaniecki (Schimscheimer): 325.
 Polynin Fiedor, gen.: 17.
 Pomian: 354.
 Poniecki Czesław: 329.
 Popławski, gen.: 249, 254, 283.
 Poradzki Zdzisław: 76.
 Potworowski, poseł: 355.
 Pruszyński Ksawery: 38.
 Przybyłko-Potocka Maria: 106.
 Pstrowski Wincenty: 294.
 Ptak Stanisław: 231.
 Ptok: 95.
 Pułaski Kazimierz: 362.
 Putek, minister: 248.

- Pużak Kazimierz: 35, 44, 76, 255, 298, 359.
- Quirini, adw.: 98.
- Quisling: 28, 221, 271.
- Raabe Henryk: 20.
- Raabe Leszek: 20.
- Rabanowski, minister: 57, 297.
- Radkiewicz Stanisław, minister: 22, 46, 99, 112, 175, 248, 256, 290, 302, 308, 361.
- „Radosław” plk. patrz Mazurkiewicz: 13, 15, 22, 23, 25, 26, 27, 29, 30, 71, 107, 142, 143, 144, 145, 146, 242, 243, 314, 359.
- Radziwiłł Ferdynand: 264.
- Radziwiłł Janusz: 250.
- Radziwiłł Krzysztof: 250, 256.
- Rakowski Tadeusz: 316, 317.
- Ralski Eugeniusz: 323.
- Rasin Jan: 232.
- Rataj Maciej: 11, 35, 56, 119, 120, 122, 123, 124, 125, 250, 255.
- Rauze, prokurator: 33, 220.
- Rej Mikołaj: 92.
- Rek Tadeusz: 113, 222, 251.
- Resztak: 336.
- Rettinger, adwokat: 78.
- „Roch”: 290.
- Rokossowski Konstanty, marszałek: 17, 18, 90, 147.
- „Rola”: 313.
- Romkowski Roman, plk.: 112, 194, 266, 267, 360.
- Roosevelt: 83, 286.
- Rowecki Stefan, gen.: 73, 242.
- Roy-Ganz, poseł szwajcarski: 252.
- Rozłucki Piotr: 283-284, 285.
- Roztworowski Karol Hubert: 190.
- Rómmel, gen.: 20, 21, 121.
- Rózański Józef, kpt.: 13, 15, 16, 17, 24, 47, 158, 352, 360.
- Rzepecki Jan, plk.: 13-14, 15, 99, 100, 107, 138, 229, 240, 241, 242, 243, 244, 245, 246, 258, 270, 314, 359.
- Rzeźnik Jan (Zawada-Skrzyński): 325.
- Rzymek vel Strzałkowski: 320, 323.
- Rzymowski Wincenty: 250, 265.
- Rusin Jan, poseł: 139.
- Rybicki Józef („Maciej”): 100, 245.
- Rybicki Stefan: 292, 293.
- Rybnik Aleksander: 140.
- Rydz-Śmigły Edward, marszałek: 110, 111, 265, 304.
- Sadowska Barbara: 314.
- Salski: 196.
- Salaciński Zygmunt: 315.
- Samborski: 18.
- Sanguszek, książę: 31.
- Sanojca Antoni, mjr. („Kortum”, „Cis”): 100, 229, 241, 242, 243, 245, 246, 258.
- „Saper” patrz Niepokójczycki: 320.
- Sawarski Marian („Groźny”): 195.
- Sawicki: 80.
- Sawiński Julian: 109.
- Schayer Wacław: 344.
- Schimscheimer (Polaniecki): 325.
- Sempoliński Ludwik: 272.
- Sempolowska: 220.
- Sęk-Malecki, plk.: 319.
- Sidor, plk.: 110.
- Sierow, gen. („Malinow”): 112, 361.
- Siewierski: 80.
- Sikora: 95.
- Sikorski Władysław, gen.: 14, 59, 242, 306.
- Siudak Paweł: 359.
- Skalski Stanisław: 286.
- Składkowski-Sławoj, gen.: 260, 363.
- Ślapianka Jolanta: 100.
- „Sławbor” patrz Szczurek-Szer-ski Jan, plk.: 243.

- Sławek Walery, plk.: 260.
 Słowik Ludwik: 231.
 Sobczyński, mjr.: 46, 137.
 Sokółowski Stanisław, mjr.: 46.
 Sokorski Włodzimierz: 266, 267, 268, 269, 271.
 Solski Ludwik: 219.
 Spychalski Marian, gen.: 18, 19, 24, 76, 110, 111, 121, 248, 273, 283, 360.
 Srebrzyński, plk.: 242.
 „Stach”: 283.
 Stachanow: 294.
 Stalin: 83, 103, 147, 284.
 Stankiewicz Tadeusz, Hanna i Maciej: 122.
 Stankiewicz Ziutek: 342.
 Starowiejski (Moskal): 325.
 Stefaniak, konsul: 355.
 Stefaniak Wiktor: 232.
 Stefański Bolesław, ks.: 229.
 Stopnicki Józef: 181, 193.
 Strażowski Wsiewołod, gen.: 17.
 Strzałkowski (vel Rzymek): 320, 323.
 Sturm de Strem Tadeusz: 298.
 Suchowiak, sędzia: 275.
 Sygietyński Tadeusz: 272.
 Syguda Jan: 139.
 Szach-Sroka Henryk: 109.
 „Szatan”: 239.
 Szatkowski Henryk, dr.: 191.
 Szczawińska Maria: 289.
 Szczekalski Włodzimierz („Burak”): 324.
 Szczepka Władysław: 231.
 Szczurek - Szerski Jan, plk. („Sławbor”): 100, 229, 241, 243, 244, 246, 258.
 „Szkatuła” patrz Szulc: 308.
 Szlagowski, ks. biskup: 30.
 Szostak, plk.: 242.
 „Szreń”: 324.
 Szulborski, adw.: 78.
 Szulc („Szkatuła”): 308.
 Szulc: 310.
 Szumański Wacław: 79, 193.
 Szwalbe Stanisław: 38, 248, 254, 255, 257, 261.
 Szydłowski Józef: 46.
 Szymanek, poseł: 253, 254.
 Szymański Feliks: 56.
 „Szymon”, rtm.: 73, 74.
 Żyr, plk.: 283.
 Ścibiorek Bolesław: 41, 45-46, 175.
 Śmiarowski: 79.
 Świątkowski, adw. min.: 181, 182, 249.
 Świerczewski Karol, gen.: („Walter”): 248, 283, 284, 285.
 Świszcz: 100, 196.
 Tatanda Andrzej: 232.
 Tennenbaum Henryk, prof.: 33.
 Thugutt Mieczysław: 68, 353.
 Thugutt Stanisław: 56, 253, 255.
 Tielnow Konstanty, gen.: 17.
 Tilgner: 249, 250.
 Tolwiński: 21.
 Tom Konrad: 278.
 Tomala Antoni: 191.
 Tomorrowcz Władysław: 239.
 Tonesk William: 25.
 „Topór” patrz Wierzbicki Kazimierz: 100.
 Trąbalski, poseł: 253, 264.
 Tumanowicz Walerian: 323.
 Tuwim Julian: 272, 273.
 „Uskok”: 292, 314.
 „Wacław”: 109.
 „Walter” patrz Świerczewski gen.: 284.
 Warchałowski, ks.: 283.
 Warowny Bronisław: 289.
 Warszawski, adw.: 81.
 „Warszyc”: 83, 196.
 Wasylewski Stanisław: 212.
 Wehrstein Emil: 231.
 Werfel Roman: 184, 185, 186.
 Westfal Janusz: 140.
 Westring, poseł szwedzki: 252.

- „Wędrowiec” patrz Wilisz Józef: 195.
 Węgrzyński Tadeusz: 289.
 White: 238.
 Wiatr-Zawojna Narcyz: 46.
 Widelszal Wincenty, doc.: 242.
 Widy-Wirski: 249.
 Widziuch Stefan: 232.
 Wierzbicki Kazimierz („Topór”): 100.
 „Wiesław” patrz Gomulka Władysław: 360.
 Wilczyński Władysław: 298.
 Wilisz Józef („Wędrowiec”): 195.
 Winch: 197.
 Wiórkowski J.: 44.
 Wir-Czerwiński, mjr.: 27.
 Wiśniewski Kazimierz: 149.
 Witek Władysław: 40, 173.
 Witold-Jóźwiak, gen.: 179.
 Witos Wincenty: 31-42, 56, 60, 173.
 Wnuk Władysław: 176.
 Wojciechowski Edmund: 274.
 Wojciechowski Stanisław, prezydent: 274.
 Wolański-Gorazdowski, płk.: 25, 359.
 Wolfram: 196.
 Wójcik Stanisław (śp.): 231.
 Wójcik Stanisław: 42, 165, 238, 311, 343, 362.
 Wróbel Stanisław: 319.
 Wróblewski Stanisław: 100, 101.
 Wrzosek vel Wrzos: 64.
 Wujek, ks.: 92.
 Wujek: 95.
 Wycech Czesław: 288.
 Wyrzykowski Marian: 219.
 Wyrzykowski, poseł: 249, 287, 295, 304.
 Wyrzykowski Tadeusz: 289.
 Wypiański Stanisław: 190.
 Zabłudowski: 165, 184, 187, 188, 264, 265.
 Zachariasz Michał: 140.
 Zagórski, por.: 137.
 Zakulski Jerzy, adw.: 313.
 Zakrzewski Zbigniew („Bryła”): 231.
 Załęski Bronisław: 362.
 Załęski Zygmunt: 57, 268.
 Zambrowski Roman: 19, 248, 254, 271, 302.
 „Zapora” patrz Deputowski Hieronim: 180, 239, 314, 359.
 Zarakowski, płk. prok.: 322, 323.
 Zarański: 230.
 Zaremba Władysław: 362.
 Zarembina-Bogacka Halina: 73, 293.
 Zarzycki-Neugebauer, gen. 124, 319.
 Zawada - Skrzyński (Rzeźnik Jan): 325.
 Zawadzki: 283.
 Zborowski: 359.
 Zdanowski: 190, 261.
 Zieja Jan, ks.: 122, 123.
 Zieliński: 231.
 Zieliński patrz Korboński: 12, 23, 211, 319, 323.
 Ziemięcki: 259.
 Zilliacus: 334.
 Ziman Michał („Lewko”): 324.
 Zimińska Mira: 272, 273.
 Ziomko Jan: 232.
 Zodrow Paweł: 245.
 Zosia (Korbońska Zofia): passim.
 Zralek, wojewoda: 158, 159.
 Zubryd: 132.
 Zwierzyński: 44.
 „Żegota”: 290.
 Żeromski Stefan: 190.
 Żółtowski Janusz: 168.
 Żukow, marszałek: 17, 18.
 Żuławski Zygmunt: 76, 190, 222, 251, 259, 262, 263, 264, 271, 304, 305, 307, 333.
 Żymierski: 50, 51, 57, 58, 110, 141, 158, 159, 167, 168, 267, 283, 323, 324, 336, 360.
 „Żywiciel”: 144.

LISTA CZŁONKÓW PSL, ZAMORDOWANYCH PRZEZ BEZPIEKĘ

1. Klimiuk Marian	Siedlce	—
2. Szymański Julian	Przemyśl	—
3. Mucha Zofia	Łańcut	24.II.1945
4. Kuc Ludwik	Kozienice	IV.1945
5. Wiatr Narcyz-Zawojna	Kraków	21.IV.1945
6. Feliks	Radzyń	25.VIII.1945
7. Kukiel Władysław	Bochnia	7.IX.1945
8. Mariasz Stanisław	Bochnia	7.IX.1945
9. Szydłowski Józef	Bochnia	7.IX.1945
10. Kojder Władysław	Rzeszowskie	9.IX.1945
11. Gargala Ernest	Łańcut	8.IX.1945
12. Chromiak	Miechów	X.1945
13. Więclawek Jan	Miechów	X.1945
14. Maksymowski Stanisław	Augustów	25.X.1945
15. Gójski Julian	Łęg, pow. Płock	8.XI.1945
16. Gójski Ryszard	Łęg, pow. Płock	8.XI.1945
17. Gójski Kazimierz	Łęg, pow. Płock	8.XI.1945
18. Zalewski Antoni	Płock	17.XI.1945
19. Kwiatkowski Zygmunt	Ostrołęka	21.XI.1945
20. Sokolowski Stanisław	Krasnystaw	23.XI.1945
21. Łempicki Józef	Bielsk Podlaski	1.XII.1945
22. Łempicki Stanisław	Bielsk Podlaski	1.XII.1945
23. Łempicki Józef s. Tomasza	Bielsk Podlaski	1.XII.1945
24. Wnuk Józef	Bielsk Podlaski	1.XII.1945
25. Masłowski Władysław	Bielsk Podlaski	1.XII.1945
26. Masłowski Jan	Bielsk Podlaski	1.XII.1945
27. Masłowski Franciszek	Bielsk Podlaski	1.XII.1945
28. Sikorski Jan	Bielsk Podlaski	1.XII.1945
29. Sikora Piotr	Bielsk Podlaski	1.XII.1945
30. Ścibiorek Bolesław	Łódź	5.XII.1945
31. Winiarz Antoni	Łańcut	20.XII.1945
32. Kamiński Kazimierz	Wysokie Mazowieckie	1946
33. Tomczak Michał	Płock	10.I.1946
34. Nygowski Franciszek	Mława	15.I.1946
35. Senderek Stanisław	Bilgoraj	26.I.1946
36. Zaniewicz Jan	Radzyń	31.I.1946

37. Turyk Bronisław	Radzyń	31.I.1946
38. Chabros, syn Kazimierza	Puławy	luty 1946
39. Żurawiński Stefan	Pultusk	luty 1946
40. Pelka Jerzy	Płock	4.II.1946
41. Sek Jan	Garwolin	7.II.1946
42. Pytkorczyk Eugeniusz	Garwolin	7.II.1946
43. Orłowski Jan	Pultusk	22.II.1946
44. Jakubiak Zygmunt	Lublin	28.II.1946
45. Gersz Józef	Radzyń	3.III.1946
46. Chruścielewski Edward	Kraśnik	17.III.1946
47. Urban Marcin	Siedlanka(Kolbuszowa)	19.III.1946
48. Danielewicz Stanisław	Grodzisk	25.III.1946
49. Grabarz Franciszek	Łańcut	26.III.1946
50. Jarotek Jan	Bochnia	kwiecień 1946
51. Dr Bilek Jan	Walbrzych	1.IV.1946
52. Gadzała Ignacy	Lublin	6.IV.1946
53. Boneneberg Kazimierz	Miechów	maj 1946
54. Kobasa Aleksander	Miechów	maj 1946
55. Mróz Stanisław	Miechów	maj 1946
56. Gaś Jan	Miechów	maj 1946
57. Twardowski Jan	Miechów	maj 1946
58. Król Bolesław	Miechów	maj 1946
59. Król, żona Bolesława	Miechów	maj 1946
60. Paciorek	Warszawa	1.V.1946
61. Kulesza Jerzy	Wysokie Mazowieckie	5.V.1946
62. Dusik Andrzej	Biała	6.V.1946
63. Wilk Edmund	Jarosław	6.V.1946
64. Kowalczyk	Częstochowa	11.V.1946
65. Bajor Stanisław	Częstochowa	11.V.1946
66. Niewierski	Miechów	14.V.1946
67. Rogoz Władysław	Olkusz	18.V.1946
68. Łazowski Franciszek	Sierpc	25.V.1946
69. Niedźwiedz Szczeban	Nowy Sącz	31.V.1946
70. Gnorowski Józef	Nowy Sącz	31.V.1946
71. Gaciąg Stanisław	Siedlce	czerwiec 1946
72. Jeleszuk Józef	Międzyrzec	19.VI.1946
73. Skarbek Tadeusz	Warszawa	10.VI.1946
74. Syguda Jan	Wreczyca Wielka	24.VI.1946
75. Kowalski Stanisław	Mińsk Mazowiecki	3.VII.1946
76. Majka Józef	Cieszyn	10.VII.1946
77. Zachariasz Michał	Góry, pow. Pińczów	13.VII.1946
78. Majewski Witold	Bielsk Podlaski	14.VII.1946
79. Wnuk Władysław	Jaroszyn (Kozienice)	20.VII.1946
80. Józefowicz Apolinary	Miechów	2.VIII.1946
81. Kaczmarczyk Wojciech	Okulice pow. Bochnia	3.VIII.1946
82. Kołodziej Józef	Bogucice	3.VIII.1946
83. Milkowski Stefan	Miechów	2.VIII.1946
84. Garstka Stanisław	Sierpc	6.VIII.1946
85. Pawlak Stanisław (19 lat)	Garwolin	7.VIII.1946
86. Markiewicz Roman	Gostynin	20.VIII.1946
87. Kisielewski Mirosław	Sierpc	30.VIII.1946

88. Pecio Jan Henryk.	Puławy	1.IX.1946
89. Godlewski Leszek	Działdowo	3.IX.1946
90. Łatka Teofil	Ząbkowice	8.IX.1946
91. Sawicki Cyryl	Białystok	8.IX.1946
92. Świerczewski Józef	Pułtusk	20.IX.1946
93. Wierzbicki Antoni	Pułtusk	20.IX.1946
94. Kwiatkowski Stanisław	Pułtusk	20.IX.1946
95. Kwiatkowska Anna	Pułtusk	20.IX.1946
96. Łypik Józef	Wadowice	październik 1946
97. Łypik Tadeusz	Wadowice	październik 1946
98. Zimnoch Tytus	Białystok	13.X.1946
99. Sikora Paweł	Kraków	17.X.1946
100. Burda Józef	Kraków	17.X.1946
101. Malejko Józef	Święcie	18.X.1946
102. Burkot Zygmunt	Warszawa-powiat	20.X.1946
103. Hachlica	Kraków	22.X.1946
104. Guzik Józef	Miechów	26.X.1946
105. Przeniosło Stanisław	Miechów	27.X.1946
106. Siennicki Stanisław	Ostrów Mazowiecki	30.X.1946
107. Olecki Klemens	Przasnysz	28.XI.1946
108. Rychcik	Sierpc	3.XII.1946
109. Rychcik, żona	Sierpc	3.XII.1946
110. Szyguła Stefan	Pszczyna	—
111. Gregorczyk	Sarnaki, pow Siedlce	—
112. Brzozowski Jan	Mława	—
113. Kotuniak, ojciec	Siedlce	11.I.1947
114. Kotuniak, matka	Siedlce	11.I.1947
115. Kotuniak, dziecko 1	Siedlce	11.I.1947
116. Kotuniak, dziecko 2	Siedlce	11.I.1947
117. Kotuniak, dziecko 3	Siedlce	11.I.1947
118. Zieliński Bernard	Działdowo	13.I.1947

SPIS ROZDZIAŁÓW

Przedmowa	9
Powrót z więzienia	11
Amnestia z 2 sierpnia 1945	14
Aresztowanie płk. Radosława	15
Wizyta w bezpiece	15
„Popy” w rogatywkach	17
Śmierć Jaracza	18
Spotkanie ze Spychalskim	18
Ojciec i syn	20
Gen. Rómmel w hołdzie Bierutowi	20
Minister i podsłuch	22
Odezwa płk. Radosława	22
Związek przyszłych premierów	23
Spotkanie z enkawudystą	24
Gen. Eisenhower w Warszawie	24
Zwolnienie Radosława	25
Colosseum w Woklau	28
Ujawnienie AK w Mińsku Mazowieckim	28
Serce Chopina	30
Żywi i umarli	30
Śmierć i pogrzeb Wincentego Witosa	31
Spotkanie w lesie	42
Powrót z Łubianki	43
Miedzy młotem a kowadłem	44
Byczek na kursie PPR	44
„Lipa” w mundurze	45
Zamordowanie Ściborka	45

„Tylko nie demokracja!”	47
Ratyfikacja traktatu o czwartym rozbiórce	48
Rozmowy sylwestrowe	49
Na „Dzikich Polach”	50
„Chłopi z Marszałkowskiej”	52
Ręce do góry!	52
„Zdrastwujcie gienierał”	53
Chłopi w gościnie u warszawiaków	54
Kongres PSL	55
„Ogień” Władca Podhala	64
Wczoraj i dziś	68
Pan premier na nartach	69
Hultajski bigos	71
Przerwana melodia	72
Góralskie nadzieje	73
Pan premier się bawi	73
Ostatni z zamachowców	76
PPS na równi pochyłej	76
Żywcem pogrzebany	76
Obrońcy wojskowi	78
Błąd przywódcy	80
Zeznania dla Norymbergi	80
Pan, czy obywatel?	81
Anonim z więzienia	81
„True Glory”	82
Leśne PSL	83
Z żałobnej listy	84
Cztery pokolenia	84
Pod znakiem szabru i Piastów	85
Ślązaczka z Bierutowic	90
Wycieczka na Śnieżkę	94
Niemieckie podziemie	96
Kobiety w zaprzęgu	98
Aresztowanie płk. Jana Rzepeckiego	99
Zagadka śmierci prokuratora	100
Milczący pochód	101
Dałoj z rogatywką!	102
Krasnoarmiejcy na Święconym	102
Drobner rozmienia się na drobne	104
Kanadyjczyk w Leśnej Podkowie	105
„Ziemia oddaje prochy”	106

Podziemie przed sądem i w lesie	107
Warszawscy akrobaci	107
Górą Kraków!	108
Cele śmierci	109
W siedzibie Rydza-Śmigłego	110
Legendarny gen. Malinow	111
Zawieszenie PSL	112
Jaskiniowcy na Starówce	113
Do widzenia, panie hrabio!	115
„A chce pan w mordę?”	117
Palmiry, polana śmierci	119
Referendum	125
Wygrywamy mecz	127
Pokłosie referendum	131
Reakcyjny most	133
„Oko za oko, ząb za ząb”	135
Pogrom żydowski w Kielcach	135
Wyrok na gen. Michajłowicza	138
Bimber na indeksie	138
Kat w rękawiczkach	138
Jazda „na lebkę”	139
Ogniem i mieczem	139
Pogrzeb Delegata Rządu Profesora Piekalkiewicza	141
Wśród poległych bohaterów	142
W drugą rocznicę Powstania	145
Nad Bałtykiem	147
Koszmarna noc	148
Ukamienowanie ubeków	154
W kolebce prusactwa	155
Na Żuławach	156
W hitlerowskiej rzeźni	158
Taniec z rewolwerem	161
Tajemnica odkryta	162
Osiem ton prochów	164
Próbuję pióra	165
Raut w Radzie Ministrów	165
La Guardia i chłopka	170
Napad na siedzibę PSL	171
Aresztowanie Mierzwy	173
Katyń w Kępnie i spalenie Wąwolnicy	173
Warszawa powstaje z popiołów	176

Mikołajczyk contra Anders	178
Bóg nie rychliwy... ..	179
„Partyzanci” z bezpieki	179
Prawnictwo „ludowe”	181
W bloku, czy sami?	182
Cenzor i wódka	184
Z króla — prezydent	189
Wybory w styczniu 1947	190
Sąd nad Rostworowskim	190
Góralu, czy ci nie żal?	191
Na żałobnej akademii	192
Idź na Messalkę!	193
Z sali sądowej	194
Podstuch w ścianie	197
„Niech pan to podpisze”	199
Posługaczka i chłop	204
Akowcy w sufajkach	205
Kryjówka w barze	207
Spotkanie z podziemiem	209
Echa kolaboracji	212
I połała się krew sowiecka... ..	212
Sylwestrowe wiwaty	215
Warszawa i Warszawka	218
Wspomnienie o Leonie Berensonie	219
W wigilię wyborów	221
Z bezpieczeńką na piętach	223
Wariat w okręgowej komisji wyborczej	226
„Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie”	229
Warszawa w dniu wyborów	232
Tajemnica ustępu na Pradze	237
Po wyborach	238
Za wierną służbę	240
Otwarcie Sejmu	246
Bóg w służbie PPR	255
Żuławski oskarża	259
Bevin a Żelazna Kurtyna	263
Żuławski contra Kowalski	264
„Verba volant, scripta manent”	264
Niespodziewane spotkanie	266
Mój dzień w Sejmie	268
Cenzura dwoi się i troi	271

„Żołnierz Królowej Madagaskaru”	272
Ogień nie żyje!	273
Warszawskie pamiątki	274
Gubernator Fischer contra generał Bach	275
Warszawskie melodie	277
Zatopiona dywizja	280
Wizyta z lasu	280
Rozłucki — redivivus?	285
Dwie wystawy	285
Hold Ameryce	286
Posel Wyrzykowski pod pręgierzem	287
Wizyta ministra Bevina	288
Rozkład w PSL	288
Amnestia w cyfrach	290
Arka Noego na kołach	292
Sejm na wesoło	293
Urna zamiast kwiatów	296
Pepesowcy w Boże Ciało	296
Aresztowanie Pużaka	298
Ziemia gromadzi żywych	298
Jedźcie dorsze!	299
Polskie Lidice czekają	300
Dzwonek alarmowy	300
Sejmowe migawki	303
„Po prikazu”	308
Drugi dzwonek	309
Tajemnicza narada	311
Pod katowskim mieczem	313
Okno na świat	315
Proces redaktora Augustyńskiego	318
Epilog Ognia	319
Druga Komenda WIN-u przed sądem	319
Prokurator Zarakowski w roli historyka	322
Agonia Ukraińskiej Powstańczej Armii	323
Nowa szlachta	325
Spełniony ślub	326
Pięć przed dwunastą	328
Pożegnanie z wiśniówką	330
Dwóch Bolesławów	333
Sąd Najwyższy i plotki	333
Przez różowe okulary	334

Niedzielną rozmowa	335
Niespodzianka	336
Żegnaj Warszawo!	340
Ucieczka	342
W Szwecji	350
Próba porwania	353
Epilog	358
Indeks nazwisk	365
Lista członków PSL zamordowanych przez bezpiekę	374
Spis rzeczy	377

ERRATA

Na stronie 55, w wierszu 24 zamiast „sprostują”
— winno być: „sprostają”.

Na stronie 185 pomiędzy wierszami 27 a 28 opuszczono wiersz, który brzmi: „niach z referendum ludziliby się, że możemy wygrać wy-”.



ACHEVE D'IMPRIMER
LE 15 MARS 1956
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, RUE STEPHENSON
— PARIS (XVIII^e) —

Dépôt légal : 1^{er} tr. 1956.

Odkwaszone

'19-09-2003